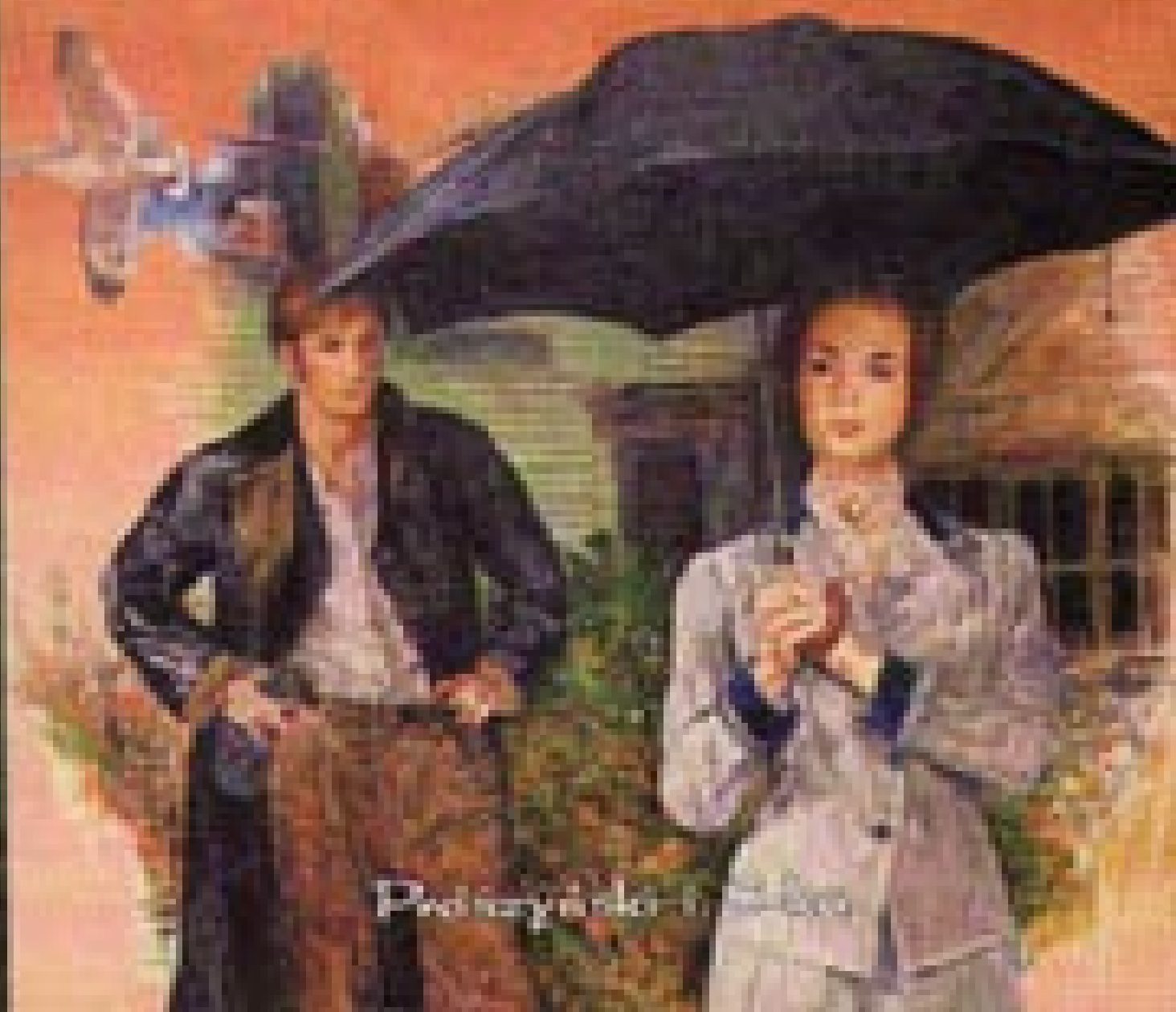


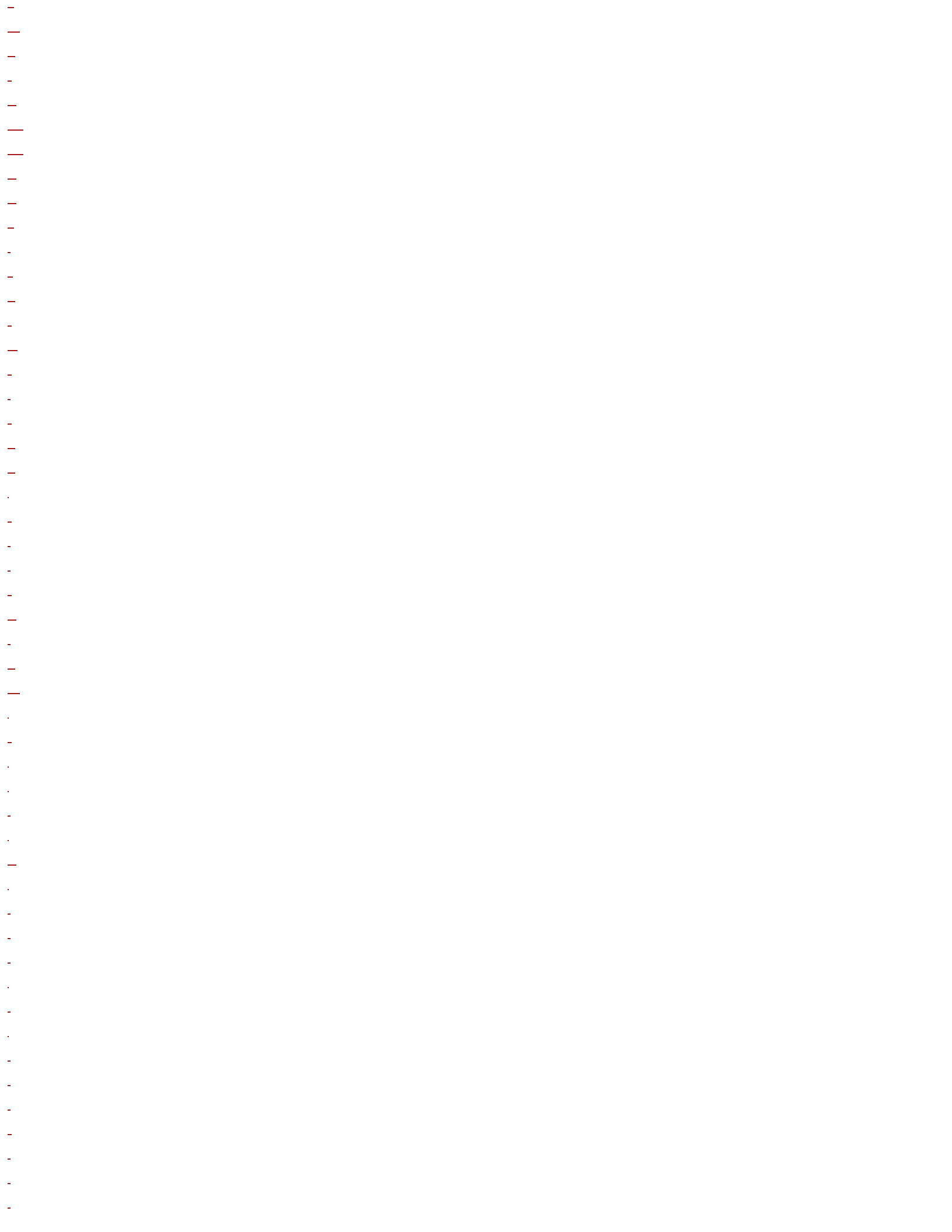
JUDITH LENNOX

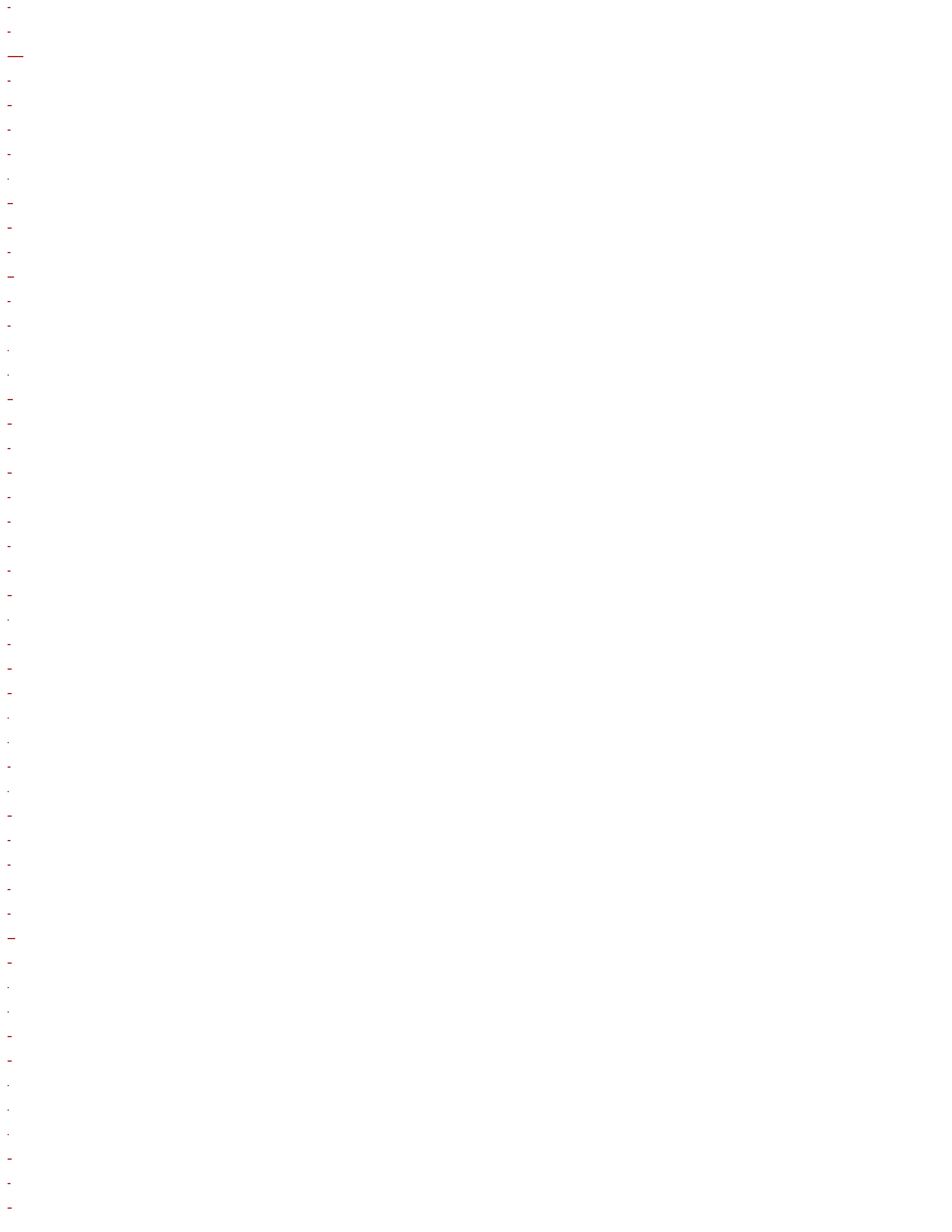
---

DUCHY  
PRZESZŁOŚCI



Przełomowy rok 1840



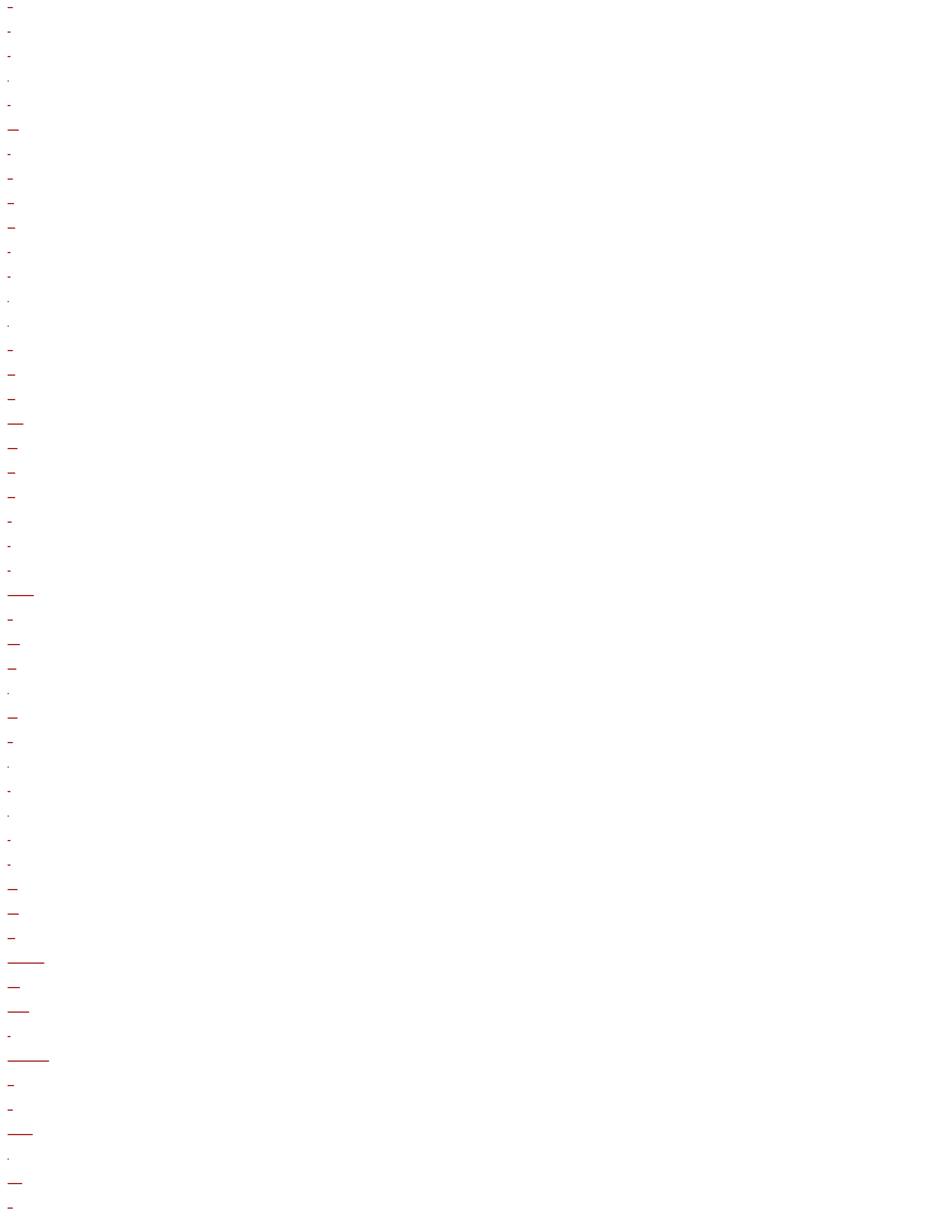




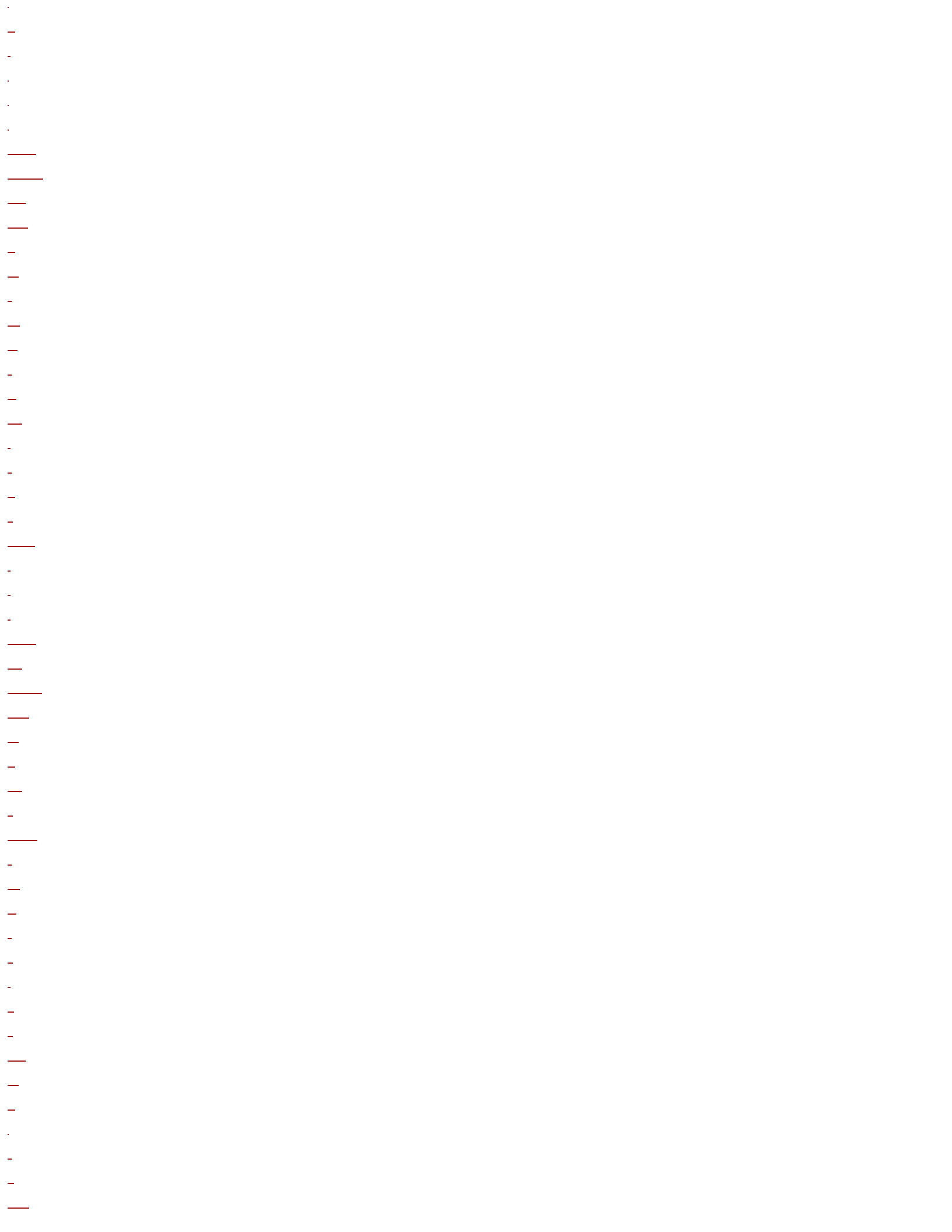










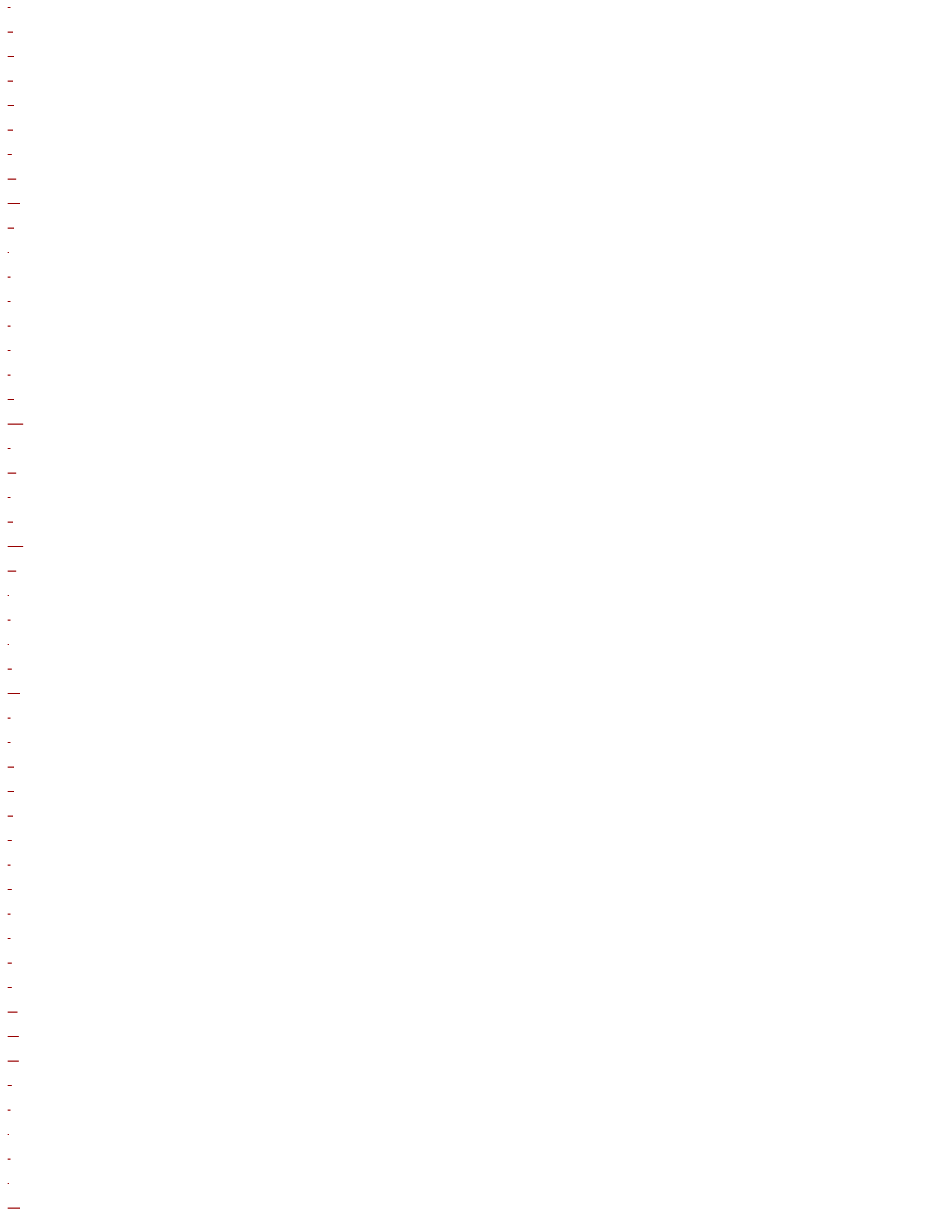










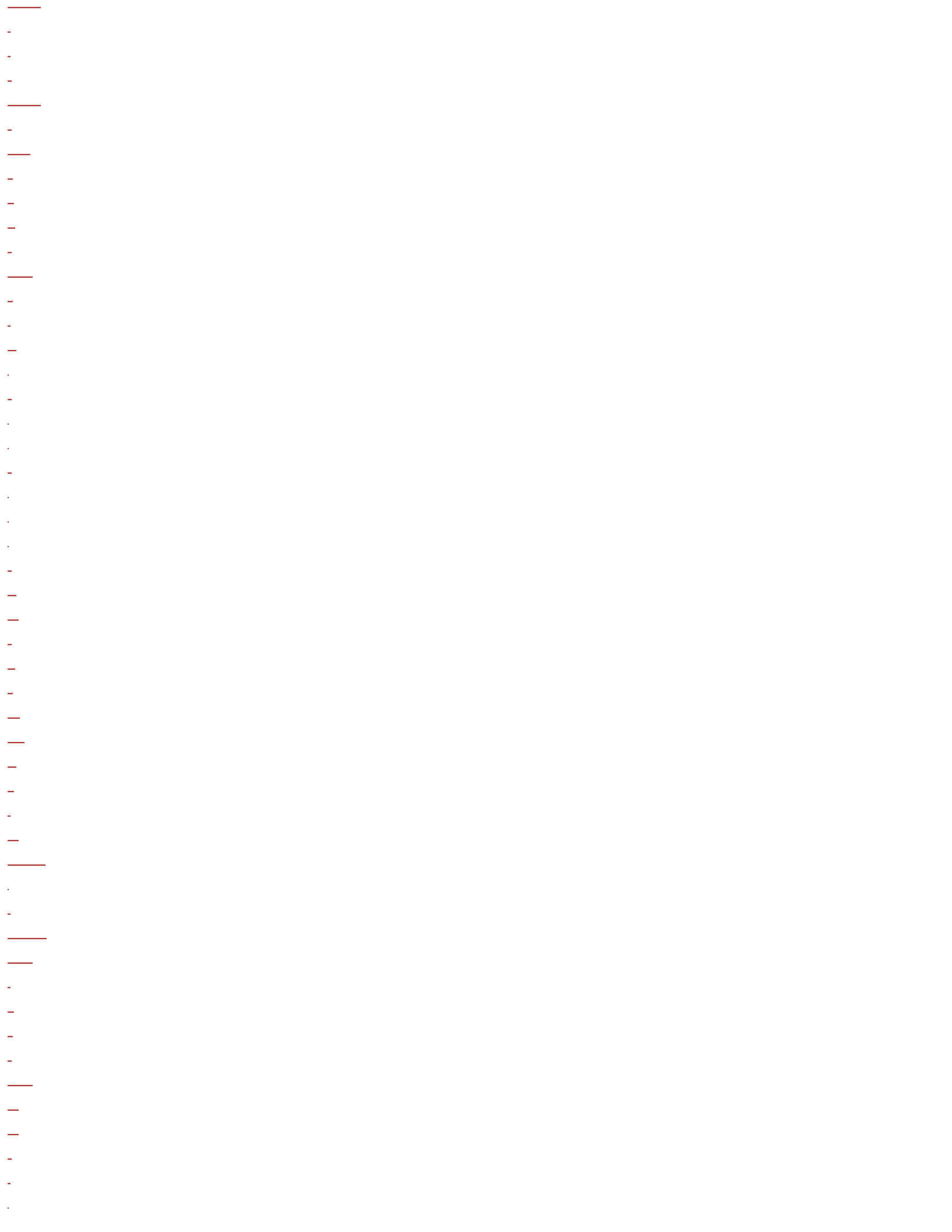


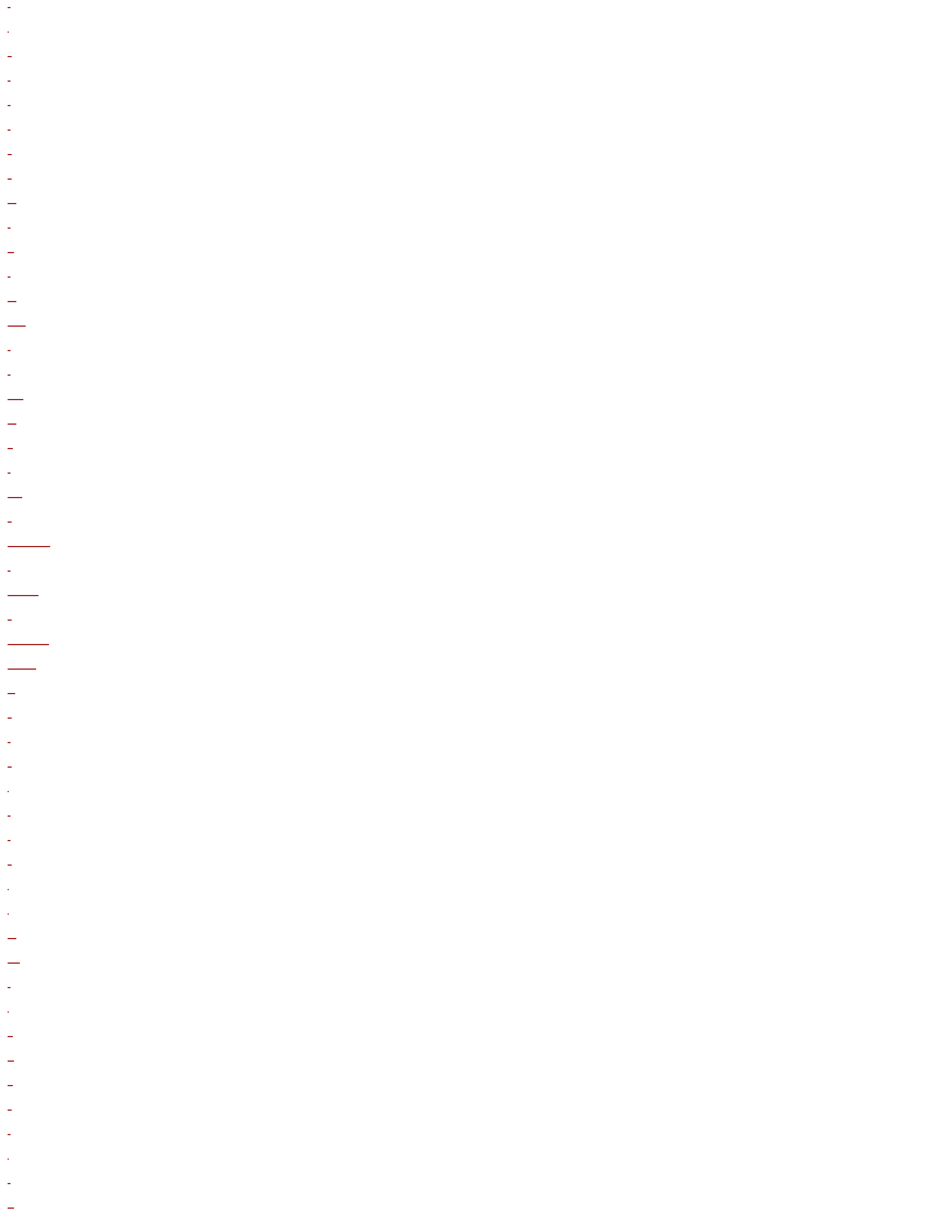


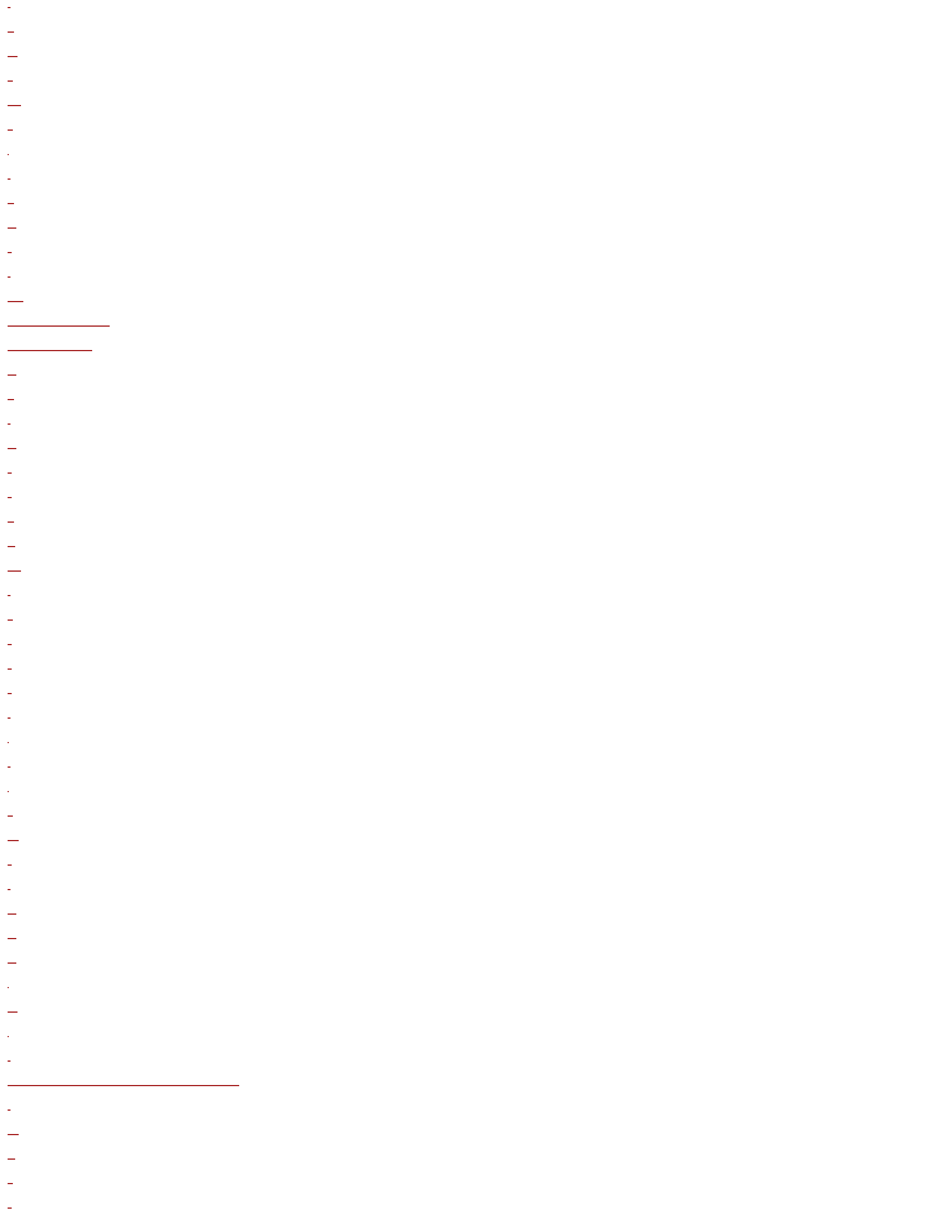


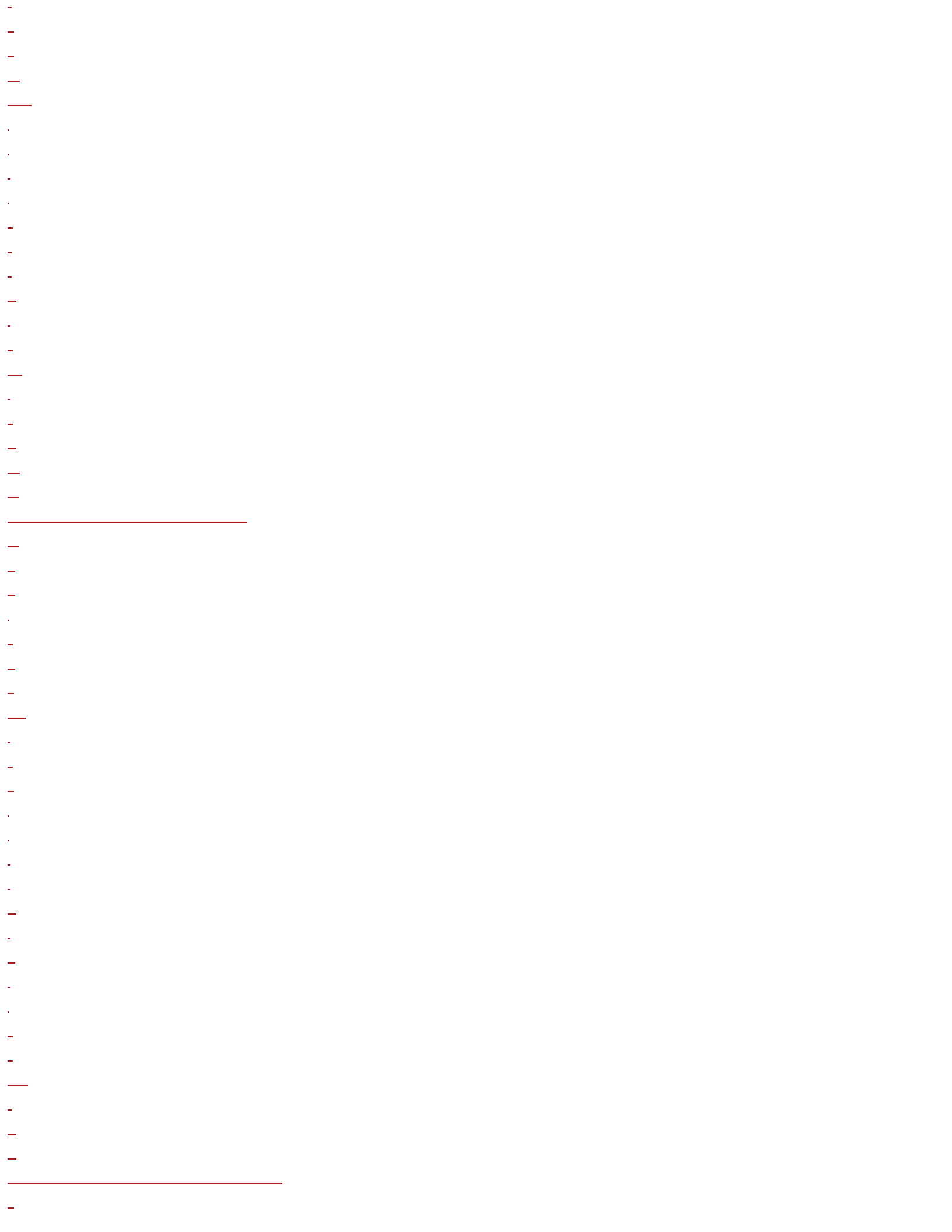


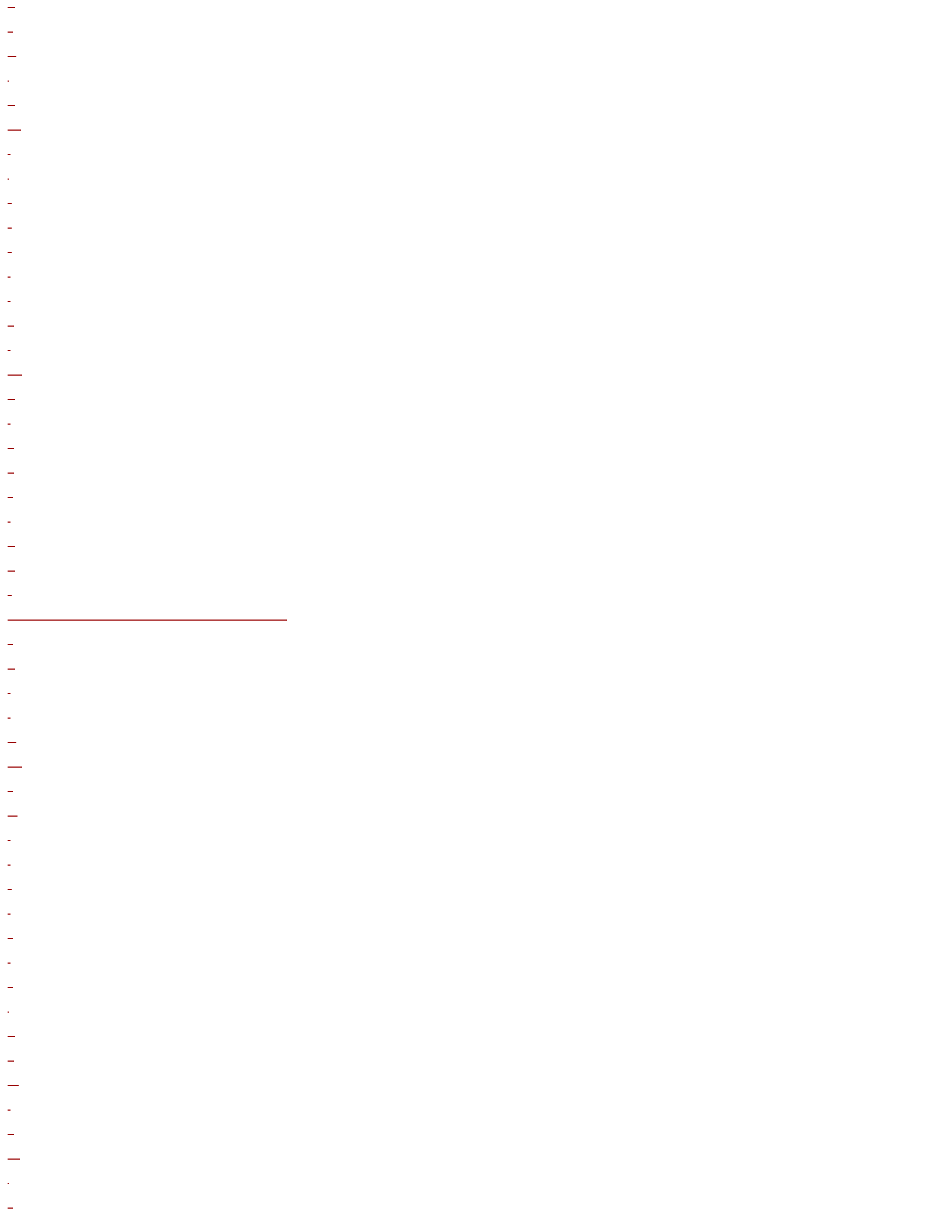


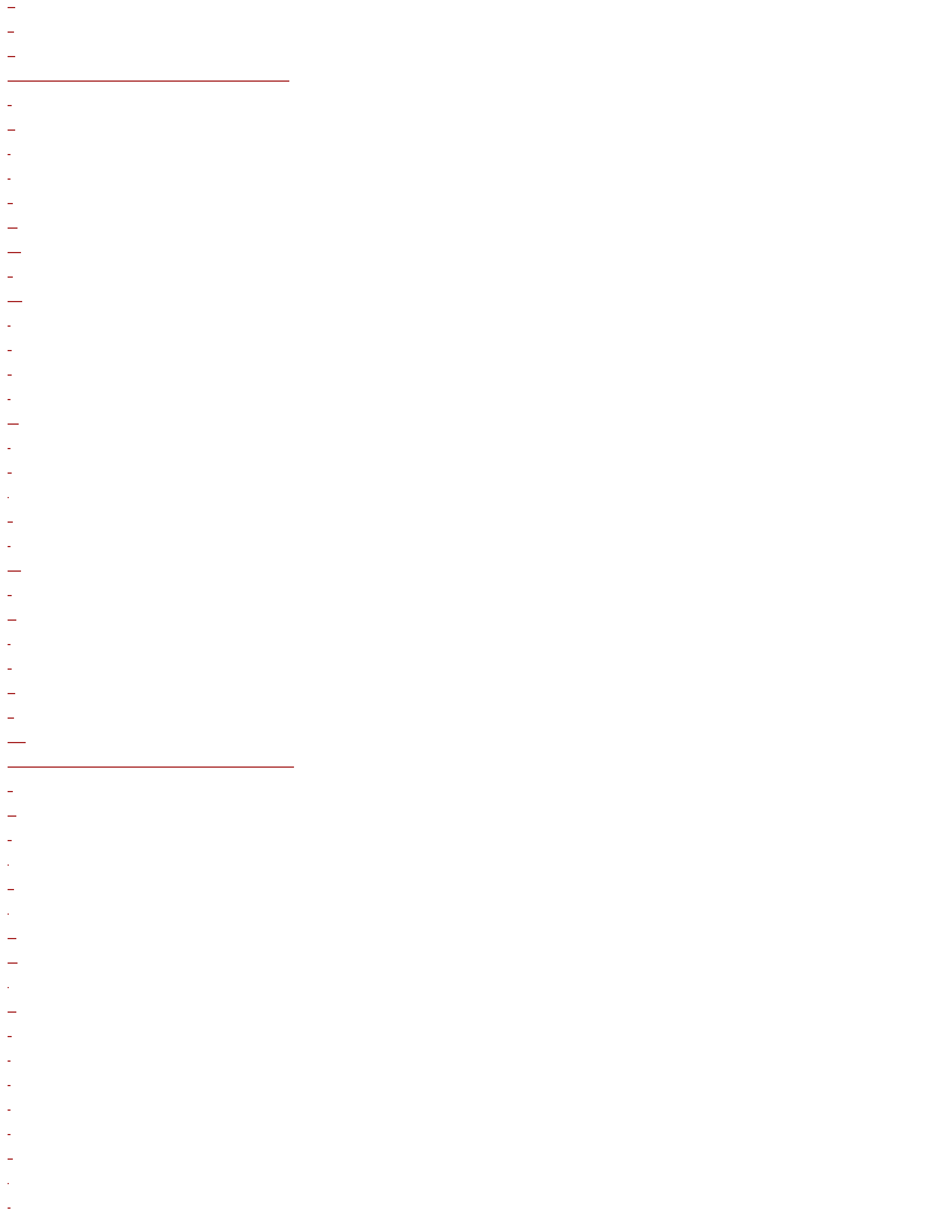


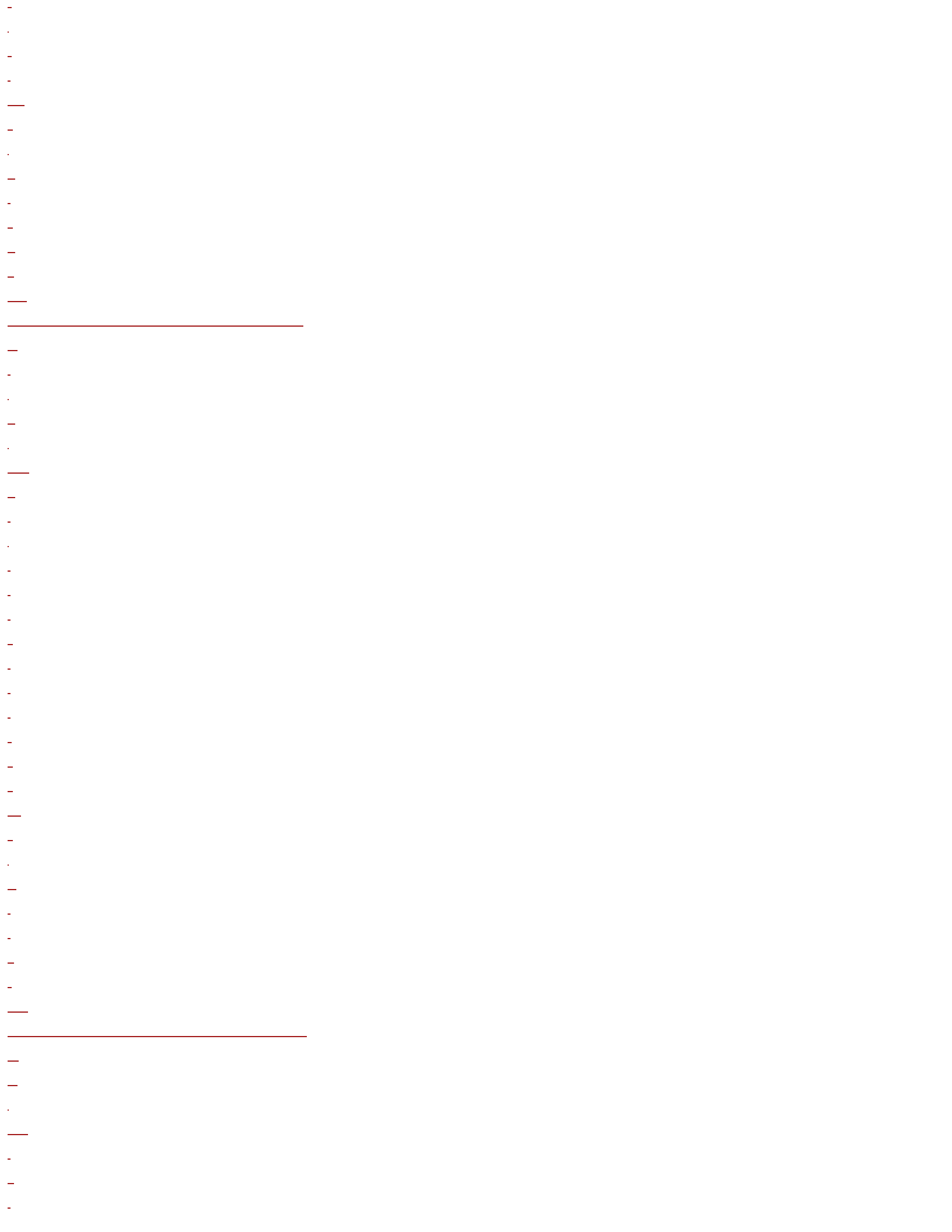




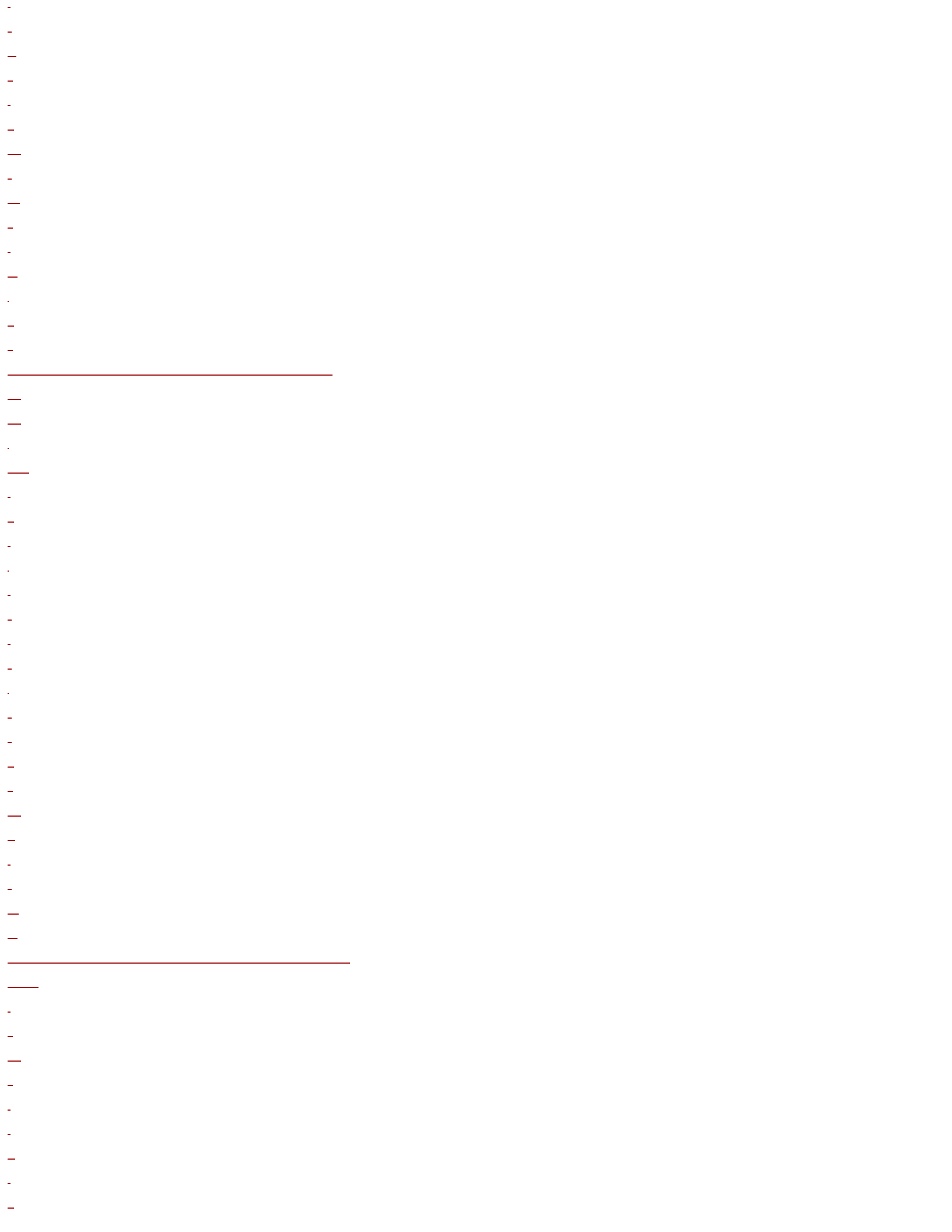


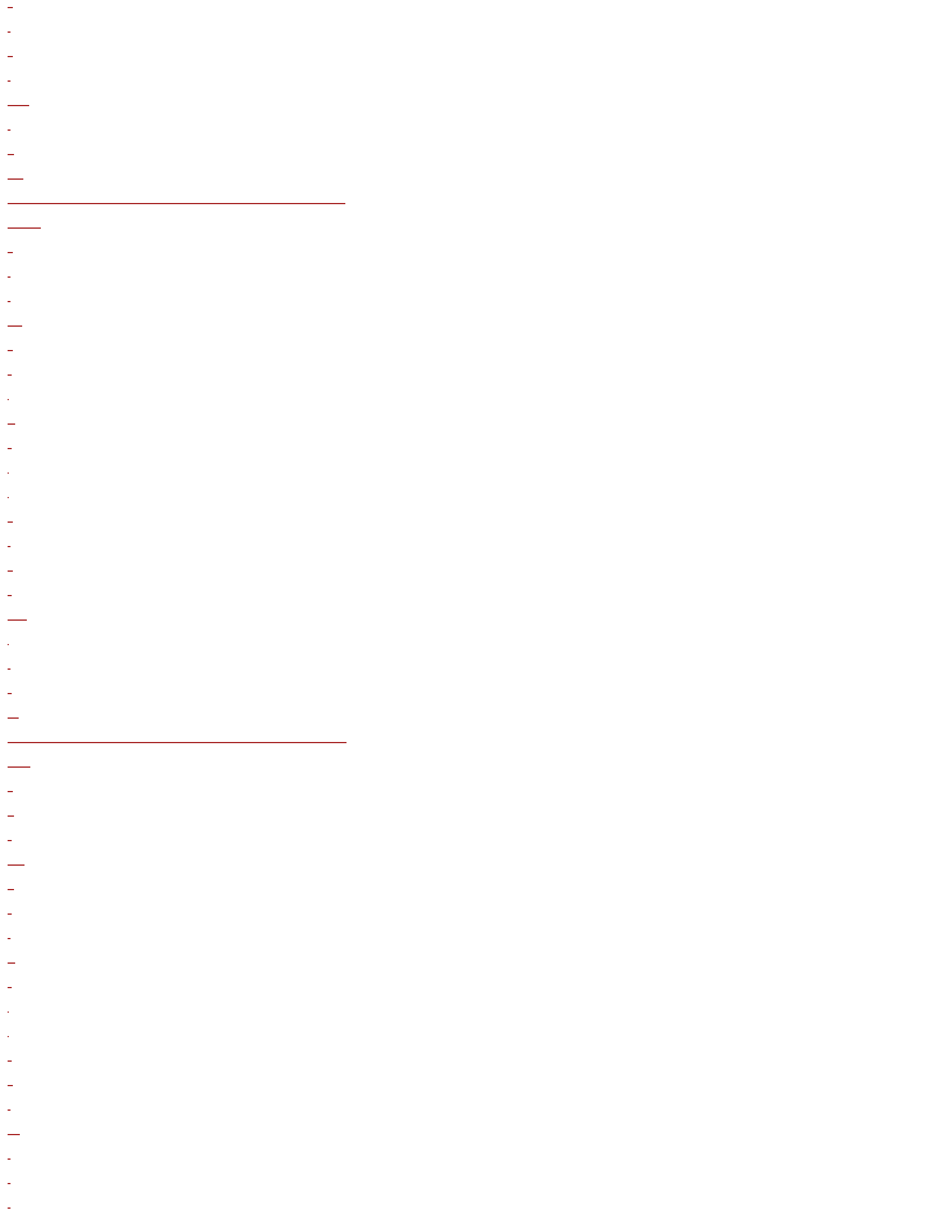


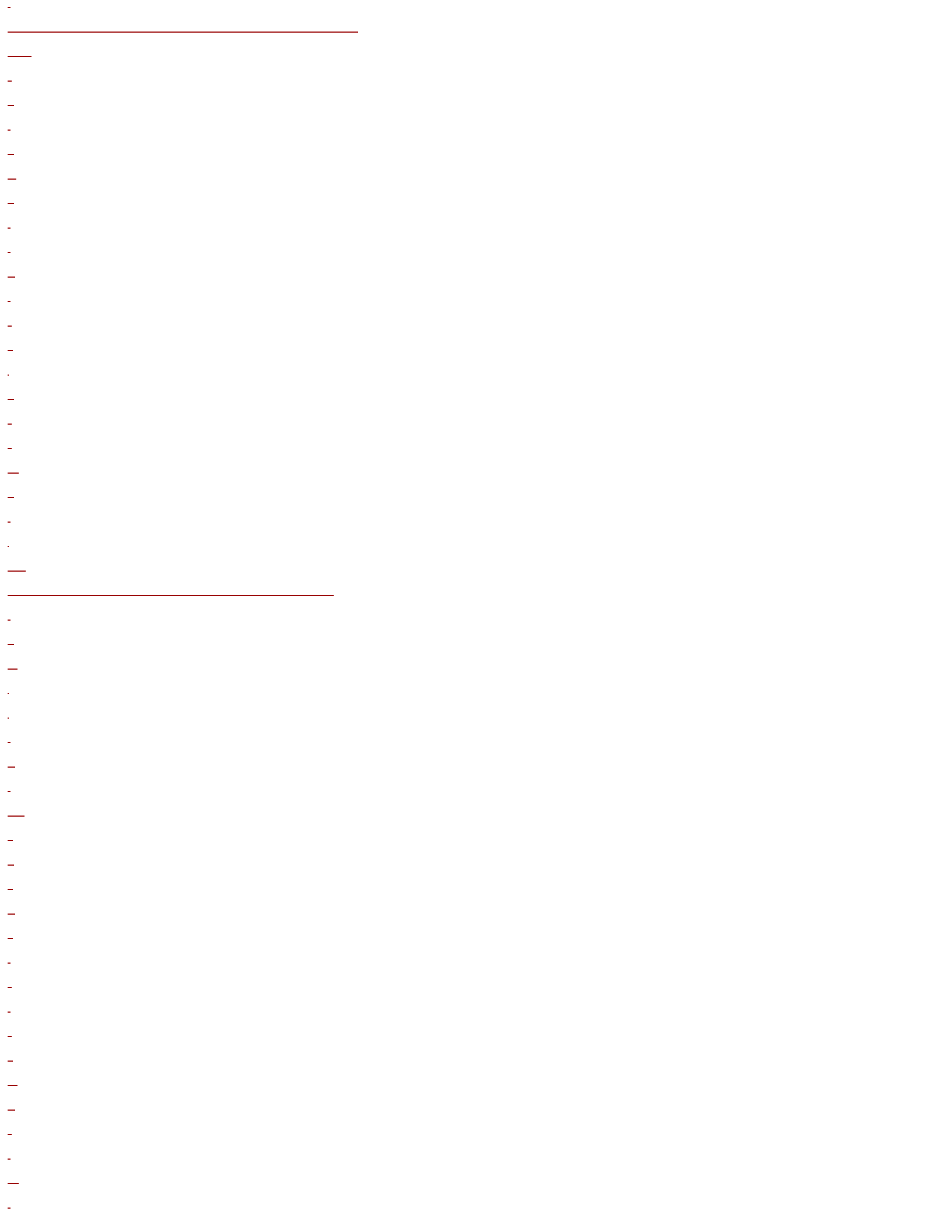


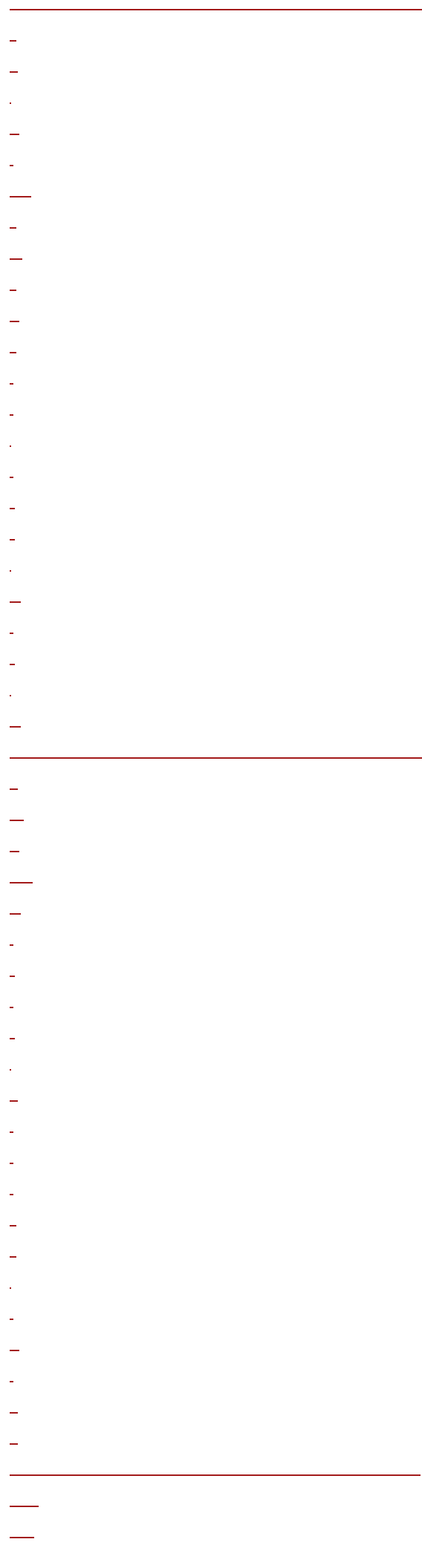


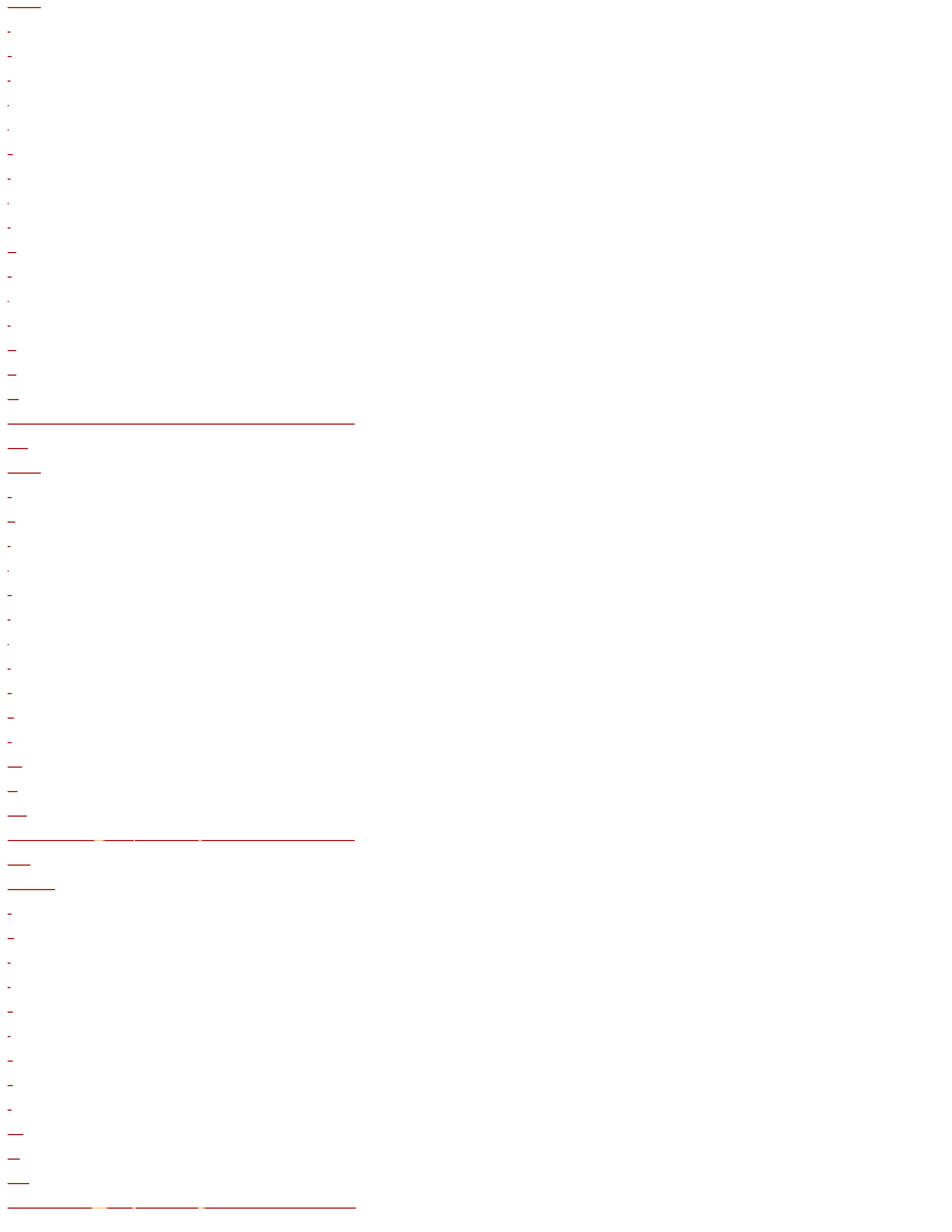


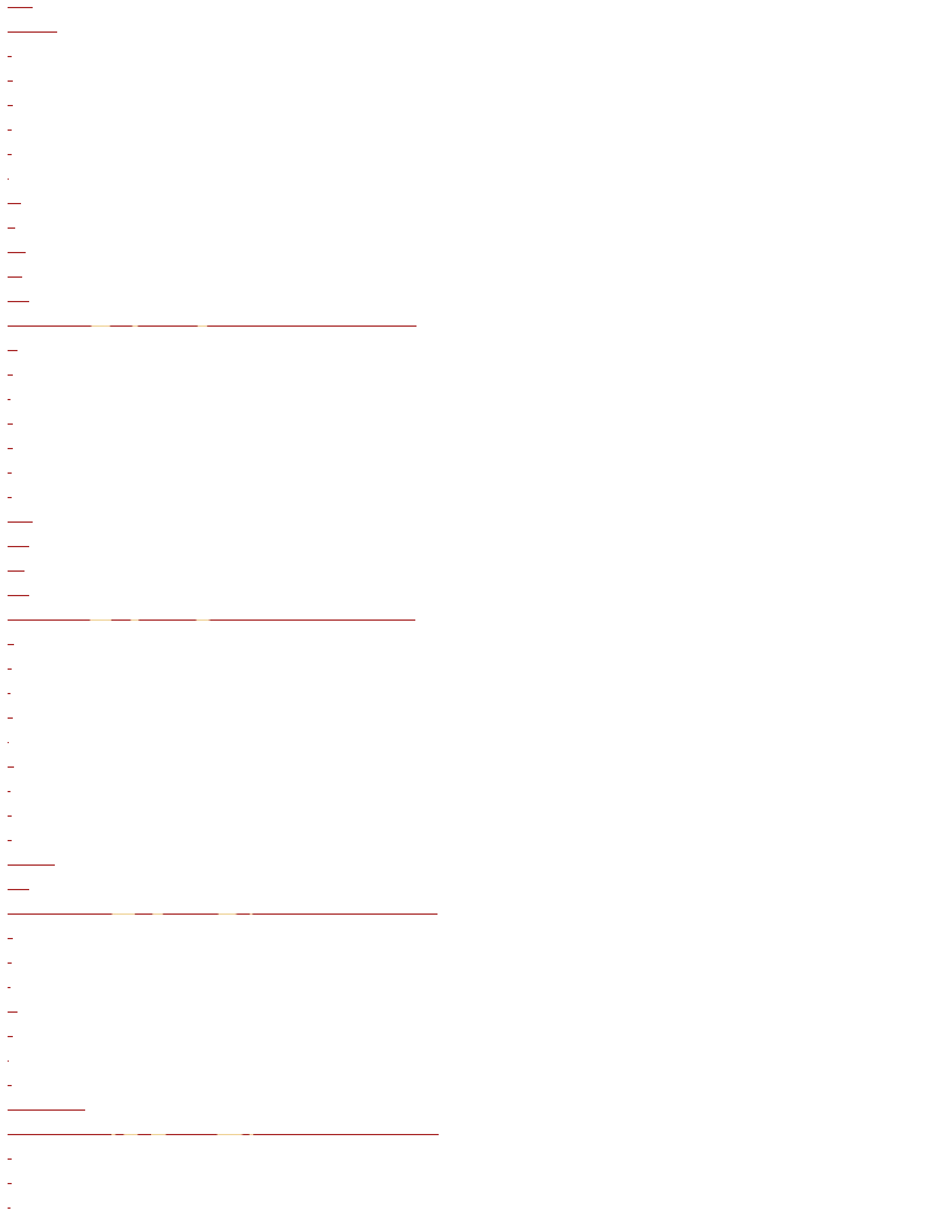


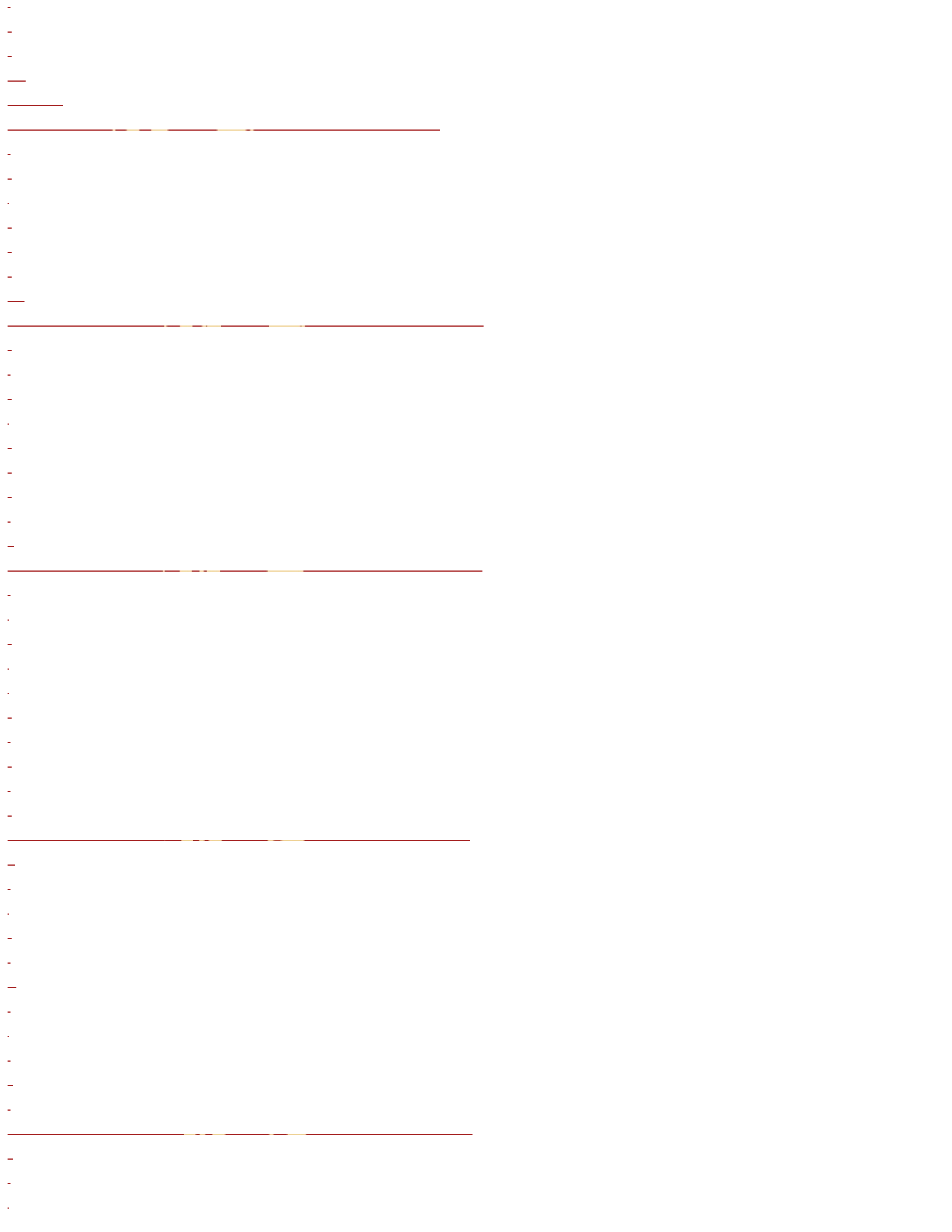


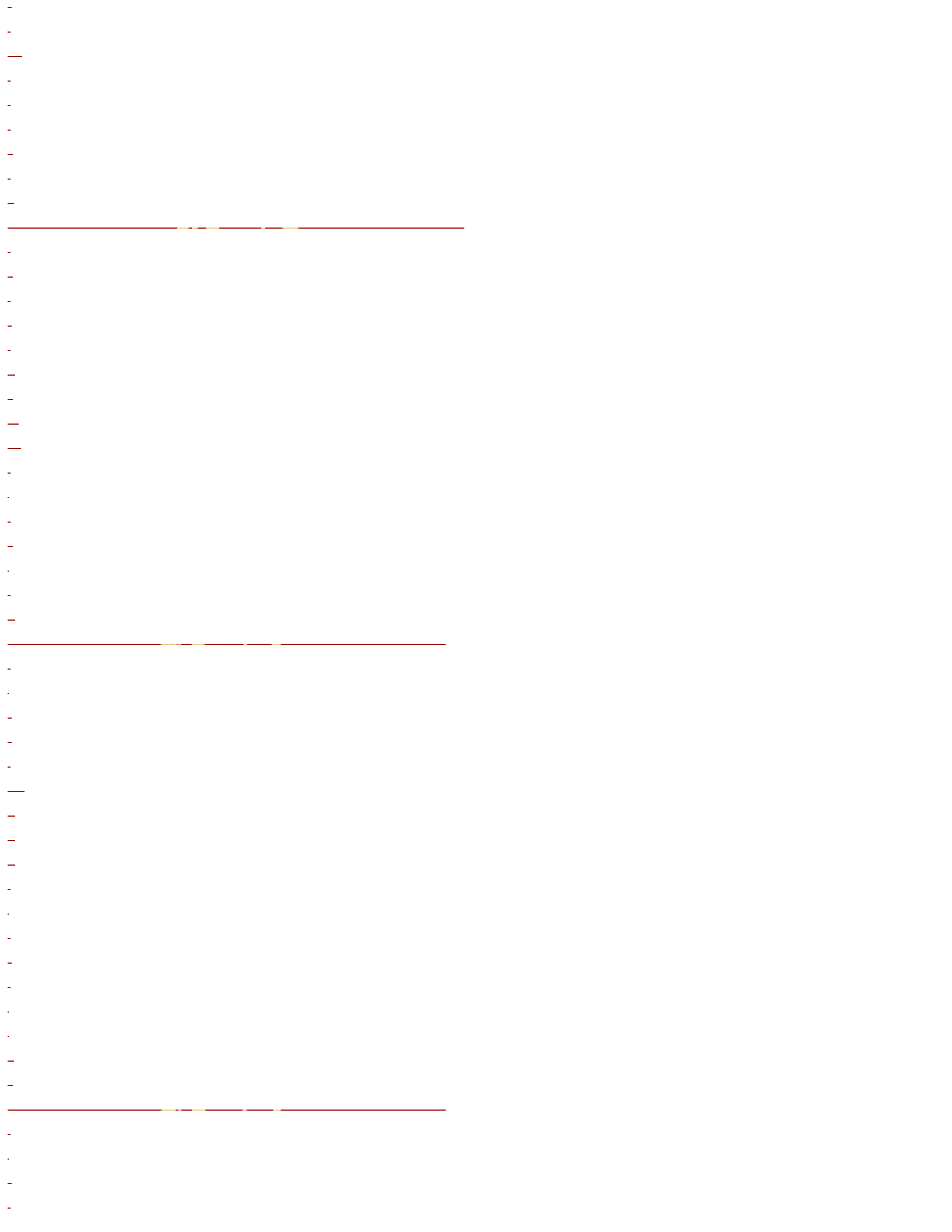




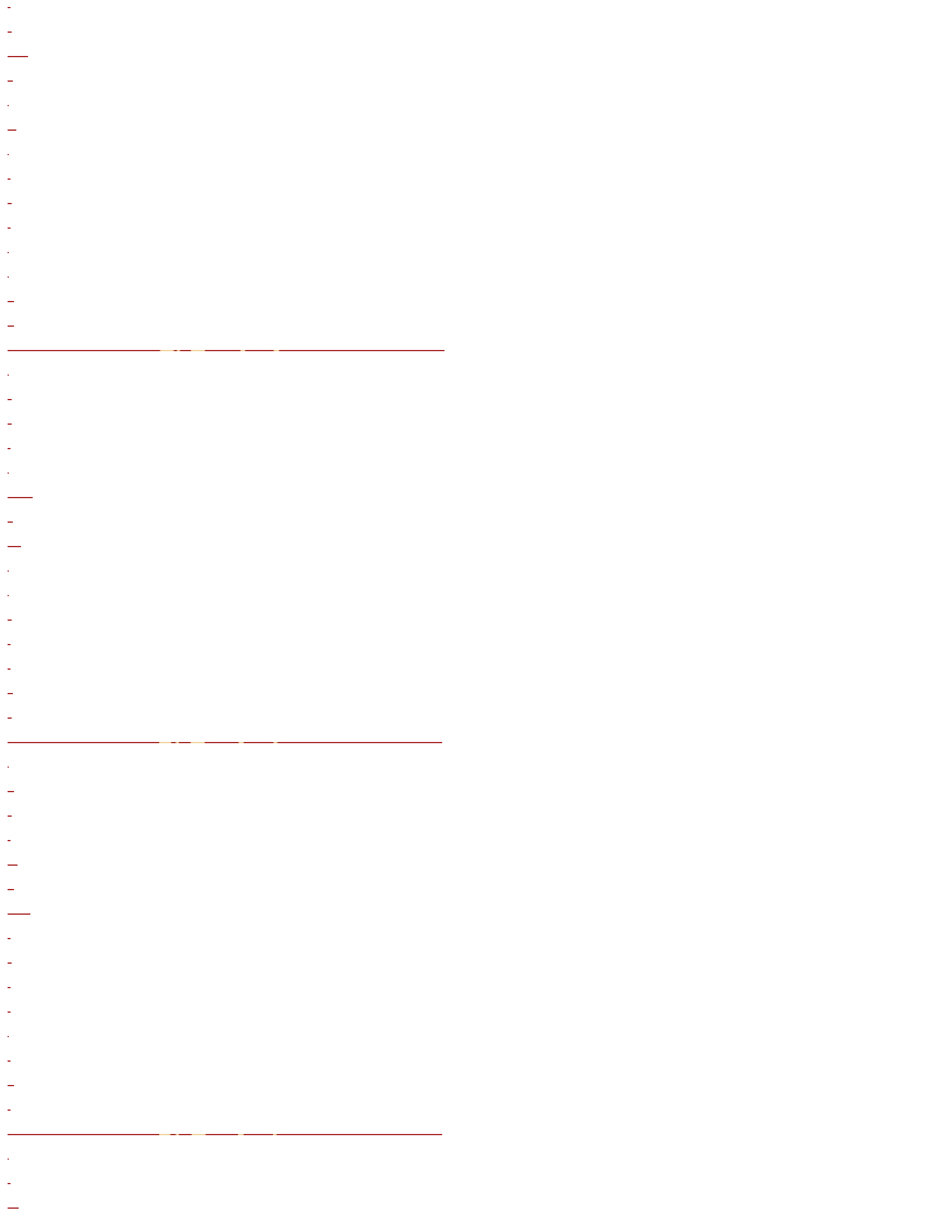


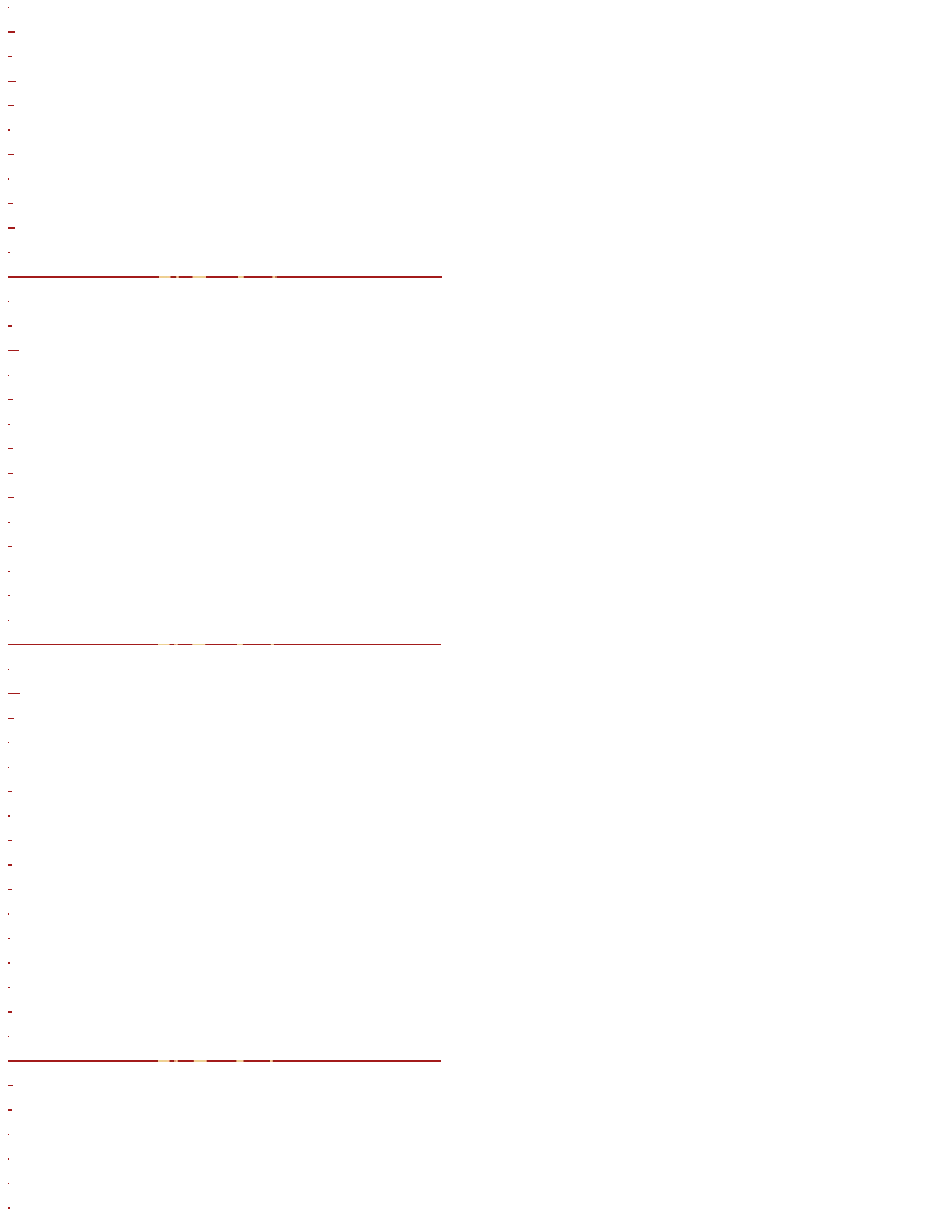


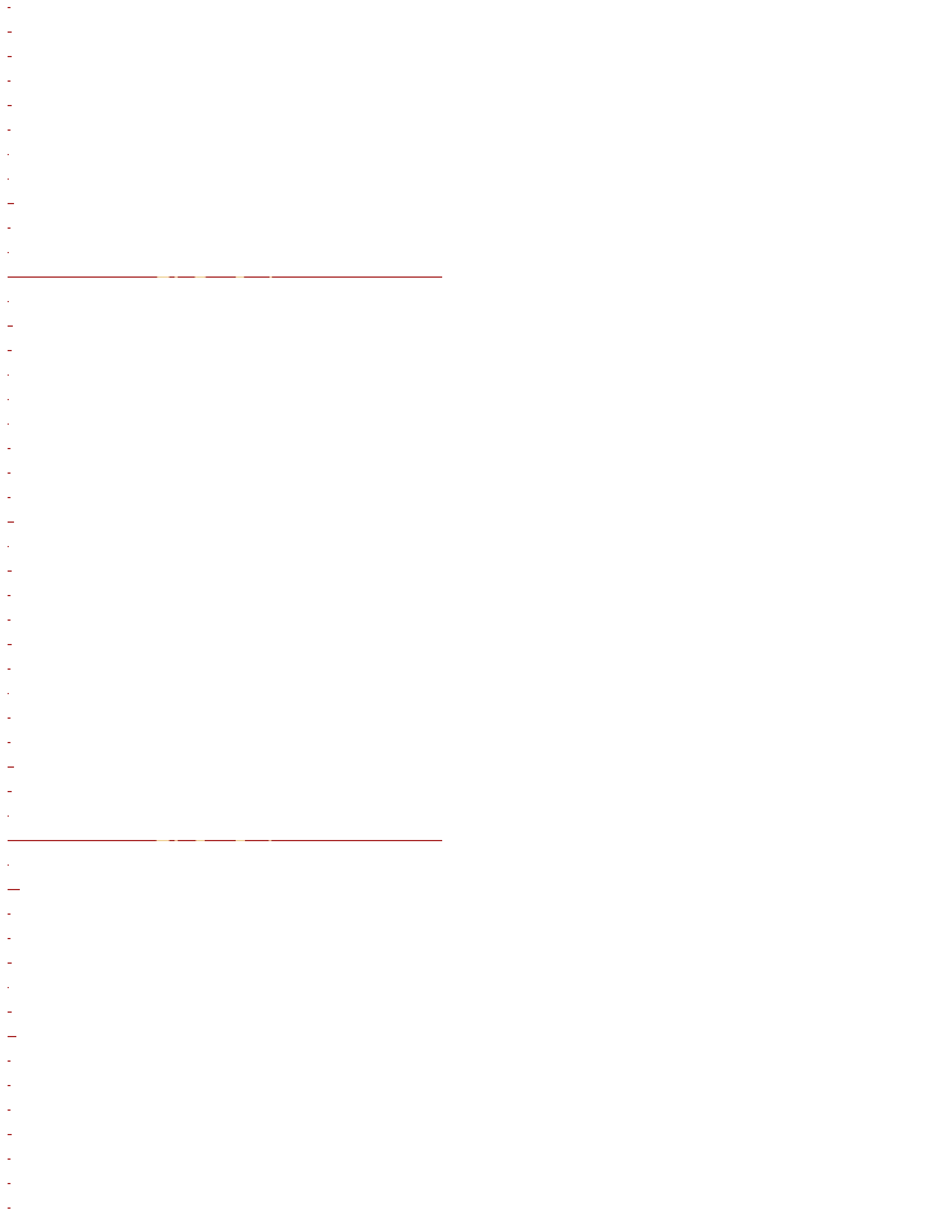


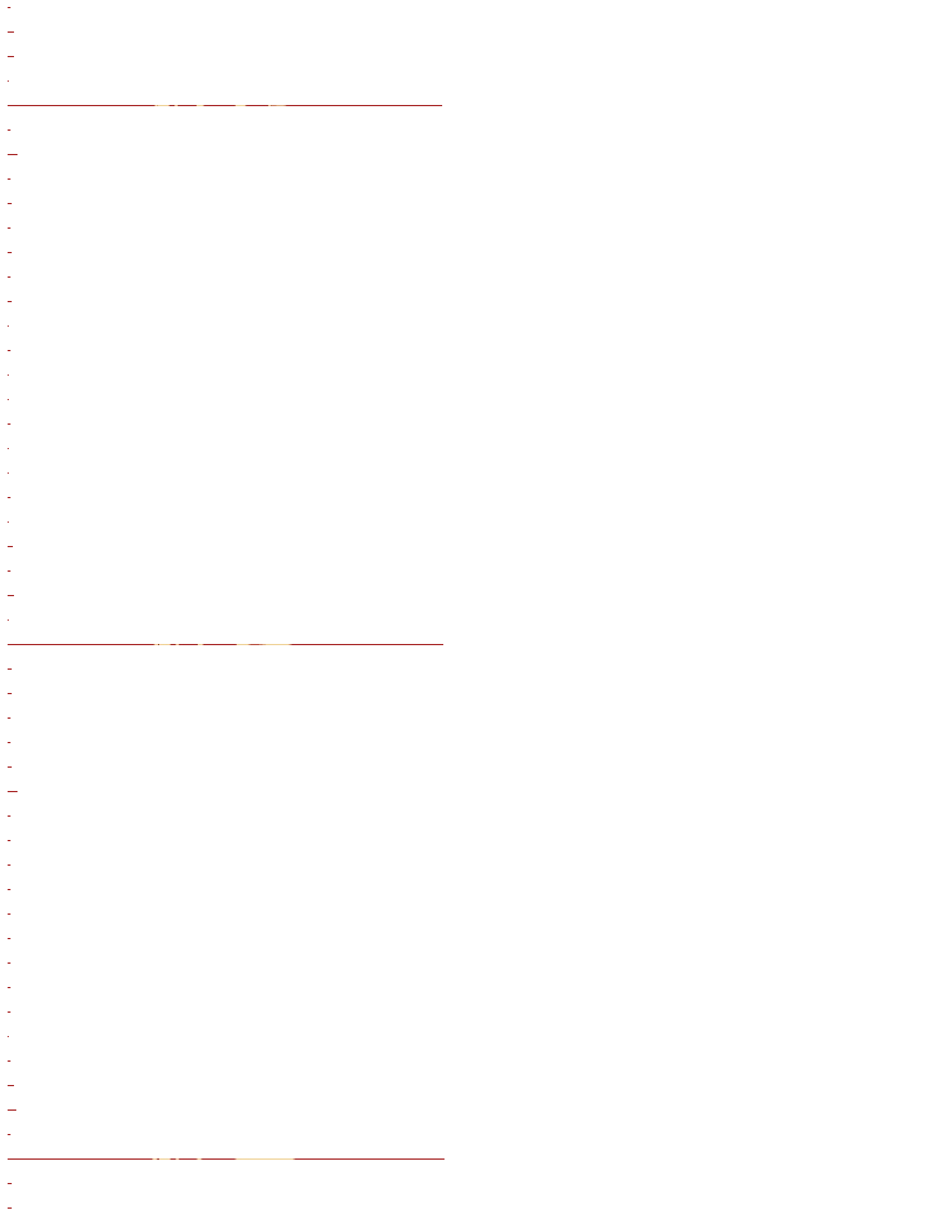


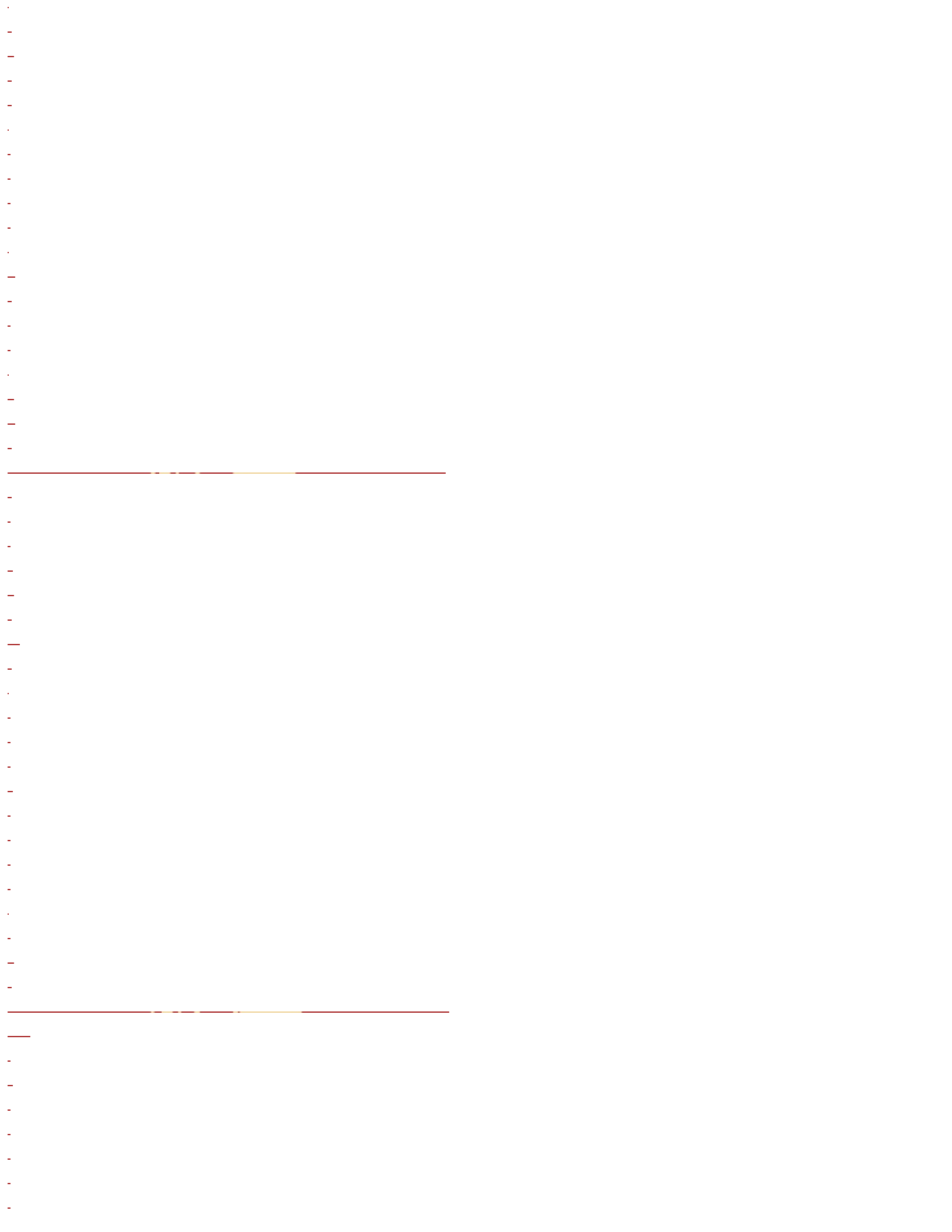


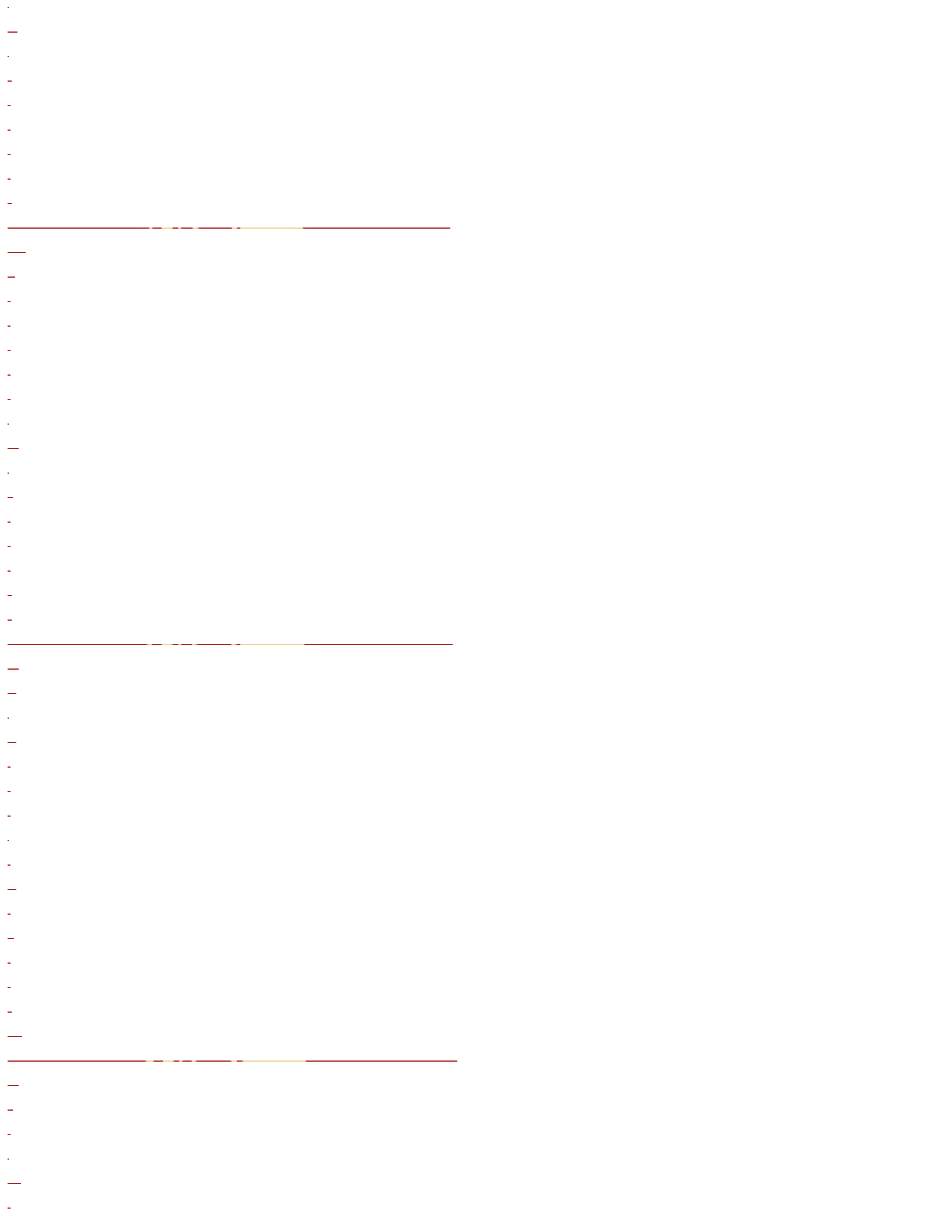


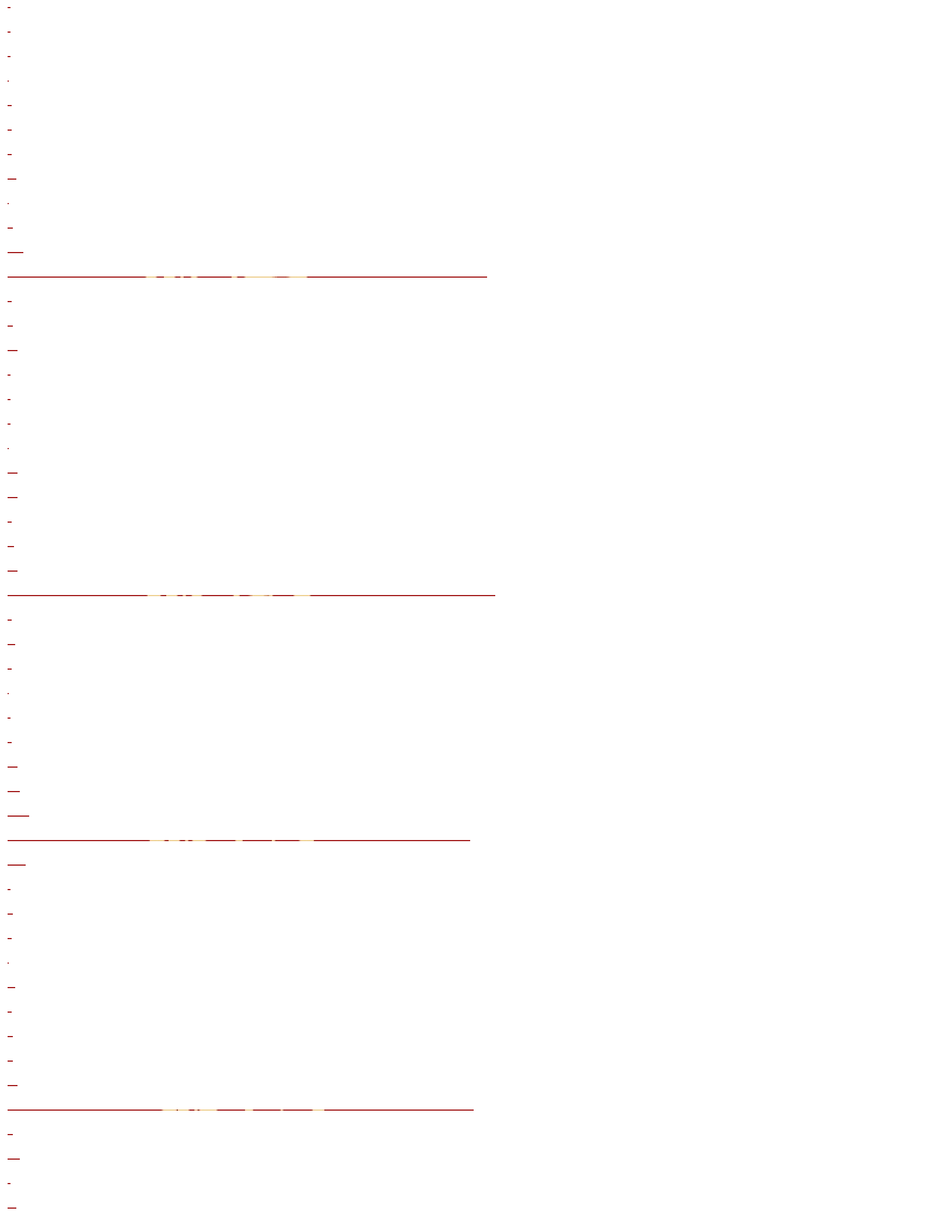


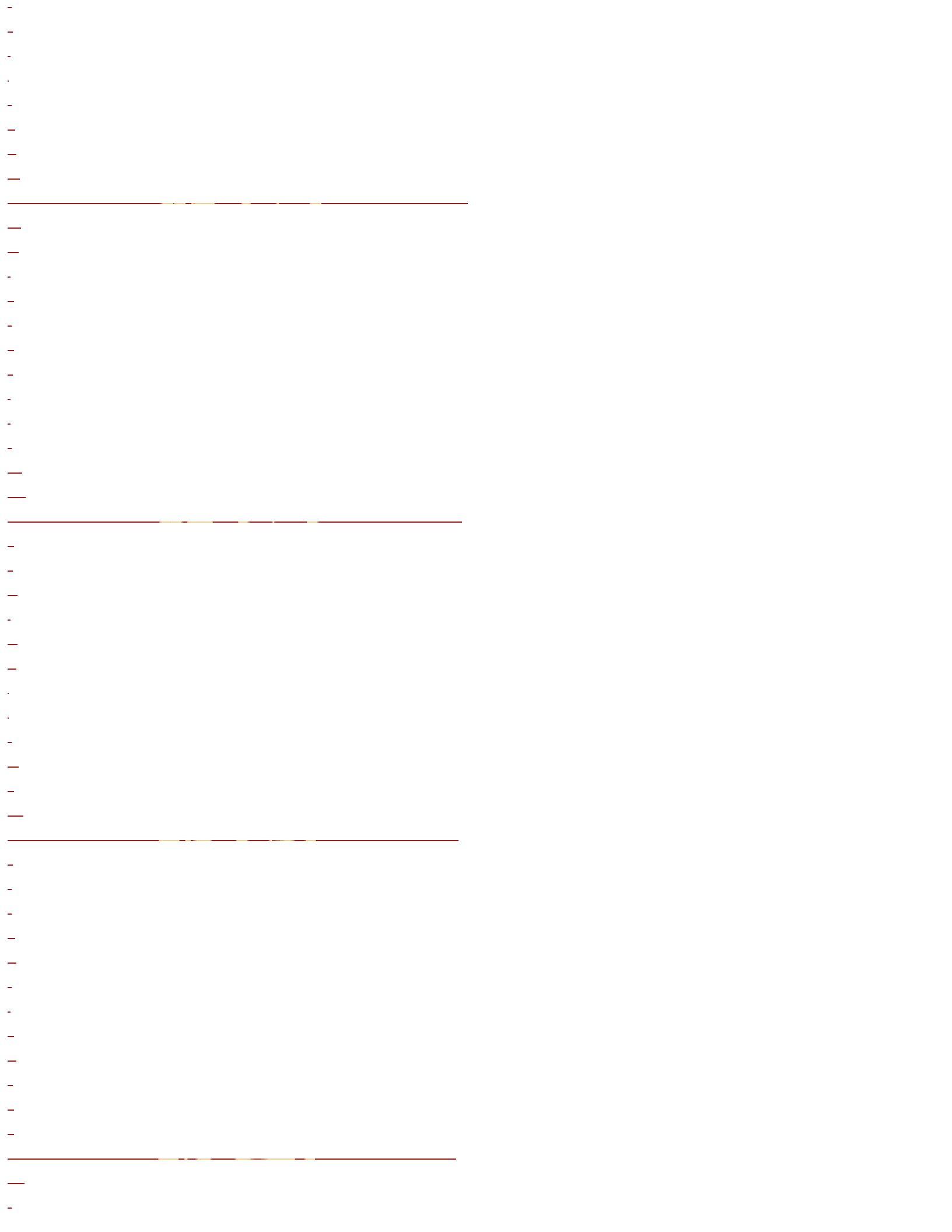




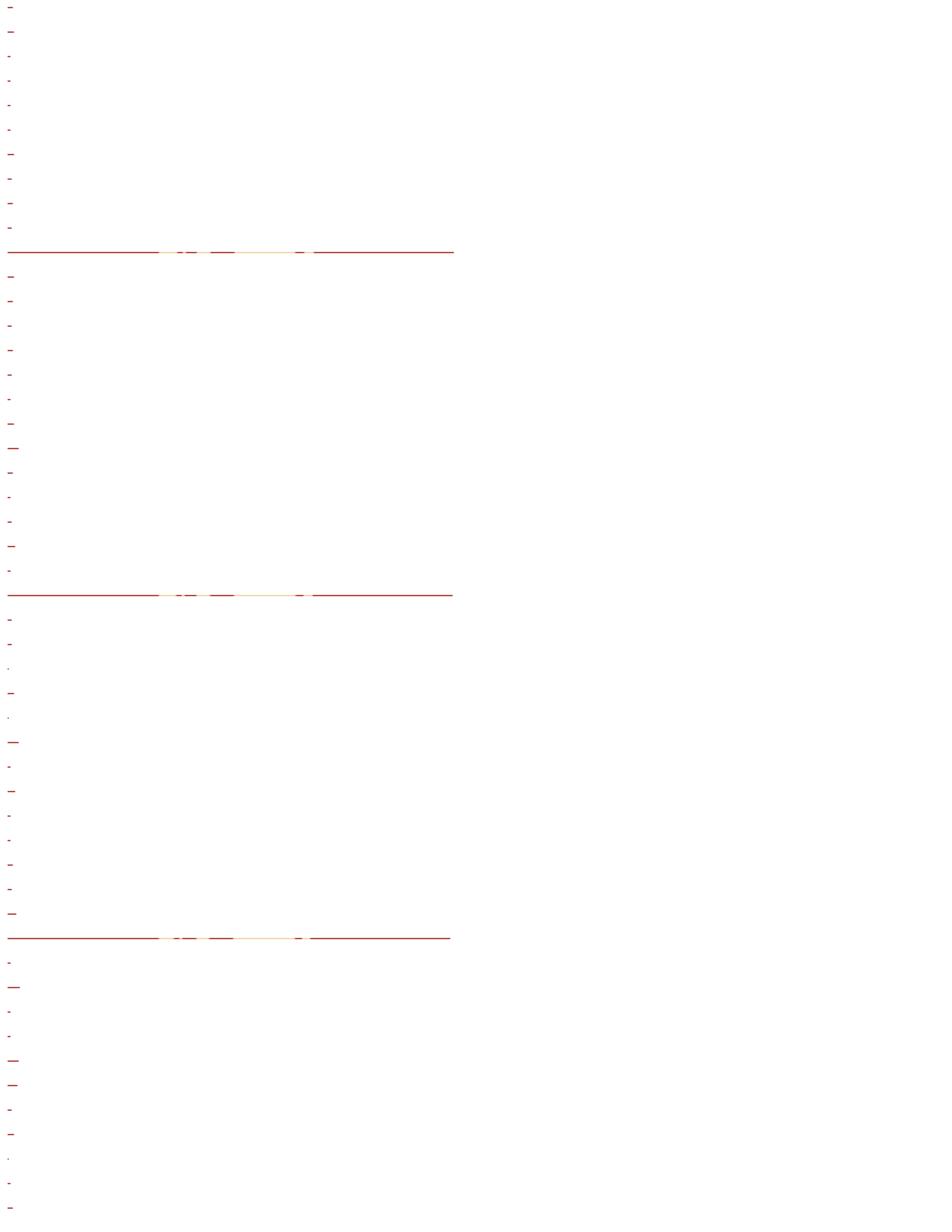


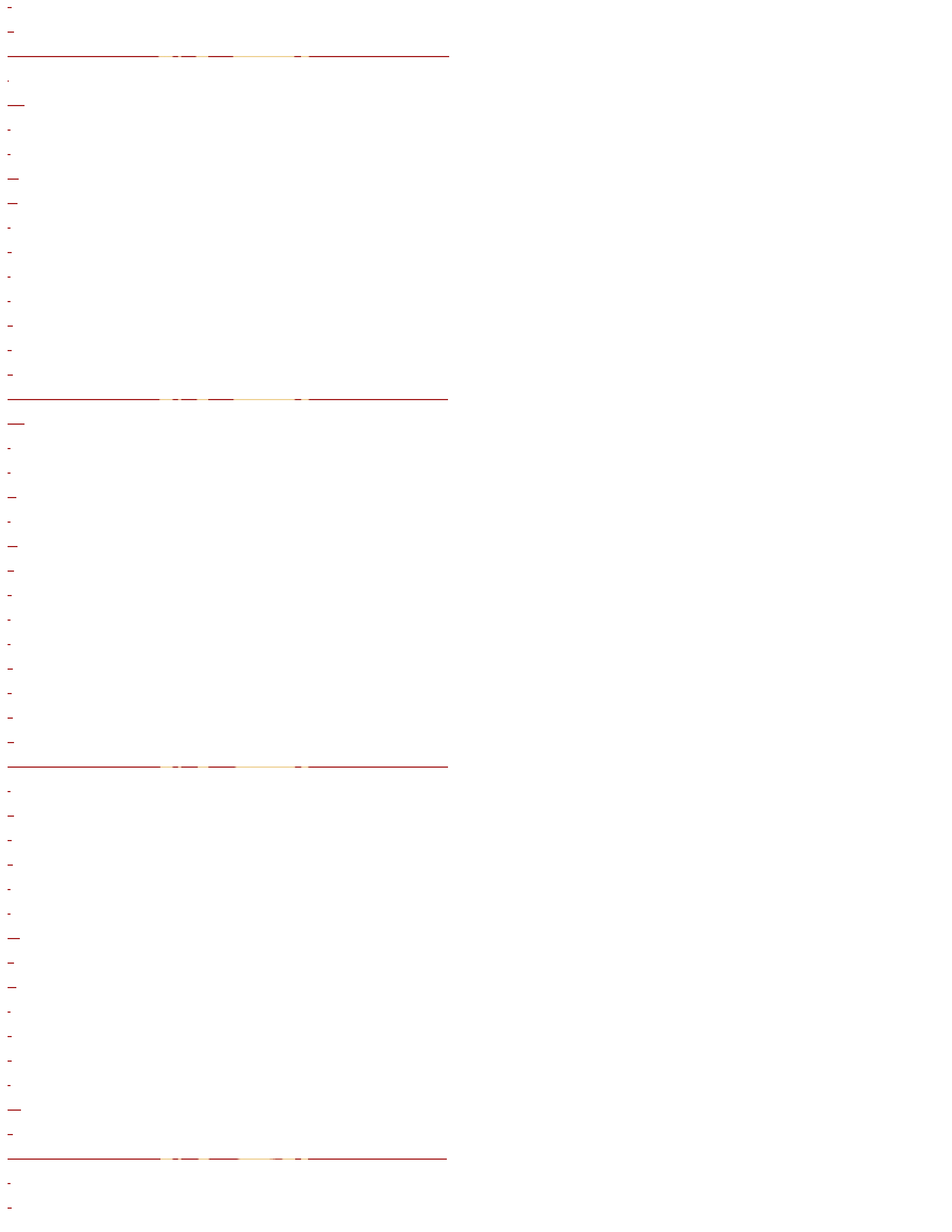


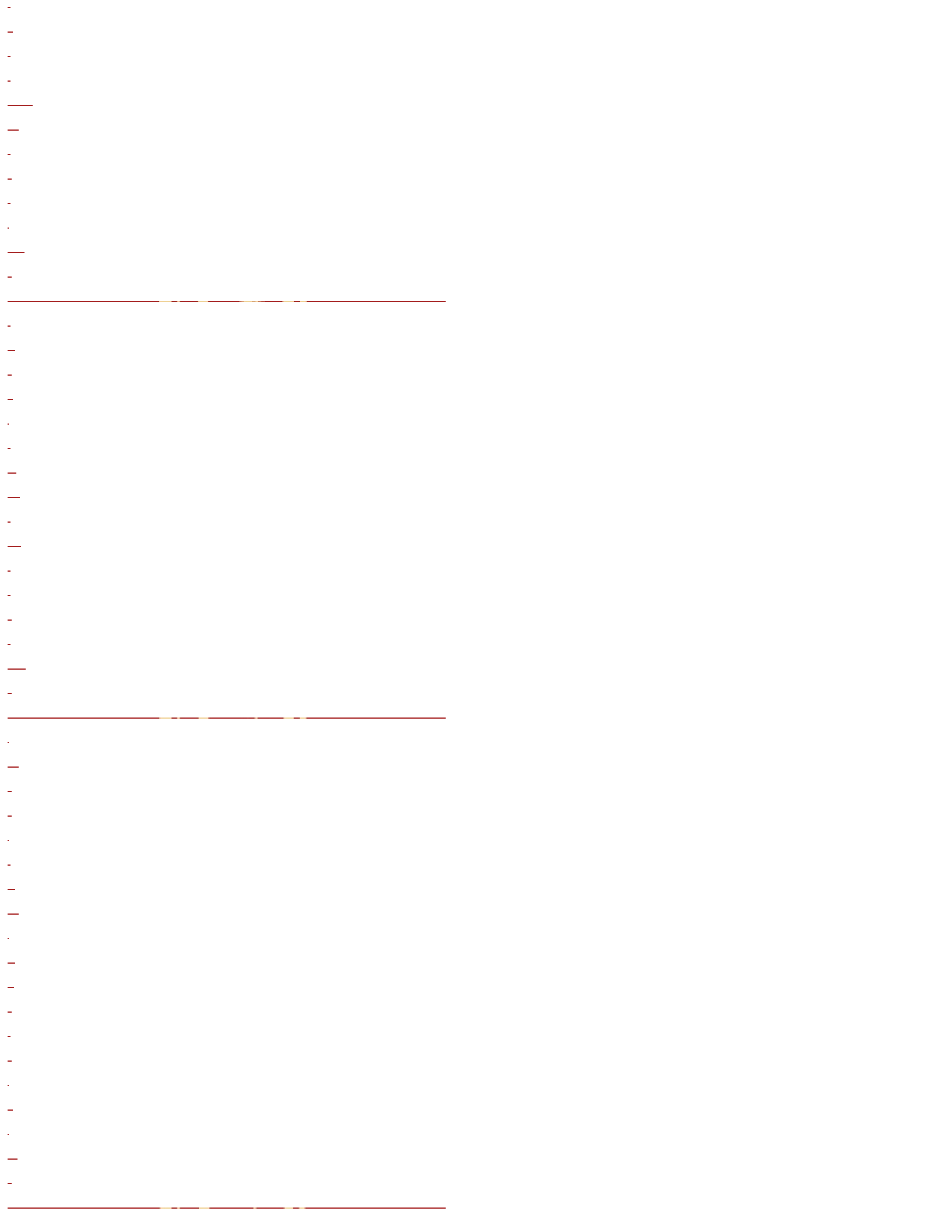


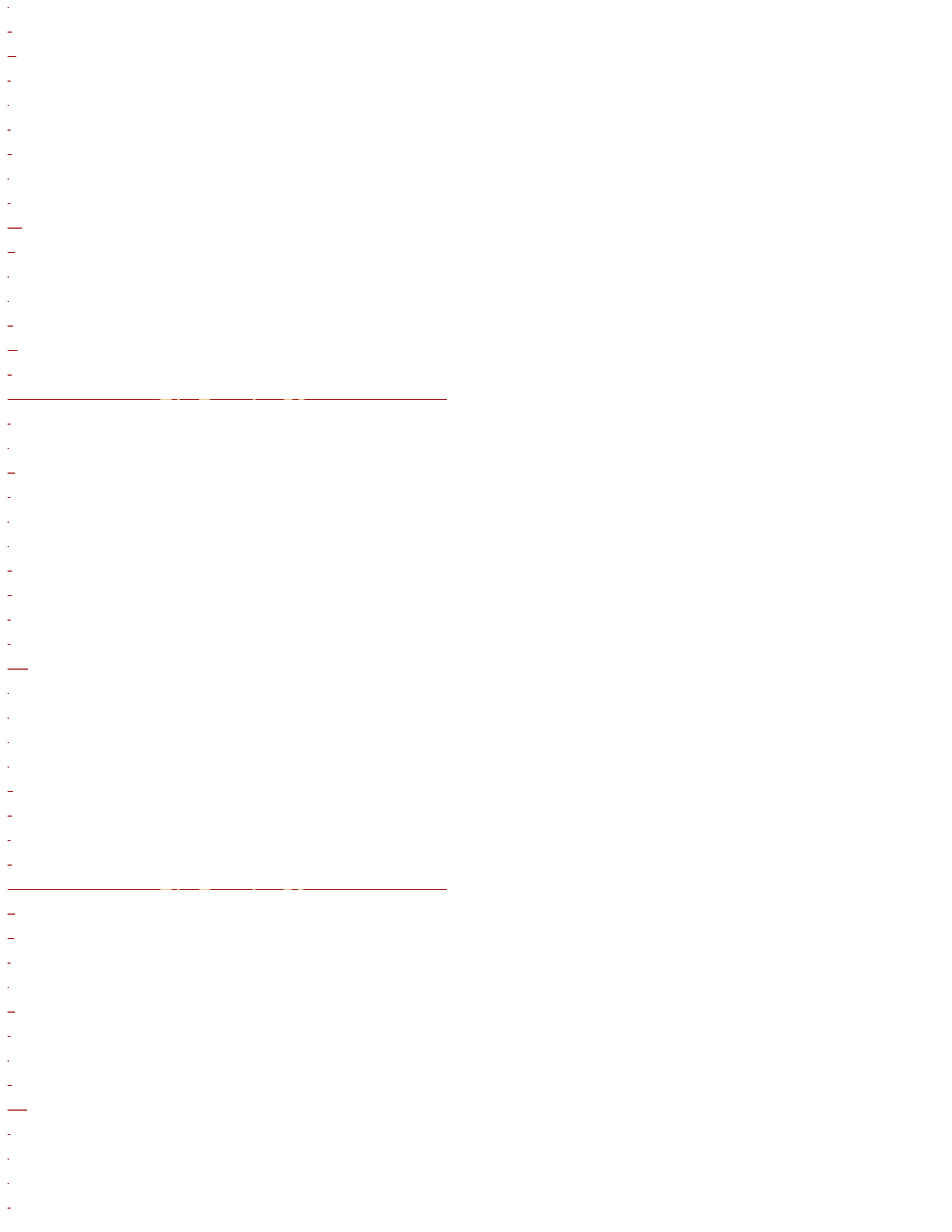


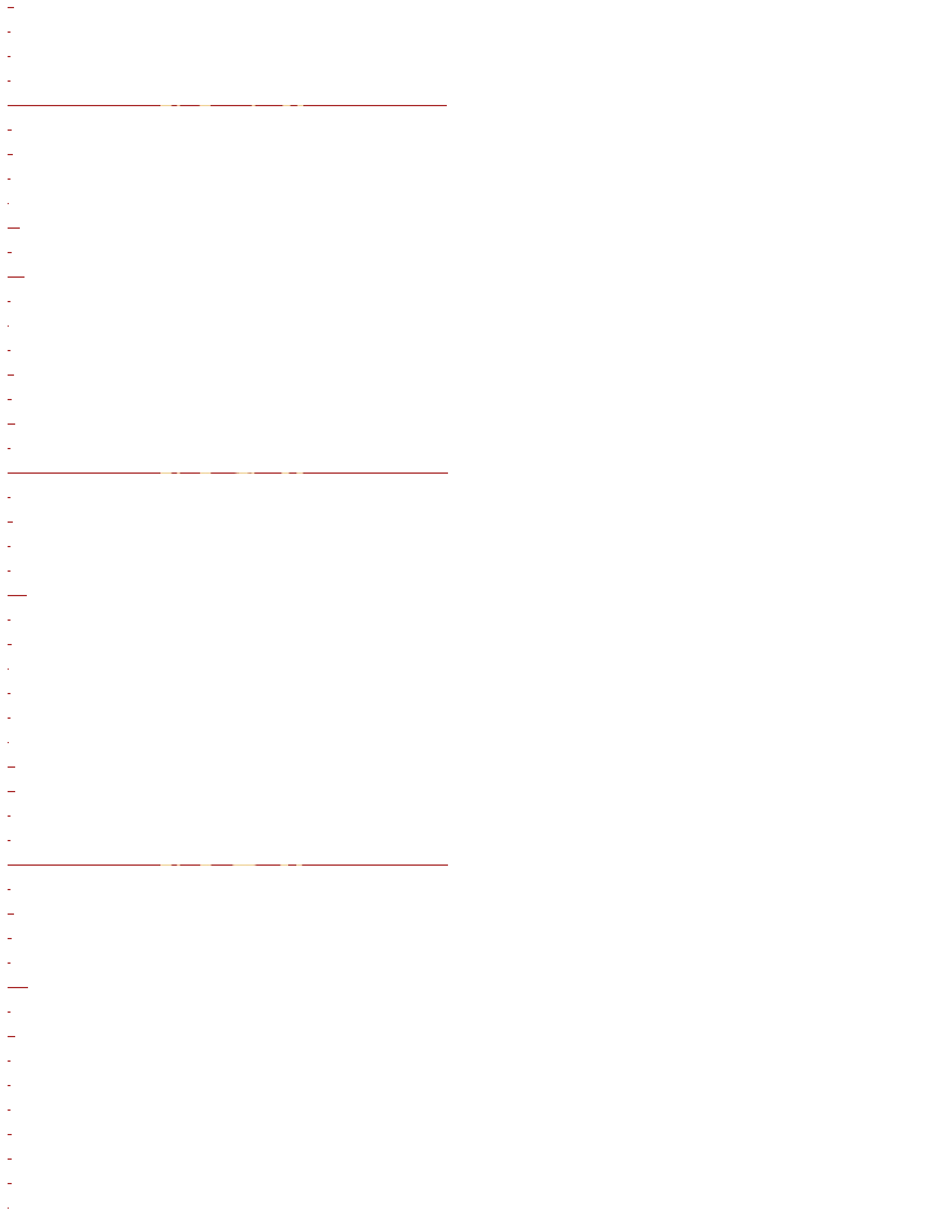


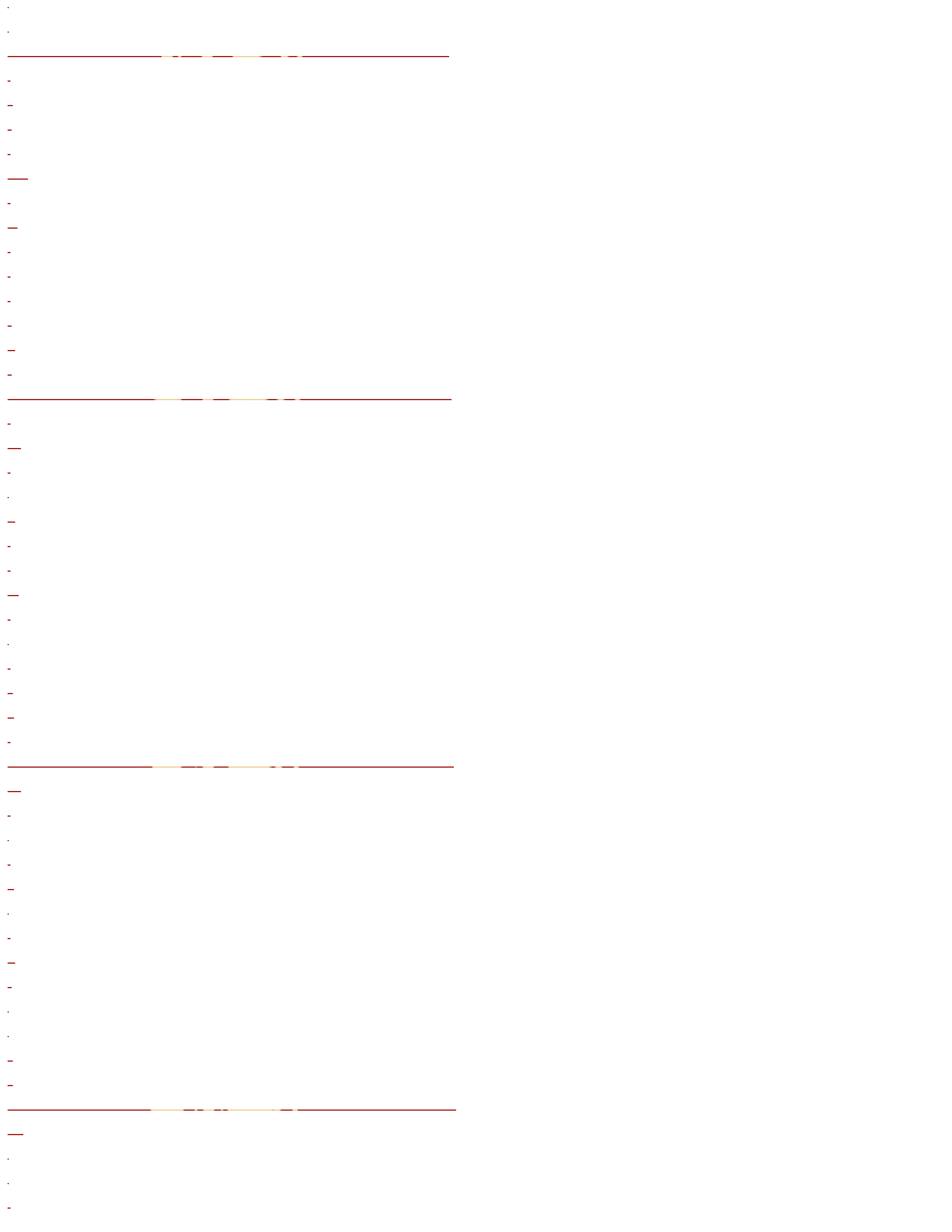


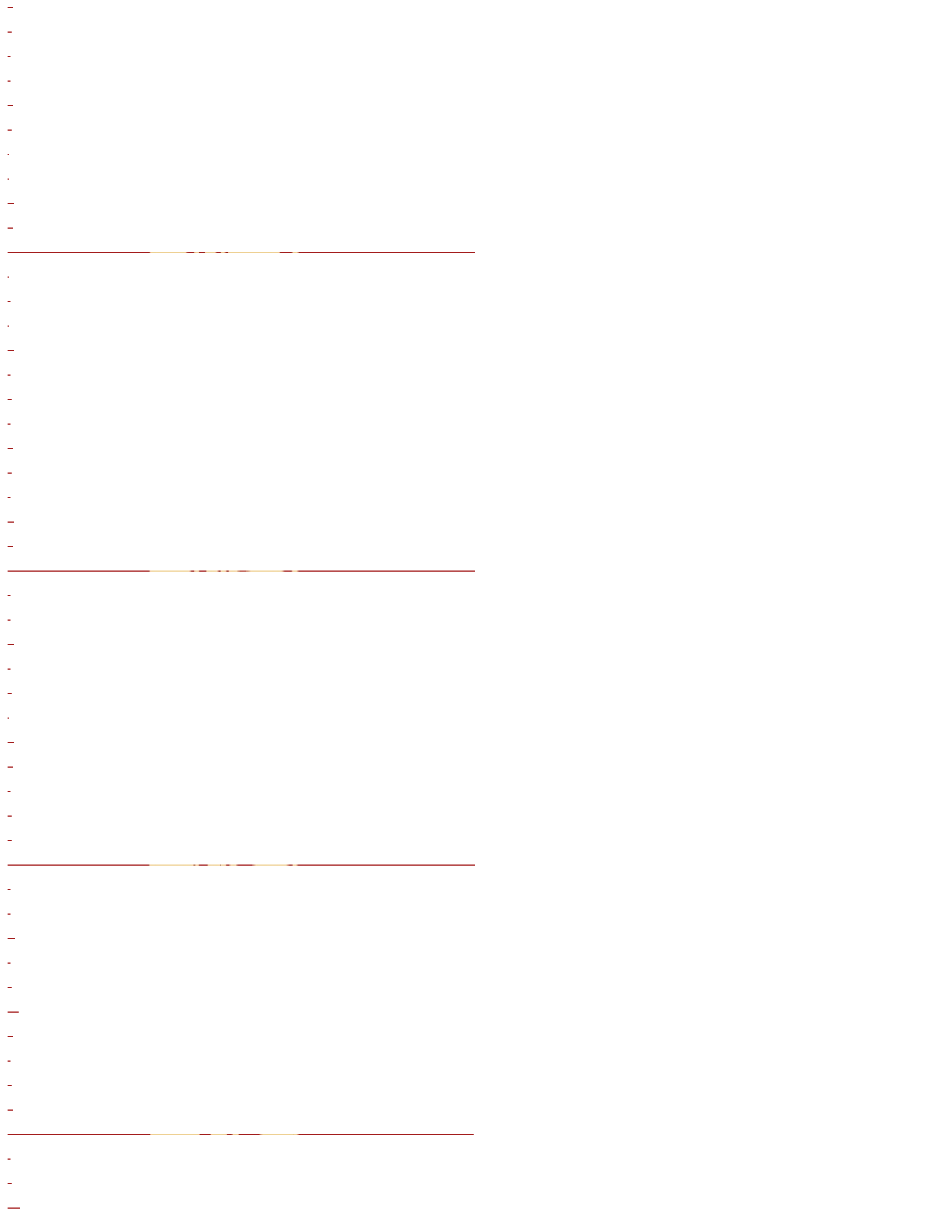


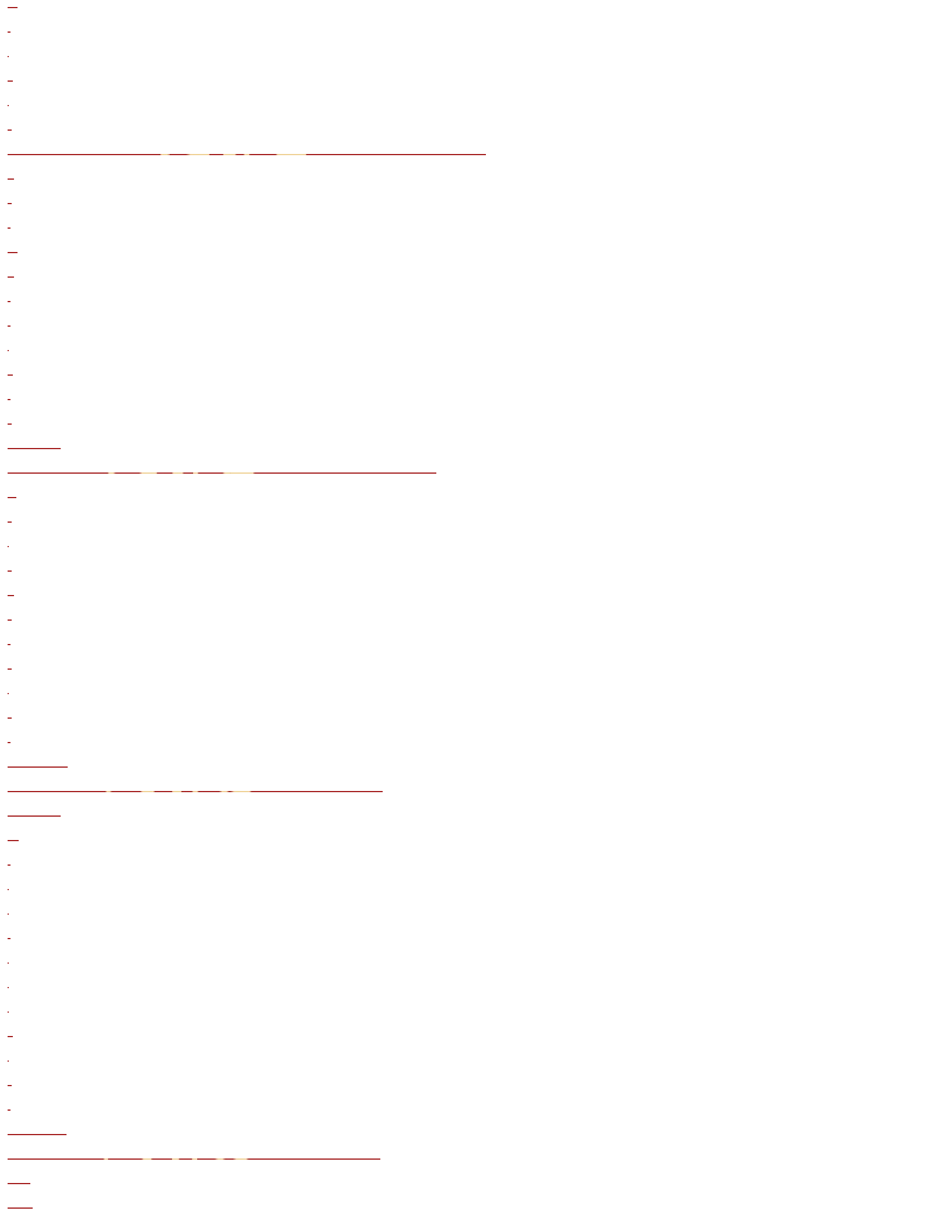




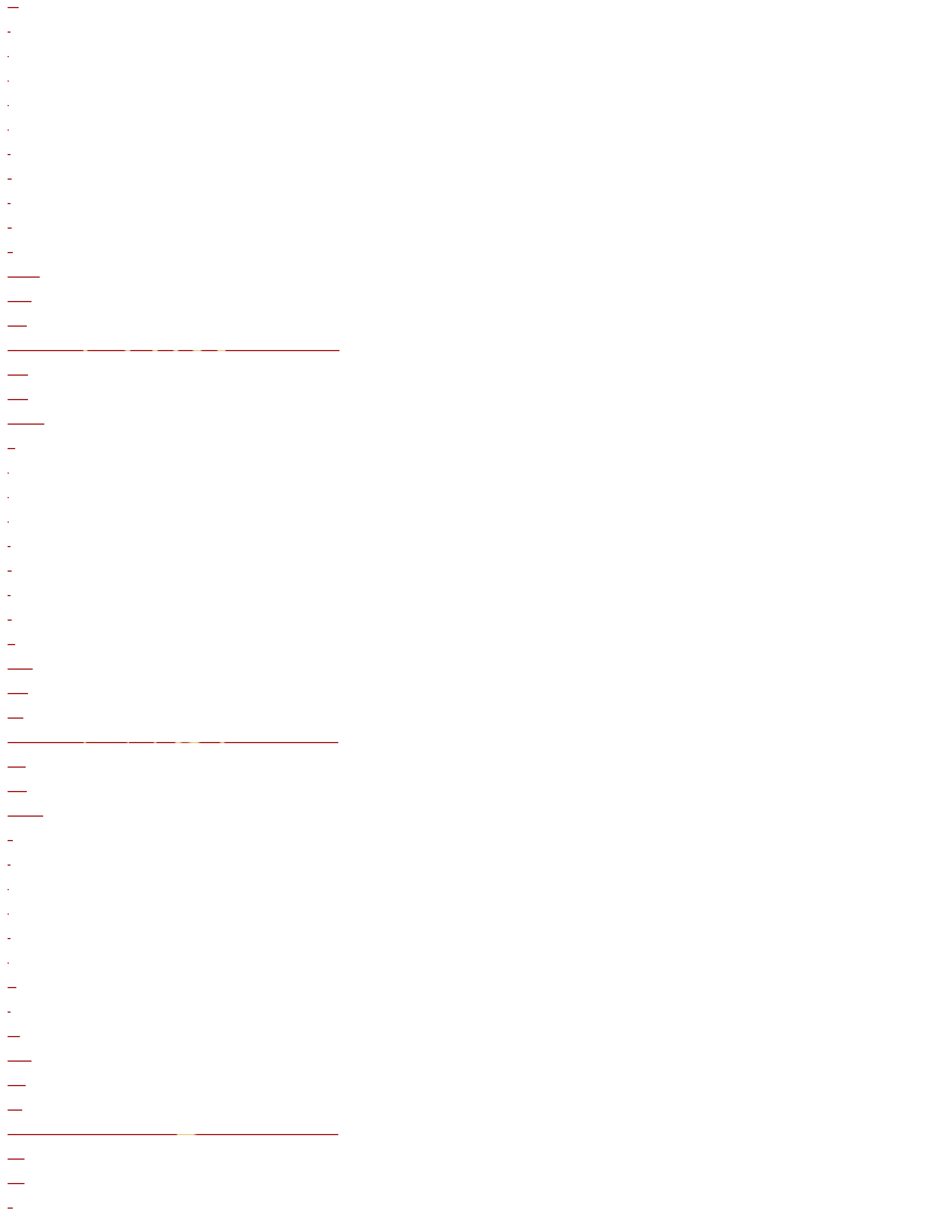


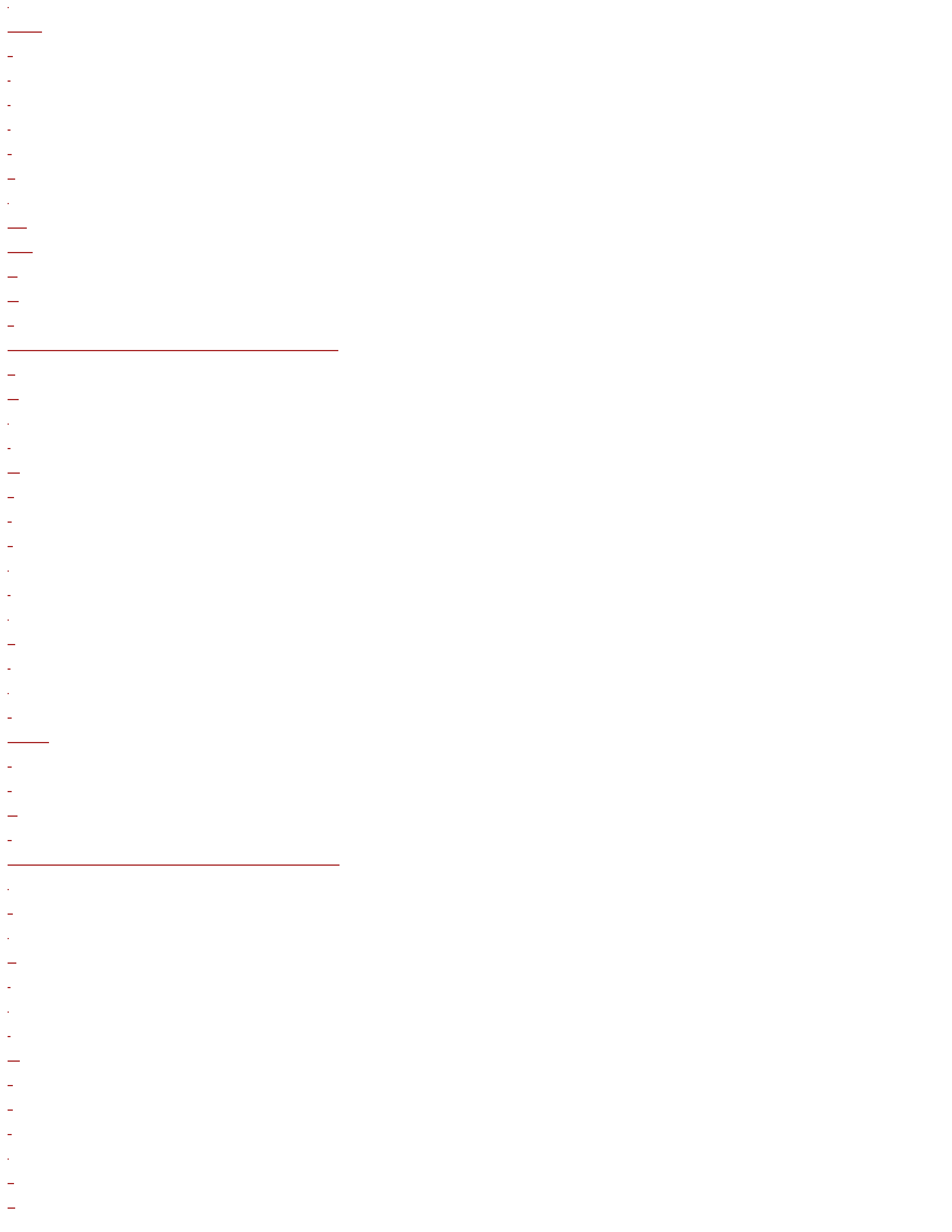


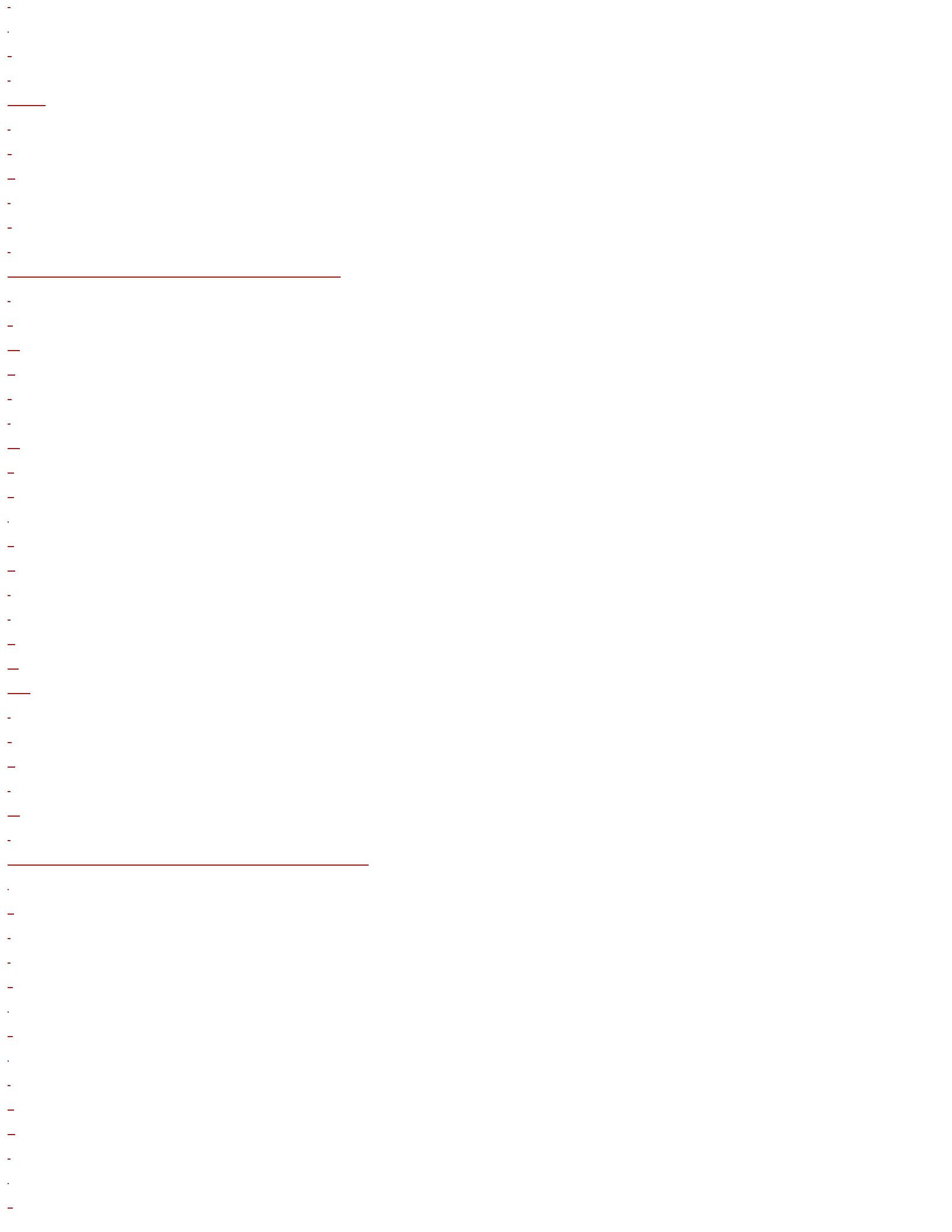




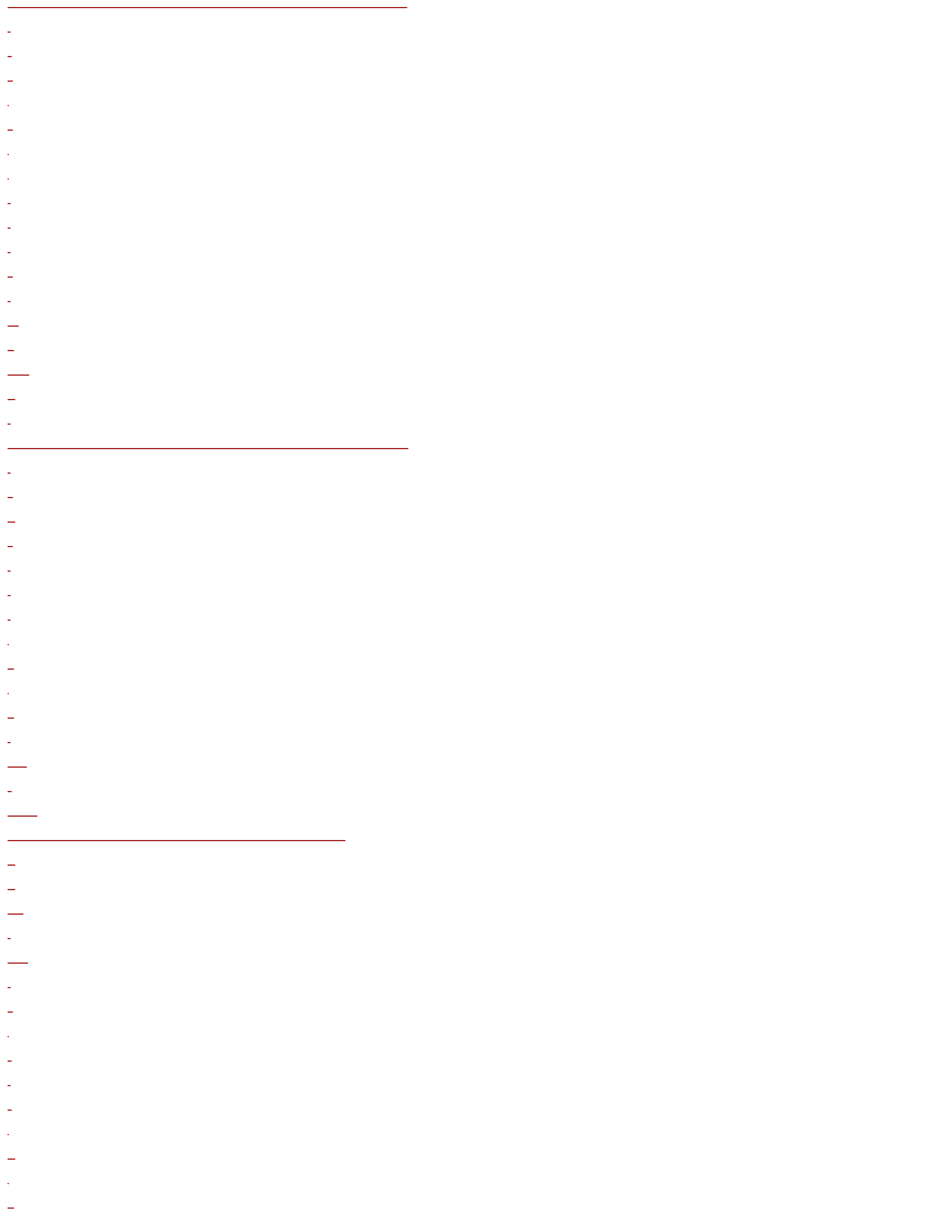


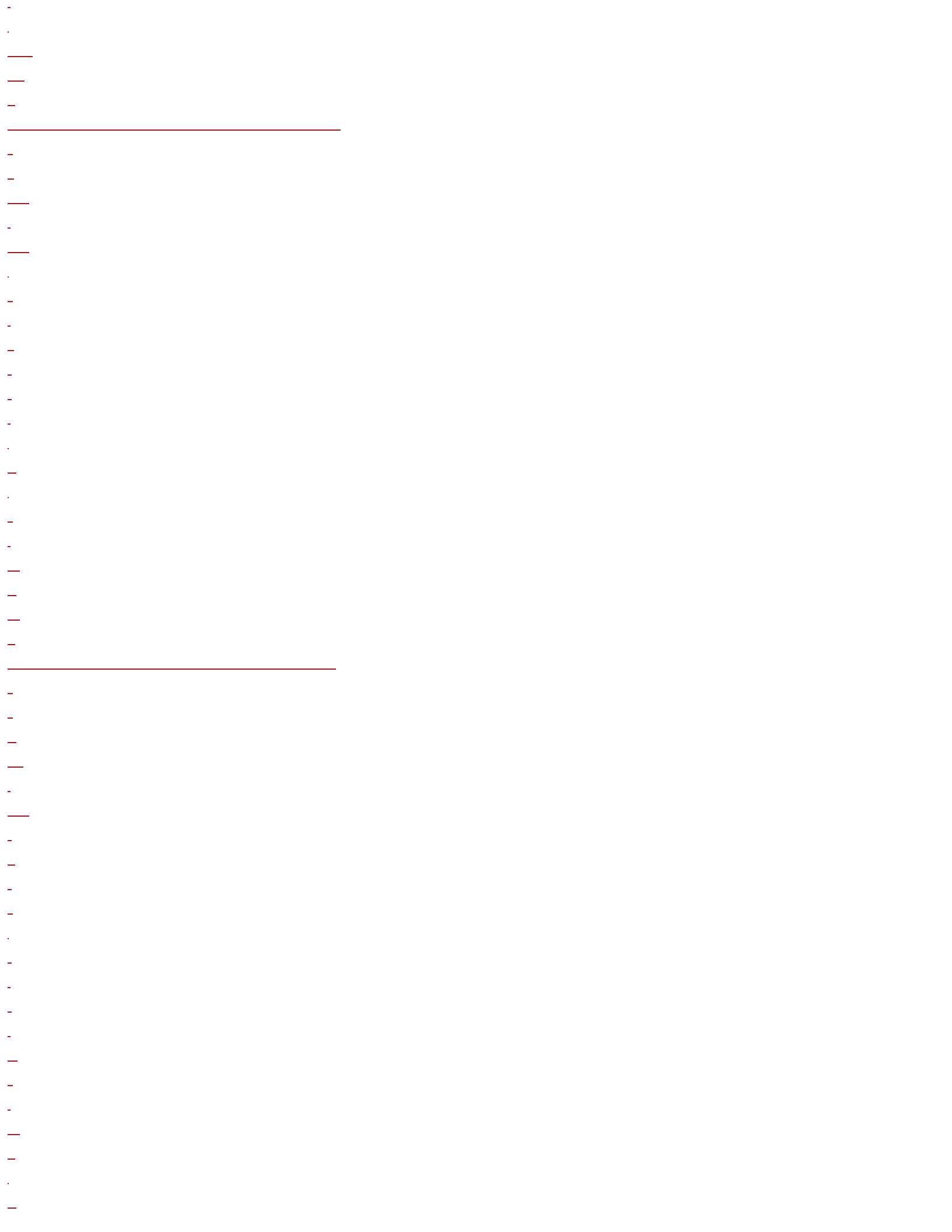


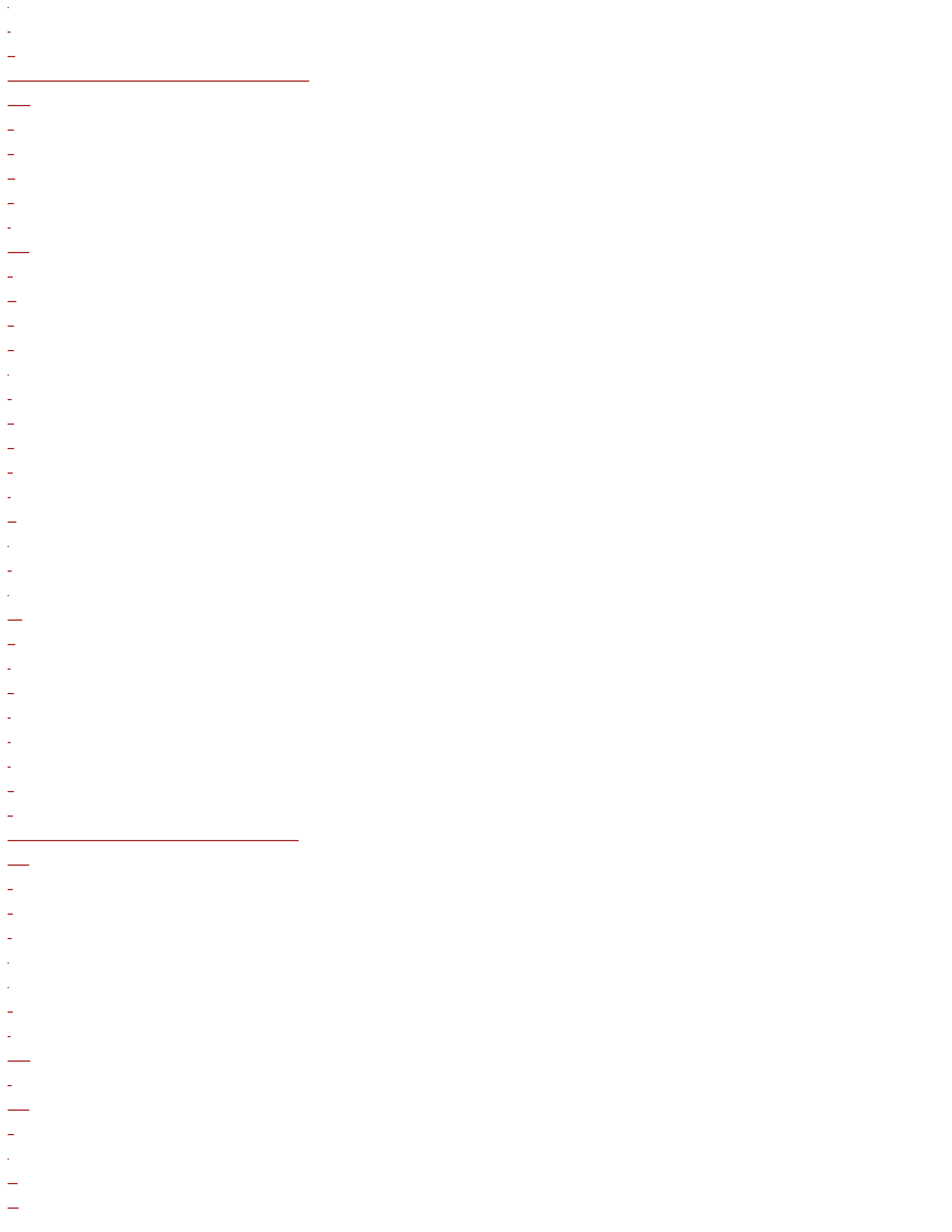


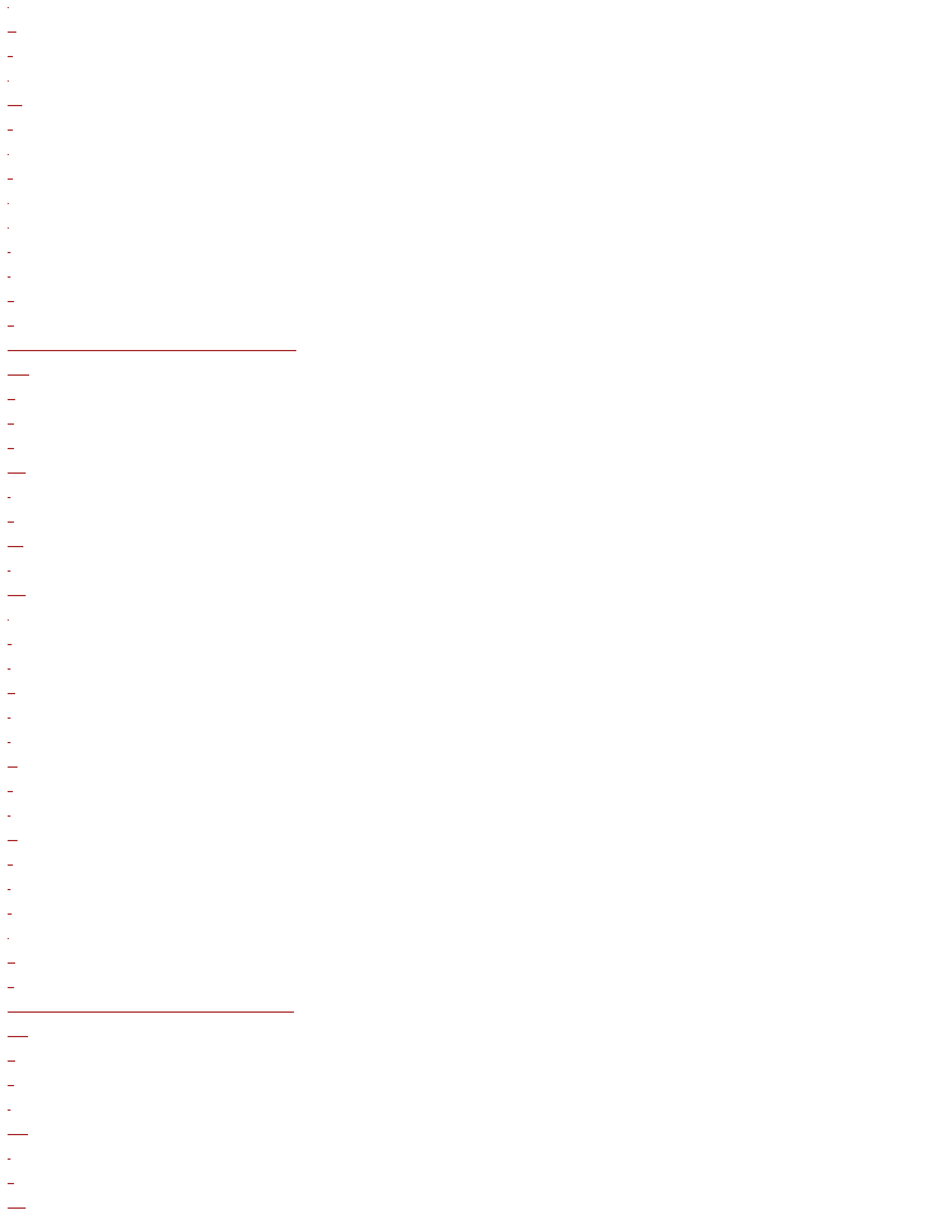




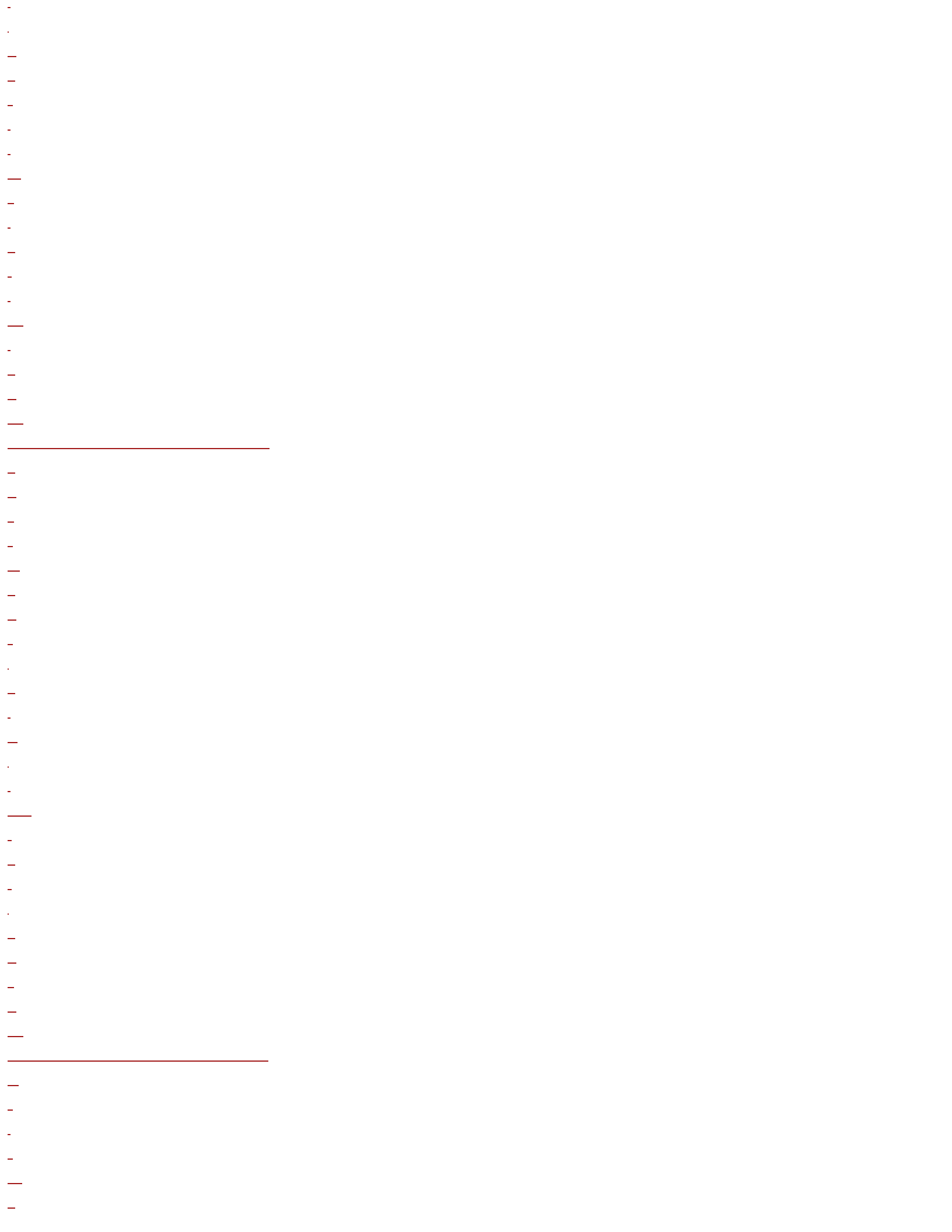


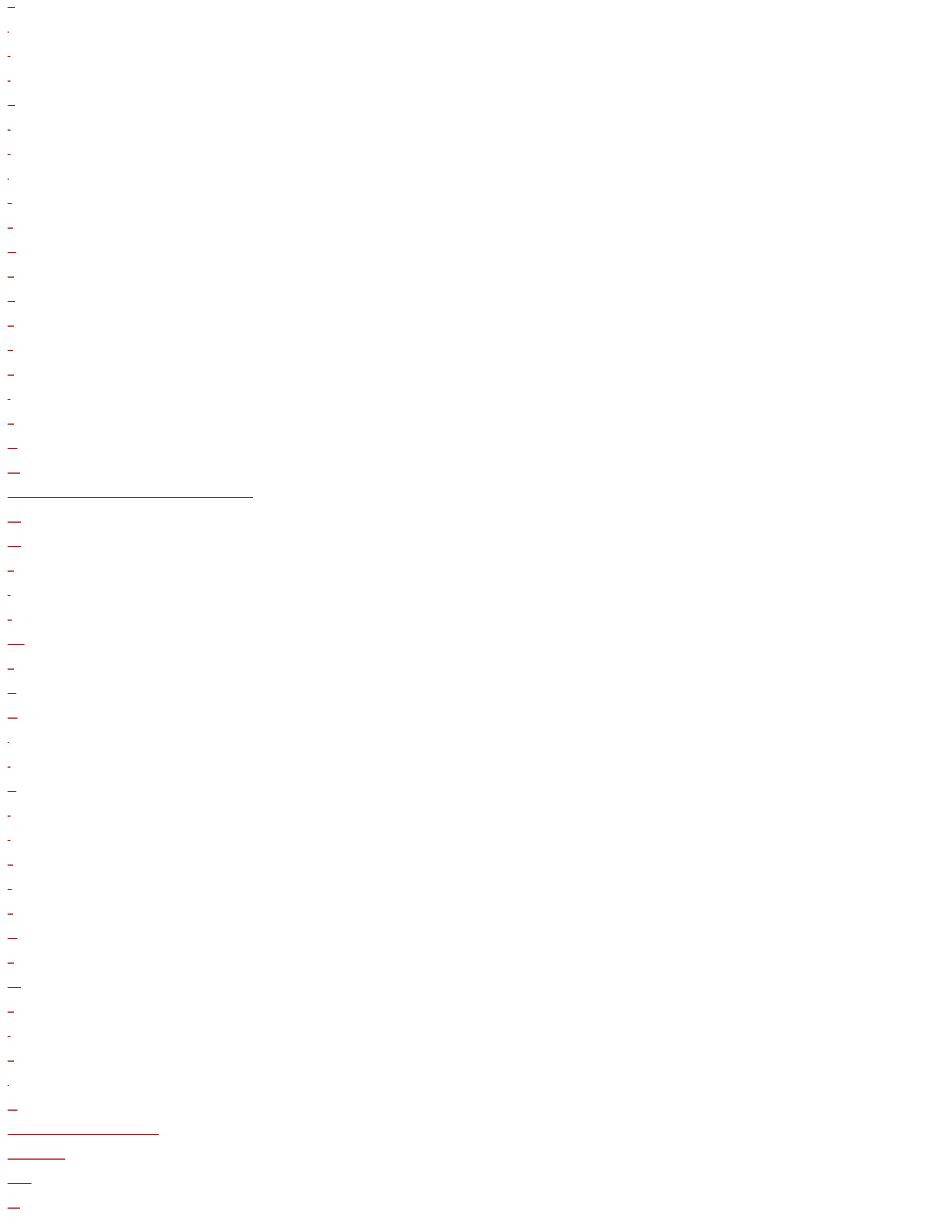


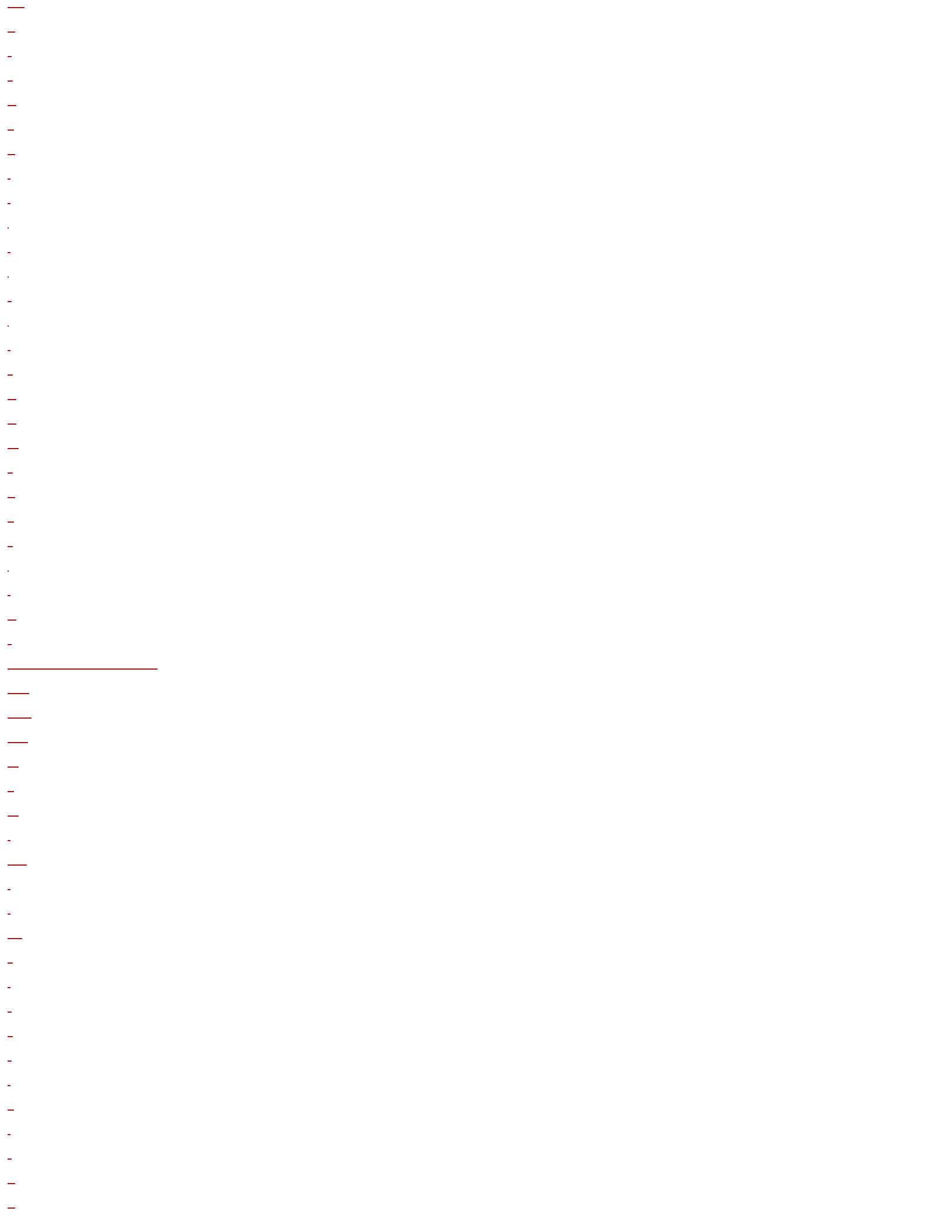




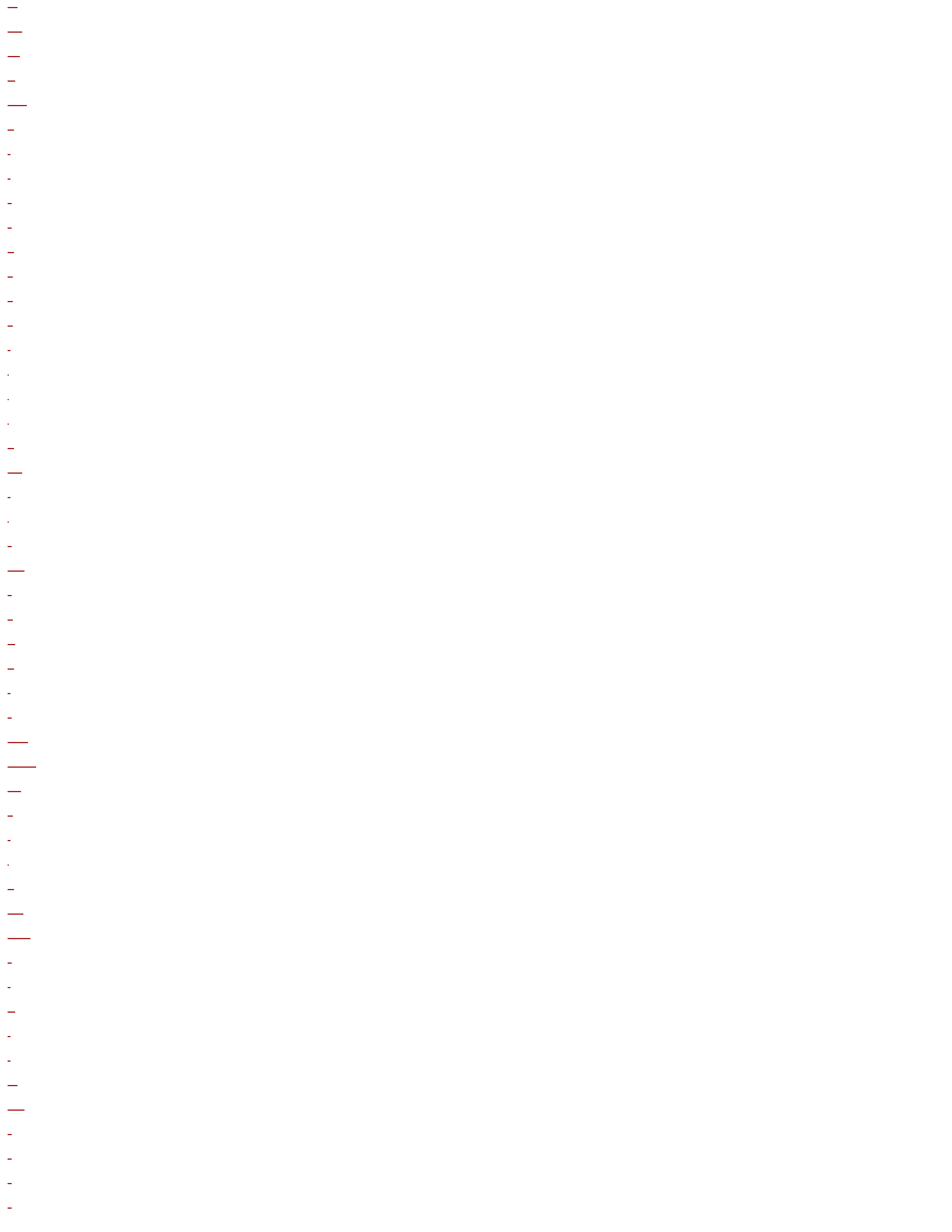


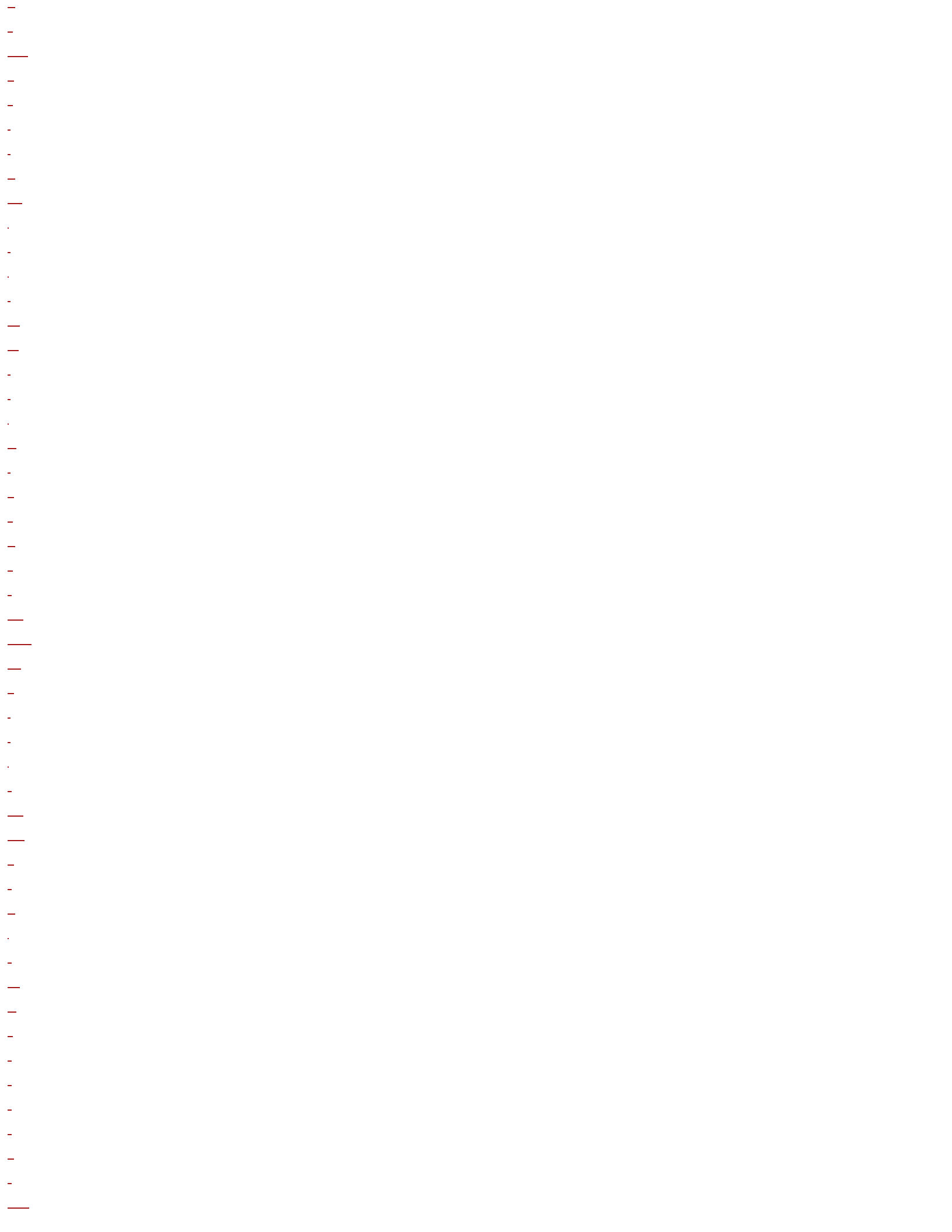














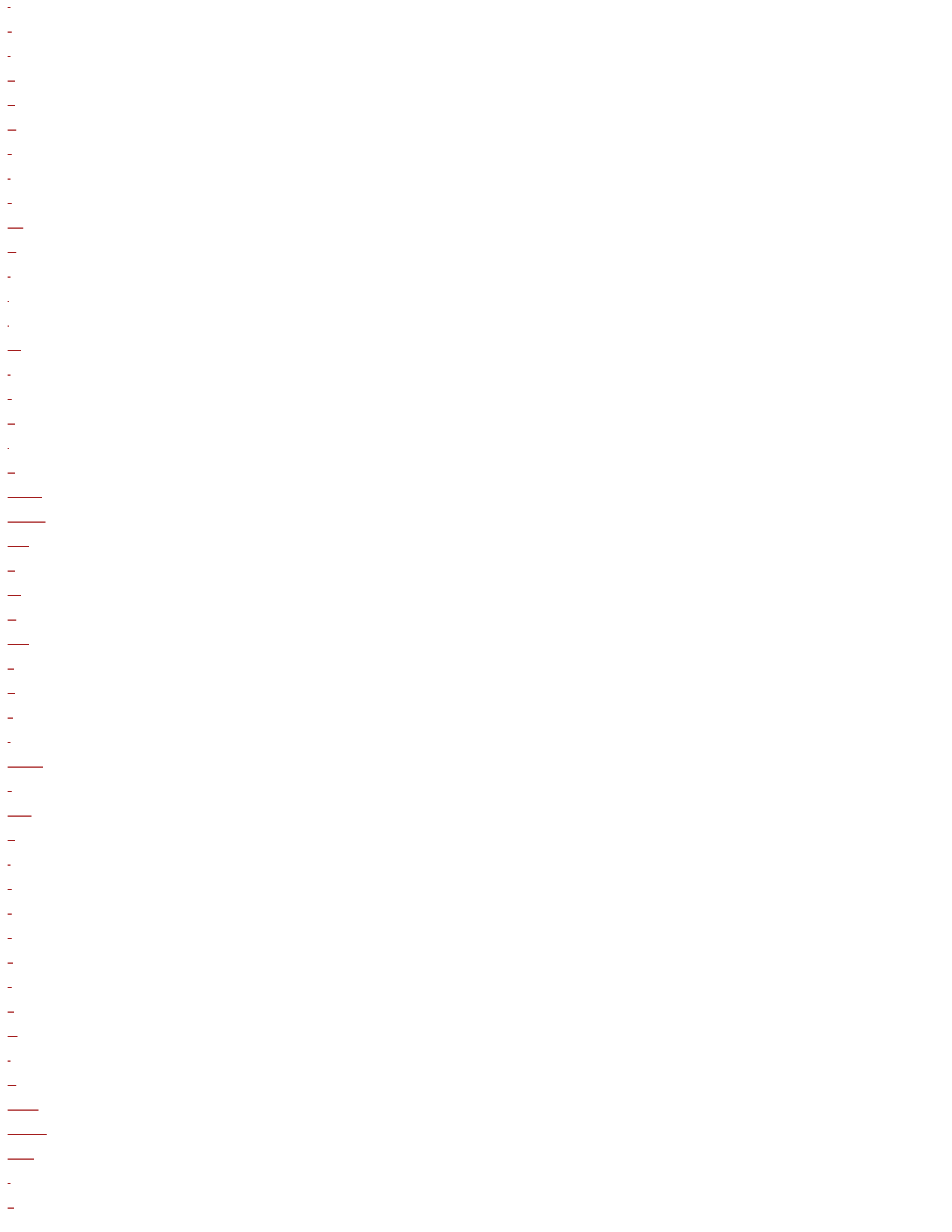


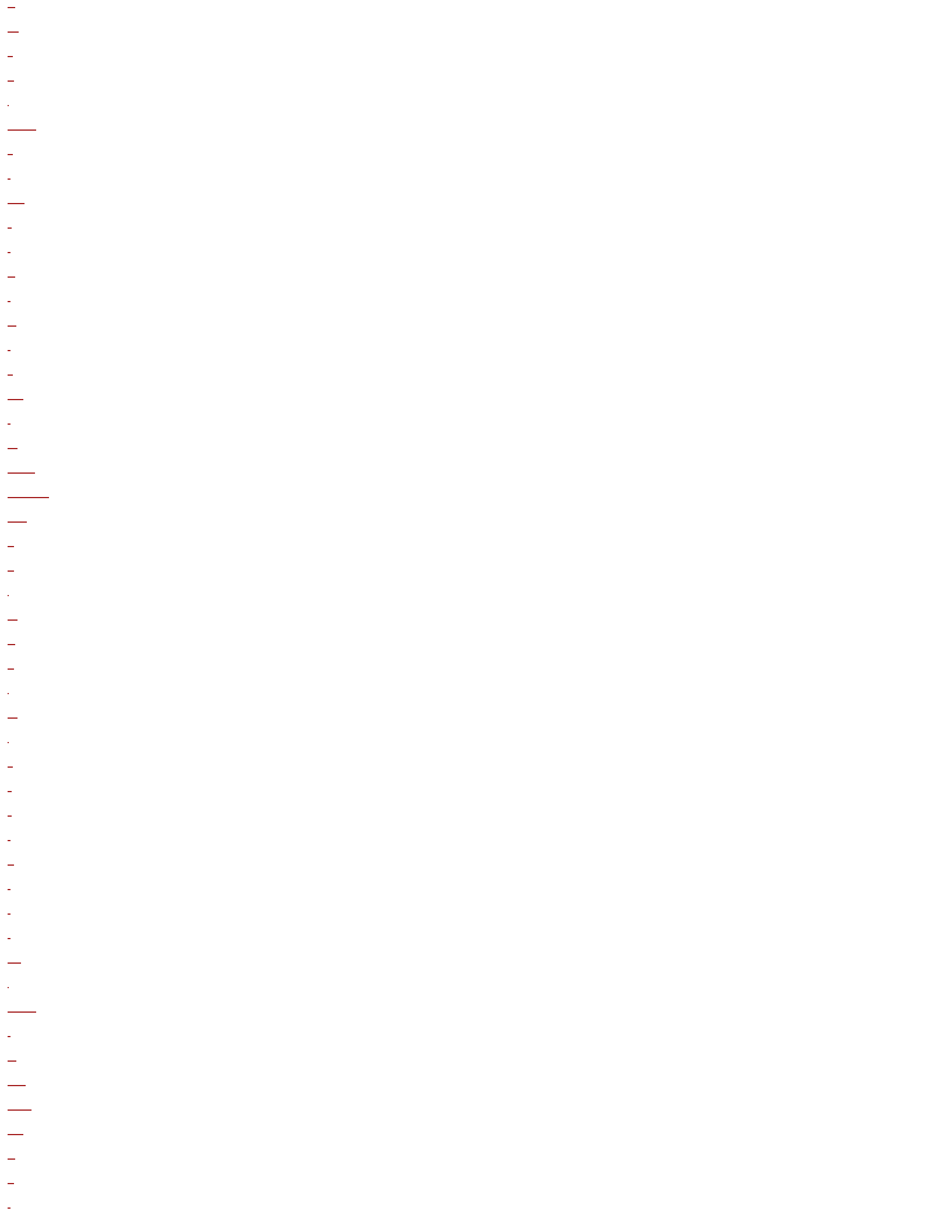






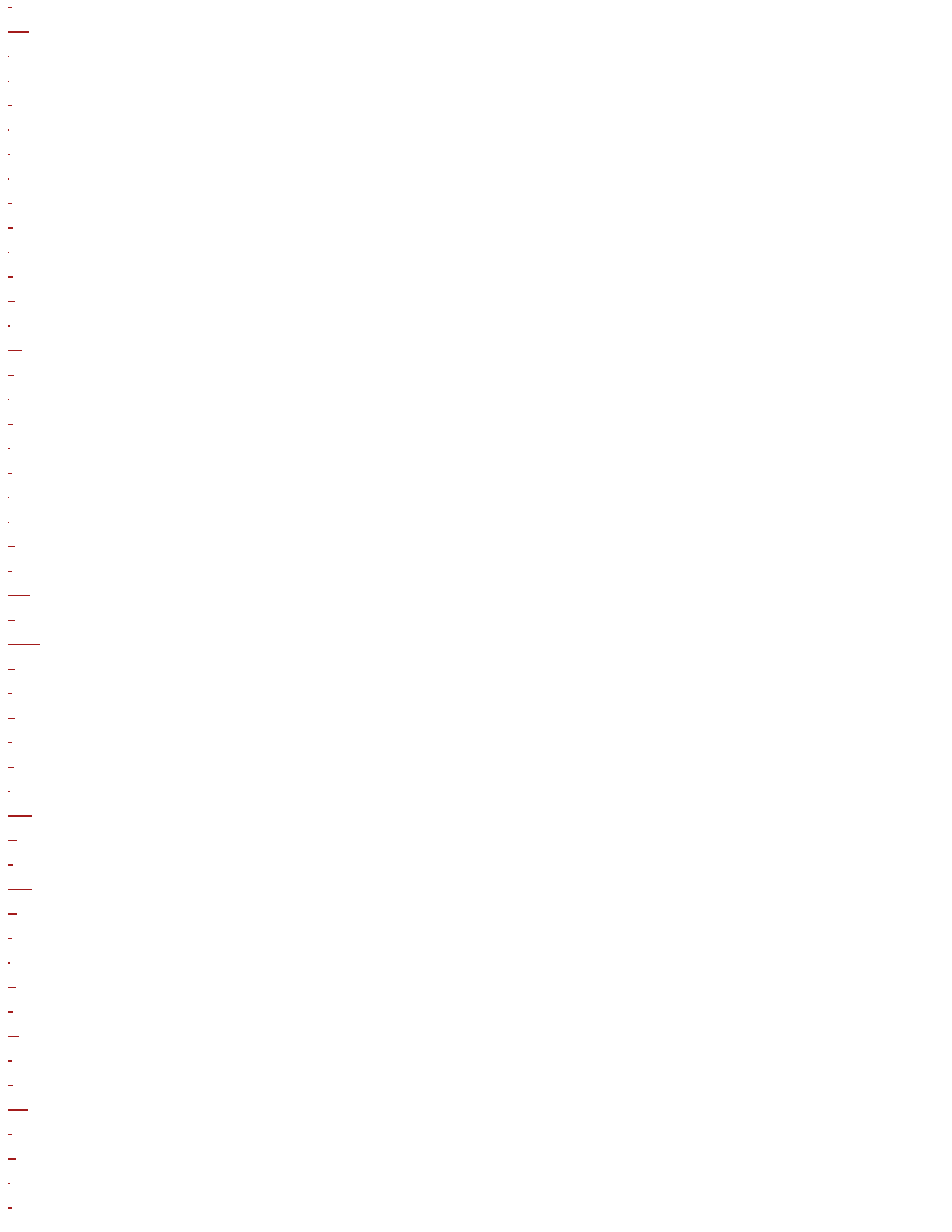




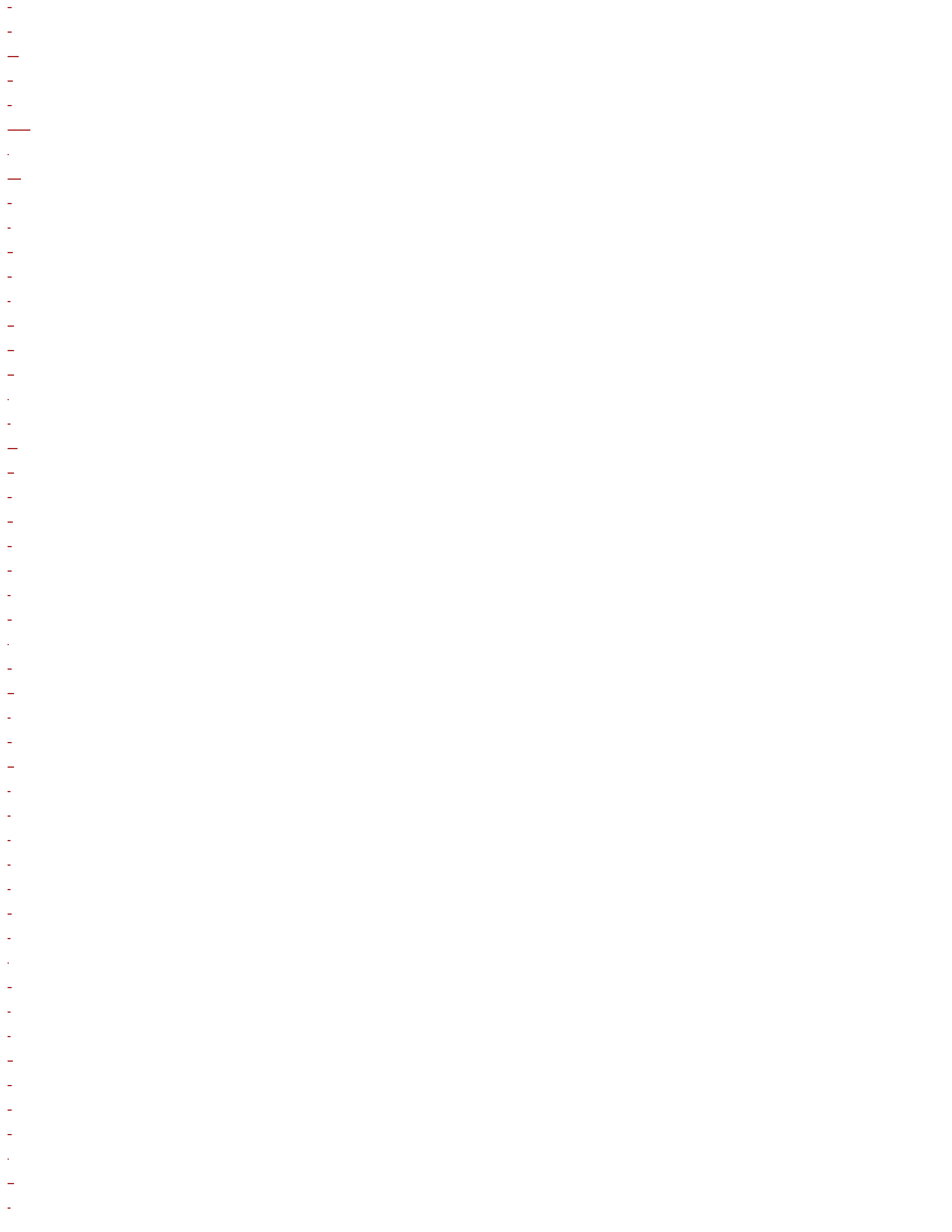




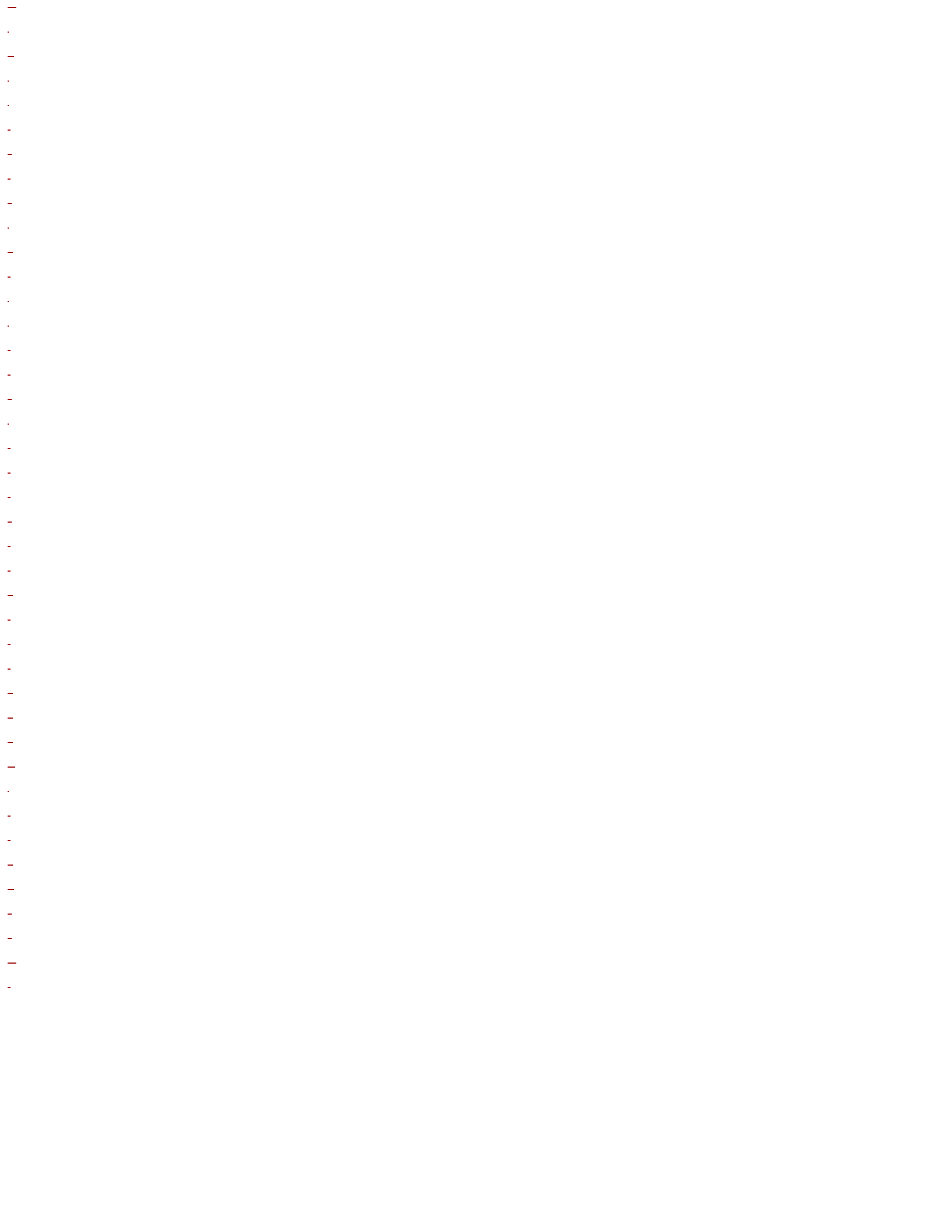


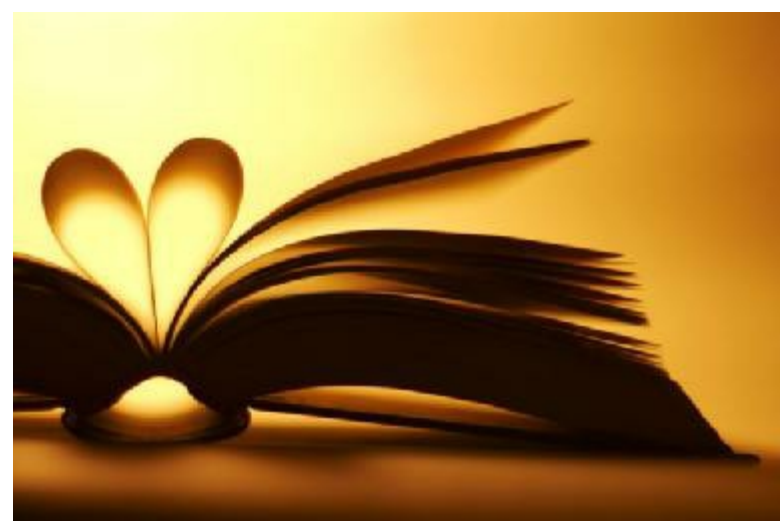












**Judith Lennox**

## **DUCHY PRZESZŁOŚCI**

### **CZEŚĆ PIERWSZA**

#### **Prolog**

Już od dwóch dni mróz ozdabiał trawy i trzciny srebrzystym wzorem. W kryształkach lodu na listkach i gałązkach odbijały się resztki gasnącego słońca. Matowe białawe szkliwo przy brzegu kryło gnijącą roślinność. Tam jednak, gdzie prąd płynął swobodnie, nad taflą -

niczym para z gorącej kąpieli - unosiły się wąskie, poskręcane sznureczki mgły, tak jakby czarne serce wody nagle się ogrzało. Kanał przecinał czarną wstęgą płaski wschodnioangiel-ski krajobraz. Po obu stronach wody rozciągały się bezkresne, nijakie pola - ich granice wyznaczały paski bliźniaczych kolein lub kępki karłowatych krzaków. Słońce musnęło ko-

ścielną wieżę i otaczające ją nagie gałęzie drzew, po czym powędrowało spokojnie na pustą ziemię, obrysowując długie bruzdy pozostawione przez pług. Świat zamarł; żaden powiew nie igrał z zamarznąłą trawą ani też nie zmiotł na bok zeschniętych liści i nie odsłonił nagich kości ziemi.

*R S*

Szedł wzdłuż grobli, a jego oddech tworzył w zimnym, wieczornym powietrzu szare obłoczki pary. Wydawało mu się, że choć tę ziemię skradł morzu człowiek, a jego upór i geniusz zaznaczyły się wyraźnie w głębokich bliznach rowów oraz kanałów, to jednak nigdy nie objął tego ładu na dobre w posiadanie, a jedynie go pożyczył. Niski horyzont, bezkres nieba, ludzkość zredukowana do zaaferowanej znikomości. A jeśli istniał jakiś bóg, to jedynie poprzez powodzie i burze, jako ten, który przypomina o niemocy. Skoro nawet sam krajobraz okazał się tak niestały, jaką szansę miały kruche kości i ciało? Tych natomiast, którzy uwierzyli, iż zyskali władzę nad tym miejscem, wyгнаły na zawsze potężne masy wody oraz fale przypluwów.

Przed sobą dostrzegł budynek stojący około mili od kościoła. Muśnięte promieniami zachodzącego słońca szyby migotały złotoczerwonym światłem, a kwadratowe mury wyglądały mniej ponuro; dom

znów wracał do życia. Przystanął. Słowo „gdyby” wrzynało mu się w duszę tak jak kanał w zmarzniętą ziemię. A potem słońce zniknęło za horyzontem i dom znowu utonął w cieniu.

Zawrócił z obranej drogi; było już zupełnie ciemno, tarczę księżyca przesłaniała cienka warstewka chmur, gwiazdy nie świeciły jeszcze jasno. Z jednej strony miał tylko wodę, więc poruszał się ostrożnie; żałował, że nie zabrał latarki. Sama myśl o tym, że wpada do rowu i słyszy chrzęst lodu, przyprawiała go o dreszcze. Utonięcie to okropny rodzaj śmierci: woda w płucach, ustach, nozdrzach, utrata powietrza... To tak, jak zostać pogrzebanym żywcem.

Gdy dotarli do niego odgłosy kroków i sapanie, niemal stracił grunt pod nogami. Nikogo się tutaj nie spodziewał. Serce waliło mu jak młotem; szeroko otwartymi z przerażenia oczyma popatrzył w lewo, potem w prawo, tak jakby się spodziewał, że kłęby pary unoszące się nad wodą nabrały kształtu i stały się małymi duszkami nawiedzającymi Moczary.

Ale potem mgła przerzedziła się na chwilę i księżyc ukazał mu psa, który buszował sobie spokojnie na pochyłej ścianie kanału, drąc pazurami twardą jak skała ziemię, węsząc tajemnice.

Pochylił się i podniósł kilka kamyków, po czym cisnął nimi w psiaka. Zwierzę za-skowyczało żałośnie i umknęło w ciemność.

## **Rozdział 1**

*R S*

Po odejściu Toby'ego wrzuciłam do muszli klozetowej - kwiatek po kwiatku - otrzymany od niego bukiet. Pachnące, różowe i gładkie płatki zaczęły pływać sobie spokojnie po powierzchni wody. Potem poszłam do małego ponurego pokoiku przy końcu korytarza i wyjrzałam przez okno. Ulice za szpitalem zasnuła ciemna, okropna październikowa mżawka. Telewizor był włączony, ale ja nie słyszałam fonii. W Uszach pobrzmiwał mi tylko głos Toby'ego. Głos, który mówił: „Chyba nie powinniśmy się tak często widywać, Rebecca”.

Tak wtedy powiedział.

Należało milczeć, ale nie mogłam powstrzymać słów, które same cisnęły się na usta.

- Proszę Toby, nie teraz - wyszeptałam. Przez jego twarz przeszedł skurcz.

- Już od jakiegoś czasu coś nie gra - wymamrotał. - Ale z powodu dziecka... - Poczzerwieniał i odwrócił wzrok.

- Oczywiście, skoro tak uważasz...

Cokolwiek, byle tylko się nie stać niechcianym, kłopotliwym ciężarem zasługującym jedynie na litość.

Porzuciłam wspomnienie, wróciłam do rzeczywistości i odsunęłam się od okna. W telewizji nadawali „EastEnders”, przed ekranem siedziała, paląc, bardzo młoda dziewczyna w zniszczonym szlafroku. Podsunęła mi paczkę; wzięłam papierosa, chociaż zerwałam z nałogiem jeszcze podczas studiów. Na boku paczki widniał slogan: PALENIE MOŻE ZNISZCZYĆ ZDROWIE TWEGO NIENARODZONEGO DZIECKA, ale to już nie miało znaczenia. Swego do połowy uformowanego biednego maleństwa też się pozbyłam - tak jak tych kwiatów. Zaciągnęłam się dymem, przymknęłam oczy i zobaczyłam płatki pływające po wodzie; różowe, w kształcie embrionu.

Kiedy wypisano mnie ze szpitala, wróciłam do mieszkania w Teddington. Wynajmowałam wówczas parter jednej z wiktoriańskich willi zachodniego Londynu. Wszystkie pomieszczenia - kuchnia, łazienka i sypialnia wyglądały zupełnie tak samo: brudno i obco. Pod drzwiami leżała sterta listów, automatyczna sekretarka mrugała wściekle. Zignorowałam zarówno korespondencję, jak i telefon, po czym położyłam się na łóżku otulona płaszczem.

Pomyślałam o Tobym. Poznałam Toby'ego Carne'a półtora roku wcześniej, w połu-dniowym Kensingtonie. Padał rześisty deszcz, nie miałam płaszcza. Wtedy dogonił mnie *R S*

pewien dżentelmen i zaproponował swój parasol; przyjął tę ofertę z wdzięcznością. Nie bez powodu posłużyłam się tutaj staroświeckim słowem „dżentelmen”. Toby'ego uznałam bowiem od pierwszej chwili za dżentelmena w każdym calu. Prochowiec od Beuberry'ego, czarny parasol, ciemne krótkie włosy ledwo dotykające kołnierza, wysłużona, ale kosztowna skórzana teczka. Domyśliłam się, że Toby jest mniej więcej o dziesięć lat starszy ode mnie.

Szłam obok, wyjątkowo nie przeskakując przez kałuże, zahipnotyzowana jego uroczym uśmiechem i nieskrywanym zainteresowaniem w oczach. Na propozycję drinka: „Co pani na to, by uciec przed deszczem”, przystałam od razu. Kiedy się rozstawaliśmy, Carne miał już mój adres i numer telefonu. Nie oczekiwałam, by z niego skorzystał, ale jednak parę dni później zadzwonił. Wyjaśnił, że udało mi się go rozbawić i to było takie odświeżające, inne.

Znajomość z Tobym traktowałam jak przygodę; on pochodził z zupełnie innego świata, więc wierzyłam, że ten związek mnie odmieni. I przez jakiś czas istotnie byłam inna.

Przy Tobym zeszczuplałam, nosiłam bardziej eleganckie ubrania, rozjaśniłam włosy. Chodziłam na wyższych obcasach i przestałam się o nie potykać, kupowałam droższy podkład do makijażu - taki, który się dłużej trzyma, odwiedziłam rodziców Toby'ego w Surrey, udawałam, że jestem przyzwyczajona do kanap z niepoprzecieranymi poduszkami i eleganckich ręczników, dopasowanych do wystroju łazienki. Wybraliśmy się razem do Amsterdamu, Pa-ryża, Brukseli, kolacje jadaliśmy w drogich restauracjach, zapraszano nas na modne przyję-

cia. Toby przedstawiał mnie przyjaciółom jako Rebeccę Bennett - biografkę - i napotykał na ich puste spojrzenia, co dostrzegł zresztą dopiero po pewnym czasie. Wpadł na pomysł, żebyśmy zaczęła pisać książkę; wyjaśniłam, że potrzebuję jakiejś rzetelnej, interesującej historii.

Pewnej wspaniałej letniej nocy zaproponował, po pijaku, żebyśmy mieli dziecko, a kiedy parę miesięcy później powiedziałam mu o ciąży, wznosił toast szampanem, ale nie zrobił

bodaj wzmianki na temat wspólnego domu. A kiedy po następnych paru tygodniach zaczę-

łam tracić nasze małenstwo na pewnym nudnym, choć ważnym przyjęciu, najwyraźniej bardzo się zdziwił, że wybrałam akurat takie miejsce oraz czas. Do tamtej pory uważałam swoją przemianę - rozpoczętą dzięki Toby'emu i kontynuowaną przy mojej współpracy - za zjawisko trwałe. Jednym zdaniem: „Chyba nie powinniśmy się tak często widywać” - Toby zdołał mi uświadomić, kim naprawdę jestem. Moja „inność” zaczęła go męczyć; gorzej -

stała się wręcz żenująca. No i nie rozśmieszałam go przecież miesiącami.

Po powrocie ze szpitala w ogóle nie wychodziłam z mieszkania. Piłam ogromne ilości *R S*

herbaty i jadłam - ilekroć w ogóle miałam na to ochotę - konserwowe potrawy z zapomnianych puszek, dotąd pokrywających się kurzem gdzieś w głębi kredensu. Nie odpowiadałam na telefony, nie otwierałam korespondencji. Tępy ból w dole brzucha, wspomnienie po poronieniu, z wolna ustawał. Natomiast alarmistyczne wrażenie, że wszystko rozpada się na kawałki, trwało nadal. Spałam, ile tylko się dało, choć sen często przerywały mi koszmary.

Potem pojawiła się Jane, moja starsza siostra. Jane ma dwóch synków: rocznego i trzyletniego, oraz willę w Berkshire. Nieodłączny element naszych stosunków stanowiła umiarkowana, lecz trwała wzajemna zazdrość. Jane waliła do drzwi, dopóki jej nie wpuści-

łam, a potem rzuciła tylko jedno wymowne spojrzenie na mnie oraz zatechłą norę, w której mieszkałam.

- Wiesz, Rebecco, jesteś naprawdę beznadziejna - mruknęła z dezaprobatą.

Wybuchnęłam płaczem i uścisnęłyśmy się niezdarnie, obie nienauczone okazywania uczuć.

Spędziłam tydzień w towarzystwie Jane, po czym wróciłam do Londynu.

- Musisz znów złapać w garść wszystkie nitki - powiedziała, odprowadzając mnie na dworzec.

Ale ja odnosiłam wrażenie, że już nie mam czego łapać. W życiu, jakie planowałam wcześniej, był Toby, dziecko i dalszy ciąg kariery zawodowej, o którą walczyłam od samego początku studiów. Straciłam zarówno Toby'ego, jak i dziecko, a choć siedziałam pilnie przy biurku i wpatrywałam się godzinami w ekran komputera, to i tak nie mogłam pisać.

Nie przychodziło mi do głowy nic interesującego. Kleciłam niezręczne, toporne zdania, pozbawione znaczenia. Przez głowę przelatywało mi tysiące pomysłów, zapisywałam je w notesie, ale następnego dnia dochodziłam do wniosku, że wszystkie są puste i płytkie.

Jane zaprosiła mnie na święta. Hałaśliwa radość małych chłopców wypełniła mi jakoś lukę powstałą przed czterema laty po śmierci mojej matki i zrekompensowała swarliwe usposobienie ojca. Kiedy wróciłam do Londynu, Lightmanowie wyciągnęli mnie na przyję-

cie noworoczne. Charlesa Lightmana znałam od lat. Zarówno on, jak i jego siostra, Lucy, mają jasne;

zielone oczy i taki charakterystyczny, nie pasujący do żadnej konkretnej fryzury rodzaj blond włosów. Z Charlesem studiowałam na uniwersytecie, a później on założył firmę producencką - Lighthouse Productions - specjalizującą się w programach telewizyjnych *R S*

poświęconych zagadnieniom archeologicznym i historycznym. Poprzedniego lata pracowaliśmy razem nad dokumentem „Siostry Księżycy”.

Na przyjęciu zaloty typu: „Czym się pani zajmuje?” lub „Czy ma pani ochotę na drinka?” wydawały mi się raczej wymuszone. Poszłam do łazienki, gdzie spojrzałam w lustro.

Okrągła twarz, krótkie, myszowate włosy (obciąłam je przed paroma tygodniami i mogłam już sobie nie zawracać głowy farbowaniem), jasnoniebieskie, zdumione, bezbronne oczy zupełnie nieodpowiednie dla trzydziestoletniej kobiety. Patrzyłam chwilę z niesmakiem na swoje idiotyczne odbicie, a potem chwyciłam płaszcz i pobiegłam do domu. Ale kiedy zwinęłam się na łóżku, by uciec przed odgłosami zabawy dochodzącymi z ulicy, pomyślałam, że chyba powoli przychodzę do siebie. Już od wielu tygodni nie płakałam w poduszkę, a na widok ciemnowłosego mężczyzny lub dziecka w wózku nie przeszywał mnie ból. Uczyłam się nie czuć, uczyłam się skutecznie.

Dwa tygodnie później wywiesiłam w osiedlowym sklepieniu ogłoszenie, w którym oferowałam przygotowywanie do matury z historii. Już kiedyś zajmowałam się nauczaniem, ale mogłam na szczęście porzucić to zajęcie po umiarkowanym sukcesie biografii Ellen Wilkinson. Teraz niestety wygasły we mnie wszelkie zdolności twórcze, a na koncie bankowym pojawił się debet. Otrzymałam kilka odpowiedzi na swoją ofertę; kiedy jednak układałam w notesie rozkład zajęć, odczułam przypływ zdenerwowania, jakieś ulotne podejrzenie, że podczas spotkań z tymi nieznanymi uczniami okażą się nudna, banalna, nieodpowiednia.

W połowie lutego wpadł do mnie Charles - przyniósł chińszczyznę i butelkę czerwonego wina. O dziewiątej wieczorem mieli wyświetlać „Siostry Księżycy”.

- Ale przecież ty zawsze byłaś tak świetnie zorganizowana, kochanie - powiedział, rozglądając się ze zdumieniem po mieszkaniu, a ja poczułam lekkie zawstydzenie z powodu stert niepozmywanych naczyń i zakurzonych kątów.

Siedzieliśmy na łóżku, oglądając telewizję i zajadając kurczaka na kwaśno oraz pra-

żony ryż z jajkiem. I choć uczestniczyłam w kolaudacji, a w czołówce filmu pojawiło się moje nazwisko, teraz ten program wydawał mi się obcy, nie miał nic wspólnego ze mną.

Ktoś inny przeprowadzał wywiady z tymi filigranowymi staruszkami, ktoś zupełnie inny nagrywał na taśmę opowieści o zdradzie i porzuceniu. „Siostry Księżycy” opowiadały historię grupy kobiet, ofiar ustawy o chorobach psychicznych wydanej w 1913 roku. W świetle tej ustawy władzę lokalne - złożone wyłącznie z mężczyzn - miały prawo stanowić o niepo

czytalności ciężarnych i umieszczać w miejscach odosobnienia wszystkie kobiety żyjące w nędzy lub prowadzące się niemoralnie - co oznaczało w praktyce niezamężne matki. Ustawy nie uchylono aż do



1950 roku i aż do tamtego czasu zakłady psychiatryczne były dla tych kobiet jedynym domem, a świat zewnętrzny dziwnym, niezrozumiałym miejscem.

Ivy Lunn poznałam w domu starców w Nottingham właśnie podczas zbierania materiałów do filmu. Ivy miała prawie dziewięćdziesiąt lat i umysł równie sprawny jak mój. Zaproszenie na herbatę przyjęła z radością pomieszaną ze strachem... Odzyskała równowagę dopiero przy ciasteczkach i dżemie, po czym opowiedziała mi swoją historię. Tuż po zakoń-

czeniu pierwszej wojny światowej czternastoletnia wówczas Ivy zatrudniona została jako pomywaczka w bogatym londyńskim domu. Pewnego ranka, kiedy myła wannę, do łazienki wszedł najstarszy syn rodziny. Poczuli, że podwija jej spódnicę, a kiedy ją gwałcił, bała się krzyczeć. Również ze strachu nikomu o niczym nie wspomniała. Nie mogła zrozumieć, co się właściwie stało, ani też nie zdawała sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji zajścia.

Czuła tylko, że ten mężczyzna ją skrzywdził i upokorzył. Zaraz potem, jak ciąża stała się widoczna, pani domu zwolniła Ivy z pracy. Kiedy dziewczyna próbowała się tłumaczyć, da-no jej do zrozumienia, że cała odpowiedzialność spoczywa na niej. Chłopak wrócił do szko-

ły, a Ivy wysłano do zakładu dla psychicznie chorych. Otoczona opiekuńczym ramieniem Charlesa, przypomniałam sobie, jak bardzo mnie wtedy wzruszyła ta opowieść. Siedziałam z Ivy w maleńkiej, skromnej kawiarence i płakałam rzewnymi łzami nad jej losem. I to ona mnie pocieszała. A teraz, po tych kilku miesiącach, nie czułam nic.

Skończyły się napisy, ucichła muzyka, a Charles westchnął z zadowoleniem. Oczy jaśniały mu radośnie, mówił bardzo szybko.

- Niesamowite, co, Becca? Chyba dostaniemy świetne recenzje. Jutro z samego rana kupię gazety. Dobrana z nas para, prawda? - spytał retorycznie i pocałował mnie w usta.

- Kawa - powiedziałam stanowczo, wyzwalając się z jego uścisku.

- Przyszedł mi do głowy pomysł na następny film - zawołał, kiedy zaczęłam mieć ja-cobsa. - To byłby taki kawałek o szkołach prywatnych z początku wieku. No wiesz, kara chłosty, pедераści, te rzeczy. Mógłbym to połączyć z pierwszą wojną, utratą imperium i...

Trajkotał dalej, a ja tymczasem nalewalam wodę do maszynki i ustawiałam filiżanki na tacy. Po chwili przestałam go w ogóle słuchać. Aby stworzyć dokument, który ma szansę doprowadzić widza do łez, trzeba umieć współczuć swoim bohaterom. Skoro jednak nawet *R S*

Ivy Lunn, zgwałcona, uwięziona, odseparowana prawie na całe życie od jedyne go dziecka, już nie budziła we mnie żadnych emocji, wątpiałam, czy ktokolwiek inny będzie potrafił

mnie wzruszyć.

W tydzień później zatelefonowała Nancy Walker.

- Wspaniała nowina! - krzyknęła do słuchawki. - Jestem zachwycona! - Nancy zawsze mówiła z emfazą. - Właśnie dzwoniła Sophia Jennings. Od Crawfordów. Oni chcieliby się z tobą spotkać, omówić pewien projekt. - Niemal widziałam uśmiech Nancy.

Crawfordowie to znane londyńskie wydawnictwo.

- Zamierzają zamówić biografię baronetowej Tildy Franklin.

Jeszcze kilka lat temu żaden reportaż na temat opieki nad dzieckiem nie mógł się obyć bez wywiadu z Tildą Franklin. Baronetowa przez całe życie zajmowała się adopcją osieroconych niemowląt, tworzeniem szpitali psychiatrycznych dla maltretowanych dzieci z problemami psychicznymi i organizowaniem akcji charytatywnych oraz specjalnych domów opieki dla molestowanych seksualnie. Kochająca i nieustępliwa, delikatna, ale o języku cię-

tym jak brzytwa. Stała mi przed oczami jej twarz - mgliste wspomnienie charyzmatycznego piękna, inteligencji i energii pomieszanych z nieodpartym wdziękiem.

- Chcą rozmawiać ze mną? - spytałam z niedowierzaniem. - Jesteś pewna?

- Właściwie to oni parę lat temu nawiązali kontakt z baronetową, ale ona zawsze odmawiała. Potem jednak sama do nich zadzwoniła, nalegając, abyś to ty opracowała temat.

Na nikogo innego nie wyrazi zgody.

Nastąpiła cisza; Nancy najwyraźniej czekała na jakiś komentarz z mojej strony, ja natomiast milczałam, bo - dosłownie - odjęło mi mowę. Zupełnie nie mogłam pojąć, z jakiego powodu Tilda Franklin wyraziła życzenie, abym to właśnie ja pisała jej biografię, i nadal byłam skłonna sądzić, że to jakieś nieporozumienie. Mimo wszystko czułam się tak, jakbym nagle wyjechała zza zakrętu długiego, czarnego tunelu i dostrzegła w oddali maleńkie światełko. Chciałam powiedzieć Nancy, że już nie potrafię pisać, ale duma zawodowa mi na to nie pozwoliła.

- Fascynujące życie - dodała Nancy. - Ona dokonywała w czasie wojny naprawdę bo-haterskich czynów. Rebecca? - W głosie agentki zadźwięczała nagle nutka niepokoju. - Jesteś zadowolona, prawda?

- Szczęśliwa - odparłam z trudem. Wciąż pamiętałam, jak siedzę przed ekranem komputera

i nie potrafię skleić nawet jednego sensownego zdania. - Ale nie podjęłam jeszcze decyzji. Te wszystkie dzieci... Czy będę potrafiła oddać jej sprawiedliwość? No i taka masa pracy...

- To cię nigdy przedtem nie odstraszało - powiedziała Nancy żywo. - Na pewno napi-szesz coś absolutnie wspaniałego. Przemyśl wszystko, Rebecca. Zadzwoń, a ja zaaranżuję spotkanie z Sophią.

Dodała jeszcze kilka uprzejmości i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę wpatrywałam się w ścianę. Nie wierzyłam nawet w to, że potrafię zrobić porządnie listę zakupów. A opracowywanie biografii świętej zupełnie mi nie odpowiadało. Zawsze wolałam pokazywać ciemną stronę zagadnienia. W historii ludzkiego życia interesują mnie najbardziej pęknięcia emalii i wystająca spod nich glina.

W jaki niby sposób miałam przedstawiać te szczęśliwe rodziny tworzone przez Tildę, skoro sama nigdy nie zaznałam poczucia bezpieczeństwa? Jak mogłam pisać o radości, jaką daje opieka nad dziećmi, skoro moja jedyna próba stworzenia nowego życia skończyła się poronieniem? Podniosłam nagle słuchawkę, gotowa zakomunikować Nancy, że nie pojawię się u Crawfordów, bo to czysta strata czasu. Nie dotknęłam nawet klawiatury. Pozostała we mnie jednak iskierka optymizmu, jakieś zmutowane resztki wiary we własne siły, której mimo wszystko nie utraciłam tak bezpowrotnie, jak mi się wydawało.

Chwyciłam kluczyki, wybiegłam z domu i pojechałam do Twickenham, gdzie długo spacerowałam na nabrzeżu, obserwując mgłę unoszącą się znad Tamizy. Podbiegł do mnie mokry, szczekający przeraźliwie pies i otrząsnął się energicznie, a kropelki wody z jego futra zawirowały w powietrzu niczym iskry ze szlifierki. Chmury przerzedziły się wreszcie i dojrzałam słońce - zamgloną różowopomarańczową perłę. Woda chlapała mi na czubki bu-tów; odeszłam od rzeki, zanim znów poszarzało. A kiedy dojechałam do domu, zatelefonowałam do Nancy. Zakomunikowałam jej bez wstępów, że w następnym tygodniu wybieram się na rozmowę do Crawfordów.

Baronetowa Tilda Franklin mieszkała w osadzie Woodcott St Martin w Oxfordshire.

Uwięziona na M40 między syczącymi ciężarówkami marzyłam tylko o tym, żeby zawrócić.

Zmusiłam się jednak do dalszej jazdy i z trudem posuwałam się naprzód, spoglądając co chwila przed siebie poprzez poruszające się hipnotycznie wycieraczki.

Omówiłam plan działań ze swoim przyszłym wydawcą. Redaktorka Crawfordów za-R S

proponowała, żebym porozmawiała sama z Tildą Franklin i - jeśli bym nadal była zainteresowana propozycją - przygotowała jakieś pomysły. Gdyby mój projekt znalazł uznanie wydawnictwa, Crawfordowie mieli mi wypłacić sowitą, a nawet zbyt szczerą zaliczkę.

Szczęśliwie zjechałam z autostrady i zanurkowałam w pagórkowaty krajobraz z jego wijącymi się drogami oraz kotlinami, w których zbierała się mgła. Kilkakrotnie musiałam się zatrzymywać, żeby spojrzeć na mapę. Tęskniłam za kawą. Było wcześniej, nawet nie mi-nęła dziewiąta i świat się obudził dopiero w połowie. Po pół godzinie dojechałam do Woodcott St Martin - powoli rozrastającej się, lecz nadal maleńkiej miejscowości z błoniami, stawem i paroma sklepikami. Zatrzymałam się przy kiosku z prasą, po czym spytałam o drogę do Czerwonego Domu - rezydencji baronetowej.

- Pani Franklin nie czuje się ostatnio najlepiej - powiedział sklepikarz. - Jak zwykle o tej porze roku cierpi na bronchit.

Czerwony Dom stał nieco na uboczu. Z jednej strony budynku migotała srebrna wstążka rzeki, a z drugiej plac zabaw pełen opuszczonych huśtawek, które w szarym świetle poranka sprawiały nieco upiorne wrażenie. Duży stary dom z czerwonej cegły miał wykuszowe okna w szczytach dachu porośniętego mchem. Przy głównej ścieżce rosły bukszpany uformowane w duże kule i czworościenne piramidy. Mgła przyćmiła soczystą barwę ich ciemnozielonych liści i skropliła się na girlandach wspinających pajęczyn oplatających ga-

łązki. Uwięzłam wśród zimnych, solidnych, wspaniale przystrzyżonych krzewów, odcięta od pozostałej części ogrodu. Przeszedł mnie dreszcz; oczekiwałam raczej starannie dobranej mieszanki astrów i róż, a tutaj rozrośnięte, tajemnicze krzewy tworzyły zupełnie dla mnie niezrozumiałe symbole. Z ulgą uciekłam od nich na wąski podjazd prowadzący do domu.

Otrzeptawszy się pobieżnie z pajęczyny, nacisnęłam dzwonek.

Drzwi otworzyła gospodyni. Poszłam za nią przez labirynt pokoi i korytarzy. Ze ścian patrzyły na mnie dziecięce buzie uwidocznione na zdjęciach, obrazach i rysunkach. Byli to -

jak mi się zdawało - podopieczni Tildy Franklin, zarówno niemowlęta, jak i młodzież, chłopcy w workowatych sztruksowych szortach i opadających skarpetkach, dziewczęta ze wstążkami we włosach. Oprawione w listewki dziecięce bazgroły, niezdarne ściegi krzyży-kowe, zamazane zdjęcie błyszczącego skutera i stojącego przy nim młodzieńca z fryzurą w stylu lat pięćdziesiątych. Złoczone ramki zdjęć rozświetlały ciemne, wyłożone dębową boazerią wnętrze.

*R S*

Gospodyni zaprowadziła mnie do pokoju z tyłu domu i zapukała do drzwi.

- Przyszła panna Bennett, Tildo.

W kącie pokoju wyposażonego w wygodne tandetne meble stała kobieta z sekatorem w ręku i przycinała rośliny pnące się po ścianach, bluszcz, powój, bugenwillę.

- Panna Bennett? - spytała, odwracając się do mnie. - Przykro mi, że umówiłam się z panią o tak nierozsądnej godzinie, lecz niestety po południu zwykle drzemię.

- Ależ proszę pani... - Przypomniałam sobie o tytule. - To znaczy, bardzo mi miło pa-nią poznać, baronetowo Matildo - jąkałam.

Odłożyła sekator.

- Tildo, jeśli łaska. „Baronetowo” brzmi sztucznie i teatralnie. A nikt nigdy nie nazywał mnie Matildą, bo to brzmi odstręczająco, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się. Uroda nie przemija i choć Tilda Franklin zbliżała się do osiemdziesiątki, dostrzegałam oznaki tej urody w wysokich delikatnych kościach policzkowych i prostym, wąskim nosie. Staruszka miała niemal przezroczyście powieki poprzecinane niebieskimi żyłkami, podłużną, pięknie rzeźbioną twarz, a także - szczególnie jak na swoje lata -

wyjątkowo proste plecy. Przy Tildzie czułam się niska, pulchna, karłowata. Ubrała się tego dnia w miękką tweedową solejkę i kaszmirowy sweter, a na szyi zapięła sznur pereł. Ja natomiast włożyłam długą, czarną spódnicę oraz zamszowy i - jak mi się zawsze wydawało -

seksownie pomięty żakiet. Natychmiast pozałowałam, że mój wybór nie padł raczej na jedyną przyzwoitą garsonkę, jaka wisiała w szafie.

Poprosiłam panią Franklin, żeby zwracała się do mnie po imieniu i podałyśmy sobie ręce. Miała cienkie, kruche palce przypominające ptasie pazurki. Pomyślałam, że gdybym ścisnęła ją mocniej, kości rozsypałyby się w proch.

- Wypijesz ze mną kawę, Rebecco, prawda? Taka długa podróż. Bardzo mnie cieszy twoja wizyta.

Mówiła o roślinach rosnących na werandzie, dopóki gospodyni nie przyniosła tacy z kawą i domowych biszkoptów.

- Powój już kwitnie. I naprawdę wspaniale pachnie, chociaż niestety tylko w nocy.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to się dzieje, że roślina wydziela woń o jakiejś konkretnej porze. Patrick, mój wnuk, próbował mi to kiedyś wytłumaczyć. Jestem naprawdę bardzo rada, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać. - Urwała na chwilę. - Czy wiesz, dlaczego sugerowałam,

abyś to ty napisała tę biografię?

- Zapewne czytałaś moją książkę - wymamrotałam ostrożnie.

Potrząsnęła głową.

- Niestety, ostatnio nie poświęcam zbyt wiele czasu na lekturę. Wzrok przysparza mi naprawdę wielu kłopotów. Interesują mnie natomiast programy telewizyjne. Widziałam twój film.

Wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Tildą - ten dom, jej wygląd, a nawet filiżanki - mówiło wyraźnie, że ta kobieta pochodzi z zupełnie innej epoki. Trudno mi było ją sobie wyobrazić wyciągniętą niedbale na sofie przed telewizorem, naciskającą coraz to inne guziczki pilota, zmieniając niecierpliwie programy.

- Widziałaś „Siostry Księżycy”?

Przytaknęła.

- Tak. A w parę dni później kupowałam u Blackwellów prezent urodzinowy dla wnuczki i zobaczyłam twoje nazwisko na okładce książki. Prawdziwe zrzędzenie losu, prawda? - Urwała. - Ten program bardzo... bardzo mnie wzruszył.

Z przerażeniem dostrzegłam łzy w jej oczach.

- Tak, film był wzruszający i inteligentnie zrobiony - ciągnęła. - Żadnych zbędnych sentymentów. Żadnego szukania sensacji. Stałaś z tyłu i pozwalałaś tym kobietom mówić.

Podziwiam takie podejście do sprawy. Dowodzi mądrości. Wiesz, że ty sama nie masz żadnego wpływu na przebieg wydarzeń. No i starasz się być sprawiedliwa. A ja wierzę w sprawiedliwość, Rebecca. - Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, jasnoszare oczy pociemniały. -

Ludzie zapomnieli o tych kobietach, nie pamiętają już również o potędze ludzi pokroju Edwarda de Paveleya. Nikt nie powinien mieć aż tak nieograniczonej władzy.

- Kim jest czy też może był Edward de Paveley?

- Moim ojcem. Zgwałcił moją matkę, która pracowała u niego jako pokojówka. Kiedy zaszła w ciążę, kazał ją zabrać do przytułku. Później matka trafiła do zakładu psychiatrycznego w Peterborough.

Nie zdołałam ukryć zdziwienia. Patrząc na Tildę Franklin, trudno się było domyślić, że ta dumna, elegancka kobieta miała tak wstydlive pochodzenie.

- Ludzie na ogół sądzą, że prowadzę niezwykle interesujące życie - dodała Tilda. - Ale zawsze strzegłam swojej prywatności. Kiedy jednak obejrzałam twój film, pomyślałam, że *R S*

ukrywanie własnej biografii świadczy raczej o tchórzostwie, a nie braku egocentryzmu. W

ten sposób doszłam do kompromisu i postanowiłam opowiedzieć swoją historię po to, by wyjawic prawdę o tej, która dała mi życie. - Tilda odstawiła filiżankę i spodek. - Bardzo bym chciała, żebyś się zgodziła napisać moją biografię, Rebecca. Oczywiście nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Ale zastanowisz się nad tym, prawda?

Wymamrotałam coś nieobowiązującego. Nie czułam się na siłach, by jej powiedzieć, że już nie potrafię pisać. Wraz z szacunkiem do samej siebie Toby odebrał mi zdolności lite-rackie.

Najwyraźniej potraktowała moje milczenie jak niemą zgodę.

- Czy mogę ci opowiedzieć więcej? Zarówno rodzina mojej matki, Greenleesowie, jak i de Paveleyowie mieszkali w Southam, na Moczarach Cambridgeshire. Takie wioski na mokradłach, położone z dala od dużych ośrodków, tworzyły w tych czasach swój własny świat. Matka nigdy nie jeździła dalej niż do Ely, a i to bardzo rzadko. W tych stronach rzą-

dzili praktycznie bogaci właściciele ziemscy. - Przymrużyła oczy. - Rodzina matki osiedliła się w Southam i pracowała tam od pokoleń. Babka umarła młodo, a dziadek, ojciec matki, był robotnikiem rolnym w majątku Paveleyów. Mieli dwie córki, Sarah, starszą, i Deborah, młodszą. Dom, w którym

mieszkali, należał do de Paveleyów i mogli go wynajmować tak długo, jak dziadek dla nich pracował. Tak więc gdy umarł w 1912 roku, jego córki straciły zarówno ojca, jak i dach nad głową. Deborah, szesnastolatka, poszła na służbę do Paveley-

ów, a Sarah wyjechała z wioski, szukać szczęścia gdzie indziej.

Urwała. Wyjrzałam na zewnątrz. Słońce przebijało się powoli przez mgłę - jego promienie padły na ścianki kryształowego żyrandola, a niebieskie, pomarańczowe i fioletowe plamki zatańczyły na ścianach.

- Dokładnie nie wiem, co się wydarzyło. Tylko tyle, że Edward de Paveley przyszedł

do łóżka mojej matki i wymusił na niej uległość. A potem, gdy ciąża stała się widoczna, matkę wyrzucono ze służby i musiała iść do przytułku. Domyślam się tylko, że mama rozmawiała z de Paveleyem. Powiedziała mu, czyje to dziecko. Prosiła o pomoc.

Wyobraziłam sobie ponury bezkształtny krajobraz poprzecinany gdzieniegdzie wą-

skimi wstążkami wody. Zobaczyłam młodą kobietę, niemal dziewczynkę, zniekształconą przez ciążę. I mężczyznę - zapewne na koniu albo w takim śmieszonym pudełkowatym aucie z przełomu wieków. Mężczyznę, który zatrzymuje się przy drodze, żeby z nią porozmawiać.

*R S*

- Nie wiem dokładnie, o co prosiła, ale on tak czy inaczej odmówił - ciągnęła Tilda. -

W maju 1914 roku matka wydała mnie na świat, a potem, na mocy decyzji władz lokalnych, odesłano ją z przytułku do zakładu dla umysłowo chorych. Mam kopię tego nakazu. Edward de Paveley sprawował wówczas urząd sędziowski i jego podpis widnieje na dokumentach.

Umilkła, a ja dostrzegłam bezbrzeżny smutek w jej oczach. Musiała zapewne długo ze sobą walczyć, by wyjawić te dotąd pilnie strzeżone tajemnice zupełnie obcej osobie. Szybko jednak odzyskała równowagę.

- Urodziłam się w przytułku, ale dzieciństwo spędziłam w sierocińcu - wyjaśniła. -

Nieślubne dzieci odbierano matkom zaraz po urodzeniu. A ludzie niechętnie decydowali się na adopcję takich maleństw. Uważano, że potomstwo z nieprawego łoża dziedziczy niemo-ralność matki. Niechciane dziecko zaciera koszarne wspomnienia o własnym urodzeniu, poświęcając życie na udzielanie pomocy innym porzuconym maleństwom. Gładka, zamknięta historyjka - myślałam. - Do ukończenia czwartego roku życia mieszkałam w sierocińcu. A potem wróciła Sarah. Moja ciotka Sarah. Mam jej zdjęcie - dodała z uśmiechem.

Otworzyła leżący na stole album. Popatrzyłam na fotografię. Kobieta, która odwzajemniła moje spojrzenie, odznaczała się uroczystym, trochę może niespokojnym wyrazem twarzy, typowym dla portretów z początku wieku. Wiązało się to zapewne - jak sądziłam - z koniecznością długotrwałego wysiadywania przed obiektywem. Ciotka Tildy miała bezkształtny gors osłonięty bluzką z wysokim

kołnierzem. W jej pospolitej twarzy o ostrych rysach nie mogłam się dopatrzeć żadnego podobieństwa do Tildy.

- Deborah była tą ładniejszą, a Sarah mądrzejszą z sióstr - powiedziała Tilda, jakby czytała w moich myślach. - Obawiam się, że nie mam fotografii matki.

- Mówiłaś, że po śmierci ojca Sarah wyjechała z wioski. Dokąd?

- Znając Sarah, mogę się tylko domyślać, że podróżowała po całej Anglii. Ona nigdzie nie mogła długo zagrzać miejsca. Kiedy zaś w końcu wróciła do Cambridgeshire, moja matka już umierała. W przytułkach i zakładach dla obłąkanych panowały naprawdę ciężkie warunki, a Deborah nigdy nie należała do silnych.

Tilda umilkła i zamknęła rodzinny album.

Przez chwilę jej wychudzona dłoń dotykała mojej.

- Sarah nie miała pojęcia, co spotkało jej siostrę, dopóki nie powróciła do wioski. Nawet sobie nie wyobrażasz, moja droga, jak bardzo zacofana była wschodnia Anglia na po-R S

czątku wieku. Bardzo niewiele rodzin dysponowało telefonem, a moja matka przestała chodzić do szkoły w wieku zaledwie dziesięciu lat. Potem musiała opiekować się ojcem, więc nie umiała wiele więcej od analfabetki. Tak czy inaczej Sarah pojechała do tego zakładu i rozmawiała z siostrą tuż przed jej śmiercią. Sądzę, że poznała prawdę, więc wyobrażam sobie, co czuła. Na pewno zżerał ją gniew i poczucie winy.

- Winy?

- Winy za to, że zawiodła siostrę w potrzebie. Ona była bardzo silna, Rebecca. Coś na pewno by wymyśliła. Nie dopuściłaby do tego, żeby jej siostra znalazła się w przytułku.

- I ona cię adoptowała?

- Tak. Pochowała siostrę, ale adoptowała jej córeczkę. Oczywiście nie pamiętam sierocińca, ale trudno się temu dziwić, ho miałam zaledwie cztery lata, kiedy ciotka mnie stamtąd zabrała. Sarah nigdy nie udawała mojej matki, podziwiałam ją za uczciwość. Kiedy podrosłam, wyjawiała mi, że jestem córką jej młodszej siostry. Oczywiście nic ponadto.

Twój ojciec zgwałcił matkę - rozumiałam, że takiej potworności nie sposób wytłumaczyć.

- I mieszkałaś... - odpowiedziałam.

- We wschodniej i południowej Anglii; w Suffolk, Norfolk, w hrabstwie Kent... Sarah pracowała na wsi jako pomoc przy żniwach.

- Jak Tess D'Urbervilles? - powiedziałam z uśmiechem.



- Coś w tym rodzaju. W lecie najmowałyśmy się do pracy w polu, czasem zbierały-

śmy chmiel w Kencie. W zimie szyłyśmy. A Sarah naprawdę pięknie szyła. Jej igła w ogóle nie zostawiała śladów. I mnie też nauczyła krawiectwa. Zawdzięczam jej zresztą wszystko, co umiem.

- Chodziłaś do szkoły?

- Od czasu do czasu, jeśli mieszkaliśmy w jakiejś wiosce dłużej niż kilka tygodni. Sarah nauczyła mnie pisać i czytać; miała wielkie zdolności do arytmetyki. Jeśli już uczęszcza-

łam na lekcje, to zawsze o klasę wyżej.

Pozornie mogłoby się wydawać, że Tilda wiodła kolorowe, cygańskie życie. Dziewczynka przyszła jednak na świat w złowieszczym roku 1914 i spędziła dzieciństwo w nie-spokojnych, rozgorączkowanych czasach.

- Zapewne nieraz było ci ciężko - zasugerowałam.

*R S*

- Och, tak. Już nigdy potem tak nie marzłam. Mróz wżerał mi się w ręce i w stopy. A kiedy budziłam się rano, moje pierwsze oddechy tworzyły w powietrzu obłoczki pary. No i dokuczały mi dzieci. Za bardzo się od nich różniłam.

Mówiła bardzo rzeczowym tonem, zupełnie się nad sobą nie litując. Trzymała się prosto, zupełnie jak kobieta na starej fotografii - ciotka Sarah, która ocaliła ją przed sierociń-

cem.

- Jestem trochę zmęczona - powiedziała nagle. - Starość daje mi się naprawdę we znaki. - Odwróciła głowę i popatrzyła na mnie kamiennymi szarymi oczyma. - Chcesz słuchać dalej, Rebecca? Mam ci powiedzieć o Jossy?

- Jossy? - powtórzyłam.

- O Jossy de Paveley, córce Edwarda de Paveleya.

Jej twarz nabrała nagle innego wyrazu - powoli zaczęłam rozumieć, że te gwałtowne zmiany są bardzo typowe dla Tildy.

- Jossy była, rzecz jasna, moją przyrodnią siostrą.

Kiedy jej ojciec został ranny w 1918 roku, Joscelyn de Paveley modliła się, żeby umarł. Gdy zaś powrócił do domu i przekuśtykał o kulach dystans między Bentleyem a drzwiami, jej dziecięca wiara w Boga uległa znacznemu zachwianiu i już nigdy nie odzyska-

ła dawnej żarliwości.

Doświadczenia wojenne, łącznie z utratą nogi w ostatnich miesiącach walki, otarcie się o grób i cudowne uzdrowienie zmusiły Edwarda do pewnych przewartościowań, ale nie osłabiły w żadnym stopniu jego autokratycznych zapędów. Dla Jossy jedynym trwałym skutkiem wojny, która zniszczyła na zawsze spokój Europy, było to, że jej ojciec spowolniał

i stał się znacznie mniej ruchliwy, dzięki czemu dziewczynka mogła łatwiej przed nim uciec.

W latach dzieciństwa Jossy jej wuj Christopher oraz ojciec wiedli zupełnie niezależne życie niczym planety wirujące po orbicie wokół dworu i majątku; ich byty łączyły się wprawdzie ze sobą, lecz rzadko spotykały. Wuj Christopher spędzał czas na polach i oko-licznych farmach, a Jossy w szkole i pokoju dzieciennym.

Dom de Paveleyów przybrał miano Dworu (nawet jeśli niegdyś określano go inaczej, to już nikt tego nie pamiętał). Najbliższa wioska nosiła nazwę Southam, a zarówno Southam, jak i Dwór wzniesiono na małych, oddzielonych od siebie gliniastych skrawkach *R S*

ziemi. Podczas ciepłych zim woda zalewała sadzonki w ogródku dziewczynki.

Życiem Jossy rządziło pragnienie, by nie wchodzić ojcu w drogę i umykać przed jego pogardliwym spojrzeniem oraz zimnym sarkazmem, który często doprowadzał ją do łez.

Zdarzały się jednak takie okropne momenty, gdy ich drogi zaczynały się krzyżować.

Pewnego dnia Edward postanowił nauczyć córkę jeździć konno. Lekcja trwała niecałą godzinę. Jossy podskakiwała na siodle, podczas gdy ojciec bez przerwy wrzeszczał na nią i uderzał batem o swoją sztuczną nogę. Komu innemu dziewczynka zapewne próbowałaby wyjaśnić, że choć uwielbia tego kucyka, to jednocześnie trochę się go boi. Ojcu niczego nie tłumaczyła, bo wiedziała, że nie warto. Kiedy jednak zrozumiała, że Edward sprzeda jej ukochanego konika, zaczęła gorzko płakać, czym tylko doprowadziła tyrana do jeszcze większej furii. Bat użądlił ją w ręce ściskające nerwowo cugle, a Edward de Paveley zaczął

złorzeczyć na los, który obdarzył go tylko jedną pozbawioną kręgosłupa córką.

Jossy dzieliła swój czas między szkołę, gdzie czuła się względnie szczęśliwa, i dom, gdzie też nie było jej najgorzej pod warunkiem, że zdołała uniknąć spotkania z Edwardem.

Miała swoje własne małe królestwa. Należał do nich pokój dziecienny, w którym prowadziła szkołę dla lalek i wydawała dla nich przyjęcia. Drugi taki azyl stanowił ogród ze starą huś-

tawką. Natomiast na biurku matki w saloniku pisała opowiadania i rysowała. Wymyślała sobie nawet towarzyszy zabaw, robiła szkice wyimaginowanej rodziny złożonej z trzech sióstr: Rosalie - najstarszej, Claribel - najmłodszej i Joscelyn - średniej. Tata dziewczynek nie żył, a matka była uroczą, tajemniczą istotą.

Kiedy Jossy skończyła jedenaście lat, zrozumiała, że ojciec nie zamierza się ponownie ożenić. Na podwieczorku u Marjorie Lyons, koleżanki mieszkającej w Ely, podsłuchiwała pewną interesującą rozmowę.

- Kazałam córce zaprosić tę biedną Joscelin de Paveley - mówiła mama Marjorie do jednej z pań. - Znałam Alicję, jej matkę. Edward de Paveley już nigdy się nie ożeni. Ta rana mu na to nie pozwoli - dodała szeptem. Joscelin chciała usłyszeć więcej, ale pani Lyons jeszcze bardziej zniżyła głos.

Dziewczynka nie była szczególnie zdziwiona tym, że sztuczna noga ojca uniemożliwi mu małżeństwo. Noga stanowiła dla niej zresztą źródło niezdrowej fascynacji podszytej odrazą. Echo nierównych kroków na kamiennych stopniach Dworu zawsze budziło w dziewczynce grozę. Raz słyszała nawet, jak kucharka mówi do Nany, że panu nogę urwało przy *R S*

samym biodrze. Kiedy indziej - udając, że się potyka - oparła dłoń o protezę. Ta martwa rzecz przyczepiona do żywego ciała przejmowała ją wstrętem.

Jossy była raczej pulchna; jej włosy i oczy miały, jak sama to nazywała, kolor błota.

W wieku piętnastu lat zaczęła płukać włosy sokiem z cytryny, a dzięki wielogodzinnemu wpatrywaniu się w lustro niemal zdołała uwierzyć, że powoli staje się blondynką.

W wieku lat dziewiętnastu zakończyła edukację. Dwa razy próbowała zdać maturę i dwukrotnie ją oblała, podobnie zresztą jak większość jej koleżanek. Ojciec Jossy nazywał

szkołę przechowalnią dla tępawych córeczek bogaczy. Zgodnie z oczekiwaniami dziewczyny, ostatni dzień nauki miał przynieść jakieś niezwykle wydarzenie - coś, co utwierdziłoby ją w przekonaniu, że stała się dorosłą kobietą i prawdziwą młodą damą. Mogłaby na przykład nagle wypięknieć lub stać się niezwykle kompetentną panią domu, podziwianą nawet przez Edwarda. No i oczywiście spotkać Mężczyznę Swego Życia.

Całymi godzinami wyobrażała sobie tego dżentelmena. Był wysokim, energicznym brunetem, umiał prowadzić samochód i jeździł konno z niezwykłą, wręcz brawurową łatwo-

ścią. Miał tajemniczą, bujną przeszłość i kochał Jossy najbardziej na świecie. Poznali się w niezwykle romantycznych okolicznościach, uciekając od gwaru panującego na balu, Jossy weszła do ogrodu, tam zobaczył ją On i uległ niezwyklej urodzie nieznajomej. Potem tań-

czyli na ścieżkach porośniętych stokrotkami, w powietrzu unosił się zapach lilii, a zakocha-nych oświetlały jedynie promienie księżyca.

Ale nic się nie zmieniło. Dworem zajmowała się - tak jak dawniej - pani Bradley i kucharka, a włosy Jossy utrzymały, mimo soku z cytryny, swój charakterystyczny błotnisto-brązowy odcień. Dziewczyna chodziła wprawdzie na tańce oraz przyjęcia, ale spotykani tam chłopcy byli przyszczaci i pozbawieni ogłady, a co gorsza, rozmawiali wyłącznie o krykiecie i motocyklach. A Nana nadal jej szyła sukienki, które zupełnie nie przypominały grzesz-nych, przylegających do ciała jedwabnych kreacji reklamowanych w magazynach mody.

Dni upływały Jossy między pokojem dziecięcym, salonikiem i ogrodem, bez szans na prze-rwanie nudy. Wychodziła tylko do kościoła i kuzynki Kit mieszkającej w domu rządcy.

Czas włókł się niemilosierdzie. Jossy jednak nie przestała wierzyć. Czuła, że on przecież kiedyś przyjdzie. Dwa lata po ukończeniu szkoły Jossy de Paveley nadal czekała na Mężczyznę Swego Życia.

Odsunęłam się od ekranu. Byłam wyczerpana, ale podniecona. Cztery strony. Z

*R S*

Oxfordshire przyjechałam prosto do domu i nawet nie zadałam sobie trudu, żeby zdjąć płaszcz. A pisanie nie sprawiało mi trudności. Czułam się tak, jakby ktoś poluzował sznur zaciśnięty na moim gardle, sznur, który mnie dusił już od kilku miesięcy.

Dziwiło mnie jednak to, że nadałam tej historii formę opowiadania. Rebecca Bennett zwykle nie ulegała emocjom, pisała obiektywnie i trzymała się faktów. Z drugiej strony trudno być pewnym przeszłości; zdarzenia zmieniają się i przekręcają jak kolorowe kryszta-

ły żyrandola wiszącego na werandzie Tildy Franklin.

Potem poszłam na spotkanie z Charlesem Lightmanem. Przy risotto oraz butelce pinot grigio Charles przedstawił mi swój nowy pomysł.

- Zmiana systemu pracy, śmierć rewolucji przemysłowej, moja droga. Wykazanie podobieństw między sposobem życia współczesnych telepracowników oraz ich przedindustrialnych przodków. Weźmy na przykład rzemieślników. Mieli krosna czy coś innego w tym rodzaju i rzadko kiedy wybierali się gdzieś dalej niż parę mil od domu. - Widelec przeszył powietrze. - Teraz ludzie mogą jeździć, gdzie chcą, jeśli tylko stać ich na utrzymanie samochodu. Zgrabne, nie?

- A co z tymi szkołami? Myślałam, że...

- Trochę oklepany temat, nie sądzisz? Praca jest na pewno ważniejsza.

Przekazałam mu nowinę. Na dźwięk nazwiska Tildy lekko się skrzywił.

- Wybawicielka wdów i sierot?

- Tylko sierot.

- Sądzisz, że ta historia jest dla ciebie wystarczająco... soczysta?

Kelnerka przyniosła kawę.

- Tak mi się zdaje. Choć to wszystko działo się rzeczywiście dawno temu.

- No cóż... Ellen Wilkinson... Zadaniem biografy jest zaprezentowanie losów danej osoby w sposób interesujący dla współczesnych - powiedział pompatycznie Charles.

- Losów Tildy - odparłam niemal automatycznie. Przypomniałam sobie, z jaką werwą spisywałam

historię Jossy, jak szybko przenosiłam słowa na klawiaturę, ale teraz uczucie ulgi pomieszało się z niepokojem. Może moje ozdrowienie okaże się krótkotrwałe? Może, gdy następnym razem zasiądę przed ekranem, wróci ten straszliwy paraliż?

- I... - zachęcił mnie Charles.

- I nigdy dotąd nie pisałam o osobie żyjącej. Ellen Wilkinson zmarła w 1947 roku.

*R S*

Wzruszył ramionami.

- Niektóre kobiety z „Sióstr Księżycy” nadal żyją.

- Tak. - Wlałam śmietankę do kawy. - Tylko że ona jest... dobra.

Opisywanie historii życia takiego filara społeczeństwa musiało się okazać czaso-chłonne i frustrujące. Sama Tilda nie kryła swego zamiłowania do dyskrecji. Od jakich zatem fragmentów swojej historii zamierzała mnie odciąć? Była stara i krucha, a jednak pod jej zewnętrzną kruchością wyczuwałam niezwykle hart ducha. Ta kobieta przebyła daleką drogę z przytułku do tego starego, pięknego domu, jaki miałam okazję odwiedzić. Słabeusz nie mógłby czegoś takiego dokonać. Siła Tildy fascynowała mnie i onieśmiałała jednocze-

śnie.

- Święci na ogół są strasznie nudni. - W moje myśli wdarł się nagle głos Charlesa. -

Na przykład w „Raju utraconym” najbardziej interesującą postacią jest Szatan.

- Wszystkie te ocalone sieroty i ich zakleksione bazgrołki, które oprawiła i powiesiła na ścianach, bardzo mnie oddalają od tej kobiety. Jak mogę do niej dotrzeć, Charlesie?

Pomyślałam, że dobro i piękno Tildy przypomina zbroję. Mnie pomniejszały, a ją czyniły nietykalną.

- Może odkryjesz coś pikantnego - mruknął leniwie Charles. - Jakiś szkielet w szafie.

Czy to nie byłoby wspaniałe?

Spędziłam weekend z Jane. W niedzielę opatuliliśmy chłopców i poszliśmy na długi spacer. W krzakach kryły się tojady, podobne do żółtych gwiazdek. Jack i Lawrie z zapałem przeskakiwali przez kałuże. Podczas spaceru Jane skarżyła się na wyprzedaje i nieprzespane noce, a ja mówiłam o Tildzie.

- Pojedź do niej znowu, porozmawiaj dłużej - radziła mi rozsądnie siostra. - Nie masz nic do stracenia.

W poniedziałek rano zatelefonowałam do Tildy, a we wtorek znów odwiedziłam Czerwony Dom.

Siedziałyśmy przy kominku w salonie na górze. Pomieszczenie musiało niegdyś służyć za werandę - w dużych półokrągłych oknach wychodzących na ogród odbija-

ło się słońce. W pokoju panował upał; dyskretnie zdjęłam żakiet i podwinęłam rękawy bluzki. Starym ludziom zawsze jest zimno.

Od czasu naszej poprzedniej rozmowy nastrój Tildy uległ diametralnej zmianie. Stała się kłótniwa i niemiła; na moje pytania odpowiadała wymijająco lub połowicznie. Jej kru-

chość jeszcze się wzmogła, a skóra przybrała bardzo blady odcień, typowy dla podeszłego wieku. Na zewnątrz wichura rozwiewała odłamane kawałki konarów i liście - pozostałości burzy. Wycie wiatru i uderzanie gałęzi o parapet wznagało tylko zdenerwowanie Tildy.

Wspomniałam o Jossy i Sarah Greenlees, ale w odpowiedzi uzyskałam jedynie monosylaby.

Osobie nie tak uroczej i szlachetnej jak pani Franklin tego rodzaju zachowanie poczytano by zapewne za nieuprzejmość. Czulałam, jak ogarnia mnie gniew i poczucie zawodu. W końcu to z jej inicjatywy pisałam tę biografię.

Próbując jakoś ratować zmarnowany dzień, namówiłam Tildę, by pozwoliła mi ponownie obejrzeć album z fotografiami. Ja przewracałam strony, a ona patrzyła na zdjęcia bez najmniejszego zainteresowania. Jedno z nich szczególnie przykuło moją uwagę: był na nim mężczyzna z dzieckiem, oboje niepospolitej urody. Właśnie zamierzałam zapytać Tildę o ich imiona, kiedy nagle staruszka wyraźnie się zaniepokoiła.

- Zdaje się, że ktoś idzie w stronę domu. Możesz sprawdzić, kto to, moja droga?

Wstałam i wyjrzałam przez okno, na ścieżkę, w miejscu gdzie wchodziły na nią bukszpany.

- Mężczyzna... jasnowłosy, raczej wysoki. Młody.

- Patrick - szepnęła Tilda i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

Podczas mojej poprzedniej wizyty wspominała, że ma wnuka o tym imieniu.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś o swojej wizycie? Mogliśmy zjeść razem lunch! -

wykrzyknęła, gdy jej nieoczekiwany gość stanął wreszcie w progu werandy.

Mężczyzna uściskał ją mocno.

- To była nagle decyzja. Umówiłem się z klientem w Oxfordzie.

- Pozwól, że cię przedstawię panie Bennett. Rebecca, mój wnuk, Patrick Franklin.

Podaliśmy sobie ręce.

- Dziś rano dostałem pocztówkę od taty - powiedział Patrick do Tildy. - Z Ułan Bator.

- Joshua zawsze się niepotrzebnie narażał - prychnęła Tilda.

- U nas to widać rodzinne. - Patrick miał na sobie skórzaną kurtkę i dzinsy. Pomyślałam, że w takim stroju na ogół nie odwiedza się klientów.

- Poproś Joan, żeby przygotowała herbatę, dobrze? Pewnie jesteś głodny. Joan na pewno zrobi ci omlet.

- Załatwię to, wychodząc, jeśli chcesz - zaproponowałam szybko.

*R S*

- Przecież ty się nigdzie nie wybierasz, moja droga. Dopiero co zaczęłyśmy.

Musiałam jakoś poskromić swoją niecierpliwość.

- Ty i Patrick na pewno będziecie chcieli porozmawiać.

- Zdążymy. Przecież nie możesz jeszcze wracać do Londynu. Taka długa podróż na nic...

Ale po podwieczorku Tilda zapadła w drzemkę - usta miała zamknięte, a pod powiekami poruszały się gałki oczne; widać śniła. Patrick Franklin okrył ją kocem i obrócił się do mnie.

- Przez dziesięć minut będzie odpoczywać. Tu jest naprawdę strasznie gorąco, muszę na chwilę wyjść. Babcia pokazywała już pani ogród, Rebecca?

Ogród, jaki wypatrzyłam przez okna cieplarni w czasie mojej poprzedniej wizyty, stanowił ponętą mieszaninę ścieżek i nadmiernie rozrośniętych drzew. Wyszłam za Patrickiem na zewnątrz. Przestało padać, ale w powietrzu nadal było wilgotno i wiał lekki wiatr.

- Tilda mi mówiła, że jest pani pisarką - zagaił, gdy schodziliśmy ze schodów.

- Na razie mam na koncie biografię Ellen Wilkinson.

- Tylko to?

- I jeszcze dokument telewizyjny.

- Ach tak, zakłady dla umyślowo chorych. Zajmuje się pani dziennikarstwem?

Kiedy potrząsnęłam głową, najwyraźniej odetchnął z ulgą.

- Biografia Ellen Wilkinson stanowiła rozwinięcie mojej pracy magisterskiej. Mam również na koncie parę artykułów dla „Historii”. - Moje dotychczasowe osiągnięcia nie mogły nikogo powalić na kolana. O przygotowywaniu uczniów do matury nawet nie wspomniałam, bo zabrzmiałoby to

żałości.

Spacerowaliśmy pod drzewami ociekającymi deszczem, wzdłuż szkarłatnych dereni o rachitycznych gałązkach. Żółte i fioletowe główki krokusów przebijały się już powoli na powierzchnię. Kręte, asfaltowe ścieżki zawiodły nas na małą, okrągłą polanę. W samym środku, na cokole, stała kamienna nimfa.

- To niezwykle, że Tilda wyraziła w końcu zgodę na tę biografię. - Patrick położył

dłoń na głowie posągu. - Nigdy bym nie przypuszczał... Już tylu wydawców usiłowało ją na to namówić. Odesłała wszystkich do diabła.

- Jeszcze nic nie zostało ustalone - zastrzegłam. - Tilda życzyłaby sobie wprawdzie, *R S*

żebym to ja pisała, ale jeszcze się nie zdecydowałam.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę podejmować tak ważnych zobowiązań. Musiałabym być pewna, że się naprawdę do tego nadaję.

Oczy Patricka były bardziej niebieskie niż oczy Tildy. Lekki uśmiech wykrzywił mu usta.

- Tilda nie dopuszcza myśli o odmowie. A ja, szczerze mówiąc, bardzo bym się ucieszył, gdyby odrzuciła pani propozycję. Błagałem babcię wielokrotnie, żeby dała sobie spokój z tą biografią, ale ona potrafi się uprzeć jak osioł.

Pomyślałam ze złością, że może to wyjaśnia dziwne zachowanie Tildy. Wścibski wnuk obudził w niej wątpliwości.

- Dlaczego pan się temu sprzeciwia? Ze względu na moją osobę? Nie jestem wystarczająco sławna?

- W moim głosie wyraźnie pobrzmiewał sarkazm.

Znów ten krzywy uśmieszek.

- Nie, chyba potrafi pani napisać tę książkę tak samo dobrze jak ktokolwiek inny.

Nawet lepiej niż większość.

Nie byłam pewna, jak go rozumieć. Franklin z pewnością nie zamierzał prawić mi komplementów.

- Więc?

- Tilda to stara i słaba kobieta, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Obawiam się, że nie wytrzyma takiego napięcia... Grzebanie się w przeszłości, przeżywanie jej na nowo... A miała naprawdę ciężkie życie.



- Dlatego pan przyszedł? Chciał mnie pan ostrzec?

Popatrzył na mnie zimno.

- Raczej sprawdzić.

Brutalna szczerłość Patricka wytrąciła mnie z równowagi. Franklin odwrócił się na pięcie i zaczął iść w stronę domu. Ledwo mogłam nadążyć za jego szybkimi, długimi krokami.

- Poza tym myślę, że to cholernie trudna robota - rzucił przez ramię, a jego słowa rozwiął wiatr. - Babcia nie zawsze jest komunikatywna.

- Ale będą inne źródła. Dzienniki, artykuły prasowe, rodzina...

*R S*

- Z rodziną będzie najtrudniej. - Zaśmiał się.

- Co pan ma na myśli?

- Jest nas dużo. Proszę pomyśleć o tych wszystkich adoptowanych dzieciach i wychowankach Tildy. Wielu z nas bez przerwy zmienia miejsce pobytu. A poza tym wszyscy jesteśmy tacy... uparci.

Pomyślałam, że Patrick specjalnie chce mnie zirytować. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Był naprawdę obrzydliwie przystojny. Odczuwałam aż nadto wyraźnie jego bliskość; przeszył mnie dreszczyk podniecenia - doznawałam podobnych emocji, kiedy zaczę-

łam pracować nad „Siostrami Księżycyca” i poznałam Toby'ego. Wściekła na siebie, odsunę-

łam energicznie pnącze dzikiej róży, skrapiając Patricka deszczówką.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, Tilda już nie spała, a przed nią leżał otwarty album z fotografiami.

- Rebecca, to jest Daragh - powiedziała takim tonem, jakby dokonywała prezentacji.

Patrzyła na zdjęcie mężczyzny i dziecka, to samo, które zauważyłam już wcześniej. Daragh miał ciemne, nieporządnie obcięte włosy, a jego głęboko osadzone oczy śmiały się do mnie poprzez te wszystkie minione lata. Wyglądał niewinnie i zarazem drapieżnie.

- Zrozum, kochanie, że są rzeczy, których nie wiem - powiedziała Tilda z wahaniem. -

Domyślałam się tylko pewnych szczegółów z życia Daragha i Jossy. Ale z drugiej strony mia-

łam ponad czterdzieści lat na to, by pojąć, co się stało lub też co się mogło stać.

- Moja rola polega jedynie na tym, by pozbierać te pojedyncze fragmenty w pewną ca-

łość, ułożyć z nich wzór. I tak będę się musiała bawić w zgadywanki.

Tilda skinęła wolno głową.

- Tak - szepnęła. - Tak. Patricku, zostaw nas teraz w spokoju. Kran w kuchni przecieka. W szafce na dole znajdziesz uszczelki.

Znów odzyskała energię i zdolności organizacyjne. Odniosłam wrażenie, że stoczyła ze sobą jakąś wewnętrzną walkę, po czym podjęła wreszcie stosowne postanowienie. Zapomniałam o niechęci, jaką darzyłam jej wnuka, i starałam się powrócić do przeszłości.

- Chcę ci powiedzieć, jak to się stało, że Sarah i ja zamieszkałyśmy na Moczarach.

Oczywiście wtedy nie miałam pojęcia, że jestem spokrewniona z de Paveleyami, Sarah nigdy nie rozmawiała ze mną o ojcu, a ja nie pytałam - w owych czasach nie wypadało. Dzieci szanowały starszych. Tak czy inaczej, ciocia Sarah powiedziała mi pewnego dnia, że wyna-R S

jęła domek w Southam.

Jeśli dobrze pamiętałam, tak się nazywała wioska, w której mieszkali de Paveleyowie.

Tilda wyraźnie posmutniała.

- Musisz pamiętać, Rebecca, że Sarah nienawidziła Edwarda de Paveleya z dwóch powodów. Ten człowiek odebrał jej zarówno siostrę, jak i dom.

- A jednak wróciła. Wróciła tam, gdzie codziennie go widywała.

- Wtedy on już bardzo poważnie chorował. Podobnie jak wielu innych mężczyzn z je-go pokolenia, nie odzyskał po wojnie pełni sił. Poza tym Dwór leżał ponad milę za wioską. -

Tilda zaczęła przerzucać kartki albumu, nagle odłożyła go na bok i zmarszczyła czoło. - Po naszym przybyciu do Southam Sarah bardzo się zmieniła. Zawsze różniła się w jakiś sposób od innych ludzi i postępowała raczej niekonwencjonalnie, ale kiedy zamieszkałyśmy w Długim Domku, stała się odludkiem. Nie chciała nawiązywać kontaktów z innymi mieszkań-

cami wioski. Teraz rozumiem oczywiście dlaczego, ale wtedy nie znałam przyczyny takiego zachowania. Spójrz, tu jest nasz azyl - powiedziała, podsuwając mi album.

Na czarno-białej fotografii widniał mały, niski domek z cegły, pokryty trzcina.

- Kiedyś był to budynek gospodarczy, ale większość pól sprzedano. Na szczęście zostało trochę ponad akr gruntu. Bardzo mi się tam podobało. Na wiosnę, kiedy z jabłonek spadały płatki kwiatków, ziemia wyglądała zupełnie jak pokryta śniegiem. Uwielbiałam ten widok.

Wyobraziłam sobie Tildę - bez zmarszczek, z gładką, młodą cerą, szarooką, jasnowłosą dziewczynę ubraną w typową dla okresu międzywojennego sukienkę z przedłużoną talią.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście. Przyjechałyśmy do Southam w 1931 roku.

Rozległo się pukanie do drzwi, Patrick zajrzał dyskretnie do środka. Wbiłam wzrok w notatki.

- Naprawiłem kran - oznajmił. - A Joan przysyła kawę.

Kiedy wnosił tacę do pokoju i stawiał ją na stole, Tilda patrzyła na niego kochającym wzrokiem. Zerknąwszy na zegarek, zobaczyłam, że dochodzi czwarta, a na szóstą umówi-

łam się na kolację.

Podziękowałam za kawę i wstałam.

- Następnym razem opowiem ci o Daraghu - obiecała Tilda.

*R S*

Poczułam na sobie wzrok Patricka, ale nie odwzajemniłam tego spojrzenia. Decyzję już podjęłam. Układałam nawet w głowie kolejne zdania. Chciałam usiąść i pisać. Opowieść Tildy wciągnęła mnie w pułapkę, owijając tak precyzyjnie i niewidocznie jak pajęczyna, która oplątywała bukszpany rosnące w ogrodzie.

Szare plastikowe wnętrze samochodu, światełka, włączniki oraz stosy chrupek i kar-  
tony z sokiem owocowym podziały mi na nerwy. Odnosiłam wrażenie, że pochodzą z innego świata lub z innej epoki.

## **Rozdział 2**

Daragh Canavan wyprowadził się z Liverpoolu do Londynu już przy pierwszej sposobności. W Liverpoolu mieszkało stanowczo zbyt wielu Irlandczyków.

Przybył z Irlandii na statku, pospiesznie, zawarłszy zupełnie nieodpowiednie znajomości. Przestał oglądać się za siebie dopiero wówczas, gdy zeskoczył z ciężarówki i zobaczył, jak kierowca odjeżdża, zostawiając go samego w strugach deszczu, blasku świateł i londyńskim wieczornym hałasie. Stojąc na chodniku, Daragh poczuł, jak bardzo się cieszy z tego, że uciekł od przeszłości. Wreszcie wszystko stało się możliwe.

A w przeszłości była mama, tata i pół tuzina młodszego rodzeństwa. Na myśl o matce radość Daragha nieco przybladła. Otrząsnąwszy się z gwałtownego przypływu tęsknoty, podniósł szary pakunek zawierający cały jego dobytek i ruszył przed siebie. Kulił się z zimna, a że pozdzierał podeszwy, bolały go również pokaleczone stopy. W kieszeni miał zaledwie kilka szylingów. Wiedział, że musi znaleźć jakiś nocleg i coś do jedzenia. Następnego dnia zamierzał poszukać pracy. Ten kraj - a już szczególnie Londyn - wydawał mu się kra-iną miodem i mlekiem płynącą. Wszak każdy o tym wiedział. A Daragh urodził się w czepku; matka powtarzała mu to przecież przy każdej okazji.

*R S*

Zatrzymał się przed restauracją i zerknął do wewnątrz przez szybę, nie zwracając uwagi na deszcz kapiący mu na plecy. Gdy jeden z gości otworzył drzwi, by wyjść na ulicę, Daragh poczuł oszałamiający zapach jedzenia. Kelner rzucił mu podejrzliwie spojrzenie, toteż chłopak zrobił parę kroków w stronę wejścia, dotykając monet, jakie spoczywały w jego kieszeni. Patrzył jednocześnie na menu wystawione w oknie. Ceny naprawdę go zaszokowały. Musiałby zapłacić cztery szylingi za kawałek ryby i porcję puddingu.

Daragh pchnął drzwi. Dostrzegłszy zbliżającego się kelnera, poczuł ucisk w gardle.

Wstał, mnąc w dłoniach przemoczoną czapkę.

- Czym mogę służyć... sir?

Daragh dosłyszał tę przerwę między wyrazami i uśmiechnął się sympatycznie.

- Poproszę tylko o dzbanek herbaty i talerz chleba z masłem. - Choć umierał z głodu, nie miał pieniędzy na dwudaniowy obiad.

Kelner, niski żylasty mężczyzna, splótł osłonięte rękawiczkami dłonie.

- Obawiam się, że nie podajemy tu herbaty.

Daragh czekał na „sir”, ale tym razem to słowo nie padło.

- W takim razie proszę tylko o chleb.

Kelner otaksował go od stóp do głów, rozciągając cienkie wargi w protekcyjnym uśmiechu.

- Wydaje mi się, że posiłkami dla tego rodzaju osób zajmuje się Kościół Najświętsze-go Serca. To niecałe pół mili stąd.

Daragh poczuł, że serce bije mu jak oszalałe. Niektórzy z gości wpatrywali się w niego ciekawie; zerkała na niego nawet piękna brunetka z nieprzyzwoitym dekoltem.. Po obu stronach ciemnowłosej siedzieli głupawo wyglądający mężczyźni. Obaj mieli zaczesane do tyłu, czarne, błyszczące włosy, a sztywne kołnierzyki koszul najwyraźniej utrudniały im oddychanie. Daragh odwrócił się do wyjścia.

Akurat w tym momencie przesiąknięty wodą pakunek pękł i cały dobytek chłopca rozsypał się na podłogę. Kiedy zbierał swoje skarby: kubek, różaniec, zielony sweter zrobiony na drutach przez ukochaną siostrę Caitlin i stare połatanie przez matkę spodnie, usłyszał perlisty śmiech pięknej dziewczyny. Błady jak ściana chwycił swoje rzeczy i wypadł na ulicę.

Szedł, dopóki nie natrafił na duży katolicki kościół przy końcu ulicy. Ołtarz, krzyż i *R S*

obrazy przedstawiające świętych wyglądały tak znajomo, że od razu odzyskał spokój. Nie szukał jednak darmowej jadłodajni, ale ukląkł i zaczął się modlić. Modlił się za mamę, braci i siostry, a także za dziadka staruszka mieszkającego na wsi. Modlił się gorąco również i o to, by już nigdy, przenigdy nie zrobić z siebie takiego głupca.

Daragh Canavan odkrył, że Londyn ma dwa oblicza. To pierwsze - fascynujące, ma-giczne, z wielkimi domami, eleganckimi teatrami, kinami, domami towarowymi o błyszczą-

cych wystawach i drugie - zdecydowanie bardziej ponure. Schroniska, darmowe jadłodajnie dla biedaków, kolejki w Urzędzie Zatrudnienia. Tygodnie mijały, a on nie mógł znaleźć pracy. Ubranie zniszczyło się jeszcze bardziej; nie miał pieniędzy na kąpiel. Portierzy stojący przy wejściu do wielkich sklepów nie chcieli już wpuszczać go do środka, nie mógł więc nawet przez chwilę ogrzać przemarzniętych kości. Stał na ulicy, smagany zimnym marco-wym wiatrem i machał rękami, żeby odpędzić chłód. Dozwolone było jedynie oglądanie wystaw, wstęp do sklepów - wzbroniony. Przycisnął palce do zimnej szyby. Nigdy dotąd nie zaznał takiego osamotnienia i poczucia wyobcowania.

Po miesiącu wpadł w rozpacz. Wiedział, że jego szanse na znalezienie stałego zajęcia maleją dosłownie z każdym dniem. Własne odbicie, jakie oglądał w witrynach, uwłaczało jego godności.

Wyjechał z Londynu dzień po tym, jak okradziono właściciela sklepu z tytoniem. Sam nie kradł, stał tylko na czatach, podczas gdy jego dwaj znajomi ze schroniska plądrowali wewnątrz. Ten parszywy mały sklepik przypominał mu o kiosku Paddy Meedghana i chłopca ogarnął nagle przytłaczający, piekący wstyd; wystarczyło kilka miesięcy w Anglii, żeby tak się stoczył.

Z dwoma banknotami funtowymi, jakie otrzymał od złodziei, Daragh wyszedł na Drogę Północną i złapał okazję. Szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło - kierowca zaproponował mu kilkudniową pracę na farmie. Daragh pomyślał o County Clare, rodzinnej wiosce dziadka. Spędził tam jako dziecko wiele szczęśliwych chwil.

Tym razem na miejscu nie czekał go jednak przelotny deszczyk ani faliste pagórki.

Tnąc kawałki darni, czuł, jak go przytłacza płaski krajobraz i bezkresne niebo. A gdy obla-mowana złotem chmura przykryła słońce, a jasne promienie światła ześliznęły się na ziemię, chłopiec - oszołomiony tym surowym pięknem przyrody - przeżegnał się ze zgrozą i nabo-

żeństwem. Po tygodniu dostał wypłatę i powędrował dalej. Pogoda znacznie się poprawiła, a *R S*

ciepłe powiewy wiatru pozwalały myśleć o wiośnie. Już w Ely wszedł do katedry i podniósł

wzrok na kamienne sklepienie. Postanowił zawrzeć układ z Panem Bogiem: rok regularnego uczęszczania na mszę świętą, w zamian za otrzymanie pracy jeszcze tego samego dnia.

Pan Bóg przystał na układ. Ledwo Daragh wyszedł z katedry na błonia, natychmiast dostrzegł mężczyznę, który mozolnie staczał do piwniczki beczki z piwem. Chłopiec podbiegł do niego natychmiast i pomógł zdjąć ciężkie antałki z wozu. Kiedy skończyli, rumiany karczmarz otarł pot z czoła, a Daragh poprosił go o pracę - chociaż na parę tygodni, na pró-

bę. Przekonywał szynkarza, że jest pracowity, uczciwy i chętnie podejmie się każdego zajęcia.

Następnego ranka stał za barem, a po dwóch tygodniach pracy w „Polowaniu” zobaczył tę dziewczynę.

Prowadziła rower przez dziedziniec katedry, rozmawiając jednocześnie z przyjaciółką.

Była wysoka, szczupła, wyprostowana, a złotobrzazowe włosy sięgały jej do pasa. Oczy w kształcie migdałów miały barwę kamyków wypłukanych w strumyku. Wszystkie inne dziewczyny, jakie do tej pory widział, wydały mu się pospolite. Doznał nagle dziwnego wrażenia, że rozpoznaje coś znajomego. Czuł się tak, jakby nagle wrócił do domu i oczekiwał miłej niespodzianki.

Tilda codziennie przemierzała na rowerze dystans sześciu mil, jaki dzielił ją od Ely.

Lekcje w Akademii Maszynopisania i Księgowości prowadzonej przez panią Clare rozpoczynały się o dziewiątej rano. Po przybyciu do Southam Tilda zwierzyła się ciotce, że zamierza zostać pielęgniarką. Ciotka nie sprzeciwiła się wprawdzie tym zamiarom, ale poradziła dziewczynie, by jeszcze nie podejmowała decyzji. Wkrótce potem kupiła jej kilka kur i znalazła miejsce w akademii panny Clare.

Każdego ranka, kiedy Tilda wyruszała do Ely, dzwoniły jej w uszach ostrzeżenia ciotki. Mężczyźni, obcy, alkohol - choć niekoniecznie w takiej właśnie kolejności - stanowili ponoć największe zagrożenie dla dziewcząt. Akademia panny Clare okazała się znacznie mniej okazała, niż mogłaby to sugerować jej nazwa. Wszystkie zajęcia odbywały się w saloniku małego domku położonego przy jednej z bocznych uliczek miasta. Panna Clare - wysoka, koścista, pachnąca miętówkami kobieta - udzielała lekcji, stojąc. Pokazując coś na tablicy drewnianą laską, wyglądała jednocześnie przez okno na ulicę, tak jakby na kogoś czekała. Dziewczęta szeptały między sobą, że panna Clare wygląda ukochanego. Emily Potter, *R S*

przyjaciółka Tildy, rysowała złośliwe karykatury kochanka panny Clare i pokazywała je koleżankom. Lekcje były okropnie nudne. Nauczycielka stenotypii musiałaby mieć prawdziwą smykałkę i dużo wyobraźni, by zainteresować uczennice tak niewdzięcznym przedmiotem.

A tych cech panna Clare nigdy nie posiadała. Podczas lekcji Tilda zwykle bujała w obłokach. Marzenia te często przerywał lub wręcz uśmiercał przesadnie dystygowany ton nauczycielki, która miała niezwykle irytujący zwyczaj akcentowania niewłaściwego wyrazu w zdaniu.

- Panno Greenlees, jak sobie pani właściwie wyobraża swoją przyszłą pracę, skoro nie nabyła pani umiejętności skupiania uwagi? - pytała surowo.

Pewnego dnia Emily zaprosiła Tildę na herbatę. Po lekcjach spacerowały po Ely.

Świeciło słońce i Tilda upchnęła płaszcz w rowerowym koszyku.

- Chcesz być maszynistką, Em?

- Wiele dziewczyn pracuje w tym zawodzie - powiedziała Emily, wzruszając ramionami. - Poza tym nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Mogłabyś zostać artystką.

- Artystką? - powtórzyła pogardliwie Emily. - Rodzice nigdy by mi na to nie pozwolili. - Wzięła z koszyka jabłko i nadgryzła je z apetytem. - Zresztą marzę o tym, by pracować dla jakiegoś wspaniałego człowieka. Najlepiej dla bardzo wysokiego, bogatego bruneta. A on zakocha się we mnie i zabierze z tego nudnego Ely. Może zjesz kawałek?

Tilda chętnie przyjęła jabłko. Mijały właśnie ciąg sklepów i pub.

- Widziałam prawdziwe чудо... nie odwracaj się, proszę, jeszcze nie. No już możesz.

Tam.

Tilda popatrzyła na młodego mężczyznę stojącego pod karczmą. Chłopak opierał się o mur i palił; miał ciemne, lekko kręcone włosy. Nie nosił czapki.

- Nie gap się tak - szepnęła Emily ze złością. - On na nas patrzy! O święci anieli! Jest po prostu boski. Naprawdę boski. - Obie panny skrzyły ze śmiechem na ścieżkę prowadzą-

cą do domu Potterów.

Gdy Tilda wróciła do domu, ciotka piekła chleb. Sarah Greenlees włożyła długą niebieską spódnicę przykrytą sztywnym brązowym fartuchem i białą bluzkę z wysokim kołnierzem.

- Kolacja w piecyku, Tildo.

*R S*

Tilda usiadła w rogu stołu, żeby zjeść placek. Panny Greenlees nie miały osobnej jadalni - takiej jak w domu Potterów - posiłki jadały w kuchni. Przybyły do Southam przed sześcioma miesiącami i Tilda zdążyła się już przyzwyczać do Długiego Domku. Do tej pory nie mieszkała nigdzie przez tak długi czas. Nic w ich domu nie było nowe - firanki w kuchni powstały z sukienek Tildy, a poduszki na sofie z materiałów kupionych za bezcen na wyprzedaży lub z kawałków szerokich peleryn ciotki. Tilda przypomniawszy sobie łazienkę Potterów: puchate ręczniki, pasujące do nich kolorem mydło i puder. Zapach mydła pozostawał nadal na dłoniach dziewczyny - powąchała je ukradkiem. Zarówno ona, jak i ciotka Sarah korzystały z zimnej wody z dzbanka stojącego na toalecie, a kąpały się w blaszanej wannie w kuchni.

Tilda trąciła placek widelcem i zaczęła się wiercić na krześle.

- Jedz, dziecko. Kto nie marnuje, ten nie bieduje. - Sarah miesiła właśnie ciasto.

„Kto nie marnuje, ten nie bieduje” należało do ulubionych powiedzonek ciotki. Równie często mawiała: „Ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka”. Tilda posłusznie dojadła resztki placka, umyła talerz, po czym szybko wyszła na dwór.

Nakarmiła kury i zebrała jajka na sprzedaż. Ciotka pozwalała jej zatrzymywać połowę uzyskanych w

ten sposób pieniędzy. Następnie, nucąc jakąś wesołą melodię, przystąpiła do pielienia grządek z warzywami. Kiedy kończyła, po niebie pełzały ciemne smugi zmierzchu.

Tilda zrzuciła fartuch i wybiegła z ogrodu - przez wioskę, dróżką obok kościoła wiodącą nad groblę. Tam położyła się na trawie i spojrzała w niebo. Podwójnie odbite w grobli róż-

zowozłote chmury wyglądały tak, jakby pokrywała je rybia łuska. Tilda przymknęła oczy i potoczyła się z brzegu na łąkę, stopniowo nabierając szybkości. Oszołomiona, roześmiana, wbiła dłonie w miękką glebę, a następnie spróbowała się podnieść. Czubkiem wskazującego palca natrafiła na coś zimnego i twardego. Pogrzebawszy w ziemi, wyjęła mały, metalowy krążek.

Gdy wytarła go dokładnie rąbkiem spódnicy, zobaczyła, że to pieniążek. Moneta mia-

ła nierówną grubość i Tilda nie rozpoznała ani wygrawerowanej na rewersie twarzy, ani zniszczonego starego napisu. Przy samym brzegu krążka zauważyła dziurkę. Wyciągnąwszy z kieszeni kawałek sznurka, przewlokła go przez otwór, a następnie zawiesiła swoje znalezisko na szyi.

- Boże, spraw, żeby nie straszyły mnie upiory i nie gryzły wygłodniałe diabły - mruk-R S  
nęła, krzyżując palce na szczęście.

Potem położyła się na pachnącej trawie i znowu pomyślała o mężczyźnie stojącym pod gospodą.

Emily poprosiła Tildę, żeby co wieczór przed powrotem do Southam odprowadzała ją do domu. Minęły trzy dni, ale dziewczętom udało się zobaczyć tylko grubego szynkarza toczącego wózek z piwem.

Emily była niepokojona.

- Widocznie tylko tędy przejeżdżał w drodze do Londynu lub jakiegoś innego interesującego miejsca. W Ely trudno ciekawie żyć.

Ale czwartego dnia znowu go zobaczyły.

- O Boże - szeptała Emily. - O Boże! Podejdz i stań przy mnie, Tildo, chcę się umalować tak, żeby on tego nie widział. - Emily pogrzebała w torebce, po czym wyjęła z niej szminkę i puderniczkę. - „Prawdziwa Piwonia” - szepnęła do Tildy między muśnięciami. -

Zbyt jaskrawa, prawda? Mama chyba mnie zabiła. Ty też może się trochę... Nie! - krzyknęła nagle. - Za późno. On już idzie. O Boże!

- Może paniom pomóc? Jesteście strasznie obciążone - odezwał się nagle głos.

- Irlandczyk - szepnęła Emily. - Jak bosko!

Był wysoki, zielonooki, kręcone czarne włosy sięgały mu do kołnierza koszuli.



- Nie chciałbym przeszkadzać, ale widziałem panie raz czy dwa i tak się czuję, jakby-

śmy się znali - powiedział. - Nazywam się Daragh Canavan. Czy mogę pani pomóc, panno...

- Wyciągnął rękę.

- Potter. - Emily wręczyła mu koszyk. - Emily Potter. A to jest panna Greenlees. - Tilda i Daragh uścisnęli sobie ręce. - Chodzimy do szkoły dla sekretarek. To okropnie nudne.

W grudniu pojechałam na weekend do Londynu i poczułam się tam jak w niebie. - Emily mówiła stanowczo zbyt szybko, a jej twarz przybrała dokładnie taki sam odcień jak pomad-ka.

- Ja pochodzę ze wsi. Duże miasta bywają okropne. Gdzie pani mieszka, panno Greenlees?

- W wiosce zwanej Southam, to jakieś sześć mil stąd.

Daragh Canavan szedł między dziewczętami, niosąc torbę Emily. Gdy dotarli do do-mu Potterów, Tilda wskoczyła na rower, szybko się pożegnała i zjechała ze zbocza.

*R S*

Tego wieczoru po herbacie Tilda prała, a ciotka Sarah rąbała drewno na podwórku.

Tilda wyzęła skarpetki, wrzuciła je do wiklinowego koszyka i otworzyła drzwi do składziku. Gdy wyszła do ogrodu, dobiegły ją głosy.

- Tak sobie myślę, że mógłbym porąbać drewno, psze pani. Niedługo by mi zeszło.

Rozpoznawszy głos Daragha, Tilda omal nie upuściła koszyka.

- Sama potrafię się tym zająć. Dziękuję, młody człowieku.

- Oczywiście, psze pani. Ja tylko chciałem pani ulżyć.

- A to dlaczego? - spytała podejrzliwie ciotka Sarah.

- Bo mama mnie wychowała na dobrego chrześcijanina i dżentelmena.

Tilda usłyszała niedowierzające prychnięcie ciotki i łupnięcie siekiery o drewno. Wy-szła szybko ze składziku na podwórze.

- Dobry wieczór, panie Canavan.

Ciotka Sarah przerwała machanie siekierą,

- Czy ty znasz tego młodego człowieka, Tildo?

- Spotkaliśmy się po południu w Ely.

- Rozumiem. Taki dobry chrześcijanin, w dodatku dżentelmen. - Tego tonu ciotka używała zwykle w stosunku do natrętnych kupców, którzy chcieli sprzedać jej tandetę. Nie-fortunni domokrażcy zwykle zaczynali się więc pod pogardliwym spojrzeniem Sarah.

Daragh Canavan zupełnie się jednak nie spieszył.

- Przechodziłem właśnie przez Southam...

- Tędy nikt tak po prostu nie przechodzi. - Ciotka znów uniosła siekierę. - Bierze mnie pan za głupią, czy jak?

- No dobrze, przejrzała mnie pani, przyznaję. Jestem daleko od domu, a ta młoda da-ma była dla mnie bardzo miła. Chciałem po prostu zobaczyć przyjazną twarz. Tęsknię za rodziną, a najbardziej za mamą. I jeszcze za siostrą, Caitlin. To dobra dziewczyna, taka jak panna Greenlees. A ja miałem wolny wieczór i zrobiło się tak ładnie, więc pomyślałem, że spacer poprawi mi humor.

Sarah przymrużyła oczy.

- Gdzie pan pracuje, panie Canavan?

- W „Polowaniu”, w Ely.

Siekiera łupnęła niezycliwie w pniak, rozbijając go na dwie części. Ciotka Sarah *R S* wrzuciła szczapy do kosza.

- W marcu ciąłem torf, a w zimie byłem w Londynie, gdzie zajmowałem się tym i owym. Ale Londyn to okropne miejsce. Chciałem się wynieść z miasta, więc przyjechałem tutaj poszukać pracy na farmie.

- Ciężkie czasy - mruknęła Sarah, łagodniejąc. Daragh zerknął na siekierę.

- Mógłbym porąbać ten wielki stos w mgnieniu oka, jakby się pani zgodziła, pani Greenlees. Podziękowałbym pani w ten sposób za towarzystwo w tak miły dzień.

- Jestem panną Greenlees, nie panią, jeśli łaska, młodzieńcze. A Tilda to moja siostrzenica, nie córka - powiedziała surowo Sarah, ale odstąpiła od stosu drewna, po czym wręczyła Daraghowi siekierę. Chłopak zrzucił marynarkę i zakasał rękawy. Plecy wygięły mu się w łuk, a mięśnie napięły, gdy zamachnął się siekierą i uderzył w kloc.

\* \* \*

Przychodził raz w tygodniu porąbać drewno. Po trzech tygodniach ciotka Sarah dała za wygraną i po pracy zaprosiła go do domu. Daragh wypił herbatę na stojąco i został wy-proszony na podwórze, gdy tylko w jego filiżance zrobiło się pusto.

- To łotr. Łotr - powiedziała Sarah, zatraskując za nim drzwi. - Musisz o tym pamięć-

tać.

Ciotka Sarah uważała wszystkich mężczyzn za skończonych łotrów, toteż Tilda nie wzięła sobie zaniechania do serca jej opinii. Unikała jednak rozmów na temat Daragha.

- Ale on cię nie nagabuje, prawda? - pytała nieraz ciotka.

Tilda odpowiadała niezbyt szczerze, że Daragh wcale jej nie nagabuje. Daragh Canavan spotykał się z nią i Emily raz lub dwa razy w tygodniu. Gawędzili sobie we trójkę w drodze do domu. Ostatnimi czasy ich rozmowy przeniosły się do kawiarni, gdzie wypijali filiżankę herbaty, co było dla Tildy zupełną nowością. Ciotka Sarah uważała chodzenie do kawiarni za stratę pieniędzy.

Daragh rozśmieszał obie panny do łez; przy nim przyjaciółki zapomniały o nudzie w akademii. Pewnego popołudnia poszli do kina obejrzeć „Sen Hindle'a”. Emily szłochwała w chusteczkę, a Tildę - otoczoną złoceniami i czerwonym aksamitem - zupełnie oszołomiły ogromne, poruszające ustami figury z ekranu. Kiedy skończył się film i wyszli z kina, słoń-

ce świeciło jasno, hałas na ulicy oszałamiał.

- Jaka smutna historia - westchnęła Emily. - Prawda, Daraghu?

*R S*

Z przeciwka nadjechał samochód.

- Emily! Em! - wykrzyknął młodzieniec siedzący za kierownicą. - Wszędzie cię szukałem!

Emily odwróciła głowę.

- Roland! - pisnęła. - Och! Roland! Przecisnęła się przez tłum.

- Dlaczego mi nie napisałeś, że wracasz do domu, bestio? Poznaj moich przyjaciół.

Roland był - tak jak Emily - niski i pulchny.

- Rollo - powiedziała dziewczyna, przytuliwszy brata - pozwól, że ci przedstawię moją drogą przyjaciółkę Tildę Greenlees. Tildo, to mój brat, Roland.

Roland i Tilda uścisnęli sobie dłonie.

- A to jest Daragh. Canavan. Właśnie wyszliśmy z kina. Roland skinął Daraghowi głową, ale nie wyciągnął do niego ręki.

- Dobry film?

- Świetny! Prawie tak wspaniała jak „Nimfa”, którą mogłabym oglądać bez końca.

- Wiem. - Roland skrzywił się. - Proszę sobie wyobrazić, panno Greenlees, że na

„Nimfę" musiałem ją zabrać trzy razy.

- Tilda nigdy dotąd nie była w kinie - powiedziała Emily.

- Podobało się pani, prawda? - spytał Daragh, patrząc niespokojnie na Tildę.

- Spędziłam cudowne popołudnie. Jedno z najwspanialszych w życiu - odparła szczerze dziewczyna.

Twarz Daragha rozjaśniła się.

- Świetnie. W takim razie w przyszłym tygodniu możemy to powtórzyć.

- Oczywiście - zaczęła Emily. - Dobry...

- Może wybrałybyście się ze mną na przejażdżkę, panienki? - przerwał Roland.

- To twój? - spytała Emily, patrząc na samochód.

- Kupiony za pieniądze wuja Jacka. Pozwólcie, że wam pokażę, do czego jest zdolny.

- Roland przeszedł na drugą stronę jezdni i otworzył drzwiczki po stronie pasażera. Emily popędziła w podskokach za bratem.

- W takim razie ja wracam do pubu. - Daragh popatrzył za Potterami. - Dochodzi pięta.

- Chodź tutaj, Tildo! - zawołała Emily, a Daragh odszedł w swoją stronę z rękami w *R S* kieszeniach. Tilda przebiegła przez ulicę.

- Gdzie Daragh? - spytała Em, wychylając głowę przez okienko.

- Musiał wracać do pracy.

- A niech to! Chciałam, żeby usiadł obok mnie.

Auto miało plandekę zamiast dachu, tylne siedzenie było wąskie i stanowczo niewy-starczające dla dwóch osób. Roland otworzył drzwiczki od strony kierowcy.

- Przepraszam za tę ciasnotę, panno Greenlees.

- Może lepiej wróć do domu - szepnęła Tilda.

Nie mogła zapomnieć, jak popatrzył na nią Daragh, gdy odchodził w stronę pubu, z rękami w kieszeniach.

- Nie bądź gąską i pospiesz się!

Pozwoliła się przekonać. Nigdy dotąd nie jechała autem. Wyprowadziwszy wóz z krętych uliczek Ely, Roland przycisnął gaz do dechy.

- Gdzie poznałaś tego gościa? - spytał Roland, przekrzykując huk silnika.

- Któregoś dnia wracałam z Tildą do domu i natknęliśmy się na niego. Zupełnie przypadkiem. Mówił, że tak się czuje, jakby znał nas od dawna. Czy to nie romantyczne?

- Raczej prostackie. Pewnie cytował jakiś głupawy film.

- Daragh to najwspanialszy mężczyzna na świecie, Rolandzie.

- Ale nie bardzo do nas pasuje, Em. Miał na sobie długie buty, na miłość boską. Takie okropne robociarskie buciory.

Któregoś dnia po zajęciach obie panny pojechały z Rolandem na piknik nad rzeką.

Przy brzegu szumiały trzciny, po wodzie pływały lilie. Roland opowiadał dziewczętom o swojej pracy w gazecie.

- Tak naprawdę to jestem wychwalanym przez wszystkich pod niebiosa chłopcem na posyłki. Wątpię, czy pozwolą mi kiedykolwiek coś napisać.

Zjedli kanapki z jajkami oraz sałatą i galaretkę migdałową, która rozpuściła się prawie natychmiast potem, gdy Emily wyjęła ją z foremki na talerz. Roland zabrał przenośny adapter i tańczył po przybrzeżnej łące raz z Tildą, raz z Emily. Potem Tilda usiadła na brzegu i włożyła nogi do wody. Muł brudził jej palce, w płyciźnie śmigają maleńkie rybki. Słońce prażyło kark i ramiona dziewczyny.

Emily usiadła obok.

*R S*

- Daragh jeszcze mnie nie poprosił o spotkanie, chociaż tak bardzo się starałam ułatwić mu sytuację. Prawie go błagałam, by mnie zabrał na jarmark w Southam.

Tilda od razu sobie przypomniała, że Roland Potter nie podał Daraghowi ręki. Przypomniała sobie również komentarz Rolanda na temat butów chłopca. Potter najwyraźniej bardzo szybko podsumował Canavana i uznał go za kogoś niewartego uwagi.

- Mam plan, nic nie mów. - Emily podniosła głos. - Moglibyśmy pójść na drinka. Przy

„Polowaniu” jest naprawdę piękny ogród.

Roland zrobił powątpiewającą minę.

- No nie wiem, nie jestem pewien, czy mama...

- Nie nudź. Idziemy. - Emily wstała i otrzepała trawę ze spódnicy.

Pojechali z powrotem do Ely. Auto podskakiwało na wyboistych drogach. W ogródku

„Polowania” Roland znalazł wolny stolik.

- Jest! - Emily uśmiechnęła się, bardzo zadowolona z siebie. W rogu ogrodu Daragh Canavan ustawiał szklanki na tacy.

Roland chrząknął z irytacją. Emily wstała i pomachała ręką.

- Daragh! Halo! Daragh!

Daragh przeszedł przez trawnik i zbliżył się do stolika.

- Panno Potter. Panno Greenlees - powiedział z przelotnym uśmiechem i odwrócił się do Rolanda. - Słucham, sir.

Roland zapalił papierosa.

- Duże piwo i dwie lemoniady. Tylko się pospiesz - dodał, gdy Daragh już odchodził.

Chłopak zwolnił kroku i ścisnął tacę tak, że pobieleły mu kłykcie. Tilda nie spuszczała z niego oczu. Emily dotknęła rękawa Rolanda.

- Pozwól, że zapalę, drogi Rollo. Roland potrząsnął głową.

- Jesteś za młoda, Emily. A poza tym dziewczęta nie powinny palić w miejscach publicznych.

- Rolandzie! Ależ ty marudzisz! - Emily wzięła do ręki papierośnicę. - W zeszłe świę-

ta paliłam, pamiętasz? Tatuś dał mi spróbować. - Wsunęła papierosa do ust i przytknęła do niego zapalnik.

- Musisz się zaciągać, głuptasie - powiedział Roland. Tilda poszukała wzrokiem Daragha. Roland zabębnił palcami o stół.

*R S*

- Gdzie ten chłopak. Co za idiotyczna...

Daragh wyszedł do ogródka, niosąc zamówione drinki. Ustawił przed dziewczętami szklanki z lemoniadą, a następnie zdjął z tacy kufel. W tej samej chwili udał, że się potyka i piwo chlusnęło

obficie na gors koszuli Rolanda.

- Tak mi przykro. Ależ niezdara ze mnie - powiedział Canavan i odszedł w stronę wejścia do restauracji.

Roland zerwał się na równe nogi, dysząc z wściekłości. Emily rzuciła się do niego z chusteczką w rękę, a Tilda wstała tak gwałtownie, że o mało co nie przewróciła krzesła, i pobiegła za Daraghem.

Ciemny bar był pełen farmerów. Na podłodze leżała warstwa błota z ich butów. Ani śladu Daragha. Mężczyźni gwizdali na nią, ktoś chwycił ją za rękaw i przyciągnął do siebie.

Tilda zakłęta głośno, strząsnęła rękę natręta, po czym przepchnęła się przez tłum do głównego wyjścia. Lecz choć rozglądała się po drodze jak oszalała, dostrzegła tylko fioletowe cienie budynków.

Roland i Emily wyszli z ogrodu na ulicę.

- Chodźmy lepiej piechotą, żeby siedzenia nie przesiąkły piwem - szepnęła prosząco dziewczyna.

Roland rzucił siostrze przelotne spojrzenie.

- Zachowałem się jak idiota. Nie wiem dlaczego. Widocznie sobie na to wszystko za-służyłem.

Wyżał koszulę.

- Daragh nie jest taki zły, Rollo. Miły z niego chłopak, lubi żartować. I nie próbował niczego... no wiesz...

Roland skinął głową.

- Tak czy inaczej, powinnaś się trzymać od niego z daleka.

- Ale ja go kocham! Potter pokręcił głową.

- Nie bądź głupia.

- Naprawdę! A ty nic nie rozumiesz.

- On do nas nie pasuje - powiedział najłagodniej, jak umiał. - A poza tym jest do szaleństwa zakochany w Tildzie.

W poważnych oczach brata wyczytała prawdę. Z bólem serca przyjęła ją więc do wiaR S domości i zrozumiała tę paskudną scenę w pubie.

- Tak jak ty, najdroższy braciszku.

- Racja. - Roland wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej papierośnicę. Emily wzięła papierosa. Łzy płynęły jej po twarzy, ramiona drżały.

Roland podał jej chusteczkę.

- Wytrzymaj twarz, staruszek. Zaciśnij zęby i... no wiesz. On nie da jej szczęścia. Nawet nie ma szans.

Tilda znalazła Daragha w połowie drogi do Southam. Chłopak opierał się o przęsło mostu i patrzył w wodę. Zahamowała, zawołała go po imieniu i zeskoczyła z siodełka.

Podniósł na nią wzrok.

- Gdzie są twoi mądrzy przyjaciele, Tildo?

- Pojęcia nie mam. Dobrze się czujesz? Ręce oparł o balustradę.

- Wspaniale, po prostu wspaniale.

- W pubie...

- W pubie zachowałem się jak skończony błazen. Byłem zazdrosny.

- O Rolanda?

Wyciągnął ze złością dłoń.

- Ten jego samochód... garnitur... pieniądze... nawet skarpetki. Święci anieli!

- Skarpetki? - Tilda zachichotała.

Daragh wykrzywił usta w uśmiechu.

- No wiesz, takie śliczne z rombowym wzorkiem. Nie to, co moje.

Zrzucił but. W jego ręcznie robionej skarpecie była dziura wielkości kartofla.

- Och, Daraghu...

- Miłościwa panienko, nogi mam czarne jak noc. - Wszedł do strumienia; woda sięga-

ła mu do kolan. - Chodź do mnie, kochana, jest cudownie.

Tilda zrzuciła buty i zanurzyła w wodzie palec od nogi.

- Lodowata!

- Ależ z ciebie dzieciak! - Wszedł na brzeg i porwał dziewczynę w ramiona. Krzyknęła, lecz przywarła do niego mocno, a potem wybuchnęła śmiechem.



- Jesteś czarownicą, Tildo Greenlees - powiedział Daragh cicho. Schyliwszy głowę, przycisnął natarczywe, głodne wargi do ust dziewczyny. Nie chciała, by przestał.

*R S*

- Jesteś czarownicą - powtórzył, kiedy w końcu się rozdzielili. - I rzuciłaś na mnie urok - dokończył, wypuszczając ją z objęć tak, że wpadła ze śmiechem i krzykiem do chłodnej, zielonej wody.

Ileć Daragh miał wolne popołudnie, spotykał się Tildą, po czym razem jechali do Southam. Raz Tilda złapała gumę i musieli zostawić jej pojazd w rowie. Dziewczyna usiadła na ramie roweru Daragha, a on śpiewał na cały głos „Gwiazdę hrabstwa” i „Zatokę Galway”. Ludzie pracujący na polu odwracali głowy i patrzyli, jak Daragh zatacza po drodze coraz bardziej ścięte kółka. Tilda aż krzyknęła ze strachu i kazała mu się zatrzymać. Chłopak przystanął posłusznie, a ona wpadła mu w ramiona, po czym znów zaczęli się całować.

Raz Daragh pożyczył konia - Tilda nigdy się nie dowiedziała skąd. Ona siedziała z przodu, on z tyłu i tak jęździli przez parę godzin. Kiedy dotarli do barierki kanału, zatrzymał

zwierzę kłaśnięciem języka i wychylił się naprzód, obejmując Tildę w talii i pieszcząc ustami jej szyję. Gdy dotknął jej piersi, dziewczyna zapragnęła nagle zapomnieć o wszystkich ostrzeżeniach ciotki i oddać mu się natychmiast, ale zamiast tego zmusiła konia do galopu i pofrunęli razem przez pole - Daragh udając, że ześlizguje się z siodła, Tilda przytulona do końskiej grzywy.

Nigdy nie знаła nikogo takiego jak Daragh Canavan. Raz zabrał ją do eleganckiej herbaciarni i z nienagannym angielskim akcentem zamówił ciastka. Jedno roześmiane zielone oko zasłaniał mu monokl (któryś z gości zostawił go w pubie). W dzień osiemnastych urodzin Tilda znalazła pod drzwiami pęk pierwiosnków i krokusów, a na wąskiej ścieżce przed domem widniało jej imię ułożone z kwiatów. Pewnego dnia opuściła zajęcia i poszła z Daraghem na potańcówkę; chłopak sunął po parkiecie z niedbałą łatwością i wdziękiem. Potem pocałował ją na oczach kelnerki na środku zatłoczonej sali, tak że dziewczynie zapało dech. Starsze kobiety mruczały coś z dezaprobatą, lecz w oczach rówieśniczek Tilda dojrza-

ła zazdrość.

W kościele w Southam tak długo majstrował przy zamku, aż w końcu drzwiczki usta-

piły i poszli na górę wąskimi, krętymi schodkami prowadzącymi na dzwonnice. Z wieży widzieli całe połacie pól, prostą linię kanału, a w oddali duże kwadratowe domy.

- Co to jest? - spytał Daragh, wskazując jeden z budynków.

- Dwór - wyjaśniła Tilda. - Mieszkają w nim de Paveleyowie. Tylko ojciec z córką.

Dziwne, dwoje ludzi w takim dużym domu. Nie potrafię sobie czegoś takiego wyobrazić, a *R S*  
ty?

Daragh stanął za plecami Tildy. Objął ją od tyłu, dotknął piersi. Nie pocałował jednak dziewczyny, bo byli w kościele, więc nie wypadało.

- A ja tak - odparł. - Nawet nie wiesz, jak dobrze.

W lipcu, gdy drogi pobielił kurz, Sarah poważnie zaniemogła z powodu wysokiej go-rączki, a Edward de Paveley spoczął na łożu śmierci. Zbliżająca się śmierć starego dziedzica zawisła nad wsią niczym całun. Powietrze zastygło w bezruchu, wisiało w nim jakieś nerwowe oczekiwanie. Choć w ciągu ostatniego piętnastolecia, jakie upłynęło od końca pierwszej wojny światowej, majątek de Paveleyów znacznie się zmniejszył, to do Edwarda i tak należało nadal wiele domów w Southam oraz

Otoczające je pola. Mimo iż dla Tildy zarówno dziedzic, jak i jego córka byli jedynie twarzami migającymi w przejeżdżającym samochodzie, to ona również wyczuwała niepokój, który stał się integralną częścią letniego upału i kurzu na drodze.

Tilda zwierzyła się Daraghowi ze swych planów, by zostać pielęgniarką, a on w re-wanżu powiedział jej o swych zamiarach zakupu kawałka ziemi - jego własnej, niewydzier-

żawionej, ale nabytej za pieniądze. Tylko Tildzie wyznał prawdę o swych ostatnich miesiącach w Irlandii - o bałaganie, jakiego narobił sobie w życiu, decyzji o wyjeździe i rozpoczęciu wszystkiego od nowa.

Ciotka Sarah stopniowo dochodziła do zdrowia. Raz, gdy Tilda wróciła do domu po pół godziny spędzonej ukradkiem z Daraghem, zastała ją stojącą w progu, w szlafroku i szalu narzuconym na ramiona.

- Odszedł? - spytała Sarah.

Tilda stała bez ruchu, serce waliło jej jak młotem. Nie wiedziała, jak wyjaśnić ciotce, co Daragh dla niej znaczy; słowa śmigały jej wokół głowy niczym strzały.

- Powiesili już czarne zasłony? - spytała Sarah, nim Tilda zdążyła się odezwać.

Po kilku chwilach wypełnionych przerażeniem wreszcie dotarł do niej sens słów ciotki i wolno pokręciła głową.

- Nie, na wystawach nie zauważyłam żadnych śladów żałoby. Widać pan de Paveley żyje - odparła z ulgą pomieszaną ze zdziwieniem, że ciotka, która dotąd nie wykazywała najmniejszego zainteresowania życiem wioski, przejmuje się ni stąd, ni zowąd losem starego, schorowanego dziedzica.

*R S*

Chciała położyć ciotce rękę na ramieniu, lecz Sarah strząsnęła jej dłoń. Wychodząc do ogrodu po

fasolę na kolację, dziewczyna drżała na całym ciele - położyła się więc na trawie w promieniach słońca. Przez chwilę odnosiła wrażenie, że pokoje w Długim Domku są małe i ciemne, natomiast ciotka Sarah to ktoś nieznajomy i w dodatku irytujący.

Kiedy ostatniego dnia lipca umarł Edward de Paveley, Sarah Greenlees wyjęła ze schowka pod podłogą butelkę czarownicy, a następnie złożyła na niej gorący pocałunek. Potem poszła do łóżka i spała przez dwanaście godzin bez przerwy, po raz pierwszy tak spokojnie, odkąd wróciła do Southam.

Następnego dnia rano dzwon na wieży kościelnej uderzył pięćdziesiąt cztery razy, wydzwaniając wiek zmarłego, a Sarah poczuła się tak, jakby z ramion spadł jej nagle ogromny ciężar. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że powrót w rodzinne strony okaże się dla niej tak bardzo bolesny. A wróciła dla Deborah. I dla sprawiedliwości, w którą wierzyła.

Nie była wprawdzie religijna w sposób konwencjonalny, lecz przyjmowała do wiadomości pewien naturalny porządek świata, który - wystawiony na niebezpieczeństwo - mógł skrzywić obraz zarówno przyszłości, jak i przeszłości. Raz, gdy Sarah była jeszcze małą dziewczynką, potrąciła butelkę z winem stojącą na suszarce. Butelka upadła na stojącą obok, ta z kolei wywróciła następną flaszkę, aż w końcu sześć rozbiło się o podłogę, wprawiając dziewczynkę w stan absolutnego przerażenia. Sarah zdawała sobie sprawę z tego, że Edward de Paveley zrobił właśnie coś podobnego, coś, czego konsekwencje miały wpłynąć na losy kolejnych pokoleń.

Następnego ranka Sarah przypięła do włosów płaski, czarny, lekko już pozieleniały ze starości kapelusz, zawołała do siebie Tildę i oznajmiła, że idą do kościoła. Na zdziwione protesty dziewczyny w ogóle nie zareagowała. Wybierały się na pogrzeb pana de Paveleya i tyle.

Już w kościele Sarah powiodła śmiało siostrzenicę wzdłuż nawy. Mieszkańcy wioski patrzyli na nie szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma - niektórzy z nich, przed wieloma laty nie kiwnęli nawet palcem, by pomóc Deborah. Sarah siedziała trzy rzędy od ołtarza, za szynkarzem i jego żoną. Nie lubiła kościołów. Pan Bóg był w chmurach, w morzu, na łą-

kach, a nie uwięziony w ciemnym budynku z zimnego kamienia. Siedziała wyprostowana, niepomna ciekawskich spojrzeń mieszkańców wioski. Na widok wikariusza wszyscy po-wstali z miejsc, a w chwili gdy trumna znalazła się przed ołtarzem, Sarah parsknęła śmieR S

chem. Kiedy Tilda pociągnęła ją karcąco za rękaw, ciotka zaczęła udawać, że kaszle.

Zerkając na rząd obok, Sarah pomyślała pogardliwie, że ród Paveleyów jest wyjątkowo marny i blady. Christopher de Paveley, mniej więcej pięćdziesięcioletni, był wysoki, żyłasty, przygarbiony. Miał przy tym trupioblada twarz i przerzedzone włosy. Jego syn wyglą-

dał jak młodsza, nieco niższa i bardziej jasnowłosa kopia ojca. Joscelin de Paveley ukryła się przed zebranymi pod czarnym, brzydkim płaszczem oraz kapeluszem z woalką.

Później, na dziedzińcu, woalkę zwał z jej twarzy wiatr. Odślonił okrągłą twarz, piwne oczy i lekko kręcone włosy, opadające na aksamitny kołnierz płaszcza. Joscelin nie umywa-

ła się nawet do drugiej córki Edwarda ubranej w wyblakłą sukienkę noszoną już trzeci sezon i zrobiony własnoręcznie przez ciotkę sweter. Sarah uświadomiła sobie z radością, że po śmierci de Paveleya Deborah będzie mogła odpoczywać w spokoju. Teraz należało jedynie pomścić dziecko. Wiedziała, że Joscelin de Paveley wiezie wygodne życie. Miała służbę na każde zawołanie i z pewnością nigdy się nie martwiła o kolejny posiłek. Gdy opuszczano trumnę do grobu, Sarah poczuła, że ogarnia ją ogromny gniew.

A potem wszystko się skończyło i żałobnicy wyszli wolno z dziedzińca na ulicę. Sarah znajdowała się zaledwie o parę kroków za Joscelin, gdy ta zatrzymała się nagle i zamarała.

Z początku Sarah nie wiedziała, na co właściwie patrzy panna de Paveley. Dziewczyna otworzyła szeroko usta, a w jej oczach igrał płomień. I wtedy Sarah dostrzegła Irlandczyka; nicpoń opierał się o bramę Długiego Domku. Tego dnia miał porąbać u niej drewno.

Joscelin de Paveley nie spuszczała wzroku z Daragha Canavana. Sarah nigdy przedtem nie widziała takiego pożądania w oczach kobiety i przez ułamek sekundy niemalże jej współczuła. Potem chwyciła Tildę za rękę i pociągnęła ją za sobą w górę ulicy.

Tilda długo nie wracała z Ely. Sarah wypatrywała jej przez okno, skubiąc niecierpliwie firankę. Terkot roweru uwolnił ją od niepokoju - kobieta wróciła do wyrabiania ciasta na chleb - wyciągała je i miętoszyła energicznie w silnych, kwadratowych dłoniach.

Gdy Tilda wyrzuciła zawartość koszyka na stół, Sarah obrzuciła zakupy szybkim, bystrym spojrzeniem.

- Gdzie atrament? - spytała.

- Atrament?

- Prosiłam cię przecież o atrament, muszę napisać parę listów.

*R S*

- Zapomniałam, bardzo przepraszam, ciociu.

Podniosła wzrok na Tildę i przeżyła szok. Tilda nalewała sobie wody do miski, a ciotka bacznie ją obserwowała; znała ją w końcu świetnie, od dzieciństwa. Piękna twarz siostrzenicy wydała jej się nagle obca, inna, odmieniona. Odmieniona miłością - pomyślała Sarah. Intuicja podpowiadała jej nieomylnie, że Tilda jest zakochana.

Z wrażenia musiała się oprzeć o stół. Odgadła bez trudu, kto też może być obiektem tej miłości. Choć sama uważała mężczyzn w najlepszym wypadku za nicponi, w najgorszym za przekleństwo, zdawała sobie sprawę z tego, że ktoś taki jak Daragh Canavan, ze swym uwodzicielskim wyglądem i słodkimi słówkami na ustach, może rozkochać w sobie na zabój naiwną, młodą dziewczynę. Daragh był zdrowy, młody, a jego głodne zielone oczy patrzyły za Tildą wzrokiem kundla, którego Sarah

wyciągnęła kiedyś z pułapki. Dla psa niewiele już mogła zrobić, jego rany były zbyt głębokie, więc pomogła mu tylko delikatnie przenieść się na tamten świat. Daraghowi wyrządziłaby z przyjemnością podobną przysługę, choć znacznie mniej delikatnie. Nie miała bowiem żadnych wątpliwości co do tego, iż ten łajdak złamie Tildzie serce.

Ilekczo zaczynała sobie wyobrażać, że Tilda mogłaby podzielić los matki, ogarniało ją przerażenie. Jakaś jej część lękała się zawsze o los tego dziecka, dziecka zmarłej siostry.

Teraz jej starania, by uchronić dziewczynę przed niebezpieczeństwem, i plany, jakie z nią wiązała, mogły obrócić się wniwecz przez takiego łajdaka jak Daragh Canavan. Sarah już dawno go przejrzała; to kapryśne i słabe serce nie potrafiło przed nią niczego ukryć. Tak czy inaczej, Daragh nie zasłużył na Tildę. Tego była pewna.

Kiedy dziewczyna wyszła nakarmić kury, ciotka przyłożyła dłonie do skroni. Mogła zabronić siostrzenicy spotkania z Daraghem, ale dostrzegała wszelkie zagrożenia z tym zwią-

zane. Teraz, po śmierci Edwarda, mogła wyjechać z Southam, ale w grę wchodziła też rozmowa z Daraghem. Nie miała jednak pojęcia, jaką podjęłaby decyzję, gdyby chłopak poprosił ją o rękę Tildy.

Sarah przypomniała sobie pogrzeb i sposób, w jaki Joscelin de Paveley patrzyła na Canavana. Po głowie zaczęły jej krążyć załazki dzikiego, dziwaczego pomysłu, ale jeszcze nie potrafiła ich pochwycić. Ułożyła jednak wszystko w logiczną całość i poczuła przyspieszone bicie i ból serca. Zwinięte w pięści dłonie przycisnęła do piersi i znowu usiadła przy stole.

*R S*

Joscelin de Paveley jest bogata - szepnęła do siebie. - Ma mnóstwo ziemi.

Z trudem chwytając oddech, popatrzyła na listę zakupów, jaką sporządziła rano dla Tildy. Na ostatnim miejscu był atrament.

Zemsta jest naprawdę słodka.

W następnym dniu targowy Sarah uparła się jak osioł, że pójdzie z Tildą do Ely. Wybrały się tam na piechotę; ciotka nie chciała jechać na rowerze, a podróż autobusem uznała za zbędny wydatek. Idąc przez pola z ich bezmiarem brunatno-żółtego zboża smaganego przez wiatr, Sarah rozdeptywała ciężkimi butami maki i chwasty; Tilda dreptała za nią z koszykiem w ręku. Niczego nie zauważała, gdyż głowę miała zaprzątniętą układaniem planu.

W Ely Sarah kupiła motek sznurka, umówiła się z szewcem na temat ceny sznurowadeł i wysłała list. Tilda wiedziała, że Daragh będzie na nią czekał pod kinem. Kiedy poprosi-

ła ciotkę o coś do picia, ta wskazała jej fontannę, a do toalety weszły jedna po drugiej, żeby zaoszczędzić pensa. W drodze powrotnej Tilda wlokła się po zakurzonej drodze, szurając żałośnie nogami.

Korzystając z upalnej, suchej pogody, Sarah postanowiła uprać firanki, dywany i po-

ściel. Na ścianach składziku skraplała się woda, a Tildę rozboleły plecy od dorzucania wę-

gla do pieca. We wszystkich pokojach zapachniało krochmałem i mydłem, a na sznurze, w bezwietrznym powietrzu, zawisło pranie. Cały dzień upłynął im niezwykle pracowicie. Gdy Daragh przyszedł porąbać drzewo, Tilda dostrzegła pytanie w jego oczach. Ciotka Sarah ani na chwilę nie przestała go obserwować, pilnowała, by solidnie wykonywał swoje zajęcia.

Odwróciła wzrok tylko w chwili, gdy chłopak zrzucił koszulę i zaczął myć twarz pod pompą na podwórzu.

\* \* \*

Dominującym uczuciem Joscelin de Paveley podczas pogrzebu była bezbrzeżna ulga.

Dom stał się nagle znacznie przyjemniejszym miejscem. A ona już nie marszczyła czoła na dźwięk kroków w korytarzu, przestała obawiać się kolacji. I choć nosiła żałobę, było jej niezwykle lekko na sercu.

Uporządkowała sypialnię i gabinet ojca, po czym spaliła wszystkie jego rzeczy. Prote-za, która teraz, już nie przyczepiona do ciała Edwarda, tliła się wolno w sercu płomieni, nie wydawała się jej wcale tak bardzo przerażająca. Joscelin musiała jeszcze przetrwać pewne długie, nudne popołudnie, kiedy to pan Verney, prawnik, odczytywał na głos ostatnią wolę *R S*

swego klienta: „Mojej córce, Joscelin, zapisuję Dwór, wszystko, co się w nim znajduje, oraz resztę majątku. Bratu Christopherowi i jego synowi zezwalam na dożywotnie zamieszkiwa-nie w domu rządcy”.

Potem nastąpiły wzmianki o skromnych legatach dla Nany, kucharki i ogrodnika. Ani słowa o uczuciach. Jossy jednak już na tym nie zależało. Spotkała Mężczyznę Swego Życia.

Wymarzony Mężczyzna miał już teraz konkretną twarz, zielone oczy i czarne włosy.

Jossy wypatrzyła go na ulicy zaraz po pogrzebie. Potem kilkakrotnie odwiedzała Southam w nadziei, że znów go zobaczy, ale on już się nie pokazał. Istniał jednak w jej pamięci i fanta-zjach. Joscelin wyobrażała sobie ich następne spotkanie kilkanaście razy na dzień. Wymarzony ratował ją przed bandytami lub też Joscelin szła na przyjęcie, toczyła wzrokiem po zatłoczonym pokoju, a ich oczy nagle się spotykały. Codziennie ubierała się bardzo starannie i całymi godzinami układała włosy. Przez to gorączkowe oczekiwanie czas dłużył się jej niemiłosiernie, przeżycia stawały się coraz bardziej intensywne. Wymyślała dla niego imiona. Bywał Charlesem, Leo, Davidem, Rupertem..

Kiedy pewnego dnia wróciła ze spaceru, na stoliku w holu czekał na nią list. Jossy nie rozpoznała jednak charakteru pisma na kopercie. Otworzyła ją pospiesznie i popatrzyła, cał-

kowicie oszołomiona, na podpis u dołu strony. A potem zaczęła czytać: *Odkąd panią zobaczyłem, nie mogę myśleć o nikim innym. Tak bardzo pragnę ujrzeć panią ponownie, zamienić z panią choć*

*parę słów...*

A na końcu podpis.

Daragh. Jakie piękne i niespotykane imię. A więc nazywał się Daragh.

W szuwarach znalazł łódkę; zdjął cumę z palika i łódź zsunęła się gładko na wodę.

Tilda leżała na dziobie z ręką zanurzoną w wodzie. Gdy Daragh ukląkł obok, łódź zakołysa-

ła się lekko. Najpierw pocałował dziewczynę, a następnie zaczął rozpinać - jeden po drugim

- guziki bluzki. Przez chwilę Tilda pozwalała mu na pieszczoty, ale szybko wyzwoliła się z jego objęć i usiadła, wskutek czego łódka zakołysała się gwałtownie, rozpryskując fale.

- Przez ciebie wpadniemy do wody, kochanie.

- Daj mi wiosła. Potrząsnął głową.

- Nie. Usiądź. Usiądź natychmiast, Tildo Greenlees.

Wstała, a wtedy przejechał palcem wzdłuż jej łydki, aż do uda. Serce waliło mu jak młotem. W tafli widział odbicie dziewczyny: splątane od pieszczot włosy, rozpiętą bluzkę.

*R S*

- Rzadko cię ostatnio widuję.

- Nie mogłam się wyrwać. Wczoraj ciotka Sarah znów poszła ze mną do miasta.

Poszukał w kieszeni papierosów, jedną ręką otworzył paczkę.

- Sądzisz, że ona o nas wie?

- Chybaby tego nie ukrywała. No i przecież byliśmy bardzo ostrożni.

Potał zapalką o burtę.

- Przyjdę do ciebie dziś po pracy - powiedział. - W tej stodole, gdzie rąbię drewno, jest taka stara drabina. Rzucę kamykami w okno i...

- Ciocia Sarah ma słuch jak nietoperz.

Położył się w łódce z papierosem w ustach. Jego wszędobylskie palce dotknęły elastycznej nogawki majteczek Tildy. Dziewczyna przeszła ponad nim i chwyciła wiosła. Łódka zakołysała się niebezpiecznie, papierosy i zapalki leżące w górnej części burty spadły do wody.

- Matko boska, Tildo! - krzyknął Daragh, wstając.

- Muszę iść do domu. - Zrobiła szybki zwrot i skierowała łódź do brzegu. - Ciotka Sarah będzie zachodzić w głowę, co się ze mną stało. - Czowała, że ma wypieki, trawił ją we-wnętrzny ogień.

Daragh również płonął. Pragnął jej od miesięcy, nigdy nie czekał tak długo na dziewczynę. Na czekanie przygotował się zresztą od dawna; była taka młoda, sześć lat młodsza od niego. A mimo to coś w tej smarkuli budziło w nim strach. Gdyby ktoś kiedyś mu powiedział, że pewnego dnia będzie się bał osiemnastolatki, zaśmiałyby się mu prosto w twarz, ale teraz jednak odczuwał jakiś dziwny lęk.

Gdy następnego dnia rano Daragh sprzątał piwnicę, właściciel „Polowania” wręczył mu liścik. Nastrój chłopca już i tak nienajlepszy pogorszył się jeszcze, gdy zerknął na kartkę i zobaczył, że to zaproszenie na herbatę od kobiety noszącej nazwisko Joscelyn de Paveley.

Daragh zgniótł arkusik, cisnął go na podłogę, a potem wrzucił puste butelki do skrzyń i potoczył beczki po kamieniach. Pożądał Tildy tak bardzo, że zaczęło go to męczyć. Już nie potrafił się kontrolować. Jej z pewnością było łatwiej. Kobiety odczuwały innego rodzaju namiętności.

Przebijając się przez pajęczyny i zakłócając w ten sposób spokój ich mieszkańcom, którzy spali sobie tu spokojnie całe lata, Daragh pomyślał, że nie jest sprawiedliwy. W koń-

*R S*

cu istniały dwa rodzaje kobiet - łatwe i godne szacunku. Tilda, podobnie jak siostra Daragha, Caitlin, należała do tej drugiej kategorii. On sam wcale by sobie nie życzył, żeby Caitlin oddała się temu osiłkowi, który zalecał się do niej w Irlandii. A gdyby to zrobiła, chyba go udusił.

O jedynym rozwiązaniu tych problemów Daragh myślał z wyraźną niechęcią. Przyjechał do Anglii zbić majątek i zdawał sobie sprawę, że wczesne małżeństwo pociągnie za sobą ogromne ilości rachunków i dzieci. Rodzina zapędziłaby go niechybnie do kieratu, a tego za wszelką cenę pragnął uniknąć. Musiałby również zapomnieć o wolności i planach na przyszłość. Niemniej jednak nie widział innego wyjścia - stanowczo za bardzo jej pragnął.

W piwnicy zapanował porządek, kurz wywędrował do kąta. Gniew również zniknął, więc Daragh podniósł ze stosu pajęczyn wygnieciony kawałek papieru, wygładził go starannie i przyjrzał mu się ponownie. Przypomniawszy sobie, jak - stojąc w kościele obok Tildy -

wyjrzał przez okno wychodzące na Dwór.

- Tam mieszkają de Paveleyowie - powiedziała wtedy dziewczyna.

Daragh skręcił w rozwidlenie prowadzące do Dworu. Już na miejscu służący poprowadził go do salonu. Daragh został na środku pokoju z czapką w ręku. Nie rozumiał, dlaczego panna de Paveley zaprosiła go na herbatę, ale kupił nowe skarpetki, naszył także starannie łąty na łokcie marynarki. Gdy opuścił wzrok, w blacie czerwonego stolika dostrzegł swoje odbicie. Meble były ciężkie, ciemne, a na kominku stały fotografie, bibeloty oraz najrozmaitsze drobiazgi. Ciężkie kotary odcinały skutecznie dopływ słońca do pokoju.



Daragh wyciągnął rękę, by dotknąć gładkiego, jedwabistego atlasu pokrywającego krzesło, ale cofnął ją gwałtownie, słysząc za sobą odgłos kroków.

- Pan Canavan? - spytała młoda kobieta.

- Panna de Paveley?

Zanim przyszedł do Dworu, wyobrażał sobie, że mieszka w nim zacna stara panna pełna ambicji, by do końca życia pomagać młodym ludziom. Ale panna Paveley wcale nie była stara - stała przed nim wysoka, mocno zbudowana dziewczyna o pospolitej twarzy uszlachetnionej parą pięknych piwnych oczu.

Nie uśmiechała się. Daragh odniósł wrażenie, że panna dziedziczka jest jeszcze bardziej zmieszana niż on. Zapadła długa, niezręczna cisza.

- Napisał pan do mnie taki uroczy liścik - wyrzuciła w końcu z siebie dziewczyna.

*R S*

- Nic nadzwyczajnego - odparł, sądząc, że panna de Paveley ma na myśli zawiadomienie o przyjęciu zaproszenia na herbatę.

- Dla mnie ten list znaczył wiele - powiedziała z mocą. Ten wybuch wyraźnie go zadziwił.

- Przepraszam, nie chciałam... - zaczęła. Znów odniósł wrażenie, że Joscelin jest załęczniona.

Daragh odczuwał jednocześnie zażenowanie, zniecierpliwienie i litość. A potem - co było już zupełnie absurdalne - zaczął ją uspokajać.

- Wspaniały dom, panno de Paveley.

Chciał dodać, że jego matka ma podobne świeczniki, ale ostrożność, jakiej nauczył się w Anglii przez ostatnich kilka miesięcy, kazała mu zamilknąć. Zbyt wiele razy zrobił z siebie głupca, by znieść kolejne upokorzenie.

Konwersacja ponownie się urwała. Daragh szukał rozpaczliwie tematu do rozmowy.

- Bardzo pani współczuję z powodu śmierci ojca. Z pewnością przeżyła pani ciężkie chwile.

Jej bladą, okrągłą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Po pogrzebie widziałam pana w Southam. Przynajmniej zrozumiał, w jaki sposób się z nim zetknęła.

Daragh wyczuwał, że znajomość z panną de Paveley może mu przynieść korzyści i ta konstatacja bardzo go podniecała.

- Ludzie, z którymi pan wtedy był, to krewni? - spytała.

- Przyjaciele. Starzy przyjaciele. Nabrała pewności siebie.

- Może trochę się przejdziemy przed podwieczorkiem? Wezmę tylko kapelusz.

Panna de Paveley pokazała mu stary motocykl stojący w garażu, ogródek kwiatowy i kort tenisowy. Między ogródkiem i polami nie było właściwie żadnej granicy: rosły tam tylko wędzące kikuty krzyżówek oraz dojrzałe zboże. Pole przecinała zakurzona droga. Daragh dostrzegł w oddali długi, niski domek, którego bielone ściany wtapiały się w horyzont.

- Teraz po śmierci ojca cały majątek należy do mnie - powiedziała Joscelin, a on poczuł ukłucie zazdrości, że ta bezbarwna, niepozorna istota - oczywiście młodsza od niego -

wejdzie w posiadanie takiego bogactwa. Popołudnie wydało mu się nagle absurdalne, cał-

kowicie pozbawione sensu. Wolałby, żeby panna de Paveley przeszła od razu do rzeczy i za-

proponowała mu pracę na farmie lub też cokolwiek innego do roboty.

Kiedy jednak odwrócił do niej głowę, nagle zrozumiał wszystko i poczuł przyspieszone bicie serca. Dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku, a jej piwne oczy płonęły. Daragh nie miał pojęcia, jak to się stało, ale Joscelin de Paveley naprawdę go kochała.

Chciał, żeby to były prawdziwie oświadczyzny. Tilda zdołała się wymknąć tej jędzy, ciotce, i przyjechała do Ely. Daragh wręczył jej czerwoną różę zerwaną ukradkiem w ogródku gospody, po czym oznajmił, że zamówił stolik w restauracji. Przed paroma dniami dopisało mu szczęście w kartach.

- Obchodzisz urodziny? - spytała zdziwiona.

- To tylko takie zaproszenie dla ciebie, kochanie - odparł i pocałował ją w usta.

Tilda narzekała trochę na swoją starą sukienkę, ale Daragh powiedział jej coś, w co głęboko wierzył: że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Tak więc dziewczyna zwinęła włosy w węzeł na czubku głowy (sam ruch jej rąk wzbudził w nim bolesne pragnienie) i weszli do restauracji.

Daragh zobaczył, jak kelner patrzy podejrzliwie na jego połataną marynarkę, toteż wsunął mu pół korony i dostał przyzwoity stolik. Zamówił ostrygi i kraba. Tilda nigdy dotąd nie jadła ostryg, więc Daragh musiał jej pokazać, jak je połykać.

- W domu łowimy je między skałami i otwieramy nożem. Są prawdziwym przysmakiem.

- Żywe? - spytała, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- Nawet bardzo energiczne - zażartował.

Kelner podał kraba, a Daragh opowiedział Tildzie o rozmowie z księdzem.

- Mogłabyś od razu zacząć chodzić na lekcje. Zabiorą tylko parę miesięcy.

- Lekcje? - spytała Tilda, przerywając na chwilę wybieranie mięsa z krabiego odnóza.

- Abyśmy się mogli pobrać.

Uświadomił sobie, co zrobił, i zaczął sam siebie przeklinać. Odepchnąwszy krzesło, ukląkł przed nią na podłodze.

- Wyjdiesz za mnie, Tildo?

Roześmiała się. Znacznie później Daragh doszedł do wniosku, że być może wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby nie ten śmiech, który słyszeli wszyscy goście. Dziewczyna wzięła go za rękę i spróbowała podnieść z podłogi.

*R S*

- Przestań... Daraghu... - powiedziała. - Zaraz nas stąd wyrzucą.

- Właśnie prosiłem cię o rękę, Tildo. - Upał, rozczarowanie i niepokojące popołudnie spędzone w towarzystwie tej dziwnej kobiety podziały mu fatalnie na nerwy. Usiadł. - Po-bierzemy się, prawda?

- Daraghu...

Chwycił ją mocno za rękę.

- Nie powiesz nie, prawda, kochanie?

Zbladła, a jej twarz nagle znieruchomiała. Czuł, jak się od niego oddala, jak w charakterystyczny, królewski sposób ucina temat. Wszystkie wątpliwości nagle go opuściły; w tamtej chwili pragnął jedynie zostać mężem Tildy Greenlees. Po raz pierwszy w życiu poczuł złość na tę dziewczynę, na to dziecko za to, że ośmiela się trzymać go na dystans.

- Sprawiasz mi ból - powiedziała, a on, zawstydzony, natychmiast puścił jej rękę. -

Żartowałeś, prawda? - dodała zaraz potem i gniew wrócił ze zdwojoną siłą.

- Dlaczego miałbym żartować? - spytał niebezpiecznie cicho. - Czyżbym nie był dla ciebie wystarczająco dobry?

Kelner kręcił się przy ich stoliku. Nappełnił ponownie kieliszki, podniósł upuszczoną serwetkę.

- Nie jesteś wcale lepsza ode mnie, Tildo - powiedział chłopak, kiedy kelner wreszcie poszedł. - Jeżeli już, to stoisz niżej. Ja przynajmniej uprawiałem pola należące do mojego dziadka.

W oczach dziewczyny błysnął gniew.

- Wszyscy ludzie są równi - syknęła. - Ciotka Sarah wpoila mi tę zasadę już bardzo dawno temu.

Mierzyli się wzrokiem przez stół. Gniew dodawał jej urody, okrasiał policzki rumieńcem.

- Mam pracę w pubie. - Daragh złapał się na tym, że znów zaczyna ją prosić. - I nadzieję na lepiej płatne zajęcie. - Myślał o pannie de Paveley i o tym, w jaki sposób wykorzysta jej chęć. Pewnie udałoby mu się jakoś namówić Joscelin, żeby mu pomogła. - Wynajęli-byśmy ze dwa pokoje w Ely. Chodzisz na kurs maszynopisania. Brałabyś do domu trochę pracy, dopóki nie urodziłyby się dzieci. I dlatego musisz chodzić na te lekcje do kościoła.

Nie możemy się pobrać, dopóki się nie nawrócisz. Chcę, by moje dzieci wychowywał Ko-R Sściół.

- Nie myślałam na razie o macierzyństwie. - Unikała jego spojrzenia. Daragh zdał sobie sprawę, że goście siedzący przy sąsiednim stoliku, gruby mężczyzna w garniturze i jego modnie ubrana kochanka, ani na chwilę nie spuszczaają z nich wzroku.

- Oczywiście, że myślałaś. Lubisz dzieci. Widziałem, jak szczebioczesz nad wózkami.

- Ale to dla mnie za wcześnie. Kiedyś tak, marzę nawet o całej gromadce, ale dopiero jak będę miała... no... przynajmniej dwadzieścia jeden lat.

- Nie powinnaś tak drobiazgowo planować życia, kochanie - powiedział gorzko Daragh. - Wydaje ci się, że zrobisz jedno, lecz w końcu decydujesz się na coś zupełnie innego. A dzieci przychodzą na świat wtedy, kiedy im Pan Bóg każe.

Wbiła wzrok w talerz.

- Niedawno skończyłam osiemnaście lat. Jestem za młoda na założenie rodziny.

- Wiele dziewcząt zostaje matkami właśnie w twoim wieku. - Wzruszył ramionami i popatrzył na wścibską blondynkę siedzącą przy sąsiednim stoliku.

- A zanim im stuknie drugi krzyżyk, są już stare, zmęczone i mają wszystkiego dosyć.

- Tilda zrezygnowała z kraba, którego resztki w postaci oderwanej nogi i pustej skorupy leżały teraz przed nią na talerzu. - Nieraz widziałam takie kobiety.

- Mama urodziła naszą trójkę, zanim skończyła dwadzieścia lat, a my zawsze mieliśmy pełne żołądki i obute stopy - powiedział wyniośle.

- Usiłujesz zorganizować mi życie. Zmienić jego porządek. I zapominasz o bardzo ważnych rzeczach - odparła.

- O twoich kursach? Przecież ich nie cierpisz. - Wiedział, że choć nie może ofiarować Tildzie zbyt wiele, to i tak przy nim byłoby jej lepiej niż teraz. - O tym marnym domku? A może o starej ciotce, którą bez przerwy oszukujesz?

Zamarła, zwinęła dłonie w pięści.

- Nie zamierzam do końca życia stukać na maszynie - powiedziała wolno. - A Długi Domek jest o wiele lepszy niż rudery, w których mieszkałam do tej pory. Poza tym zgadzam się z tobą całkowicie. Nie wolno tak oszukiwać opiekunów... Już więcej tego nie zrobię.

- Więc powiesz jej o mnie? - spytał obrażonym tonem. - A może sobie nie zasłużyłem na taki zaszczyt? Gdzie jest moje miejsce w twoich planach, Tildo? Może traktowałaś mnie jak kogoś, z kim się po prostu miło spędza czas, czekając, żeby pojawił się ktoś lepszy?

*R S*

Wstała, złożyła serwetkę, położyła ją na stole i wyszła z restauracji. Daragh chciał za nią pobiec, ale duma go powstrzymała. Zamiast tego odwrócił się do gości siedzących przy sąsiednim stoliku.

- Teraz, skoro przedstawienie się skończyło, dokończcie spokojnie budyń - powiedział, a oni, najwyraźniej zawstydzeni, znów skierowali całą uwagę na swoje talerze.

Potem skinął na kelnera, zamówił podwójną whisky i szybko ją wypił, odrywając jednocześnie płatki z czerwonej róży.

Tilda miała zapuchnięte, czerwone oczy. Powiedziała ciotce, że bardzo boli ją głowa i uciekła na górę, ale Sarah dostrzegła jej łzy. Słyszac trzask drzwi sypialni, panna Greenlees uśmiechnęła się do siebie. Potem spod kamiennej podłogi wyjęła starą pończochę, a z niej kilka monet, które włożyła do kieszeni płaszcza.

Tego wieczoru zdjęła kartonową walizkę z pawlacza, po czym zaczęła się pakować.

Należało sądzić, że nieoczekiwana podróż pociągiem i trzytygodniowe wakacje w hotelu w Great Yarmouth sprawią Tildzie przyjemność. Tak się jednak nie stało. Radość, jaka towarzyszyła jej zawsze przy zwiedzaniu nowych miejsc, tym razem nie nadeszła. Patrząc na fale rozbijające się o molo i spacerując po mokrej od deszczu esplanadzie, dziewczyna myślała wyłącznie o Daraghu. Zamknięta w łazience - jedynym miejscu, gdzie mogła być sama - próbowała do niego pisać. Za każdym razem darła jednak list, a skrawki wrzucała do toalety.

Stojąc na brzegu i patrząc, jak fale rozbijają się o kamienie, Tilda czuła, że kocha Daragha; serce bolało ją od miłości; kiedyś, w przyszłości, pragnęła urodzić jego dziecko. Podczas wielogodzinnych spacerów z ciotką podjęła pewną decyzję. Po powrocie do Southam zamierzała powiedzieć Daraghowi, że wyjdzie za niego za mąż, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat i nie będzie już musiała prosić ciotki o zgodę na małżeństwo. Doszła bowiem do wniosku, że jeśli Daragh ją kocha, to na

pewno zaczeka.

Panna de Paveley zaprosiła Daragha po raz drugi. Razem chodzili po polach, gdzie w rżysku szumiał porywisty wiatr.

- Może przejdziemy się ścieżką wzdłuż kanału, panno de Paveley?

Podniosła na niego wzrok.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby zwracać się do mnie po imieniu, panie Canavan? -  
Poczerwieniała. - Albo zdrobniale, Jossy?

*R S*

Pomagając jej wejść na stromy brzeg, Daragh przytrzymał dłoń na odzianym w jedwab ramieniu nieco dłużej, niż należało. Odmowa Tildy nadal sprawiała mu ból. Tego dnia w rozmowę z Jossy wkradł się element uwodzenia - niezdarnego ze strony dziewczyny, gładkiego w wykonaniu Daragha. Chłopak zamierzał zbić na tym kapitał.

- W takim razie ty musisz mówić do mnie Daragh.

Zadrzała. Pomyślał, że gdyby wziął ją tam, na brzegu rzeki, na pewno by mu uległa.

Mimo to nawet jej nie dotknął.

Po niebie nie wędrowała nawet jedna chmurka, słońce przypominało jasny, twardy krążek. Długi, biały domek, jak Daragh zauważył już wcześniej, wydawał się lśnić i przesuwać w stojącym powietrzu.

- Ponuro to wygląda - powiedział Daragh.

- Mieszka tam wuj, Christopher. Prowadzi farmę.

Daragh bardzo się rozczarował. Joscelin nie potrzebowała rządcy.

- Znam się trochę na tej robocie - powiedział, żeby wydobyć z dziewczyny jakąś za-chęcającą odpowiedź.

- Twoja rodzina zajmuje się uprawą roli?

Przytaknął, przed oczyma wyrósł mu nagle domek dziadka stojący na skrawku ka-mienistej ziemi.

- Jesteś Irlandczykiem, prawda?

Dla Joscelin wygładził trochę akcent. Naśladował poprawną angielszczyznę, jakiej nauczył się w Londynie. Teraz, gdy dziewczyna mimo wszystko odgadła jego pochodzenie, poczuł nagły przypływ irytacji.

- Mieliśmy ładny dom - rzekł tajemniczo. - Wielki, ładny dom, ale nastały ciężkie czasy. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. O pewnych rzeczach zresztą lepiej zapomnieć.

Tak czy inaczej, już nie wrócę do Irlandii.

Dostrzegłszy współczucie w oczach Jossy, Daragh doszedł do wniosku, że uderzył we właściwą nutę, by zaspokoić naiwną, romantyczną naturę dziewczyny. Postanowił wykorzystać chwilową przewagę.

- Tak więc znalazłem się obecnie w trudnej sytuacji. Tęsknię za starym krajem, a nie znalazłem nic, co mogłoby go zastąpić. Zajmowałem się tym i owym, ale przywykłem do czegoś lepszego. Potrzebuję tylko szansy. *R S*

Joscelin właśnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale ku wielkiemu zmartwieniu usłyszała wołanie.

- Jossy! Jak się masz, Jossy!

- Kit! - Dziewczyna zamachała rękami i pobiegła wzdłuż brzegu.

Dyszząc z wysiłku, brnęła przez pole, za nią Daragh.

Na spotkanie wyszedł im blady, chudy mężczyzna.

- Przedstawiam ci przyjaciela, Daragha Canavana. - Daragh zauważył z dumą, że Jossy mówi o nim per „przyjaciel”.

- Daraghu, to mój kuzyn, Kit.

Kit de Paveley miał na sobie przybrudzone spodnie i starą bawełnianą koszulę, a Daragh nawet w taki upał włożył jedyną przyzwoitą marynarkę. De Paveley *nie* nosił czapki, a jego włosy upominały się o fryzjera. Gdy uścisnęli sobie ręce, Daragh pomyślał z pogardą, że gdyby mu nie powiedziano, kim jest Kit, uznałby go zapewne za żebraka lub włóczęgę.

- Znalazłeś coś ciekawego?

- Parę monet. Rzymskich. - W jasnoszarych oczach Kita błysnęło ożywienie. Zagłębił rękę w kieszeni. - Śliczne, co? - Na jego dłoni leżały dwie ciemne, bezkształtne grudki.

Jossy - podobnie jak Daragh - nie zemdląca z wrażenia.

- Myślałam, że będą bardziej błyszczące.

- Wyczyszczę je, rzecz jasna.

Niezbyt sympatyczny kuzyn Jossy odwrócił się bez pożegnania i ruszył w stronę bia-

tego domku. Daragh chciał znów ująć Jossy za ramię, ale coś go powstrzymało. Poczł na-gły przyplw obrzydzenia do samego siebie, uświadamiając sobie jednocześnie gorzką prawdę o rzeczywistości. Gdyby to wszystko należało do Tildy... Gdyby małżeństwo z ukochaną dziewczyną nie pociągało za sobą nędzy. Bo przecież tak bardzo ją kochał - uświadomił to sobie bardzo dokładnie właśnie tam i w chwili, gdy od upału i kurzu zapiekły go oczy.

Daragh zakładał, że Tilda przyjdzie do gospody czy też po prostu do niego napisze. A potem przeprosi albo przynajmniej wytłumaczy. Po tygodniu, kiedy nie zrobiła ani jednego, ani drugiego, przełknął dumę i pojechał do Długiego Domku. Ale na jego pukanie do drzwi odpowiedział tylko odległy odgłos grzmotu dochodzący od strony chmur zbierających się na horyzoncie. Przeskoczył przez płot i obszedł mały domek. Wszystkie okna były pozamyka-R S

ne, kotary zasunięte. Szarpnął za klamkę tylnych drzwi, ale te nie ustąpiły. Mimo dokuczliwego upału, poczuł dziwny chłód w żołądku. Panny Greenlees nigdy nie zamykały tych drzwi.

Jakaś dziewczyna bielila właśnie ganek sąsiedniego domku. Kiedy wyjaśniła Daraghowi, że Sarah i Tilda wyjechały, kopnął w płot, uszkadzając jeden z kołków. Potem chłopak wyszedł na ulicę z głębokim przeświadczeniem, iż panny Greenlees powróciły do wło-

częgi po Anglii i już nigdy ich nie zobaczy. Gdy zaczął się na niego walić szeroki łuk stalo-woszarego nieba, zrozumiał, jak bardzo miłość zbliżona jest do nienawiści. Tilda nie kocha-

ła go tak bardzo, jak on ją kochał. Udrękę pogłębiało przekonanie, że wyszedł na głupca.

Wsiadł na rower i wyjechał z wioski. Zygzaki błyskawic rozświetliły horyzont, ale jeszcze nie padało. Kiedy tak pedałowal, krajobraz przybrał nagle postać ciemnobrazowego pasa, ale nawet pęd powietrza nie zagłuszył słów, jakie nadal pobrzmiwały mu w głowie.

Nawet się nie pożegnała. Włosy przywarły mu do czoła i spoconej szyi; w ustach czuł gorzki smak.

Wyprzedził go nagle samochód - auto przejechało zdecydowanie zbyt blisko roweru, a potem gwałtownie przyhamowało, wysyłając w powietrze chmurę kurzu i kamyków. Na widok Jossy machającej do niego radośnie, Daragh o mało nie jęknął.

Dziewczyna nie miała na głowie kapelusza, a w jej ciemnych włosach igrał wiatr.

- Co za spotkanie! - krzyknęła. - Jechałam właśnie do Ely i miałam nadzieję, że na ciebie wpadnę.

W innym wypadku Daragha rozbawiłby zapewne ten niefortunny dobór słów. Zamiast się roześmiać, uchylił tylko czapki.

- Dzień dobry, panno de Paveley. Jak się pani czuje? Najwyraźniej nie dostrzegala je-go rezerwy.

- Wsiadaj. Przejedziemy się.

Rozzłościło go to charakterystyczne dla bogatych przekonanie, że na takich jak on wystarczy gwizdnąć, by natychmiast rzucili wszystko i przybiegli czym prędzej.



- Przepraszam, ale mam rower.

- Zostaw go w rowie. Zobacz - już zaczyna padać. Albo włóż do bagażnika.

Właśnie zamierzał odmówić, ale nagle zmienił zdanie. Teraz po wyjeździe Tildy nie zostałyby przecież w tym przeklętym miejscu, gdyby nie nadzieja, że Joscelin pomoże mu *R S*

wyść na ludzi. A poza tym ona się nie myliła - duże krople deszczu właśnie zaczęły kapać z ciemniejącego nieba. Daragh wcisnął rower na tył wielkiego auta z odkrytym dachem, a sam usiadł obok Jossy. Dziewczyna wrzuciła hałaśliwie jedynekę, wcisnęła gaz do dechy i Bentley potoczył się po przekątnej szosy.

- Czy ty aby na pewno umiesz prowadzić auto?

Pochylona nad kierownicą, z językiem między zębami, zwęziła oczy z wysiłku.

- Nie! - Musiała przekrzykiwać warkot silnika. - Nie! Ale się uczę! To był samochód mojego ojca, on sam jednak nigdy nim nie jeździł z powodu protezy. Syn ogrodnika pokazał

mi kiedyś, jak się zmienia biegi. Potrafię ruszyć i zahamować, ale skręty sprawiają mi jeszcze sporo trudności.

Kiedy wpadli stanowczo zbyt szybko w kolejny wiraż, Daragh poczuł jednocześnie podziw i nagły przypływ mdłości.

- Zmień bieg! - wrzasnął. Szarpnęła dźwignię.

- Nie udało mi się podnieść plandeki. Mam nadzieję, że nie zmokniesz za bardzo.

Potrząsnął głową, rozkoszując się zimnym prysznicem deszczu na ciele.

- A ty umiesz jeździć?

- Trochę.

Wuj Daragha, właściciel pubu w Dublinie, miał ciężarówkę.

- Nauczysz mnie?

Mijali właśnie mały mostek, gdzie po raz pierwszy pocałował Tildę. Zalała go fala bezbrzeżnego smutku; nie był w odpowiednim nastroju na flirty z Joscelin.

- Bardzo mi przykro, ale jestem ostatnio bardzo zajęty.

Przed maską przebiegło im nagle stado kóz. Daragh nacisnął klakson, a Jossy wdepnęła hamulec. Kozy rozpierzchły się w popłochu, a auto stanęło dęba.

- Zajęty? - powtórzyła Jossy, patrząc na niego z ukosa.

- Znalazłem się w ślepej uliczce. Muszę się trochę rozejrzeć i znaleźć coś odpowiedniejszego.

Pomyślał, że nie potrafiłby już powiedzieć tego jaśniej. Niestety, ta głupia kobieta wysunęła tylko bezmyślnie wargę i patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Oczywiście jeżeli nie znajdę niczego tutaj, będę musiał wyjechać - dodał.

Znów potoczyli się wzdłuż drogi. Po suchej, wyboistej nawierzchni bębnił deszcz.

R S

- Podoba ci się Dwór, prawda? - spytała.

Stopniowo nabierali szybkości, a Jossy opowiadała Daraghowi o tapetach i farbach klejowych. Chłopak patrzył na nią niemal z dezaprobatą, myśląc, że to jedna z najnudniej-szych kobiet, jakie miał okazję poznać.

- Chyba zaraz po ślubie zrobimy remont - powiedziała nagle i uśmiechnęła się do niego radośnie. W jej oczach błyszczała miłość. Daragh zakasłał, wzdrygnął się nerwowo i się-

gnął machinalnie do kieszeni po papierosy. Samochód potoczył się po drodze, a następnie zsunął - wolno i z wdziękiem - na świeżo skoszone pole.

### Rozdział 3

Dla niego zmieniła wyznanie, choć de Paveleyowie należeli do Kościoła protestanckiego od szesnastego wieku. Joscelin odrzuciła tradycję i została katoliczką.

Tilda głośno zamknęła album z fotografiami. Podniosła głowę i nasze oczy spotkały się. Zawsze mi się wydawało, że na starość odczuwamy wszystko mniej boleśnie, gdyż w zamian za słabość fizyczną emocje nie dają się nam tak bardzo we znaki jak za młodu. Patrząc na Tildę, zrozumiałam, jak wielki popełniłam błąd.

- We wsi, ba, nawet w całym hrabstwie mówiono wyłącznie na temat zaręczyn. Po raz pierwszy usłyszałam o nich na pocztce, kiedy kupowałam znaczki. Poprzedniego dnia dowiedziałam się od właściciela szynku, że Daragh złożył wypowiedzenie. Bałam się, że wyjechał, i oczywiście winałam siebie za taki obrót sprawy, ale kiedy dotarła do mnie wiadomość o ślubie... - Głos załamał się jej nagle, przycichł.

- Byłaś zła? - podsunęłam.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie wtedy, później. - Zmarszczyła brwi. - Czułam się jak ogłuszona. Później już tylko raz znalazłam się w podobnym stanie. Mieszkałam z dziećmi w takim ohydny ma-R S

lym domku, pośliznęłam się na linoleum i uderzyłam o poręcz. Nie mogłam myśleć... nawet oddychać. - Podniosła na mnie wzrok.

- Przeżyłaś kiedyś coś podobnego?

Nie chciałam odpowiadać. Zwierzenia z mojej strony nie należały do umowy. Ale pamiętałam bardzo dobrze, co czułam, kiedy Toby powiedział, że nie powinniśmy się tak często widywać. Patrzyłam na niego, na szpitalne łóżko i swoje ręce a wszystko wydawało mi się obce.

Tilda nie czekała na moją odpowiedź.

- Przytrafiły mi się przecież inne nieszczęścia... najpierw Holandia, potem Max, no i oczywiście ten biedny Erich... Przedtem jednak zawsze otrzymywałam jakieś sygnały alr-mowe. A w przypadku Daragha... nic.

Zmusiłam się do mówienia.

- Z pewnością bardzo go kochałaś.

- O tak. Bardzo.

Miałam ochotę ją zapytać, czy miłość, której zadano tak wielki cios, może przetrwać.

W ewentualnej odpowiedzi kryło się jednak w każdym wypadku nieuniknione cierpienie.

Cóż jest bowiem gorsze: kochać, kiedy miłość traci sens, czy też zapomnieć, dlaczego się w ogóle kochało?

Pozbierałam więc swoje rzeczy i pożegnałam się z Tildą. Zrobiło się późno i szare, nabrzmiałe chmury przypomniały mi, że może padać śnieg. Gdy jechałam do Londynu, w smugach reflektorów zaczęły się stopniowo pojawiać kryształki śniegu. W domu włączyłam ogrzewanie, otworzyłam butelkę wina i szybko ją wypiął. Bojler sapał i mruczał, ale kalo-ryfery grzały słabo, sięgnęłam więc do szafy po cieplejszy sweter. Wtedy na podłogę spadło parę ciuchów, upchanych na najdalszej półce. Sam ich widok przepelnił mnie wściekłością.

Pomyślałam o Tildzie kupującej znaczki na pocztę w Southam i dowiadującej się przy okazji o zdradzie Daragha, a potem o Tobym, który nawet nie popatrzył mi w oczy, wypowiadając owo pamiętne: „Chyba nie powinniśmy się tak często widywać”. Chwyciłam szybko kuchenne nożyczki.

Kończyłam właśnie cięcie rękawa na równiutkie, wąskie paski, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał Charles Lightman z siostrą.

- Nie odpowiadałaś na telefony - powiedział Charles, wchodząc. W ręku trzymał dwie R S butelki wina.

- Mówiłam mu sto razy, że pewnie pracujesz, ale się uparł - dorzuciła Lucy.

- Nie powinnaś zaniebyszczać... - zaczął Charles i urwał gwałtownie na widok swetra i nożyczek. - Co ty na miłość boską wyprawiasz?

- Tnę sweter od Toby'ego - wyjaśniłam.

Charles uśmiechnął się tylko, a Lucy zerknęła na metkę.

- Przecież to od Nicole Farhi T!

Wzruszyłam ramionami.

- I tak bym go więcej nie włożyła.

- Mogłaś oddać na cele dobroczynne. Albo mnie.

- Nie o to chodzi, prawda? Nie wystarczy pozbyć się tych rzeczy, trzeba je zniszczyć.

Akt zemsty sprawia przecież ogromnie dużo przyjemności, szczególnie ludziom ogarniętym obsesją, czyli takim jak Rebecca - perorował Lightman.

- Nie mam żadnej obsesji - zaprotestowałam urażona.

- Oczywiście, że masz. - Charles przyniósł z kuchni kieliszki do wina i postawił je na stolyczku. -

Najpierw dostałaś obsesji na punkcie Toby'ego Carne'a, a teraz przeniosłaś ją na Tildę Franklin.

Popatrz tylko. - Szerokim gestem ręki wskazał mi książki i papiery na biurku, wykaz najważniejszych dat z życia Tildy przypięty do ściany oraz czarno-białe fotografie na korkowej tablicy.

- Oczywiście poczyniłaś pewne postępy, ale obsesja pozostaje obsesją.

Lucy tuliła w ramionach sweter.

- Tilda to fascynująca kobieta - powiedziałam obronnym tonem. - A... wypełnianie luk w życiorysach uważam za wyjątkowo ciekawe zajęcie. Tylu rzeczy nie możemy przecież wiedzieć. Trzeba się bardzo starać, żeby się ich domyślić.

- Może obetnę drugi rękaw. Zostawię krótkie.

- Zrobić jakieś założenia, wysnuć hipotezy.

- Albo spróbuję je obrębić.

- Takie wypełnianie luk przypomina rozwiązywanie krzyżówki.

- Ewentualnie rozpruję szew i...

- Przestań już gadać o tym cholernym swetrze! - powiedział z uśmiechem Charles. -

Donald kupi ci przynajmniej tuzin takich. - Napełnił ponownie mój kieliszek. - Lu ma no-R S

wego, koszmarnego adoratora z kupą pieniędzy. - Usiadł na podłodze. - Tak czy inaczej, zgadzam się z twoją opinią Rebecca. Nie powinno się dopuszczać do tego, żeby romans tak po prostu wygasł... Należy go zakończyć jakimś wielkim, dramatycznym gestem. To naprawdę oczyszcza.

- Pomaluj mu okna na czarno - powiedziała Lucy, zwijając sweter i chowając go do torby. - Zrób to najlepiej wieczorem, tak żeby po przebudzeniu nie wiedział, co się dzieje.

- Toby mieszka na drugim piętrze.

- Wypuść mu płyn hamulcowy.

- Nie chcę go zabić, tylko trochę upokorzyć. A poza tym wiesz, że nie znam się kompletnie na samochodach.

- Opowiadali raz w telewizji o takiej babce, co to wszyła kawałki sera w zakładki firanek byłego męża. Pomyślcie tylko, jak to musiało śmierdzieć. A on nie miał pojęcia, skąd się bierze ten odór.

- Najlepsze byłyby małże - westchnął Charles. Dopiliśmy wino.

- Niestety nie mam kluczy do jego mieszkania - powiedziałam z żalem.

Kilka dni później Charles znów się u mnie pojawił. Tym razem przyniósł zaproszenie na dancing do Towarzystwa Prawniczego. Nie chciał mi powiedzieć, w jaki sposób je zdobył. Zaczęłam się wahać, on nalegał, więc w końcu pomyślałam: dlaczego nie? W najgorszym wypadku mogłam wylądować w sądzie za wyrządzenie drobnych szkód materialnych.

No a poza tym, jak podkreślił Charles, taka reklama z pewnością wpłynęłaby pozytywnie na sprzedaż moich książek.

Włożyłam zwiewną, długą suknię i pojechałam do centrum wraz z Charlesem ubranym w nieśmiertelny garnitur. Po drodze wstąpiłam do Salisbury'ego. Nie mieli małży, więc kupiłam krewetki.

W Towarzystwie Prawniczym bywałam już wcześniej z Tobym. Zawsze następowa-

łam mu na odcisk podczas fokstrota lub dyskusji z wpływowym sędzią o prawicowych poglądach. Chłodny majestat budynku i dochodzący z daleka odgłos kurtuazyjnych rozmów wydały mi się nagle nieprzyjemnie znajome. Z Charlesem postępującym za mną krok w krok ruszyłam nerwowo do szatni, w obawie, że Toby wyłoni się nagle zza któregoś z filarów. Na szczęście szatniarz opuścił właśnie swój posterunek, więc odnalazłam bez trudności prochowiec Toby'ego. Zadanie ułatwiła mi naszywka przy kołnierzu. Widocznie Toby nie *R S*

wyzywał się jeszcze szkolnych nawyków. Może nazwisko na płaszczu wyhaftowała mu matka?

Charles stanął na czatach, a ja uklęknęłam na podłodze. Gdy wyjmowałam z torebki przybory do szycia i nitkę, ręce drżały mi tak mocno, że miałam trudności z utrzymaniem igły. Zrealizowanie planu dawało mi jednak wiele radości. Zemsta jest rozkoszą bogów - jak twierdził Charles. Nie mogłam

wbić Toby'emu noża w serce, ale nic nie stało na przeszko-dzie, żeby go ośmieszyć.

Już kończyłam, kiedy usłyszałam nagle za sobą jakiś dźwięk.

- Prawie gotowe, Charles - mruknęłam, nie odwracając głowy.

Usłyszałam kaszel. Ale to nie był kaszel Charlesa. Zrobiło mi się zimno i podniosłam głowę.

Natychmiast rozpoznałam Patricka Franklina. Przypomniałam sobie od razu ten spacer w ogrodzie Tildy. Przypomniałam sobie również, jak bardzo mnie ten facet zirytował.

Teraz opierał się o kontuar, ręce trzymał w kieszeni i nie spuszczał ze mnie wzroku. Nie wiedziałam, jak odczytać wyraz jego oczu.

- Ja tylko... ja tylko - jękałam.

Serce waliło mi jak młotem, w ustach zaschło.

- Pani tylko... - zajrzał mi przez ramię - pani tylko zaszywa krewetki w zakładce czy-jegoś płaszcza.

- Bo mam ku temu zrozumiałe powody - odparłam pompatycznie, urywając nitkę. Na policzki wystąpiły mi rumieńce, najchętniej uciekłabym natychmiast, gdzie pieprz rośnie.

Wrzuciłam swoje przybory do torby. - Muszę iść - powiedziałam słabym głosem i podniosłam się z podłogi. - Do widzenia.

- Do widzenia, Rebecco - pożegnał mnie Patrick. Kiedy jednak odwróciłam się, poczułam na ramieniu jego rękę. - Nie zapomnij o tym.

„To” okazało się foliową torebką z niewykorzystanymi krewetkami. Wepchnęłam wo-reczek do kieszeni i wybiegłam z szatni.

Niewiele spałam tej nocy. Wstałam wcześniej i zaczęłam pracować nad książką. O

dziewiątej zatelefonowała Jane. Miała grypę, a Steve wyjechał w interesach, więc może bym mogła przyjechać i zająć się chłopcami przez parę dni? Nie chciała oczywiście przeszkadzać mi w pracy, ale... Kiedy jednak zaproponowałam, że przywiozę laptopa i będę pra-R S

cować, gdy chłopcy pójdą spać, moja siostra roześmiała się tylko pustym śmiechem. Lawrie nie przespał spokojnie ani jednej nocy od chwili narodzin.

Prośbę Jane przyjął z ulgą. Współczułam jej wprawdzie z powodu grypy, ale z przyjemnością uciekłam z Londynu. Na samą myśl o wydarzeniach minionej nocy - a szczególnie o spojrzeniach, jakimi obdarzył mnie Patrick Franklin, kiedy klęczałam na pod-

łodze z krewetkami w ręku, paliłam się po prostu ze wstydu. Ten facet uważał mnie za wariatkę, co zupełnie nie było moim marzeniem. Niby dlaczego miałby sądzić, że biografię jego wspaniałej babki

spisuje osoba niespełna rozumu?

Cieszyłam się wyjazdem poza Londyn, na wieś. Niebo było czyste, jasne, a brązową ziemię zasnuła zielona mgiełka zboża przebijającego się przez śnieg. Dotarłam do Jane o jedenastej. Moja siostra mieszka w małym domku z ogrodem, gdzie obok malw rośnie kapusta, a fasola pnie się po tej samej tyczce, co dzika róża. Zawsze - wbrew własnej woli -

porównuję jej dom z moim nędznym małym mieszkaniem.

Kiedy przyjechałam, Jane upychała właśnie w pralce brudną pościel. Wyglądała naprawdę okropnie, więc od razu wysłałam ją do łóżka. Jack i Lawrie chorowali cały ubiegły tydzień i nadal ciekło im z nosów i kasłali. Przygotowałam chłopcom lunch, z którego większość wylądowała na stole lub podłodze, a potem - ciepło opatulonych w kurtki i wełniane szaliki - zabrałam na spacer. W drodze do domu obaj zaczęli narzekać na głód, więc pełna poczucia winy z powodu kiepsko zbilansowanej diety kupiłam kilka batoników milky way.

Potem zaatakowałam z furią stos rzeczy do prasowania, posłałam łóżko Lawriemu i zaczęłam ścierać błoto pozostawione w korytarzu przez kalosze chłopców. Kiedy czyściłam podłogę, Jack postanowił wziąć sobie trochę soku pomarańczowego z lodówki. Usłyszałam tylko krzyk i brzęk - butelka wypadła chłopcu z ręki i rozbiła się o kafelki. Wpadłam do kuchni, chwyciłam Jacka, który nie miał butów na nogach, i - nie zważając na upiorne dźwięki, jakie z siebie wydawał - posadziłam go na stole, a sama przystąpiłam do zabierania kawałków szkła. Wówczas w progu kuchni stanął Lawrie i poinformował mnie łzawo, że zgubił swojego królika - Boffy'ego. W chwilę później zadzwonił telefon. Pot zalewał mi oczy, ale szybko podniosłam słuchawkę, żeby dzwonek nie obudził Jane, zniosłam obu płaczących chłopców do salonu i włączyłam telewizor. Na szczęście nadawali „Pingu”. Miałam ochotę na drinka, po kuchni jednak nadal wałało się szkło, trzeba było szukać Boffy'ego, a przede wszystkim podać chłopcom podwieczorek. No i jeszcze w dodatku ich wykąpać.

*R S*

Boffy'ego znalazłam za kaloryferem, a następnie pełzałam po podłodze, przerażona, że pominię jakiś odłamek. Później wsadziłam na grill paluszki rybne i przypomniałam sobie o swojej biednej siostrze, która nie piła herbaty od jedenastej rano. Jane na szczęście spała, ale kiedy wróciłam na dół, z grilla buchał już dym. Dym uruchomił alarm, więc skacząc po kuchni jak opętana, otwierałam kolejno wszystkie okna i drzwi. Tymczasem skończył się

„Pingu” i chłopcy stanęli w drzwiach z kciukami w buziach. Obaj patrzyli jak zaczarowani na ciotkę, która stała przy tylnym wyjściu, zeskrobując szerniałe kawałki ryby do kubła z odpadkami.

O wiele później padłam na sofę w salonie, trzymając w jednej ręce kubek z herbatą, a w drugiej laptopa. Do kolejnej wizyty u Tildy zostało mi zaledwie parę dni, a nie skończy-

łam jeszcze opracowywać notatek z poprzedniej.

Gapiałam się w pusty ekran i nie widziałam nic prócz spalonych paluszków rybnych oraz odłamków szkła. A potem usłyszałam płacz. Postawiłam laptopa na podłodze i pobiegłam na górę.

Lawrie wymiotował na pościel, milky way okazał się jednak nie najlepszym pomysłem. Wyjęłam małego z łóżeczka i próbowałam pocieszyć. Ryki Lawriego obudziły Jacka, który zaczął solidarnie wyć. Właśnie zdejmowałam powłoczki pościeli, głaskałam Lawriego i uspokajałam Jacka, kiedy ku mojej ogromnej uldze w drzwiach stanęła Jane. Poklepała Jacka po głowie i powiedziała mu stanowczo, że ma się położyć, a potem ściągnęła Lawriemu piżamę, podczas gdy ja zajmowałam się zmianą powleczenia. Trzeba było uprać całą bieliznę pościelową, ubranko chłopca, a co najgorsze wykapać Boffy'ego. Lawrie był jak potępieniec, podczas gdy Jane płukała królika pod kranem. Ryczał jeszcze głośniej, kiedy jego ulubieniec wylądował w pralce, a później w suszarce. Nie pozwolił również bez walki na zmianę pieluszki i piżamki. Wszelkie próby skierowania jego uwagi na inne tory zakończyły się fiaskiem - Lawrie zignorował smoczek, a pajacyka rzucił na podłogę. Dopiero wówczas, gdy Boffy - niezwykle czysty i puszysty - wyłonił się z suszarki, Lawrie zwinął się na kolanach Jane, a jego łkania umilkły.

Jane pogładziła go po włosach.

- Biedactwo - szepnęła. - Biedactwo.

Jej twarz była tak blada, że aż przezroczysta. Podniosła na mnie wzrok.

- Wiesz, Rebecca, że oddałabym duszę za jedną przespaną noc?

*R S*

Nie wątpiałam w to ani przez chwilę. Lawrie nadal miał czkawkę, ale przymknął oczy.

- A Steve nie mógłby ci bardziej pomagać? Potrząsnęła głową.

- Musi brać nadgodziny. Mamy debet na koncie. Popatrzyłam na nią z przerażeniem.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Kupiliśmy ten dom w nieodpowiednim momencie. W dodatku są w nim tylko dwie sypialnie, a chłopcy strasznie się kłócą. Nie wiem, kiedy będziemy mogli się przeprowadzić do jakiegoś większego lokum. Czasem zazdroszczę ci wolności.

Już od dawna nie sądziłam, że mogę być dla kogokolwiek obiektem zazdrości. A już na pewno nie od czasu rozstania z Tobym.

Jane zdobyła się na łzawy uśmiech, a ja - bardzo delikatnie - zdjęłam jej synka z kolan. Nawet się nie poruszył. Kazałam siostrze iść do łóżka i przyrzekłam, że jeśli mały się obudzi, zajrzę do niego natychmiast.

Zaniosłam go na górę, ale nie położyłam od razu. Chłopiec oparł główkę o moje ramię, a ja patrzyłam na jego ślicznie ukształtowany nosek, podkrążone oczy i wciąż zaróżowione od płaczu



policzki. Sama miałam łzy w oczach, ale jakoś je rozpedziłam. W końcu dotknęłam delikatnie ustami czoła Lawriego i włożyłam go do łóżeczka. Malec nie mógł

przez chwilę znaleźć wygodnej pozycji, w końcu zwinął się w kłębek, przycisnął królika do twarzy i zachrapał. Patrzyłam, jak śpi, i próbowałam wyobrazić sobie Toby'ego czyszczące-go dziecięce ubranko z wymiocin, Toby'ego rzucającego wszystko, byle tylko zdążyć do chorego synka. No i nic z tego nie wyszło. Taki obraz zupełnie mi do niego nie pasował.

Toby martwiłby się zapewne wyłącznie tym, że zabrudzi sobie garnitur. Albo, co gorsza, że następnego dnia przegra sprawę w sądzie.

Usiadłam na komodzie przy łóżeczku i po raz pierwszy, zamiast smutku, złości czy żądy zemsty, odczułam szczerzy żal. Zaczęłam powoli rozumieć, że mój związek z Tobym opierał się na rojeniach obu stron. Toby szukał młodej, posłusznej partnerki i chciał ją przerobić na żonę, która pomagałaby mu w karierze. A ja z kolei pragnęłam rodziny, takiej, jaka mogłaby mi zastąpić mój własny, skażony, rozbity klan. Dziecko stanowiło część naszych fantazji.

Od początku do końca naszej znajomości nie wierzyłam, że ktoś taki jak Toby - przystojny, kulturalny i bogaty - jest w stanie naprawdę mnie pokochać. Dziecko mogło nas ze sobą związać - tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Co do Toby'ego, to zapewne po-R S

ciągał go znów modny wizerunek prawdziwego mężczyzny uszlachetnionego ojcostwem.

Takiego mężczyzny z reklamy: z piękną żoną u boku, uroczym dzieckiem, szybkim autem.

Tyle że reklamy kłamią; we wspaniałym wozie walają się jednorazowe pieluchy, a kariera zawodowa wisi na włosku przez zbyt wiele nieprzespanych nocy.

Zostałam z Jane przez kolejne trzy dni; dopóki ona nie wydobrzała, a Steve nie wrócił

z konferencji. Potem pojechałam do Tildy. Kiedy zamykałam za sobą bramę Czerwonego Domu, doznałam ogromnej ulgi. Otuliły mnie ściany bukszpanów ozdobionych kroplami deszczu. Czułam hipnotyczny, oszałamiający zapach hiacyntów oraz żonkili. Otoczona żywopłotem, przymknęłam na chwilę oczy i zaczerpnęłam haust pachnącego powietrza, uradowana perspektywą powrotu do sanktuarium przeszłości.

\* \* \*

Pobrali się na początku stycznia, w jednym z katolickich kościołów w Cambridge.

Jossy miała na sobie białą atlasową suknię uwydatniającą biust i biodra. Stojąc przy ołtarzu, Daragh zerknął za siebie i nagle ogarnął go strach pomieszany z żalem. Zastępy dobrze ubranych obcych ludzi i sama Jossy, która kroczyła wzdłuż nawy wsparta o ramię swego wuja, wydała mu się nagle koszmarnie nieznajoma. Jego narzeczona powinna mieć inną twarz: powinna mieć ciemnozłote włosy i chłodne, szare oczy. Odnosił przez chwilę wrażenie, że znalazł się przypadkowo w cudzym śnie. Całą siłą woli powstrzymywał się od ucieczki.

Jossy zależało na miesiącu miodowym. Zaproponowała sześciotygodniową wyprawę na kontynent, ale Daragh zwrócił jej uwagę, że przecież jest zima. A tak naprawdę nie mógł

wyobrazić sobie siebie zduszonego tygodniami w samochodzie razem z Jossy i to w dodatku w kraju, gdzie brak znajomości obcego języka uniemożliwiłby mu nawet wieczorną pogawędkę z barmanem. Zasugerował więc Londyn i Jossy na szczęście wyraziła zgodę. Noc poślubną mieli spędzić w hotelu Savoy. Jadąc Wielką Drogą Północną sportowym samochodem, otrzymanym w prezencie od Jossy, Daragh myślał, że najgorsze ma już za sobą.

Przerażenie, jakie ogarnęło go przed ceremonią, teraz w chłodnym błękitcie popołudnia wydawało mu się śmieszne. Po powrocie do hotelu zamierzał się czegoś napić, nie za wiele, drinka albo dwa. W końcu musiał jeszcze spełnić pewien ostatni obowiązek. Wiedział, że nie do końca jeszcze pojmuje, co się właściwie stało. Nie wspiał się po drabinie o szczebel wyżej, skoczył na sam szczyt. Southam należało do niego, podobnie jak i farma, a nawet *R S*

dom rządcy, w którym mieszkał ten dziwny chłopak z wujem. Wszystko to stanowiło teraz legalnie własność Daragha Canavana. Pozbył się ostatnich śladów irlandzkiego akcentu; wymyślił sobie mniej kompromitujące pochodzenie. Talent naśladowniczy i inwencja przyniosły efekty, żaden z przyjaciół Jossy nie odmówił podania mu ręki. Kiedy przypomniał

sobie swój poprzedni pobyt w Londynie, zrozumiał, jak wielkie dopisało mu szczęście. Rzeczywiście urodził się w czepku.

W Savoyu jedli kawior i wędzonego łososia, pili najlepszego szampana. Jossy nie spuszczała z niego wzroku. Kiedy zaczęło mu to działać na nerwy, pomyślał, że w końcu nie są skazani wyłącznie na siebie. On zamierzał powiększyć majątek, a ona... cóż. Jossy na pewno pragnęła urodzić mu dzieci. Dużo dzieci. Im więcej, tym lepiej.

Po kolacji zakręcili się parę razy wokół parkietu i poszli na górę do apartamentu. Tam Jossy, stojąc na środku sypialni, zaczęła niezdarnie rozpinąć guziczki rękawiczek, a włosy wysunęły się jej z misternej korony wzniesionej rano przez fryzjerkę.

Daragh wyjął resztę szpilek z jej koka i zdjął krnąbrne rękawiczki. Całując szyję i ramiona dziewczyny, odpinał haftki z pętelek przyszytych na plecach sukni. Jossy miała zaci-

nięte powieki i nie wiedział, czy jest przerażona, czy podniecona. Kiedy jednak dotknął jej pleców czubkiem języka, jęknęła cicho, więc przestał się martwić. Suknia opadła na podłogę, a ramiączka halki zsunęły się Jossy z ramion.

Kartkę papieru znalazł dopiero wówczas, gdy rozpoczął walkę z bielizną usztywnioną fiszbinami. Arkusik spadł na podłogę.

- Co to jest, na miłość boską? - spytał Daragh.

Jossy otworzyła oczy, poczerwieniała i zaczęła coś mamrotać.

- Słucham? - spytał Daragh.

- Powiedziałam, że to list od ciebie. Nadal nic nie rozumiał.

- Pamiętasz, kochany, ten list, który do mnie napisałeś, zanim spotkaliśmy się po raz pierwszy? Nadal noszę go na sercu.

Rozłożył papier.

*Odkąd panią zobaczyłem, nie mogę myśleć o nikim innym. Tak bardzo pragnę ujrzeć panią ponownie, zamienić z panią choć parę słów.*

- Ja tego nie napisałem - powiedział Daragh.

R S

- Ależ oczywiście, że napisałeś, kochany. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że mówię o tym teraz, gdy już jesteśmy po ślubie.

Najpierw popatrzył na Jossy, potem na papier. U dołu strony widniało jego imię. Te wszystkie zużyte, wyświechtane zwroty skreślono zamaszystym charakterem pisma przypominającym jego własny. Daragh poczuł, że robi mu się zimno. Zimno i niedobrze.

Podszedł do okna i zmusił się do ponownego przeczytania listu.

*Nadal mam przed oczyma twoją piękną twarz... gdybym tylko mógł usłyszeć twój głos, dotknąć twojej ręki... Wiem, że nie jestem ciebie wart, ale miłość wszystko zwycięży... Nie mów nikomu więcej o tym liście, kochanie. Błagam, wybacz mi tę zuchwałość. List podrzyj, najlepiej spal...*

A jednak Jossy nie podarła tego przeklętego listu ani też nie wrzuciła go do ognia.

Kiedy Daragh znów na nią popatrzył, stała na środku pokoju z rozpiętym gorsetem, jej uda widoczne ponad końcówkami pończoch wydawały się grube i bardzo białe.

- Jesteś zły, że go zatrzymałam? - spytała.

Daragh potrząsnął głową.

- Przepraszam cię na chwilę. Chyba wypilem za dużo szampana.

W łazience zmoczył głowę zimną wodą i całą siłą woli powstrzymywał wymioty.

Wiedział, że coś zdecydowanie nie gra, ale nie bardzo rozumiał co. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, wrócił do Jossy i zabrał ją do łóżka.

Już po wszystkim leżał długo w ciemnościach. Być może wszystko to było pomyłką zbudowaną na piasku. Być może pisana mu była zupełnie inna droga. Być może ktoś celowo popchnął go na

nieodpowiednią ścieżkę i sprytnie pokierował rozwojem wypadków, by wykorzystać jednocześnie jego ambicje i naiwność Jossy. Piękna pościel, miękka poduszka i jedwabna kapa wydały mu się koszmarnie.

Walcząc z kolejnym przyływem paniki, próbował odtworzyć przebieg wydarzeń.

Ktoś napisał ten list, podrabiając jego charakter pisma i podpis. List wysłano do Joscelin de Paveley, by ta uwierzyła, że Daragh darzy ją uczuciem. Z powodu tego listu on poślubił Jossy, a nie Tildę. Daragh wyzwolił się z objęć śpiącej Jossy, poszedł do pokoju obok, po czym zamówił whisky oraz paczkę papierosów.

Tilda wrzucała właśnie do kosza oszronione polana, gdy nagle usłyszała łomot do drzwi i wołanie. Kiedy rozpoznała głos Daragha, szczapa wysliznęła się jej z rąk i upadła na *R S*

pokryte lodem kamienie. Ręce jej drżały, paznokcie posiniały z zimna. Wolno pozbierała kawałki drewna i zaniósła je do składziku.

Byli w kuchni. Najpierw dotarł do niej głos Sarah.

- Powinien pan wyjść, panie Canavan.

- Ani mi się śni, dopóki nie powie mi pani prawdy.

Tilda otworzyła kuchenne drzwi. Po jednej stronie stołu stał Daragh, po przeciwnej siedziała ciotka.

- Idź do pokoju, Tildo - powiedziała.

- Och, niechże pani przestanie. - Daragh uśmiechał się bardzo nieprzyjemnie. - Sądzę, że Tilda powinna zostać. Nie zgadza się pani ze mną?

Tilda zatrzasnęła za sobą drzwi. Wczoraj, w dniu ślubu Daragha, szła tak długo wzdłuż kanału, smagana wiatrem, dopóki Southam i wszyscy, którzy tam mieszkali, nie zniknęli za horyzontem.

- Co ty tutaj robisz? - spytała gorzko. - Nie powinieneś być zostać z żoną?

- Chciałem zamienić parę słów z twoją ciotką. - Daragh miał mocno zarumienioną twarz i potargane włosy. - Muszę ją o coś zapytać. - Machnął kawałkiem papieru.

- Proszę, wyjdź. Żadna z nas nie ma ochoty na rozmowy z tobą.

Wyraźnie się wzdrygnął. Gestykulował przy tym przesadnie i mówił stanowczo zbyt głośno. Tilda zrozumiała, że pił.

- Wszystko ci opowiem. - Daragh wskazał palcem Sarah. - Ona musi wytłumaczyć...

Sarah siedziała przy stole z wyniosłą, spokojną miną i rękami splecionymi na blacie.

- Tu nie ma nic do tłumaczenia. - Tilda otworzyła drzwi do pomywalni. - Idź już.

- Przeczytaj to. - Gdy wciskał jej kartkę do ręki, słyszała, jak sapie. - Przeczytaj.

Spojrzała na arkusik.

*Wiem, że nie jestem ciebie wart, ale miłość wszystko zwycięża.*

U dołu strony widniało imię Daragha, list zaadresowano do panny de Paveley. Tilda zwinęła kartkę i cisnęła ją na podłogę.

- Nie będę czytała twoich listów miłosnych. Wynoś się.

Chwycił list i jednym stanowczym ruchem ręki wygładził papier.

- Powiedziałem: przeczytaj! - wrzasnął i pociągnął dziewczynę za rękę.

Tilda wstrzymała powietrze.

*R S*

- Puść ją! - krzyknęła Sarah, wstając.

Przed oczyma dziewczyny tańczyły wyrazy i zdania.

- Ja tego nie napisałem - powiedział łagodnie Daragh.

Wskazała drżącym palcem jego podpis.

- Ja tego nie napisałem - powtórzył. - Mam ci wyjawić autora? To ona. Ona to napisa-

ła, bo nie chciała, żebym się z tobą widywał. - Odwrócił się do Sarah z twarzą pobielającą od gniewu.

- Tak właśnie było, prawda?

Tilda patrzyła na ciotkę w nadziei, że ta zaprzeczy. Ale Sarah Greenlees milczała. Sta-

ła sztywno i nieruchomo, a jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. W tej zło-wieszczej ciszy gniew Tildy stopniowo zamieniał się w strach.

Daragh uderzył pięścią w stół.

- Powiedz jej, ty stara wiedźmo! Powiedz jej, że to przez ciebie poślubiłem Joscelin de Paveley.

- Ożeniłeś się z nią, bo jesteś chciwy - odezwała się w końcu Sarah. W jej głosie pobrzmiwała satysfakcja. - Ożeniłeś się z nią dla pieniędzy.

- Ożeniłem się z nią, bo ty to uknułaś.

- Masz, na co zasłużyłeś, Daraghu Canavan.

W oczach Tildy pojawił się wyraz cierpienia. Ten pokój, twarz Sarah, wszystko nagle się zmieniło i stało nieznanym, straszne. Wianek z chmielu i papierowa okładzina na półki wydały się jej nagle kruche, nierzeczywiste. Nieład panujący wśród książek i naczyń na stoliku wzbudził w niej uczucie irytacji.

- Masz, na co zasłużyłeś - powtórzyła Sarah. - Panna de Paveley również - dodała i zaczęła się śmiać. Jej śmiech odbił się głośnym echem od ścian niewielkiego pomieszczenia.

- Dobry Boże! - Z twarzy Daragha zniknęły rumieńce. - Ona jest szalona, całkowicie szalona. - Popatrzył na Sarah i znowu na Tildę.

- Kochałem cię - szepnął. - Tak bardzo cię kochałem - powtórzył, obrócił się na pięcie, wypadł na podwórze i odjechał z rykiem silnika.

Mimo że mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa, Tilda podeszła do zlewu, napełniła szklankę wodą i postawiła ją przed ciotką. A potem usiadła przy stole. Czekwała.

- Czy to prawda? - zapytała w końcu, kiedy Sarah wreszcie przestała się śmiać i wypila kilka łyków wody.

*R S*

Z twarzy Sarah odpłynęła cała krew. Jej skóra wyglądała jak przezroczysta. Skinęła głową.

- Wiedziałam, że się w nim kochasz... Znalazłam w twoim pokoju list. Skopiowałam charakter pisma. - Atak hysterii minął, Sarah mówiła martwym, zmęczonym głosem.

- Dlaczego?

Podniosła wzrok znad szklanki. Postarzała się nagle o wiele lat.

- Bo on nie jest cię wart.

Jakaś część Tildy rozpadła się w proch. Pełne ufności założenia ukształtowane w dzieciństwie legły w gruzach. Jedyne maleńki fragment mózgu zachował odrębność i zdolność do obiektywnego myślenia.

- Dlaczego akurat Joscelin? Dlaczego Daragh musiał się ożenić właśnie z nią?

Sarah wzruszyła ramionami.

- A dlaczego nie? Joscelin pragnęła Daragha, a on musiał się skusić na pieniądze de Paveleyów.

Tilda niemal jej uwierzyła. Potem jednak przypomniała sobie śmiech ciotki na pogrzebie dziedzica i zrozumiała, że Sarah - która nigdy nie chodziła do kościoła - potraktowa-

ła ceremonię żałobną jak swoje wielkie święto.

- Nie, to nie wszystko. Ty ich nienawidzisz. Nienawidzisz de Paveleyów z całego serca.

Ciotce pociemniały oczy, ale się nie odezwała.

- Dlaczego? - szepnęła Tilda. - Jeżeli nie powiesz mi prawdy, wyjadę - zagroziła, gdy Sarah nie przerywała milczenia. - Wyjadę i nigdy nie wrócę. Będę żyła tak, jak obie kiedyś żyłyśmy, podróżując. Ale tym razem sama, bez ciebie. Mów.

Zapadła długa cisza.

- Nienawidziłam Edwarda de Paveleya z powodu krzywdy, jaką wyrządził mojej siostrze, a twojej matce - powiedziała w końcu ciotka. - Oczy zwięzły się jej nagle. Głos przeszedł w złowieszczy szept. - Przeklinam de Paveleyów i całe ich potomstwo.

Tilda nie mogła dobyć z siebie głosu. Mów wreszcie - myślała.

- Edward de Paveley był twoim ojcem - wyrzuciła z siebie Sarah, a te słowa zabrzmiały jak jęk.

\* \* \*

*R S*

- Na początku jej nie uwierzyłam. Myślałam, że Daragh ma rację, że ona oszalała. I może rzeczywiście ciotka cierpiała na jakiś łagodny rodzaj choroby umysłowej. Pewnie doznała szoku, kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest bezsilna wobec tego, co się stało z jej siostrą. Żądza zemsty przerodziła się w obsesję. Sarah opowiedziała mi, że wyjechała z do-mu po śmierci ojca, a Deborah poszła do pracy we Dworze. Wyznała całą prawdę. Pokazała mi nawet nakaz umieszczenia matki w zakładzie dla obłąkanych. Miała taką kasetkę pełną smutnych, strasznych pamiątek - lok włosów siostry, starą lalkę, którą bawiły się jako małe dziewczynki, taki sam bukiet kwiatków jak ten, który włożyła do trumny.

Przestałam pisać. Wiedziałam, że zapamiętam jej każde słowo.

- I tak wyjechałam - ciągnęła. - Nie mogłam zostać w takim okropnym miejscu. Spakowałam torbę, zabrałam pieniądze zaoszczędzone ze sprzedaży jajek i pożegnałam Southam. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Najpierw poszłam do Emily Potter. Nie powiedziałam jej jednak całej prawdy, nie potrafiłam. W dalszym ciągu bardzo cierpiałam i postanowiłam przed tym wszystkim uciec. Musiałam zapomnieć o Sarah, Daraghu, zacząć wszystko odnowa. Musiałam się stać kimś innym. Czułam, że przeszłość wyrządziła mi ogromną krzywdę, więc w ogóle nie chciałam mieć przeszłości. Ale oczywiście od niej nie można uciec. W końcu ta prawda do mnie dotarła. Nigdy nie udało mi się

umknąć przed tym, co się stało z Deborah, ani od własnych uczynków.

Nie uwierzyłam Tildzie. Można się zmienić i zacząć od nowa. Można odłożyć na bok tę słabą, bezbroną istotę, jaką się kiedyś było, wytworzyć skorupę, a potem pokryć nią serce i żal. Trzeba tylko ciągle odbudowywać kolejne warstwy.

- Emily zachowała się cudownie - dodała Tilda. - Pożyczyła mi pieniądze, znalazła rozkład jazdy pociągów. Postanowiłam pojechać do Londynu. Wiedziałam, że to będzie dobre miejsce dla nowego startu. Takie anonimowe. - Uśmiechnęła się i w tej samej chwili wyobraziłam sobie dokładnie młodą dziewczynę, jaką ongiś była; Tildę o pięknej, pociągłej twarzy jak ze średniowiecznego portretu i szarych oczach, przez które mężczyźni tacy jak Daragh Canavan zupełnie zapominali o swoich planach na przyszłość.

- Emily podarowała mi jeden ze swoich najładniejszych kapeluszy oraz nożyczki. A potem pobiegłam na stację złapać pociąg do Londynu.

- Nożyczki? - spytałam zdziwiona.

*R S*

## **Rozdział 4**

Tilda obcięła włosy w przedziale trzeciej klasy pociągu londyńskiego.

- U fryzjera w Londynie dostałabyś za nie niezłą cenę, kochaneczko - powiedziała kobieta siedząca naprzeciwko.

Tilda zawinęła pukle w chustkę i upchnęła je w torbie.

Dworzec Liverpool przypominał piekło pełne czarnego dymu i syczącej pary. Tilda zajrzała do notatek ze wskazówkami Emily i poszukała stacji metra. Długie ruchome schody najwyraźniej chciały ją pożreć, z ciemności wyłonił się nagle wielki, ryczący wąż, po czym ruszył na nią z łoskotem. W przedziale - ściśnięta między dżentelmenem w meloniku i bardzo grubą kobietą trzymającą kurczowo torbę wypchaną gazetami - zerknęła w pewnej chwili w okno, by stwierdzić, że jej włosy są z jednej strony przynajmniej o dwa centymetry dłuższe. Liczyła stacje: Moorgate, Barbican, Farringdon. A potem pociąg wypluł ją na peron i dziewczyna wybiegła po schodach na ulicę.

Roland Potter mieszkał przy ulicy Pargeter 15. Tilda co chwila pytała przechodniów o drogę. Ogłuszyła ją kompletnie kakofonia warczących silników, potężnie brzmiących klaksonów i nawoływań gazeciarzy posługujących się jakimś dziwnym, niezrozumiałym językiem.

Zapach miasta - gęsta zawiesina spalin, dymu i odoru gnijącej roślinności - był dla niej zupełnie nowy i ekscytujący. Wszyscy wyraźnie się gdzieś spieszyli, mieli poważne, zaaferowane miny.

Dom przy Pargeter 15 wychodził na skwer obsadzony okopconymi platanami i sęka-tymi głógami. Przy wejściu znajdowało się kilkanaście dzwonek z brązu z nazwiskami wypisanymi na małych tabliczkach pod spodem. Tilda odnalazła nazwisko Potter i przycisnęła dzwonek. Z oddali dotarło do



niej pobrząkiwanie, a dopiero w pięć minut później usłyszała kroki na schodach i drzwi się otworzyły.

Roland Potter miał na sobie podkoszulek, spodnie i szelki.

Wyglądał tak, jakby dopiero co wstał z łóżka, z trudem unosił powieki.

- Tilda - powiedział, wbijając w nią wzrok.

- Roland. - Nagle poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie. - Dostałam twój adres od Emily. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

*R S*

- Oczywiście, że nie. Chodź, na pewno bardzo zmarzłaś. - Tilda weszła do środka, a Roland zamknął za nią drzwi.

- Przepraszam za ten strój, ale pracowałem na cmentarnej zmianie. Dosłownie. Ciało w kostnicy. Pozwól ze mną. - Włosy w kolorze toffi sterczały mu nieporządnie wokół głowy.

Dom składał się z całego mnóstwa krętych schodów i ciemnych, wąskich korytarzy z ogromną liczbą drzwi.

- To moja przyjaciółka, Anno! - wrzasnął Roland. - Anna to właścicielka domu - wyjaśnił. - Lubi wiedzieć, co się dzieje. Daj mi torbę. Mieszkam dosyć wysoko.

Roland zajmował pokój na trzecim piętrze.

- Przepraszam, straszny tu bałagan - mruknął. Na podłodze walały się porozrzucone skarpetki i koszule, a na stole, przy zlewie i wokół kominka - sterty brudnych naczyń.

- Nie spodziewałem się towarzystwa, bardzo mi przykro.

- Proszę, przestań. Przecież to ja powinnam cię przeproszać. Zjawiłam się tak nieoczekiwanie.

- Ależ nie ma za co. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Naprawdę. - Roland otworzył

okno i w zatęchłe powietrze wpadł nagle mroźny powiew. - Jak się miewa Em?

- Świetnie. Tyle że strasznie się nudzi.

- Wyrośnie z tego - powiedział zblazowanym tonem, z charakterystycznym dla starszych braci brakiem zainteresowania, po czym przeniósł stos książek i gazet z krzesła na podłogę. - Siadaj, Tildo. Herbaty?

Skinęła głową i wyjrzała przez okno. Po jezdni przejechał właśnie z turkotem wóz pe-

ten pustych butelek na mleko, dzieci bawiły się w berka na skwerku. Przesunęła palcami po gęstych, kręconych włosach i zrozumiała, że zrobiła coś nieodwracalnego, coś, co zmieniło jej życie. Przełknęła głośno ślinę, by powstrzymać nagły przyływ smutku i podniecenia.

Roland przyniósł herbatę.

- Pewnie przyjechałaś na zakupy? - spytał, a Tilda pokręciła głową.

- Na stałe. Opuściłam dom - dodała, by nie pozostawić Rolandowi żadnych wątpliwości. - Emily mówiła, że pewnie będziesz wiedział, gdzie mogę poszukać pokoju.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- Zaraz... czy to znaczy, że... - Urwał. - Przepraszam. Nie moja sprawa. - Myślał chwi-

lę. - Na drugim piętrze jest taki mały pokoik, właściwie klitka. Naprawdę maleństwo. Anna trzyma tam suknie. Coś ci powiem. Dokończ herbatę i pójdziemy się z nią zobaczyć.

Na parterze Roland zapukał do jednego z mieszkań. Kobięcy głos zaprosił ich do środka. Na początku Tilda nic nie widziała. Kotary zasunięto, pokój oświetlał tylko płomień lampy naftowej. Gdy jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności, Tilda dojrzała ozdobione perłami zasłony, portrety w złotych ramach, wyszywane parawany, świeczniki z brązu i zieloną papugę w klatce zwisającej z sufitu.

Anna siedziała w rogu pokoju, otulona szalami i koralami. Cienie eksponowały jej wystające kości policzkowe i piwne, lekko skośne oczy w kształcie migdałów. W mrocznym świetle Tilda nie mogła odgadnąć wieku kobiety.

- Anno - zaczął Roland - pozwól, że ci przedstawię pannę Tildę Greenlees. Tildo, to jest Anna. Ma oczywiście nazwisko, jednak żaden z jej lokatorów nie jest w stanie go wy-mówić. Anno, Tilda przyjechała do Londynu i nie ma się gdzie zatrzymać. Myślałem o tym pokoiku na górze, wiem, że jest mały, ale ona nie ma dużo bagażu.

- Chodź tutaj, dziecko - odezwała się Anna.

Tilda postąpiła krok naprzód. Dwie szczupłe, otulone rękawiczkami dłonie obróciły jej twarz do światła. - Niech no na ciebie popatrzę. Ooo! - okrzyk Anny natychmiast powtó-

rzyła papuga. - Co zrobiłaś z włosami?

Tilda wyjęła z kieszeni nożyczki.

- Obcięłam je w pociągu.

Anna zwęziła skośne oczy.

- Uciekaj stąd, Rolandzie. Nie jesteś nam potrzebny. Muszę porozmawiać z Tildą.

Roland wyszedł z pokoju.

- Kiedy wyjeżdżałam z Rosji, powyrzucałam pierścionki na śnieg. Jeden był z brylantem, drugi z szafirem... Wierzę w romantyczne gesty. - „R” w „romantyczne” wibrowało w nieskończoność. - A ty?

Tilda tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Teraz doprowadzę do porządku twoje włosy i zabierzemy sukienki z pokoiku na górze. To klitka, ale ty też jesteś małeńka. A potem mi powiesz, dlaczego uciekłaś z domu.

Podejrzewam, że chodzi o mężczyznę, kochanka, prawda?

\* \* \*

*R S*

Podczas przygotowywania kolacji we wspólnej, małej kuchence Roland opowiedział

Tildzie o innych lokatorach domu przy Pargeter 15.

- Na parterze mieszka jeszcze jeden Rosjanin, Stefan jak mu tam... Ma czarną brodę, odzywa się tylko do Anny. Pierwsze piętro zajęły baletnice - Maureen i June.

Do kuchenki wszedł młody człowiek w sztruksowych spodniach i poszarpanej koszuli.

- Tildo, to jest Michael Harris. Studiuje chemię w College'u Imperial. Od czasu do czasu zdarza mu się narobić tutaj straszego smrodu, a parę razy o mało nie podpalił domu.

- Nikczemny oszczerca - powiedział uprzejmie Michael, biorąc Tildę za rękę. - Zamierzasz mieszkać w tej piekielnej dziurze, czy też jako rozsądna osoba jesteś tu tylko prze-jazdem?

- Tilda zajęła pokoiik na drugim piętrze.

- O święci anieli! Dzielna dziewczynka.

Roland postawił garnek z wodą na gazowym palniku.

- Ile jajek, Tildo?

- Jeśli można prosić, to dwa.

- Mamy jeszcze Fergususa. - Roland włożył ostrożnie cztery jajka do rondelka. - To Szkot. Prawdziwy z niego olbrzym.

- Dużo pije - mruknął Michael.
- Widać biedak tęskni za domem.
- A Giles Parker wynajmuje pokój naprzeciwko mnie. Pisze wiersze, zna wielu sławnych ludzi. No i Celia. Michael kocha się w Celi. Prawda, Michael?
- Zamknij się. - Michael otworzył puszkę z zupą.
- Celia śpi w dzień i pracuje w nocy. O swoim zajęciu opowiada raczej półsłówkami, ale zawsze wspaniale wygląda. - Roland oskrobał tosta ze spalenizny i posmarował go masłem.
- No, na razie starczy.
- Jeszcze Max - przypomniał Michael.
- No jasne. Max. Max mieszka na strychu. Pisuje dla gazety. Teraz jednak wyjechał.
- Rano wrócił - powiedział Michael.
- Ach tak. Mogłem do niego wpaść. Ale z drugiej strony...

R S

- Roland postawił na stole gotowane jajka i tosty. - Herbata gotowa, Tildo. Max to zupełnie fantastyczny facet.
- Cyniczny drań - rzucił Michael i przykręcił gaz, bo zupa zaczynała kipieć.

Tego wieczoru wpadło kilku przyjaciół June - przynieśli jabłecznik i piwo. Kiedy z szyb zaczął się ześlizgiwać deszcz ze śniegiem, wszyscy przenieśli się z kuchni do pokoju Michaela i rozsiedli na stosach gazet, a Roland przytargał z góry gramofon. Bawiono się coraz głośniejsze i radośniej, wręcz szaleńczo.

Ktoś wsunął Tildzie do ręki szklanekę jabłecznika. Dziewczyna przycupnęła na parapecie i obserwowała, jak jeden z przyjaciół June parodiuje primabalerinę.

- Trzydzieści dwa *fouettes*, kochanie. Lesly ledwo sobie daje radę z sześcioma. - Tancerka, ubrana w porządną, robioną na drutach garsonkę, miała czarne włosy i ciemne oczy.

Palila papierosa w cygarnicze.

- Okropna z ciebie jęzda - powiedziała June, z trudem tłumiąc śmiech.

Ten wieczór utkwiał jej w pamięci jak seria obrazów - ona tańczy z Rolandem fokstrota, Michael przyrządza kakao w menzurce, Szkot Fergus śpiewa, a Stefan gra na bałabajce

„Spacer wśród tulipanów”.

Tilda wypła jabłecznik i wypaliła papierosa. Michael poszedł przynieść jej jeszcze jednego drinka.

- Przestańcie hałasować, do cholery! - zawołał ktoś od drzwi, a powitał go chór jęków oraz kilka pojedynczych gwizdów.

- Nie nudź.

- Lepiej się napij.

Według oceny Tildy, Max zbliżał się do trzydziestki. Miał proste, lśniące ciemne wło-sy, lekki zarost, czerwone oczy i blady wygląd człowieka, który bardzo potrzebuje snu.

Ubrany był w zniszczone sztruksowe spodnie i białą rozpiętą koszulę. Dziewczyna dostrzegła jego nagi tors i bosc stopy.

- Max, kochanie - zwróciła się do niego czarnowłosa tancerka. - Powinieneś być mnie uprzedzić o swoim powrocie. Bardzo za tobą tęskniłam - dodała, całując go w policzek.

- Dajcie mu drinka! - krzyknął Fergus, ale Franklin potrząsnął odmownie głową.

- Michael robi kakao - powiedziała June i Max wyszedł do kuchni, mruczając coś pod nosem.

*R S*

Z dolnych części domu wyłoniła się Anna z klatką na ramieniu, otulona w błyszczące szale i opalizujące korale. Przyjęcie trwało w najlepsze. Zegar wskazywał wpół do drugiej w nocy. Roland zniknął w poszukiwaniu piwa, Tilda natomiast utknęła między Fergusiem i tancerkami. Fergus objął ją w talii stanowczo zbyt mocno i pocałował. Dziewczyna poczuła nagły przyływ mdłości. Przepisnąwszy się przez zebranych, wyszła z pokoju.

W korytarzu było ciemno i zimno. Tilda odwróciła głowę. Przy balustradzie stały dwie czarne postacie; ich głosy przebijały się wyraźnie przez ciemność. Rozpoznała Maksa i Christine.

- Co to za dziecko?

- Jedna z pańek Rolanda. - Baletnica zachichotała.

Tilda zamarła w korytarzu. Z ciemności znów doleciał do niej głos tancerki.

- Wygląda jak Cyganka, prawda? Sukienkę kupiła chyba na wyprzedazy w Armii Zbawienia. A te buty!

Tilda wróciła do kuchni - teraz już wyludnionej, zabrudzonej kakao, pełnej butelek po mleku, zaśmieconej kawałkami biszkoptów. Stojąc przy zlewie, patrzyła, jak jej łzy odbijają się od filiżanek i skapują do mętnej wody.

- To jędzą, wiesz? Nie powinnaś się tak przejmować. - Odwróciła się na pięcie. W progu stał Max.

- Nie płaczę. Przez ten dym łzawią mi oczy. Milczał chwilę.

- Skoro tak twierdzisz - mruknął i szybko wyszedł z kuchni.

Znalazł Rolanda u Gilesa. Obu pochłaniał poker.

- Twoja przyjaciółeczka roni łzy do zlewu - szepnął Rolandowi do ucha, po czym z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wspinał się po schodach na strych, zamknął kopnięciem drzwi, usiadł na brzegu łóżka i - obejmując głowę rękami - zaczął się rozkoszować względnym spokojem.

Wiedział, że nie zaśnie. Przed oczyma migały mu nadal obrazy z ubiegłego miesiąca.

Zapalił papierosa i podszedł do okna. Deszcz ze śniegiem przeszedł w śnieg, który zresztą rozpuszczał się w chwili, gdy spadał na chodnik. Sięgające okien korony platanów drżały na wietrze. W pokojach na poddaszu zawsze panował dotkliwy ziąb, ale Max nigdy nie zwracał

na to uwagi. Tu mieściło się jego sanktuarium. Żadne z przyjęć spadających na Pargeter 15

niczym morowa zaraza nie miało prawa dotrzeć na strych. W obu pokojach zajmowanych *R S*

przez Franklina panował niemal spartański porządek. Raz na dwa miesiące przychodziła do niego Anna, by wypić herbatę i pogawędzić o przeszłości. Nie zapraszał do siebie nikogo poza nią - ani Fergus, ani Michaela, ani już tym bardziej Rolanda Pottera. Ten idiota nawet nie zareagował, kiedy to dziecko obrzucano błotem. Nawet z Christine - z którą od czasu do czasu sypiał i zawsze trochę potem żałował - umawiał się tylko u niej, w Fulham.

Pogoda nie była na tyle zła, aby go powstrzymać przed wyprawą do Brighton. Nie pojechał tam na święta i odczuwał z tego powodu zarówno wyrzuty sumienia, jak i odrobinę ulgi. Zerknął na zegarek - dochodziła druga. Gdyby teraz zaczął pisać, dokończyłby artykuł.

Roland mógłby zawieźć tekst do redakcji szmatławca, a Max zdążyłby na pociąg o 7.30 z dworca Victorii. W ten sposób zyskałby cały dzień.

Odpalając kolejnego papierosa od peta, Franklin usiadł przy stole i zabrał się do pracy.

Przez noc przestało padać i Brighton jaśniało radośnie w świetle pogodnego poranka.

Gdy tylko przycisnął palec do dzwonka, usłyszał donośne szczekanie.

Drzwi otworzyły się natychmiast.

- Max, kochanie!

- Mamo.

Przycisnął ją mocno, pies łąsił mu się do nóg.

- Brutus - powiedziała matka zduszonym głosem do białego puchatego pieska.

Odsunęła się od drzwi i Max zajrzał w głąb mieszkania.

Poszła za jego spojrzeniem.

- Ostatnio nie czuję się najlepiej i...

- A pokojówka? - spytał. - Co się stało z pokojówką, którą zaangażowałem?

Wszedł do salonu, omijając stosy porozrzucanych ubrań, tace z brudnymi naczyniami oraz piramidy brukowców i tanich pism ilustrowanych.

- Wymówiła.

Rozejrzał się wokół i doszedł do wniosku, że nie może jej o to winić. Automatycznie zaczął sprzątać; otworzył też okna, by wypuścić stęchłe powietrze. Matka patrzyła na niego, obejmując się ramionami, spod jedwabnego kimona wystawał szarawy strój nocny. Wyglą-

dała żałośnie.

Podszedł bliżej i pocałował ją w policzek.

*R S*

- Nic nie szkodzi - rzekł łagodnie. - Przebierz się, pojedziemy na kawę.

Kiedy matka brała kąpiel, Max próbował przywrócić jaki taki ład w mieszkaniu. W

słoiku po mące znalazł plik rachunków (*Droga pani Franklin, czuję się w obowiązku poinformować panią, że zalega pani z wpłatą sumy...*) i puste butelki w starej kryjówce pod zle-wem. Włożył rachunki do kieszeni, a butelki upchnął w kartonie. Tym razem piła sherry, nie gin. Widocznie powodziło się jej gorzej niż zwykle.

Po godzinie matka pojawiła się w pokoju ubrana w fioletowy, jedwabny kostium i czarny płaszcz. Na głowę wcisnęła na bakier mały kapelusik.

- No Max, ruszamy do miasta - powiedziała ożywionym tonem.

Wziął ją pod rękę. Ponure morze zalewało kamienistą plażę, a w chłodnym słońcu migotały bajkowe dachy i minarety Pawilonu.

Zabrał matkę do Grand Hotelu, bo ten lokal najbardziej lubiła. Zamówił kawę.

- Może jedną malutką, tycią sherry? - zaproponowała słodziutkim, kuszącym tonem i ścisnęła syna za ramię.

Zapytał ją o święta.

- Bawiłam się wspaniale - powiedziała. - Urządziłam przyjęcie; no wiesz, tylko Heather i paru sąsiadów. Bardzo miło spędziliśmy czas. Doris przyprowadziła swojego nowego lokatora, prawdziwy z niego dżentelmen. Max poczuł, że ma serce w żołądku.

- A ty, kochanie? Co robiłeś?

- Pojechałem do Niemiec.

- Do Niemiec! - powtórzyła z rozszerzonymi oczami.

- Chyba pamiętasz, mamó. Wysłałem ci pocztówkę.

- Cudownie! Gluhwein, Wiener schnitzel i... - pani Franklin zająknęła się. Jej ograniczona wiedza na temat kontynentu wyraźnie ją zawiodła.

- No tak, coś takiego.

W pamięci Maksa migały setki obrazów. Naziści przerywający spotkanie polityczne w Monachium, wysokie buty kopiące głowę mężczyzny zwiniętego w rynsztoku.

- Widziałeś się z ojcem, kochanie? - spytała pani Franklin podejrzanie lekkim tonem.

- Poszliśmy na drinka, zanim wyjechałem. - Max spotykał się z ojcem raz na pół roku w barze hotelu Savoy. Wypijali dwie whisky i w zależności od sezonu dyskutowali na temat krykieta lub rugby. Pan Franklin zawsze proponował Maksowi pieniądze na uregulowanie *R S*

rachunków swojej byłej żony, Max niezmiennie odmawiał i rozstawali się w najlepszej zgodzie.

- Jak on się czuje?

- Wspaniale - powiedział Max. Zapalił papierosa. - Ale ty skarżysz się na zdrowie, mamó. Odnoszę wrażenie, że jesteś zmęczona.

- Nic mi nie dolega, kochanie. - Poklepała go po ręku. - Nie martw się o mnie. Pójdę dziś po południu do sklepu, kupię steki i sama ci je usmażę. Chcesz? - spytała z promiennym uśmiechem.

\* \* \*

Tilda urządziła sobie pokój; na półkach poukładała książki, kupiła haczyki, wkręciła je w drzwi i powiesiła garderobę. Pozostałą przestrzeń zajmowało łóżko, stolik, umywalka, krzesło oraz maleńki dywanik, a przy bardzo niskich temperaturach mróz malował od we-wnątrz esy-floresy na szybach, ale Tilda i tak uwielbiała swój azyl.



Przerobiła sukienki, by stały się bardziej podobne do tych, jakie nosiły June i Maureen. Skróciła obrąbki, zwęziła pas, a w miejsce tandetnych różowych guziczków przyszyła perełki odprute od swetra wypatrzonego w sklepie z odzieżą dla biednych. Sprzedała włosy i za otrzymane pieniądze kupiła parę jedwabnych pończoch oraz szminkę. Zastąpiła okropne wiejskie trepy używanymi czółenkami na wysokich obcasach i przystąpiła do zawierania znajomości z sąsiadami. Ugotowała gulasz dla Michaela, a jeden z wieczorów spędziła w towarzystwie tancerek. Zajadały kremówki, słuchały płyt i cerowały rajstopy. Poszła do kina z Rolandem, a potem z Fergusiem i odrzuciła awanse obu panów. Spędziła niezwykle wieczór w nietypowym klubie jazzowym w Hammersmith, gdzie Giles Parker, ubrany w czerwony aksamitny smoking, czytał wiersze, a blada, wątła kobieta ilustrowała je panto-mimą. Dokonawszy generalnych porządków w garderobie, Celia dała Tildzie krótki czarny żakiet, białą jedwabną bluzkę i niebieski aksamitny beret, tak elegancki, że dziewczyna wkładała go niemal codziennie.

Po dwóch tygodniach Tilda znalazła sobie pracę w biurze. Jej obowiązki polegały głównie na przepisywaniu listów i usprawiedliwianiu „niedysponowanego” pana Parkera przed niewygodnymi rozmówcami. W przegródce tkwiły wyłącznie faktury do zapłacenia, a w dolnej szufladzie biurka wały się puste butelki po whisky. Praca była nudna i męcząca, ale odrywała Tildę - przynajmniej w ciągu dnia - od myśli o wydarzeniach, jakie spowodowały jej przyjazd do Londynu. W nocy jednak dziewczyna nie mogła odpędzić wspomnień.

Daragh ożenił się z Joscelin de Paveley dla jej majątku i pieniędzy. Ta zdrada bardzo ją odmieniła i właśnie o tę zmianę czuła do niego żal. Daraghowi ofiarowała zbyt dużo, zupełnie tak, jakby zdarła z siebie wierzchnią warstwę skóry, a sama została naga i bezbronna.

Rewelacje ciotki też coś w niej zabiły. Tilda zresztą już od dawna podejrzewała, że pochodzi z nieprawego łóża. Sarah bardzo niechętnie rozmawiała o rodzinie czy przeszłości, najwyraźniej wolała chaotyczne życie bez korzeni i unikała bliskich związków z ludźmi.

Wszystko to dawało dziewczynie wiele do myślenia. Niemniej trudno jej było przyjąć do wiadomości tę koszmarną opowieść o gwałcie i umieszczeniu matki w zakładzie dla psychicznie chorych. Najpierw w ogóle nie uwierzyła ciotce. Sądziła, że zapewne Sarah celowo ją okłamała albo postradała zmysły, tak jak twierdził Daragh. A może całą rodzinę dotknęło szaleństwo? Wątpliwości jednak coraz częściej dawały o sobie znać. Jeśli bowiem Sarah mówiła prawdę, to jej postępowanie wydawało się jednak w jakimś sensie racjonalne; Sarah stosowała się zawsze jedynie do tych zasad, które sama sobie narzuciła, a koncepcję sprawiedliwości miała prymitywną, nacechowaną mściwością. Kiedyś, gdy pracowały na farmie w Norfolk, gospodarz zażądał, by dla jego rodziny przyrządzano osobne posiłki, lepsze niż te przeznaczone dla robotników. W odpowiedzi Sarah pluła codziennie do srebrnej wazy z zupą farmera. Tilda w dalszym ciągu pamiętała jej twarz: zimną, dumną, wolną od poczucia winy czy strachu.

Kiedy Tilda wracała pewnego dnia z biura, Michael wychylił się przez poręcz. - June przyniosła bilety na próbę generalną. Pójdziesz?

Tilda pobiegła do pokoju i zmieniła sweter oraz płaszcz na białą jedwabną bluzkę i czarny żakiet od

Celii. W teatrze patrzyła z niemym zdziwieniem na ciche postacie poruszające się po scenie. Uczestniczyła w rozgrywającej się tragedii, oczarowana słowem i gestem.

- Cholerny, idiotyczny balet - powiedział później Roland w drodze do pubu. - Nie widzę w tym sensu.

Ale Tilda ledwo go słyszała.

Fergus kupił drinki. Maureen i June oraz pół tuzina innych tancerek wysypało się z teatru i przyszło do baru.

- Okropność, po prostu koszmar. Erich skręcił w złą stronę, musiałam na niego wrzasnąć. Jestem pewna, że widzowie słyszeli.

*R S*

- A gdzie Max? - spytała Christine. - Spóźni się? Jeśli tak, będę naprawdę wściekła.

Tilda wypła jabłecznik i rozsiadła się wygodniej między Michaeliem i Rolandem. Roland opowiadał długo o swoich kłopotach z autem, a tymczasem siedząca po przeciwnej stronie stołu Christine kręciła się niespokojnie.

Michael zwierzył się Tildzie ze swoich problemów na studiach.

- Napisanie pracy zajęło mi dwa lata dłużej, niż planowałem. Rodzice grożą, że obetną mi fundusze. Nie mam już gotówki na maszynistkę.

- Jeśli uda ci się pożyczyć maszynę, to ja ci przepiszę.

- Naprawdę? - rozpromienił się Michael. - To byłoby cudowne! O, idzie Max! Max! - krzyknął. - Tutaj!

Max Franklin, w płaszczu zmoczonego deszczem, przebijał się właśnie przez tłum.

- Kwadrans po dziesiątej! - Oczy Christine pociemniały ze złości. - Jesteś okropny!

- Przepraszam, kochanie.

- Czekam na ciebie już nie wiem odkąd.

Max miał zmęczony wyraz twarzy. Z kieszeni wyjął kilka banknotów funtowych.

- Komu postawić drinka?

- Pewnie myślisz, że jesteś taki niezastąpiony i że ja będę tu siedzieć godzinami.

Max przyglądał się jej przez chwilę.

- No cóż, właściwie nie. Tak szczerze to w ogóle o tym nie myślałem. I wszystko mi jedno, co zrobisz.

Christine zbladła jak ściana i zamierzyła się na Maksa, ale on chwycił ją za przegub.

- Nie - powiedział łagodnie. Zapadła krótka cisza.

- Ty łajdaku - syknęła Christine. - Ty podły łajdaku!

Wybiegła z pubu, a trzaśnięcie drzwi rozległo się echem po całym wnętrzu.

- Kto wypije drinka? - spytał spokojnie Max.

- Ja kupię, to moja kolej - powiedział Michael. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

- Czym się ostatnio zajmujesz? - spytał Roland.

- Właśnie kończę artykuł o bojkocie żydowskich kupców przez narodowych socjali-stów. - Max przypalił papierosa i podsunął paczkę Rolandowi.

- Kim są narodowi socjaliści? - dociekała Tilda.

Max popatrzył na nią ze zdziwieniem, a Michael tymczasem przyniósł drinki.

*R S*

- Skąd pochodzisz, Tildo? - spytał Max.

- Ze wschodniej Anglii - odpowiedział za nią Roland.

- Ale nawet we wschodniej Anglii mają gazety, telegraf...

- Tilda mieszkała w centrum nigdzie, prawda, kochanie?

- Ale musiałyby chyba spędzić całe życie na księżycu, żeby... Słyszałaś o Hitlerze, prawda?

- Coś tam słyszałam. - Nagle ogarnęła ją złość. - Zamiast się tak mądrzyć, lepiej mi wszystko wytłumacz.

Przez chwilę myślała, że - podobnie jak Christine - padnie ofiarą zjadliwego sarkazmu Franklina. Ale Max upił tylko łyk szkockiej i opowiedział jej o traktacie wersalskim, od-szkodowaniach wojennych oraz kryzysie amerykańskiej gospodarki z 1929 roku, jego skut-kach na świecie i sięgnięciu po władzę przez Hitlera.

- A dziś zbojkotowano w Niemczech wszystkich żydowskich kupców. Innymi słowy, jeśli jak zwykle poszłaś do swego rzeźnika, piekarza czy producenta świec, mogłaś się spodziewać pogawędki z dzielnicowym.

Dzwonek zasygnalizował zebrany, że zbliża się czas zamknięcia pubu.

- Wstąpimy do klubu nocnego? - spytał Roland, zerkając na Maksa.

Max potrząsnął głową.

- Mam masę pracy. Przyszedłem tylko po to, żeby dotrzymać Christine towarzystwa.

Ona jednak chyba nie doceniła moich wysiłków, prawda? - spytał retorycznie, wziął kapelusz i wyszedł z pubu.

Pewnego czerwcowego ranka Tilda przysłała do pracy i znalazła na drzwiach kartkę: *Pan Palmer chory, biuro nieczynne*. Sprzątaczką zmiatająca się na dole powiedziała Tildzie prawdę. Firma zbankrutowała, a pana Palmera, który wypił o jednego drinka za dużo, potrąciła taksówka. Tilda musiała poszukać innej pracy. Próbowowała szczęścia w biurach, restauracjach i sklepach. Szefowie kręcili tylko głowami, tłumacząc, że interesy idą źle, albo też zapisywali jej imię i nazwisko, obiecując rychły kontakt, w razie gdyby zwolniło się nieoczekiwanie jakieś miejsce. Niestety; albo nikt nigdy nie rezygnował z posady, albo też oni wyrzucali kartkę zaraz po wyjściu Tildy na ulicę. Zaszokowało ją ubóstwo, jakie dostrzegła, spacerując po Londynie. Stykała się oczywiście z nędzą, ale bieda panująca na wsi wydawała się jednak mniej upokarzająca. Mężczyźni w czapkach z materiału i marynarkach *R S*

przetartych na łokciach zdzierali sobie podeszwy, drepcząc z jednego rogu ulicy na drugi.

Raz zobaczyła młodego człowieka z tabliczką: „Bezrobotny hydraulik przyjmie każdą pracę”. Wracając do domu po bezowocnych poszukiwaniach, Tilda widziała kolejki przed schroniskami - stali tam zarówno mężczyźni, jak i kobiety w łachmanach. Wszyscy mieli brudne skołtunione włosy i puste twarze, na których malował się wyraz rezygnacji.

Przez kilka dni dostarczała ulotki do biur, ale drukarnia zbankrutowała, zostawiając po sobie puste lokum oraz rachunki (w tym wynagrodzenie Tildy) do zapłacenia. Dziewczyna przestała przychodzić do kuchni na posiłki, udając, że jada u siebie w pokoju. Podczas przyjęć piła jabłecznik i pozwalała się częstować papierosami, bo dzięki nim traciła apetyt. Przez to, że nie mogła znaleźć pracy, czuła się niechciana i bezużyteczna.

Pewnego ranka zeszła na dół, przygotować herbatę. Dochodziła dziesiąta, w maleńkiej kuchni nie było nikogo oprócz Maksa, który siedział na parapecie i czytał gazetę. Tilda na-pełniła czajnik i zapaliła gaz. Potem sięgnęła po filiżankę, ale podłoga uciekła jej nagle spod nóg, a przed oczami pociemniało.

Kiedy przysła do siebie, siedziała już na krześle z głową między kolanami. Coś cięż-

kiego uciskało jej plecy, więc poruszyła się niespokojnie.

- Nie ruszaj się, dobrze? - zagrzmiął jakiś głos z tyłu.

Po chwili odzyskała jasność widzenia, a szum w uszach ustąpił. Max zdjął rękę z jej szyi.

- Może złapałaś grypę? - powiedział, dotykając jej czoła. - Ale temperatury chyba nie masz.

- Myślę, że jestem po prostu głodna.

- Głodna? - Max łypnął na nią spod oka. - Nie jadłaś? Wzruszyła ramionami, marząc, żeby on wreszcie sobie poszedł.

- Stosujesz jakąś dietę?

- Nie bądź śmieszny.

Oparł się o ścianę z rękami w kieszeniach.

- Zabrakło ci pieniędzy?

- Co ci przyszło do głowy? - Tilda przygarbiła się lekko i odwróciła wzrok, ale Max nie ustępował.

- Masz pracę, prawda?

*R S*

- Szef zbankrutował. Od trzech tygodni nie zarabiam. Myślałam, że szybko coś znajdę, tymczasem... - Urwała.

- Boże! Ależ z ciebie optymistka! Chyba słyszałaś o tych trzech milionach bezrobotnych, prawda?

Wolała milczeć, bo tak naprawdę nie zdawała sobie sprawy z sytuacji panującej w Londynie. Takie problemy nie istniały w zamkniętym, odizolowanym świecie, w jakim do-tąd żyła pod kontrolą ciotki.

- Chodź, postawię ci śniadanie - zaproponował Franklin.

- Naprawdę nie trzeba...

- Chodź - powtórzył niecierpliwie, a ona podniosła się z miejsca.

Poszli do kawiarni obok, gdzie Max zamówił jajka na bekonie i kiełbaski z pomido-rami.

- Tosty czy smażony chleb? - spytała kelnerka.

- Jedno i drugie - odparł Max, zerkając na Tildę.

Czekał, aż dziewczyna wytrze skórka od chleba resztki żółtka.

- Gdzie szukałaś pracy?

- Chyba wszędzie.

- Co potrafisz robić?

- Stenografuję, piszę na maszynie. Umiem też gotować, szyć, doić krowy...

Max zamieszał cukier w herbacie. Drgnęły mu usta.

- Ludzie przybywają do Londynu, myśląc, że złoto leży na ulicach, a potem stają w kolejce po pracę razem z tysiącem takich samych nieszczęśników jak oni. Chyba powinnaś wrócić do domu, tam skąd przyjechałaś. Masz tam chyba rodzinę.

- Absolutnie nikogo, nikogo - powiedziała Tilda, kręcąc głową.

Miała ciotkę, która ją zdradziła. Miała też przyrodną siostrę, która poślubiła jej ukochanego, siostrę, z którą nigdy nie zamieniła ani słowa. Wstała.

- Bardzo dziękuję za śniadanie. Oddam ci pieniądze, jak tylko to będzie możliwe. -

Podążyła Franklinowi rękę i wyszła z lokalu.

Tego popołudnia Anna przyszła do Maksa na strych. Przyniosła ze sobą papugę i czekoladki zawinięte w srebrny papier, a także pudełko małych, czarnych cygar. Max i Anna palili cygara, papuga jadła czekoladki. Z radia Maksa dochodziła muzyka.

*R S*

- Bach, zawsze tylko Bach - mruknęła Anna z niesmakiem. - Muzyka matematyka, nie ma w niej ani krztyny pasji, Maksie.

Max uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział. Siedział przy stole, z wałka maszyny do pisania wystawał kawałek papieru.

- Przeszkodziłam ci, kochaneczku? Potrząsnął głową.

- Na dziś wystarczy. Napisałem tyle, że już mi się mąci w głowie.

- O Niemczech? - spytała Anna, patrząc na stos kartek maszynopisu.

Przytaknął.

- O Monachium i Berlinie.

- Berlin! Berlin jest cudowny, byłam tam we wczesnych latach dwudziestych.

- Ale wszystko się zmieniło. Wilki wyszły na wolność. - Max zgasił cygaro na talerzyku.

- Nie powinieneś brać wszystkich problemów tego świata na swoje barki.

- I wcale tego nie robię. Przeżuwam je tylko i wypluwam. Jak sama słusznie zauważyłaś, Anno, brak mi pasji.

Uśmiechnęła się i pogłaskała papugę po wygiętej szyi.

- Co sądzisz o naszej małej Tildzie? - spytała. Otworzył okno, żeby wypuścić dym.
- Twoja mała Tilda zasłała dziś rano z głodu.
- Powinieneś być dla niej miłszy. Dziewczyna ma złamane serce.
- Złamane serce? - powtórzył pogardliwie Max. - W jej wieku można co najwyżej złamać nogę podczas zabawy w berka. Tak czy inaczej, to głupiutkie dziecko zostało bez pracy i bez pieniędzy, a nie chce jechać do domu. Potrafi jednak stenografować i pisać na maszynie. Wydaje mi się również, że jest dosyć pomysłowa. - Parę miesięcy temu Max dostrzegł odmieniony wygląd sukienki, tak złośliwie wyszydzonej przez Celię.
- Najwyraźniej jednak prawie w ogóle nie chodziła do szkoły - dodał.
- Ja nigdy - przyznała się Anna. - Za moich czasów chyba nikt nie chodził. Ale za to miałam guwernantkę, uroczą Francuzkę.
- Edukacja Tildy była z pewnością nieco bardziej powierzchowna. Wiem od Rolanda, że ona i jej ciotka pracowały na farmie. Ciotka chyba nie żyje.
- Jeszcze herbaty, kochanie? - spytała Anna i wlała trochę wody do czajniczka. - Ona ci się podoba, Maksie?

*R S*

- Oczywiście, że nie. Ale to interesująca osoba. Niezwykła.
- I bardzo ładna.
- Chyba tak. Niemniej jednak bardzo młoda i nieprawdopodobnie naiwna. Wiesz przecież, że wolę wyrafinowane damy. I dlatego tak uwielbiam ciebie, Anno.

Uśmiechnęła się, ale nie zareagowała.

- Uwodzisz wyłącznie określony typ kobiet. Ani ty się w nich nie zakochasz, ani one nie zakochają się w tobie. W ten sposób jesteś bezpieczny. Możesz je trzymać na odległość ramienia, przynajmniej emocjonalnie, skoro już nie fizycznie.
- Może i tak. - Max szybko zmienił temat. - Właśnie się zastanawiałem, czybyś czegoś dla niej nie znalazła.

Anna przesunęła długim, wymanikiowanym paznokciem po wargach i pogrążyła się w zamyśleniu.

Trzy dni później Tilda zaczęła pracować dla profesora Leonarda Hastingsa. Anna znalazła jej zajęcie.

- Leo jest moim serdecznym przyjacielem, to prawdziwa sława i znakomitość. Jeśli jednak zapraszam



go na obiad, przybywa w tydzień po czasie, a gdyby nie miał najlepszej kucharki na świecie, umarłby z głodu, bo zapomniałby zjeść cokolwiek. Kiedy ostatnio wybieraliśmy się na koncert, musiałam do niego zadzwonić i powtórzyć, o której odchodzi pociąg, a już w sali koncertowej, kiedy zdjął płaszcz, zauważyłam, że pod smoking włożył gó-

rę od piżamy. On na pewno potrzebuje sekretarki, kogoś, kto by mu mówił, co powinien robić i dokąd w danym momencie się udać.

Tilda codziennie jeździła do Twickenham, bo tam mieszkał profesor. Nie był żonaty, jego dom przypominał skarbiec pełen książek, pism oraz kolekcji różnych dziwnych i pięknych przedmiotów. Hastings zajmował się fizyką, o której Tilda nic nie wiedziała. Dziewczyna zaczęła powoli zdawać sobie sprawę z tego, że o wielu rzeczach nie ma po prostu pojęcia.

Przepisywała profesorowi listy, sprawdzała codziennie jego terminarz i dosłownie wyganiała z domu, gdy nadchodził czas wykładów lub konferencji. Dowiedziała się w tajemnicy od kucharki, że wiele jej poprzedniczek złożyło wymówienie lub nie sprostało wymaganiom naukowca. Nauczyła się, kiedy trzymać język za zębami, a kiedy dyskretnie ignorować irracjonalne życzenia swego pracodawcy. Zgłębiła bardzo skomplikowany sys-R S

tem katalogowania książek, który doprowadził wiele innych dziewcząt do rozpacz. Dotykała tomów z nabożnym szacunkiem, lubiła zapach skórzanych opraw i wygląd gęsto pisanych słów.

Często protokołowała spotkania podkomitetu Doradczej Rady Akademickiej, której przewodniczył profesor. Przerazały ją zasłyszane tam historie o zbiegłych studentach i nauczycielach uniwersyteckich pozostawionych bez środków do życia. W porównaniu z ich losem wygnanie Tildy traciło na znaczeniu. Niektórzy byli młodzi - mieli zaledwie szesna-

ście albo siedemnaście lat. Podczas tych zebrań profesor Hastings nie zapominał o niczym -

jego małe, sprytnie oczka błyszczały, gdy podawał zwięzłe instrukcje, krytykował bezlitoś-

nie nieefektywność działań i odkładanie spraw na później. Czasem bywało tak, że do jego drzwi pukali młodzi mężczyźni. Profesor Hastings zadawał im pytania szczekliwym niemieckim, kucharka żywiła niespodziewanych gości, a Tilda dzwoniła do wszystkich zaprzyjaźnionych rodzin, szukając kogoś, kto mógłby się nimi zająć. Kiedyś jeden z uchodźców -

mały chłopiec - zaczął wylewać łzy ulgi pomieszanej z żalem do klusek i gulaszu. Tilda otoczyła go ramieniem i wyszeptała coś uspokajająco, choć wiedziała, że on ledwo ją rozumie.

W pociągu ona też wybuchnęła nagle płaczem, nie do końca rozumiejąc, dlaczego.

We wrześniu profesor Hastings wyjechał na trzy dni na wykłady do Edynburga. Gdy drugiego dnia jego nieobecności Tilda przyszła do pracy, powitała ją kucharka.

- W korytarzu czeka jakiś chłopak i dziewczynka. Zapukali do drzwi o szóstej rano, wyciągnęli mnie z łóżka. Nie znają ani słowa po angielsku, a profesor wraca dopiero jutro.

W dodatku ta mała jakoś dziwnie się zachowuje.

Kiedy tylko Tilda otworzyła drzwi do korytarza, młody człowiek podniósł się z miejsca i uklonił. Dziecko stało obok ze zwieszoną głową. Młodzieniec odezwał się, ale Tilda nie rozumiała ani słowa. Z pomocą gestykulacji i pisania ustaliła, że chłopiec nazywa się Gerd Toller, a jego siostra Liesl. Gerd miał osiemnaście lat, Liesl zaledwie dziewięć. Tilda odnalazła atlas i Gerd wskazał jej na mapie niemieckie miasto, z którego przybyli. Dzięki kilku zapisanym pospiesznie karteczkom oraz rysunkom zrozumiała, że matka Tollerów nie żyje, a ojciec siedzi w więzieniu. Choć brat obejmował dziewczynkę opiekuńczo ramieniem, ani na chwilę nie przestawała drżeć.

- Liesl jest... - powiedział chłopiec i postukał się w głowę. Kucharka przyniosła mleko oraz kanapki, lecz Liesl nie chciała jeść. Tilda robiła, co mogła: odrywała maleńkie kawa-R S

łeczki chleba i proponowała je dziewczynce, mała siedziała jednak tylko przy stole, drżąc z zimna i patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Kiedy Tilda ją przytuliła, przez twarz Liesl przebiegł dziwny skurcz. Chłopiec, pożerający wręcz jedzenie, zaczął coś szybko tłumaczyć, a Tilda, która nie rozumiała z tego ani słowa, o mało się nie popłakała z bezsilności i żalu.

Wieczorem, jadąc pociągiem do domu, podjęła pewną decyzję. Już na miejscu zostawiła zakiet i kapelusz w swojej klitce, a potem wspięła się szybko po schodach na strych.

- Wejdz! - usłyszała, kiedy zapukała do drzwi. Max siedział przygarbiony nad maszyną do pisania.

- Postaw Borisa w kącie, Anno - warknął, nie odwracając głowy.

- To ja. Tilda. Odwrócił się gwałtownie.

- Boże! Myślałem, że to ta cholerna papuga.

- Przepraszam, pewnie ci przeszkadzam, ale chciałam o coś zapytać. Mam przyjść później?

Wstał i przeciągnął się, ziewając szeroko, po czym potrząsnął głową.

- Pytaj. Znowu jesteś głodna?

Zamierzała się właśnie na niego pogniewać, kiedy zrozumiała, że to tylko żarty. Po-kręciła przecząco głową. Max zwałił stos gazet z krzesła na podłogę.

- Siadaj. Mów.

Opowiedziała mu o Gerdzie i Liesl.

- Porozmawiam z tym chłopcem, jeśli chcesz. Znam niezłe niemiecki.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Maksie, ale... - Rozłożyła ręce w geście rozpaczony. - Czułam się taka głupia, taka bezużyteczna.

- Zrobiłaś, co mogłaś - powiedział rozsądnie.

- Nic podobnego. Nie potrafiłam im pomóc, bo nie rozumiałam, co Gerd do mnie mówi. Masz rację, Maksie, jestem ignorantką.

- Słuchaj... nie chciałem - zaczął niespokojnie, ale mu przerwała.

- Ludzie uważają, że jestem słodka, naiwna, nawet... oryginalna. - W głosie Tildy pobrzmiwała pogarda. - A ja nie chcę być taka. Bycie słodką i naiwną nie pomaga ani mnie, ani nikomu innemu. Tak więc - odetchnęła głęboko - przychodzę, żeby cię zapytać, co powinnam zrobić. Roland zna się tylko na samochodach i temu podobnych rzeczach, a Micha-R S

el opowiada mi o piłce albo o chemii. Dziewczyn nie interesuje nic poza ciuchami czy chło-pakami. Poszłam do biblioteki, ale tam jest tyle książek i nie wiem, od czego zacząć. Pomy-

ślałam więc, że zapytam ciebie, jak się kształcić. Nie gniewasz się?

Milczał i przez chwilę myślała, że jej odmówi.

- Nie, wcale się nie gniewam - odparł po dłuższym czasie. - Zorientuję się tylko, co wiesz, a potem jakoś wypełnimy luki. Ale nie tutaj. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin byłem uwięziony w tej dziurze. Ogołę się tylko, przebiorę i pójdziemy na spacer.

W wieczornym słońcu nawet zakurzony placzyk z platanami i głogami wydawał się małą oazą, w której uwięzły śpiewy ptaków i promienie słońca.

- Dobry Boże, twoja wiedza naukowa pochodzi sprzed czasów Kopernika - powiedział Max. - Poproś Leo Hastingsa, żeby trochę z tobą porozmawiał, nie musisz znać teorii względności, ale powinnaś się orientować, że to nie Słońce krąży wokół Ziemi. Nauczę cię niemieckiego. Zabiorę na koncerty, zaopatrzę w gazety. No i musisz odwiedzić parę galerii obrazów. Anna cię zaprowadzi, na pewno bardzo się ucieszy z twego towarzystwa. Poza tym ona kocha malarstwo.

Niebo zaczęło ciemnieć. Ruszyli wolno w kierunku domu.

- Co się stało z tymi uciekinierami? Gerdem i Liesl?

- Dla chłopca znalazłam nocleg, ale dziewczynki nikt nie chciał. - Tilda westchnęła. -

Próbowałam, gdzie się dało. Wszyscy odmawiali, jak tylko im mówiłam o jej upośledzeniu.

Nie mogłam rozdzielić rodzeństwa, więc w końcu położyliśmy oboje na łóżkach polowych u profesora. Nie wiem, co z nimi będzie. To takie straszne, Max. Są dzieci, których nikt nie kocha.

I ja kiedyś do nich należałam - przemknęło jej przez myśl, ale nie powiedziała tego głośno.

Kiedy dolegliwości żołądkowe nie minęły, Jossy poszła do doktora Williamsa, który stwierdził ciążę. To odkrycie wywołało w niej mieszane uczucia. Z jednej strony pragnęła urodzić Daraghowi

dziecko i była z tego bardzo dumna, z drugiej nigdy dotąd jeszcze się tak źle nie czuła. Doktor Williams pocieszył przyszlą matkę, że mdłości poranne miną pod koniec trzeciego miesiąca ciąży. Trzeci miesiąc upłynął równie szybko, jak przyszedł, ale Jossy nadal czuła się fatalnie. Miała opuchnięte, sinawe ręce i nie mogła włożyć rękawiczek.

Doktor Williams posłał do Londynu po specjalistę. Specjalista pociągnął nosem, cmoknął z *R S*

dezaprobatą i kazał Jossy odpoczywać. Ona jednak nie zamierzała się stosować do jego za-łeczeń. Ilekroć zostawała sama w sypialni, tęskniła za Daraghem. Woląa zatem przenosić swoje ociężałe ciało z pokoju do salonu, z salonu na taras, a z tarasu do ogrodu. W lecie, podczas największych upałów, siadywała przy stawie z nogami w wodzie.

Nawet gdy poruszało się w niej dziecko, nie odczuwała spodziewanej radości. Nie mogła się cieszyć z czegoś, co powodowało takie dolegliwości. Nanie (teraz już starej i zniedołężniałej, lecz dumnej z tego, że pokój dziecinny będzie miał wkrótce nowego lokatora) opowiadała natomiast, jak bardzo tęskni do chwili, w której wreszcie weźmie dzieciątko w ramiona. Sądziła, że maleństwo będzie wyglądało jak jej największa lalka - niebieskooka, jasnowłosa, uśmiechnięta. Ubieranie takiego cuda, kąpanie, zabieranie na spacer z pewno-

ścią mogło sprawiać przyjemność. Wyobrażała sobie urocze spacery po majątku, z Daraghem u boku i roześmianym bobasem w wózeczku.

To właśnie Daragh wyjaśnił Jossy, jak się rodzą dzieci. Pewnego wieczoru dziewczyna spojrzała na swój ogromny brzuch i przyznała się do całkowitej niewiedzy na ten temat.

Myślała, że brzuch się otworzy, dziecko wypełźnie na zewnątrz, a potem wszystko wróci do normy. Gdyby ktokolwiek oprócz Daragha powiedział jej cokolwiek innego na ten temat, na pewno by mu nie uwierzyła.

- Czy to boli? - spytała, przerażona wyjaśnieniem męża.

- Chyba trochę - przyznał i poklepał ją po głowie.

Złapała Daragha za rękę i okryła ją pocałunkami. Z powodu dziecka nie spali już w tym samym łóżku ani też się nie kochali. Bardzo jej tego brakowało.

Pod koniec października Jossy znowu zemdląa i wezwano specjalistę. Tym razem kazano jej leżeć aż do narodzin dziecka. Przed oczyma stawały jej bez przerwy czarne plamy, obrzmiałe dłonie miała błyszczące i czerwone. Ale Daragh akurat złapał grypę, więc Jossy poczuła się w obowiązku, żeby mu przygotować miód z cytryną. Następnego ranka obudziły ją bóle w krzyżu. Przez chwilę leżała spokojnie, patrząc, jak różowe chmury rozświetlają niebo. Na początku ból nie dawał się jej aż tak bardzo we znaki, potem poczuła się znacznie gorzej. Wiedziała jednak, że nie rodzi, bo maleństwo miało przyjść na świat dopiero za trzy tygodnie. Kiedy usiadła na łóżku, stało się coś strasznego - z krocza zaczęła jej spływać ja-kaś ciecz, a na prześcieradle pojawiła się nagle żenująca plama. Łkając, Jossy wytoczyła się z pokoju i poszła szukać Nany.

Małżeństwo z Joscelin de Paveley zawiodło oczekiwania Daragha. Po miesiącu miodowym chłopak wrócił do majątku przekonany, że wszedł w posiadanie niezliczonych bogactw. Mógł sobie pozwolić na auto, wymarzone konie, piękne ubrania i wakacje za granicą. Chodził po Dworze, zerkał na obrazy i sądził, że skoro posiada aż tyle pięknych rzeczy, to z pewnością zasłużył na szacunek. Fakt, iż mógł wejść do każdego sklepu i kupić wszystko, na co mu przyszła ochota, odwracał jego uwagę od wspomnień związanych z ostatnim spotkaniem z Tildą Greenlees i jej ciotką. Prześladowało go zimne spojrzenie Tildy, śmiech Sarah i ta okropna świadomość, że znowu zrobił z siebie głupca.

Pewnego dnia w majątku zjawił się mężczyzna, niejaki Verney, aby porozmawiać o wydatkach związanych ze spadkiem. Daragh nie miał pojęcia, iż w związku ze śmiercią ojca Jossy rządowi należy się ogromna suma i uznał te wymagania za niegodziwe. Pan Verney zostawił Daraghowi inwentaryzację majątku i wykazy dochodów, a także kopię rozszczeń podatkowych. Daragh spędził dzień i noc, ślęcząc nad papierami przy butelce whisky i pró-

bując coś z tego zrozumieć. Sprawy bogatych wydały mu się nagle niezwykle skomplikowane. Choć posiadłość przynosiła duży dochód, większość aktywów była zamrożona, a niektóre dzierżawy dożywotnie. Patrząc na długie kolumny cyfr, Canavan przypomniał sobie o malejących wpływach z uprawy roli. Jednocześnie zrozumiał, że majątku de Paveleyów nie da się ruszyć - tkwił on bowiem w funduszach powierniczych, darowiznach i zobowiązaniach.

Połykając dumę, Daragh poszedł do Christophera de Paveleya, który zajmował się farmą. Dom rządcy okazał się ponury i wilgotny, pęknięte ściany podtrzymywano metalowymi prętami, wewnątrz, w którym stały źle dopasowane meble i stare, zagracone półki, wyglądało jak rupieciarnia. Christopher de Paveley nie miał najwyraźniej ochoty, by mu pomóc. Prowadził po prostu farmę z dnia na dzień, nie wykazując zainteresowania problemami majątku. Kit siedział w kącie, pochylony nad książką, i nie zwracał najmniejszej uwagi na gościa. Daragh doskonale wyczuwał ich niechęć i powstrzymywał się z trudem, żeby nie zgrzytać zębami z wściekłości.

Tamtego wieczoru próbował przedyskutować sprawy majątkowe z Jossy. Dziewczyna patrzyła tylko na niego rozkochanym wzrokiem i nie powiedziała nic, co mogłoby się okazać pomocne. Daragh był przerażony faktem, że ktoś, kto posiada tak wiele, zupełnie się tym nie interesuje. Pani dziedziczka nie wiedziała, jakie zboże uprawia się na polach, ani też

nie знаła rozmiarów majątku. I wcale się swojej ignorancji nie wstydziła; założyła po prostu, że Daragh poradzi sobie ze wszystkim, podobnie jak to czynił jej ojciec.

Mógł prosić o radę sąsiadów, ale nie zrobił tego, bo musiał bardzo uważać, by nie zdradzić swoich korzeni. Wolał raczej popełnić błąd, niż narazić się na śmieszność. Kazał

Verneyowi sprzedać kilka domków w Southam i parę odległych pól. Wysłał też na aukcję kilka posępnych obrazów z gabinetu, a w zamian otrzymał pokaźną sumę pieniędzy. Z zysków ze sprzedaży i dzięki poważnemu nadszarpnięciu konta mógł zapłacić podatek spadkowy.

Dziecko miało się urodzić pod koniec listopada. Rachunki od specjalisty przekraczały wszelkie

wyobrażenie. Daragh konsultował je z doktorem Williamsem z Ely. Matka Daragha powiła bez problemu sześcioro dzieci, a pomagała jej tylko akuszerka. Doktor Williams wskazywał jednak na zagrożenia, na jakie narażona jest zarówno matka, jak i dziecko, a Daragh - rad nierad - musiał wypisywać czeki. Irytował go fakt, że Jossy nie potrafi wypełnić nawet tak prostego kobiecego obowiązku jak wydanie na świat dziecka. Jej uwielbienie, które we wstępnej, nierzeczywistej fazie małżeństwa bardzo mu pomagało i łagodziło rany zadane przez Sarah, teraz zaczęło go ograniczać. Był przyzwyczajony do niezależności i swobody, a Jossy chodziła za nim jak pies. Kiedy pracował w gabinecie, stawała z tyłu i gładziła go po karku. Ilekroć spóźniał się bodaj pięć minut na podwieczorek, rozpoczynała intensywne poszukiwania. Jeśli natomiast choćby zerknął na inną kobietę, w przeciągu sekundy znajdowała się przy nim, manifestując swoje prawa właścicielki.

Tego ranka, gdy mu powiedziano, że dziecko jest w drodze, udał się do Ely po doktora Williamsa, a nad Dworem zaległa charakterystyczna, niespokojna cisza. Około południa Daragh poszedł do stajni po konia. Jego matka rodziła dzieci w godzinę czy dwie, dlatego nie mógł zrozumieć, co zajmuje Jossy tak dużo czasu. Kiedy po długiej, męczącej jeździe wrócił do domu, oczekiwał wiadomości, że właśnie został ojcem wspaniałego chłopaka.

Zamiast tego na spotkanie wyszedł mu doktor Williams z bardzo poważną miną. Daragh poczuł, jak serce staje mu w gardle - przez jedną straszną chwilę sądził, że dziecko nie żyje.

Okazało się jednak, że Jossy nadal rodzi, a w majątku zjawi się niebawem specjalista z Londynu. Przyparty do muru Williams przyznał się w końcu Daraghowi do swoich obaw o ży-R S

cie matki i dziecka. Doktor wrócił do Jossy, a Daragh usiadł na kanapie i przyciskając ręce do czoła, zaczął się modlić. Bardzo potrzebował syna, choć aż do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. Syn usprawiedliwiłby jego małżeństwo, wymazałby z pamięci tę wariatkę, która tak się z niego śmiała. „Masz, na co zasłużyłeś, Daraghu Canavanie”. Na wspomnienie słów Sarah przechodził go dreszcz.

Przyjechał specjalista i zaraz zniknął na górze. Pokojówka podała Daraghowi obiad, którego nie mógł jeść. Na zewnątrz było ciemno, wiatr miotał liśćmi o szyby. Daragh miał

ogromną ochotę na drinka, ale powstrzymał go przed tym zabobonny lęk przed karą boską.

Dziecko przyszło na świat dopiero następnego ranka, o dziesiątej. Daragh pogrążał się już powoli w czarnej rozpacz, kiedy po dwudziestoczworgodzinnej męce Jossy urodziła wreszcie maleństwo. Kiedy doktor przyszedł do niego do gabinetu, Canavan sądził, że otrzyma za chwilę tragiczną nowinę o śmierci żony i pierworodnego. Zanim Daragh zrozumiał, co się do niego mówi, Williams musiał go aż dwukrotnie prosić, żeby zobaczył córkę.

Z trudem kryjąc rozczarowanie, poszedł za doktorem na górę. Kiedy zajrzał do kołyski, uczucie zawodu znikło natychmiast i nigdy już nie wróciło. Jego córka była doskonała i piękna, miała ciemne oczy Jossy i idealny kształt twarzy Daragha. Mimo zgorszonych pomruków niani, Canavan wziął małą

na ręce i zaniósł do okna. Całując delikatne, jasne czół-

ko, poczuł łzy w oczach i zrozumiał, że jego życie zmieniło się na zawsze. Caitlin - szepnęła i popatrzył z czułością, jak piąstki dziewczynki - niczym zaspane rozgwiazdy - to się otwierają, to zamykają.

Doktor zakasłał dyskretnie.

- Muszę z panem porozmawiać o pańskiej żonie, panie Canavan - powiedział, a Daragh, chcąc nie chcąc, oddał dziecko niani i udał się z Williamsem w zacisze sąsiedniego pokoju.

Oszołomiony i zmęczony, z trudnością przyjął do wiadomości słowa doktora, który poinformował go poważnie, że Jossy jest bardzo chora. O mało nie przyplącała życiem ciąży i porodu, więc choć miała szanse na powrót do zdrowia, to nie wolno jej było w żadnym wypadku rodzić więcej dzieci.

- Rozumie pan, panie Canavan, że nie wolno do tego dopuścić - powiedział Williams.

- Odpowiada pan za życie żony.

*R S*

## **Rozdział 5**

Czułam, że separuję się od ludzi i zatapiam w przeszłości, toteż przyjąłem zaproszenie na urodziny starego kumpla. Kiedy przyjechałam, we wszystkich pokojach mieszkania już kłębili się goście. Gospodarz wcisnął mi szklankę do ręki, po czym zniknął, żeby zabawiać innych. Dostrzegałam znajomych z uniwersytetu i przebiłam się do nich przez tłum. Urodzi-

ło im się właśnie pierwsze dziecko, a rozmowa oscylowała wokół jednorazowych pieluszek oraz odżywek dla niemowląt. Zrejterowałam, po czym skuliłam się na parapecie z butelką szampana w ręku. Piłam i z minuty na minutę stawałam się coraz bardziej towarzyska.

Rozmawiałam z tancerką, która niegdyś pracowała z moją siostrą, a potem z piękną aktorką, znajomą Charlesa Lightmana. Pewien działacz Narodowego Komitetu Rzecznego omal nie zagadał mnie śmierć. Za pomocą pałeczek z selera i miseczki orzeszków pistacjowych za-demonstrował mi, jak działa śluza. Pistacje potoczyły się na podłogę, a gdy zaczęliśmy je zbierać, facet poczerwieniał i wpadł najwyraźniej w uwodzicielski nastrój. Kiedy się podnosiłam, jakaś ręka dotknęła mego ramienia. Usłyszałam znajomy głos.

- Rebecca?

Poczułam, że uginają się pode mną kolana. Odwróciłam głowę. Toby.

Miał na sobie błękitny, jedwabny garnitur, włosy przylegały mu ściśle do głowy.

- Dobrze wyglądasz Toby. Chyba nieźle ci się wiedzie.

Przez tych kilka miesięcy, jakie minęły od naszego rozstania, rozumiałam, że dla Toby'ego sukces jest absolutnie najważniejszy. Pieniądze i władza stanowiły niewątpliwie jego istotną część, ale liczyło się przede wszystkim uznanie otoczenia.

- Ty też, Rebecca. Podoba mi się twoja fryzura.

- Wolaleś dłuższe włosy - odparłam trochę za ostro. - Widocznie się zmieniłeś.

- Zapewne - powiedział i od razu pożałowałam, że tyle wypiałam.

Chciałam być chłodna, opanowana i kontrolować sytuację, ale po połowce Bolly'ego trudno osiągnąć ten stan. Toby rozejrzał się po pokoju.

- Strasznie tu gwarno, może pójdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce?

Wymamrotałam coś na temat toalety i pobiegłam po schodach na górę. Kiedy przechyliłam się przez poręcz, Toby rozmawiał już z wysoką aktorką, która znała Charlesa. Znalazłam płaszcz na łóżku, po czym z trudem precyzyjnie się do tylnego wyjścia. Ostatnie *R S*

pieniądze, jakie miałam w torebce, przepuściłam na taksówkę. Wytoczyłam się z niej na chodnik tuż po pierwszej.

Nawet nie próbowałam się kłaść. Z trudem wyciągnęłam spod łóżka karton otrzymany od Tildy poprzedniego dnia i zaczęłam przeglądać jego zawartość: przypadkowo poskładane wycinki prasowe oraz pożółkłe na brzegach papiery. W przeciwieństwie do Toby'ego, dla Tildy uznanie najwyraźniej nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Wyglądając kawałki gazet i przyklejając skocza wzdłuż nadwerężonych brzegów pism ilustrowanych, zastanawiałam się, na czym tak naprawdę jej zależy. Doszłam szybko do wniosku, iż być może na rodzinie.

Zwróciłam też uwagę na niektóre nagłówki i fragmenty artykułów: „Baronetowa Franklin na otwarciu schroniska dla bezdomnych”, „Całe życie poświęcone dzieciom”, „Nie możesz się niczego nauczyć, jeśli nie umiesz kochać, a nie będziesz w stanie nikogo kochać, dopóki nie zrozumiesz, że sama zasługujesz na miłość”.

Odzyskałam poczucie bezpieczeństwa. Odległa przeszłość wcale mnie nie przerażała.

Z pijacką, przesadną troskliwością posegregowałam wycinki oraz fotografie, próbując je jakoś ułożyć w porządku chronologicznym. O wpół do trzeciej dotarłam do późnych lat siedemdziesiątych, kiedy to Tilda najprawdopodobniej przeszła na emeryturę. Zaczynała mnie boleć głowa, ale byłam bardzo zadowolona z siebie.

Gdy znowu sięgnęłam do pudła, by sprawdzić, czy czasem czegoś nie przeoczyłam, niespodziewanie odkryłam kopertę wsuniętą między zachodzące na siebie ścianki kartonu.

Widniało na niej nazwisko Daragha Canavana oraz adres hotelu Savoy. Po raz drugi tej no-cy serce zaczęło mi głośniejsze bić. Przeszłość - zwykle kojarzona raczej z fikcją niż z rzeczywistością - mieszała się z dniem dzisiejszym. Z rozerwanej koperty wyjęłam pojedynczą kartkę papieru.



List był od Jossy, nie od Tildy.

*Mój kochany* - przeczytałam - *nie ma cię dopiero od czterech dni, a odnoszę wrażenie, że minęły wieki. Tak bardzo za Tobą tęsknię - bez Ciebie wszystko wydaje się nudne i bezsensowne.* Dalej następowały wynurzenia o podobnym charakterze, a potem zdanie dopisane jakby po dłuższym zastanowieniu: *Caitlin też za tobą tęskni.*

Na liście nie znalazłam daty. Jakim ty byłeś męczącym człowiekiem, Daraghu Canavanie - myślałam - I co za upokarzający list. Czyżby Jossy w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, że Daragh jej nie kocha i nigdy jej nie kochał? Czy wierzyła, iż dzięki sweR S

mu uwielbieniu zdobędzie jego uczucie? Nie wiedziała, jak bardzo odstręcza tego rodzaju nieodwzajemniona namiętność? Może napisała to rozpaczliwe: „Caitlin też za tobą tęskni”, sądząc, iż dziecko sprowadzi ojca do domu?

Zamknęłam list w szufladzie biurka. Kiedy wreszcie zasnęłam, śnił mi się Toby z twarzą Daragha.

Całą niedzielę leczyłam kaca i układałam wycinki według chronologii opisywanych w nich wydarzeń. Wiedziałam, że w kącie czyha na mnie telefon, który jednak nie dzwonił. W

poniedziałek rano połączyłam się z Oxfordshire, aby wypytać Tildę o luki w jej życiorysie.

Może istniał drugi karton albo też ona usunęła się w cień na jakiś czas?

W słuchawce usłyszałam nieznany głos.

- Melissa Parker - powiedziała żywo moja rozmówczyni. - W czym mogę pomóc?

- Chciałabym rozmawiać z Tildą Franklin - zaczęłam. - To pewnie pomyłka, więc...

- Przykro mi, ale Tilda nie czuje się dobrze. Zabrano ją do szpitala. Jestem jej córką.

Może coś przekazać?

Bardzo się tego wstydzę, ale najpierw poczułam żal i rozczarowanie, potem zapragnę-

łam wyjaśnić, co się stało, a dopiero na samym końcu przyszła troska i poczucie winy.

Kiedy się przedstawiłam, Melissa Parker powiedziała, że Tilda ma anginę, ale nie zagraża jej niebezpieczeństwo. Podała mi również nazwę szpitala oraz numer telefonu na oddział. Kiedy odłożyłam słuchawkę, patrzyłam przez chwilę niepewnie na stertę notatek i zapisków, jakie udało mi się zgromadzić przez ostatnich parę tygodni. Potem chwyciłam żakiet, torbę i wybiegłam z domu.

Od kwaciarki na rogu kupiłam narcyzy, tulipany i frezje, a bukiet wrzuciłam na tylne siedzenie Autko nie chciało zapalić, co już powinno było wzbudzić we mnie podejrzenia.

Mimo kwietnia temperatura spadła, na jezdni pojawiła się szklanka. Pod sam koniec autostrady silnik

fiesty zaczął prychać i kichać. Klęłam i błagałam, ale to nic nie pomagało - w ostatniej chwili, zanim samochód ostatecznie odmówił posłuszeństwa, udało mi się zjechać na pobocze. Kilka miesięcy wcześniej, pod wpływem manii oszczędzania przestałam opłacać Assistance, a teraz - choć otworzyłam maskę i zajrzałam do środka - płatanina drucików i kabelków nic mi nie mówiła. Próbując nie myśleć o bandytach, którzy atakują samotne kobiety, przeszłam ćwierć mili do automatu. Potem czekałam - jak mi się zdawało - godzinami na pomoc drogową. Zmarzłam na kość, ale wreszcie przyjechali. Mechanik wymamrotał coś *RS*

na temat zatłoczonych przewodów paliwowych, po czym odholował mnie do warsztatu. Już na miejscu zajrzałam do torebki i odkryłam, że zostały mi dwa funty i czternaście pensów. Po-patrzywszy na samochód, mężczyzna cmoknął z irytacją, po czym wskazał mi drogę na przystanek autobusowy. Autobus tłukł się i podskakiwał po wybojach, a kiedy przyjechałam do Oxfordu, było mi nie tylko zimno, ale jeszcze niedobrze. Znalazłam bankomat i podjęłam trochę pieniędzy - ręce tak mi skostniały, że z trudnością wciskałam guziczki z numerem mojego konta. W końcu jednak wepchnęłam gotówkę do torebki i poszłam do informacji turystycznej zapytać, jak dojechać do kliniki Radcliffe. Dopiero wtedy przypomniałam sobie o kwiatkach, które zostały na tylnym siedzeniu fiesty.

Do szpitala dotarłam o czwartej. Był ogromny i niepokojący, jak wszystkie tego rodzaju placówki. Nadal odrętwiała z zimna, trzykrotnie pomyliłam drogę na oddział Tildy.

Wysiadając z windy z żalonym bukietem narcyzów, jakie kupiłam w Oxfordzie, zobaczy-

łam, że obok automatu z drinkami stoi kobieta w średnim wieku, a obok niej Patrick Franklin. Przypomniałam sobie nieszczęsne krewetki w obrąbku płaszcza Toby'ego i serce zabiło mi jak szalone, a na policzki wystąpiły rumieńce.

Chciałam wejść z powrotem do windy, ale Patrick już mnie dostrzegł. W kącikach ust igrał mu lekki, złośliwy uśmieszek. Postanowiłam nie zwracać na niego uwagi i wyciągnę-

łam rękę do kobiety.

- Pani Parker?

Melissa Parker dobiegała sześćdziesiątki, była bardzo elegancko ubrana i miała lekko kręcone włosy.

- Słucham?

- Nazywam się Rebecca Bennett, rozmawialiśmy rano przez telefon.

- Panna Bennett! Szalenie mi miło, że panią widzę. - Mówiła typowym akcentem mieszkańców hrabstw sąsiadujących z Londynem, i, w przeciwieństwie do Tildy, bez śladu wschodnich naleciałości. Ucisnęła mi rękę.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

- Patrick - powiedziałam, a on skinął głową. Wbrew temu, co mi się wydawało, wcale się nie

uśmiechał, tylko patrzył na mnie groźnie.

- Jak tam Tilda?

- Trochę lepiej. Jest przy niej moja córka. - Melissa zerknęła na zegarek. - Muszę iść, *R S*

powinniśmy się skontaktować z Joshem, choć na pewno trudno go będzie dopaść. To do-prawdy irytujące! - Na jej twarzy malował się wyraz zdenerwowania.

Zrozumiałam. Synem Tildy, ojcem Patricka, był Josh Franklin, autor powieści po-droźniczych. Od czasu do czasu w dodatkach ilustrowanych widuje się artykuły z fotografią, na której Josh wędruje po słonych równinach lub rozbija namiot, otoczony koczownikami w dziwnych, egzotycznych strojach.

- Matty! - zawołała nagle Melissa. - Matty! Chodź tutaj!

Rozejrzałam się, ale dostrzegłam tylko dwie pielęgniarki i dziewczynę w czarnych le-gginsach, czarnej bluzce i martensach. Dziewczyna miała kolczyk w nosie, jak również wi-

śniowe pasemka w kasztanowatych włosach i z pewnością nie mogła być spokrewniona z elegancką, konwencjonalną Melissą Parker. Mimo to ruszyła energicznie w naszą stronę.

- Babcia śpi - powiedziała. Była o kilkanaście centymetrów wyższa od matki, a spod warstwy tuszu patrzyły na nas szare, przenikliwe oczy, podobne do oczu Tildy. - Mogę się napić coli?

- Musimy wracać. Ojciec już chyba czeka na nas w domu - odparła Melissa.

- Wypiję w samochodzie. Daj mi pieniądze, mamó. Melissa tymczasem odwróciła się do Patricka.

- Masz adres Josha?

- W kieszeni twojego płaszcza jest dwadzieścia pensów. Mogę je wziąć? Mamó?

- Zatelefonuję do Laury, do Delhi.

- Brakuje mi tylko piętnastu.

- Ona przekaże mu wiadomość.

- Tak mi się chce pić.

- Mama nie będzie rozsądna. Ona skończyła osiemdziesiąt lat. I naprawdę... Matty, bądźże wreszcie cicho. Poza tym dlaczego musiałaś włożyć tę... tę rzecz? - Głos Melissy załamał się nagle.

- Proszę. - Wyjęłam z kieszeni parę monet.

- Nie trzeba - wymamrotała łzawo Melissa, a Patrick zaczął mi tłumaczyć, że wydał

wszystkie drobne na parkingu. Monety wpadły do automatu z napojami.

- Mamie nie podoba się mój kolczyk, Patricku. Ani tatuaż i... Pokazywałam ci już tatuaż? - Odsunęła rękaw czarnego podkoszulka, by odsłonić chude ramię ozdobione od barku R S

do łokcia celtyckim węzłem w szmaragdowym kolorze.

- Wspaniały. - Patrick westchnął.

- Ja ich zaskarżę. - Melissa pociągnęła Matty do windy. - Ona nie ma jeszcze osiemnastu lat. Przecież to wbrew prawu, prawda?

- Babci się podoba.

- Tym gorzej.

Drzwi od windy zamknęły się, połykając obie panie. Zostałam sama z Patrickiem.

Machnęłam do niego narcyzami.

- Zostawię je u pielęgniarki - rzuciłam i poszłam w górę korytarza. Tilda spała za zielonymi, kwiecistymi zasłonami. Zostawiłam ją w spokoju, jeśli w szpitalu można w ogóle o nim marzyć, a więdnące kwiaty i liściki powierzyłam siostrze. Miałam nadzieję, że tymczasem wyjdzie Patrick, ale on stał z rękami w kieszeniach naprzeciwko windy i opierał się o parapet.

Zapytał mnie, czy jadę od razu do domu, i musiałam mu powiedzieć, co się stało z moim autem.

- To naprawdę świństwo z jego strony - powiedział. - Podwiozę panią. Muszę wracać wieczorem do Londynu.

Nie umiałam mu grzecznie odmówić. Wyszliśmy ze szpitala na parking. Spodziewa-

łam się jakiegoś superwozu w stylu *british racing green*, ale Patrick jeździł podstarzałym renault. Prowadził jednak szybko, sprawnie, a cisza, jaka między nami zapanowała, była wręcz ogłuszająca. Odnosiłam wrażenie, że Franklin jest nadal zły i posępny; pod oczami miał głębokie, sine cienie. Kątem oka dostrzegałam małe złote włoski na jego dłoniach trzymających kierownicę... Cisza stała się wręcz nieznośna; musiałam się odezwać.

- Jeśli chodzi o te krewetki... pewnie uważa mnie pan za wariatkę.

Znów wygięcie kącików ust.

- Wcale nie. Potraktowałam to po prostu jako jasny punkt w nudnym wieczorze.

- Zwykle nie zachowuję się w ten sposób.

- Nie? - Popatrzył na mnie zezem. - Wielka szkoda.

Ponieważ żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy, dałam sobie spokój z

wyjaśnieniami i wyraziłam na głos dręczące mnie obawy.

- Mam nadzieję, że nie zdenerwowałam Tildy. Nie zachorowała chyba przez naszą R S rozmowę.

Patrick zmienił bieg przed ostrym zakrętem i potrząsnął głową.

- Choroba w jakimś sensie miała coś wspólnego z panią, ale tylko pośrednio. Babcia przygotowywała dla pani materiały i natknęła się na obrazy - szkice, akwarele, tego rodzaju rzeczy. Pojechała więc do Oxfordu po ramy; na szczęście nie samochodem, tylko autobusem, a potem wyciągnęła drabinę i wieszała te cuda. - Uśmiechnął się ponuro. Zapadł

zmrok, korony drzew połączyły się, a gałęzie pozłociło światło ulicznych latarni. - Doktor uważa, że po prostu się zmęczyła.

Kiedy wyjechaliśmy na autostradę, znów dopadła nas cisza. Ogarnęło mnie znużenie, dzień był długi, męczący, chciało mi się spać. Patrick jednak wyświadczył mi przysługę, dlatego czułam się zobligowana, by zabawiać go rozmową.

- Córka Melissy trochę mnie zaskoczyła.

Patrick wybuchnął skrzekliwym śmiechem.

- Cioci Melissie wszystko się udawało, dopóki to dziecko nie przyszło na świat. Po-

ślubiła odpowiedniego męża, żyła w pięknym domu, miała dwie wspaniałe dziewczynki. A potem - łup - Matty, spóźniony diabełek. Tilda oczywiście ją uwielbia.

Bardzo późno - pomyślałam. Melissa musiała być grubo po czterdziestce, kiedy urodziła się Matty.

Chciałam zapytać Patricka o ojca, słynnego Josha Franklina. Zauważyłam jednak, że znów zacisnął usta, a z jego oczu zniknęły wszelkie ślady wesołości. Do końca naszej po-droży nie próbowałam się nawet odzywać. Przymknęłam oczy; pragnęłam choć na chwilę zasnąć, ale bliskość Patricka nie pozwoliła mi się odprężyć. Znajdowałam się na pograniczu jawy i snu; tykanie kierunkowskazu mieszało się z beładnymi, przypadkowymi myślami.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania, zaproponowałam Franklinowi kawę. Byłam oczywiście przekonana, że odmówi.

- Z przyjemnością się napiję, dziękuję.

Cholera - przemknęło mi przez myśl, kiedy otwierałam drzwi. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem głodna. W warsztacie wypiłam filiżankę herbaty, w Oxfordzie zjadłam batonik. I nic poza tym. Zajrzałam do lodówki.

- Ma pan może ochotę na omlet? Zamrugał oczami.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu. *R S*

- Wszystko jedno, czy się smaży jeden, czy dwa. A ja umieram z głodu.

Ubiłam jajka, podczas gdy on krążył po saloniku. Masa jajeczna puszczała wesołe bąbelki na patelni - ja tymczasem wyjęłam talerze i sztućce, po czym zaniiosłam je do pokoju.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy zjedli tutaj, prawda? W kuchni jest trochę za zimno. - Postawiłam talerz na oparciu jedyne go wygodnego krzesła.

- Jadłbym nawet na chodniku, byle tylko nie gotować.

Aby zabezpieczyć się przed ciszą, włączyłam CD. Domyśliłam się, że Patrick, podobnie jak Max, lubi Bacha. Usiadł i odniosłam wrażenie, że wreszcie zaczyna się odprężyć.

- Choroba Tildy musiała pana bardzo zmartwić. Przełamał na pół kromkę chleba.

- Ciocia Melissa zadzwoniła do mnie w środku nocy.

- Nic dziwnego.

- Oczywiście. Pracowałem do późna, więc nie musiałem się nawet ubierać i pojecha-

łem prosto do Oxfordu. - Uśmiechnął się, a ten uśmiech rozjaśnił jego twarz i zmniejszył

dystans między nami. - Boże, kiedy miałem dwadzieścia lat, mogłem bez żadnych konsekwencji nie spać całą noc. Chyba się starzeję. - Dokończył omlet i wstał. - Dziękuję, tego właśnie było mi potrzeba. Muszę iść, jutro czeka mnie rozprawa.

Gdy wyszedł, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie mogłam się do niczego zabrać.

Pomyślałam, że wezmę gorącą kąpiel i szybko wskoczę do łóżka, ale chociaż moczyłam się pół godziny w pianie Chanel - prezencie gwiazdkowym od Lucy Lightman - to senność cał-

kowicie mnie opuściła. Z niesłychaną dokładnością wysprzątałam kuchnię, uprałam kilka sztuk garderoby, powiesiłam je w łazience, po czym przejrzałam wyciągi bankowe, żeby się zorientować, czy mnie stać na naprawę auta. A przez cały czas myślałam nie o Tobym, tylko o Patricku - posępnym, nieprzystępnym, sarkastycznym - i nadal nie mogłam wspominać bez wstydu epizodu z krewetkami. Franklin wydawał mi się z pewnością fizycznie atrakcyjny, ale choć od mojego rozstania z Tobym minęło pół roku, nie czułam się gotowa do nowego związku. Nie miałam pojęcia, co Patrick o mnie sądzi, ale czułam, że tego wieczoru zachowywał się w miarę sympatycznie wyłącznie ze względu na mój zawodowy związek z Tildą. A jednak, ilekroć przymykałam oczy, widziałam jego twarz. Próbowałam znaleźć ja-kąś wygodną pozycję dla rozgrzanych, obolałych kończyn.

Zasnęłam nad ranem. Obudziły mnie kroki na schodach. Otworzyłam oczy. W pokoju panowała całkowita, aksamitna ciemność. Chciałam sięgnąć po świeczkę stojącą na komo-*R S*

dzie, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i szelest materiału zdradził mi jego obecność. Krzyk uwiązał mi w gardle, nie mogłam dobyć z siebie głosu. Le-

żałam nieruchomo, z zamkniętymi oczami, modląc się o to, by pomyślał, że śpię, i odszedł.

Poczułam, jak ściąga ze mnie pościel - poszwę, szorstki koc. Gdzieś tam w mroku krzyknęła sowa. Drżałam na całym ciele i choć usiłowałam protestować, nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Uniósł mi koszulę, odsłonił ciało, a potem się na mnie położył. Ten ciężar mnie dusił; próbowałam walczyć, krzyczeć, jakoś go odepchnąć, ale byłam jak spara-lizowana. Starłam się poruszyć głową, otworzyć oczy, i gdy wreszcie mi się to udało, poczułam, że po twarzy płyną mi łzy. Moje łkanie współgrało z rytmicznymi ruchami jego cia-

ła. Rozpaczliwie złapałam oddech.

Kiedy się obudziłam, nadal czułam jego ciężar. Koszmar trwał. Po twarzy ciekły mi łzy. Przekonałam się, że to sen dopiero wtedy, gdy wyciągnęłam rękę i zamiast na stolik trafiłam na włącznik lampy. Światło zalało pokój, po czym wchłonęło ducha Edwarda de Paveleya, który przecież należał do innej epoki. Pozostał mi jednak przed oczami obraz stryszku służącej, toteż objęłam szybko wzrokiem telewizor, laptop i odtwarzacz CD, zupełnie jakbym się chciała przekonać, że naprawdę mamy rok 1995, a nie 1913.

Poszłam do kuchni po filiżankę herbaty. Gdy napełniałam czajnik, drżała mi ręka; listki spadły z łyżeczki na blat. W końcu wzięłam kubek, usiadłam przy biurku i włączyłam komputer. Zostawiłam Tildę w Londynie na początku lat trzydziestych, kiedy to próbowała zapomnieć o Daraghu Canavanie. Duchy Tildy nie tylko mnie nawiedzały; wciągały mnie również w swoją historię, którą czułam się w obowiązku spisać.

\* \* \*

Pociąg wtoczył się na dworzec Liverpool. Z białej pary wyłoniła się nagle niepozorna postać, krzyknęła, rzuciła walizki i zaczęła biec wzdłuż peronu.

- Roland! Tilda!

Tilda przytuliła Emily, a Roland ruszył po bagaże.

- Em, cudownie wyglądasz! Tak dawno cię nie widziałam. Wczoraj wprowadziłam się do nowego pokoju.

Celia wyszła za mąż, a list Emily, w którym dziewczyna napisała, że matka wreszcie wyraziła zgodę na jej pracę w Londynie, dotarł na Pargeter akurat wtedy, gdy Anna zaproponowała Tildzie pokój Celi - duży, przestronny, całkowicie wystarczający dla dwóch *R S*

osób.

Roland zatrzymał taksówkę i zabrał obie panny na Pargeter. Zatargawszy walizki siostry do pokoju, zerknął nerwowo na zegarek.

- Dziś wieczorem niestety muszę pracować. Krytyk teatralny ma zapalenie wyrostka. -

Przystanął i pocałował siostrę w policzek. - Tilda chyba coś dla ciebie zorganizowała.

- Max zabiera nas do teatru i na kolację.

- Wspaniale. W takim razie zmykam. Tilda pomogła Emily rozpakować rzeczy.

- Mam ci tyle do opowiedzenia - oznajmiła Emily, wrzucając skarpetki do szuflady. -

Święci anieli, co by tu włożyć? Ty wyglądasz tak elegancko. A ja mam tylko te stare kiecki

- niebieską i czerwoną. Chcę sobie kupić czarną; mama nigdy by mi na to nie pozwoliła. No i jeszcze zamierzam się zarejestrować w agencji dla sekretarek i znaleźć sobie chłopaka. Kto to jest Max, Tildo?

- Pisałam ci o Maksie. - Tilda powiesiła sukienki Emily w szafie, po czym popatrzyła na nie uważnie. - Chyba ta czerwona będzie lepsza. Granatowa...

- W granatowej wyglądam jak pokojówka - dokończyła ponuro Emily. - Tłusta pokojówka.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy Tilda je otworzyła, w progu stał Max i pukał

znacząco w tarczę zegarka.

- Musimy iść.

- Roland nie może nam towarzyszyć.

- Wiem. - Max uśmiechnął się. - Biedak będzie recenzował jakiś lewacki poemat pisany białym wierszem. Wystawiają to chyba w Brompton.

Obejrżeli musical, a potem poszli na kolację. Podczas spektaklu Emily wyła ze śmiechu, Max spał. Od września zeszłego roku Max i Tilda bywali na przedstawieniach lub koncertach niemal co tydzień. Max wybierał repertuar, gdyż - jak tłumaczył - teatr oraz muzyka stanowiły ważny punkt programu edukacji Tildy. Zabierał ją więc na Szekspira i Shawa, słuchali razem Bacha i Mozarta. Tilda odkryła, że im więcej się umie, tym większą się zyskuje świadomość własnej ignorancji. Max spisywał jej listy książek, przez które powinna przebrnąć - najnudniejsze opuszczała, te najlepsze czytała z zapalem. Czasem nawet zasypiała nad lekturą tuż przed wschodem słońca. Dyskusje często przechodziły w kłótnie; Maksa irytowała przekora dziewczyny, Tilda obrażała się na niego za brak cierpliwości. Potem *R S*

jednak, prawie niezauważalnie, sprzeczki ustały, animozje zmieniły się we wzajemny szacunek, a jeszcze później w przyjaźń. Czasem przy ładnej pogodzie wsiadali do pociągu i jechali na wieś, gdzie włączyli się po polach czy wybrzeżu. Max okazał się dobrym kompanem, a poza tym nigdy się nie narzucał. Nie pytała go o rodzinę, bo nie chciała, żeby zrewanżował się jej tym samym. Nadal nie potrafiła myśleć o przeszłości bez bólu i wstydu.



Po kolacji Max odprowadził obie panny do pokoju, po czym zniknął na strychu.

Tilda zrobiła kakao, które piły w łózkach, opatulone w szlafroki i swetry - zaczął się już styczeń, i w pokoju było bardzo zimno.

- Kochasz się w Maksie? - spytała Emily.

- Oczywiście, że nie - odparła Tilda ze śmiechem.

- Nie rozumiem dlaczego. Przecież jest przystojny i bardzo inteligentny.

Tilda zanurzyła biszkopta w kakao.

- W takim razie sama się w nim zakochaj. Emily potrząsnęła głową.

- Trochę się go boję. A Max uważa mnie z pewnością za prostaczkę. Nie, Tildo, nie zaprzeczaj. Widzę to. Nie on jeden zresztą, ale ja się tym nie przejmuję. Szukam takiego, który będzie mnie uwielbiał. Możesz mi kogoś polecić?

- No cóż... - Tilda dokonała szybko przeglądu lokatorów Pargeter. - Zostaje Michael, wielki dowcipniś. I Fergus - słodki, ale trochę zbyt... cóż, roznamiętniony.

- O! Już go lubię.

- I Stefan. Straszny z niego dziwak. Giles z kolei woli chłopaków. Realistycznie rzecz ujmując, najlepiej nadawałby się dla ciebie Fergus albo Michael.

- Przyznaj się... - Emily ścisnęła mocniej butelkę z gorącą wodą. - Ilu miałaś kochanków?

- Żadnego - odparła Tilda, wzruszając ramionami, po czym otuliła się szczelniej pierzyną. Szyby całkiem już zamarły, mimo że nie minęła nawet północ.

- Z powodu Daragha?

Tilda nie odpowiedziała.

Przyjaźniła się ze wszystkimi mieszkańcami domu przy ulicy Pargeter 15, ale żadnego z nich nie darzyła uczuciem. Wiedziała, że już nigdy nie zazna tak radosnego podniecenia jak przy Daraghu. Po prostu nie była do tego zdolna. Gdyby nawet wyszła za mąż, nie mogła na to liczyć.

*R S*

- Spotkałam go w Ely - powiedziała Emily. - Wracałam do domu z tej okropnej pracy.

Daragh wychodził właśnie ze sklepu tekstylnego.

- Rozmawiałaś z nim? - Głos Tildy przeszedł w szept.

Emily skinęła głową.

- Chciałam rozerwać go na strzępy, wykrzyczeć, jak bardzo cię skrzywdził, ale jakoś...

- Wzruszyła ramionami. - Wiesz, jaki jest Daragh. Tylko na niego spojrzysz, a już topnie-jesz. I ze wszystkich planów nici. Powiedziałam mu, że mieszkasz w Londynie niedaleko mojego brata i świetnie się bawisz. Po co miałby myśleć, że za nim płaczesz...

- Przecież nie płaczę - przerwała ostro Tilda.

- Oczywiście, że nie. W każdym razie Daragh pochwalił mi się córeczką, Kathleen czy jakoś tak, chyba został szanowanym ojcem rodziny. - Zmarszczyła brwi. - Wydawał mi się inny. Nawet nie bardzo wiem dlaczego... był oczywiście bardziej elegancki i pewny siebie. Ale jakiś taki zimny i chyba...

- No jaki?

- Nieszczęśliwy.

Jako sekretarka profesora Hastingsa, Tilda nie tylko wykonywała obowiązki swoich poprzedniczek; oprócz tego podjęła się wielu innych zadań. Profesor coraz więcej czasu po-

święcał Radzie, a więc i Tilda nie próżnowała. Całymi godzinami siedziała przy telefonie, pisząc listy oraz poszukując domów i funduszy dla studentów imigrantów. Raz oczarowała jednego ze znajomych profesora do tego stopnia, że stary zrzęda podarował potrzebującym książki oraz materiały piśmiennicze. Ten incydent wywarł na Hastingsie naprawdę ogromne wrażenie. Następnego dnia profesor wręczył Tildzie sfatygowaną książkę telefoniczną oraz pudełko z wizytówkami, po czym poinformował dziewczynę, że teraz ona będzie odpowiedzialna za zbieranie funduszy. Praca ta polegała zarówno na organizowaniu wyprzedaży, jak i towarzyszeniu profesorowi na kolacjach, jakie od czasu do czasu organizowano w college-

'u. Wszystko to miało na celu wsparcie uchodźców.

Tilda odkryła, że ma dar przekonywania. Jej rozmówcy łatwo ulegali perswazjom.

Ofiarowywali imigrantom zarówno pieniądze, jak i czas, oraz innego rodzaju wsparcie. Ludziom obdarzonym instynktem opiekuńczym opowiadała o samotności młodych ludzi, któ-

rzy przybyli bez grosza do Wielkiej Brytanii, tym bardziej praktycznym starała się uzmysłwić wszystkie talenty i zdolności, jakie studenci mogą ofiarować swojej nowej ojczyźnie.

*R S*

W lutym odwiedziła Liesl Toller w Domu Dziecka w Oxfordzie. Dyrekcja wyraziła zgodę na opiekę nad Liesl pod warunkiem otrzymania funduszy na ten cel. Nie widząc innego wyjścia, Tilda zbierała wówczas pieniądze wszelkimi metodami.

Teraz instytucja zajmująca się setką fizycznie oraz psychicznie upośledzonych dzieci budziła w niej przerażenie i odrazę. Personel nie zwracał się do swych podopiecznych po imieniu; maluchy miały tylko numerki. Kąpano je wprawdzie i karmiono, ale nikt nie okazywał im uczuć. Nawet zabawki były zabronione. Tilda przyniosła Liesl misia, ale opiekunka natychmiast go skonfiskowała. Na wizyty przyjaciół i opiekunów zezwalano tylko dwa razy do roku, więc mimo iż Gerd Toller mieszkał w college'u oddalonym od Oxfordu zaledwie o parę mil, siostra rzadko go widywała. W drodze powrotnej do Londynu Tilda wyglą-

dała przez okno powozu przepełniona smutkiem i złością. Są dzieci, których nikt nie chce - skonstatowała z żalem.

Po raz pierwszy tego roku pomyślała o ciotce bez złości i goryczy. Ciotka Sarah zabrała ją z sierocińca; nikt inny się o dziewczynkę nie troszczył. Bez Sarah Tilda stałaby się zapewne jedną z tych milczących istot - kołyszących się do przodu i do tyłu, skręcających włosy w dziwaczne loki, uderzających rytmicznie głową o ścianę.

Kiedy Emily Potter weszła do kuchni, Max przyrządzał jajka na bekonie. Emily była nieduża, hałaśliwa i wścibska, przypominała Maksowi komara. Skinął jej głową, nie wytykając nosa zza gazety.

Emily spojrzała na patelnię.

- Bekon, mniam - mruknęła. - Może coś zostanie?

- Nie - powiedział krótko. Usmażył tylko trzy plasterki bekonu; podczas przeprawy po wzburzonym kanale zwymiotował lunch.

- Robiliśmy zakupy. - Emily miała na sobie wyciętą, dopasowaną suknię, podkreślającą jej wspaniały biust. - Nie jadłyśmy cały dzień.

Max przypomniał sobie, że już raz podnosił zemdloną Tildę z kuchennej podłogi. Była niesamowicie lekka, a jej kości były delikatne i kruche jak u ptaszka...

- Powiedz jej w takim razie, żeby przyszła - powiedział zmartwionym tonem.

Emily oparła się o stół, eksponując biust.

- Nie bój się, na pewno cię nie zdradzę - zawołała. Dokonała przed chwilą ważnego odkrycia; w jej oczach błyszczało rozbawienie. - I nie myśl, że zламаłeś mi serce. Nie pasu-R S

jemy do siebie. Zresztą już się nauczyłam zostawiać takich agresywnych brunetów Tildzie.

Wyszła z kuchni, kręcąc uwodzicielsko biodrami, a Max zaklął pod nosem. Przed kilkoma miesiącami zrozumiał, że jest zakochany w Tildzie Greenlees. Bawiło go to i irytowa-

to jednocześnie. Nic się też oczywiście nie zmieniło. Max był już wystarczająco doświadczony, by uniknąć żalonych objawów nieodwzajemnionego uczucia, a jednocześnie zbyt odpowiedzialny, by posunąć tę znajomość poza granice przyjaźni. Nie kochałby się z Tildą nawet wtedy, gdyby ona tego pragnęła. Za bardzo ją lubił. Anna niestety miała rację - roz-graniczał całkowicie potrzeby emocjonalne i fizyczne.

Wrócił właśnie z Niemiec, gdzie spędził ponad miesiąc z przyjaciółmi z Hansens. Obserwując zmiany zachodzące w Berlinie i Monachium, uświadomił sobie jednocześnie, jak bardzo tęskni za Tildą. Zamiast jednak marzyć, że zabiera ją ze sobą za granicę, poskromił

te fantazje i skupił się na pracy. „Manchester Guardian” - jeden z nielicznych dzienników, jakie rozumiały skutki dojścia Hitlera do władzy - zamówił u niego cykl artykułów. W Berlinie, w nocnym klubie, był świadkiem bójki. Z tego wieczoru zapamiętał jedynie umalowanych mężczyzn w strojach koktajlowych, wymieniających ciosy z brązowymi koszulami ze *Sturmabteilung*. Łamiąc całkowicie zasady, Max przyłączył się do bijatyki, wskutek czego oberwał krzesłem po głowie. W nocy nie mógł ani na chwilę zasnąć i chodził po kuchni Gussy Hansen z kompresem z lodu na czole, myśląc o Tildzie. Sądził jednak, że jego zadurzenie to choroba, która w końcu musi minąć.

Zapewne sprowokowana trudnościami z przyjściem na świat, Caitlin Canavan nadal wywoływała zamieszanie we Dworze. W wieku trzech miesięcy nie rozróżniała nocy i dnia, a poza tym nie spała bez przerwy dłużej niż kilka godzin. Jossy była stanowczo zbyt słaba, by ją karmić piersią, a niania za stara na całonocne czuwanie z butelką. Daragh postanowił

jednak, że będzie ją zmieniał, rozkładał więc sobie łóżko w pokoju dzieciennym, ogrzewał

butelki Caitlin i godzinami namawiał małą, by wypić jeszcze troszkę. Dziewczynka spała z główką opartą na jego ramieniu, a on wyglądał na szary, zamarznęty trawnik i przepełniało go szczęście. Znowu odnalazł miłość, której tak bardzo potrzebował. I choć uczucie do Caitlin różniło się bardzo od tego, jakim darzył Tildę, przypominało mu o głębi doznań, jakich niegdyś doświadczył.

W wieku czterech miesięcy Caitlin przeistoczyła się nagle z małego, rumianego, wrzeszczącego skrzata w wyrośniętego, dobrze odżywionego bobasa, zdolnego do okazy-R S

wania zadowolenia. Kiedy Daragh kładł ją do łóżka, przesyiała całą noc. Jeśli jednak robiła to Jossy albo Nana, dziewczynka albo nie chciała się położyć, albo budziła z głośnym płaczem kilka godzin później. Daragh uspokajał małą, gdy wyrastał jej pierwszy ząbek, to on prezentował swoją latorośl pełnym podziwu gościom. Zabierał ją też często na spacer po ogrodzie i obserwował, jak się śmieje do liści smaganych przez wiatr i wyciąga rączki do słońca.

Miłość do córki początkowo odwróciła jego uwagę od problemu, który w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej kłopotliwy. Daragh nie kochał się już bowiem z żoną.

Zakaz doktora Williamsa poparł kosztowny specjalista z Londynu. Kiedy Jossy jeszcze chorowała, a Daragh był zmęczony opieką nad Caitlin, problem właściwie nie istniał. Potem jednak naturalne pragnienia znów dały o sobie znać, Jossy wróciła jako tako do formy i zaczęła się krzątać po domu, a Daragh uświadomił sobie w pełni konsekwencje tej sytuacji.

Sama Jossy poprosiła go wkrótce o powrót do małżeńskiego łóża. Wyraził zgodę, ale po dwóch nocach zaczął to odczuwać jak najgorszą torturę. Żona głaskała go wprawdzie i pie-

ściła, ale nie mógł dokończyć tego, co ona zaczęła. A nie był ani eunuchem, ani księdzem.

Jossy wcale nie wydawała mu się atrakcyjna - po urodzeniu Caitlin jeszcze nie odzyskała figury - Daragh potrzebował jednak kobiety, jakiegokolwiek kobiety. Złapał się kiedyś na tym, że patrzy pożądlwym wzrokiem na głupawą dziewczynę do dziecka. Interesował się nawet szkolnymi koleżankami Jossy, choć wszystkie miały brzydkie, końskie twarze. Zastanawiał się czasem, czy aby któreś z nich nie znudził się mąż. W końcu przeniósł się do osobnej sypialni. Jossy łkała rozpaczliwie, a wielkie jak groch łzy zabarwiły jej bladą twarz szkarłatnymi plamami. Zdesperowany Daragh zdecydował się w końcu na rozmowę z księ-

dzem.

Ksiądz bardzo mu współczuł, ale wobec grzesznej sugestii Daragha, że można by za-pobiec ciąży przy użyciu środków mechanicznych, okazał się nieugięty i kazał mu szukać siły w Panu. Daragh wyszedł na wiosenne słońce, ponury jak chmura gradowa, mając w perspektywie dożywotni celibat. Rozwagał pozostałe - nieliczne i kiepskie - wyjścia z sytuacji. Gdyby nie posłuchał nauki Kościoła, mógł używać prezerwatywy i smażyć się w piekle. Mógł również pojąć żonę, wiedząc, że może ją w ten sposób zabić. Mógł - jak to czynił dotychczas - sam dawać sobie przyjemność, ale napełniało go to zawsze poczuciem wi-ny. Mógł również poszukać kochanki.

*R S*

Zasłonił twarz rękami. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że w wyniku spisku Sarah sprzężonego z zaślepieniem Jossy wkroczył na zupełnie niewłaściwą drogę. Nieraz wyobra-

zał sobie życie z Tildą. Nadal bardzo boleśnie za nią tęsknił. Zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Wiedział, że dziewczyna mieszka w Londynie w tym samym domu, co brat Emily Potter. Zaciśnął pięści, oparł na nich podbródek i próbował sobie przypomnieć, jak też ów młodzieniec miał na imię. Zaraz... już prawie... Ronald! Nie. Robert? Richard?

Roland - przypomniał sobie wreszcie i uśmiechnął się do siebie.

Zanim Anna poszła na lunch, zaniósł Maksowi korespondencję.

- Rachunki, najdroższy, zawsze tylko rachunki.

Max obejrzał pocztę. Trzy rachunki i list. Na kopercie listu widniał znaczek z Brighton. Z pojedynczej kartki papieru dowiedział się, że jego matka zamierza wyjść za mąż za niejakiego Leslie Batesa - emerytowanego biznesmena, niegdyś kapitana gwardii. Max chwycił płaszcz, kapelusz i ruszył na dworzec Victoria, aby złapać pociąg do Brighton.

Do mieszkania matki dotarł o trzeciej. Pani Franklin przyjęła go w nowej kreacji, a błyszczące pudła na suknie porozrzucane po całym pokoju mówiły wyraźnie, że wydała ma-jątek na zakupy. Max zrobił herbatę i zaczął ją wypytywać o adres Batesa.

- Nie zamierzasz być dla niego okropny, prawda, Maksie? - spytała ostrożnie pani Franklin. Chciał ją uspokoić, ale zupełnie mu się to nie udało. W końcu doprowadził matkę do łez, ale adres zdobył.

Leslie Bates nosił zniszczony garnitur i stary krawat absolwenta Harrow, mieszkał natomiast w ponurym hotelu przy zakazanej uliczce. Miał sztuczną szczękę i przerzedzone włosy, ale trzymał się prosto, a taka postawa robiła zawsze wrażenie na Clarze Franklin i służyła zapewne uwiarygodnieniu fikcji o karierze wojskowej. zaproponował Maksowi scotcha i miejsce na załuszczonej fotelu, ale ten nie skorzystał z żadnej z tych ofert. Wiedział, że Leslie Bates doskonale zna powody jego wizyty.

Ujawnił bez zbędnych wstępów sytuację finansową matki, ale pan Bates - w przeciwieństwie do swoich poprzedników - nie wycofał się z zażenowaniem z zaręczyn.

- Przypuszczam jednak, że pochodzi z majątnej rodziny? - zapytał, patrząc na pod-niszczone, ale dobre gatunkowo buty Maksa i jego płaszcz od Beuberry'ego.

Franklin aż jęknął w duchu.

- Inwestycje ojca straciły większość swojej wartości w 1929 roku. I musi mi pan wieR S

rzyć na słowo, panie Bates, że nie mam wielkich dochodów. Jeśli poślubi pan moją matkę, stanie się pan odpowiedzialny za całkiem spore rachunki.

Bates podkreślił węża.

- Clara jest do mnie bardzo przywiązana. Zerwanie zaręczyn z pewnością by ją zmartwiło. Z drugiej strony nieszczęśliwe małżeństwo byłoby znacznie gorsze, prawda?

Max miał ochotę złapać Batesa za klapy i wyrzucić go na chodnik. Zamiast tego wyjął

jednak książeczkę czekową.

- Ile, panie Bates?

Zapłacił sto pięćdziesiąt funtów za to, by jego matka pozostała w stanie panińskim, a Bates wyjechał z Brighton. Na wieść o odwołanym ślubie Clara Franklin wybuchnęła płaczem i nie pozwoliła się pocieszyć. W nocy obudziły Maksa kroki matki i brzęk. Clara zabrała szklankę i butelkę do sypialni, gdzie znowu wylewała łzy.

Rano, kiedy wstała około jedenastej, Max zrobił jej herbatę i podał aspirynę. Wyglą-

dała staro i krucho, piękne ciemne oczy miała podpuchnięte od płaczu.

- Postąpiłam bardzo głupio - powiedziała drżącym głosem, kiedy już wypiała herbatę. -

Tak mi przykro.

Max wziął ją za rękę i zabrali psa na spacer.

Późnym popołudniem złapał pociąg do Londynu. W przedziałach panował tłok, a on stał na korytarzu i palił papierosa. Myślał o braku pieniędzy - czek dla Leslie Batesa wyczy-

ścił mu konto - i o tym, że nie potrafi pomóc matce. Clara szukała po prostu miłości, gdyż miłość, jaką mógł jej ofiarować mąż - ojciec Maksa - zniszczyła przed laty. Chciała po prostu zbyt dużo i dlatego wciąż przeżywała rozczarowania.

Po powrocie na Pargeter, kiedy rozpakowywał torbę, usłyszał pukanie do drzwi. Zapomniał, że to środa, a więc pora na lekcję niemieckiego Tildy. Sam widok dziewczyny przyprawił Maksa o jeszcze większy ból. Zerknął na przygotowane przez nią ćwiczenie, podkreślił kilka błędów.

- Jeśli nie potrafisz sobie poradzić z czasem przeszłym od „być”, to możesz mieć kłopoty z niemiecką konwersacją - powiedział, a ona zaczerwieniła się jak burak.

Czytali „Emila i detektywów”, Max poprawiał wymowę Tildy, pomagał jej tłumaczyć zdanie po zdaniu. Gdy przewracała strony, chodził nerwowo po pokoju, ustawiał po-pielniczki, przekładał książki na półkach. Irytowały go błędy, a mimo że je korygował, Til-R S

da nadal popełniała takie same.

- Na miłość boską, zostawiłaś rozum u Leo Hastingsa? - spytał.

Podniosła się z miejsca i zaczęła zbierać książki.

- Dokąd się wybierasz?

- Do pokoju. - Zerknęła na niego spod oka. - Chyba nie jesteś w nastroju, Maksie.

Już chciał pozwolić jej odejść, gdy uświadomił sobie nagle, że sam siebie za to znienawidzi.

Zatrzymał ją, zanim dotknęła klamki.

- Proszę cię, Tildo...

Na jej twarzy malował się wyraz niezdecydowania.

- Masz rację, Maksie. Jakoś nie potrafię się skupić. Zapomnijmy o wszystkim.

Czuł, że jeśli pozwoli Tildzie zejść teraz ze schodów, to ona już nigdy nie wróci. Zrozumiał, jak puste stałoby się nagle jego życie. Przeczesał palcami włosy.

- Przepraszam cię Tildo, miałem zły dzień. Nie powinienem był jednak się na tobie wyżywać.

Przycisnęła książki do piersi. Patrzyła na niego wyczekująco dużymi, szarymi oczami.

- Pojechałem do Brighton i zapłaciłem takiemu jednemu łajdakowi masę forsy za to, żeby nie żenił się z moją matką.

- Och, Maksie - szepnęła ze szczerym współczuciem.

- Następnego zastrzelę - powiedział, chcąc obrócić wszystko w żart. - Pożyczę broń i zastrzelę drania. Powieszą mnie za to, ale będzie taniej.

Ale Tilda nawet się nie roześmiała. Cisnęła książki na fotel i objęła Maksa za szyję.

- Biedny Max.

A on już nie mógł stać tak jak manekin. Odwzajemnił uścisk Tildy i pogłaskał ją po włosach. W tej samej chwili zrozumiał, że już sam dotyk ukochanej osoby przynosi ulgę.

Pieszczota dziewczyny wróciła mu zdrowie - to wszystko było takie proste i cudowne. Nie miał o tym pojęcia, a zrozumienie tego wytrąciło go z równowagi. Odsunął się od niej delikatnie.

Strych - z łóżkiem widocznym przez drzwi - wydał mu się nagle zbyt mały i ryzykowny.

- Może damy sobie spokój z tym niemieckim i wybierzemy się na drinka? - spytał, a *R S*

gdy Tilda wyraziła zgodę, natychmiast odczuł ulgę. Poszli do pubu przy końcu ulicy, gdzie siedzenia były trochę sfatygowane i pokryte aksamitem, a do baru dochodził hałas z zatłoczonej sali.

Opowiedział jej o rodzinie. Doznawał wrażenia, że otworzyła się nagle jakaś brama, a całą jego zwyczajową rezerwę pokonało silniejsze uczucie.

- Chodziłem jeszcze do szkoły, kiedy moi rodzice się rozwiedli. To była bardzo snobi-styczna szkoła, ojciec świetnie wtedy zarabiał. Rozwód opisano w prasie. Niektórzy moi koledzy przeczytali te wzmianki no i... możesz sobie wyobrazić. Chciałem uciec z domu, ale wiedziałem, że ściągną mnie z powrotem. Nauczyłem się udawać, że to nic takiego. Po jakimś czasie nabrałem w tym wprawy i dali mi spokój. Najśmieszniejsze jest to... - Max zgasił papierosa w popielniczce - że właśnie wtedy zapragnąłem zostać dziennikarzem. Dostrzegłem potęgę prasy. Przed tymi artykułami byłem po prostu nudnym Maksem Franklinem, który zbierał punkty dla szkoły podczas meczów w krykieta i w Dniu Założycieli dostał jakąś dziwną nagrodę. Potem stałem się Maksem, którego matka piła i sypiała z kim po-padnie. A to już znacznie bardziej interesujące, nie sądzisz?

Położyła mu rękę na dłoni.

- Maksie...

- Masz jeszcze ochotę na drinka? - spytał z uśmiechem.

Wstał i poszedł do baru. Stojąc w kolejce, myślał, że nudno jest wciąż mówić o sobie.

W końcu zamówił jeszcze dwie szklaneczki jabłecznika i wrócił do stolika.



- Roland mi mówił, że twoi rodzice nie żyją, Tildo. Przytaknęła.

- Wychowała mnie ciotka.

- Ona też umarła? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- O ile wiem nie. Zmarszczył brwi.

- Nie pisujesz do domu? Oczy jej pociemniały.

- Nie rozmawiałam z ciotką od półtora roku. Rano dostałam list z domu. Ale nie od Sarah. Ona nie zna mojego adresu.

Nic nie mówił; po prostu na nią patrzył. Po chwili dziewczyna pogrzebała w kieszeni i wyjęła z niej złożoną kartkę papieru zapisaną stanowczym, trochę nieporządnym charakterem pisma.

- To od Daragha Canavana. Sądziłam, że już nigdy się do mnie nie odezwie.

*R S*

Przeraził go ból pobrzmiwający w jej głosie. Przypomniał sobie, jak Anna mówiła mu już jakiś czas temu, że Tilda ma złamane serce.

- Kochasz go?

Podniosła na niego wzrok i potrząsnęła głową.

- Kiedyś tak. Ale już nie. On poślubił inną kobietę, pomogła mu w tym zresztą moja ciotka.

Jego dziennikarska natura aż się paliła do tego, żeby pytać o więcej, ale wyczuł, że rozmowa na ten temat sprawia jej ból.

- Myślę, że nikt nie chce powtarzać błędów rodziców. To znaczy chodzi mi o małżeństwo... Rozumiesz.

- Czasem sobie wyobrażam, że mam rodzinę - powiedziała Tilda z uśmiechem. -

Prawdziwą rodzinę. Dużo dzieci, dom tętniący życiem, ogród z małymi ścieżkami, staw z kijankami...

- I ogniska na jesieni. Pieczenie kasztanów w ognisku.

- Ty stary romantyku! - Tilda zaśmiała się. - Nigdy bym cię o to nie posądziała.

- Czasem, jeśli wiesz, czego nie robić, możesz to obrócić na swoją korzyść. - Znów coś do niego dotarło. Zdał sobie sprawę, że to już druga ważna rzecz tego wieczoru. Maksie, ty łajdaku, może wreszcie się czegoś uczysz.

Na długie do ramion włosy Tildy padło światło przenikające przez zamrażającą szybę.

Dziewczyna przymknęła powieki. Tak bardzo pragnął namalować jej portret. I tak bardzo pragnął pieścić tę niemal przezroczystą skórę usianą złotymi piegami. Marzył, by dotykać jej rękami, dłońmi, językiem...

Ona jednak trzymała w dłoni ten list.

- Czego chciał?

- Ach. - Spuściła wzrok. - Prosił mnie o spotkanie. Ale ja mu oczywiście nie odpiszę.

Max poczuł, jak ogarnia go głęboka, obezwładniająca ulga.

Jossy lubiła patrzeć, jak jej maleńka córeczka śpi spokojnie w łóżeczku, ale gwałtowne wybuchy płaczu wywoływały w niej zawsze przyływ paniki i poczucie bezsilności.

Nigdy nie była pewna, czy odpowiednio ją trzyma, karmi, a nawet czy przemawia do niej we właściwy sposób. Sama Caitlin umacniała ją tylko we wszelkiego rodzaju wątpliwo-

ściach. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy mała wydawała się zadowolona, Jossy nawet *R S*

lubiła jej towarzystwo. Zdecydowanie zbyt często jednak łapała się na tym, że zaczyna krzyczeć razem z nią lub też oddaje rozsierdzone, czerwone ze złości stworzenie Nanie, opiekunce albo Daraghowi. Oni wszyscy radzili sobie z Caitlin znacznie lepiej, a Jossy znowu poniosła klęskę. I to w dodatku na takim polu, gdzie kobieta powinna się czuć jak ryba w wodzie.

Najpierw zupełnie jej nie przeszkadzało, że już nie kocha się z Daraghem. Rodzenie dziecka okazało się znacznie gorsze, niż mogła to sobie wyobrazić w najczarniejszych snach, tak więc, kiedy wreszcie zdołała zebrać myśli, zrozumiała, że nie ścierpi już nigdy takiej męki. Podczas krótkiej rozmowy z doktorem Williamsem czuła jednocześnie ulgę i zażenowanie. Kiedy jednak wróciła do zdrowia, często wspominała dawne, upojne chwile, których teraz bardzo jej brakowało. Zanim wyszła za męża, traktowała swoje ciało oraz jego funkcje z mieszaniną wstydu i odrazy. Daragh to wszystko zmienił - i dał jej tyle radości.

Kiedy znów mogła się zmieścić w jedną ze starych wieczorowych sukienek, przyjęła kilka zaproszeń. Pojechała z Daraghem do teatru do Londynu i do restauracji w Cambridge, a potem jeszcze na przyjęcie, jakie wydawała jej dawna koleżanka. Elsa Gordon była wysoka, szczupła, miała jasne włosy i - mimo dwójki dzieci - brzuch płaski jak deska. Jossy przedstawiła Daragha Elsie. Gdy pani Gordon podawała rękę mężowi przyjaciółki, od razu dostrzegła uwielbienie w jego oczach.

- Bardzo oryginalna suknia - odezwała się z przekąsem Elsa. - Pięknie wyglądasz, Jossy...

Biorąc Daragha pod rękę, Jossy czuła, jak przepelnia ją duma.

Potem jednak, w miarę upływu czasu, bawiła się coraz gorzej. Co chwila traciła Daragha z oczu. Znikał, ledwo zdążyła się odwrócić, aby wziąć z tacy cocktail lub poznać kogoś nowego. A bez męża

u boku czuła się zagubiona, nieinteresująca, niezdarna. Zauważyła jednak, że Daragh uwielbia takie spotkania. Przechodził od jednej pograżonej w rozmowie grupki do drugiej, zawsze mile widziany, nigdy nie brakowało mu słów. Nigdy również nie szukał nerwowo tematu do pogawędki, nie dopuszczał do sytuacji, w których - tak jak ona -

musiałby wysłuchiwać przydługich monologów na temat polowania, wygłaszanych przez przypierającego go do muru pułkownika o czerwonej twarzy.

W końcu wyjrzała przez okno i dostrzegła jakiś ruch. Daragh i Elsa Gordon wychodzili właśnie do ogrodu spowitego księżycowym blaskiem. Gniew dodał jej sił.

*R S*

- Przepraszam - powiedziała głośno Jossy do pułkownika i przepchnęła się w stronę francuskiego okna.

Stali obok klombu z różami. Wydawało się jej, że Elsa położyła Daraghowi rękę na ramieniu, ale przy tak słabym oświetleniu nie mogła być tego pewna.

- Jestem zmęczona, Daraghu - odezwała się Jossy. Rozejrzał się bezradnie.

- Dopiero dochodzi... - Zerknął na zegarek. - Wpół do dziesiątej.

- Chcę wracać.

Daragh zmarszczył brwi, a Jossy ruszyła w stronę domu.

- Robisz ze mnie głupca - syknął żonie do ucha, gdy się z nią zrównał, ale ona parła dalej naprzód.

W korytarzu, kiedy czekali na płaszcze, popatrzyła na ich odbicia w lustrze. Gniew dodawał Daraghowi urody, ale ona...

Miała na sobie czarną koronkową suknię, która stanowiła część jej wyprawy. Mimo to odnosiła wrażenie, że jej kształty bardzo się zmieniły, odkąd ją kupiła. Biust był dziwnie przyplaszczony, a brzuch mimo gorsetu wystawał - toteż jej figura przybrała kształt gruszki.

I chyba zaczepiła obcasem o dół sukni, bo kawałek koronki włókł się za nią po podłodze.

Pod wpływem panującego w pokoju gorąca zmierzwiły się jej włosy.

„Jaka oryginalna suknia”. Elsa wyraźnie z niej zakpiła.

- Spędziłeś z tą kobietą masę czasu - powiedziała Jossy, kiedy wyjechali na płaską drogę na Moczary.

- Rozmawialiśmy o dzieciach, to wszystko. Elsa ma córeczkę w tym samym wieku co Caitlin.

- Elsa! - zaskrzeczała Jossy. - Więc mówicie sobie po imieniu? - Samochód skręcił niebezpiecznie na pobocze.

Chwycił kierownicę i wyprostował auto.

- Boże! Zabijesz nas oboje!

- Ona ze mnie drwiła, nie rozumiesz tego?

- Niepotrzebnie dajesz jej powody do drwin. Trzymasz mnie na smyczy jak pieska.

Jossy dodała gazu; mknęli drogą prowadzącą do Southam.

- To ja mam prawo, by oczekiwać twojego towarzystwa, a nie Elsa Gordon. Jestem twoją żoną.

*R S*

- Chyba tak - mruknął. - W pewnym sensie tak.

Zaniemówiła z oburzenia. Z ciemności wyłoniły się nagle światła Dworu. Księżyc padał na przystojny profil Daragha.

Jossy podjechała pod sam dom. Gniew już jej minął, w oczach błysnęły łzy.

- Wiem, że nie wolno nam już tego robić, ale w dalszym ciągu możemy się całować i pieścić.

- Matko przenajświętsza! Już dawno skończyłem szesnaście lat!

Wybałuszyła na niego oczy. Daragh wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

- Chryste, chyba nie myślałaś, że jesteś pierwsza?

Jej milczenie było wystarczająco wymowne. Śmiał się, idąc w kierunku drzwi.

- Mam dwadzieścia sześć lat, Jossy. Sądziłaś, że chowam cnotę dla żony?

- Oczywiście, że tak.

- Z kobietami jest inaczej. - Otworzył frontowe drzwi i ruszył po schodach na górę.

Chciała zapytać: Ile? Kto? - ale on już ją wyprzedził. Zaczęła biec i u szczytu schodów otoczyła go ramionami.

- Kocham cię, Daraghu - szepnęła. - Pragnę tylko być z tobą.

Jego ciepło i zapach - mieszanina lekko słonej woni potu z aromatem wody kolońskiej wzbudzała w niej odurzającą rozpacz i rozkosz jednocześnie. Czasem, gdy wyjeżdżał, chodziła do jego pokoju,

otwierała szafę, po czym - przytulona do kłapy płaszcza albo do kasz-mirowego swetra - wdychała znajomy zapach.

Wyzwoliwszy się z jej objęć, ruszył w stronę pokoju dzieciennego. Pobieгла za nim, zamiatając kurz brzegiem sukni. Już w pokoju, odwrócił do niej głowę.

- Wybieram się na parę dni do Londynu.

- W takim razie spakuję swoje rzeczy.

- Nie, jadę sam, Jossy. W interesach. Tylko na dzień czy dwa. Jedno z nas musi być tutaj. Dla dobra Caitlin.

Kiedy Daragh przeniósł wzrok na śpiące w łóżeczku dziecko, Jossy dojrzała wyraz je-go twarzy. Z nagłym ukłuciem bólu zdała sobie sprawę, że na nią nigdy tak nie patrzył.

Nigdy.

Zjawił się u Tildy, dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Kiedy pewnego dnia wró-

*R S*

ciła z pracy, w progu czekała na nią Emily.

- W naszym pokoju jest Daragh, poczęstowałam go filiżanką herbaty. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Daragh był teraz żonatym człowiekiem. Mogli zostać przyjaciółmi. Tilda pchnęła drzwi do sypialni. Stał przy oknie. Kiedy jednak się do niej odwrócił, w tej jednej przeraża-jącej chwili zdała sobie sprawę, że przyjaźń nie wchodzi w grę i że w obecności tego męż-

czynny zdobędzie się co najwyżej na pozory opanowania.

Jednak podeszła do niego z uśmiechem i pocałowała w policzek.

- Miło cię widzieć. Co u ciebie?

- Wszystko gra. Wspaniale wyglądasz, Tildo.

Zaczęła podejrzewać, że on też udaje. Albo władza nad Dworem zabiła w nim zdolność do okazywania uczuć.

- A Jossy i Caitlin? Jak one się miewają? - spytała gładko.

- Znakomicie. Przyjechałem do Londynu tylko na jakiś czas, chciałem odwiedzić starych znajomych. Co robisz dziś wieczorem?

- Jestem zajęta. - Głos drżał jej lekko, zdradzając prawdziwe uczucia.

- W takim razie jutro.

- Mam spotkanie. Uczę się niemieckiego, bo to pomaga mi w pracy.

Zamilkł. Kręciła się po pokoju, przestawiła książki na półce, poprawiła kapek.

- Mamy bardzo napięte plany na ten tydzień, prawda, Em?

- Po prostu towarzyski wir. - Emily uśmiechnęła się promiennie.

Patrzył na nią. Gdy zdjęła kapelusz i rękawiczki, poczuła się tak, jakby była naga. Pa-liła ją skóra.

- Gdybyś zmieniła zdanie, to mieszkam w Savoyu - powiedział nagle, uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

Podeszła do okna i patrzyła, jak Daragh idzie ulicą z rękami w kieszeniach. Odgadywała, że pogwizduje „Zatokę Galway” albo „Gwiazdę Hrabstwa”. Łzy napłynęły jej do oczu, ale bohatersko powstrzymała się od płaczu.

- Savoy - powtórzyła Emily z zazdrością. - Zazdroścę mu. To na pewno lepsze niż ta nora. Nie pójdziesz, prawda? - Zerknęła na Tildę. - Słuchaj, on jest żonaty, na miłość bo-ską.

*R S*

Daraghowi nie brakowało wytrwałości, a poza tym myślał o własnych korzyściach, co zresztą wykorzystwała sprytnie Sarah Greenlees; Tilda wyobraziła sobie, jak Canavan siedzi w swoim pokoju w Savoyu i codziennie na nią czeka. Nie zdziwiłaby się również, widząc go na progu domu numer 15 przy Pargeter. Wiedziała, że wysyłałby do niej listy i bez przerwy telefonował, gdyby odkrył, gdzie pracuje. Istniał jednak sposób, żeby się go pozbyć raz na zawsze. Daragh przecież do tej pory o niczym nie wiedział.

Emily zamknęła drzwi.

- A co z Makssem? - syknęła. - Przecież wiesz, że on się w tobie kocha. Wszyscy się w tobie kochają. Michael, Fergus, Stefan. Straszny zresztą nudziarz z tego Stefana, ale Max...

Max to co innego. Przecież wiesz, Tildo. Nie powinno się flirtować z kimś takim jak Max.

- Nigdy nie flirtuję - odparła spokojnie.

- Bo nie musisz, prawda? - Emily poszukała w torebce papierosów. - Nie bądź taka cholernie... niedostępna.

Tilda wzięła z szuflady robótkę i usiadła na łóżku. Włóczka była idealna - jedwabna, w kolorze nieba. Emily zapaliła papierosa.

- Daragh to nic dobrego. Owszem, przystojny z niego mężczyzna i miałoby się ochotę dla niego umrzeć, ale nie wolno ci tam iść. On chce, żebyś została jego kochanką.

Tilda zaczęła dziergać trudny kawałek wokół dekoltu.

- Wiem.

- I nie pójdziesz? Liczyła ściegi.

- Może jednak...

- Nie będziesz potrafiła mu się oprzeć. Wydaje ci się teraz, że to nic trudnego, ale nie dasz rady. Daragh nie rzuci dla ciebie żony, Tildo. To katolik. Katolicy nie uznają rozwodów. No i stracisz Maksa, który jest wart dziesięciu takich Daraghów.

Tilda podniosła wzrok znad robótki i zobaczyła, że przyjaciółka jest wściekła. Nie czuła się jednak na siłach, by cokolwiek wyjaśniać. Wstyd za przeszłość nadal nie opuszczał

jej ani na chwilę.

Emily zgasiła papierosa na talerzyku.

- Ależ z ciebie uparciuch! - wykrzyknęła i wybiegła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tilda znowu zaczęła robić na drutach, ale pomyliły się jej ściegi.

Dwa dni później poszła do Savoyu. Daragh wynajął duży pokój na drugim piętrze z *R S*

oknami wychodzącymi na Tamizę. Nalał dwie szklaneczki sherry i jedną wręczył Tildzie.

- Opowiedz mi o swojej córce - powiedziała, przerywając ciszę.

Pojaśniał, wyjął z kieszeni kopertę i położył przed Tildą na stole kilka fotografii.

- To jest Caitlin.

Ciemnowłosy bobas uśmiechał się do niej ze zdjęcia.

- Śliczna! Chyba ma już pół roku, prawda?

- Siedem miesięcy. Potrafi nawet sama siadać. Znowu zapadła cisza.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytała w końcu Tilda, obracając w palcach kieliszek sherry. - Nie zamierzasz zostawić mnie w spokoju?

- Muszę ci wytłumaczyć tę historię z Jossy. - Wstał, podszedł do okna, oparł ręce o parapet i wyjrzał na ulicę. - Chcę, żebyś zrozumiała, co się stało.

- Wiem - szepnęła. - Wiem.

- Tildo - powiedział prosząco. - Spróbuj zrozumieć. W Irlandii byłem zerem, a po przyjeździe do Anglii nic się nie zmieniło. Pragnąłem zostać kimś, ale nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie trudne. I wcale nie ja oświadczyłem się Jossy, tylko ona mnie. Nie miałem pojęcia, myślałem, że chce mi dać pracę... - Ściszył głos. - Ale twoja ciotka, Sarah...

wszystko przez nią.

- Sarah pociągała za sznurki - powiedziała gorzko Tilda - ale ty skakałeś, prawda?

- To prawda, skakałem. - W jego uśmiechu pojawił się wyraz obrzydzenia. - Jak ma-rionetka. Ale czy ty rozumiesz, co dla mnie oznaczał ten dom i ta ziemia? Dla mnie, wiecznego przybłądy, biedaka, któremu nie wolno było nawet patrzeć na bogactwo? A potem, ten cały majątek... mój własny. Jak mogłem odmówić?

- Ja też nie miałam nic. Ale w moim życiu pojawiłeś się ty, co znaczyło dla mnie więcej niż wszystkie piękne domy na świecie. Ty jednak odrzuciłeś tę szansę.

- Tak, niech mi Pan Bóg przebaczy. - W jego oczach czał się ból.

- Żałujesz? - spytała mimowolnie.

- Żałowałem już w dniu ślubu. Żałowałem, stojąc przy ołtarzu.

Znowu zapadła długa cisza. Tilda wskazała fotografie.

- A teraz, Daraghu?

- Nie będę kłamał, Tildo. Kocham moją córkę. Caitlin to światło mojego życia.

- Co z Jossy? - szepnęła.

*R S*

- Nic do niej nie czuję. Zresztą nigdy nie czułem. Czasem trudno mi przy niej oddychać.

Tilda poczuła nagły przyływ współczucia dla tej kobiety, która zapewne bardzo kochała męża.

- Wiem, że nie mogę ci nic zaproponować. Ale sama miłość też się przecież liczy, prawda?

- Ty już nie możesz mi dać miłości, nie rozumiesz? Przymknął powieki.

- Tildo, pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i już nigdy nie przestałem kochać.

Narobiłem bałaganu, przyznaję, ale, na miłość boską, czy zasługuję wyłącznie na potępienie?

Chwyił ją za rękę, zacisnął na niej palce, przesunął kciukiem po grzbiecie dłoni. Zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, że on jest tuż-tuż, czuła tylko jego bliskość i ciepło. Położyła głowę na



ramieniu Daragha, a gdy on pogłaskał ją po włosach, przymknęła oczy z zadowolenia.

- Nie zapytałeś mnie nawet, dlaczego cię odwiedziłam. Pieścił jej szyję.

- Przyszłam, żeby się pożegnać - powiedziała i poczuła, jak sztywnieją mu palce. -

Tym razem tak, jak należy.

Uniosła głowę. Na twarzy Daragha malował się wyraz niedowierzania i żalu.

- Jest ktoś inny?

Pomyślała o Maksie, ale potrząsnęła głową.

- Nie, nie ma nikogo.

- Opuściłbym Jossy, gdybym mógł, musisz mi wierzyć. Ale ona położyła mu tylko rę-

kę na ustach.

Oderwał się od dziewczyny i usiedli na sofie w pewnej odległości od siebie. Daragh zajrzał do kieliszka.

- Miłość przemija. Myślę, że po prostu umiera. Ja ją zabiłem. Byłem chciwy, zły i za-biłem.

- Nie, nie. - Zapewne postąpiłaby rozsądniej, gdyby skłamała, ale nie potrafiła go oszukać. - Problem polega na tym, kim wy jesteście. Ty i Jossy.

- Jossy? - Popatrzył na nią z przerażeniem. - A co ona ma z tym wspólnego?

- Och, Daraghu. - Ogarnęło ją nagle ogromne zmęczenie i smutek. - Jossy to moja siostra.

Gdy Tilda zbiegała po schodach do hotelowego holu, usłyszała, że ktoś ją woła.

- Maksie... - Twarz miała zalaną łzami.

- Emily mi powiedziała, dokąd poszłaś. Popatrzyła na niego twardo.

- Ach, tak.

Stała na środku foyer. Potrącali ją goście w wieczorowych strojach.

- Martwiłem się o ciebie - mruknął z ponurą miną.

- Pewnie się bałeś, że czeka mnie los gorszy od śmierci? Niepotrzebnie.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Masz ochotę na drinka?

- Nie, tu jest okropnie. - Wzdrygnęła się.

- Może w takim razie zmienimy lokal? - Podał jej ramię.

Poszli na nabrzeże. Wieczne słońce połyskiwało na falach Tamizy. Po rzece pływały statki wycieczkowe i barki. Ich kolorowe bandery łopotały na wietrze.

- Wyjechał? - spytał w końcu Max.

- Daragh? Nie wiem.

Dotarli do rzeki i oparli się o balustradę.

- Myślę, że się upije, prześpi i wróci do domu - powiedziała Tilda.

Oboje milczeli, patrząc na rząd łódek zbliżających się do statku.

- Chciałabym wsiąść na jedną z nich, odpłynąć, a potem już nigdy nie wrócić.

- Aż tak źle? - spytał Max.

Przetarła oczy i położyła mu głowę na ramieniu. Mężczyzna siedzący w łódce rzucił linę, a marynarze wciągnęli go na statek.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytał Max.

Pomyślała, że chyba coś mu się od niej należy. Za troskę i pomoc. Za to, że podniósł ją z podłogi - zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

- Nie zamierzam zostać kochanką Daragha.

- A on prawdopodobnie z tego powodu wylądował teraz w barze.

Potrząsnęła głową.

- Nie całkiem. Powiedziałam mu, że jego żona jest moją przyrodnią siostrą. A zatem on moim szwagrem. Sypianie z nim byłoby prawie kazirodztwem, nie sądzisz?

*R S*

Nic nie mówił, tylko na nią patrzył.

- To prawda, wiem o tym wszystkim od półtora roku. Dlatego uciekłam do Londynu.

Podał jej chusteczkę, więc otarła oczy. A potem opowiedziała mu całą historię; o Daraghu i ciotce Sarah, oraz liście, który Sarah napisała do Joscelin de Paveley. I w końcu o matce oraz o tym, co ją spotkało.

- Jesteś zaszokowany? - spytała, kiedy już skończyła. Wzruszył ramionami.

- Uważam, że prawo, które kazało wsadzić twoją matkę do zakładu, jest beznadziejne i nie zna litości. A ustawy dotyczące gwałtów niewiele lepsze.

- Czasem się zastanawiam, do którego z rodziców jestem podobna. Do szalonej matki czy podłego ojca - szepnęła Tilda z namysłem.

- Do tego, które było piękne.

- Maksie... - Odwróciła głowę. Łódź płynęła wzdłuż Tamizy. Stopniowo malała i w końcu stała się zupełnie niewidoczna.

- Kiedy przyjechałam do Londynu, próbowałam udawać, że przeszłość nie istnieje.

Pragnęłam zacząć od nowa, zmienić się zupełnie, tak jak zmieniłam suknię, trochę poskra-cać, przyszyć guziki, przerobić fason.

- I świetnie ci się to udało.

- Tak mi wstyd - szepnęła.

- Nie masz się czego wstydzic - powiedział łagodnie. - Nie jesteś ani szalona, ani pod-

ła. Jesteś Tildą, piękną, mądrą, cudowną i wolno ci zrobić ze swoim życiem, co tylko chcesz. Możesz pracować albo założyć rodzinę.

- Chyba wolałabym rodzinę.

Pomyślała, że potrzebuje wielu ludzi. Tak by wypełnić wszystkie luki.

- Ale byłabyś zdolna ją stworzyć tylko z Daraghem. Popatrzyła mu twardo w oczy i pokręciła głową.

- Już nie pragnę takiej miłości. Przypomina jazdę motocyklem. Jest podniecająca, ale wyczerpuje do cna.

- Nie możesz jednak powiedzieć, że go nie kochasz.

- Nie. - Przycisnęła dłonie do serca, jakby odczuwała ból w okolicy. - Ale kiedyś z pewnością... To musi tylko trochę potrwać.

- Wtedy się zastanów, czy nie miałabyś ochoty wyjść za mnie za męż.

*R S*

Wciągnęła głośno powietrze.

- Już mi się wydawało, że nigdy nikogo o to nie poproszę. - Skrzywił się komicznie. -

Zamierzałem zostać starym kawalerem. Chodziłbym w takim starym barchanowym szlafroku i cały tydzień niczego nie prał. Ale przez ciebie zmieniłem zdanie. Kocham cię. Myślę wyłącznie o tym, by spędzić z tobą resztę życia.

- Maksie... mój drogi.

- Moja propozycja to prawdziwy zaszczyt dla ciebie, ale niestety, z żalem, musisz odmówić, et cetera, et cetera.

Odeszła o parę kroków i usiadła na ławce, próbując zebrać myśli.

- Nie oczekuję, że mi wyznasz szaloną miłość! - zawołał, a paru przechodniów spojrzało na niego ze zdziwieniem.

Tilda znowu pokręciła głową.

- Lubię twoje towarzystwo. Potrafisz mnie rozbawić, miło mi się z tobą rozmawia. Jesteś dobry... - Wyliczała na palcach.

- Boże! - Pochylił głowę z udaną rozpaczą. - Dobijasz mnie, dziewczyno.

- Nie żartuj. Lubimy te same rzeczy i podobnie o nich myślimy. Wydaje mi się poza tym, że oboje uciekamy.

- Ale...? - podpowiedział.

- Jesteś arogancki i masz trudny charakter. - Przestała wreszcie z niego kpić. - Nie chcę szalonej miłości. Już nie. Jeśli zaakceptujesz takie podejście do małżeństwa, to... tak...

myślę, że mogę za ciebie wyjść.

Zmrużył oczy, a potem wyprostował plecy i zbliżył się do ławki. Wstała, a Max przytulił ją mocno i pocałował. Przemknęło jej przez myśl, że gdyby nie Daragh, nigdy by do tego nie doszło. Krążyliby tylko wokół siebie, a rany odniesione w przeszłości nie pozwoli-

łyby im przyznać, że pragną wspólnego jutra. W końcu z pewnością każde z nich poszłoby oddzielnie w swoją stronę, a wahanie i brak zaufania zabiłyby w nich wszelkie dobre uczucia oraz potrzeby.

Max znowu ją pocałował i trzymał w ramionach przez dłuższą chwilę.

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie proszę o ciebie całą. Nie proszę, żebyś dała mi to, co dałaś Daraghowi. Jeśli nadal w głębi serca troszkę go kochasz, jakoś to przeżyję. Ale nie zniosę oszustwa. Nie wybaczyłbym ci nigdy, gdybyś mnie zdradziła. Pamiętaj, tego bym nie przeżył.

*R S*

Pomyślała, że zawarła doskonałą umowę.

- Nie zdradzę cię. I będę dla ciebie dobrą żoną. Nigdy nie będziesz przeze mnie nieszczęśliwy. - Gdy całowała Maksa, wyczuła, jak opada z niego napięcie.

## **Rozdział 6**

Zatelefonowano do mnie z warsztatu z wiadomością, że auto jest naprawione; podróż do Oxfordshire postanowiłam wykorzystać na zdobycie materiałów z Czerwonego Domu.

Tilda wyszła ze szpitala, ale mieszkała w Surrey, w willi Melissy.

Przez kilka kolejnych dni przeglądałam pudła. Zawierały stare dzienniki, przepisy i listy. Na pierwszy rzut oka z dzienników nic nie wynikało. Odnalazłam w nich tylko zapiski typu: „zapłacić mleczarzowi”, a fakt, że nie otrzymałam ich w komplecie, świadczył o tym, że Tilda również uznała je za nieważne. Z poczucia obowiązku dokładnie je jednak przeczytałam, odnotowując jedynie spotkania z bogatymi, sławnymi ludźmi, których Tildzie udało się namówić na wsparcie najróżniejszych przedsięwzięć. Zauważyłam także wzmianki na temat wizyt u dentysty i lekcji muzyki. Ten brak spostrzegawczości mogłam wytłumaczyć jedynie napięciem i kłopotami z koncentracją. Od tygodnia spodziewałam się jakiegoś sygnału od Toby'ego.

Ale kiedy naprawdę zadzwonił telefon, aż podskoczyłam ze zdenerwowania.

- Halo - warknęłam w słuchawkę.

- Rebecca? - spytał niepewnie Charles.

- Wybacz, myślałam, że to Toby.

- Toby! Rany boskie! Znowu?

Opowiedziałam Charlesowi o przyjęciu i szybko wyraziłam zgodę na wypad do kina.

Dzięki temu mogłam uciec z domu i od telefonu.

Spotkałam się z Lightmanem już w środku. Czekał na mnie zaopatrzony w lody cze-koladowe i wielkie pojemniki popcornu.

- Aż dziw bierze, że znowu myślisz o tym obmierzłym facecie.

- Wcale o nim nie... - zaczęłam, ale Lightman mówił dalej, jakbym się w ogóle nie odzywała.

- Szczególnie po tym, co zrobił. Nie zaliczam się zapewne do najwrażliwszych faceR S

tów na świecie, ale nie porzuciłbym kobiety zaraz po poronieniu.

Na szczęście zaraz potem rozpoczął się film. Była to jakaś sentymentalna opowieść i minęło sporo czasu, zanim zdołałam skupić się na tyle, by śledzić raczej mało skomplikowaną fabułę. Potem poszliśmy na kawę. Charles zapytał mnie o postępy prac nad biografią.

- Tilda chorowała - wyjaśniłam. Opowiedziałam mu o tym wyczerpującym dniu od chwili, gdy popsuł mi się samochód, aż do koszmaru z Edwardem de Paveleyem w roli głównej. Przerwał mi, kiedy tylko wspomniałam o Patricku Franklinie.

- Patrick?

- Wnuk Tildy.

- Młody?

- W moim wieku. Tuż po trzydziestce.

- Żonaty?

- Nie wiem. Chyba nie. Może wydawałby mi się bardziej ludzki, gdyby miał żonę.

- Sweterki w ciapki i kolekcja znaczków?

- Och nie, to bardzo atrakcyjny mężczyzna - odparłam ze śmiechem.

- On cię chyba... zauroczył. - Charles mieszał cukier w kawie; głowę pochylił nad fili-

żanką, więc nie widziałam wyrazu jego twarzy.

Machnęłam ręką.

- Nie w moim typie. Przy nim uważam na każde słowo, a na przykład przy tobie mogę się odprężyć. Poza tym to adwokat, a ja przecież bym nie zniosła kolejnego prawnika, prawda?

W poniedziałek znowu przejrzałam dzienniki i wreszcie zobaczyłam to, co powinnam była dostrzec już w zeszłym tygodniu.

Notatka: „Spotkanie z dyrektorką Caitlin” pochodziła z połowy września 1947 roku.

Potem na wiosnę 1948 Tilda napisała: „Melissa, Hanna, Caitlin dentysta”. Córeczka Daragha i Jossy miała na imię Caitlin. Imię było bardzo nietypowe, a już na pewno niezwykle rzadko używane w Anglii w 1940 roku. Czy Caitlin, którą Tilda zabrała do dentysty 9 lutego 1948 roku, mogła się

okazać córką Daragha? A jeśli tak, to skąd się wzięła u Franklinów?

W poprzedni piątek zatelefonowałam do Joan. Dowiedziałam się od niej, że Tilda wyszła wprawdzie ze szpitala, ale co najmniej przez dwa tygodnie musi odpoczywać. Oparłam łokcie na biurku i zaczęłam obgryzać paznokcie, próbując cokolwiek z tego zrozumieć.

*R S*

Wróciłam do dzienników i przyjrzałam się im uważniej. Przez te wszystkie lata imiona czę-

sto się zmieniały. W połowie lat czterdziestych pojawiła się Hanna i Erich, ale po 1949 roku nie znalazłam żadnej wzmianki o Erichu. Tilda nie dała mi jednak dzienników z lat pięć-

dziesiątych. Uświadomiłam sobie nagle, że w połowie 1947 zniknął Max. Może - myślałam, szukając nerwowo dziennika z 1948 roku - Tilda rozwiodła się z Maksem i poślubiła Daragha, ukochanego z dzieciństwa i wielką miłość swego życia.

Ale w dzienniku z 1948 roku nie napotkałam wzmianki na temat Daragha. Jeśli zatem Tilda pisała w dzienniku o Caitlin Canavan, to co się stało z Daraghem i Jossy? Nie mogłam sobie wyobrazić, by ten kochający, troskliwy ojciec pozwolił komukolwiek - nawet Tildzie -

opiekować się swoją córką.

Zastanawiałam się, czy porozmawiać z Melissą, ale nie znałam jej numeru telefonu, a nie chciałam przeszkadzać Tildzie. Potem pomyślałam o Patricku, a także o tym, że prawnicy to mały świątek. Podniosłam więc słuchawkę i wystukałam numer Toby'ego. W jego głosie na samym początku rozmowy wyraźnie pobrzmiwał triumf, który przekształcał się stopniowo w nadęsanie. Carne znał jednak Patricka i podał mi jego numer telefonu.

Zadzwoiłam, zanim zdążyłam przemyśleć swoją decyzję. Sekretarka odpowiedziała mi lodowato, że sprawdzi, kiedy pan Franklin będzie wolny. Zostałam przy słuchawce skazana na „Cztery Pory Roku”.

- Rebecca? To pani? - Patrick przerwał nagle „Wiosnę” tak zniecierpliwionym tonem, że aż podskoczyłam.

- Bardzo przepraszam, ale muszę się czegoś od pana dowiedzieć - zaczęłam. Nie zachęcał mnie specjalnie, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko brnąć dzielnie dalej.

- Kiedy przeglądałam dzienniki, natrafiłam na notatkę, z której wynikało, że w 1948

roku z Tildą mieszkała jakaś Caitlin. Nie chodzi tu chyba o Caitlin Canavan, prawda?

Zapadła długa cisza.

- Właśnie o nią.

- Dlaczego? Co się stało z jej rodzicami?

- Joscelin Canavan umarła w 1947. Daragh zniknął po powodziach. Słyszała pani chyba o powodziach z 1947 roku?

- Trochę o nich czytałam. A więc Daragh zaginął podczas powodzi. Utopił się, tak?

- Nie. Przepadł bez wieści, ale już po tej klęsce.

*R S*

Coś trzeszczało na linii i nie byłam pewna, czy dobrze go słyszę.

- Przepadł - powtórzyłam drżącym głosem. - Jak to? Uciekł? Wyjechał? Dokąd?

- Nie mam pojęcia. Jeśli to wszystko... jestem trochę zajęty.

Podziękowałam mu wylewnie, po czym odłożyłam słuchawkę. Dodałam śmierć Jossy oraz zniknięcie Daragha do chronologii wydarzeń, a następnie zaczęłam przebijać się metodycznie przez listy i pamiętniki. Nie mogłam się jednak skoncentrować; czułam jakiś dziwny niepokój. W 1947 umarła Jossy, zaginął Daragh, Caitlin zamieszkała u Tildy, a Max...

zapomniałam zapytać Patricka o Maksa.

Przez całe popołudnie siedziałam w bibliotece i robiłam notatki. O Moczarach nie znalazłam żadnej wzmianki, ale w straszliwie nudnej książce o powodziach z 1947 roku natrafiłam na rozdział o rzekach i wodach lądowych. Przypomniałam sobie również mężczyznę z przyjęcia oraz słuzę, jaką zrobił z selera i orzeszków pistacjowych. Myśl o jedzeniu przypomniała mi o pustej lodówce. O piątej wyszłam z biblioteki i udałam się do supermarketu. Ze sklepu wyniosłam cztery wyładowane plastikowe torby i ruszyłam w stronę domu, drżąc ze strachu, że ucha się zerwą. Kiedy dotarłam do końca ulicy, zobaczyłam niebieskie renault zaparkowane pod budynkiem, w którym mieszkałam.

Patrick wysiadł z samochodu akurat w chwili, gdy przechodziłam obok. Zerknął na torby z zakupami.

- Chciałem spytać, czy zje pani ze mną kolację, ale może spodziewa się pani gości?

- Nie. - Kiedy otwierałam drzwi frontowe, jedna z toreb pękła i pomarańcze potoczyły się po chodniku. Patrick pozbierał je szybko.

Poszedł za mną do domu i zaniósł do kuchni pomarańcze wraz z pękniętą torbą.

- Nikogo pani nie zaprosiła czy nie chce pani iść na kolację?

Rzuciłam książki oraz resztę zakupów na stół.

- Nikt się do mnie nie wybiera, ale kolację chętnie zjem...



- To dobrze. - Odwrócony do mnie plecami mył pomarańcze pod kranem.

Odłożyłam zakupy i uciekłam do łazienki, żeby się trochę umalować. Zaproszenie Patricka szczerze mnie zdziwiło. Zastanawiałam się, czego on właściwie chce.

- Myślałem o Wheelerze - powiedział, gdy wyłoniłam się z łazienki. - Widzę, że lubi pani owoce morza - dodał z błyskiem rozbawienia w głosie.

Jedliśmy ostrygi i piliśmy białe wino w pomieszczeniu tak wąskim i ciemnym, jak ko-R S

rytarze we Dworze. Najpierw uprzejma rozmowa - muzyka, książki i niekończąca się rece-sja. Przy kieliszku wina zaczęliśmy mówić sobie po imieniu i nabrałam odwagi, by spytać go o ojca.

- Jesteś synem Josha Franklina, prawda? Nachylił się nad ostrygą.

- Mówiłem ci już, niektórzy z nas to urodzeni wędrowcy.

- W dzieciństwie pewnie się nie nudziłeś.

- Na początku nie. Ale w końcu wylądowałem w internacie, co okazało się znacznie mniej interesujące. - Zasłonił moją szklankę. - A ty, Rebecca? Masz rodzinę?

- Ojca. Siostrę i dwóch siostrzeńców. Jack skończył trzy latka, Lawrie półtora roku...

- A ja mogę się pochwalić czteroletnią córeczką - powiedział Patrick.

Omam nie zakrztusiłam się ostrygą.

- Jesteś żonaty?

- W separacji. Ellie mieszka z matką - odparł obojętnie. Przypomniałam sobie pamiątki.

- Tilda i Max też się rozstali, prawda?

Przytaknął i wrzucił ostatnią ostrygę na stos pozostałych.

- Z powodu Daragha? - nalegałam.

- Naprawdę nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, to już historia, prawda?

- I najlepiej zostawić całą sprawę w spokoju?

Kiedy kelner zabierał nasze talerze, Patrick zamówił kawę.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale tak sądzisz?

- Niewykluczone...

- Dlatego zaprosiłeś mnie na kolację? Znowu chciałeś mnie ostrzec?

Podniósł na mnie wzrok.

- Nie, nie dlatego.

Czułam, jak zakończenia moich nerwów rozgrzewają się niemal do białości i zaczę-

łam się modlić, by Patrick nie dostrzegł, że na policzki występują mi rumieńce.

- Chciałem ci raczej odpowiedzieć na kilka pytań. Rano zachowałem się chyba zbyt obcesowo.

*R S*

- Nie zamierzałam przeszkadzać ci w pracy - wymamrotałam.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Czasem, w wirze obowiązków, łatwo zatracić zdolność widzenia.

Wiedziałam, co ma na myśli.

- Opowiedz mi o Daraghu. Przecież nie mógł tak po prostu rozpuścić się we mgle.

- A jednak. - Patrick zmarszczył brwi i przetarł czoło. - Nie wiem o nim zbyt wiele, jak już mówiłem, wszystko to działo się przecież bardzo dawno temu, a Tilda nigdy nie lubiła zwierzeń. Tak czy inaczej, Daragh doprowadził wszystkich do szału. Popadł w straszliwe tarapaty finansowe. Dwór sprzedano pod koniec lat czterdziestych. - Przyszedł kelner z kawą. - Byłaś tam kiedyś?

Potrząsnęłam głową. Wzbraniałam się przed wizytą w Southam, zapewne w obawie przed tym, że rzeczywistość nie sprostą moim oczekiwaniom.

- A ty?

- Dawno temu, z moim ojcem. Wszystko to bardzo mnie przygnębiło. Mieścił się tam magazyn mebli, a stary domek Tildy przeznaczono do rozbiórki. Ziemię sprzedano Radzie Miejskiej. Akurat nastąpiła zima i wszystko wydawało mi się szare, brązowe i zamrożone...

Chociaż - przymrużył oczy - pamiętam, jak mnie zaskoczył widok zalanych pól między Hundred Foot Drain i rzeką Old Bedford. Jechałem z ojcem z północy pociągami i pamię-

tam, że szyny wyglądały tak, jakby ślizgały się po śniegu. Po obu stronach rozciągała się biała, lodowa równina. Nawet na moim ojcu zrobiło to wrażenie. - Zamrugał oczami i wró-

cił do realiów gorącej, zatłoczonej restauracji. - Co do Daragha, to on po prostu dał nogę.

Zrozumiał, że naprawdę ma kłopoty i uciekł. To się zdarza. Bronilem kiedyś człowieka, któ-

ry ukradł trochę pieniędzy i wsiadł na pierwszą łódź płynącą na kontynent. A Daragh okazał się sprytniejszy. Po prostu nie dał się złapać. Obrócił się na pięcie i tyle go wszyscy widzieli.

Bez córki? - pomyślałam, ale nie wyraziłam na głos swoich wątpliwości. Przyszedł kelner z rachunkiem. Wyjęłam portmonetkę, ale Patrick odsunął moją rękę.

- To ja cię zaprosiłem. Na pewno byś wolała spokojny wieczór w domu i pomarańcze.

\* \* \*

W następny weekend pojechałam autostradą M11 w kierunku Cambridge, a potem dalej starą szosą A45 do Newmarket, gdzie skręciłam na północ przy Quy. Teren między wioR S

skami wydawał się bardziej płaski, młode kielki zboża przebijały się przez glebę. Przez całą noc padało, na polach błyszczały srebrne paski wody.

Osuszone pola zapadły się, a podparte stemplami drogi wiodły - niczym mosty - przez niknącą ziemię. Ich wysmołowane pobocza ulegały stopniowemu zniszczeniu. Drzwi nielicznych domów z żółtoszarej cegły wznosiły się trochę ponad ziemię, na podwórzach gospodarstw stały zardzewiałe maszyny rolnicze.

Wzdłuż drogi rozciągała się wioska Southam - złożona głównie z domów różnej wielkości, tuzina bliźniaków oraz małego majątku „Buki”. Czerwone ściany i białe progi posesji odstawały znacznie od reszty budynków. W Southam znajdował się również małeńki supermarket i antykwariat, a także sklep z ceramiką oraz dzwoneczkami. Zaparkowałam na wprost kościoła.

Nie musiałam długo szukać miejsca wiecznego spoczynku de Paveleyów. Nagrobki z czarnego marmuru ogrodzone metalowymi kratkami wyróżniały się bowiem zdecydowanie na tle innych. Imiona: Joscelin i Cecily dla kobiet oraz Edward i Christopher dla mężczyzn nie zmieniały się przez kilka pokoleń. Swojego Edwarda de Paveleya odnalazłam pod ci-sem; Akurat ten grób wydawał się skromny - na granitowej tabliczce wyryto tylko nazwisko i daty urodzin oraz śmierci. Kamień nie zdążył jeszcze tak bardzo zarosnąć mchem jak płyty na pozostałych nagrobkach. Pomyślałam, że choć Edward popełnił wielkie zbrodnie, to sro-dze za nie płacił w czasie walk we Flandrii. Uważam, że historia jest fascynująca i czasem znajduję w niej pocieszenie, ale niektóre jej fragmenty budzą we mnie strach. Jeden z nich to oczywiście holocaust, ale drugi stanowi pierwsza wojna światowa i potworne bitwy pod Ypres, Sommą i Passchendaele.

Zaczęłam szukać grobu starszej córki Edwarda de Paveleya. Znalazłam go dopiero po dłuższej chwili, gdyż znajdował się nieco na uboczu; zapewne z powodu przejścia Joscelin na katolicyzm. Mimo marmurowego krzyża oraz metalowego pojemnika na kwiaty, grób wydawał się samotny i opuszczony. Odcięta od tradycji i rodziny nawet po śmierci - pomy-

ślałam. Joscelin Alicia Canavan 1911-1947, głosił napis, ukochana żona Daragha. Biedna Jossy, w chwili śmierci miała zaledwie trzydzieści sześć lat. Co ją zabiło? - zastanawiałam się. - Może złamane serce? Fotografując nagrobki, czułam się trochę głupio, tak jakby moja ciekawość mogła

przeszkodzić umarłym. Potem udałam się do sklepu z ceramiką i poprosi-

łam pracującą tam dziewczynę, aby wskazała mi drogę do Dworu. Ekspedientka początko-R S

wo nie rozumiała, o co mi chodzi i przez chwilę podejrzewałam, że posiadłość de Paveley-

ów uległa całkowitemu zniszczeniu i zapewne już nie istnieje. W tej samej chwili jakaś starsza kobieta wysunęła głowę przez drzwi łączące sklep z zapleczem.

- Ona mówi o domu Daviesów; o Czterech Wiatrach. Wróc do wioski, kochanie, a potem skręć w lewo. Od dawna chcieli tu zbudować drogę, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrali.

Zrozumiałam, o co jej chodzi, kiedy znalazłam się na błotnistej ścieżce wiodącej przez pola. Auto wciąż zapadało się w błoto i martwiłam się poważnie o jego stan. Mniej więcej po dwudziestu metrach zaparkowałam, wysiadłam, i resztę drogi pokonałam na piechotę.

Będąc w wiosce, nie miałam szans dostrzec tej posiadłości, gdyż zasłaniały ją drzewa. Z innej perspektywy Cztery Wiatry - wielki, kwadratowy budynek z prostymi oknami z czasów króla Jerzego - musiały się rzucać w oczy już z daleka. Pomyślałam, że dom jest raczej brzydki, choć kiedyś z pewnością otaczała go pewna aura dostojności. Tę aurę zniszczyło bezpowrotnie nowoczesne, zielone ogrodzenie, ogromny podwójny garaż i stojący przed nim range rover, a także całe mnóstwo glinianych wazonów oraz skrzynek na kwiaty.

Trzy napisy „Na sprzedaż” wywieszane przez trzy różne agencje łopotały smętnie na wietrze. Czyjeś marzenie rozsypało się w proch. Idąc wzdłuż wściekle zielonych murów, czułam, jak ogarnia mnie rozczarowanie. Tego domu nie nawiedzała ani zaślepiona Jossy, ani niewierny Daragh. Kiedy dotarłam do zakrętu, zobaczyłam, że z jednej strony mam dom, z drugiej wioskę. Za mną widniało natomiast ogromne pole zieleni i czerni. Ziemię między wioską a domem przecinał wał, ciągnący się niemal w nieskończoność, ponad wszystkim wokół.

Weszłam na brzeg, ślizgając się po mokrej trawie. Kilka metrów nad ziemią wiatr wiał znacznie silniej - wyrzusał mi żakiet, plątał włosy. Czas się cofnął i wydawało mi się, że stoję nad kanałem dziesięć, pięćdziesiąt, a może czterysta lat temu, kiedy ziemię ukradziono wodzie. Popatrzyłam wokół - taki krajobraz musiał oglądać Daragh, spacerując tutaj z Jossy; zmarszczki na schwytych w pułapkę falach, wielką, szarą ciszę nieba, tę przerażającą pustkę i osuwający się horyzont, dzięki któremu ma się wrażenie, że ląd znajduje się pod poziomem morza. Zastanawiałam się, czy Daragh dokonałby takiego samego wyboru, gdyby urodził się później, w naszej epoce. Czy poślubiłby dziewczynę dla majątku? Patrick zapewne się nie mylił - schwyty w finansową pułapkę Daragh po prostu zwiął

R S

przed wierzycielami. Zresztą uciekał już wcześniej - choćby wtedy, kiedy wyjeżdżał z Irlandii. A nie zabrał ze sobą córki, bo po raz pierwszy w życiu nie zachował się jak egoista, zrozumiał, że nie może jej zaofiarować zbyt wiele.

Zaczęłam iść wzdłuż kanału. Gdy w długim, kwadratowym budynku na dalekim koń-

cu pola rozpoznałam dom Christophera, przeszył mnie dreszczyk emocji. Okna zarośnięte bluszczem i poobtlukiwany tynk budziły we mnie odrazę; dom wyglądał tak, jakby nikt nie mieszkał w nim od lat.

Zauważyłam, że wysepka, na której leżała posiadłość de Paveleyów, znajduje się niżej niż ta, gdzie znajdował się kościół. Wyobrażałam sobie, jak jeden z aroganckich Paveleyów grozi wodzie pięścią, prowokując ją do tego, by zabrała to, co on ukradł. Wyobrażałam sobie również, jak tej fatalnej wiosny 1947 roku fale sforsowały mocne ściany kanału i zatopi-

ły otaczający go teren. Zaczęło padać, więc pochyliłam głowę i wróciłam do samochodu, myśląc o Daraghu Canavanie spacerującym wzdłuż brzegu, Daraghu - zaginionym gdzieś w przestrzeni, niewidzialnym jak duch.

\* \* \*

Daragh wyjechał z Londynu do Southam natychmiast po tym, jak Tilda dała mu kosza. Usiłował się pocieszać, że przecież została mu Caitlin, status społeczny i pieniądze.

Ale majątek nie cieszył go już tak bardzo, jak dawniej. Tilda była przyrodnią siostrą Jossy i to odkrycie zatruwało mu życie. Ani na chwilę nie mógł zapomnieć o tym, że kochał

jedną siostrę, a ożenił się z drugą, gdyż Sarah Greenlees wykorzystała zręcznie jego ambicje i zaspokoila tym samym własną żądzę zemsty. Jego stosunek do Jossy również się zmienił, zaczął nienawidzić tego wszystkiego, co dotąd wyłącznie go irytowało. Ustawicznie porów-nywał wygląd obu kobiet, przy czym w jednej dostrzegał wyłącznie piękno, w drugiej po-spolitość. Czasem, gdy miłość Jossy dawała mu się szczególnie we znaki, miał ochotę wyznać jej wszystko, po prostu zmyć z tej twarzy wyraz cierpliwego, niemal świętego uwielbienia.

Nie wprowadził jednak swoich zamiarów w czyn. Zamiast tego dużo pił, jeździł konno i wychodził z domu tak często, jak się dało, byle tylko znaleźć się jak najdalej od żony.

Poza tym zajmował się uwodzeniem. Początkowo ograniczał się do flirtów, a potem, na przyjęciu w Cambridge, znów zobaczył Elsę Gordon. Najpierw tańczył z Jossy, obracając ją posłusznie po obwodzie pokoju, a potem z kilkoma innymi paniami. Nie poprosił jednak ani *R S*

razu kobiety, którą zauważył, gdy wysiadła z szykownego auta. Chciał, żeby Elsa trochę na niego poczekała. Od czasu do czasu - wirując po sali - Daragh dostrzegał jej jasne błyszczą-

ce włosy albo fragment szczupłego, pięknego ciała: mocne łydki i kostki oplątane gładkim, delikatnym jedwabiem. W końcu, kiedy mąż Elsy - nudny, ale bogaty facet - poszedł wreszcie grać w karty, Daragh wykonał pierwszy ruch.

Najpierw tańczyli, a potem Canavan zaproponował, żeby uciekli przed upałem sali ba-lowej. W cichej stęchliźnie altany Elsa przycisnęła go do ściany i pocałowała. Przez jej cienką suknię wyczuwał twarde małe piersi, wypchnięte do przodu biodra, kość łonową.

Małeńkie rączki Elsy rozpięły mu guziki od koszuli i opuściły spodnie. Oczy miała szkliste, usta wilgotne. Kiedy zadarł jej spódnice i wszedł między nogi, kobieta zaśmiała się rado-

śnie. Robił, co mógł, żeby to przedłużyć, zaciskał zęby i myślał o tych wszystkich nudnych rzeczach jak rachunki i konta, ale lata abstynencji brały górę nad chęciami. Na szczęście El-sa doszła bardzo szybko i Daragh przestał się powstrzymywać, a jego orgazm stanowił pul-sującą mieszaninę bólu i rozkoszy. Wykrzywiona twarz Elsy rozpląnęła mu się przed oczami.

Kilka dni później pani Gordon zatelefonowała. Na szczęście odebrał Daragh, a potem wmówił jakoś Jossy, że musi obejrzeć konie w Newmarket. W połowie drogi do miasta zauważył samochód Elsy. Skręcili w krętą polną ścieżkę i kochali się na tylnym siedzeniu da-implera. Ostry zapach skórzanych siedzeń utonął w woni seksu, a Daragh zrozumiał, że ta kobieta uwielbia, by kochać się z nią właśnie w ten sposób - szybko, mocno, bez zbędnych wstępów.

Max obstawał przy półrocznym narzeczeństwie; chciał dać Tildzie - jak twierdził -

czas do namysłu. Zależało mu na tym również z innych względów. Dziewczyna nie skoń-

czyła jeszcze dwudziestu jeden lat i musiałaby prosić ciotkę o zgodę na ślub. Pewnej soboty wsiedli w pociąg do Ely, a stamtąd złapali autobus do Southam; za oknami rozciągał się ponury, szary krajobraz - Max nigdy nie widział tak płaskich pól i tak złowieszczego nieba.

Wysiedli w Southam, gdzie Max - który przez całe życie mieszkał w Londynie - popatrzył ze zdziwieniem na niewielkie skupisko sklepów i domów. Był przekonany, że za za-krętem znajdują się jeszcze inne domy. Ale Tilda powiodła go do domu błotnistą drogą z kałużami co metr. Sarah zdziwiła się bardzo, że Tilda zmarnowała pieniądze na bilet autobusowy i nie przyszła piechotą z Ely, po czym kazała im wytrzeć nogi na słomiance. Kiedy R S

Tilda przedstawiła jej Maksa, ciotka popatrzyła na niego podejrzliwie, ale wyciągnęła rękę na powitanie.

Już w środku Max przyglądał się dyskretnie wnętrzu, a Sarah rozmawiała z Tildą.

Franklin zrozumiał nagle z całą ostrością, z jak bardzo różnych środowisk pochodzą. Dotąd w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Teraz jednak zaszokował go ten domek z oknami za-słoniętymi firankami z kawałków bielizny, glinianą podłogą i komodą zastawioną naczyniami, z których żadne do siebie nie pasowało. Jego matka kazała wyrzucać filiżanki, gdy pojawiał się na nich najmniejszy bodaj odprysk. Zasłony szyto u Harrodsa albo w Liberty.

No i oczywiście mieli kucharkę oraz posługaczkę. Max był przekonany, że Sarah Greenlees sama szoruje podłogi, rąbie drewno, a nawet dusi kury, kiedy przestają się nieść.

Zjedli w kuchni kanapki i ciasteczka, a potem Tilda powiedziała Sarah o weselu.

- Bardzo byśmy chcieli, żebyś przyjechała. Brat Emily mógłby cię zawieźć do Londynu samochodem.

- Samochodem? - powtórzyła Sarah z oburzeniem. - Przecież wiesz, że ja nie ufam au-tomobilom.

Złapię pociąg - odparła i zaczęła zmywać.

Maksowi drgnęły lekko kąciki ust.

Pobrali się wczesną wiosną 1935 roku. Był to ślub cywilny z przyjęciem typu bufet, zaaranżowanym po ceremonii w małym hotelu. Tilda włożyła własnoręcznie uszyty kremowy kostium, a na świadka poprosiła Emily. Anna obdarowała młodą parę szampanem, Roland wznosił toast weselny i robił zdjęcia. Pani Franklin płakała, a gdy wychodzili z hotelu na stację, zaczął padać śnieg.

W dwudniową podróż poślubną zamierzali jechać do Eastbourne. Kiedy pociąg wyjeżdżał z Victorii, Tilda rzuciła wiązanekę, Emily ją schwytała i zaraz potem machające postacie na peronie zaczęły przypominać małe, czarne mróweczki. Max wydał głębokie westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu, już po wszystkim...

- Jedzenie było okropne, prawda?

- Wręcz obrzydliwe. A Fergus pijany.

- Widziałeś te prezenty ślubne?

- Podstawki na jajka. Trzy identyczne komplety. - Znowu ją pocałował.

- I ani jednego talerza. Będziemy musieli jeść z wazonów. Och, Maksie - Tilda objęła *R S*

go za szyję. - Nie sądzisz, że powinniśmy wejść do przedziału?

Znaleźli pusty przedział i zasłonili okna. Tilda usiadła Maksowi na kolanach. Kiedy konduktor zobaczył goździk w butonierce Maksa oraz napis „nowożeńcy” na walizce, wyszedł i zamknął za sobą drzwi, nie sprawdzwszy im nawet biletów.

Tilda zawsze wierzyła w to, że Melissa została poczęta w Eastbourne, bardzo eleganckim miejscu, co niewątpliwie w jakimś stopniu ukształtowało w niej zamiłowanie do schludności i porządku. Pierwszego dnia wstali późno i spacerowali po plaży, patrząc, jak deszcz - niczym wysypka - znaczy szare grzbiety fal. Drugiego dnia w ogóle nie wstali z łóżka. W nocy pomiędzy pierwszym dniem a drugim Tilda odkryła, że kochanie się z Maksem sprawia jej ogromną przyjemność. Większą niż obiady w eleganckim pokoju hotelowym, większą niż dancing przy akompaniamencie orkiestry. Jeszcze większą niż siedzenie przy biurku w holu i pisanie listów na niby na pięknej hotelowej papeterii. Wszelkie wątpliwości i podejrzenia co do tego, czy aby na pewno miłość, jaką mogła zaofiarować Maksowi, okaże się wystarczająca, uciekły w jakiś mały, zapomniany kącik umysłu.

Wrócili do mieszkania, jakie wynajęli w Fulham. Zdecydowali się na ten, a nie inny lokal ze względu na osobne wejście i wielką sypialnię z wykuszowymi oknami. W mieszkaniu znajdował się też mały pokój, w którym Max mógł urządzić gabinet, oraz kuchnia w suterenie z wyjściem na małe, ponure podwórze. Do sklepów, gabinetu lekarskiego i na stację metra mieli bardzo blisko - dziesięć minut drogi piechotą.

Tilda wymyśla szafki i rozpakowała prezenty. Prześcieradła i ręczniki od Sarah, śliczny serwis do kawy od Clary Franklin. Karafkę od ojca Maksa. Mieli zaledwie dwa talerze i dwie sosjerki, brakowało im natomiast szczotki, śmietniczki, żelazka oraz wiadra, a przede wszystkim magła, więc prali w kuchni, przy zlewie i wyżymali mokre rzeczy ręcznie na po-dwórku, na ogół wieczorem, chichocząc przy tym głośno. Bardzo często potem łądowali w łóżku, tak więc propozycja, żeby zrobić pranie, nabrała dwuznacznej wymowy.

Piecyk w łazience często się psuł, ale Tilda szybko go ujarzmiła. Nie ulegając żadnym piskom ani najbardziej żalonym jękom, co dzień rano bezlitośnie budziła go do życia. W

maju Max pojechał do Niemiec, a w tym samym czasie lekarz potwierdził podejrzenia Tildy: była w ciąży. Dziecko miało się urodzić w grudniu, tydzień przed świętami. Marzyła o dziecku i domku na wsi, jaki kupią, gdy będzie ich kiedyś na to stać - z ogrodem, huśtawką i miejscem na ognisko. Kiedy Max wrócił do Londynu, domyślił się wszystkiego, zanim Til-R S

da zdążyła cokolwiek powiedzieć. Wypili butelkę piwa i poszli do łóżka, a potem kochali się bardzo ostrożnie przez wiele godzin.

Ciąża wypadła w bardzo dobrym czasie. Lato 1935 roku było suche i gorące, a dolegliwości zaczęły doskwierać Tildzie dopiero na jesieni. Aż do ostatniego miesiąca czuła się na tyle dobrze, by kontynuować pracę u profesora. Potem ze łzami w oczach pożegnała się z Hastingsem, który ofiarował jej zestaw encyklopedii dla dziecka. Od gosposi dostała belę tetry. Kolejne cztery tygodnie szyła - cztery tuziny pieluszek, muślinowych i z bawełny, tuzin prześcieradeł oraz pół tuzina maleńkich białych kaftaników. Clara Franklin znalazła starą kołyskę Maksa i wysłała ją do Londynu samochodem przewozowym. Kiedy na brzuchu Tildy, dosłownie w ciągu jednej nocy, pojawiły się rozstępy, Max natychmiast je ucałował i posmarował oliwką. Zastanawiali się wspólnie nad tym, jak nazwać dziecko i zgodzili się tylko co do tego, że nie będą czerpać inspiracji z tradycji rodzinnej. Dziecko miało stanowić nowy początek.

Oczekiwali maleństwa osiemnastego grudnia, ale akuszerka powiedziała Tildzie, że pierwородni rzadko bywają punktualni. A jednak na tydzień przed świętami, podczas robienia leguminy, Tilda poczuła ostry ból w plecach. Dysząc ciężko, pochylała się nad stołem i oparła dłonie między porzeczkami, wisienkami i tłuszczem. Max siedział na górze w gabinecie - kończył artykuł. Kiedy Tilda wreszcie mogła się poruszyć, poszła na górę i stanęła w progu, nie odzywając się ani słowem. Max zbladł jak ściana, zaprowadził ją do sypialni i chciał natychmiast biec po akuszerkę. Musiała go zawrócić od drzwi i przypomnieć, żeby włożył płaszcz i kapelusz. Chwycił mróz, który ściał kałuże wokół kratek studzienek ście-kowych.

Dziecko urodziło się o dziesiątej wieczorem. Choć ból przeszedł wszelkie wyobrażenia, odkrycie, iż jej ciało wie, co ma robić, i powtarza bezbłędnie rytm stary jak ludzkość, dało Tildzie poczucie ogromnej satysfakcji. Wraz z ostatnim bolesnym okrzykiem zrozumiała, że przeszłość całkowicie straciła wpływ na jej życie, bo właśnie stworzyła sobie no-we jutro.

Akuszerka umyła dziewczynkę, owinęła ją w kocyk i oddała na chwilę matce. Przez zasłony w sypialni Tilda widziała ciemnoniebieskie niebo pocętkowane gwiazdami. Dziecko było blade i wspaniałe. W oczach młodej matki stanęły łzy radości, dumy i wyczerpania.



- Melissa - powiedziała, kiedy Max wszedł do pokoju. - Melissa. Nazwiemy ją Melis-R S  
sa.

Imię, którego przedtem nie brała pod uwagę, samo jej przyszło do głowy i przeznaczyła je natychmiast dla swojej córki.

Siedzieli razem przez dłuższy czas, Max obejmował Tildę ramieniem, dziecko spało spokojnie między nimi. Następnego dnia Max kazał w metryce dziecka wpisać dwa imiona: Melissa Emma. Emma była główną bohaterką jego ulubionej powieści Jane Austen. Tydzień później ich maleńka rodzina - matka, ojciec i córka - obchodziła święta Bożego Narodzenia.

Życie Tildy kręciło się wokół Melissy. Mała okazała się radosną dziewczynką, która budziła się o szóstej rano, jadła po raz ostatni o jedenastej, a przez pozostałe siedem godzin na ogół smacznie spała. Po ojcu odziedziczyła ciemne włosy i niebieskie oczy. W wieku czterech tygodni po raz pierwszy się uśmiechnęła. Mając pięć i pół miesiąca, usiadła na pod-

łodze w kuchni i zaczęła się bawić drewnianymi łyżkami. Rzadko się przeziębiała, a przejawy czułości ze strony przyszywanych babć i cioć znosiła bardzo dzielnie. Matka Maksa, darząca Tildę ogromną sympatią, wpadała do nich w odwiedziny, ilekroć robiła zakupy w Londynie, i zarzucała małą sukieneczkami od Harrodsa oraz puchatymi zwierzątkami do wózeczka. Zarówno Tilda, jak i Max wiedzieli, że Melissa jest najpiękniejszym, najmą-

drzejszym i najcudowniejszym dzieckiem na świecie, ale taktownie nie wyrażali na głos swojej opinii, kiedy w pobliżu znajdowali się rodzice mniej wspaniałych pociech.

Emily była bardzo oddana Melissie. Wpadała dwa, trzy razy w miesiącu, dzwoniła po pracy.

- Prawdziwa szczęściara z ciebie - powiedziała kiedyś z zazdrością. - Cudowny mąż, urocze dziecko. - Pocałowała Melissę, która siedziała jej na kolanach i bawiła się koralika-mi. - A w dodatku nie musisz się zajmować tą okropną stenotypią i maszynopisaniem.

- Jak tam twoja nowa praca? Emily zrobiła kwaśną minę.

- Okropna, po prostu okropna. Beznadziejnie nudna, a w dodatku facet, dla którego pracuję, to szczęśliwy żonkoś. - Wyjęła delikatnie koraliki z buzi Melissy. - Chyba nigdy nie znajdę męża.

Tilda wsypała trochę soli do gulaszu.

- Zostaniesz na kolacji, prawda? Max chyba też przyprowadzi gościa.

- Mężczyznę?

- Harold Sykes pracuje w redakcji jednej z gazet, do których pisuje Max.

R S

- Żonaty?

- Niestety tak. Ma trzy córki.

- O mój Boże - jęknęła Emily. - Chyba jednak pójdę do klasztoru...

Ale Max zaprosił na kolację nie jednego, ale dwóch mężczyzn.

Jan van de Criendt, Holender, był wysoki, jasnowłosy, cichy i stanowił całkowite przeciwieństwo Emily. Pod jego pełnym uwielbieniem spojrzeniem zastygł nawet nieprzerwany potok wymowy dziewczyny. Tilda wykapała Melissę i położyła spać. Kiedy wróciła do kuchni, panowie pili piwo za domem, a Em nakrywała do stołu.

- On jest po prostu zbyt piękny - szepnęła.

Przy kolacji Em grzebała widelcem w talerzu, a gdy potrąciła łokciem piwo, Jan natychmiast zerwał się z miejsca, aby poszukać szmatki. Harold i Max dyskutowali na temat Hiszpanii.

- Tak czy inaczej, kraj znajduje się w kompletnej rozsypce. - Harold Sykes był wysokim, siwiejącym mężczyzną z podwiniętymi wesoło wusami. Garnitury zawsze fatalnie na nim leżały. - Przydałyby się tam rządy silnej ręki.

- Czyżbyś mówił o dyktaturze?

- Używasz tonu rasowego komucha, mój drogi.

- Nie jestem komunistą. Po prostu bardzo bym nie chciał, żeby Hiszpania wkroczyła na tę samą drogę co Niemcy.

- Jeszcze groszku, Janie?

- Dziękuję pani bardzo. Narzuciłem państwu swoje towarzystwo i czuję się w obowiązku za to przeprosić.

- Na miłość boską, Haroldzie! Niemcy dostarczają Franco ludzi i broni - zawołał

Franklin.

- To żaden kłopot. Lubię, jak Max przyprowadza gości.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co pisze prasa. - Harold zaśmiał się głośno z własnego dowcipu.

- Hitler wykorzysta Hiszpanię jako poligon dla swojej Luftwaffe. Nauczą się bombardować na hiszpańskich miastach, a z nami pójdzie im łatwo.

- Pani też jest dziennikarką, panno Potter? - spytał Jan.

- Pracuję w takim okropnym biurze... Tildo, chyba słyszysz Melissę... naprawdę, z chę-

*R S*

cią pójdę. - Emily wstała z impetem od stołu, a jej nóż i widelec spadły na podłogę.

- Może niedługo pojawi się u nas etat, Maksie - powiedział Harold. - Rozmawiałem z Freddie. Nie, nie musisz dziękować.

- Myślę, że dam sobie spokój z tą pracą. Wiesz, że nie lubię słuchać czyichś poleceń.

- Ale zyskujesz stały dochód - przypomniał mu Harold z ustami pełnymi ziemniaków.

Tilda znalazła opiekunkę do dziecka i zorganizowała wyprawę do kina dla siebie, Maksa, Jana i Emily. W ciemnościach kina ciche uwielbienie van de Criendta przełamało nieśmiałość Em.

- Poprosił mnie o spotkanie - szepnęła do ucha Tildy i w udręce oczekiwania przycisnęła sobie dłoń do ust.

Jan - właściciel firmy importowej z Amsterdamu - w tydzień później wrócił do ojczyzny. Humor Emily stał się całkowicie zależny od częstotliwości jego listów. Kiedy przez kilka dni nie otrzymywała korespondencji, zagrzebywała się w kuchni Tildy i - jedząc ciastka z kremem - wspominała najdrobniejsze szczegóły znajomości z Janem. Jeśli jednak nadchodził wreszcie upragniony list, zbiegała na dół, porywała Melissę w ramiona i okrywała pocałunkami. A gdy Jan wreszcie napisał, że przyjeżdża, wydała fortunę na ubranie, szminkę oraz lakier do paznokci i w dodatku kazała sobie zrobić ondulację. Trwała okazała się klęską. Tilda całymi godzinami usiłowała rozprostować dzikie loki przyjaciółki. Mamrocząc coś pod nosem na temat samobójstwa, Emily na spotkanie z Janem, włożyła kapelusz. Ten jednak, ledwo wyszedł z pociągu, od razu porwał ją w ramiona. W jego oczach kryła się mi-

łość i skręcone kosmyki nie mogły tu niczego zmienić.

\* \* \*

Marjorie zaprosiła Jossy i Daragha na chrzciny pierwszego dziecka. Po chrzcinach miał się odbyć proszony lunch. Dzień był gorący, jasny, duszny i Jossy zapragnęła wrócić do domu wkrótce po złożeniu gratulacji i zjedzeniu posiłku.

Chodziła więc po ogrodzie i szukała Daragha. Zaproszeni goście siedzieli głównie pod drzewami lub na ławkach przy żywopłocie. Jossy mignął pod pergolą wysoki brunet, ale kiedy przyjrzała mu się bliżej, dostrzegła, że to ktoś obcy. Wróciła więc do domu, gdzie pokojówki sprzątały po przyjęciu, a z pokoju dziecinnego dochodziło wycie dziecka Marjorie. Idąc po schodach na górę, Jossy poczuła się tak, jakby szukała męża już od wielu godzin. Pomyślała z goryczą, że właściwie zawsze musi szukać Daragha. Ogarnęła ją rozpacz.

*R S*

Gdy usłyszała odgłosy dochodzące z sypialni, przestraszyła się, że ktoś zachorował i wydaje z siebie dziwne jęki. Przez chwilę stała na korytarzu, niezdecydowana, czy szukać pokojówki czy Marjorie, czy też może zaofiarować swoją pomoc.

Gdy pchnęła lekko drzwi, zobaczyła ich na łóżku. Przyszła jej do głowy absurdalna myśl, że przecież to chrzciny. Musiał to robić akurat w dniu chrzcin, w domu Marjorie, na łóżku Marjorie, o trzeciej po południu! I to w dodatku z Elszą Gordon! Jossy odsunęła się dyskretnie od drzwi. Z tym zerem Elszą, z Elszą, która była nikim, dopóki nie wyszła za Hamisha Gordona, z Elszą - córką malarza pokojowego.

Jossy zeszła na dół niepewnym krokiem starej kobiety. Siedząc w kącie salonu, czuła się fizycznie chora po przebytych szoku. Ilekroć przymykała oczy, widziała ich razem - Daragha i Elsę w rozchełstanych ubraniach, tarzających się w pościeli.

- Maleństwo wreszcie zasnęło - odezwał się głos. - Mój aniołek tak okropnie się zmęczył. - Jossy podniosła wzrok i zobaczyła Marjorie.

Nie zdołała ukryć bólu, gdyż przyjaciółka popatrzyła na nią z niepokojem.

- Dobrze się czujesz, Jossy?

- Bardzo mnie boli głowa.

- Może przyniosę wody. Przyprowdzić Daragha?

- Poproszę tylko o wodę, dzięki, Marjorie.

Znów sama, wstała, przytrzymując się oparcia tapczanu. Zamierzała powiedzieć Ha-mishowi, co robi jego żona, a potem trzasnąć Elsę w tę pustą, ładną buźkę. Potem jednak, kiedy Marjorie wróciła do pokoju, gniew zamienił się w poczucie bezsilności. Jossy opadła z powrotem na kanapę. A jeśli Daragh zakochał się w Elsie? Wzięła szklankę od Marjorie, wymamrotała podziękowania i zaczęła spokojnie pić wodę, choć w środku drżała. A jeśli mąż od niej odejdzie? Jak mogłaby wrócić do tego beznadziejnego życia, jakie wiodła przed zamążpójściem:

Tej i następnej nocy sny zdradzonej kobiety nawiedzała twarz Elsy Gordon. Jossy zdawała sobie sprawę z tego, że Daragh tęskni za wspólną sypialnią; nie wiedziała jednak, do jakiego stopnia brakuje mu wspólnych nocy. Przez chwilę zamierzała nawet zignorować rady doktora i zaprosić męża do łóżka. Pamiętała jednak zbyt dobrze mękę rodzenia, by znów tak ryzykować. Już kilkakrotnie zamierzała dać Daraghowi do zrozumienia, że wie o jego niewierności, lecz za każdym razem się wycofywała. Skąd mogła wiedzieć, co robi, *R S*

gdy stanie wobec konieczności wyboru między nią a Elszą?

Zbudowała swoje życie wokół Daragha, uszczęśliwianie męża stało się jej celem. Teraz - w wyniku ustawicznego lęku i niepewności - utraciła spokój ducha. Gdy w kilka dni później Nana zakomunikowała Jossy, że Caitlin jest chora, ta prawie nie słuchała. Wezwano jednak lekarza, który stwierdził szkarlatynę. Cały dom zaczął chodzić na zupełnie innych obrotach. Domownicy zniżali

głos do szeptu, zaciągnięto firanki. Daragh siedział przy łó-

żeczku i kładł na główkę dziecka zimną flanelkę. A gdy po lunchu zadzwonił telefon, Jossy pierwsza znalazła się przy aparacie. Ledwo jednak zdążyła się przedstawić, niedoszły rozmówca odłożył słuchawkę.

Na rozpalonym ciałku dziewczynki pojawiła się wysypka. Choć zaangażowano pielęgniarkę, Daragh i tak nie opuszczał pokoju dziecka ani na chwilę. Rozczochrany, z sińcami pod oczami wyglądał strasznie. Caitlin dostała jeszcze większej gorączki i miała trudności z oddychaniem. Co chwila chwytała spazmatycznie powietrze. Jossy tuliła do siebie Daragha i głaskała go po włosach.

- Jeśli ją stracimy... - szepnął, a potem rozpłakał się jak dziecko.

Jossy położyła tylko palce na ustach i zaczęła go pocieszać.

Przywarł do niej mocno; pragnął, by dała mu choć trochę swej siły. W tej samej chwili Jossy przestała się bać. Zrozumiała, że Daragh nigdy od niej nie odejdzie, bo nie zostawi Caitlin. Patrząc na leżące w łóżeczku dziecko, tak bardzo pragnęła, by temperatura spadła; równo, spokojnie wciągała powietrze do płuc; próbując podświadomie narzucić córeczce rytm własnych oddechów.

Rano gorączka wreszcie się obniżyła i Caitlin zaczęła zdrowieć. W miesiąc później, kiedy dziecku nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, Jossy wydała przyjęcie. Zaprosiła Marjorie Tate i jej męża, Talbotów, którzy dzierżawili majątek na wschód od Cambridge oraz Gordonów.

- Ale ucza! - westchnęła Marjorie, gdy na stół wniesiono bażanta udekorowanego piórami. - Wspaniała! Zawsze tak nas rozpieszczasz.

- Należy utrzymywać poziom, prawda, Elso? - odezwała się niewinnie Jossy. - W

końcu tak niewiele już zostało dobrych rodzin z tradycjami. Stare majątki przeszły w ręce ludzi trudniących się handlem.

- Cóż za staroświecki punkt widzenia. - Elsa się zaśmiała.

*R S*

- Posiadanie jest bardzo ważne. Ludzie na ogół pragną zatrzymać na zawsze to, do czego mają prawo. Bardzo bym nie chciała, żeby to wszystko... - zatoczyła ręką szeroki łuk obejmujący wnętrze, ogród za oknem i Daragha - stało się własnością jakiejś niepowołanej osoby.

Zapadła cisza.

- Jak tam twoja nowa niania, Elso? - spytała Jossy. - Hamish wspominał mi kiedyś, że nie możesz znaleźć nikogo odpowiedniego. Wybranie służby to naprawdę trudna sprawa, jeśli się nie ma doświadczenia. - Fakt, że Elsa boi się odgryźć, sprawiał Jossy niemałą satysfakcję.

- Tym razem moja staruszka wybrała jakieś naprawdę koszmarnie stworzenie. - Nalaną twarz Hamisha okraślił alkoholowy rumieniec. - A John robi nowej niani najrozmaitsze psi-kusy. Nie spodobała mu się od początku.

- We wrześniu idzie do pierwszej klasy - dodała Elsa z dumą.

- Udało ci się umieścić synka w jakiejś porządnej szkole? Mogłabym się za tobą wstawić, jeżeli to konieczne. - Jossy napotkała wzrok Elsy, która otworzyła nagle usta, żeby coś powiedzieć i zacisnęła je z powrotem w cienką kreskę. Daragh chwycił karafkę, napełnił

mężczyznom kieliszki, po czym wdał się w dyskusję na temat strzelania. Przyjęcie ciągnęło się do jedenastej - brawurową demonstrację starej fortuny zniszczyła radosna mściwość Jossy i bojaźń upokorzonej Elsy. Daragh bardzo dużo pił, właściwie nie wypuszczał kieliszka z ręki. Był jak zwykle dobrym gospodarzem, ale na jego pobladłej, skupionej twarzy malował

się dziwny, chytry wyraz. Najpierw wyszli Gordonowie - pijanego Hamisha wyciągnęła El-sa, a po nich dwie kolejne pary.

- Musiałaś być tak cholernie niegrzeczna? - wymamrotał Daragh, kiedy zostali sami.

- Chyba sam sobie możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Z twarzy odpłynęły mu resztki rumieńców. Poszedł do kredensu i wyjął cygaro z pudełka. Obcinając koniuszek, stał odwrócony plecami do Jossy.

- Elsa Gordon to dziwka - rzuciła. Zapadła cisza.

- One też się do czegoś nadają.

- Nie wierzę, że kochasz taką kobietę.

Odwrócił do niej głowę. Oczy miał szeroko otwarte, na twarz padło mu światło świe-cy.

*R S*

- Nie kocham Elsy.

- A jednak z nią sypiasz.

- Skoro chcesz to tak nazwać... Ale prawdę mówiąc, spanie należy do tych nielicznych rzeczy, których z nią nie robiłem.

Te słowa zburzyły kruchy spokój Jossy.

- Jak mogłeś, Daraghu? Nie rozumiesz, jak bardzo mnie zraniłeś?

Zamrugął oczami.

- Wcale nie miałem takiego zamiaru. W ogóle o tym nie myślałem.

- Sądziłeś, że będzie mi to obojętne?

- Nie przypuszczałem, że się dowiesz. - Zmarszczył brwi. - Chociaż teraz nie bardzo mnie obchodzi, czy się tym przejmujesz, czy nie.

Jossy z trudem chwyciła powietrze. Odczuwała niemal fizyczny ból. Zadanie kolejnego pytania niemal przekraczało jej siły.

- Już mnie nie kochasz?

Daragh nalał sobie szklaneczkę whisky. Po jego błyszczących oczach poznała, jak bardzo jest pijany.

- Już? - powtórzył. - Nigdy cię nie kochałem.

- Nieprawda. Kochałeś! To była miłość od pierwszego wejrzenia. Pomyśl o liście.

- O liście? - Zmarszczył brwi. - Ach, masz na myśli tamten list. Przecież ci już mówi-

łem, że nie ja go wysłałem. Ktoś inny zrobił to za mnie.

- Nie opowiadaj bzdur! - krzyknęła. - Chyba jesteś pijany!

- To prawda, ale nie kłamię. Możesz mi wierzyć lub nie, jak sobie chcesz. W każdym razie nie martw się już o Elbę Gordon. Ona i tak mnie zaczynała męczyć. Nie Kocham jej i nigdy nie kochałem, chociaż na pewno coś w sobie ma. Ciebie też nie Kocham. To prawda.

Jednak nie zamierzam cię opuścić, a jeśli znajdę jakąś następczynię Elsy, postaram się zachować dyskrecję ze względu na Caitlin. Jedyłą kobietę, jaką kochałem, straciłem, żeniąc się z tobą.

Bełkotał, ale Jossy i tak go rozumiała. „Jedyłą kobietę, jaką kochałem, straciłem, że-niąc się z tobą”.

Nie spuszczała z niego wzroku, serce waliło jej jak młotem.

- Nie znasz jej, chociaż powinnaś, u Boga Ojca. Kiedy się od niej odwrócił, chwyciła R S go za rękaw.

- Kogo? Kogo ty Kochasz? Powiedz! - krzyczała, uderzając pięściami w jego tors.

Próbował się cofnąć, ale wbiła mu paznokcie w twarz i włosy. Chwycił ją za przeguby.

- Chcesz wiedzieć, prawda? Więc dobrze: twoją przyrodnią siostrę. Nieślubną córkę twojego ojca. Nie z tego łóżka, co trzeba. - Łypnął wściekle na żonę, przyciągnął ją do siebie i zaczął potrząsać, jakby dla wzmocnienia swoich słów. - Twój ojciec pieprzył się z matką Tildy, rozumiesz? Stary drań zrobił jej dziecko. Ciotka Tildy znenawidziła go za to.

No i ta ciotka napisała list. Domyśliła się, że masz na mnie ochotę. A potem doszła do wniosku, że zrobi wszystkim świetny kawał, jeżeli córce człowieka, który zniszczył życie jej siostrze, wtryni starego kochanka swojej podopiecznej.

Jossy dostrzegła, że skaleczyła Daraghowi usta, z kącika kapła kropelka krwi. Rozplakała się żałośnie.

- Kawał polegający na tym, że ukochana córeczka Edwarda de Paveleya zniży się do tego, by poślubić zwykłego, irlandzkiego chłopca.

Wreszcie ją puścił; osunęła się z płaczem na podłogę.

- W niczym nie przypominasz siostry, Jossy. Tilda jest dziesięć razy ładniejsza od ciebie.

Przypomniała sobie pogrzeb ojca.

- Ta dziewczyna! Ta dziewczyna, z którą widziałam cię w Southam...

- Mieliśmy się pobrać - przerwał, a te słowa przebiły ją na wylot niczym nóż.

Tilda zrozumiała, że jest w ciąży, jesienią 1936 roku. Nieplanowane dziecko codziennie rano uwalniało ją od śniadania; było to coś, czego nie doświadczyła przy Melissie.

Max wrócił z Hiszpanii w połowie listopada, siny ze zmęczenia. Tilda zaczęła, aż Melissa ułoży się w łóżeczku, zjedli kolację i powiedziała mu o dziecku. Otworzył szeroko oczy, a małeńka pionowa zmarszczka między brwiami pogłębiła się.

- Przykro mi Maksie. Wiem, że chciałeś poczekać... Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Głuptas.

- Melissa śpi teraz w dużym łóżeczku, małeństwo może zająć kołyskę. Będzie dobrze.

- Oczywiście, wspaniale.

Choć pocałował ją w czoło, odniosła wrażenie, że tylko udaje zadowolenie.

*R S*

- Martwisz się o pieniądze?

- Jakoś damy sobie radę.

- Zawsze marzyliśmy o gromadce dzieci. Melissa powinna mieć brata albo siostrę,

- Oczywiście, że tak - mówił cichym, bezbarwnym głosem.

- W czym problem? Mów. - Czowała, że mąż znów się przed nią zamyka.



- Chodzi o to, co widziałem w Hiszpanii - odezwał się po chwili grobowego milczenia. - I o to, co od lat obserwuję w Niemczech. Zanim urodziła się Melissa, było we mnie trochę optymizmu. Niewiele, ale jednak krztyna. Teraz już nic nie zostało.

- Przecież te wszystkie straszne rzeczy dzieją się tam - powiedziała. - Nie tutaj.

- Co nie znaczy, że nas nie dotkną - odrzekł gorzko. - Będzie następna wojna i czuję...

czuję się winny za to, że wydajemy na świat dzieci. Naprawdę, Tildo. - Max poszukał w kieszeni papierosów. - Baldwinowi i większości tych idiotów z parlamentu chyba się wydaje, że jeśli porozmawiają sobie miło z Hitlerem, to on zostawi nas w spokoju. Tak się jednak nie stanie, Tildo. Wiem, że nie. Podczas podróży pisałem artykuł, który to wszystko tłumaczy. Ale nikt go nie wydrukuje. Dziś chodziłem od wydawcy do wydawcy. Zainteresowali się nim tylko w takim lewicowym szmatławcu. Reszcie wydał się zbyt ponury. Za mało optymistyczny.

- Biedny Max. - Tilda pogłaskała go po włosach.

- Myślałem nawet o tym, żeby się zaciągnąć do Międzynarodowych Brygad...

- Fergus już pojechał. Ty tego nie zrobisz, prawda? - Pomysł napawał ją przerażeniem.

- Oczywiście, że nie. Nie lubię żadnych organizacji, dobrze o tym wiesz. - Potrząsnął głową. - Kiedyś szczyliłem się swoją niezależnością, ale teraz zaczynam sobą gardzić.

- Masz coś przeciwko dziecku?

- Och, Tildo. - Popatrzył na nią smutno. - Jak mógłbym?

Emily wyszła za mąż za Jana van de Criendta wiosną 1937 roku. Po ślubie kościelnym odbyło się wielkie przyjęcie w Ely. Rozstanie z Emily rekompensowały napływające codziennie listy. Świeżo upieczona pani van de Criendt bardzo prosiła Maksa i Tildę, żeby do niej przyjechali, ale oni nie mieli pieniędzy na podróż promem. Tilda odnosiła wrażenie, że krąg jej przyjaciół zaczyna się powoli kurczyć. Emily była w Amsterdamie, Fergus w Hiszpanii, Michaelowi zaproponowano etat wykładowcy na uniwersytecie w Edynburgu.

*R S*

Od czasu do czasu wpadał Roland Potter, a kiedy Tilda czuła się już na siłach, żeby wsiąść do metra z Melissą i wózekciem, wybierała się w odwiedziny do Anny. Te wizyty stawały się jednak coraz rzadsze, bo choć mdłości przestały ją dręczyć, bez przerwy odczuwała zmęczenie. Lekarz stwierdził anemię i kazał jej jeść wątróbkę.

Joshua urodził się w czerwcu, kiedy Melissa skończyła osiemnaście miesięcy. Poród był pośladowy i odbył się dwa tygodnie za wcześnie, więc do Tildy przysłano szefową akuserek... Odurzona bólem i środkiem znieczulającym, Tilda nie zaznała tego smaku triumfu, jakiego doświadczyła po narodzinach Melissy. Początkowo odczuła jedynie ogromną ulgę, a potem - gdy zajrzała w

ciemnoniebieskie oczy nowo narodzonego syna -

ogromną miłość.

Joshua nie był - w przeciwieństwie do siostry - łatwym dzieckiem. Pierwszy katar złapał w wieku trzech tygodni i cierpiał tak bardzo, że ani na chwilę nie przestawał płakać.

Tylko Tilda potrafiła go pocieszyć. Max nie mógł już odkładać planowanej podróży do Niemiec. Tildę bolały szwy, a z piersi ciekło mleko, którego kichające dziecko absolutnie nie chciało pić. Melissa nie lubiła Joshuy i bez przerwy go szczypała. Clara Franklin przychodziła im pomóc, ale nie dawała sobie rady ani z piecykiem w łazience, ani z kuchenką.

Joshua budził się na posiłek trzykrotnie w ciągu nocy. W wieku sześciu tygodni nadal musiał jeść co cztery godziny. Choć poradniki dla matek nakazywały karmienie o ściśle określonych porach, Tilda nie przestrzegała czterogodzinnych przerw - płacz dziecka zbyt-nio ranił jej serce. Pielęgniarka z kliniki poradziła, żeby podawać mu wieczorem sucharka, ale Joshua zawsze dostawał po nim torsji. Tilda zaczęła traktować sen jak luksus, coś, do czego mieli prawo jedynie inni. Żyła jak we mgle. Jeśli nie sporządziła listy zakupów, zapomniała, po co przyszła do sklepu. Przygotowanie się do wyjścia zajmowało jej niemal godzinę. Musiała zmienić pieluszki dzieciom i ubrać je, a Melissa nader chętnie zagrzebywała buty w piaskownicy. Wyciągnięcie wózka na ulicę kosztowało ją również niemało wysiłku.

Potem pozostawało jeszcze znalezienie torebki i torby na zakupy, ewentualnie - jeśli żadne z dzieci przez ten czas nie zrobiło siusiu ani się nie rozpląkało - przeczesanie włosów. Wózek nie mieścił się w sklepach, zostawiała go więc na zewnątrz i jednym okiem wybierała produkty, a drugim zerkiała na chodnik.

Na początku Melissa spała w pokoju Maksa i Tildy, a Joshua w kołysce. Chłopiec jednak - choć nieco słabszy od siostry - miał duszę ryzykanta. W wielu trzech miesięcy wy-R S

chylił się poza krawędź łóżeczka i zawisł nad kamienną podłogą, zanosząc się od śmiechu.

Tilda złapała go dosłownie w ostatniej chwili. Podczas weekendu Max zrobił dla Melissy łóżeczko w gabinecie, a jej miejsce w sypialni rodziców zajął Joshua. Melissa uwielbiała swój małeńki pokój, ale Max pracował teraz w sypialni lub - jeśli Joshua spał - w kuchni.

Raz Melissa wylała kakao na prawie ukończony artykuł i Max musiał przepisywać wszystko od początku. Tilda zauważyła, jak bardzo wtedy zbladł, zrozumiała, że balansują nad przepaścią - w ich życiu pojawił się nagle jakiś przerażający bezład. Ale to wrażenie szybko mi-nęło; Max posadził sobie wyjąca Melissę na kolanach i pogłaskał ją po głowie, a Tilda wró-

ciła do prasowania, czując ból w napiętych ze zdenerwowania mięśniach karku.

Nie zdawała sobie sprawy, o ile droższa będzie dwójka dzieci od jedynaczki. Buciki Melissy kosztowały prawie tyle samo co sandały Tildy, a lekarstwo dla Joshuy cierpiącego na ból ucha dziesięć szylingów tygodniowo. I choć Tilda potrafiła przyrządzić doskonały gulasz z baraniej

karkówki lub zamarynować dziczyznę tak, by przetrwała kilka dni, to tego typu gotowanie pochłaniało masę czasu. Często przygotowywała posiłki z Joshuą pod pachą i zazdrosną Melissą uwieszoną przy nodze. Sama szyła dziecięce ubranka, ale materiałów, igieł i nici też nie dostawała za darmo. Wieczorem ona i Max byli niejednokrotnie zbyt zmęczeni, żeby ze sobą rozmawiać.

Max często wyjeżdżał, a ona za nim tęskniła. Te rozstania oddalały ich od siebie nie tylko fizycznie. Max wracał do domu w fatalnym nastroju i - choć próbowała go nakłonić do rozmów - całkowicie się przed nią zamykał. A kiedy dzieci były przeziębione lub też po prostu przygotowanie ich do wyjścia przekraczało jej siły, Tilda czuła się tak, jakby powracała do tego okropnego stanu wyobcowania, jakiego doświadczyła w dzieciństwie. Czasem jedynymi dorosłymi, z jakimi udało się jej zamienić choć parę słów w ciągu tygodnia, byli mleczarz i sklepikarz. Wielokrotnie próbowała nawiązywać znajomości w przychodni, ale krzyki Joshuy rozwścieczonego na Melissę za to, że zabrała mu grzechotkę, zagłuszały skutecznie każdą rozmowę. Rzadko miewali pieniądze na kino lub koncert, na swetry Maksa składały się już w większym stopniu łaty niż ścieg, a Tilda nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio kupiła parę rajstop. Utknęła w pułapce biedy, choć nigdy nie sądziła, że bę-

dzie tak cierpieć z powodu kłopotów finansowych.

W październiku bez przerwy padało i Melissa dostała kataru. Joshua zaraził się od siostry parę dni później. Od niedawna przesypiał spokojnie całe noce, ale tym razem obudził

*R S*

się o trzeciej i Tilda nie mogła go uspokoić aż do piątej. O wpół do siódmej natomiast Melissa - ranny ptaszek - zaczęła domagać się śniadania. Kiedy przed ósmą wyszedł Max, uciekając tym samym od wrzasków, pieluch i kapiących nosów, Tilda przez jedną gorzką chwilę zazdrościła mu bardzo tej wolności. Ją też zaczynała boleć głowa i gardło. W przychodni stała dwie godziny w kolejce po krople dla Joshuy. W drodze powrotnej kupiła dzieciom na kolację bułeczki z rodzynkami; wydała na nie resztę pieniędzy i odczuwała z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia, ale nie była w stanie nic ugotować. Zimny, ostry wiatr drażnił jej gardło, prowokował do kaszlu. Ściągnęła wózek po schodach, otworzyła drzwi od kuchni i owiało ją lodowate powietrze. Piec wygasł. Melissa odkryła, że zostawiła swoją ukochaną lalkę u lekarza i zaczęła rozpaczliwie płakać, a Joshua solidarnie się do niej przy-

łączył. Tilda wyjęła synka ze śpiwora, rozpięła Melissie płaszcz i popatrzyła na piec.

Warstwa popiołu była zimna, szara i ponura. Z szuflady zniknęły zapalniczki. Max pracował w sypialni; jego płaszcz wisiał w korytarzu, więc Tilda poszła na górę, żeby wyjąć z kieszeni zapalniczkę. Gdy wracała, potknęła się na schodach i upadła, uderzając głową o poręcz. W

oczach stanęły jej łzy bólu, usiadła na ostatnim stopniu, po czym ukryła twarz w dłoniach.

Dzieci wyły coraz głośniejsze - ze strachu i oburzenia ich buzie przybrały kształt wielkiej litery O. Max wyszedł z pokoju, by zbadać przyczynę tego hałasu. Widząc guza na czole Tildy, ubrał dzieci, a następnie szybko wyprowadził je z domu. Tilda wgramoliła się na łóżko i za-snęła jak kamień.

W metrze Max uspokoił Melisę i Joshuę dropsami czekoladowymi. Kiedy Joshua wypluł cukierka, ojciec popatrzył na niego bez śladu współczucia. Na Fleet Street wziął

dzieci pod pachy i zaniósł je na trzecie piętro do biura Harolda Sykesa, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, żeby powycierać im nosy.

Harold popatrzył z niesmakiem na dzieci.

- Co się dzieje, brachu? Niania ma dzień wolny?

- Tilda źle się czuje. - Max posadził Melisę na biurku Harolda. - Przyszedłem zapytać o ten etat. Propozycja nadal aktualna?

Harold uniósł brwi.

- Przecież wiesz, że Freddie zabiega o ciebie od paru miesięcy. Co spowodowało tę nagłą zmianę planów?

- Postępowałem jak skończony łajdak i egoista. Obstawałem przy swoich cennych, *R S* cholernych zasadach, podczas gdy Tilda próbuje wychować naszą dwójkę w tej ruderze.

- Cholernych - powtórzyła niepewnie Melissa. - Cholernych.

Harold roześmiał się ochryple.

- Lepiej zostaw je Lornie i jedź zobaczyć się z Freddie. - Lorna opracowywała kolumnę wypadków. - Ona kocha dzieci. A ja ich nie cierpię, póki trochę nie podrosną.

Wyprowadzili się z piwnicy w Fulham w lutym 1938 roku. Pensja Maksa, dwukrotnie wyższa od jego zarobków w czasach, gdy pracował jako wolny strzelec, pozwoliła mu na spłacenie długów i wynajęcie domu w lepszej dzielnicy Londynu. Nowy dom był wąski, miał cztery kondygnacje oraz ciemny, tajemniczy ogródek i pomalowany na biało front wychodzący na mały ogrodzony trawnik i krzaki. Trzy razy w tygodniu przychodziła dziewczyna do pomocy w cięższych pracach, a Melissa i Joshua dostali osobne sypialnie. Dom zelektryfikowano, a charakter pracy Maksa uprawniał do instalacji telefonu. Przez pierwsze miesiące Tilda malowała ściany i szyła zasłony oraz poduszki. Kiedy pogoda się poprawiła, zasadziła cebulki w ogrodzie przypominającym małą dżunglę wąskich ścieżek i ciemnych krzaków.

W lecie wszyscy pojechali do Holandii odwiedzić Emily i Jana. Emily oczekiwała dziecka. Jan i jego młodszy brat Felix mieli żagłówek i spędzili cały tydzień w Waddensee -

Emily w kapoku na dziobie, dzieci przywiązane sznurem do masztu. Obchodzili pierwsze urodziny Joshuy na pokładzie „Mariki” - płomień pojedynczej świeczki, którą udekorowano tort, gasł co chwila targany porywami silnego wiatru. Łopot żagli i białe grzywy fal podoba-

ły się solenizantowi do tego stopnia, że tańczył na pokładzie z radości. Jan nauczył Tildę i Maksa

podstaw żeglarstwa. Tildę oszołomiło powietrze, a także radosne podniecenie, jakie towarzyszyło chwilom, gdy żagle chwytały wiatr, a „Marika” zaczynała z ogromną szybko-

ścią sunąć po wodzie.

Wrócili do Anglii. Córka Harolda nie miała zielonego pojęcia, co robić po ukończeniu szkoły i zaproponowała im pomoc w opiece nad dziećmi. Po raz pierwszy od narodzin Melissy Tilda zdobyła nieco czasu dla siebie. Uszyła trochę nowych ubrań i chodziła na poranne kawy, żeby zdobyć fundusze na to czy na tamto. Popołudniami zabierała Melissę na przyjęcia dziecięce albo wszyscy razem szli do parku. Czasem wieczorem szli na cocktail party albo kolację w domu jednego z przyjaciół Maksa. Tilda wmawiała sobie, że jest szczę-

śliwa. Mieszkała razem z Maksem i dziećmi w pięknej części Londynu i niczego im nie bra-

R S kowało. Zapisła się do kółka krawieckiego i klubu muzycznego, po czym - siedząc w salonie sąsiadki i słuchając, jak Myra Hess gra Chopina - po raz pierwszy od lat zaczęła wspominać Daragha. Zastanawiała się, gdzie on mieszka, co robi i czy w ogóle o niej pamięta.

Odepchnęła od siebie te myśli, ale nadal odczuwała dziwny niepokój. Pragnęła kolejnego dziecka; wiedziała jednak, że po konferencji w Monachium i zajęciu Czechosłowacji Max wyrazi stanowczy sprzeciw.

- Dopiero jak to się skończy - powiedział, a to było czarnym, amorficznym kształtem, który wciąż się zbliżał i powiększał.

Max przebywał właśnie w Berlinie, kiedy Herschel Grynszpan - siedemnastoletni polski Żyd zastrzelił trzeciego sekretarza w Ambasadzie Niemieckiej w Paryżu. Max usłyszał

tę nowinę przez telefon w barze w hotelu Aldon. Zamierzał wyjechać do Londynu już następnego dnia, ale został, czekając na nieuniknioną zemstę. *Kristallnacht*, czyli Noc Kryształowa, zakłóciła spokój Niemiec dokładnie dziewiątego listopada. W całych Niemczech palono synagogi, napadano na żydowskie sklepy i domy, niszczone wszystkie sprzęty aż do ostatniej filiżanki. Tysiące Żydów schwytanych w obławach wysłano do obozów koncentracyjnych. Stojący na uboczu Max widział, jak na ulicach płoną stosy modlitewników należące do starców z domów opieki i podświadomie zacisnął pięści tak mocno, że po-krwawił sobie dłonie.

Noc Kryształowa całkiem go odmieniła; zrozumiał, że okrucieństwo jednej istoty ludzkiej w stosunku do drugiej nie zna granic. Kiedy wrócił do Anglii, chciał się zamknąć w domu ze swoją piękną żoną i ukochanymi dziećmi, po czym już nigdy go nie opuścić. Znany mu świat ulegał całkowitej dezintegracji i Max nie wiedział, czym taki rozpad może się skończyć. A w domu, pod pozornym chaosem, istniał jednak pewien subtelny porządek -

choć na podłogach leżały klocki i ubranka dla lalek, na stole w kuchni czekała zawsze kolacja, w szafach wisiały czyste koszule, a dzieci łądowały w łóżkach o siódmej wieczorem.

Max nie mógłby żyć bez tego specyficznego ładu, choć nie miał pojęcia, jak Tilda go osią-

ga.

Nie rozmawiał nigdy z Tildą o tym, co widział. Opowiadanie o starcach bitych na ulicy i dzieciach wyrywanych z ramion matek wprowadziłoby w ich domu ponurą atmosferę.

A nawet zło. Niestety Max nie potrafił uciec od zwiastunów tego, co miało nadejść. Okopy w Hyde Parku, alarmy bombowe w ogrodach sąsiadów, maski gazowe na hakach w korytarzach

wyglądały złowieszczo, ale niestety całkiem realnie. W nocy śniły mu się bomby spadające na Londyn i grzebiące pod gruzami całą jego rodzinę. Teraz zawsze kochał się z Tildą desperacko, tak jakby pragnął się zatracić w miękkości i pięknie jej ciała.

Nawet wówczas, gdy wreszcie minęła niczym nieuzasadniona euforia po Monachium i zaczęto oceniać rzeczywistość nieco bardziej realnie, Max nadal nie mógł pisać tego, co chciał. Przygotowując się do podróży na kontynent, był pełen obaw i najgorszych przeczuć.

Kiedy wrócił do sypialni, żeby się spakować, Tilda składała swoje bluzki w schludny stosik.

- Wybierasz się do ciotki Sarah? - spytał. Potrząsnęła głową.

- Ciotka wybiera się do nas. A ja jadę z tobą. Wszystko jest przygotowane. Sarah i Charlotte zajmą się dziećmi, a my będziemy mieli trochę czasu tylko dla siebie. Podczas twego pobytu w Niemczech ja odwiedzę Emily. Bardzo chcę zobaczyć jej dziecko. - Tilda włożyła bluzki do walizki, odwróciła się do Maksa i mocno go przytuliła.

- Będzie lepiej, jeśli pojedę, prawda, Maksie? Przyciągnął ją do siebie i pocałował -

gorące, głodne pocałunki odebrały im obojgu oddech.

Następnego dnia wyruszyli do Harwich; prowadzili na zmianę. Na Morzu Północnym było szaro i wietrznie; stali na pokładzie, Max obejmował Tildę ramieniem, dopóki niebo nie pociemniało. Następnego dnia rano przybili do Hoek van Holland i złapali pociąg do Amsterdamu. Tego wieczoru jedli kolację z Emily i Janem, a ponadto podziwiali Williama, syna van de Criendtów, który okazał się dorodnym, spokojnym chłopcem o włosach jasnych jak len. Rano złapali pociąg do granicy, gdyż Max chciał zobaczyć ruchy wojsk niemieckich.

Ujrzał jednak zupełnie inny obraz niż ten, który zamierzał opisać. Na przygranicznej stacji stało co najmniej kilkanaście kobiet pchających wózki z kanapkami i ciastkami. Pociąg zagwizdał, wzdłuż szyn utworzyła się gęsta chmura białego dymu. Spod tej siwej gą-

sienicy wyłoniła się lokomotywa, a za nią wąż wagonów. Kobiety stojące na peronie zaczę-

ły nalewać lemoniadę do butli i odwijać z pergaminu kanapki oraz ciastka. Pociąg wjechał

na stację z piskiem hamulców - Max dostrzegł tylko twarze przyciśnięte do okien. Gdy lokomotywa zwolniła i dym opadł, kształty nabrały wyrazistości. Wszyscy pasażerowie okazali się dziećmi - chłopcy mieli na sobie tweedowe ubranka, dziewczynki - grube, zimowe płaszcze zapięte pod szyję.

Max zaczął rozmawiać z jedną z kobiet, od której usłyszał, że dzieci to w większości R S

niemieccy Żydzi z Berlina w drodze do Anglii. Na stacji dostawały jedzenie, coś do picia i zabawkę. Władze niemieckie zezwalały im na zabranie tylko jednej małej walizki oraz dziesięciu marek. Dzieci miały wkrótce dotrzeć do Hoek, a następnie do Harwich.

Max poszukał wzrokiem żony, by jej wyjaśnić ten niezwykle exodus, ale żona zniknę-

ła mu z oczu. Dostrzegł Tildę dopiero w chwilę później - oddalała się od niego, coraz bardziej włączona w tłum. Widział, jak przyklękała, po czym wzięła za rękę małego chłopczyka i uśmiechała się do niego dopóty, dopóki on nie odwzajemnił jej uśmiechu. Otaczały ją dzieci, zupełnie się zgubiła w morzu maluchów i w końcu zniknęła mu z oczu.

Noc Kryształowa uświadomiła przynajmniej zakłamanemu rządowi brytyjskiemu, że Żydzi pochodzenia niemieckiego wymagają naprawdę natychmiastowej pomocy. Wprowadzono udogodnienia wizowe umożliwiające wjazd dzieci żydowskich do Anglii. Kilka dni po powrocie z Holandii Tilda zaczęła pracować jako wolontariuszka w Ruchu na Rzecz Ma-

łych Uchodźców - RMU, organizacji odpowiedzialnej za *Kindertransporte*. Początkowo zamierzała tam spędzać dwa przedpołudnia w tygodniu, a do opieki nad własną dwójką zatrudnić w tym czasie Charlotte Sykes. Okazało się jednak, że Ruchowi coraz bardziej potrzeba kogoś, kto potrafiłby biegle pisać na maszynie i mówić po niemiecku, więc RMU zaczął jej zajmować coraz więcej czasu.

Z Berlina lub Wiednia do Anglii przez Holandię przyjeżdżały dwa transporty tygodniowo. I choć dzieci do *Kindertransporte* wybierano w Niemczech, biura Bloomsbury'ego należące do Ruchu otrzymywały stosy listów z prośbą o pomoc. Do listów załączano fotografie śmiejących się malców z dołeczkami w policzkach. Każdemu dziecku, jakie przybywało do Anglii, należało znaleźć miejsce w schronisku lub rodzinę zastępczą. Tilda i Max pojechali do Harwich na spotkanie z grupą nowo przybyłych. W porcie było szaro i ponuro, smagane wiatrem morze falowało. Przechodząc przez kontrolę celną, niektóre z dzieci -

przeżerały mundurami urzędników - gorączkowo wykladały na stoły żalosne kolekcje ołówków i sznurka, wstążki do włosów oraz lepkie karmelki.

Jedynie niektóre znały trochę angielski. Tilda powitała serdecznie małych uchodźców, próbując ich trochę ośmielić. Fotograf, który przyjechał z Londynu wraz z Maksym i Tildą, uwiecznił na fotografii śliczną ciemnowłosą dziewczynkę ściskającą kurczowo lalkę otrzymaną jeszcze w Holandii. Potem dzieci udały się w krótką podróż do Dovercourt, gdzie podczas wakacji organizowano obozy. Ich uczestnicy mieszkali w domkach z tynkiem na R S

zewnątrz zdobionym żwirem, a posiłki jadali w ogromnej wspólnej stołówce. Teraz małe, kruche budynki smagał wiatr, morze natomiast odpłynęło, odsłaniając błyszczący, ciemno-brunatny piasek. Tilda pomogła ochotnikom w przygotowaniu herbaty. Zarówno dziewczynki skulone w kącie pokoju, jak i chłopcy próbujący robić dobrą minę do złej gry zagryzali usta, by powstrzymać łzy napływające im do oczu. W drodze powrotnej do Londynu fotograf zasnął, a Max - który siedział za kierownicą - myślał o tym, jak bardzo musieli cierpieć ludzie zmuszeni wysłać swoje dzieci do

obcego kraju.

Tilda poświęcała cały swój czas na pracę w Ruchu. Jeśli nie pracowała w biurze lub nie czekała na nowy transport w Harwich, starała się zdobywać fundusze na działalność lub wycygniać ciepłą odzież i żywność od każdego, o kim zdołała tylko usłyszeć. Gdy wybra-no ją sekretarzem lokalnego komitetu, stała się odpowiedzialna za organizację domów zastępczych, gdzie dwukrotnie w ciągu roku miała też przeprowadzać kontrolę. Rodzice zastępczy odbierali dzieci z wielkiego, ponurego pokoju nieopodal dworca Liverpool.

Kiedy pociąg wtaczał się na peron, dzieci przyciskały nosy do szyb. Do ich ubrań po-przyczepiano karteczki z numerkami. Na peronie stały przysze rodziny zastępcze. Niektóre dzieci na ich widok krzyczały z radości, inne trzymały się z daleka, wyczerpane długą po-dróżą, onieśmiałe obcymi twarzami i dziwnym językiem. Tilda mówiła do nich uspokajająco po niemiecku i odprowadzała do recepcji, gdzie - za biurkami - czekali już inni wolon-tariusze zajmujący się wypełnianiem ankiet. Wszystkie dzieci należało dopasować do rodziny zastępczej. Niektórzy z opiekunów mylili dni i nie zgłaszali się po swoich wychowanków. Bywało również odwrotnie - przyszli rodzice dowiadawali się dopiero na dworcu, że dziecko nie przekroczyło granicy holenderskiej i zostało zawrócone z powrotem do Niemiec przez gestapo. Niektóre z mniejszych dzieci płakały z zimna, strachu i osamotnienia. Starsi chłopcy, którzy na ogół trafiali do schronisk, nadrabiali miną i prowadzili głośne rozmowy.

Tego dnia, gdy tłumy wreszcie się przerzedziły - na peronie zostali tylko kilkunastoletni chłopcy i jedna mała dziewczynka.

Tilda zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej.

- *Wie heisst du, liebchen?* - zwróciła się do dziewczynki.

- Rosi - szepnęła mała. - Rosi Liebermann. - Była raczej tęgawa, myszowate włosy miała zebrane w nietwarzowy ogonek.

Tilda usłyszała stukot wysokich obcasów. Elegancka, nienagannie umalowana kobieta *R S*

w wełnianym płaszczu i małym filcowym kapelusiku na głowie zmierzała szybkim krokiem w ich stronę.

- Pani jest opiekunką Rosi? Mam przyjemność z... - Tilda zerknęła na listę - ...z panią Stannard?

- Istotnie nazywam się Stannard. - Obciągniętą rękawiczką dłoń wyciągnęła na chwilę do Tildy. Pani Stannard zerknęła na Rosi i odsunęła się od dziewczynki.

- Myślałam, że będzie ładniejsza. Na zdjęciu wyglądała zupełnie inaczej.

Od czasu do czasu zdarzało się, że dziecko nie spełniało oczekiwań przyszłych rodziców.

- Rosi skończyła dopiero dwanaście lat. W tym wieku dziewczynki bardzo szybko się zmieniają. Fotografia pochodzi zapewne sprzed paru miesięcy.



Pani Stannard ponownie przyjrzała się Rosi.

- Nie nadaje się. Bardzo mi przykro, ale po prostu się nie nadaje. I naprawdę muszę iść, bo ucieknę mi pociąg. - Wymaszerowała z holu, stukając obcasami.

Tilda odniosła wrażenie, że choć Rosi nie zna angielskiego, to rozumiała każde słowo z tej rozmowy. Nos podejrzanie jej poczerwieniał, usta przypominały kształtem linijkę.

Tilda rozważała w głowie wszystkie ewentualności. Mogła odwieźć małą do schroniska, ale tam przebywały na ogół starsze dzieci. Mogła również nawiązać kontakt z rodziną, do której dziecko nie dojechało, i zapytać, czy w zamian nie chciałaby Rosi. Tylko że historia zapewne by się powtórzyła i Rosi przeżyłaby kolejne rozczarowanie. Przed laty Tilda zawiodła małą Liesl Toller, nie wolno jej było nadużyć zaufania kolejnej małej dziewczynki.

Wzięła Rosi za rękę.

- A może chciałabyś pójść ze mną?

Zanim wypełniono formularze i pozbierano skromny dobytek Rosi, wybiła czwarta. O

tej porze w metrze panował tłok, a z powodu bagażu dziewczynki nie udało im się wsiąść do dwóch pierwszych wagonów, jakie zatrzymały się na stacji. Nóżki Rosi, obute w ciężkie kamasze, ledwo nadążały za Tildą, która niemal pędziła do domu.

Ledwo otworzyła drzwi i stanęła w korytarzu, osaczyły ją głosy.

- Mamusiu, tata zwałił galaretkę i usmarował cały dywan!

- Muszę natychmiast połączyć się z Paryżem...

- Pani Franklin, Joshua wtarł sobie syrop we włosy, więc go wykąpałam.

*R S*

Tilda objęła dziewczynkę i wciągnęła ją do jadalni.

- Joshuo, Melisso, chcę, żebyście kogoś poznali. - Popchnęła delikatnie Rosi naprzód.

- Przywitajcie Rosi Liebermann, waszą nową siostrzyczkę.

## **Rozdział 7**

Rosi była pierwszym z moich przybranych dzieci - powiedziała Tilda natychmiast po dokonaniu prezentacji. Właśnie obchodziliśmy jej osiemdziesiąte pierwsze urodziny.

Uścisnęłyśmy sobie ręce. Rosi Liebermann dobiegała siedemdziesiątki. Była wysoka, energiczna, otulona w barwne szale. Długi szary warkoczyk tworzył koronę wokół jej głowy.

- Wyglądałam jak kluska - powiedziała, po czym wybuchnęła perlistym śmiechem. -

W dwunastym roku życia urosłam o dziesięć centymetrów i wyhodowałam sobie niesamowity tyłek. Nic dziwnego, że ta biedaczka od razu ode mnie uciekła.

- Rosi jest pisarką - wyjaśniła Tilda, choć i tak doskonale o tym wiedziałam. Jako nastolatka niemal nałogowo czytywałam długie, historyczne powieści Rosi Liebermann. Dzie-

ki nim całkowicie odrywałam się od rzeczywistości.

Jedno z prawnucząt przywarło do nóg Tildy, a ona - mimo słabego zdrowia - posadzi-

ła je sobie na kolanach. Natychmiast otoczył ich tłum. Rodzina rozpierzchła się po Czerwonym Domu - zewsząd dochodziły podniesione głosy i piski. Wzdłuż ulicy stały auta, goście przeciskali się z trudem przez szpaler wysokich bukszpanów i wylatywali jak z procy na dziedziniec domu. Dzwonek po prostu się urywał, a strzelanie korków od szampana przypominało werble. Pokój falował, pulsował i pękał w szwach od pewnych siebie, hałaśliwych ludzi sukcesu. Ci nieelegancyści ubrali się przynajmniej oryginalnie, niezbyt piękni mieli nie-powtarzalny styl. Tildy nie odwiedził nikt zwyczajny, nudny czy mało błyskotliwy.

Odwróciłam się do Rosi.

- Wiele dzieci i wnuków Tildy wyrosło na prawdziwe znakomitości - powiedziałam.

Sympatyczna twarz pisarki zmarszczyła się od uśmiechu.

- O mnie już chyba zapomniano. Ten rodzaj książek nie ma szans na przetrwanie. Ale Joshua jest niewątpliwie bardzo sławny. Szkoda, że nie mógł dzisiaj przyjść.

- Nie widzę też jego syna - wyrwało mi się nieopatrznie.

*R S*

- Patrycka?

Ilekcję słyszałam samochód na podjeździe, wyglądałam przez okno, ale nigdy nie było to niebieskie renault. Strofując się w myślach za takie nierozsądne zachowanie, próbowałam sobie wmówić, że Franklin zaprosił mnie do Wheelera, bo chciał mi pomóc przy książce. I z żadnego innego powodu.

- Tilda zawsze utrzymywała bliski kontakt z Patrickiem - powiedziała Rosi. - Kiedy jeszcze chodził do szkoły, spędzał u niej wakacje.

Czerwony Dom ze swoim tajemniczym ogrodem i wysokimi drzewami wydawał się idealnym

miejszem dla dziecka.

- A pani? - spytałam. - Pani też tutaj mieszkała?

- Przyjeżdżałam tylko w lecie. Kiedy Tilda kupiła Czerwony Dom, byłam już mężatką.

- Zbieram materiały na temat *Kindertransporte* - powiedziałam. - W 1939 roku udało się wywieźć i ocalić przed nazistami dziesięć tysięcy dzieci, niewiele, jak na sześć milionów ofiar, ale to jednak pewien sukces. Podróż pociągiem... Holandia... przygotowanie do wyjazdu... Pamięta pani to wszystko?

Rosi odstawiła szklanę.

- Nie bardzo mogę sobie przypomnieć tygodnie przed podróżą. Zapewne moi rodzice postarali się o to, by moje życie toczyło się w miarę normalnie. Choć oczywiście czasy nie były normalne. Nie rozumiałam, co się dzieje, dopóki nie znaleźliśmy się na dworcu w Berlinie i nie nadszedł czas rozstania. Rozumie pani, sądziłam, że za parę tygodni zobaczę rodziców. Ale kiedy lokomotywa zaczęła sapać, zobaczyłam, jak matka zasłania twarz rękami.

Nie chciała patrzeć na mój wyjazd. Nie mogła znieść myśli, że być może widzimy się po raz ostatni.

- I tak było? - spytałam szeptem.

- Tak. Rodzice zginęli w Auschwitz.

Wymamrotałam coś bez sensu, przerażona tą tragedią, rozstaniem, utratą najbliższych...

- Moją rodzinę stanowiła Tilda i Max. Tilda, Max i ciotka Sarah. Większość pierwszego roku w Anglii spędziłam właśnie z Sarah. Chorowałam na migdałki i lekarz zalecił mi wiejskie powietrze, a Tilda wysłała mnie do Southam. W 1939 roku Maksa oddelegowano R S

do Paryża, ale on uznał, że nie powinien mnie zabierać. Nie miałam paszportu ani wizy, więc znów pojechałam na wieś. Franklinowie wrócili do Londynu w grudniu i spędziliśmy razem święta. W rok później gazeta oddelegowała Maksa do Amsterdamu. - Rosi urwała na chwilę. - Wiedziałam, że Tilda stoi przed trudnym wyborem: jechać za granicę z Maksem czy też zostać w Anglii, tak by wszystkie dzieci mogły zostać razem.

Dlatego powtarzałam jej często, jak bardzo lubię Southam. Wcale zresztą nie kłamałam.

Naprawdę je lubiłam. Pochodziłam z miasta, więc pobyt na wsi stanowił dla mnie ogromną atrakcję.

- Rosi! Rosi! Chodź tu i opowiedz Tildzie o rozmowie z profesorem Hermannem -

wrzasnął ktoś stojący za mną, a Rosi Liebermann przeprosiła zebranych i zniknęła w tłumie.

Pod oknem zachrząścił żwir - znowu zerknęłam na podjazd. Najpierw zobaczyłam jasne włosy Patricka, a później ciemnowłosą kobietę u jego boku i małą dziewczynkę trzymającą ją za rękę.

Domyśliłam się, rzecz jasna, że kobieta jest żoną Patricka, a dziecko jego córką, Ellie.

Chwyciłam szklankę z tacy i zanurkowałam w tłum. Uciekałam długim korytarzem w kierunku pokoju, jaki Tilda przeznaczyła dla mnie. Rutynowo przyjeżdżałam do Czerwonego Domu w poniedziałki, rozmawiałam z Tildą, zostawałam na noc i wracałam do Londynu we wtorek po południu. Przez resztę tygodnia opracowywałam notatki i zbierałam materiały źródłowe.

Pokój był zavalony fiszkami i notatkami na temat *Kindertransporte* oraz RMU. Zda-

łam sobie nagle sprawę z tego, że czuję się nieszczęśliwa, bo moja własna rodzina w po-równaniu z rodziną Tildy wydawała się blada i anemiczna. Ojciec, siostra, dwaj siostrzeńcy i szwagier. Ojcu zawsze działałam na nerwy (i odwrotnie), z siostrzeńcami nie mogłam sensownie porozmawiać, bo byli jeszcze za mali, a mój szwagier - jeśli nie pracował - to chrapał zwykle przed telewizorem. I choć kocham moją siostrę, czasem odnosiłam wrażenie, że każda z nas pragnie akurat tego, czego los poskąpił drugiej. Zazdrościłam Tildzie jej wielkiej, kolorowej rodziny. Takiej właśnie pragnęłabym dla siebie i czułam się bardzo źle z poczuciem obcości, jakiego musi doznawać każdy outsider zaproszony na zjazd rodzinny.

Próbowałam skierować swoją uwagę na inne tory i pomyśleć o wydarzeniach z 1947

roku, gdyż ten temat nie dawał mi spokoju. Wypytywanie Tildy na nic się nie zdało.

- Mówimy dopiero o 1939 roku, Rebecca - powiedziała, czym omal nie doprowadziła *R S*

mnie do szału. - Jestem za stara, żeby tak skakać po przeszłości.

Tilda była świetną organizatorką, a przy tym autokratką. Przez te parę miesięcy zdą-

żyłam ją bardzo polubić. Nawet teraz, jako osiemdziesięcioletnia staruszka, nie straciła ani dziewczęcej energii, ani spontaniczności. Przy tej kobiecie, wciąż tak pełnej radości życia, czułam się zmęczona i cyniczna.

Zabrałam trochę papierów, żeby mieć nad czym pracować podczas weekendu, po czym wymknęłam się z domu w nadziei, że Tilda - otoczona przez gości - nie zauważy mojego wyjścia. Byłam już prawie przy bramie, kiedy usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam głowę.

Ścieżką biegł Patrick z dzieckiem w objęciach. Dokumenty wysliznęły mi się z rąk, część spadła na ścieżkę, a część pofrunęła i przyłgnęła do wystrzyżonych bukszpanów niczym afisze do słupa.

- Widziałem cię z werandy - sapnął.

Zaczęłam zbierać papiery i ta czynność wypełniła charakterystyczną, niezręczną ciszę.

- Muszę iść.

- Joan zaraz poda kolację. Potrząsnęłam głową.
- To uroczystość rodzinna, Patricku. - Robiłam wszelkie możliwe wysiłki, by w moim głosie nie pobrzmiwał żal. - Poza tym mam masę pracy.
- Odprowadzę cię do auta.
- Żona nie będzie za tobą tęsknić? - spytałam ostro.
- Jennifer? Nie sądzę. - W jego głosie kryło się raczej zmęczenie niż gorycz. Dziewczynka wiała mu się na rękach.
- Postaw mnie, tato - powiedziała, obrzucając mnie przelotnym spojrzeniem. - Chcę się pobawić.
- Ellie, to jest Rebecca. Rebecco, przedstawiam ci moją córkę, Ellie - zaczął Patrick, ale mała zniknęła mu z oczu, nurkując pod pokrzywionymi, żółtymi gałęziami bukszpanu.
- Śliczna dziewczynka - powiedziałam szczerze.
- Żywe srebro. - Popatrzył za córką z uwielbieniem. - Spędziła ze mną weekend. Nie jest w stanie usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż dziesięć sekund. Prawda, Ellie? - Wyciągnął rękę, a mała wyłoniła się zza krzaków i przywarła do ojca, który mocno ją przytulił.

Szliśmy wzdłuż drogi, gdzie zaparkowałam auto. Krajobraz prezentował się wspaniale *R S*

- majowe kwiatki na głogach, listki rozwijające się na drzewach. Otworzyłam drzwiczki od samochodu i włożyłam dokumenty na tylne siedzenie. Ellie - ignorując radośnie swoją białą sukienkę - taplała się w kałuży po lewej stronie drogi. Patrick, podobnie jak jego córka, sprawiał wrażenie człowieka, który nie może sobie znaleźć miejsca.
- Byłem strasznie zajęty, ale chciałem do ciebie zadzwonić.
- W sprawie Daragha?
- Daragha? - Najwyraźniej się zdziwił. - Nie, myślałem, że...
- Patricku... Och, Ellie, Patricku! Jak mogłeś? Podniosłam wzrok.

Jennifer Franklin - ze zmarszczkami niezadowolenia na pięknej twarzy - wyciągnęła córkę z kałuży.

- Spójrz na jej sukienkę. Kupiłam ją w Paryżu. Pomyślałam, że na mnie już czas.

Krzyknęłam coś na do widzenia, wsiadłam do samochodu i odjechałam.

Dzwonek zadzwonił akurat w chwili, gdy wysypywałam zawartość pudła na podłogę.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam Toby'ego. Kiedy zdejmowałam łańcuch z drzwi, mocno drżały

mi ręce.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę w drodze do domu - powiedział. Stał na progu i wyraźnie się wahał, co było dla niego zresztą zupełnie nietypowe. - Trzeba mieć odwagę, żeby tak przyjść bez uprzedzenia, wiem, ale o paru rzeczach musimy porozmawiać.

Podreptał za mną do salonu.

- Sądziłam, że wyjaśniliśmy sobie wszystko w październiku.

- Postąpiłem jak drań. Skończony drań. Nie dziwię się zupełnie, że mnie nienawidzisz.

Jego zażenowanie sprawiało mi satysfakcję.

- Wcale cię nie nienawidzę, Toby - odparłam lekko, podnosząc stos książek z fotela, żeby mój gość mógł usiąść. - Kiedyś chyba tak, ale teraz nie.

- Jestem ci więc obojętny, a to znacznie gorsze.

Chciałam wreszcie wypowiedzieć te wszystkie okrutne, mściwe słowa, których nie zdołałam z siebie wydusić, kiedy mnie rzucił. Potem dostrzegłam udrękę w jego oczach, zrobiło mi się wstyd i poszłam zaparzyć kawę. Prosta, rutynowa czynność przyniosła mi spokój - odmierzyłam ziarenka, zmieliłam je, dolałam odpowiednią ilość wrzątku i poukładałam ciasteczka na tacy. Pomyślałam o matce szorującej podłogę w kuchni po tym, jak oj-R S

ciec wrócił z college'u w fatalnym nastroju, i o Jane z szafirowymi oczami, płuczącej dziecięce ubranka w umywalce.

Wniosłam kawę - czarną, bez mleka - do salonu i wlałam ją do filiżanki. Nadal pamię-

tałam, jaką kawę pije Toby, co bardzo mnie irytowało.

- Dlaczego teraz, Toby? - spytałam. - Po takim czasie? - Odkąd się rozstaliśmy, zbudowałam wokół siebie mur i nie życzyłam sobie absolutnie, by Toby się przez niego przedarł.

- Próbowałem wcześniej, ale nie potrafiłem. A im dłużej się zwleka, tym potem trudniej. Rozumiałem coraz dokładniej, że na wszystko jest za późno. Potem zamierzałem napisać, ale to by było tchórzostwo. - Podniósł na mnie wzrok. - Kiedy straciliśmy dziecko, nie potrafiłem sobie dać rady. Nic równie przykrego nigdy mi się nie przydarzyło. Widzisz, Rebecca, nie mogłem się z tym pogodzić. Wolałem udawać, że nic się nie stało.

Moim pierwszym odczuciem było zdziwienie. Potem ulga. Zawsze mi się wydawało, że Toby odszedł, gdyż do niego nie pasowałam. Winiłam wyłącznie siebie za rozpad tego związku. Jednak wersja Toby'ego mnie przekonała; zgadzała się z tym, co wiedziałam o mężczyźnie, którego niegdyś darzyłam uczuciem. Toby Carne był jedynym dzieckiem zupełnie nim zaślepionych rodziców. Uczęszczał do Westminster, studiował w Cambridge i został wziętym adwokatem. Zapewne dostawał wszystko, czego zażądał, dopóki jego dziecko nie zaczęło wykrwawiać się powoli z mego łona o

sześć i pół miesiąca za wcześniej.

- Nie próbuję się usprawiedliwiać - dodał. - Chciałem ci tylko wyjaśnić... Chyba po prostu nie zachowałem się racjonalnie.

Ludzie reagują na stratę w rozmaity sposób. Po śmierci naszej matki Jane zakochała się w Stevenie, wyszła za męża i urodziła dwoje dzieci - to wszystko w ciągu trzech lat. A ja przytyłam o dziesięć kilo i płakałam, ilekroć zobaczyłam gdzieś kobietę po pięćdziesiątce, ubraną w granatową garsonkę. A całkiem sporo kobiet po pięćdziesiątce nosi takie garsonki.

Zapadła długa cisza. Wyjaśnienia Toby'ego były oczywiście mocno spóźnione. Ale musiałam uczciwie przyznać, że okazałyby się spóźnione nawet wówczas, gdyby nadeszły w miesiąc, tydzień, dzień czy nawet godzinę po owym pamiętnym: „Chyba nie powinniśmy się tak często widywać”. Te słowa zasiały bowiem ziarno nieufności, z której już nie mogłam się wyleczyć.

- Nieważne - powiedziałam, wzruszając ramionami.

*R S*

Uśmiechnął się, interpretując to zapewne jak przebaczenie. Zrozumiałam, że nareszcie udało mi się od niego uwolnić. Kiedyś taki uśmiech stopiłby mi serce. Teraz nie pozostał

nawet ślad po tym nagłym zauroczeniu, za co w duchu dziękowałam losowi.

- Widziałem twój film - powiedział nagle.

- „Siostry Księżycy”? Odpowiedni temat, nie sądzisz? To znaczy mam na myśli stratę dziecka.

Przestał się uśmiechać. Znaczoną część filmu poświęciłam na wytropienie córki Ivy Lunn, zgwałconej kobiety, którą później zamknięto w zakładzie psychiatrycznym. Odnalazłam córkę Ivy - teraz już również rencistkę - mieszkającą w domu opieki w Letchworth i za pozwoleniem obu kobiet sfilmowałam ich spotkanie. Lepkie, ale wzruszające.

Zapytał mnie, czym się obecnie zajmuję, więc powiedziałam mu o Tildzie. Toby zmrużył oczy.

- To jest zdaje się jakaś krewna Patricka Franklina. Dzwoniłaś i...

- Tilda jest babcią Patricka.

- Kilka razy się z nim spotkałem. No i oczywiście znam Jenny.

- Żonę Patricka? Co możesz o niej powiedzieć?

- Piękna kobieta. Doprawdy oszałamiająca. Przez jakiś czas była modelką.

- Ale pewnie ma trudny charakter? Toby zrobił bardzo zdziwioną minę.

- Ależ skąd! Jenny to prawdziwy anioł. Rozstali się z powodu rodziny, prawda? Biedna stara Jen nie mogła sobie dać rady z tymi wszystkimi zasadami. Mówiła, że Franklinowie się przed nią zamykają. Nie chcieli jej dopuścić do żadnych rodzinnych tajemnic.

Właśnie zamierzałam mu powiedzieć, że nie sędzę, by Franklinowie musieli coś ukrywać, kiedy przypomniałam sobie pamiętnik Tildy i ten obfitujący w wydarzenia rok 1947. Jossy umarła, Max wyjechał, a Daragh zniknął, rozpląnął się w przestrzeni w środku pewnej zimnej, samotnej nocy. Zerknęłam na zegarek.

- Zaraz przyjdzie do mnie uczeń.

- Dobry Boże! Rebecco! Znowu udzielasz korepetycji? Myślałem, że tego nie lubisz.

Znowu odczułam przyływ irytacji.

- Nienawidzę. Ale, widzisz, Toby, potrzebuję pieniędzy.

Wstałam, żeby odprowadzić go do drzwi.

\* \* \*

*R S*

- Kiedy wybuchła wojna, byliśmy w Paryżu - powiedziała Tilda. - Pamiętam, jak spacerowałam z Maksem nad Sekwaną i zastanawiałam się, co to dokładnie dla nas oznacza.

Usiłowałam wymóc na nim obietnicę, że nigdy się nie rozstaniemy, ale on nie chciał podejmować takich zobowiązań. Bardzo poważnie traktował wszelkie przyrzeczenia.

Kończył się maj, dzieci rozpoczęły ferie. Tilda zaprosiła mnie na obiad. Gości było zresztą całkiem sporo - trzech wnukowie Melissy, którzy grali w krykieta na trawniku, męż-

czynna w średnim wieku, niegdyś dziecko wychowywane przez Tildę w Czerwonym Domu, no i Matty. Córka Melissy przyjechała do babci, aby się uczyć.

- To tylko szkolne egzaminy - powiedziała, kładąc głowę na stole i włączając walkmana. - Zupełnie się nie liczą.

Siedzieliśmy teraz w ogrodzie za Czerwonym Domem, a dokładnie na małej polance z rzeźbą nimfy. Matty leżała na ścieżce odgradzona od nas kępami lawendy. Upał pozostał

bez wpływu na jej sposób ubierania się - znów miała na sobie czarną, długą sukienkę zapiętą pod samą szyję. Nad głową bzyczały jej pszczoły, ale odpędzała je niefrasobliwie niedba-

łymi machnięciami dłoni.



Właśnie rozmawialiśmy o wydarzeniach z 1939 roku, gdy dotarły do nas odgłosy katastrofy. Matty, odgradzona od świata słuchawkami walkmana, nie podniosła nawet głowy, ale Tilda natychmiast zerwała się z miejsca.

- Przepraszam cię na chwilę, Rebecca - rzuciła i weszła z powrotem do domu.

Odłożyłam notatnik oraz pióro. Nawet ten ogród i jego tajemne ścieżki oraz girlandy róż nie mogły mnie rozweselić. Na pozostałą część tygodnia wybierałam się do ojca i dlatego popadłam w wyjątkowo ponury nastrój. I choć bardzo pragnęłam stwierdzić, że od czasu ostatniej wizyty Toby'ego nie pomyślałam o nim ani razu, nie potrafiłam oszukiwać samej siebie. Wspominając naszą znajomość, miotałam się pomiędzy złością i żalem; złością na siebie za to, że nie udało mi się go wcześniej rozgryźć i żalem do niego o tę nieoczekiwaną wizytę w najmniej odpowiednim momencie - akurat wtedy, kiedy borykałam się najwyraź-

niej z problemami finansowymi, moje włosy domagały się fryzjera, a mieszkanie sprzątanania.

Tilda wróciła na polankę.

- Roddy uderzył piłką w szkło, pod którym rosną ogórki - wyjaśniła. - Chłopcy posprzątali odłamki, ale Roddy bardzo się zdenerwował, więc pozwoliłam mu przygotować podwieczorek.

*R S*

- Czyli kanapki z syropem - powiedziała Matty, która zdążyła już wyjąć słuchawki z uszu. - Roddy zawsze robi takie kanapki. Obrzydlistwo.

- Zostaniesz, Rebecca? - spytała Tilda.

Odmówiłam, ale nie z powodu kanapek, tylko dlatego, że musiałam się przygotować do podróży do Yorkshire.

- Melissa zaprosiła Joan i mnie do swojego letniego domku w West Country - dodała Tilda. - Nie zainstalowali tam telefonu. Gdybyś czegoś potrzebowała... - Zmarszczyła brwi.

- Znasz numer domowy Patricka? Nie? Bo on ma klucz, którym mógłby ci służyć w razie potrzeby.

Dom mojego ojca stoi przy drodze wijącej się i wznoszącej na wrzosowiskach w pół-

nocnym Yorkshire. Przez sto dwadzieścia lat od zakończenia budowy piaskowiec zdążył już ściemnieć, a kiedy pada deszcz, woda ze wzgórz zbiera się w kałużach na tyłach ogrodu.

Dom znajduje się zaledwie w odległości mili od najbliższej wioski, a ośmiu mil od gabinetu lekarskiego i supermarketu. Ojciec nigdy nie zrobił prawa jazdy, a od kiedy zmieniono rozkład, autobus zatrzymuje się w tej okolicy zaledwie dwa razy dziennie.

Przyjechałam w poniedziałek, dosyć późno, bo utkwiłam w korku spowodowanym świętem. Z trudem zmusiłam auto do wspinaczki na podjazd i zaniiosłam torbę do mieszkania. Siedzieliśmy w kuchni

przy herbacie i ekierkach. Rozmowa bez przerwy się rwała i stawała na martwym punkcie, zupełnie jak moja fiesta w drodze na stromy pagórek. Kuchnia stanowiła swoistą mieszaninę spartańskiego ładu i podskórnego brudu, który zaszokował

nawet mnie. Dom - stanowczo za duży dla jednej osoby - stanowił ostatnie marzenie ojca, który przyjechał z matką do Yorkshire na dwa lata przed jej śmiercią. Schody, podobnie jak podjazd, były strome, a ponadto zbyt wąskie, okna nieszczelne i spaczne. W łazience znajdował się duży bojler oraz wysoka żeliwna wanna. Jej napełnienie trwało co najmniej dwie godziny. W zimie, gdy wychylałam głowę spod kołdry, mój oddech zamieniał się w obłoczki pary.

Następnego dnia zawiozłam ojca do supermarketu. Wszystko, co usiłowałam włożyć do wózka, on natychmiast wyjmował, narzekając na zbyt wysoką cenę. Zauważyłam, że je-go lodówka jest prawie pusta - na półce znalazłam tylko do połowy opróżnione, zakryte pergaminem puszki z klopsikami i jedną sardynkę na talerzyku. Ojciec często się chwalił, że potrafi przechować chleb nawet tydzień. Na kolacje przyrządzałam mu typowe brytyjskie *R S*

jedzenie lubiane przez mężczyzn z jego pokolenia - gulasze, pieczenie i placki. Żadnego makaronu, czosnku, przypraw. Z terakoty zeszkrobałam tłuszcz, szafki czyściłam z taką energią i werwą, jakich nigdy nie zdołałam z siebie wykrzesać podczas porządków we własnym mieszkaniu. Wypieliałam chwasty w ogrodzie, zawarłam umowę z dostawcą żywności, a wieczorami czytałam. Mój ojciec ma setki książek, niegdyś wykladał literaturę angielską.

W literaturze uwielbia wszystko, co niezwykle i pełne pasji, w prawdziwym życiu nie uznaje namiętności, gdyż uważa ją za uczucie całkowicie fałszywe, będące wyrazem pobłażliwo-

ści w stosunku do samego siebie. Najbardziej ceni epokę elżbietańską i jakobińską, te wszystkie perełki w postaci maleńkich sonetów - tych perfekcyjnych, wierszowanych minia-turek... Mama, która zajmowała się kaligrafią, iluminowała jego ulubione wiersze. Jeden z nich zajął miejsce w moim pokoju. *Pragnę porozmawiać z duchem starego kochanka, który umarł, zanim narodził się bóg miłości.*

W dzień mego wyjazdu ojciec wybrał się rowerem do wioski po szynkę na kanapki.

Mogłam mu wytłumaczyć, że wcale ich nie potrzebuję, bo zamierzam zjeść jakiś posiłek w barze na stacji benzynowej. Albo że w ogóle nie lubię szynki. Czułam jednak, jak bardzo mu na tej szynce zależy; chciał to zrobić dla mnie. Patrzyłam więc, jak wkłada czapkę i mocuje zaciski na spodniach z mankietem, po czym wyrusza na swoim sfatygowanym rowerze do wioski, pnąc się wolno, a zarazem chybotliwie, na szczyt wzniesienia. Musiałam się szybko odwrócić, wytrzeć nos i pędem wrócić do domu.

Jazda do Londynu trwała długo i bardzo mnie zmęczyła. Wszystkie pasy zakorkowały się na dobre tuż za Northampton. Radio informowało, że na autostradzie znalazła się jakaś psychicznie chora osoba, w efekcie czego nastąpił wypadek. Ołowianogranatowe chmury zasnuwały niebo, powietrze było nieruchome i ciężkie; pogoda wręcz wymarzona dla szaleńców. Kiedy z dwugodzinnym opóźnieniem przybyłam wreszcie do domu, Jason Darke -

mój najbardziej nieznośny uczeń - czekał już na mnie na progu i palił papierosa. Jason -

przystojny i nieuleczalnie leniwy nastolatek - oblał rok wcześniej maturę z historii i zanosilo się na to, że powtórzy swój wyczyn. Ilekroć nie odrobił pracy domowej - a więc prawie na każdej lekcji - próbował się ratować urokiem osobistym, co budziło we mnie wyłącznie irytację. Chłopak miał zresztą lotny umysł, ale wolał go nie używać. Najbardziej denerwowało mnie jednak to, że jego pewność siebie była całkowicie uzasadniona. Mógł zawsze liczyć na koneksje ojca - rekina londyńskiej finansjery.

*R S*

Tego dnia Darke zachowywał się wyjątkowo nieprzyjemnie - uwodził mnie łaskawie ze znudzoną miną i nawet nie próbował ukryć ziewania. Gdy wyszedł po niemal godzinnej walce z upadkiem Partii Liberalnej, zdałam sobie sprawę z tego, że aby utrzymać bardzo zresztą przeciętny standard życia, będę musiała w przyszłym roku przyjąć więcej uczniów.

Ta konkluzja wprawiła mnie w stan przygnębienia. „Dobry Boże! Rebecca! Znowu udzielasz korepetycji?” Spod biurka Tildy wyciągnęłam ostatnie pudło, ale nie potrafiłam się zainteresować jego zawartością. Na wierzchu sterty leżały pożółkłe fotografie wycięte z gazety - łódź, portretowe zdjęcie młodej Tildy z długimi, rozpuszczonymi włosami i poważną miną. Poszłam do kuchni, otworzyłam lodówkę i nalałam sobie duży kieliszek wina. Alkohol nie poprawił mi jednak nastroju. Prześladowali mnie - choć z rzadka, a przy tym niezbyt konsekwentnie - starzy kochankowie i nieopierzeni chłopcy. Moja sytuacja finansowa była zupełnie niestabilna - zaliczka mogła zaledwie pokryć koszty utrzymania przez następne półtora roku, czyli okres niezbędny do ukończenia biografii Tildy. Przekroczyłam trzydziestkę, nie miałam stałego źródła dochodu, partnera ani dziecka. Wino przyćmiło nieco rzeczywistość, dzięki niemu nie usiadłam na podłodze i nie zaczęłam wyć. Zdałam sobie sprawę, że kanapki na autostradzie były moim ostatnim posiłkiem i zaczęłam wyliczać, czy starczy mi pieniędzy na pizzę. Poszukałam w torebce portfela, otworzyłam go i wyjęłam karteczkę, na której Tilda zapisała mi numer telefonu Patricka.

Gdybym nie była trochę wstawiona, na pewno bym nie zadzwoniła. Wstałam niepewnie, podniosłam słuchawkę i wystukałam numer na klawiaturze aparatu. Kiedy Patrick podniósł słuchawkę, zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować.

- Halo? Halo? - powtórzył już nieco poirytowanym tonem. - Kto mówi?

- Rebecca - wykrztusiłam.

- Rebecca? Zamierzałam do ciebie zadzwonić.

Zamrugałam oczyma i popatrzyłam na słuchawkę.

- Tak? Dlaczego?

- Jutro chcę obejrzeć pewien dom. Może chciałabyś mi towarzyszyć?

- Dom? - spytałam trochę bezmyślnie.

- Zamierzam kupić nieruchomość w Cumbrii. Mój agent właśnie przysłał mi szczegóły.

- Pasujesz mi bardziej do Dockland. To jakaś meta na weekend?

*RS*

- Coś w tym stylu. Więc?

Wyobraziłam sobie, że Patrick podobnie zachowuje się w sądzie. Wahającym się świadkom pewnie również zadawał krótkie, oskarżycielskie pytania.

- Dobrze - powiedziałam.

Przyjechał po mnie o siódmej rano. Kiedy znaleźliśmy się już poza Londynem, ponure niebo trochę się wypogodziło, a warstwa chmur wydawała się cieńsza. Zostawiliśmy za sobą miasto i uświadomiłam sobie nagle, że jestem szczęśliwa. A już prawie zapomniałam, jakie to uczucie.

- Na początku czerwca wybieram się do Holandii, obejrzeć te miejsca, gdzie mieszkała Tilda. Muszę też odwiedzić parę osób - rzuciłam, kiedy skierowaliśmy się na północ.

Patrzył uważnie na drogę.

- Z kim do tej pory rozmawiałaś?

- Z Janem van de Criendtem i sąsiadką Tildy z 1940 roku. No i jeszcze z córką Hanny Schmidt. Ona mieszka w Scheveningen.

Mówiłam jeszcze trochę o Holandii, aż w końcu zmieniłam temat. Nadal wyczuwa-

łam, że Patrick jest wrogo nastawiony do decyzji Tildy, która w końcu postanowiła rozpowszechnić historię swego życia, i nie chciałam psuć nastroju. W aucie rozbrzmiewał Tele-mann i Vivaldi, a my zatrzymywaliśmy się co chwila na kawę. Gdzieś na północ od Nottingham teren zaczął się wznosić i opadać, tracąc zielonobrazowy monotony odcień charakterystyczny dla środkowej Anglii. W srebrzystych taflach uwieczonych między pagórkami odbijało się słońce. Na lazurowych od dzwoneczków zboczach rosło całe mnóstwo strzelistych drzew.

Zatrzymaliśmy się na lunch i pojechaliśmy dalej. Drzewa przerzedziły się, trawę zastąpiły wrzosy, głazy wystawały z ziemi niczym ogromne kości. Patrick zerknął na mapę.

- Gdzieś tu powinna być boczna droga i ścieżka w lewo.

Okazało się, że zakręcająca wokół turni boczna droga ma szerokość renault. Potem omal się nie zgubiliśmy, gdyż na szczyt wiodły po prostu dwie bruzdy wśród wrzosów, wiążące się pod zupełnie

niesamowitym kątem.

- Musimy przejść kawałek na piechotę. Masz odpowiednie buty?

Tego ranka włożyłam sandały. Pomyślałam tęsknie o adidasach, ale szybko wyrzuci-

łam je z pamięci i wysiadłam z auta. Odwróciłam głowę i stwierdziłam, że droga, którą *R S*

przed chwilą pokonaliśmy, wygląda jak szara wstążka, a pub, gdzie jedliśmy obiad, przypomina pudełko zapalek. Nad nami wyrastała skała, wznosząca się do nieba jak wielka szarofioletowa fala.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Patrick.

Zobaczyłam tylko kilka starych budynków gospodarczych, ale potem wyteżyłam wzrok i dostrzegłam, że na płocie wisi kartonowa tablica z napisem NA SPRZEDAŻ. Tablica łopotała teraz szaleńczo na wietrze.

- To ten dom?

Patrick szedł przodem, przecierając dla mnie drogę wśród wrzosów. Choć w dolinie było spokojnie, tu wiał zimny, kapryśny wiatr. W ocienionych wgłębieniach wokół szczytu leżały śniegowe kulki. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam, że farma składa się z trzech budynków - domu mieszkalnego i dwóch pomieszczeń gospodarczych. Na grubych dachówkach pobłyskiwało słońce; w zimie góry chroniły dom przed śniegiem i północnym wiatrem.

Gdy doszliśmy na miejsce, z trudem chwytałam oddech. Natychmiast upomniałam się w myślach, że za dużo siedzę przy biurku, a za mało ćwiczę. Postanowiłam się zapisać od jesieni na lekcje aerobiku. Tymczasem Patrick wyjął z kieszeni klucz i przeglądał pobieżnie folder.

- Zaczniemy od domu. Oborę i przybudówkę obejrzymy później.

Włożył klucz do zamka. Drzwi pisnęły z urazą, gdy Patrick otworzył je na całą szerokość. Wyczułam natychmiast zapach pajęczyn i wilgoci - nieomylnych oznak tego, że dawno tu nikt nie mieszkał. Usłyszałam wyraźnie cichy odgłos maleńkich, uciekających nóżek, a moje oczy zaczęły się powoli przyzwyczajać do braku światła.

- Szkoda, że nie zabrałem latarki - mruknął Patrick. - Nie masz nic przeciwko pają-

kom, prawda?

Chciałam odpowiedzieć, że to zależy od ich ilości. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego Franklin myśli o zakupie takiej rudery, nawet jeśli zamierza w niej spędzać wy-

łącznie weekendy. Potem jednak Patrick otworzył kolejne drzwi i wszystko stało się jasne.

Przez ogromne, wykuszowe okno, większe niż to na werandzie Tildy, wpadało słońce, malując na kamiennej podłodze długie, białe wstęgi.

- Boże! - szepnęłam.

*R S*

- Właśnie. - Patrick się uśmiechnął.

Nigdy nie potrafiłam dobrze oceniać odległości, więc nie wiedziałam, czy widok z tego okna rozciąga się na przestrzeni pięciu, dziesięciu czy pięćdziesięciu mil. Wiedziałam jednak, że jest tak, jakbym oglądała cały świat z jego wszystkimi urokami - niczym rozło-

żony dywan. Łańcuszkowy ścieg dróg i suchych kamiennych ścian, jodełka rzek i strumieni, francuskie węzły stodół, głązów, jezior oraz srebrzystych stawów.

Oderwawszy wzrok od okna, rozejrzałam się po pokoju. Był duży, ze skośnym dachem i ogromnym, wielkopańskim kominkiem. Wyobraziłam go sobie z zasłonami, dywanami, płonącymi polanami w kominku, świecami w lichtarzach... Potem przeszliśmy do kolejnego pomieszczenia - do kuchni, również ogromnej.

- Przynajmniej jest piec.

- Z 1925 roku - odparł Patrick, przyglądając mu się uważnie. - Na węgiel.

Podgrzanie w nim porcji kurczaka dla jednej osoby zabrałoby co najmniej trzy godziny. Obeszliśmy resztę domu, gdzie nigdzie nie zauważyłam łazienki, po czym postanowili-

śmy obejrzeć resztę budynków. W tym czasie na szczytach zebrały się ciężkie chmury i rzuciły cień na zbocza.

- Te... no... wygody - powiedział Patrick, zerkając do folderu, po czym otworzył drzwiczki kolejnego pomieszczenia.

Był tam rodzaj ławy utworzonej z drewnianej deski, w której wycięto trzy dziury o malejącej średnicy. Szybko zamknęłam drzwiczki.

- Stodoła - zakomunikował triumfalnie Patrick, mocując się z ciężkimi podwojami. -

Dla owiec w zimie.

Kiedy oglądaliśmy ciemną szopę, zaczął padać deszcz. Lał się srebrnymi strugami, spłaszczając kępy wrzosów, podskakiwał na głązach ukrytych w janowcu. Oboje mieliśmy na sobie dzinsy i podkoszulki. Stałam w progu, obserwując ulewę, a Patrick zbliżył się do mnie. Gdy nasze ciała zetknęły się, poczułam dziwne mrowienie w ramieniu i okolicach bioder.

- No i co o tym sądzisz? - spytał.

Popatrzyłam na niego tępo. W środku tęczówki jego oczy były ciemnoniebieskie, ciemnoszare na

zewnątrz.

- O domu - powtórzył.

*R S*

- Ach tak... oczywiście... cudowny.

- Niezwykły, prawda? Londyn nas tłamsi. A tu... no cóż, tu można oddychać.

- Ale w takim miejscu trudno żyć. Jest zbyt niedostępne.

- Zawsze lubiłem wszystko, co trudne i niedostępne. - Nie odrywał ode mnie wzroku.

- To rodzaj wyzwania.

- Po godzinie czy dwóch dostałbyś szału na tym pustkowiu. Tęskniłbyś za pubami, klubami i restauracjami.

- Na pewno nie. W najmniejszym stopniu. Z łatwością obyłbym się również bez korków, godziny szczytu w metrze i oglądania tych biedaków żebrzących na nabrzeżu. Brakowałoby mi natomiast paru konkretnych osób.

Pochylił się i dotknął ustami mojego czoła. Padało coraz bardziej.

- Mnie? - szepnęłam.

- Mhm. A ty będziesz za mną tęsknić, jeśli rzucę prawo i zostanę farmerem?

Nie powiedziałam już ani słowa. Zamiast tego dotknęłam wargami jego ust; delikatne pocałunki zmusiły mnie do przymknięcia oczu. Czułam się pijana jego nieoczekiwaną bliskością. Ręce Patricka spoczęły delikatnie na mojej talii, po czym powędrowały w górę, pod bluzkę i zaczęły pieścić moje ciało.

Deszcz uderzał o kamienny dach stodoły. Pragnęłam go do tego stopnia, że było mi wszystko jedno, gdzie i jak to zrobimy. Już zapomniałam, jak bezsilne bywają ostrzeżenia umysłu wobec pragnień ciała. Kochałam się z nim, leżąc na słomie, przy otwartych drzwiach stodoły i akompaniamencie ulewnego deszczu.

\* \* \*

Caitlin Canavan rozpoczęła naukę w szkole w styczniu 1939 roku, kiedy skończyła pięć lat. Daragh odkładał tę chwilę tak długo, jak się dało, proponował zatrudnienie guwer-nantki, ale Jossy nie zamierzała ustąpić. Dzięki umieszczeniu Caitlin w internacie znów mogła mieć Daragha na wyłączną własność.

W pierwszy dzień nauki dziewczynka włożyła granatowy fartuszek, białą bluzeczkę, szary tweedowy

płaszczyk i kapelusik pasujący do niebieskiej przepaski wsuniętej na ciemne loki. W zaciśniętej ręczce trzymała torebkę. Daragh zrobił jej zdjęcie na frontowych stopniach Dworu.

- Wyglądasz jak księżniczka, Kate - powiedział i przytulił ją mocno, zanim wsiedli do *R S*

samochoду. Potem pojechali do Ely i przeprowadzili Caitlin przez ekskluzywną bramę Burwood School. Nauczycielka odebrała od nich dziewczynkę i zostali sami, a tymczasem mała dołączyła do długiego ogonka innych uczennic kierujących się do budynku.

Daragh patrzył za Caitlin, dopóki nie znikła mu z oczu, a potem odwrócił się na pięcie i rzucił żonie kluczyki.

- Wracaj sama. Ja mam tu coś do załatwienia. Pójdę do domu piechotą. Spacer dobrze mi robi.

Jossy siedziała w aucie, włożyła kluczyki do stacyjki, ale nie uruchomiła silnika. Jak zawsze przy takich okazjach ogarnęło ją ogromne poczucie zawodu i żalu. Znowu liczyła na zbyt wiele, a Daragh zamierzał przecież spędzić przedpołudnie z kobietą. Jadąc do Southam, Jossy powtarzała sobie wszystkie argumenty, jakimi zwykle próbowała się pocieszać w tego rodzaju sytuacjach. W końcu Daragh należał do niej, a żaden z jego romansów nie trwał

dłużej niż kilka miesięcy. Ponadto nosiła wciąż obrączkę na palcu i urodziła Daraghowi dziecko. Łudziła się, że mąż kiedyś przestanie wreszcie odczuwać potrzebę odwiedzania innych kobiet.

Bała się tylko Tildy, której nigdy zresztą nie miała okazji poznać. Tildy, swojej siostry. Często natomiast o niej myślała i to przypominało rozdrapywanie ran. Jossy wierzyła, że Tilda jest bliźniaczką jednej z tych wymagowanych sióstr z dzieciństwa - wesołych, pięknych i uroczych. Czyli takich, jaką Jossy nigdy nie była. Domyślała się, że Tilda należy do osób, którym wszystko przychodzi łatwo i serdecznie jej nienawidziła.

Wyjątkowo mroźna i wietrzna zima zabrała w lutym życie Christophera de Paveleya.

Podczas mszy żałobnej wiało od okien, a witraże pokryły się lodem. Żałobnicy - sędziwi przyjaciele Christophera z lat szkolnych, zramolali towarzysze broni z czasów Wielkiej Wojny i czerwoni na twarzach kumple ze strzelnicy - mieli na sobie pelisy albo ciepłe płaszcze. Wyli hymny i głośno dopowiadali za księdzem słowa modlitwy. Choć wuj Jossy nie żył zaledwie od kilku dni, Daragh z trudnością sobie przypominał, jak on właściwie wyglądał - był chyba przygarbiony, chudy, blady, taki jak jego syn. Canavan popatrzył na Kita de Paveleya. Ten znowu miał bronchit czy coś w tym rodzaju i gdy podnosił z wysiłkiem trumnę ojca, sapał jak miech kowalski.

Msza była krótka i bezbarwna, jak wszystkie nabożeństwa anglikańskie. A pogrzeb przypominał walkę z zimmem i wiatrem. Maleńkie płatki śniegu tańczyły po ołowianym *R S*

niebie. Po ceremonii Daragh, Jossy oraz Kit stanęli przy zadaszeniu i przyjmowali kondolencje. Daragh nudził się straszliwie, dopóki nie zirytowała go ta kobieta.

Elizabeth Layton - jedna z wielu znajomych Jossy - działała we wszystkich komite-tach dobroczynnych w Cambridgeshire. Choć uścisnęła rękę Kita, a potem Jossy, jego minę-



ła jak powietrze. Poczul przyływ gniewu, ale wytłumaczył sobie natychmiast, że to była po prostu jakaś pomyłka, a nie zamierzona obraza. Mimo wszystko ten drobny incydent zapadł

mu w pamięć i kiedy w parę minut później ostatni z żałobników wyszedł z kościoła, Daragh wypatrzył panią Layton przy drodze i natychmiast do niej podszedł.

Gdy odwróciła głowę, dojrzał, że kobieta ma ciemne, inteligentne oczy.

- Obawiam się, że nie zdążyłem pani podziękować. Pragnę, by pani wiedziała, jak bardzo sobie cenimy jej obecność na tej smutnej uroczystości. - Daragh uśmiechnął się do niej jednym ze swoim najpiękniejszych uśmiechów i wyciągnął rękę. Popatrzyła na jego dłoń, ale całkowicie ją zignorowała.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, jeśli panią pomiąłem...

- Wcale mnie pan nie pomiął, panie Canavan. Po prostu nie zamierzałam się z panem witać.

Odwróciła się do odejścia, ale chwycił ją za łokieć.

- Domagam się wyjaśnień!

- Nie ma pan prawa niczego się ode mnie domagać. Chciałam uniknąć rozmowy na ten temat przy okazji pogrzebu, ale skoro pan nalega, to proszę przyjąć do wiadomości, że nie akceptuję towarzystwa, w jakim się pan obraca. Oczywiście wielu mężczyzn schodzi czasem z uczciwej drogi. Skoro jednak nie mam innej rady, to powinni przynajmniej szukać sobie partnerki z własnego środowiska, takiej, co zna reguły gry.

Najpierw kompletnie nie rozumiał, o czym ona mówi, a potem przypomniał sobie Có-

rę Dyce. Cora pracowała jako pielęgniarka u jednej z rodzin z Cambridge. Daragh poznał ją przez którąś z przyjaciółek Caitlin.

Śnieg padał coraz gęściej.

- Cora Dyce spodziewa się pańskiego dziecka, panie Canavan. Wiedział pan o tym?

Te słowa spadły na niego jak nieoczekiwany cios.

- Ale ja się z nią spotkałem najwyżej raz czy dwa - wymamrotał niepewnie.

Pani Layton uśmiechnęła się cierpko.

*R S*

- Raz czy dwa całkowicie wystarczy, prawda?

- Nie miałem pojęcia... naprawdę... - jękał.

- Cora to głupia dziewczyna, ale w przeciwieństwie do pana na pewno nie jest całkowicie zdeprawowana. Jej matka pracuje dla mnie. Przyszła do mnie po radę, kiedy odkryła stan córki. Nie musi się pan jednak martwić. One niczego od pana nie chcą. Załatwimy tę sprawę dyskretnie. Oczywiście nie z uwagi na pana, ale dlatego, że lubię i szanuję panią Dyce.

Elisabeth Layton odeszła, zostawiając Daragha stojącego na rozdrożu. Samochody ruszyły w stronę dworu, żłobiąc dwie równoległe koleiny w miękkim, świeżym śniegu. Daragh podszedł do Jossy. W żołądku czuł dziwną pustkę.

- Pójdę pieszo, jeśli pozwolisz. Boli mnie głowa. - Cmoknął żonę w policzek i ruszył przed siebie ścieżką wijącą się wśród pól.

W powietrzu tańczyły białe płatki śniegu, a spod niecałkowitej jeszcze bieli wystawały czarne połacie ziemi. Po obu stronach miał pola - płaskie jak deska, przerwane jedynie kanałem. Wokół nie było nikogo - ani ludzi, ani nawet ptaków. Widocznie skryły się w si-towiu - pomyślał. Ostre, zimne powietrze kłuło go w płuca.

Doszedł na sam początek kanału i zobaczył, że wąski pasek wody uwięziony między ścianami z gliny zaczyna powoli zamarzać. Usiadł na brzegu, kryjąc twarz w dłoniach, nie zważając na to, że padający śnieg osiada mu na głowie i ramionach. Jakże nisko upadł! Ana-lizując ostatnich kilka lat, widział wyraźnie, że zapomniał o wszystkich swoich planach na przyszłość i zaczął się prowadzić równie niemoralnie, jak cała angielska klasa wyższa, którą tak pogardał. A co najgorsze, zawiódł Caitlin. Dziewczynka nie mogła już być dumna z takiego ojca.

Przez te wszystkie lata małżeństwa zżerała go tęsknota za Tildą i nienawiść do Sarah.

Przy Tildzie stawał się innym człowiekiem. Wolno odsunął palce od oczu i kiedy się rozejrzał, zauważył, że nawet w ciągu tego krótkiego czasu, gdy tu siedział, ramki lodu przylegające do brzegów kanału zaczęły się poszerzać, tworząc na powierzchni wody matową, szarą powłokę. Pomyślał, że jeżeli nic szczególnego się nie wydarzy, to obie połówki kry spotkają się na środku kanału i powstrzymają prąd wody. Jego własne życie też zaczęło twardnieć, coś zimnego i trującego chwyciło je w kleszcze, a on sam przeistoczył się zupełnie bezwolnie w kreaturę godną najwyższej pogardy.

*R S*

Podniósł się wolno z ziemi - mróz przeniknął go aż do szpiku kości. Pragnął zerwać z siebie ubranie i wskoczyć do kanału, tak by lodowata woda obmyła mu ciało, by mógł rozpocząć od nowa. Wiedział jednak, że ten chłodny uścisk raczej by go zabił. Chciał uciec jak najdalej z tego diabelskiego miejsca, ale musiał zostać - dla Kate, którą kochał.

Znów popatrzył na pola. Część problemu stanowił fakt, że on - zawsze chętny do dzia-

lania - teraz nie robił nic. Bezczytność zupełnie mu nie odpowiadała, przez brak zajęcia schodził na złą drogę i poniżał sam siebie.

Gdy wracał szybko do Dworu, jego stanowcze kroki zostawiały ślady na śniegu.

Do rządcy wybrał się już następnego ranka. Śniegu napadało tymczasem tyle, że daszek domku wydawał się jaśniejszy od świeżo pobielonych ścian. Zapukał, a gospodyni wpuściła go do środka.

Wszystkie drzwi były pootwierane, toteż Daragh od razu zauważył, że pokoje są do siebie podobne - jadalnia, salon i gabinet w zasadzie niczym się nie różniły - staroświeckie meble, stosy książek, kamienie Kita, gdzieś tam brudne naczynia, ogień na kominku.

Dom zdecydowanie potrzebował kobiecej ręki, ale Daragh nie potrafił wyobrazić sobie kobiety, która wyszłaby za mąż za Kita de Paveleya.

Kit siedział w kwadratowym, kiepsko oświetlonym pokoju na tyłach domu. Daragh wymamrotał kondolencje i poklepał de Paveleya po ramieniu. Przez materiał marynarki wyczuwał jego kości.

- Pomyślałem, że teraz, kiedy umarł twój ojciec, powinniśmy porozmawiać o majątku

- zaczął Daragh.

Jasne, okolone białymi rzęsami oczy spojrzały na niego czujnie.

- Majątku?

- O farmie. Ty, zdaje się, pracujesz, prawda?

Wiedział od Jossy, że Kit uczy w szkole dla chłopców w Cambridge, co Daragh uznał

od początku za wyjątkowo niemęskie zajęcie.

- Wykładam języki i historię starożytną.

- Wspaniale - mruknął Daragh, patrząc na chuderławą, przygarbioną posturę Kita. - I chyba nie bardzo cię interesuje uprawa roli?

Jasne oczy Kita zwęziły się chytrze.

- Chcesz przejąć gospodarstwo. - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

*R S*

- Za życia staruszka nie wypadało mi się mieszać, ale właśnie tego zawsze pragnąłem.

Moja rodzina posiadała oczywiście farmę w Irlandii.

Kit wykrzywił ironicznie usta.

- Moczary to nie Irlandia. Mają swoją własną historię i ukształtowanie terenu. Trzeba rozumieć tę ziemię. Mógłbym ci zresztą pożyczyć parę książek.

- Wolałbym raczej księgi rolnicze twego ojca. W tej sprawie przyszedłem. - Zerknął

na zegarek. Zapragnął nagle uciec z tego zimnego, dusznego domu. - Przynieś je dziś po po-

łudniu do Dworu, dobrze? Aha! - Wychodząc, przypomniał sobie o dziwnym hobby Kita. -

Jossy pozwala ci dalej kopać. A ja też się zgodzę, pod warunkiem że nie będziesz wchodził mi w drogę.

W 1939 roku Max pomyślał, że już słysząc gwoździe wbijane w trumnę. W styczniu w Hiszpanii do władzy doszli faszyci, a w marcu Hitler zajął osłabione szczątki Czechosłowacji. Mussolini jak zwykle skorzystał z okazji i w kwietniu zbombardował Albanię. W

gazetach ukazywały się nadal pocieszające nagłówki: HITLER MA STRACHA, WOJNY

NIE BĘDZIE.

Pani Franklin upadła i złamała biodro. Tilda, która bardzo lubiła matkę Maksa, chciała od razu odwiedzić ją w szpitalu, ale nie mogła się wyrwać.

- Śliskie linoleum - tłumaczyła potem synowi blada jak ściana Clara.

Max jednak tego samego wieczora zrobił inspekcję w jej mieszkaniu i odkrył w śmieciach butelki po ginie.

Brighton wprawiało go zawsze w złość i ponury nastrój. Powrót do Londynu uczył

więc kłótnią z Haroldem i Freddiem. Do domu dotarł dopiero o wpół do dwunastej w nocy.

Tilda już spała, a kolacja stygła w piekarniku. Kiedy wyrzucił jedzenie do śmieci i znalazł

biszkopty, obliczył, że nie rozmawiał z Tildą od trzech dni. On był w Brighton albo pracował, a ona miała zajęcia w RMU. Usiadł przy stole w kuchni i zakrył twarz rękami. Miał

ochotę na drinka, ale oparł się tej pokusie. Następnego ranka umówił się na wywiad z pewnym nudnym politykiem i musiał napisać jeszcze jeden kłamliwy, podtrzymujący na duchu artykuł.

Lękał się, że on i Tilda będą się coraz bardziej od siebie oddalać. Dostrzegał, jak bardzo wszyscy do niej lgną i bał się, że pewnego dnia dla niego zabraknie miejsca. Zdawał

sobie sprawę z tego, że pewne wydarzenia bezpowrotnie dzielą ludzi i z łatwością rozpusz-

czają spoiwo wspólnych przeżyć. Jego ojciec pracował do późna i Max doskonale pamiętał, jak

matka przeszła z fazy strasznego osamotnienia do szaleńczej wesołości, w którym to stanie zaczęła w końcu szukać innego towarzystwa. W konsekwencji tych kilku przygnębiających dni Max zaczął się nawet zastanawiać, czy Tilda zaangażowałaby się równie mocno w pracę społeczną, gdyby poślubiła Daragha Canavana. Przypuszczał, że Daragh stanowi irlandzką wersję Retta Butlera - jest oczywiście uderzająco przystojny i całkowicie pozbawiony zasad.

Zdał sobie sprawę, że sam zaczyna się nad sobą litować, toteż - aby uniknąć całkowitej klęski - zaniósł do salonu talerz oraz szklankę i zaczął szukać gazety. W pokoju walały się zabawki, a wolną przestrzeń, konieczną do ustawienia talerza, uzyskał dopiero po odsunięciu malunków synka. Koncepcja malarska Josha polegała na pokrywaniu arkuszy warstwą czerwonej - nigdy innej - farby, nakładanej za pomocą grubych pędzli z gazety. Obrazki Melissy miały zupełnie inny charakter. Max łączył nawet z córką pewne nadzieje - w wieku trzech i pół roku dziewczynka malowała postacie z kończynami, a ich twarze odznaczały się całkiem regularnymi rysami, niektóre wyobrażały nawet konkretne osoby.

Dokończywszy kolację, zerknął na obrazek córki. Melissa narysowała Maksa w płaszczu i kapeluszu, a Tildę w niebieskiej sukience. Joshua - podobnie zresztą jak na innych obrazkach - wydawał się proporcjonalnie zbyt mały; tak jakby siostra zamierzała celowo zlekceważyć jego rolę w rodzinie. Max odłożył obrazek, a potem poszedł na górę. Przez chwilę patrzył na śpiącą żonę. Z trudem przyznawał się sam przed sobą do tego, jak ogromną ją darzy miłością i jak bardzo się boi tego, że ona nie odwzajemnia tych uczuć.

W 1939 roku wiek dzieci przybywających do Anglii w *Kindertransporte* dramatycznie się obniżył. Do Harwich przyjeżdżały nawet niemowlęta i małe pędraki, którymi podczas podróży opiekowało się starsze rodzeństwo. Czasem zdarzało się i tak, że zrozpaczone matki wrzucały swoje maleństwa do pociągu przez okno prosto na kolana jakiemuś nieznanemu starszemu dziecku. Tildzie krajało się serce na myśl o tych berbeciach płaczących za-

łośnie przez całą podróż - w Niemczech, w Holandii, w ramionach trzynasto- i czternasto-letnich opiekunów.

Pociąg przyjeżdżał teraz do Harwich niemal codziennie. W biurach RMU panował chaos - brakowało ludzi, fachowej pomocy, pieniędzy i odpowiednich rodzin zastępczych.

Wszystkie fundusze dla dzieci pochodziły od prywatnych ofiarodawców; rząd odmówił

R S

uchodźcom pomocy materialnej, zniósł jednak ograniczenia wizowe. Od czasu do czasu okazywało się, że pozornie odpowiednie rodziny zastępcze zmuszają swoich wychowanków do pracy lub karzą je biciem za zmoczenie łóżka. Całe lato Tilda odnosiła wrażenie, że nakłada plaster na ranę, która za chwilę znów się otworzy. W nocy bez przerwy śniła o dzieciach - o dziewczynce, która uciekła przed prześladowaniem w Niemczech po to, by przeżyć inne, nieco bardziej subtelne tortury w Anglii, o niemowlęciu z banknotem dziesięciofuntowym i listem ukrytym w ostatniej z sześciu pieluszek, które miały mu starczyć na całą podróż.

Pewnego wieczoru po powrocie do domu Tilda zastała Maksa w kuchni.

- Przepraszam, coś się w ostatniej chwili wydarzyło - powiedziała, całując go w policzek.

Nawet się nie odwrócił.

- Dałem bilety Charlotte.

Zasłoniła dłonią usta - wybierali się przecież na koncert.

- Och, Maksie...

Wrzucał energicznie naczynia do gorącej, pianistej wody. Przestraszyła się, że je po-tłucze.

- Bardzo mi przykro...

- Mogłaś chociaż zatelefonować. Przynajmniej tyle.

- Zapomniałam - jęknęła.

Tak się jakoś stało, że w ciągu tego strasznie skomplikowanego dnia przyjemność, na jaką czekała niecierpliwie od tygodnia, uszła zupełnie jej uwagi.

- Nie zadałaś sobie nawet tyle trudu, żeby zaznaczyć to w terminarzu? Nie zapisałaś -

obok zebrań w komitecie i zajęć związanych ze zbiórką pieniędzy - spotkania z własnym mężem?

Ten sarkazm boleśnie ją zranił.

- Zapisałam, ale nie spojrzałam do notesu - tłumaczyła nieporadnie. - Nie zdążyłam...

Rozbijesz naczynia.

Rzucił dzbanek na suszarkę.

- Co mam zrobić, Tildo? Zarezerwować sobie kolejny termin, żeby spędzić z tobą wieczór?

*R S*

W ciszy, jaka zapadła później, nagle zabrzmiały jej w głowie słowa Daragha: „Gdzie jest moje miejsce w twoich planach, Tildo?”

- Znalazłam wreszcie pożyteczne zajęcie; to niewiele, tamuję powódź jednym wor-kiem piasku, ale, och, Maksie, gdybyś tylko zobaczył te biedne maleństwa!

Wytarł ręce i zapalił papierosa.

- A twoje własne dzieci - Melissa, Josh i Rosi, kto jest dla ciebie ważniejszy?

- To nie fair - powiedziała wolno. Łzy piekły ją w oczy. - Oni są dla mnie najważniejsi na świecie.

- Ale ci nie wystarczą.

Popatrzyła na niego z nagłym przerażeniem. Kochała swoją rodzinę bardziej, niż mogłaby to sobie kiedykolwiek wyobrazić, oddałaby życie za każde z nich. A jednak...

- Nie wystarczamy ci, prawda? - powtórzył Max zmęczonym głosem.

Odwróciła od niego wzrok. Dom ograniczał ją i nudził. Kiedy zaczęła pracować przy *Kindertransporte*, poczuła się tak, jakby dopasowała ostatni fragment do układanki. Przedtem zawsze czegoś jej brakowało. Niespokojne, wędrownie dzieciństwo sprawiło, że stała się niezdolna do normalnego życia w rodzinnej atmosferze.

- Zaproponowano mi nową posadę - powiedział nagle Max. - Zamierzałem odmówić, bo to by oznaczało wyjazd za granicę i rozstanie z tobą, ale... - Wzruszył ramionami.

Skoro i tak rzadko się widujemy... Niewypowiedziana część zdania zawisła w powietrzu. Tilda usiadła przy kuchennym stole; odwróciła głowę od męża i przycisnęła kłykcie do ust. Przez całe życie kogoś traciła - ojciec nawet jej nie uznał za swoje dziecko, matka umar-

ła, ukochany zdradził. A teraz Max.

- Chcesz odejść... przeze mnie? Wyciągnął ręce w geście rozpacz.

- Wyjeżdżam. Nie mogę już słuchać bzdur o tym, że Hitler się wycofa, bo Anglia i Francja zawarły pakt z Polską. I jeszcze dlatego, że jeśli tylko piszę cokolwiek, co mogłoby uświadomić lojalnym brytyjskim czytelnikom, jak blisko jest wojna, odrzucają mi ten artykuł, zanim jeszcze atrament zdąży wyschnąć. Poza tym... - Urwał i pokręcił głową. - Zrobi-

łem awanturę i w końcu zaproponowali mi etat korespondenta zagranicznego. Ta praca daje wprawdzie więcej swobody, ale łączy się oczywiście z pobytem za granicą. - Zapalił kolejnego papierosa i stanął przy oknie, plecami do Tildy.

Nastała pełnia lata i w ciemniejącym powietrzu wyczuwało się wyraźnie oleistą woń *R S* lawendy.

Wtedy zadała Maksowi pytanie, jakiego nigdy przedtem nie odważyła się wypowiedzieć.

- Kiedy wybuchnie wojna? - powtórzył - Och, za tydzień? Może za dwa albo trzy. Ale to już długo nie potrwa.

- Musisz przyjąć tę propozycję - powiedziała. - Wiem, jak bardzo ci na tym zależy. -

Zacząła wycierać i układać talerze, tak jakby dzięki zaprowadzeniu porządku w domu mogła odzyskać kontrolę nad bezkształtną, przerażającą przyszłością.

- A ty?

- Pojedziemy z tobą.

- Przecież ci mówię, że będzie wojna.

- Wtedy wrócimy do domu. - Cała porcelana trafiła do kredensu, Tilda zatrzasnęła po-dwójne drzwiczki. - Sam będziesz wiedział najlepiej, kiedy nas odesłać.

- Co z Rosi? Ona nie powinna wyjeżdżać, ma niekompletne dokumenty. - Zachodzące słońce rzuciło cień na twarz Maksa, uwydatniając głębokie cienie pod oczami mężczyzny i bruzdy wiodące od nosa do ust. - A *Kindertransporte*?

- Skończą się natychmiast po rozpoczęciu wojny. Ty również o tym wiesz, Maksie.

Nie przedostaną się przez granicę. - Oczyma duszy zobaczyła dziecięce twarzyczki przyciśnięte do szyb wagonów; cienie drzew i latarni na szkle przybrały kształt więziennej kraty.

Po wybuchu wojny Daragh chciał wstąpić do wojska, ale go nie przyjęto, gdyż zawód rolnika cieszył się specjalnymi przywilejami. Taki obrót sprawy wzbudził w nim mieszane uczucia; było to zarówno rozczarowanie, jak i ulga. Canavan wiedział, że podobałyby mu się zapewne wszelkie niebezpieczne zadania, ale myślał z odrazą o nudzie i nędzy, jakie również nierozzerwalnie łączyły się z wojną. Z ochotą uciekłby choć na chwilę od Jossy - z drugiej strony tęskniłby bardzo za Caitlin. I choć zostawiłby z przyjemnością bagno, jakie Christopher de Paveley zrobił z majątku, to jednak nadal wierzył, że potrafi wyprowadzić wszystko na czyste wody.

Od czasu wpadki z Córą przestał się spotykać z kobietami. Nadal zresztą odczuwał następstwa tej sprawy; niektórzy wyraźnie go ignorowali, inni przestali zapraszać na przyjęcia. Znaczyło to nieomylnie, że Elizabeth Layton zaczęła mówić. Najpierw bardzo się tym przejmował ze względu na córkę, ale gdy szykanom nie było końca, zrezygnował z wszelkich zabiegów mających na celu uzyskanie aprobaty miejscowej społeczności.

- To tylko wyniosłe pawie - powiedział do Caitlin podczas lekcji jazdy konnej. - Nie potrzebujemy ich, prawda? Jesteśmy lepsi.

Daragh miał masę zajęć na farmie. Z niewiadomych przyczyn liczył na to, że gospodarstwo poprowadzi się samo, tak jak wydawała się to czynić farma jego dziadka. Jednak sprawy przybrały znacznie gorszy obrót i Daragh popadał z jednych tarapatów w drugie.

Raz zaważyło się ogrodzenie, potem owce weszły w szkodę, kanał zarósł sitowiem i zalał pole. Na wiosnę, gdy stopniały śniegi, utrzymująca się na ziemi woda nie chciała wyschnąć.



W jej taflī, niczym w czarnym zwierciadle, odbijało się niebo, a bulwy ziemniaków marnia-

ły. Z ksiąg wynikało, że już od pierwszej wojny farma przynosiła raczej kiepski dochód.

Edward de Paveley żył z kapitału, masę pieniędzy pochłoniął podatek spadkowy i coś, co na początku małżeństwa wydawało się Daraghowi wielkim bogactwem, a teraz okazało się wciąż wysychającym źródłem utrzymania. Próbował oszczędzać, ale to nie było łatwe. Już i tak brakowało im służących - została tylko kucharka, pokojówka i niania. Ogrodnik umarł, jego syna powołano do wojska, a ogrodu doglądała Jossy. Szkoła Caitlin pochłaniała fortunę, ale życie straciłoby sens, gdyby jego córka nie otrzymała wszystkiego, co najlepsze. Ka-te miała więc garderobę godną księżniczki: czarny aksamitny płaszcz z futrzanym kołnierzem, jedwabną sukienkę wizytową, amazonkę i własnego kucyka. Spełniał każde jej życzenie...

Na jesieni przyszedł nakaz zakwaterowania we Dworze dwojga ewakuowanych dzieci. Jossy usiłowała się od tego wykręcić, ale Daragh przypomniał sobie zdjęcia wychudzo-nych malców i przywiózł z miasta braci - Normana i Arthura Greenów. Norman i Arthur pochodzili z Psiej Wyspy. Chłopcy mieli czarne strupy na kolanach i chore migdałki, okropnie się ślinili i nigdy nie zamykali ust. Kiedy Daragh kazał Nanie ich wykąpać, cały dom aż się zatrzęsł od straszliwych wrzasków. Przy kolacji bracia wpychali sobie do ust ca-

łe kanapki z jajkiem i nie chcieli pić mleka bez kropli herbaty w środku. Caitlin patrzyła na nich z odrazą i sama jadła niewiele.

Norman i Arthur chodzili do szkoły w wiosce. Zawsze wracali do domu z kolanami jeszcze bardziej zakrwawionymi niż przy wyjściu; miejscowi wyczuwali inność chłopców i nie dawali im spokoju. Daragh sądził, że bracia potrafią się sami sobą zająć. Jossy całkowicie ignorowała swoich podopiecznych, a Caitlin patrzyła na nich z mieszaniną ciekawości i *R S*

odrazy, jakby byli jakimś nowym rodzajem zwierzęcia. Nanę owinęli sobie wokół palca.

Minęło kilka tygodni, odkąd Arthur i Norman przybyli do Dworu. Daraghowi zaczęło się wydawać, że Caitlin jest przygnębiona. Dziewczynka straciła ochotę na przejażdżki i bez przerwy drapała się po głowie. Następnego dnia Canavan zauważył, że bracia też się drapią.

Z przerażeniem przeczesał włosy córki - na zębach grzebienia aż się zaroilo od wszy. Złapał

więc Arthura i Normana, zaciągnął ich do łazienki i obejrzał głowy chłopców. Po tej inspek-cji poczuł, jak bardzo ich nienawidzi, choć wiedział, że to całkowicie irracjonalne uczucie.

- Trzeba się ich pozbyć - zawyrokowała Jossy, a Daragh wiedział, że jego żona ma na myśli nie wszy, ale chłopców.

Tym razem nawet się z nią nie spierał. Następnego dnia Normanowi i Arthurowi znaleziono miejsce w pewnym zatłoczonym domu w Southam, a Daragh dopóty wyczesywał

włosy Kate, dopóki znów nie stały się czyste.

## Rozdział 8

Chciałam zobaczyć możliwie jak najwięcej z tego, co widziała Tilda i doznać wrażeń, jakich ona doznała, dlatego pojechałam do Harwich, a potem wsiadłam na statek płynący do Hoek van Holland. Kilka dni wcześniej dokonałam kosztownej naprawy auta, by mieć gwarancję, że przetrwa tę podróż. Prom dotarł do portu o wpół do szóstej rano, a ja skierowałam się na północ, do Amsterdamu, z przekonaniem, że Holandia to piękny, schludny, mały kraj z polami, kanałami i łąkami kwiatów...

Amsterdam wyglądał jednak znacznie gorzej. Na kamiennych nabrzeżach kanałów walały się śmiecie, wszystkie mury zabazgrano graffiti. Panował ogromny upał, napięcie ruchu było ogromne i gdy wreszcie odnalazłam hotel, mokra od potu bluzka lepiła mi się do pleców. Zatargałam walizkę do pokoju, wzięłam prysznic i padłam bezwładnie na łóżko, otulona w ręcznik. Chciałam spać, ale nie mogłam, umysł pracował dalej, z niepokojącą łatwością przeskakiwał z Tildy na Daragha i Patricka, mieszał chłodne, ponure drogi wodne wschodniej Anglii z kanałami, jakie wypatrzyłam rano. Igrał z bolesnym pragnieniem, by Patrick był tu, koło mnie, bym znów mogła czuć dotyk jego nagiej skóry i by słoneczne ciepło bijące z niezastłoniętego okna okazało się ciepłem jego ciała. Tak bardzo tęskniłam za *R S*

Patrickiem - każdą obsesyjną myślą, każdym, uderzeniem serca.

Usłyszawszy odgłosy bomb spadających na błyszczące dachy Amsterdamu, usiadłam na łóżku z bijącym sercem i oczyma szeroko otwartymi z przerażenia. Dopiero wtedy zrozumiałam, że śniłam i wróciłam do pełni lata 1940 roku.

Ubrałam się, po czym, uzbrojona w mapę, poszłam szukać kawy. Przedtem odwiedzi-

łam Amsterdam dwukrotnie - z Tobym. Pamiętałam Rembrandty w Rijkmuseum, tramwaje wodne pływające nocą po kanałach i ich odbicia w wodzie. Na Amsterdam przeznaczyłam dwa dni - w czwartek miałam jechać do Scheveningen na wywiad z Leilą Gilbert, córką Hanny Schmidt - i nie mogłam sobie pozwolić na stratę czasu. W tramwaju wodnym siedziałam obok studentów oraz turystów, patrzyłam na oliwkowozielone wody kanału i dalej, na stare domy bogatych kupców. Tilda i Max przeprowadzili się do Amsterdamu na początku 1940 roku. Przedtem spędzili kilka miesięcy w Paryżu. Po wybuchu wojny Holandia zachowała status państwa neutralnego; Max zdawał sobie jednak sprawę z niepewności tej sytuacji. Rosi Liebermann - jak sama mi powiedziała - została w Anglii z ciotką Sarah. Max uważał, że wywiezienie dziewczynki za granicę może się okazać bardzo dla niej niebezpieczne. Nie po raz pierwszy i nie ostatni w życiu Tilda musiała dokonywać bolesnego wyboru między ludźmi, których kochała. Ale bardzo się jej podobało w Amsterdamie: Jan wstąpił do armii holenderskiej i zostawił Emily z firmą na głowie, a Tilda pracowała tymczasem jako ochotnik w hotelach dla uchodźców. Przyjaźń z dziewczęcych lat rozkwitła na nowo.

Wysiadłam z tramwaju wodnego i zaczęłam iść w kierunku domu van de Criendtów.

Jan van de Criendt sprzedawał meble i dywany. Dywany importował ze Wschodu, a meble z całej Europy, również z Anglii. Wiele lat temu wyjechał na wybrzeże i teraz jego dom pełnił

rolę baru; maleńkie stoliczki wystawione na zewnątrz okupowali turyści. Usiadłam na wolnym krześle, po czym zamówiłam kanapkę i piwo. Zajrzałam do ciemnego wnętrza, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić Tildy i Emily śmiejących się, plotkujących wśród perskich dywanów i starych zegarów. Podczas gdy czekałam na lunch, wyjęłam notatnik z torebki i szybko go przejrzałam. W kwietniu 1940 roku armia niemiecka najechała Norwegię, a Max omal nie wysłał Tildy wraz z dziećmi do domu. Joshua zachorował jednak na odrę i nie mógł podróżować, a zanim wyzdrowiał, marynarka brytyjska dotarła do brzegów Norwegii.

Pesymizm Maksa uległ - nie po raz pierwszy zresztą - optymizmowi Tildy i jej radości ży-

cia. Tilda - jak sama mi tłumaczyła - po prostu nie dopuszczała do siebie myśli o najgorszym. Patrzyła na łódki wyładowane czerwono-żółtymi serami i bajecznie kolorowymi tuli-panami, na kobiety szorujące schody i nie wierzyła, że ktokolwiek może - celowo i brutalnie

- zniszczyć ten cudowny spokój.

Wypiłam piwo, zjadłam kanapkę, a potem poszłam wolno z powrotem do hotelu, ciesząc się wieczornym słońcem padającym na moje odsłonięte ramiona i nogi. Odnosiłam wrażenie, że w mieście mieszkają tylko kochankowie - wystawali na mostach, oglądając swoje odbicia w wodzie, całowali się na rogach ulic, a ich namiętność wykluczała obecność reszty świata. Myślałam o Patricku, o popołudniu na farmie i nocy, jaką spędziliśmy w ma-

łym hoteliku w Penrith, po czym zamknęłam oczy i zaczęłam za nim tęsknić. Zastanawia-

łam się również, czy strach Tildy przed rozstaniem z Maksem - strach tak nietypowy dla tej niezależnej i walecznej kobiety - łączył się w jakikolwiek sposób z Daraghem; czy pozbawiona zajęcia i samotna wracała myślami i pragnieniami do swojej pierwszej miłości. My-

ślałam o Tildzie, która czekała tu w Amsterdamie, w 1940 roku, na to, aż rozszałe się burza.

\* \* \*

Nigdy nie spała dobrze w czasie nieobecności Maksa. Wczesnym rankiem usłyszała zgrzyt klucza w zamku i włączyła lampę.

- Max.

- Ciii. - Położył palec na ustach i usiadł przy niej na łóżku. Nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza przeciwdeszczowego, a na jego butach widniało błoto. Wydawał się chudszy, pod oczami miał sińce.

- Jesteś głodny? - Chwyciła go za rękę. - Przygotować ci coś do jedzenia?

Potrząsnął głową.

- Przepraszam, kochanie. Nie zamierzałem cię obudzić. - Zdjął płaszcz i marynarkę, rozwiązał krawat. Nie spała, przyglądała mu się uważnie.

- Było okropnie?

- Bardzo źle. - Nigdy nie mówił nic więcej. Głowę podzielił na dwie szufladki - w jednej tkwiła praca, w drugiej rodzina.

- Idziesz do łóżka?

- Jeszcze nie. - W ponurym świetle jego oczy nie wydawały się niebieskie, tylko czar-  
ne. - Zarezerwowałem dla ciebie i dzieci bilety na prom.

- Na kiedy?

- Na jutro. Chciałem wrócić wcześniej, ale coś mnie zatrzymało. Musisz wyjechać, Tildo.

- A ty? - szepnęła.

- Ja jeszcze trochę tutaj zostanę. Martin Willet przyjedzie po ciebie w porze lunchu i zawiezie do Hoek. - Martin był korespondentem jednej z amsterdamskich gazet.

Poczuła, że robi jej się zimno.

- Wracaj z nami.

- Nie mogę. - Miał bardzo poważną minę. - Wytrwam do końca. To mój obowiązek.

Pomyślała, że wyraz „koniec” brzmi wyjątkowo złowieszczo. Zostawiała Maksa samego w upadającej i niebezpiecznej Europie. Przytuliła mocno męża, kryjąc załzawioną twarz na jego ramieniu.

Poranne pakowanie, decyzje, co zabrać, a co zostawić, nie pozwoliły jej zapomnieć o niepokoju związanym z wyjazdem Maksa. Tilda założyła mu na szyję szczęśliwą monetę znaną niegdyś w Southam, a potem mocno go przytuliła. Gdy wyszedł, stała przez chwilę przy oknie, z zamkniętymi oczami, odwrócona plecami do dzieci. Potem znów znalazła sobie masę zajęć - biegła po domu i upewniała się po raz setny, czy aby niczego waż-

nego nie zostawiła. Pod łóżkiem Melissy znalazła szmacianą lalkę, a za oparciem krzesła śpiwór Williama van de Criendta. Kiedy przyjechał Martin Willet, pomogła mu włożyć bagaże do auta. Potem zamknęła frontowe drzwi, wrzuciła klucz do skrzynki na listy i już się nie odwróciła.

Podróż przez sieć wąskich, kamiennych uliczek i garbatych mostów wydawała się jej irytująco długa. Chciała wreszcie znaleźć się w domu i ułożyć sobie życie od nowa. Martin zatrzymał auto przed sklepem Emily, Tilda chwyciła śpiwór Williama i wbiegła do środka.

W sklepie nie było nikogo - na ciemnych, wypolerowanych stołach, malowanych komodach oraz rzeźbionych lustrach zbierał się kurz. Tilda zawołała przyjaciółkę i weszła na strome, wąskie schody.

Znalazła ich w kuchni. Emily - blada i wymizerowana - wyglądała fatalnie.

- William złapał chyba grypę. Nie spał całą noc - powiedziała, patrząc na Tildę. - Co się stało? Mów!

*R S*

- Wracamy do Anglii. Mamy zdążyć na ten prom w południe.

- Ach tak. - Te dźwięki przypominały bolesne westchnienie.

- Jedź z nami, proszę cię. Max odsyła nas do domu, bo sądzi, że Niemcy zaatakują Holandię. - Tilda dostrzegła przerażenie w oczach Emily. - A on się zna na takich sprawach.

Nie wolno ci tu zostać, nie będziesz bezpieczna. Wracaj do Anglii.

- Będę tu czekać na Jana. - Słońce rzuciło na jej twarz ciemne cienie. Próbowwała się uśmiechnąć. - Nic mi nie grozi. W piwnicy mam całą masę puszek i innych rzeczy. Tak na wszelki wypadek. Poza tym Jan mówi, że to nie potrwa długo. Niemcy nie pokonają przecież Holandii, Belgii i Francji, prawda?

Tilda poczuła dziwny ucisk w gardle. Przypomniała sobie Ely, szkołę panny Clare i te czasy, kiedy zarówno ona, jak i Emily były zakochane w Daragh Canavanie.

- Nie wyglądasz dobrze, Em - powiedziała łagodnie.

- Po prostu się nie wyspałam. - Miała twarz białą jak papier i zapadnięte oczy.

- Muszę bieć. - Głos Tildy załamał się nagle.

- Powodzenia, dziewczyno.

- Emily? - Wyraz jej twarzy zaniepokoił Tildę nie na żarty. - Emily? Co ci dolega?

- Nic - jęknęła. - Nic.

- Emily. - Tilda położyła jej rękę na ramieniu. - Chyba nie jesteś chora.

Emily długo milczała.

- Kłuje mnie strasznie w boku - wyjąkała w końcu z trudem. - Już od dwóch dni. Czuję się coraz gorzej. I mam takiego stracha... - Urwała i przymknęła oczy, ale gdy się ponownie odezwała, była znów starą, pewną siebie, butną Emily. - To na pewno jakieś głupstwo.

Musisz już iść, Tildo, spóźnisz się na prom. Idź. Proszę. - Odwróciła twarz.

Tilda wahała się przez chwilę, po czym przytuliła Emily i pobiegła do samochodu.

Przez całą drogę z Amsterdamu do Hoek dzieci zasypywały ją pytaniami, domagały się na-poi i zabaw, a ona odpowiadała im zupełnie machinalnie. Za nimi rozciągała się zielona równina, ale Tilda nawet tego nie widziała. Przed oczyma miała nadal przerażoną, chorą, samotną twarz Emily.

W Hoek van Holland Martin wyładował bagaże z auta, Charlotte wzięła Melissę za rękę, a Tilda niosła Joshuę. Razem przebijali się przez tłum żołnierzy i marynarzy. Na dźwięk syreny Joshua o mało nie wyrwał się matce z rąk. Skrzeczały mewy, w powietrzu *R S*

unosił się gęsty zapach ryb, soli i ropy.

Kolejka oczekujących na prom posuwała się wolno przez foyer.

- Ty już jedź do Amsterdamu - powiedziała Tilda, odwracając się do Martina. - Damy sobie radę.

- Ale Max...

- Naprawdę. Niczego nam nie trzeba. - Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

- Zmykaj.

Martin uchylił kapelusza i zniknął w tłumie. Melissie znudziło się czekanie i Tilda zaproponowała jej grę w zgadywanki. Joshua wyśliznął się wreszcie z ramion matki i zaczął

jeździć na pupie po podłodze, udając syrenę. Tilda upominała go łagodnie od czasu do czasu i ani na chwilę nie przestawała myśleć o Emily. Jan wyjechał, Emily niestety nie wiedziała dokąd. William był bardzo przeziębiony. Jedyne krewny Jana, młodszy brat Felix, mieszkał

bardzo daleko, w północnej Holandii. Większość sąsiadów Emily stanowili panowie w podeszłym wieku albo starsze małżeństwa, a ona nie знаła nikogo w Amsterdamie i nadal bardzo kiepsko mówiła po holendersku. Tilda przygryzła paznokcie, wytarła małemu nos, zaprowadziła Melissę do toalety i przypomniała sobie, jak wyglądała jej przyjaciółka, kiedy mówiła, że strasznie ją coś kluje w boku.

Doszli do okienka, przy którym sprawdzano bilety.

- Cztery osoby? - spytał steward.

- Trzy - odparła Tilda i oddała synka Charlotte. - Muszę wracać do Emily. Jest bardzo chora. - Ta decyzja wydała się jej nagle zupełnie oczywista. Charlotte wlepiła w Tildę przerażony wzrok.

- Dasz sobie radę, Lottie. - Tilda pogrzebała w portmonetce i wyjęła z niej wszystkie angielskie pieniądze, jakie dostała od Maksa. - W Harwich wsiądziesz do pociągu, a z dworca weź taksówkę. Tu masz klucze od mieszkania. Wrócę za dzień lub dwa. Muszę się upewnić, czy z Emily na pewno wszystko w porządku. - Słyszac groźne pomruki kolejki, przesunęła się o krok.

- Ależ pani Franklin... - zaczęła nerwowo Charlotte.

- Max zrozumie. Poza tym będę w Londynie szybciej niż on.

- Bardzo proszę do przodu - powiedział ktoś z arystokratycznym angielskim akcentem.

*R S*

- Smaruj Joshuę maścią i pilnuj Melissy przy myciu zębów. Ona lubi zjadać pastę.

- To naprawdę wyjątkowo nierozsądne z pani...

- I oboje muszą zażywać ekstrakt słodowy. Joshua zawsze prosi o sucharka do swojej porcji.

Melissa patrzyła za odchodzącą matką z otwartą buzią i przerażeniem w oczach. Josh pomachał jej tylko tłustą rączką na pożegnanie. Ze skurczoną z bólu twarzą dziewczynka usiłowała wyrwać się Charlotte. Jakiś łokieć wbił się Tildzie pod łopatkę. Charlotte odwró-

ciła się tylko raz, uśmiechnęła łzawo i zniknęła wraz dwojgiem dzieci na promie. Opuszczona Melissa zaniósła się głośnym, piskliwym płaczem.

Tilda poczuła ukłucie pod żebrem i pomyślała, że to serce. Stanęła z boku, świadoma straszliwej samotności, przerażona swoją nieodwracalną decyzją. Popychała ją grupka spóź-

nionych pasażerów, jakaś kobieta w jedwabnej sukni, mężczyźni w pasiastych bluzach. Tilda zaczerpnęła głęboko powietrza i przepchnęła się przez halę kasową w kierunku dworca.

Wszystkie jej wątpliwości zniknęły, gdy po powrocie do Amsterdamu wbiegła na schody domu van de Criendtów, po czym znalazła Emily skuloną na kanapie, z termoforem na brzuchu. William bawił się na podłodze. Na widok Tildy Emily aż rozszerzyła oczy ze zdziwienia i spróbowała się podnieść. Tilda obiecała przyjaciółce, że złapie nocny prom, jeśli lekarz uzna, że wszystko jest w porządku. Ale stary doktor, wywleczony niemal siłą z gabinetu, rozpoznał u pacjentki zapalenie wyrostka i jeszcze tego samego wieczoru przeprowadził operację. Tilda została w mieszkaniu Emily, by opiekować się Williamem. Był

piąty maja. Wieczorem, dziewiątego, Emily wypisała się z kliniki, wsiadła do taksówki i pojechała do domu. Rano, dziesiątego maja, wojska hitlerowskie zaatakowały Holandię.

Kiedy pierwszy samolot przeleciał nad Amsterdamem, Tilda właśnie karmiła Willa.

Najpierw zaczęła kląć, gdyż się bała, że hałas zbudził chorą, która przez całą noc nie mogła zmrużyć oka. Potem jednak ogarnął ją paniczny strach. Gdy William skończył jeść, położyła go z powrotem do łóżeczka i w szlafroku wybiegła na dwór. Na ulicach stały tłumy ludzi -

wszyscy patrzyli w niebo. Samoloty zataczały wielkie koła, na ich ogonach widniały swastyki.

Emily leżała otulona kocem na kanapie, a Tilda patrzyła na żołnierzy, wybiegających

- zupełnie jak podczas zabawy w chowanego - zza domów i zakrętów. W ciągu dnia do kobiet

dochodziły sprzeczne wiadomości. Według jednych Holendrzy się poddali, według R S

drugich to Niemcy zrezygnowali z natarcia. Jeszcze inni twierdzili, że niemieccy spadochroniarze wylądowali na północy Holandii i wysadzają kanały zabezpieczające ląd przed morzem. Jedenastego maja nakazano wszystkim uchodźcom niemieckim pozostanie w domach. Trzynastego maja sąsiadka Emily poinformowała Tildę ze łzami w oczach, że królowa Wilhelmina odpłynęła statkiem do Anglii. Emily nie chciała w ogóle w to uwierzyć. W

piekarniach nadal nie brakowało chleba, kobiety zamiatały schody; wszystko wydawało się całkowicie normalne. Następnego dnia człowiek, który sprzedawał kwiaty na ulicy, powiedział im, że naziści zbombardowali Rotterdam, w wyniku czego zginęło trzydzieści tysięcy ludzi. Dochodzące z oddali odgłosy i chmury dymu uwiarygodniały te plotki.

Tilda spakowała torbę, a w nocy gotowała i prała, tak by po jej wyjeździe przyjaciół-

ka nie miała problemów z zajęciami domowymi. Emily zwlokła się z łóżka i pętała po mieszkaniu; ustawiczny ból szwów potęgował jej słabość i fatalne samopoczucie. Radio grało bez przerwy, BBC podawało uspokajające wiadomości, natomiast audycje w języku holenderskim żadna z nich nie rozumiała. Co chwila odbiornik zaczynał skrzeczeć i trzeba było od nowa łapać falę. Ilekroć Emily natrafiła na niemiecką stację, klęła i kręciła niecierpliwie gałką, a na jej maleńkiej, okrągłej twarzy pojawiała się wściekłość.

Wieczorem piętnastego maja ktoś załomotał do drzwi, a Tilda zbiegła na dół, by otworzyć. Na progu stała kobieta z dwojgiem dzieci. Mówiła po holendersku, stanowczo za szybko dla Tildy, ale z jej tonu i gestów wynikało wyraźnie, że jest bardzo zdenerwowana.

- Ona mówi, że dziś z Ijmuiden odpływa łódź do Anglii.

Tilda popatrzyła na Emily, która - ubrana tylko w koszulę narzuconą na szlafrok - stanęła na schodach.

- Mąż tej kobiety czasem pracuje dla Jana - wyjaśniła Emily i zwróciła się do kobiety łamanym holenderskim.

Nastąpił znów potok słów kompletnie niezrozumiałych dla Tildy.

- Ona chyba mówi, że te dzieci, Hanna i Erich, to uciekinierzy z Niemiec, Żydzi. Musi ich zawieźć do Ijmuiden na statek do Anglii. Ale nie potrafi prowadzić i nie ma samochodu.

Pyta, czy jej pomożę.

Kobieta - najwyraźniej wyczerpana - zamilkła, dzieci - kilkunastoletnia dziewczynka i dziewięcioletni, może trochę starszy chłopiec - zbladły z przerażenia.

- Zabierz ich, Tildo - powiedziała Emily. - Weź samochód Jana i jedź do Ijmuiden. -



Zdobyła się na uśmiech. - William i ja damy sobie radę. Czuję się znacznie lepiej. Wracaj do domu.

Po pół godzinie Tilda wyjeżdżała już z Amsterdamu. Na drogach kłębiły się tłumy - w autach, na rowerach, w dorożkach, a także pieszych; wszyscy uciekali z miasta. Dzieci siedziały obok Tildy na przednim siedzeniu. Samochód przewozowy Jana okazał się duży i ciężki, trudny do prowadzenia. Tilda jechała po zatłoczonych ulicach tak szybko, jak się da-

ło, wyprzedzając ciężarówki i rowery. Ramiona bolały ją od wysiłku.

Na drodze do Ijmuiden zwolniła. Samochody prywatne zmieszały się z ciężarówkami i jeepami należącymi do wojska. Raz zatrzymał ich żołnierz, który zajrzał do środka przez okno. Mały Erich aż skurczył się ze strachu i siedział tak nieruchomo, jakby go prawie nie było. Tilda wyjaśniła wojskowemu, dokąd zmierzają, więc pozwolił im jechać dalej. Z przeciwka zbliżała się spora grupa samochodów zmierzających z powrotem do Amsterdamu.

Tilda znów poczuła, że ogarnia ją strach. Kolejny żołnierz zastąpił im drogę, zahamowała gwałtownie. I znowu Erich znieruchomiał, a Hanna objęła go ramieniem. Żołnierz zadał im parę wrzaskliwych pytań, a następnie puścił wolno.

Musiała zdążyć. Musiała.

Wąskie kanały przecinały płaskie, zielone pola, na których pasło się bydło. Przesuwający się z wolna krajobraz do złudzenia przypominał Moczary. Szosa była za wąska, by Tilda mogła wyprzedzać wlokące się przed nią pojazdy, tym bardziej że z przeciwka nadjeż-

dzał cały sznur powracających do miasta. Zaczynała odczuwać ból napiętych mięśni, ale znajdowali się już niedaleko portu. W oddali majaczyły kontury przycumowanych statków.

Zaparkowała auto na poboczu, podała dzieciom walizki, przerzuciła torbę przez ramię, chwyciła swoich podopiecznych za ręce i zaczęła biec. Wokół niej rozbrzmiewały angielskie głosy. A więc Brytyjczycy dotarli do Ijmuiden. Serce zabiło jej mocniej. Na horyzoncie ukazały się kłęby dymu, a iskry i błyski rozświetlające ciemne niebo do złudzenia przypominały fajerwerki. W górze krążyły samoloty. Samochody i wozy zebrały się w ciasną grupkę wokół portu. Tilda dostrzegła statek - zniszczony parowiec wojenny. Na jego dziobie widniała nazwa „SS Bodegraven”. Zostało jej do przebiegnięcia zaledwie sto metrów, kiedy okręt podniósł kotwicę i zaczął bardzo wolno wypływać z portu.

Stała przez chwilę nieruchomo, wpatrzona w parowiec, próbując złapać oddech. Uległa całkowicie grozie sytuacji. Była uwięziona w Europie, która właśnie pogrążała się woj-R S

nie, a między nią a rodziną szumiało Morze Północne. Nie wiedziała, kiedy znów zobaczy dzieci - za tydzień, miesiąc, może całe lata? Holenderskie i brytyjskie głosy nakazywały zebranym opuszczenie portu. Samoloty pikowały z przeraźliwym gwizdem na „SS Bodegraven”. Tilda nie bała się jednak o siebie, tylko martwiła się czasem i przestrzenią, które dzieliły ją od najbliższych. Zobaczyła, że Erich opada na ziemię i zwija się w małą, sztywną kulkę. Przykłęka natychmiast i pogłaskała go po plecach. Chłopiec kiwał się to do przodu, to do tyłu, nucąc jakąś monotonną melodię. Hanna nie

spuszczała wzroku z Tildy, w jej szeroko otwartych oczach czaiło się przerażenie. Tilda porwała Ericha w ramiona i zniosła go do samochodu.

Kiedy Brytyjczycy wysadzili molo oraz holenderskie tankowce z ropą, buchające płomienie splamiły lazurowe niebo, rzucając czarny cień na morze. Drogi opustoszały i Tilda bez przeszkód dotarła do Amsterdamu. Zobaczywszy światła palące się w oknach wszystkich domów, zrozumiała, że Holandia poddała się bez walki.

Emily nakarmiła dzieci, a Tilda usiadła na kanapie, wbijając wzrok w ścianę. Nie miała pojęcia, co robić; umysł nie pracował tak wydajnie jak dawniej. Emily wcisnęła jej do ręki filiżankę herbaty, ale Tilda nie mogła niczego przełknąć. Ilekroć pomyślała o dzieciach, zarówno pasiasta tapeta, jak i wiszące na wprost zdjęcia Emily w sukni ślubnej oraz Jana i Feliksa na żaglówce zaczynały się jej zamazywać przed oczyma.

Zamrugnęła i przyjrzała się uważniej łódce. Wspominała szczęśliwe dni - ona i Max na pokładzie „Mariki”.

- Felix - szepnęła i przechyliła filiżankę, a herbata wylała się na spodek.

Potem podniosła się z kanapy i zaczęła niezdarnie wkładać płaszcz.

- Tildo? - Emily odsunęła się od siedzących przy stole dzieci. - Tildo, dokąd się wybierasz?

Powiedziała. Emily stała przez chwilę nieruchomo, z szeroko otwartymi oczyma, a potem zniknęła w sypialni. Tilda usłyszała, jak przyjaciółka otwiera szufladę. Gdy wróciła, miała w ręku coś zapakowanego w kawałek materiału.

- To własność mojego teścia - szepnęła, siadając przy Tildzie. - Jan mi to zostawił -

wyjaśniła, odwijając stary wojskowy rewolwer. - Jest naładowany - dodała. - Powinnaś go zabrać, Tildo.

*R S*

Tilda znów zapakowała broń w materiał i wsunęła ją do kieszeni płaszcza. Tak na wszelki wypadek.

Na ulicach już nie było ruchu. Wszędzie panowała dziwna, niepokojąca cisza. Miasto najwyraźniej nie mogło uwierzyć w swoją klęskę. Po raz drugi tego dnia Tilda wyjechała ciężkim samochodem z Amsterdamu.

Musiała włączyć reflektory, bo było ciemno, a ona nie знаła drogi; w ten sposób jednak rzucała się w oczy, co budziło w niej niepokój. Hanna i Erich siedzieli obok, na szerokim przednim siedzeniu, tak samo jak poprzednio. Hanna ścisnęła mocno Ericha za rękę i trzymała na kolanach mapę. Emily udzieliła Tildzie szczegółowych instrukcji, jak odnaleźć dom Feliksa van de Criendta w Den Helder. Odwiedzała go wprawdzie już kilkakrotnie razem z Maksem, ale bała się, że w takich ciemnościach

może nie trafić.

Im dalej na północ, tym droga stawała się gorsza. Samochód podskakiwał na wybojach i bez przerwy wpadał w dziury. Na bezchmurnym, czarnym jak atrament niebie błyszczały gwiazdy. Samoloty zniknęły. Tilda powtórzyła sobie wszystko w myślach jeszcze raz.

Trasa wiodła przez północną Holandię, Alkmaar i dalej wzdłuż kanałów oraz wydm chroniących ląd przed Morzem Północnym.

Uśmiechnęła się do siedzących obok dzieci.

- Już niedaleko.

Hanna odpowiedziała jej uśmiechem. Zachowanie chłopca bardzo martwiło Tildę.

Mały w ogóle się nie odzywał. Miał dziesięć lat i oczy dorosłego człowieka. Droga stała się jeszcze węższa. Bojąc się wpaść do rowu, Tilda zwolniła. Do głowy cisnęły się jej myśli o Maksie, dzieciach i niepewnej przyszłości, ale bezlitośnie je odpychała. Skupiła natomiast całą swoją uwagę na tym, czym się aktualnie musiała zajmować. Czytała więc mapę, szuka-

ła znaków drogowych. Chciała za wszelką cenę dotrzeć na wybrzeże przed świtem. Krajobraz był płaski, poprzecinany kanałami, gdzieniegdzie tylko rosły wysokie drzewa, przeważnie wrzecionowate wierzby. Przemknęło jej przez myśl, że na tak ukształtowanym terenie bardzo trudno się schować. Dostrzegając nagły ruch na poboczu, podskoczyła nerwowo, ale okazało się po chwili, że to tylko tłusta czerwona krowa, która samowolnie zeszała z pola.

Tilda połamała czekoladę na cząstki i dała je dzieciom; Erich upchnął swoje ukradkiem w kieszeni szortów. Zrobiło się późno, obliczyła, że zostało jej do przejechania niecałe trzydzieści mil. Nie spała od wpół do szóstej rano, powieki zaczynały jej ciążyć. Modliła się w *R S*

myślach, żeby zastać Feliksa w domu.

- Boże, spraw, żeby nie straszyły mnie upiory i nie gryzły wygłodniałe diabły.

Na poboczu coś się znowu poruszyło.

- To tylko... - zaczęła Tilda i nagle wstrzymała oddech.

Z całą siłą wdepnęła hamulec i samochód zatrzymał się nagle na środku drogi.

\* \* \*

Dotarłam do Scheveningen wczesnym wieczorem. Miasto lśniło w słońcu. Zameldowałam się w małym hotelu, wzięłam szybki prysznic i rozpakowałam walizki. Z Leilą Gilbert umówiłam się na dziewiątą. Pani Gilbert mieszkała zaledwie o dziesięć minut drogi od mojego hotelu. Przywitała mnie ciepło, a następnie zaprosiła do pokoju. Zobaczyłam przez okno, że w miejsce ponurej szarości, jaka towarzyszyła mi w drodze z Harwich, morze przybrało teraz kolor pruskiego błękitu ze srebrnymi

cętkami. Na plaży bawiły się dzieci; wsypywały piasek do plastikowych wiader.

- Pięknie, prawda? - spytała Leila.

Odwróciłam głowę w chwili, gdy stawiała na stole tacę z kawą i biszkoptami.

- Pięknie - przytaknęłam.

- Moi synowie uważają, że Scheveningen to najnudniejsze miejsce na ziemi, ale ja lubię być nad morzem.

Leila Gilbert, jedyne dziecko Hanny, wychowywała dwóch kilkunastoletnich synów.

W mieszkaniu łatwo dało się zauważyć dowody ich istnienia - w korytarzu stały martensy, podkoszulki suszyły się w łazience, z jednej z sypialni dochodziła głośna muzyka.

Wskazałam fotografię na półce.

- To pani matka?

- Umarła trzy lata temu, a ja w dalszym ciągu strasznie za nią tęsknię. - Podała mi zdjęcie. Między matką i córką istniało widoczne podobieństwo - obie miały wysokie, szero-kie czoła, długie cienkie nosy i kędzierzawe jasne włosy. Po ukończeniu medycyny Hanna została chirurgiem, jej córka wybrała zawód nauczycielki w szkole dla dziewcząt w Hadze.

Nalała kawę i krzyknęła do syna, żeby ściszył muzykę. Wróciłam do notatek.

- Pani matka mieszkała z Tildą po jej wyjeździe z Holandii?

Leila postawiła przede mną filiżankę.

- Po wojnie pojechała do Europy. Chciała sprawdzić, czy ocalał ktokolwiek z jej ro-

dziny. Jednak nikogo nie odnalazła. Wróciła więc do Anglii, dostała stypendium w Cambridge i podjęła naukę na wydziale medycznym. W tym samym czasie studiowała tam Rosi Liebermann, która wybrała literaturę angielską. Obie spędzały u Tildy wakacje. Potem Hanna kontynuowała edukację w Paryżu, a jeszcze później pracowała w Izraelu. Wiele podró-

żowałyśmy. Urodziłam się w Paryżu, ale poszłam do szkoły w Belgii i wyszłam za mąż za Anglika. Teraz mieszkam w Holandii.

- Ciekawa jestem, jak doszło do wyjazdu Hanny z Holandii? Rozmawiałam wprawdzie z Tildą na ten temat, ale bardzo jestem ciekawa, czy matka opowiadała kiedyś pani o tej podróży.

- Dopiero na kilka tygodni przed śmiercią. Była tak chora, że żyła chyba bardziej w przeszłości niż w teraźniejszości. Oczywiście coś niecoś na ten temat słyszałam i przedtem.

Siedziałam z piórem w ręku i robiłam notatki. Większość faktów już znałam od Tildy.

Hanna Schmidt wyjechała z Austrii w 1938 roku i została adoptowana przez starsze holenderskie małżeństwo z Amsterdamu. Mimo iż przeszła na wiarę chrześcijańską, jako Żydów-ka z urodzenia obawiała się prześladowań ze strony nazistów. W 1939 roku holenderska pa-ra adoptowała drugie dziecko - chłopca, Ericha. Hanna czuła się bezpieczna w Amsterdamie, wierzyła, że rodzice i starsi bracia wkrótce do niej przyjadą. To złudzenie prysło w ma-ju 1940 roku, kiedy Niemcy napadli na Holandię. Hanna i Erich nie uczęszczali do synagogi i prawie nie utrzymywali kontaktu z innymi uchodźcami przebywającymi w Amsterdamie.

Z tego właśnie powodu nie dotarła do nich wiadomość, że specjalne autobusy zabiorą ich do IJmuiden. Przybrani rodzice Hanny dowiedzieli się jednak o statku wyczarterowanym dla Żydów na podróż do Anglii i poprosili panią van de Criendt, by zawiozła dzieci do portu.

Ona sama czuła się fatalnie, ale jej przyjaciółka, Angielka, zaofiarowała swą pomoc.

- To była Tilda - ciągnęła Leila. - Matka pamiętała, że zobaczyła ją po raz pierwszy w sklepie pani van de Criendt. Mówiła, że Tilda przypominała jej księżniczkę z ilustracji bajek Andersena.

Pojechali więc razem. Leila opowiedziała mi - podobnie jak Tilda - o wielu przerwach w podróży. Nikt nie poinformował armii holenderskiej o „SS Bodegraven”.

- Statek był do połowy pusty, o wiele więcej osób wydostałoby się na wolność, gdyby zdążyło na czas do portu. Tilda, Hanna i Erich też się spóźnili. Gdy minął pierwszy szok, matka przestała się bać. W trudnych sytuacjach na ogół nie traciła hartu ducha, poza tym *R S*

wierzyła, że przy Tildzie będzie bezpieczna. Ale biedny Erich... - Leila pokręciła głową. -

Miał zaledwie dziesięć lat, a tak wiele przeżyć za sobą.

Wrócili do Amsterdamu, do domu Emily van de Criendt. Hanna pamiętała, że dostała od Tildy specjalne biszkopty. A potem, zanim zdążyła dokończyć herbatę, znów musiała włożyć płaszcz i wyjechać z Amsterdamu.

Leila wyszła z pokoju, żeby poprosić syna o ściszenie muzyki. Wyjrzałam przez okno.

Dzieci zeszły z plaży. Dalszy ciąg historii już znałam. Tilda wyruszyła z Amsterdamu do miasta, gdzie mieszkał Felix van de Criendt. Dotarła na miejsce, obudziła go w środku nocy i...

Leila podjęła opowieść.

- Zrobiło się późno, Hanna co chwila zapadała w drzemkę. Pilotowała też Tildę i trzymała Ericha za rękę, bo wiedziała, że chłopiec się boi. Ona nie odczuwała lęku, dopóki nie zatrzymał ich ten żołnierz.

Podniosłam gwałtownie głowę.

- Jaki żołnierz?

Tilda nie wspomniała ani słowem o żadnym żołnierzu.

- Niemiec, pewnie jakiś zbłąkany maruder, który oddzielił się od reszty batalionu. Był ranny, matka zauważyła, że utyka. Zatrzymał auto.

Przestałam pisać. Z sąsiedniego pokoju dobiegała muzyka Nirvany, ale ja ledwo ją słyszałam.

- Miał broń?

Leila przytaknęła.

- Matka mówiła, że odezwał się do nich po niemiecku i zażądał, żeby wyszli z auta.

Wtedy zaczęła się bać. Tym bardziej że ten żołnierz celował do nich z pistoletu. - Urwała. -

No i wysiedli. Mama ledwo mogła iść, bo ze strachu drżały jej nogi. Żołnierz kazał im stanąć na poboczu, a potem Erich krzyknął, że musi jeszcze coś zabrać i ruszył pędem do wo-zu.

- Co chciał zabrać?

- Jakieś rodzinne pamiątki. Nic wartościowego, ale to było wszystko, co im zostało.

- Ruszył pędem do samochodu - powtórzyłam. - A potem...

- Niemiec podniósł pistolet, Tilda go zastrzeliła, a ciało wrzuciła do rowu.

*R S*

Gapiłam się bezmyślnie na Leilę, niezdolna do wykrztuszenia choćby słowa.

\* \* \*

Uruchomiła auto. Na ubraniu miała czerwone cętki. Hanna płakała, Erich przyciskał

walizkę do piersi. Poczula dziwny kwaśny zapach i zrozumiała, że chłopiec się zmoczył.

Z początku nie mogła normalnie prowadzić. Auto jechało zygzakiem, jakby Tilda była pijana. W końcu jednak udało się jej jakoś nad sobą zapanować. Kazała Hannie podnieść mapę z podłogi. Wiedziała, że powinna porozmawiać z dziećmi na temat tego, co się stało, ale nie potrafiła. Wydawało się jej, że już nigdy z nikim nie będzie mogła o tym mówić. Po-stąpiła dokładnie tak, jak Max - schowała to wydarzenie do maleńkiej szufladki w umyśle i szczelnie ją zamknęła.

Znów rozłożyła mapę. Po policzkach ciekły jej łzy, powędrowała palcem po szlaku.

Powietrze wpadające do auta przez otwarte okno miało słony zapach. Tilda pomyślała, że znajdują

się pewnie niedaleko morza. Trochę podniosło ją to na duchu. Po dramatycznych przeżyciach odczuwała ogromne zmęczenie i bolały ją wszystkie mięśnie. Jechała jak automat, słuchając wskazówek Hanny. Kiedy po kolejnej godzinie jazdy dotarły do Den Helder, Tilda zatrzymała pojazd i siedziała przez chwilę nieruchomo, nie mogąc się poruszyć.

Hanna wyszła z samochodu, po czym otworzyła drzwiczki po stronie kierowcy.

- Proszę - powiedziała nieśmiało, podając jej chusteczkę.

Zerknąwszy w boczne lusterko, Tilda zobaczyła, że na twarzy ma plamy krwi. Napluła więc na chusteczkę, dokładnie się wytarła, a potem dostała torsji.

Od razu poczuła się lepiej. Zdjęła płaszcz, rzuciła go na tylne siedzenie auta i pomogła Erichowi włożyć suche ubranie. Chłopiec miał bardzo bladą, niemal przezroczystą twarz; nadal nucił swoją dziwną monotonną piosenkę. Wyjąwszy walizki z auta, wzięła dzieci za ręce. Mimo ciemności bez trudu odnalazła dom Feliksa i załomotała do drzwi. Ten odgłos zburzył odwieczną ciszę starego portu - wydawał się jej równie przerażający jak wystrzał.

Po chwili Felix otworzył drzwi.

- Tilda! - wykrzyknął.

Włosy miał potargane, ale był całkowicie ubrany.

- Słuchałem radia - wyjaśnił, prowadząc ich do środka.

Opowiedziała mu szybko o chorobie Emily, o Hannie, Erichu i „SS Bodegraven”.

Siedemnastoletni Felix wysłuchał tych nowin z wyraźnym ożywieniem, ale bez niepokoju.

*R S*

Tilda nie wspomniała mu jednak ani słowem o niemieckim żołnierzu.

- Muszę wracać do Anglii - dodała. - Hanna i Erich nie są bezpieczni w Holandii. Po-myślałam więc...

- O łodzi - dokończył. Miał takie same oczy jak Jan - duże, okrągłe, radosne. - Chcesz popłynąć ze mną do Anglii.

- Tak. - Jej pomysł, wypowiedziany na głos, stał się nagle idiotyczny, szalony, nieodpowiedzialny. - Myślę jednak, że Jan... - zaczęła niepewnie.

- Jan nie pozwolił mi wstąpić do wojska. Ale to będzie o wiele lepsza zabawa. W ten weekend wybierałem się na ryby i łódź jest właściwie gotowa. A w spiżarni mam puszki i różne inne rzeczy.

Ruszył w kierunku schowka, ale chwyciła go za rękaw.

- To jest bardzo niebezpieczne. Nie chcę, żeby ci się coś stało. - Mimo metra dziewięćdziesięciu wzrostu i postawnej budowy ciała Felix wydał się jej nagle taki młody. -

Może nie powinniśmy...

- Będzie cudownie - powiedział. Uśmiechnął się szeroko i zaczął naśladować terkot karabinów maszynowych. - Nie martw się, Tildo. Przy sprzyjającym wietrze uda się nam wyciągnąć nawet cztery węzły na godzinę.

Dwa dni po wypłynięciu z Holandii zarzucili kotwicę w pobliżu miejscowości Aldeburgh na wybrzeżu Suffolk. Plażę otaczał drut kolczasty, pilnowali jej starsi mężczyźni w workowatych mundurach. Jeden z nich celował nawet do przybyszy ze starej strzelby, do-póki Tilda nie wyjaśniła mu dokładnie, kim są i skąd się wzięli. W końcu - otuleni w koce wylądowali przy kominku w przedsionku gospody. Mężczyzna ze strzelbą nadal ich obserwował, ale jego podejrzliwość ustępowała powoli miejsca rozczarowaniu.

Zanim dotarli na ląd, wybrzeże spowijała mgła. Raz zobaczyli pomarańczowe iskry i usłyszeli charakterystyczny terkot; ktoś do nich strzelał. Felix przeklinał piaszczysty brzeg oraz przypląwy na wschodnim wybrzeżu. Ucichł wiatr, dzięki któremu pokonali Morze Pół-

nocne. Felix włączył mały silnik i przy jego charakterystycznym akompaniamencie dotarli na kamienistą plażę.

Nawet teraz, już w gospodzie, Tilda nadal czuła kołysanie pod stopami.

- Masz pani połączenie, kochanie. - Żona właściciela pubu wskazała telefon. Dzieci zwinęły się w kłębek przed kominkiem, nawet Felix umilkł.

*R S*

Przejście przez pokój stanowiło dla niej zbyt wielki wysiłek. Drżały jej nogi, a biorąc słuchawkę do ręki, opierała się o bar.

- Harold? Harold? Tu Tilda. Tilda Franklin.

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się głos Harolda Sykesa.

- Tilda! Lottie mówiła, że zostałeś w Holandii!

- Ale teraz jestem w Anglii, Haroldzie. - Trzaski na linii zmuszały ją do krzyku. - W

pubie, w Aldeburgh, na wybrzeżu Suffolk. Max nie wrócił z Europy, a ja nie wzięłam angielskich pieniędzy i nie chciałam tak późno przeszkadzać Lottie. Myślałam, że może ty... -

Głos załamał się jej nagle, była bliska łez. Po przybyciu do Anglii nie czuła radości, jakiej



oczekiwała, a jedynie pragnienie, by znaleźć się wreszcie we własnym łóżku, we własnym domu, z rodziną.

- Suffolk? - powtórzył Harold, gdyż ta informacja wydała mu się najważniejsza. - Jakim cudem tam trafiłaś?

- Przyplłynęłam żaglówką. Szwagier Emily, pamiętasz Emily, prawda, ma łódkę...

Nastała cisza. Tilda myślała nawet przez chwilę, że przerwano połączenie.

- Podaj mi nazwę tego pubu i po prostu zaczekaj - powiedział Harold. - Przyjadę po ciebie.

Popłynęłam nocnym promem do Harwich. Wiał wiatr; w restauracji mój talerz jeździł

pijackim zygakiem po stoliku. Sala świeciła pustkami, pogoda odebrała pasażerom apetyt.

W barze jakaś kobieta grała na keyboardzie i śpiewała. Słuchałam jej przez chwilę, a potem poszłam na pokład. Na ławkach kulili się podróżni o twarzach tak szarych jak na portretach Forda Madoksa Forda. Oparłam się o balustradę i popatrzyłam na morze. Spienione fale i chmury zbierające się na niebie miały podobny, bury odcień. Wyobraziłam sobie, że płynę na małej holenderskiej łodzi rybackiej. Drewniany kadłub podskakuje na falach, woda wle-wa się przez burty na pokład. A wokół szaleje wojna - każdy ciemny cień na niebie może się okazać nieprzyjacielskim samolotem, każdy statek budzi lęk.

Autorem artykułów o wyczynie Tildy był oczywiście Harold Sykes. Właśnie dzięki temu staremu wydze i częściowo wbrew własnej woli Tilda po raz pierwszy w życiu pozna-

ła smak sławy. Opowieść „Anioł bohaterskiej podróży” miał stać się użytecznym antidotum na upadek Francji. Ocalenie dwojga małych uciekinierów z Holandii zwróciło na Tildę uwagę publiczną, a ona - jako kobieta praktyczna - wykorzystała swoją popularność, by *R S*

wesprzeć sprawy drogie jej sercu, otworzyć drzwi, dotąd przed nią zamknięte, i pomóc nieszczęśliwym dzieciom, które tak kochała.

Dopiero teraz zrozumiałam jej powściągliwość. Historię ucieczki z Holandii psuł

przecież incydent z niemieckim żołnierzem. Jeśli Leila Gilbert mówiła prawdę, to Tilda chciała najwyraźniej utrzymać pewne fakty ze swego życia w całkowitej tajemnicy. Zabicie nazisty było oczywiście usprawiedliwione, ale świadomość, że odebrała komuś życie, nie dawała jej spokoju. Czułam jednak do niej żal o ten brak zaufania. Najwyraźniej nie znałam Tildy tak dobrze, jak mi się wydawało. Może wcale?

Zesłam z pokładu, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo pragnę wrócić do Anglii.

Musiałam popatrzeć na historię Tildy w innym świetle. Myślałam również o Patricku -

gdzie jest i co robi. Bardzo mało spałam tej nocy. Prom unosił się i opadał na falach, a jego silniki

ryczały alarmująco, a przy tym tak głośno, jakby się znajdowały w sąsiedniej kabinie.

Gdy następnego dnia dotarliśmy do Harwich, z ulgą wyjechałam na nabrzeże w lśniący, czerwcowy kapuśniaczek.

Spędziłam weekend z Patrickiem. Franklin mieszkał w nowoczesnym budynku z apartamentami otoczonym geranium. Mieszkanie okazało się równie luksusowe jak budynek -

na podłogach leżał lśniący brzoźowy parkiet, w oknach wisiały kremowe zasłony, meble były drogie i eleganckie.

- Jen to wszystko wybierała - powiedział Patrick, kiedy wyraziłam swoje uznanie dla wnętrza, po czym uniemożliwił dalszą dyskusję pocałunkiem.

Nie wychodziliśmy z domu, prawie nie rozmawialiśmy. Istniał tylko język ciała; skóra przy skórze, odgłos uderzeń serca bijącego pod warstwą mięśni i kości, powietrze wypychane z płuc. Rozstaliśmy się dopiero w poniedziałek rano. Patrick poszedł do sądu - ja do siebie. Odsuwając zasłony, podśpiewywałam, a gdy otworzyłam okno, zapach powietrza wydał

mi się słodki. Zaparzyłam kawę i przeglądałam leniwie niedzielną prasę. Skandale polityczne, Irlandia Północna, susza.

Właściwie mogłam tego nie zauważyć, ale maleńki, pozornie nieważny akapit u dołu strony niemal poraził mi oczy.

*Z kanału w Cambridgeshire wyłowiono ludzkie szczątki. Tego ponurego odkrycia dokonano podczas rutynowej naprawy brzegów niedaleko wioski Southam. Po powodziach w 1947 roku przebudowywano wiele dróg wodnych i - według koncepcji policji - ciało zostało R S*

*tam zapewne właśnie wtedy ukryte.*

Daragh - pomyślałam. Nie wiem, czemu zyskałam nagle taką pewność. Daragh.

## **CZEŚĆ DRUGA**

### **Rozdział 9**

Śniła, że znów jest rok 1940, a ona żegluje po Morzu Północnym z Feliksem, Hanną i Erichem. Maleńka łódeczka na wielkiej, groźnej wodzie. Mgła zasnuwająca wybrzeże potę-

guje krzyki mężczyzn na nabrzeżu i szum fal uderzających o wiosła.

Tilda obudziła się. Leżąc w ciemnościach, wspominała, jak bardzo artykuł Harolda Sykesa zmienił jej życie.

- Tilda Franklin? Czy to pani...? - pytali ludzie, gdy się przedstawiała, po czym dodawali jakąś niedorzeczną wzmiankę na temat jej ucieczki z Holandii. Najpierw próbowała tłumaczyć, że chciała

się po prostu dostać do domu, do dzieci, ale również opacznie ją ro-zumiano. ANIOŁ AMSTERDAMU MÓWI: ZROBIŁAM TO DLA DZIECI - trąbiła prasa.

Oburzało ją ustawiczne wracanie do incydentu, o którym pragnęła zapomnieć, a teraz również musiała niejednokrotnie pokonać niechęć, by odpowiedzieć na pytania biografki. NajR S

bardziej jednak irytował Tildę fakt, że jej życie stało się własnością publiczną. Za tą irytacją jednak krył się strach - strach przed natrętnymi pytaniami i nadmiernym zainteresowaniem.

Przed powrotem do przeszłości. Strach nigdy jej nie opuszczał. Nie przestała się wstydzić swego poczęcia, urodzenia i wczesnego dzieciństwa. A bezkrytyczny podziw ze strony obcych odsunął ją jeszcze bardziej od Maksa. Max bowiem zupełnie inaczej potraktował

ucieczkę z Holandii. Dla niego eskapada Tildy oznaczała jedynie niepotrzebne ryzyko i złamanie słowa. A Max przywiązywał zawsze ogromną wagę do obietnic.

Zrobiło się jej zimno. Dawniej, aby odpędzić demony, spacerowała całymi godzinami albo otaczała się rodziną. Wiek redukował człowieka do podstaw istnienia, do pamięci.

Kruche ciało i pamięć, która nie daje spokoju. Tilda miała jednak nadzieję, że odzyska wolność, gdy powie Rebecce wszystko, co okaże się niezbędne do napisania książki.

Teraz jednak nadal czuła się jak w okowach. Ciągnęły się za nią lata pełne niebezpieczeństw, dramatyizmu i trudu. Kiedy zamknęła oczy, próbując się odciąć od przeszłości, dostrzegła twarze tych, których zabrała wojna. Clary Franklin. Feliksa van de Criendta. W

1941 roku Clara Franklin tańczyła w nocnym klubie, gdy uderzyła weń bomba. Tilda pamię-

tała doskonale, jak szukała po całym Londynie czerwonych lilii - ulubionych kwiatów Clary. Max, który pracował za granicą jako korespondent wojenny, nie mógł być obecny na pogrzebie matki. Dołożył w ten sposób kolejną cegłę do muru, jakim się otoczył. Max nie potrafił opłakiwać ani tej matki, którą stracił, ani tej, której nigdy nie miał. Z trudem wyszar-pywane, niezadowolające dni spędzane z mężem naznaczyło zmęczenie fizyczne i emocjonalne. On nie miał ochoty mówić, ona była zanadto zajęta, aby cokolwiek z niego wyciągać.

Obawiała się poważnie, że już nigdy nie zapanuje między nimi dawna bliskość. Co gorsza, zaczęła podejrzewać, iż dotąd tworzyli jedynie pustą, pozbawioną znaczenia budowlę z piasku.

Przez całą wojnę ścigała ją ironia - ironia polegająca między innymi na tym, że nie ocalał ten, kto uratował Hannę i Ericha przed niechybną śmiercią. Felix van de Criendt wstąpił do RAF-u, kiedy tylko skończył osiemnaście lat. Zginął w 1942 roku: niemiecki samolot wyśledził pilotowany przez niego bombowiec, kiedy Felix był już w drodze do bazy.

Van de Criendta zestrzelono tuż przed lotniskiem, prawie w domu. Okrutna śmierć zadrwiła z brawury i młodości. Tilda opłakała Feliksa i czuła się winna tej tragedii, bo to ona sprowadziła go do Anglii.

Kolejna ironia losu to to, że Franklinowie przetrwali szczęśliwie wiele nalotów, a rakieta V-2 zniszczyła ich dom w ostatnim roku wojny. Kiedy Max sprzeciwił się stanowczo pozostaniu Tildy w Londynie jesienią 1940 roku, powiedziała mu tylko, że czuje się bezpieczna. Dzieci wysłała do ciotki, do Southam, a sama wróciła do miasta, bo miała masę pracy. Kiedy skończyły się najgorsze ataki lotnicze, dzieci przyjechały do domu. A potem, kilka lat później, wracając z zakupów, Tilda ujrzała kłęby dymu buchające z ulicy, przy któ-

rej mieszkała. Bomba uderzyła w rząd segmentów z ogródkami, w tym dom Tildy i dwa są-

siadujące z nim budynki. Mały, zadrzewiony skwerek zaśmiecił połamane gałęzie i opadłe liście, wózek z powyginanymi kółkami przewrócił się na chodnik. Nieruchomych pasażerów stojącego na rogu auta pokryła gruba warstwa pyłu, niczym żałobny kir. Ktoś przygotował

Tildzie filiżankę herbaty, biorąc jej milczenie za szok lub rozpacz po tym wszystkim, co straciła. Ona jednak odczuwała tak wielką ulgę, że o mało nie zemdląca. Ani Melissie, ani Joshowi nic się nie stało i w porównaniu z tym zburzenie domu, jaki oboje z Makssem budowali przez ostatnie dziesięć lat, wydawało się jej zupełnie nieważne. Kiedy dzieci wróciły ze szkoły, Josh zaczął biegać wśród ruin i kurzu, zachwycony nowym, dziwnym krajobrazem, a Melissa płakała.

- Taki rozgardiasz - szeptała. - Wszystkie moje rzeczy są zniszczone.

Hanna i Rosi jak zwykle zachowały się rozsądnie i próbowały ją pocieszać, a Erich patrzył na ruiny, pokaszując i obgryzając skórki wokół paznokci. Potem zabrali wszystko to, co nadawało się do zabrania, i pojechali do Sarah. Do Southam.

Powieki zaczęły jej ciążyć. Woląca nie myśleć o Southam. Nie chciała wracać do Southam wtedy, nie chciała tam wracać teraz. A jednak obrazy nadal się pojawiały. Maj 1945

roku. Dzień Zwycięstwa. Flagi w ratuszu. Ulga. Zmęczenie i nieustający smutek zamiast radości. Ucieczka przed trajkotaniem kobiet i dzieci, bieg ścieżką obok kościoła w stronę kanału. Siedzenie na brzegu, patrzeć na pola tam, gdzie pierzaste, niebieskie chmury uwiły sobie gniazdko na horyzoncie. Przymknięcie oczu, wdychanie zapachu kwiatów.

Tawule i rumianki. Nadal czuła ich woń.

Pamiętam.

Wstała, otrzepała z trawy sukienkę i poszukała wzrokiem Josha.

- Co za chłopak - powiedziała głośno, ze złością. Josh był typem wędrownika.

Skrajem pól szedł tylko jeden samotny mężczyzna.

- Panie de Paveley! - krzyknęła, biegnąc wzdłuż rzeki. Twarz mężczyzny zasłaniało rondo słomkowego kapelusza.

Od powrotu do Southam Tilda widziała Kita już kilkakrotnie - kiedyś, jak wysiadał z autobusu, potem znów, gdy wracał ze szkoły, przy innej okazji w kolejce po znaczki na pocztce. Ani o nim, ani o Joscelin nie myślała nigdy jak o swojej rodzinie. Próbowwała w ogóle zapomnieć o tym, że łączy ich jakiegokolwiek pokrewieństwo.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale czy nie widział pan przypadkiem małego chłopca... ośmiolatka... ubranego...

- Tilda usiłowała sobie przypomnieć, co też Josh włożył tego ranka - w szorty i swete-rek w paski.

Kit potrząsnął głową.

- Skąd pani to ma? - spytał nagle, patrząc na talizman, który odebrała od Maksa: stary pieniążek zawieszony na szyi.

- To? - Znalazłam gdzieś na brzegu. Wiele lat temu. Dokładnie nie pamiętam.

- Mogę zobaczyć?

Zdjęła monetę przez głowę i podała Kitowi.

- Jest bardzo stara?

- Rzymska. Srebrna. Raczej rzadka. Znalazłem tu sporo skorup, ale bardzo mało monet. Poza tym wszystkie z brązu. - Jasne oczy Kita lśniły radością. - Rzymianie pierwsi osuszyli Moczary. Sądzę, że była tu kiedyś osada. Na plebanii odkryłem płytki mozaikowe, a wszędzie są ślady robót ziemnych. Nadal pozostaje kwestią sporną, czy Rzymianie istotnie dotarli tak daleko na wschód, ale zamierzam udowodnić...

Urwał.

- Przepraszam bardzo, pani Franklin. Pani syn...

- Josh na pewno zaraz się pojawi. Jak zawsze. Chciałby pan zatrzymać tę monetę, panie de Paveley?

Na blade policzki Kita wypłynął rumieniec.

- Nie mógłbym...

- Proszę. - Uśmiechnęła się. - Bardzo mi na tym zależy, żeby pan ją przyjął. Kiedy zyska pan sławę i urządzi pan wystawę w British Museum, proszę napisać na plakietce: „Dar Tildy Franklin”, a ja poczuję się należycie uhonorowana.

Coś ją obudziło; krzyk ptaka lub też turkot samochodów na drodze. Usiadła na łóżku i popatrzyła w ciemność. Serce biło jej bardzo mocno. Nie wiedziała, co zobaczy, gdy odstłoni kotary: dziki, piękny ogród wokół Czerwonego Domu, czy płaskie pola i wąskie kanały Southam?

Gdy sięgała do włącznika lampy, obolałe ciało przypomniało jej, że jest już stara i mieszka sama w Oxfordshire. W sypialni zrobiło się jasno, ale Tilda tęskniła za świtem.

Wczesnym rankiem kumulowały się wszystkie jej lęki i zawsze o tej porze najostrej zdawała sobie sprawę z bliskości śmierci. Umysł skażony wspomnieniami tonął w wyrzutach sumienia. Gdyby... gdyby... Ta okropna nieugiętość przeszłości. I jej niezmiennność.

Zaczynały ją męczyć wizyty biografki, choć bez nich nie mogłaby zrealizować swych zamierzeń. Pomieszane wspomnienia, które tak długo leżały w ukryciu, wypłynęły na powierzchnię - kolorowe, słodkie, bolesne. Znów pomyślała o Kicie. Trzymał monetę w dłoni i patrzył na nią oczyma rozświetlonymi czymś w rodzaju tęsknoty. Zaczęło się jej wydawać, że zarówno Rebecca, jak i Kit wykonywali podobny zawód - oboje ryli w ciemnościach, usiłując w nich odnaleźć bryłki srebra, fragmenty prawdy.

\* \* \*

Zadręczywszy nadopiekuńczą sekretarkę Patricka, wreszcie złapałam go w domu.

Przeczytałam mu natychmiast akapit z gazety.

- W pobliżu kanału Cambridgeshire odnaleziono ludzkie szczątki. W Southam, Patricku.

- Cholera!

- To mógł być Daragh.

- Lub ktokolwiek inny.

- Ale jeśli...

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Na razie zostaw to mnie. - Urwał. - I nie mów nic Tildzie. Po co ją niepotrzebnie martwić?

Zgodziłam się szybko. Zamieniliśmy jeszcze parę słów, ale odniosłam wrażenie, że Patrick nie ma czasu, więc - pełna niepokoju - pożegnałam się i położyłam słuchawkę.

„Cholera” - powiedział. Sądziłam, że się zdziwi albo zdenerwuje. Ale on był wyraźnie zły.

Zatelefonował parę dni później i zaprosił mnie do siebie. Tam napełnił szklaneczki *R S* winem.

- Udało mi się skontaktować z kimś z tamtejszej policji. Oczywiście nieformalnie -

facet był mi coś dłużny.

Podniosłam na niego wzrok.

- I co? To było morderstwo?

- Znalaziono kawałki rzemienia. Trup miał związane ręce i nogi. Tak, myślą, że popełniono morderstwo - dodał ponuro. Po takim czasie trudno o materiał do analizy laboratoryjnej, ale już sam fakt, że zwłoki ukryto... - Nie dokończył.

- Zidentyfikowali ciało?

- Nie znaleźli żadnego charakterystycznego zegarka ani sygnetu... W każdym razie to szkielet dość wysokiego, raczej młodego mężczyzny. Nic poza tym.

W chwili zaginięcia Daragh liczył sobie około trzydziestu pięciu lat. I był wysoki. Na mojej tablicy nad biurkiem wisiało jego zdjęcie. Stała mi przed oczami chytra, przebiegła twarz mężczyzny...

- Wiedzą, kiedy on zginął?

- Powódź w marcu 1947 roku zniszczyła kanał, ale w ciągu kilku tygodni przeprowadzono remont. Policja dopiero niedawno rozpoczęła oględziny, ale chyba do tego lata, kiedy rozpoczęto roboty i znaleziono ciało, nikt tam nie wykonywał żadnych robót.

Co oznaczało, że zwłoki leżały w ukryciu od sierpnia 1947 roku. Wtedy właśnie zginął Daragh. Popatrzyłam na Patricka.

- Podejź tutaj - poprosił.

Zbliżyłam się do niego. Wyjął mi z ręki kieliszek i postawił go na stole, a potem zaczął rozpinać mi bluzkę.

- Nie mogą wykluczyć możliwości - powiedział, odrywając usta od mojej piersi - że ofiarę pogrzebano żywcem.

Zadrżałam.

- Zimno ci? - spytał.

Potrząsnęłam głową. Koszula ześliznęła mi się na podłogę.

- Co za okropna śmierć. Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego. - Zaczęłam całować Patricka, przyciągając do siebie jego głowę, badając językiem wnętrze ust, tak jakby zagłębianie się w tym ciepłym ciele mogło odsunąć ode mnie obrazy, jakie kłębiły mi się w

głowie.

Kochaliśmy się na wypłowiłym, kremowym dywaniku - żądza nie pozwoliła nam przejść tych kilku metrów do sypialni. Skóra Patricka miała słony smak, a dotyk jego rąk rozpałał mnie do białości. Pomyślałam o Daraghu - pogrzebanym za życia w ciemnościach kanału i o łopatach ziemi spadających mu na piersi. Ale później bolesna przyjemność, której nie potrafiłam się oprzeć, zaatakowała mnie zniemacka z całą swoją siłą i usłyszałam, jak mój własny okrzyk rozkoszy odbija się od ścian i parapetów okien.

Spędziliśmy tę noc razem, a następnego ranka wstaliśmy wcześniej; Patrick musiał lecieć do Edynburga w interesach, ja pojechałam taksówką do siebie, wzięłam prysznic, wypi-

łam kawę i spróbowałam się skupić na pisaniu. Przez kilka ostatnich dni opracowywałam fragment biografii Tildy z czasów wojny. Choć rakietą V-2, która wylądowała na jej domu w styczniu 1945 roku, zniszczyła część pamiętników i zapisków, to wiele informacji odnalazłam w prasie i gazetach. Tilda stała się bowiem w tym czasie osobą publiczną. Pracowała nadal przy *Kindertransporte*, a w 1944 roku mocno zaangażowała się w ewakuację dzieci z Londynu, w czasie gdy tak bardzo się obawiano bomb V-1, tzw. latających. Wyobraziłam sobie, jak podróżuje po Anglii w zatłoczonych pociągach lub jeździ rowerem po nieoświetlonych, nieoznakowanych drogach, by sprawdzić, jak wyglądają kwatery jej podopiecznych.

Charlotte Sykes wstąpiła do służby pomocniczej pod koniec 1940 roku i Tilda mogła liczyć tylko na pomoc ciotki przy dzieciach. Po 1945 Max został w Niemczech, by opisywać proces norymberski, a Tilda miała coraz mniej zajęć. Wojna ją jednak odmieniła. Przez tych kilka tragicznych i trudnych lat - podobnie jak wiele innych kobiet - nauczyła się wykorzystywać wszystkie swoje umiejętności. Stare protokoły z zebrań komitetu pozwoliły mi poznać jej zdolności organizacyjne, listy do beztroskich lub głupich urzędników świadczyły o zaangażowaniu i pasji. Tilda posiadała wiele cennych i niezwykłych talentów, z których największym była umiejętność pozyskiwania miłości. Bo kochali ją nie tylko mężczyźni, ale również kobiety i oczywiście dzieci. Emanowało z niej takie specyficzne ciepło, coś, dzięki czemu wszyscy ludzie, z jakimi się stykała, sądzili, że to wyłącznie na ich towarzystwie najbardziej Tildzie zależy. Ja również odnosiłam podobne wrażenie w jej obecności. Ta kobieta mnie przyciągała.

Owego dnia jednak nie mogłam się skoncentrować. Moje ciało wspominało pieszczoty

Patricka, a myśli oscylowały wokół opuszczonych wykopów oraz mężczyzny ze związanymi rękami i nogami, pogrzebanego żywcem. Pożądanie i strach przyprawiły mnie o dreszcze. Odsunawszy od siebie laptopa, kiwałam się bezmyślnie nad notatkami. Wiedzia-

łam, że robotnicy naprawiający kanał znaleźli ciało Daragha. Z drugiej strony - tak samo jak Patrick - uważałam, że nie należy mówić o niczym Tildzie. Sama jednak nie miałam żadnych wątpliwości. Był to przecież szkielet młodego, wysokiego mężczyzny, a czas i miejsce pogrzebania zwłok również pasowały do mojej teorii. Zerknęłam na fotkę wiszącą na tablicy. Co ty takiego zrobiłeś, Daraghu - pomyślałam - żeby sobie zasłużyć na taką zemstę.

Zacząłam bazgrać bezmyślnie po notatniku. Daragh miał kłopoty finansowe, a przy tym uwodził cudze żony. W późnych latach czterdziestych w Cambridgeshire musiało aż się roić od jego wierzycieli i zazdrosnych mężów, z których każdy z pewnością był na niego wystarczająco wściekły, żeby się



posunąć do ostateczności. Oparłam się o krzesło, żując ołówek, kiedy nagle przyszło mi do głowy, że do tej listy należałoby dodać jeszcze parę innych osób. Ot, choćby Jossy. Daragh poniżał ją przecież całymi latami - puchar goryczy mógł się w końcu wypełnić. Niewykluczone, że jego ostatnia odrażająca zdrada zmieniła obsesyjną miłość Jossy w śmiertelną nienawiść.

Serce zabiło mi trochę szybciej. Jossy przeżyłaby z pewnością największy dramat, gdyby Daragh uwiódł jej przyrodnią siostrę, której nigdy nie przyjęła do rodziny. Może naprawdę Tilda i Daragh skonsumowali w końcu swoją miłość? W 1947 Daragh zniknął, a Tilda rozstała się z Maksem. Przypomniałam sobie obietnicę, jaką Tilda złożyła Maksowi przed ślubem. Przynęła, że - choć nadal kocha Daragha - to nigdy nie zdradzi męża. Czyż-

by w tych trudnych powojennych latach złamała przyrzeczenie?

Do swojej listy dodałam jeszcze Maksa. Może Tilda kochała się z Daraghem, a oszalały z zazdrości Max zamordował kochankę żony? Niewykluczone, że to właśnie on uderzył

Daragha w głowę, związał mu ręce i nogi, a potem pochował w do połowy naprawionym kanale. Tilda wszystkiego się domyśliła i dlatego tak długo się broniła przed napisaniem biografii. Teraz, jako starsza kobieta, doszła jednak do wniosku, że już nie ma się czego obawiać. Ale przeszłość znów dała o sobie znać - z ziemi wyłoniły się kości, opowiadając historię odmienną od tej, którą Tilda zamierzała przedstawić światu.

Następnego ranka pojechałam do Oxfordshire. Dzień był piękny, pogodny, a Tilda siedziała na tarasie z tyłu za domem. Zapytałam ją o powojenne lata.

*R S*

- Czy po wojnie zostałam w Southam? Nalała mi filiżankę kawy.

- Chciałam wrócić do Londynu, ale nie miałam lokum. Brakowało domów. No i Sarah bardzo źle się czuła. Miała kłopoty z sercem. Nie poszła jednak do szpitala na badania. Dla niej szpital równał się domowi starców.

Przypomniałam sobie zdjęcie Długiego Domku.

- Ależ tam musiał być tłok, siedem osób w takiej małej chałupce...

- Nawet osiem, kiedy Max wrócił do Anglii w 1946 roku. Ale ogród był piękny, zajmował prawie akr ziemi, co oznaczało, że możemy hodować owoce i warzywa. Dzięki temu nie staliśmy w kolejkach - wyjaśniła. Jedzenie nadal racjonowano. Erich pomagał mi zajmować się ogrodem. Nigdy nie czuł się dobrze w szkole. - Boję się, że inne dzieci mu dokuczały, bo się od nich różnił. Tak więc wyjechał zaraz po piętnastych urodzinach.

- Pochodził z Austrii, prawda?

- Urodził się w Wiedniu. Nie znałam zbyt wielu faktów z jego dzieciństwa, bo Erich nie lubił o tym mówić, ale dowiedziałam się czegoś przez Ruch na Rzecz Małych Uchodź-

ców. Matka osierociła go wcześniej, ojca zabili naziści. Erich wychowywał się sam na ulicach Wiednia, aż w końcu ktoś znalazł mu miejsce w *Kindertransporte*. On liczył sobie wtedy zaledwie dziewięć lat. Wyobrażasz sobie dziewięcioletniego chłopca grzebiącego w śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia, żyjącego z takimi wspomnieniami?

Popatrzyła na mnie uważnie. Oczy błyszczały jej od gniewu, a może od łez? Nie wiedziałam. Pomyślałam o pozostałej dwójce adoptowanych dzieci Tildy.

- Rosi też straciła całą rodzinę, prawda? A Hanna?

- Nikt z jej bliskich nie przeżył. Miała cztery siostry... Wszystkie siostry zginęły w Dachau. Rosi pogodziła się losem, ale Hanna nigdy nie doszła do siebie. Max zdobył dla niej wszystkie informacje przez Czerwony Krzyż. Po skończeniu osiemnastu lat pojechała do Niemiec.

Wypiłam kawę, zrobiłam notatki i znów - podobnie jak w trakcie rozmowy z Rosi - uświadomiłam sobie, jak bardzo błahe i trywialne są moje własne doświadczenia.

- W Southam najlepiej czuł się Josh - powiedziała Tilda z uśmiechem. - Kochał to miejsce. Choć zawsze popadał w kłopoty. Wychodził ze szkoły w południe, udawał, że idzie do domu na lunch i zaczynał się włóczyć. Raz nawet pojechał autostopem nad służę w Denver. Nie wrócił aż do późna w nocy, a przez ten czas Max wezwał już policję. Max po *R S*

prostu dostał szału. Zabrał go z wiejskiej szkoły, oddał do internatu, bo się bał, że chłopak schodzi na złą drogę. Ja jednak wiedziałam swoje. Josh był po prostu Joshem. I tyle.

Z tego, co słyszałam, słynny Josh Franklin kontynuował swoją włóczęgę. Na kominku u Patricka zauważyłam kartkę z Chin.

Tilda umilkła. Patrząc na nią, zaczęłam się zastanawiać, co czuła, wracając do Southam po tylu latach.

- Czy dzieci wiedziały o twoich związkach z de Paveleyami? Potrząsnęła głową.

- Nigdy z nimi o tym nie rozmawiałam. Max sądził, że powinnam, ale ja nie podziela-

łam jego opinii. Nie mogłam. Później zrozumiałam swój błąd. Tajemnice są takie destruktywne. Wtedy jednak uważałam, że chronię dzieci przed nieprzyjemną prawdą. Pamiętałam, jak bardzo mnie bolało to, czego dowiedziałam się od Sarah o swoim ojcu, i nie chciałam przenosić tego bólu. Choć przyjaźń pomiędzy Melissą i Caitlin trochę mnie niepokoiła.

Odwróciła ode mnie wzrok. Wyczuwałam wiele niewypowiedzianych słów. Myślałam o tym niemieckim żołnierzu, którego zastrzeliła, i ciele odkopanym z kanału.

- A Daragh? Często się z nim widywałaś?

Profil Tildy na tle błękitnego nieba wyglądał jak piękna kamea.

- Na początku nie - powiedziała wolno. - Ale potem, kiedy zagał Josh, Daragh zorganizował cały zastęp mężczyzn do poszukiwań. A jak Melissa złamała obojczyk, zawiózł

nas obie do szpitala. To Daragh, a nie Jossy, przyprowadzał Caitlin do naszego domu...

Wyobraziłam sobie, jak Daragh - ten doświadczony uwodziciel i wytrawny oportuni-sta - patrzy tylko i czeka. Jakże bardzo musiał pragnąć pięknej Tildy, która należałaby przecież do niego, gdyby nie podstęp Sarah.

- Trzymał się oczywiście z daleka, kiedy Max był w domu - dodała Tilda.

- A Max często wyjeżdżał?

- Pierwszą połowę tygodnia spędzał w Londynie, drugą w domu. Freddie, jego wy-dawca, chciał, żeby Max wrócił do Niemiec, ale on odmówił. Wojna całkowicie go odmieniła. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Stawał się coraz bardziej niespokojny, a w głębi serca był głęboko nieszczęśliwy. Co gorsza, próbował zachować swoje uczucia dla siebie. Zupeł-

nie się przede mną zamknął...

\* \* \*

Harold Sykes zaproponował Maksowi wypad do pubu w celu uczczenia zaręczyn *R S*

Lorny Clarke.

- Ten facet łąził za nią od lat - wyznał przyjacielowi Harold nad szklaneczką szkockiej. - Ale nie sądziłem, że w końcu wystartuje.

Pub pękał w szwach, mężczyźni tłoczyli się przy barze. Wokół małego stolika usiedli Max i Lorna oraz dwóch nowych, Reggie Gates i Basil Dayton. Basil, który wypił za dużo, mówił bardzo głośno i machał papierosem.

- To takie staromodne. Ponure fotografie, rozwlekłe artykuły o wojnie... Ludzie już nie chcą czytać o wojnie, prawda?

Max wychylił szybko swoją whisky.

- Byłoby jednak dosyć trudno zignorować tak wielką sprawę, stary - powiedział po-jednawczo Sykes.

- Ludzie patrzą w przyszłość, my też powinniśmy się nią zająć.

- Chcesz więc narysować grubą kreskę i o wszystkim zapomnieć? - spytała Lorna.

Basil Dayton miał jasne włosy, różowe policzki i wyglądał jak szóstoklasista.

- Ludzie nie chcą już brnąć przez przygnębiające akapity na temat starych więzień na-zistowskich w Niemczech. Życzyliby sobie raczej czegoś łatwego... żywego...

- Prawdziwe wyzwanie dla dziennikarza - powiedział ironicznie Max. - Napisać jakiś pogodny kawałek na temat procesów norymberskich przy użyciu co najwyżej dwusylabowych wyrazów.

Lorna zachichotała, na policzki Basila wystąpiły rumieńce.

- Chodziło mi tylko o to, że powinniśmy iść naprzód, skończyć z zacofaniem...

Reggie Gates zapalił papierosa i zerknął przez stół na Maksa.

- A tak naprawdę, to czy w ogóle ktoś czyta te twoje nieprzeniknione eseje?

Zwietrzywszy niebezpieczeństwo, Harold zaproponował kolejną rundkę drinków.

Max, który już parę miesięcy wcześniej uznał Reggiego za inteligentnego, ale wyjątkowo niesympatycznego faceta, popatrzył na niego leniwie.

- Może paru osobom udaje się jakoś dobrnąć do końca.

- Chodziło mi o twoje ostatnie kazania. - Kóleczek dymu poleciało pod sufit. - Zdaje się, że to było znowu coś na temat Żydów i Palestyny, prawda? A ludzie woleliby poczytać o piłce nożnej albo skandalu związanym ze znaną gwiazdą filmową. Nie obchodzi ich jakaś Palestyna. Większość z nich nawet nie ma pojęcia, gdzie to jest. Dopóki jakiś mały Icek szy-R S

je im tanio garnitury... - Nie dokończył, bo Max rąbnął go w szczękę. Krzesło Reggiego upadło, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Na miłość boską... - zaczął Harold, a Lorna złapała Maksa za rękaw...

Reggie podniósł się niepewnie z podłogi.

- Pieprzysz głupoty, Franklin - powiedział, ocierając zakrwawiony nos chusteczką.

Max wyszedł z pubu bez słowa.

Harold dogonił go dopiero w połowie Fleet Street. Tęgawy, z trudnością chwytał oddech.

- Maksie, co do cholery...

Max wzruszył tylko ramionami i nawet nie zwolnił kroku.

- Zwolnij, do cholery! I po co to zrobiłeś... Reggie Gates to wstrętny, mały gad, ale przecież musisz z nim pracować.

Max wreszcie przystanął. Ręce trzymał w kieszeniach. Było bardzo zimno i po raz pierwszy tego roku dostrzegł płatki śniegu wirujące w powietrzu.

- Wcale nie muszę, Haroldzie. Składam wymówienie.

- Nie bądź idiotą, Maksie.

- To moja najrozsądniejsza decyzja od miesięcy. Mam dość. Zaczynam się dusić. -

Odkąd wróciłem z Niemiec, wszystko wydaje mi się zupełnie bezsensowne - wyjaśnił, gdyż sądził, że Haroldowi się to należy. I czuję się taki stary. Te dzieciaki - Basil, Reggie i im podobni będą stanowić o przyszłości. Właśnie oni, zuchwali chłopcy z podstawówek. Nie znają ortografii i ledwo potrafią sklecić zdanie, ale kogo to dziś obchodzi? My jesteśmy przeżytkami, Haroldzie. Nasze ubrania, maniery, pochodzenie, my już do tego wszystkiego nie pasujemy. Świat idzie naprzód, a ja nie zamierzam biec, by za nim nadążyć.

Odszedł, ale Harold nawet nie próbował go zatrzymać. Śnieg padał coraz gęstszy; gdy Max podniósł wzrok, dostrzegł śnieżnobiałe płatki tańczące szaloną skoczną polkę wokół latarni. Pomyślał, że Anglia stała się obrzydliwym, zmęczonym krajem, gdzie na ulicach wciąż widać wyrwy po bombach, a wyczuci z energii oraz wyobraźni ludzie włączają się tylko bez celu i narzekają. On już nie czuł więzi z tym wszystkim. Obie powojenne koncepcje życia - idealistyczny socjalizm rządu Clementa Attlee i pogoń za dobrami materialnymi - były mu obce. Mógł jedynie stać z boku, patrząc na to wszystko z niesmakiem, a to nie miało sensu ani do niczego nie prowadziło.

*R S*

Nana umarła zaraz na początku wojny, a kucharka odeszła ze służby do lepszej pracy w fabryce amunicji. Kilka razy w tygodniu przyjeżdżała kobieta z wioski - myła podłogi, robiła pranie, ale to było wszystko. Dwór wraz ze swymi ogromnymi pokojami oraz ogrodami stracił wiele ze swej poprzedniej świetności. Ale Jossy, która prawie w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie, zupełnie się tym nie martwiła. Zajmowała się tylko ogródkiem za kuchnią, by nie stracić świeżych owoców i jarzyn. Z pomocą pani Beeton nauczyła się gotować. Daragh lubił łowić ryby i polować, a poza tym miał kontakty w londyńskich pubach i klubach (o których wolała nie myśleć w kategoriach czarnego rynku) i jedzenia im nie brakowało.

Dwór - podobnie jak wszystko inne - przybrał smętny, trochę nawet żałosny wygląd budynku, który od siedmiu lat domagał się farby. Ale nadal pozostawał Dworem, domem dzieciństwa Jossy, odwieczną siedzibą jej przodków. Nie martwiła się pęcherzami na rękach ani tym, że stojąc w kolejce u rzeźnika, nie różni się niczym od innych zmęczonych kobiet.

Klasę miała przecież we krwi, nazwisku i sposobie mówienia.

Denerwowały ją natomiast inne zmiany, jakie pociągnęła za sobą wojna. Odkąd Tilda Franklin wróciła do Southam, Jossy nieustannie obserwowała męża.

- Tilda jest dziesięć razy ładniejsza od ciebie - powiedział jej kiedyś Daragh, a Jossy, ujrawszy ją

wreszcie na własne oczy, musiała przyznać, że się nie mylił. Kiedy natomiast po raz pierwszy usłyszała o jej istnieniu, przeprowadziła dyskretny wywiad. Kucharka, która pracowała we Dworze od połowy lat dwudziestych, nie bardzo mogła jej pomóc, ale Nana, gdy udało się nieco poruszyć jej pamięć, przypomniała sobie Deborah Greenlees. Nana jednak, podobnie jak pozostali mieszkańcy Southam, trzymała się innej wersji wydarzeń. Była całkowicie przekonana, że Deborah prowadziła swobodny, a nawet rozpustny tryb życia i zrobiła w zasadzie wszystko, by popaść w tarapaty.

Kiedy jednak Jossy przypomniała sobie ojca, przestała bezkrytycznie wierzyć w opowieść Nany. Zbyt dobrze pamiętała jego nierówne kroki na schodach, kroki, które budziły w niej taki strach. Pamiętała również, że niegdyś patrzyła na siebie wyłącznie poprzez pryzmat jego pogardliwego spojżenia i widziała tylko zwykłe, bezwartościowe, głupie dziecko.

Zawsze bała się ojca, choć on rzadko ją bił. Wyczuwała w nim jednak potencjalną brutalność. Nawet teraz nie mogła zapomnieć o tym strachu i choć bardzo pragnęła wierzyć w niewinność Edwarda, wciąż prześladowały ją wątpliwości.

*R S*

W drugiej połowie wojny odkryła, że Daragh znów widuje się z innymi kobietami -

spotykał się z pewną wdową z wioski i ekspedientką z Ely - w zasadzie z nikim, kto mógłby jej zagrozić. I choć te romanse bardzo ją dotknęły, Jossy umiejętnie kryła swój ból. Choć darzyła Daragha miłością równie gorącą jak kiedyś, zdawała sobie sprawę ze słabości jego charakteru. Daragh prezentował się równie wspaniale jak przed czternastoma laty, ale Jossy kochała go teraz inaczej. Nie mniej, inaczej, Dopiero obecnie zrozumiała tę kapryśną naturę, przez którą tak cierpiała, pozostając jednocześnie pod jej wielkim urokiem. Ona sama była nudna, niezbyt lotna, tak różna - gorsza - od wyjątkowo błyskotliwego męża. I wiedziała, że Tilda i tylko Tilda stanowi dla niej prawdziwe zagrożenie.

Na początku próbowała ignorować jej istnienie. Mijały tygodnie, miesiące... Pewnego dnia Caitlin, jadąc przez wieś, nawiązała znajomość z Melissą Franklin. A że Melissa wydawała się jedyną dziewczynką w Southam wychowaną na tyle dobrze, by przebywać w towarzystwie Caitlin, Jossy nie znalazła przekonującego powodu, by sprzeciwić się tej przyjaź-

ni. Przypuszczalne związki Tildy z własną rodziną trzymała przecież w głębokiej tajemnicy.

Ponadto Caitlin była użyteczna. Mogła pilnować Daragha.

Tego dnia Caitlin spędziła popołudnie z Melissą - Daragh zabrał je z Długiego Domku i przywiózł do Dworu w samą porę na podwieczorek. Po herbacie Jossy poszła z Caitlin na górę, żeby jej pomóc rozczesać warkocze przed kąpielą. Caitlin nienawidziła układania włosów i podczas tego nieprzyjemnego zabiegu umilała sobie czas zabawą kosmetykami w szklanych, złożonych naczynkach.

Jossy odwiązała wstążkę Caitlin.

- Rozmawiał z nią?

Dziewczynka poklepała się po nosie puszką od pudru.

- Tylko trochę. Powiedziałam, że jestem głodna.

- O czym mówili?

- O tym i owym.

- Kate!

- O pogodzie. O nudnych artykułach z gazet. O egzaminie Melissy.

Jossy odczuła ulgę. Przejechała grzebieniem po grubych, ciemnych puklach córki, która właśnie malowała sobie usta.

- A potem ona zaczęła mu dziękować. Mówiła, że jest cudowny.

*R S*

Jossy zeszywniała.

- Auu. Ciągniesz mnie za włosy, mamo.

- Ta kobieta powiedziała, że tatuś jest cudowny?

- Drzwi od stodoły pani Greenlees kiepsko się zamykają, wszystkie worki z kartoflami zaczęły moknąć i papa zaniósł je do piwnicy.

- To chyba raczej należy do obowiązków pana Franklina - zauważyła chłodno Jossy.

- Ale pana Franklina nie ma. - Caitlin przymrużyła oczy. - W ogóle go nie widuję.

- Jak to? - Jossy ścisnęła mocniej szczotkę.

- On chyba na ogół przebywa w Londynie. Melissa ma naprawdę tego dosyć - wyja-

śniła Caitlin znudzonym tonem. Ale Jossy, której niepokój jeszcze się wzmógł, nie spuszczała z niej wzroku.

Skończyła zaledwie trzynaście lat - przemknęło jej przez myśl, a serce ścisnęło się boleśnie - a już jest piękna.

Po kolacji siedzieli w kuchni, słuchając nadawanego przez radio koncertu Bacha. Max przymknął oczy, ale Tilda wiedziała, że nie śpi.

- Czy moglibyśmy mieć jeszcze dzieci, Maksie? Otworzył oczy.

- Tildo...

- Mówiłeś, że po wojnie...

- Piątka nie wystarczy?

- Niemowlęta są ... - szukała słów - dzięki nim wszystko staje się lepsze. Dziecko stanowiłoby nowy początek. Potrzebujemy nowego początku.

- Jest Hanna, która płacze co noc za rodziną. I Rosi zakochana w tym okropnym wika-rym. No i jeszcze nieznośny Josh, nie mówiąc już o Erichu, który nie potrafi żyć w normalnym społeczeństwie.

O tym wszystkim wiedziała.

- Dziecko oderwałoby Hannę od smutnych myśli, a Rosi od wikariusza. A Erich tak świetnie sobie radzi z kotkami, jednodniowymi kurczaczkami i podobnymi maleństwami, że chyba mógłby je pokochać.

- I gdzie byś je umieściła? W komórce z węglem? Na półeczki Tildy wystąpiły rumieńce.

- Mam trzydzieści dwa lata, a Josh dziewięć. Zawsze pragnęłam jeszcze jednego *R S*

dziecka. Marzyliśmy o dużej rodzinie, prawda? Jeśli jeszcze zaczekamy, będzie za późno.

- Nie, Tildo - powiedział. - Nie. Żadnych dzieci. Przez chwilę milczała.

- Nigdy? - szepnęła.

Znowu przymknął oczy i odciął się od niej na dobre. Wyjrzała przez okno. Przez te wszystkie wojenne lata nie mogła się doczekać trzeciego dziecka. Wyobrażała sobie, że ma jeszcze jedną córkę, której chciała dać imię Sarah, po ciotce. Skończyła się jej praca przy *Kindertransporte* i próbowała uciszyć niepokój wizją posiadania kolejnego maleństwa. Po raz pierwszy w życiu zaczęła podejrzewać, że Max kogoś poznał. Wyobrażała sobie nawet wspaniałą kobietę, platynową blondynkę o czerwonych ustach. Nie taką, co chodzi w używanych bawełnianych sukienkach albo kiepskich sztruksowych spodniach. Zresztą niezależnie od tego, czy ta kobieta naprawdę istniała, Tilda czuła, że i tak traci Maksa, który coraz dalej się od niej odsuwał. Zawsze pełen rezerwy, powściągliwy, typowy dla swej klasy i narodowości. Teraz jednak Tilda odnosiła wrażenie, że rezerwa przerodziła się w chłód, a powściągliwość w obojętność.

W styczniu Max rozpoczął pracę w Whitehall. Posadę załatwił mu pewien oficer sztabowy marszałka Montgomery'ego. I choć nigdy się do tego nie przyznawał, Tilda wiedziała, że Max nienawidzi swojej pracy i jest głęboko nieszczęśliwy. Sądziła, że koniec wojny ja-koś ich połączy, ale tak się jednak nie stało. Max zawsze miał skłonności do cynizmu, a podczas wojny do reszty utracił wiarę w ludzkość. Tilda bała się więc coraz bardziej, że gorycz męża skrupi się na niej. Rzadko się do niej odzywał, rozmawiali tylko na banalne tematy. Co gorsza, od wielu tygodni nie przejawiał żadnej inicjatywy w łóżku. Z powodu pogody coraz częściej przebywał w Londynie. Małżeństwo zaczynało się kruszyć, a wszystkie wysiłki, by je uratować, wydawały się Tildzie beznadziejne.



Pod koniec miesiąca, w dzień urodzin Maksa, Tilda pojechała pociągiem do Londynu.

Przyszła po niego do pracy i wybrali się razem do restauracji w Knightsbridge. Jedzenie by-

ło kiepskie i monotonne, a Max mówił zbyt mało, a palił za dużo. Po tym, jak wyczerpali temat dzieci i pogody, niewiele im zostało do dodania. Stali się - myślała Tilda z żalem -

jednym z takich typowych małżeństw, jakie widuje się w pubach i restauracjach. Ludźmi znudzonymi sobą, którzy strzelają oczami po sali.

Wrócili do hotelu, który Max zamówił na noc. Znowu zaczęło padać; świeże płatki osadzały się na brudnych stertach zleżalego śniegu. Już w pokoju, gdzie wewnętrzne strony *R S*

szyb ozdabiał szron, Tilda wyjęła małą paczuszkę.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie. - Patrzyła, jak Max rozwija szary papier. - Zobaczyłam tę książkę w antykwariacie. Trafiłam?

Kupiła mu wczesne wydanie „Podróży i odkryć” Hakluyta.

- „Każdy ląd można zasiedlić, każde morze przepłynąć” - zacytowała z uśmiechem. -

Bardzo mi się to podoba.

- Ludzie epoki elżbietańskiej słynęli z optymizmu - powiedział Max. - Tilda wsunęła mu dłonie pod płaszcz i mocno się do niego przytuliła. Całując męża, myślała, że może jeszcze wszystko się ułożyć. Oddalili się wprawdzie od siebie, ale stopniowo powracali do dawnej bliskości.

- Poszukasz jakiegoś mieszkania w Londynie?

Oderwał się od niej nagle, powiesił płaszcz na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi.

- Już się tym zająłem, Tildo. - Zapalił kolejnego papierosa. - Nie stać mnie na hotel, a kanapa Harolda jest strasznie niewygodna. Znalazłem dwa pokoje w Bloomsbury.

Zmarszczyła brwi.

- Dwa pokoje? To nie wystarczy, kochanie. Muszę zabrać Sarah, nie mogę jej przecież tak zostawić. A dziewczynki będą przecież przyjeżdżać na wakacje.

Rosi i Hanna podjęły przed rokiem studia w Cambridge.

- Te pokoje są dla mnie - powiedział Max.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył. Usiadła na brzegu łóżka, skulona, zmarznięta.

- Wydatki... rozumiesz... obecny układ zupełnie się nie sprawdza.

- Masz kogoś?

- Nie bądź śmieszna, Tildo - odparł z irytacją.

W lustrze nad umywalką zobaczyła swoje odbicie; cienie pod oczami, początki bruzd przy nosie. Nigdy nie dbała specjalnie o wygląd i teraz zaczęła tego żałować. Skąd mogła mieć pewność, że Max jej nie okłamuje?

- W takim razie dlaczego?

- Już ci mówiłem. Ustawiczne podróże między Londynem i Moczarami są wykluczone. Za drogie i zbyt wyczerpujące.

- Więc przeniesiemy się do Londynu całą rodziną. - Tilda umocniła się nagle w postawie

nowotwórczej, jakie podjęła przed kilkoma dniami. - Melissa bardzo pragnie znów zamieszkać w mieście, a dla Josha znajdę jakąś szkołę w pobliżu domu, żeby nie musiał zostać w internacie.

- Nie - powiedział Max.

Milcząco, błagała go wzrokiem o jakiś znak, który świadczyłby o miłości. Kręcił się niespokojnie po pokoju, a ona patrzyła na swoje ręce, splatając i rozplatając palce. Złotą ślubną obrączkę widziała niemal jak przez mgłę. Odpędziła jednak łzy i zmusiła się, by przemówić.

- Jesteś nieszczęśliwy, odkąd wróciłeś do domu. Pewnie przez to wszystko, co widzia-

łeś w Niemczech. Dlaczego nigdy mi o tym nie opowiadasz? Może poczułbyś się lepiej, a przynajmniej... - Umilkła.

- Nie - powtórzył Max łamiącym się głosem.

- Maksie. - Wiedziała, że walczy o swoje małżeństwo, o rodzinę, o wszystko, co najważniejsze na świecie. - Jak mogę cię zrozumieć, skoro ukrywasz przede mną uczucia? Skoro nawet nie pozwalasz mi odgadnąć, co cię dręczy?

- Na miłość boską, Tildo...

- Czy to ma coś wspólnego z obozami koncentracyjnymi? - Dostrzegła, że się skrzywił. - Mów do mnie, Maksie.

Obrócił się na pięcie.

- Bo chcesz pozalepiać rany i trochę poprawić sytuację, tak jak w przypadku dzieci?

- Wcale nie o to mi chodziło... Przecież wiesz... Odnosiła wrażenie, że mąż w ogóle jej nie słyszy.

- Pewnych rzeczy nie można naprawić. Nie przyszło ci to do głowy? Naprawdę są-

dzisz, że dzięki tobie Rosi, Hanna i Erich czują się dobrze?

Wciągnęła powietrze.

- Próbowałam im pomóc. Uważasz, że nie powinnam była się nimi zajmować?

- Moja opinia niespecjalnie się liczy, prawda? - Miał bardzo bladą twarz i sińce pod oczyma. - Nigdy nie przywiązywałaś wagi do tego, co myślę, prawda, Tildo?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Przepłynęłaś Morze Północne na skorupie orzecha... Zostałaś w Holandii, po tym jak cię błagałem, żebyś wróciła do domu. Zbierałaś te wszystkie zbłąkane owieczki...

*R S*

- Tak się po prostu złożyło. Byłam na miejscu i musiałam działać. Nie mogłam zostawić Rosi przy ulicy Liverpool, a Hannah i Ericha w Holandii.

- Czy ty naprawdę nie widzisz - zaczął łagodnie - że Ericha skazano na zagładę już bardzo dawno temu, a Hanna nigdy nie przestanie szukać sióstr, które zginęły w piekle?

- Ale oboje przynajmniej żyją - powiedziała żałośnie. Max odwrócił się od niej i stanął przy oknie z papierosem. Usiadła na skraju łóżka, patrząc na bezbarwną umywalkę i za-mglone lustro. W jego oczach dostrzegła ocenę swojej dziewięcioletniej działalności: postę-

powała dziecinnie, naiwnie i po amatorsku.

- Sama się oszukujesz, Tildo. Niczego nie zmienisz. Nikt tu niczego nie zmieni.

Podniosła się powoli i wciągnęła płaszcz. Goniły ją urągliwe słowa Maksa.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Na dworzec - odparła i wyszła, zamykając za sobą drzwi. A on nie pobiegł za nią.

Myślała, że to zrobi, ale nie miał takiego zamiaru.

Zdążyła akurat na ostatni pociąg. Płatki śniegu rozpuszczały się w parze z komina lo-komotywy. Weszła do przedziału i pociąg ruszył. Gdy usiadła, z oczu pociekły jej łzy, choć tak bardzo próbowała je powstrzymać.

\* \* \*

Daragh żałował, że wojna się skończyła. Lubił obronę cywilną - jego pozycja spo-

łeczna, młodość i energia predestynowały go znakomicie do kierowania zespołem. Jego oddział

składał się zarówno z ludzi młodych, jak i starych, wykonujących pracę zwalniającą z regularnej służby, oraz inwalidów nie nadających się do wojska. Daragh lubił ich szkolić, robić z nich żołnierzy. Nie tolerował opieszałości, dzięki czemu zyskał ogólny szacunek.

Koniec wojny pozostawił w jego życiu głęboką wyrwę. W miejsce możliwości tragedii pojawiła się pewność nudy.

Teraz, w pierwszych gorzkich miesiącach 1947 roku, płatki śniegowe latały w powietrzu jak puchate piórka, a zawierucha wyła i skrzeczała niczym upiór. Śnieg uniemożliwił

Daraghowi wszystkie zajęcia: siew, a także czyszczenie rowów i kanału. Lepił tylko bałwa-ny z Caitlin, rąbał na zapas drewno i utrzymywał starego bentleya w stanie zdatnym do jazdy. Z powodu pogody pociągi i statki nie mogły dotrzeć do elektrowni, w których powoli zaczynało brakować paliwa. Ograniczenia w dostawie prądu pogrążyły miasta i wsie w mroku. I choć Dwór miał własny generator, nie wystarczało benzyny, by utrzymać go na *R S*

chodzie, a węgiel okazał się surowcem nie do zdobycia. Daragh ściął parę drzew, lecz ogromne kominki natychmiast je pożarły. Jossy zaczęła chodzić po domu w futrze. Daragh nie przejmował się chłodem; któregoś dnia jednak zobaczył, że Caitlin siedzi przy oknie do-słownie sina z zimna, więc poszedł do ogrodu i wyciął jeden z krzewów. Gałązki rozniecone za pomocą starych rachunków i listów, jakie znalazł w szufladzie, paliły się długo wspania-

łym płomieniem.

Pogoda uwięziła ich w domu, a Daragh miał stanowczo za dużo czasu na myślenie.

Mimo zimna budził się często wczesnym rankiem, zlany potem, świadom, że jeszcze nigdy w życiu nie był w takich tarapatach. Doraźne potrzeby zmuszały go stale do zaciągania dłu-gów. Wydawało mu się jednak, że każda kolejna pożyczka jest ostatnia. Od towarzystw kre-dytowych zdobywał pieniądze na spłatę wierzytelności banków, a od lichwiarzy uzyskiwał

fundusze na wyrównanie rachunków z towarzystwami. Ten tak pracowicie konstruowany łańcuch w końcu jednak pękł. We Dworze ścigały go listy i telefony. Listy palił, nawet ich nie czytając, słuchawkę ciskał na widełki. Unikał pewnych dzielnic Londynu; mogły się okazać dla niego niebezpieczne.

Najbardziej bał się jednak o to, że jego kłopoty dotkną Caitlin. Szkoła już i tak upominała się natarczywie o niezapłacone rachunki. A Daragh - jak zwykle w takich sytuacjach

- próbował uciec od kłopotów. Wyjechać tym razem nie mógł z powodu córki, ale grywał w karty w Pheasant albo chodził na walki kogutów. Choć raziła go brutalność tego sportu i za-

łosny wygląd zakrwawionych, pozbawionych piór ptaków, dzięki walkom odrywał się chociaż na chwilę od swoich kłopotów.

No a na dodatek miał Tildę. Przed jej przybyciem do Southam Daragh właściwie akceptował swoje życie - Caitlin, Dwór, Jossy. I nawet powoli zaczynał być szczęśliwy. Potem, pewnego ranka, wybrał

się z Caitlin do wioski i zobaczył Tildę. Nikt go nie ostrzegł

przed jej powrotem i przeżył ogromny szok. Chciał krzyczeć albo płakać z radości, lecz nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego z powodu Caitlin. To, co dotąd brał za szczęście, okazało się jedynie złudzeniem. Spał i obudził się dopiero na widok Tildy.

Radość szybko jednak prysła, a w jej miejsce pojawiło się niezaspokojone pragnienie i gorycz. Fizyczna obecność Tildy nie dawała mu spokoju, w nocy marzył o tym, że ją rozbiera, dotyka i zatracą się całkowicie w jej szczupłym ciele. By złagodzić ból, nawiązał znajomość z usłużną żoną jednego z robotników i spędzał czasem godzinę lub dwie na peryferiach

Ely. Ale to działało tylko jak środek uspokajający, nie lekarstwo.

Nabrał jednak nadziei, gdy wyczuł, że małżeństwo Tildy zaczyna się rozpadać. W tym właśnie upatrywał znowu swoją szansę. Tilda była sama, odcięta od londyńskich przyjaciół.

Max rzadko przyjeżdżał z Londynu do domu. Daragh wpadał więc często do Długiego Domku i pomagał Tildzie w pracach, jakich nie mógł wykonać Erich, a od czasu do czasu proponował, że podwiezie ją i dzieci do Ely.

Pewnego popołudnia, gdy wracał z walki kogutów, stary bentley ojca Jossy odmówił

posłuszeństwa na trzy mile od Southam. Daragh - otulony płaszczem, szalikiem, w kapeluszu na głowie - zaczął grzebać pod maską. I wtedy zobaczył Tildę.

Szła przez pola, niosąc plecak. Spod krótkiego niebieskiego płaszcza wystawała jej kwiecista spódnica, na nogach miała kalosze. Wyglądała najwyżej na siedemnaście lat. Daragh zaczął machać rękami i krzyczeć, a ona skinęła mu ręką w odpowiedzi, po czym ruszy-

ła przez zasy w jego kierunku.

Wyjaśniła, że była w Ely po lekarstwo na bronchit dla Ericha. Patrzyła wesoło na Daragha, spod aksamitnego beretu wymykały się niesfornie długie, złote loki. Pomyślał, że tylko ktoś tak wspaniały jak ta kobieta zdecydowałby się iść dwanaście mil po lekarstwo dla chłopca, który nie był nawet jej rodzonym synem. Gdy zapytał o Maksa, Tilda odparła - nie patrząc mu jednak w oczy - że mąż zmienił pracę i przebywa w Londynie.

Szybko zresztą zmieniła temat.

- Co mu dolega? - spytała, wskazując maskę bentleya.

- Zerwał się pasek klinowy - odparł. - Potrzebuję pończochy albo czegoś innego w tym stylu.

Policzki Tildy były i tak czerwone od mrozu, dlatego nie wiedział, czy się zarumieni-

ła.

- W takim razie musisz się odwrócić - powiedziała.

Popatrzył w inną stronę. Gdy jednak usłyszał łoskot buta padającego na ziemię, zerknął ukradkiem na Tildę i zobaczył, że zdejmuje pończochę. Miała długie, szczupłe, bardzo zgrabne nogi. Ten widok podziałał na niego piorunująco, wywołując natychmiastową fizyczną reakcję, której Daragh zupełnie się nie spodziewał. Zapragnął Tildy tak bardzo, że zaczął żałować swojej niedyskrecji. Minęło wiele tygodni od czasu, gdy po raz ostatni spał z kobietą, wstrętną starą puszczalską. Zaproponował, że w zamian za pończochę da Tildzie *R S*

swój płaszcz. Naprawił pasek klinowy i odwiózł Tildę do Southam, ale w drodze prawie wcale z nią nie rozmawiał - był zanadto obolały z pożądania.

Jak zawsze liczyła na to, że Max wróci do domu. Potrzebowała go z powodu awantury z dyrektorem Josha po kolejnych wagarach syna, nieodwzajemnionej miłości Rosi do wi-karego z czyrakami na szyi i koszmarów Hanny. Całe jej życie kręciło się zawsze wokół rodziny; sądziła, że Max czuje to samo. Kiedy jednak on celowo odciął się od tych, których podobno kochał, runęły podwaliny jej świata.

Tak więc z radością powitała śnieg sypiący już od tygodni z ołowianego nieba, gdyż trudności spowodowane przez aurę odrywały ją skutecznie od codziennych zmartwień. Autobus nie przyjechał, koła jej roweru nie chciały się kręcić, do wiejskiego sklepiku nie dotar-

ła dostawa. Wszystkie te rzeczy oznaczały dla niej dni wypełnione ciężką pracą, a więc mniej czasu na smutek. Zasy sięgały żywopłotów i dolnych okien domów. Gruby, szary lód zatrzymał prąd wody w rowach i unieruchomił silniki Diesla. Dreny mające doprowadzać wodę z gleby zamarły na dobre i przysypał je śnieg.

Podczas choroby Ericha Daragh przychodził rąbać drewno. Tilda obserwowała przez otwarte drzwi stodoły, jak Canavan uderza siekierą w kolejne polana. Z uniesioną ręką, bez marynarki przypominał chłopca, którego poznała przed laty. Zawsze w takich sytuacjach wracała do domu, zagniała ciasto, myła podłogę. Robiła cokolwiek, co pozwoliłoby jej choć na chwilę zapomnieć o tym, że Max jej nie kocha, i nie myśleć o starej miłości.

W marcu rozpoczęła się odwilż. Zaczęło padać - stalowo-szara kurtyna przeniknęła przez wiklinowy dach domu. Wichura burzyła kominy, powalała drzewa. Spacerując wzdłuż kanału, Tilda dostrzegła, że woda niemal występuje z brzegów. W niedzielę rano wyszła z domu bardzo wcześnie. Zobaczyła, że Sarah - ubrana w kalosze oraz płaszcz przeciwdesz-czowy - stoi w sieni i patrzy przez okno na płaskie pola, zalane wodą i wysmagane wiatrem.

- Nie wytrzyma - powiedziała Sarah. - Byłam na dworze i patrzyłam.

- Mówisz o kanale?

Przytaknęła.

- Musimy zabrać meble na górę. - Zaczęła ciągnąć fotel przez pokój. Miała sinonie-bieskie usta.

- Ja to zrobię. Erich mi pomoże. - Tilda powstrzymała ją gestem ręki. - Napiłabym się herbaty. Zaparzysz, prawda? - Spotkały się wzrokiem.

*R S*

W oczach ciotki Tilda dostrzegła urażoną dumę, ale Sarah nie strząsnęła jej ręki.

Tilda obudziła dzieci. Melissie kazała zanieść porcelanę i serwisy do sypialni, Joshua pobiegł po dłużyce do stodoły. Z pomocą Ericha Tilda zatargała na górę wszystkie meble, jakie mogły się zmieścić na wąskich schodach. Słoiki z marynatami oraz konfiturami, jak również worki z mąką i kartoflami zawędrowały do sypialni Sarah. Kobiety złapały też kury i zamknęły je w wiklinowych klatkach, które ustawiły na poźpiętrze, a do skrzynek po pomarańczach spakowały bezwartościowe małe skarby całymi latami kolekcjonowane przez ciotkę: wyszczerbione filiżanki, kolorowe książki, zdjęcia, listy i pamiątki.

W południe Tilda zajrzała do najbliższej sąsiadki - starej samotnej wdowy. Gdy szła z powrotem do domu, omal nie przewróciła jej wichura. Kilku mężczyzn popychanych przez wiatr biegło w kierunku kanału. Tilda otuliła się szczelniej płaszczem i ruszyła za nimi. Jej gumki co chwila wpadały w kałużę, ziemię pokryła skorupa lodu. Gałązki cisów i wierzb porozrzucane przez szaleńcze podmuchy jak bierki do gry, leżały na ścieżce prowadzącej w dół wzgórza od kościoła na pole. Deszcz padał Tildzie na głowę, przyklejając jej włosy do twarzy.

- Wracaj do domu, dziewczyno! - krzyknął ktoś, gdy Tilda znajdowała się już blisko kanału.

Stała chwilę, patrząc z przerażeniem na mężczyzn układających worki z piaskiem na brzegu. Widziała, w których miejscach wału woda, czarna i niebezpieczna, przesącza się na zewnątrz.

Na wodach, trzymanyh dotąd w ryzach przez nasypy, teraz doprowadzonych jednak do szału przez wiatr, odwilż i deszcz, powstały fale nacierające na tych, którzy usiłowali z nimi walczyć. Tilda zaczęła się poważnie obawiać, że ta walka jest przegrana. Najeźdźcy nie można już było zawrócić.

Tilda wycofała się znad kanału i pobiegła do dzieci.

Gdy rano do drzwi Daragha zapukał jeden z robotników, żeby mu powiedzieć, co się dzieje, ten natychmiast zawiózł żonę i córkę do Ely. Wracając z Ely, szczęśliwy, że Caitlin jest bezpieczna u Tatesów, musiał się jednak zatrzymać, by pokonać leżące na drodze gałę-

zie oraz głębokie kałuże powstałe wskutek występowania wód kanału. Walcząc powoli z trudnościami, miał czas, by pomyśleć. Czekał go bowiem trudny wybór. Mógł albo ratować swój dom, albo też wykonać obowiązek i pomóc ludziom - mieszkańcom wioski, z których *R S*

wielu zatrudniał w majątku bądź znał z czasów obrony cywilnej. Niemal słyszał szept piasku w klepsydrze - jego szczęście, wykorzystane do cna, przesączało się powoli do dolnej części naczynia.

Koła bentleya ugrzęzły w błocie, bak był niemal pusty. Daragh wysiadł z samochodu w wiosce, a potem zbiegł ze wzgórza na pola. Przez krople padającego deszczu dostrzegł

mężczyzn pracujących przy kanale. Niektórzy stali w rozkroku nad brzegiem, a ich szare sylwetki majaczyły na tle złowieszczego nieba, inni kopali w ziemi na brzegu pola. Daragh wmieszał się w tłum - pożartował z jednym, zachęcił drugiego. I on również wyciągał mokre, ciężkie worki na brzeg. I on również kopał glinę, po czym ładował ją do przeciekają-

cych fundamentów. Lżej mu się zrobiło na sercu, gdy spostrzegł, że dodaje ducha pozosta-

łym, a jego urok osobisty nadal się liczy. Świadomość tego zagłuszyła nawet obawy przed rodzącym się powoli podejrzeniem, że wszystkie te wysiłki są płonne, że nie zdołają opanować czarnego potwora.

- Dziś rano wysiadła pompa w Haddenham - wrzasnął nagle ktoś, przekrzykując szum wiatru. - W Over woda zniszczyła brzeg! - Daraghowi krwawiły ręce, przemókł do nitki, ale pracował dalej.

Tymczasem woda pokonała kolejną część brzegu. Pół tuzina ludzi próbowało zasypać gliną przeciek.

- Tutaj też! - rozległ się nagle czyjś przerażony głos i wszyscy pognali naprzód, tam gdzie cieniutka strużka wody przedarła się przez poszycie. Deszcz nie przestawał padać ani na chwilę. Na brzegu, w miejscu gdzie fale uderzyły w osłabioną strukturę, jeden z męż-

czyn wpadł do wody i trzeba mu było rzucić linę ratowniczą. Daraghowi omdlewały ręce.

Podniósł wzrok. Worki z piaskiem nadmiernie obciążały budowlę. Wiedział, że już niedługo woda albo zaleje brzeg, albo zmiecie fundamenty osłabione przez siarczysty mróz. Nie mieli szans wygrać, a jednak Daragh nadal wspierał mężczyzn w ich wysiłkach, częstował whisky z piersiówki, a niedoszłego topielca odholował aż do wrót kościoła.

Woda podmyła pokrzywy i dziki szczaw porastający zbocze. Ledwo udało im się powstrzymać jeden przeciek, już pojawiał się drugi. Słaba fontanna przerodziła się teraz w prawdziwy gejzer, ziemia wyrzuciła się nagle, całe połacie trawy oderwały się od korzeni.

- Woda! - wrzasnął jakiś głos. - Wszyscy na górę!

*R S*

Mężczyźni rzucili szpadle i worki, po czym schronili się w zaciszu kościoła.

Ledwo powłócząc nogami, Daragh usłyszał huk pękającego brzegu - odgłos do złudzenia przypominający grzmot. Siła uderzenia przepełniła go grozą - wyciągnął rękę, szukając po omacku czegoś, czego mógłby się uchwycić. Któryś z mężczyzn złapał go za ramię i podtrzymał.

- Pękł. To koniec - powiedział ktoś cicho, a Daragh pozwolił się zaprowadzić do ko-

ścioła, świadom, że w ryku i naporze wody utonął wrak jego nadziei.

**Rozdział 10**



I właśnie wtedy zniknął? - spytałam.

- Kilka tygodni później.

Zapadła cisza. Siedziałam z Tildą w ogrodzie Czerwonego Domu. Nad bielonymi ścianami wisiały groźnie ołowiane chmury, a ponieważ zbliżał się wieczór, powój zaczął

wydzielać swoją miodową woń. Jeszcze długo potem kojarzyłam ten zapach z hipokryzją.

Podczas powodzi w 1947 roku na tysiące akrów w South Level spadła kombinacja deszczu, zamarznętej ziemi i topniejącego śniegu. Do pomocy wezwano wojsko i straż.

Rząd holenderski, doświadczony w walce z powodzią, wypożyczył sprzęt specjalistyczny.

- Wioska Southam została zalana - wyjaśniła Tilda - a Dwór znalazł się dwa metry pod wodą. Daragh bardzo wiele stracił - meble, obrazy, dywany - wszystko uległo zniszczeniu. A jego ziemia... to ziarno wymyte z gleby, pola pokryte czarnym mułem... Sądził, że jest bankrutem. - Gdy przycisnęła ręce do oczu, poczułam nagle niechęć do samej siebie za to, że zmuszam tę kobietę do odtwarzania najwyraźniej bolesnej przeszłości.

- Jestem zmęczona - szepnęła, a ja poszłam pracować do saloniku. Przeglądałam wła-

śnie album z fotografiami, kiedy zadzwonił telefon. Joan wyjechała na cały wieczór do *R S*

Oxfordu, wybiegłam więc na korytarz, żeby odebrać.

- Chciałabym rozmawiać z Tildą Franklin.

- Chyba właśnie zasnęła. Może coś jej przekażę i poproszę, żeby do pani zadzwoniła?

Cisza.

- Pani prowadzi jej dom?

Wyjaśniłam, kim jestem i co robię w Czerwonym Domu. Znowu zapadła cisza, a potem usłyszałam niepokojący wybuch śmiechu.

- Pani pisze biografię tej kobiety? Niesamowita historia!

- Kto mówi? - spytałam urażonym tonem. Moja rozmówczyni nie podała jednak nazwiska.

- Kolejny hymnik pochwalny na cześć Anioła z Amsterdamu? - Znowu się roześmia-

ła. - Chce pani znać prawdę? Mam pani opowiedzieć, jak ta święta wyrzuciła na ulicę pewną samotną piętnastoletnią dziewczynę bez grosza przy duszy? Myślę, że przypomiinałam jej o nim. O tym, czego nie mogła mieć. O tym, co zniszczyła.

- Kim pani jest? - spytałam z naciskiem.

- To ona go zabiła. - Miejsce gniewu w głosie kobiety zajął teraz ból. - Ona zabiła mojego ojca. Zawsze mi się tak wydawało, ale teraz wiem to na pewno.

Serce waliło mi boleśnie w piersi. Zrozumiałam nagle, z kim rozmawiam.

- Caitlin? - szepnęłam, ale ona tymczasem odłożyła słuchawkę.

Wykręciłam 1471, żeby sprawdzić, skąd do mnie telefonowano. Gdy w parę minut później odkładałam słuchawkę, wiedziałam już, że Caitlin - podobnie jak ojciec rozmówiona w przepychu - zatrzymała się w hotelu Savoy.

Zrezygnowałam z noclegu w Czerwonym Domku. Musiałam zostać sama. Kiedy Tilda się obudziła, zaparzyłam herbatę, rozmawialiśmy chwilę, ale starałam się usilnie unikać jej wzroku. Podczas jazdy do domu w uszach wciąż pobrzmiwały mi gniewne słowa Caitlin: „Ona zabiła mojego ojca”.

Do tej pory zakładałam, że Caitlin Canavan albo nie żyje, albo już od dawna nie utrzymuje kontaktu z Franklinami. Była postacią drugoplanową, rozpieszczoną jedynaczką Jossy i Daragha. Teraz wysforowała się jednak na środek sceny.

Po powrocie do Londynu zatelefonowałam do Patricka i zostawiłam mu wiadomość na sekretarce. Składałam od nowa kawałki łamigłówek. Tilda i Daragh mieli romans, a Max R S

dowiedział się o wszystkim, zabił kochanka żony, po czym pogrzebał jego ciało w kanale.

Albo Jossy, oszalała z zazdrości o piękniejszą siostrę, zamordowała niewiernego męża. I kolejna straszna możliwość, jakiej dotąd nie brałam pod uwagę: sama Tilda, która zawsze kochała Daragha, zdała sobie nagle sprawę z tego, że on nigdy nie zostawi dla niej córki i...

Następnego dnia, mniej więcej w połowie kolacji, Charles przestał wreszcie mówić o sobie i spojrzał na mnie znad tajskiej curry.

- Jak tam Tilda? Znalazłaś już jakieś trupy w szafie? - spytał niewinnie.

Twarz najwyraźniej mnie zdradziła. Charles odłożył ostentacyjnie widelec.

- No mów. Proszę. Potrząsnęłam głową.

- To pewnie nic takiego. Wyobraźnia trochę mnie poniosła i tyle.

Nalał mi kolejną szklanekę wina.

- Pewnie mi nie wierzysz, ale ja naprawdę potrafię zachować dyskrecję.

I w taki oto sposób zaczęłam mu opowiadać o ciele w kanale i telefonie od Caitlin.

- Myślałam, że może to Max, mąż Tildy, miał coś wspólnego z tą historią, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że sama Tilda... - Urwałam. Nie byłam w stanie wyrazić na głos swoich najgorszych obaw.

Charles spróbował lodów kokosowych i machnął niecierpliwie łyżeczką.

- Ty byś tylko na tym skorzystała!

- O czym mówisz?

- Nie udawaj tępej, Rebecca. Jestem pewien, że główka pracuje. Baronetowa Tilda Franklin morderczynią! O taką książkę wszyscy by się bili. To przecież zupełnie tak samo, jakbyś odkryła, że Matka Teresa była w dzieciństwie prostytutką.

Popatrzyłam na swoją kawę. Musiałam się z nim zgodzić. Grzesznikom poświęca się znacznie więcej uwagi niż świętym.

- Dynamit, prawda, kochanie? - Odłożył łyżkę. Jasne zielone oczy zwęziły mu się nagle i na chwilę pojawiło się w nich coś, co odebrałam jak gniew. Idiotyczne. Dlaczego Charles miałby się złościć? Przecież zawsze zachowywał się zabawnie, elegancko... właśnie dlatego go lubiłam.

- Mogłabyś przeżyć tak zwany *crise de conscience*, prawda? Chodzą słuchy - dodał

natychmiast - że widujesz się z wnukiem Tildy. Tym przystojnym, stale zadumanym Patrickiem, Nie wierzyłem w te plotki, ale...

*R S*

- Rzeczywiście spotkałam się z nim parę razy - odparłam, choć zupełnie nie czułam potrzeby, aby się tłumaczyć przed Charlesem.

- „Spotkałam się” to eufemizm, prawda? A więc plotkarze się nie mylą?

- Tak. Dlaczego cię to dziwi?

- Myślałem, że nadal tęsknisz za tym nudziarzem Tobym.

- Nie tęsknię, ale on nie był nudny. Raczej nadmiernie ambitny i pretensjonalny.

Sądziłam, że Charles podejmie wyzwanie i zacznie wyszukiwać przymiotniki pasujące do Carne'a, ale on nie miał takiego zamiaru.

- Zakochałaś się w nim? - spytał.

- W Patricku? Nie wiem. Toby'ego chyba kochałam. Jeśli w ogóle rozumiem, co to znaczy.

- To znaczy, że bez przerwy o kimś myślisz. I jeszcze to, że gdy wreszcie znajdziesz się w towarzystwie obiektu miłości, nic ci więcej nie potrzeba do szczęścia. Nie chcesz być nigdzie indziej i stać się kimkolwiek innym.

Przez te wszystkie lata naszej znajomości Charles nie spotykał się z żadną kobietą dłużej niż przez kilka tygodni, a i to z rzadka. Jego manieryczny sposób bycia, brak zainteresowania kobietami, a nawet przyjaźń ze mną nasuwały mi czasem podejrzenia, że jest ge-jem. Nie dzieliłam się jednak z nikim swoimi podejrzeniami.

- Zdziwiasz mnie - powiedziałam, znów wędrując myślami do Tildy i Daragha.

Gniewne słowa Caitlin: „Ona zabiła mojego ojca”, nadal dźwięczały mi w uszach.

- Przecież wiesz, że uwielbiam cię od wieków, kochanie - odparł Charles, a ja poklepałam go po rękę i sięgnęłam do torebki po portmonetkę, żeby zapłacić swoją część rachunku.

Charles odprowadził mnie do domu. Kiedy wyszliśmy z za rogu ulicy, dostrzegłam niebieskie renault zaparkowane pod latarnią. Patrick siedział za kierownicą i bębnił palcami po desce rozdzielczej.

- W takim razie ja już pójdę - powiedział taktownie Charles. - Pożegnaliśmy się, a ja zastukałam w okienko renault. Patrick ruszył za mną na górę. Był najwyraźniej bardzo zmę-

czony; miał niebieskie sińce pod oczami, a spod opalenizny wyzierały mu kurze łapki.

Podziękował za kawę, nie chciał nawet usiąść w fotelu.

- Jechałem cały dzień. Zostawiłaś mi wiadomość na sekretarce.

*R S*

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i zaczęłam mu opowiadać o telefonie od Caitlin.

Przerwał mi już w połowie pierwszego zdania.

- O Boże! Miałem nadzieję, że się nie dowie.

- Przecież to mógł być jej ojciec. - Urwałam, gdy zdałam sobie sprawę z tego, co też się może kryć za tym wykrzyknikiem. - Ty ją znasz?

- Oczywiście. Ta okropna kobieta była zawsze czarną owcą w rodzinie. - Kręcił się nerwowo po pokoju, który stał się nagle zdecydowanie zbyt mały.

- Myślałam... Wydawało mi się, że już dawno straciłeś z nią kontakt.

- Niestety nie. Co ona właściwie mówiła?

Zaschło mi w ustach. Nie wiedziałam, jak mu to taktownie przekazać.

- Daj spokój. Czego chciała?

- Słyszała o odkryciu szkieletu. Sądzi, że to jej ojciec.

Usłyszałam, jak przeklina cicho pod nosem. Spojrzał na mnie spod oka.

- To nie wszystko, prawda?

Nie istniał żaden taktowny sposób.

- Oskarżyła Tildę o zabójstwo. Natychmiast przestał się miotać po pokoju.

- O Boże! - Podeszedł do okna, oparł ręce o parapet i wyrżał na ulicę. - Cholera! Cholera! Cholera!

I znowu odniosłam niepokojące wrażenie, że Patrick jest wściekły, a nie zdziwiony czy wręcz zaszokowany. Położyłam mu rękę na dłoni.

- Pewnie była pijana - mruknął, odwracając do mnie głowę. - Takie alkoholowe bredzenie, rozumiesz? Dzięki Bogu, że to nie Tilda odebrała telefon.

- Następnym razem może być inaczej - powiedziałam bez ogródek.

- No jasne, przecież ona na pewno znowu zadzwoni.

- Jak dobrze znasz Caitlin?

- Prawie wcale jej nie znam - odparł, kręcąc głową. - Pilnuję tylko zobowiązań finansowych, kiedy ojciec jest za granicą.

- Zobowiązań finansowych?

- Trochę jej pomagamy. Caitlin wychodziła trzykrotnie za mąż, ale żaden ze związków nie przetrwał. Miała zawsze kosztowne przyzwyczajenia, a co za tym idzie - masę długów.

*R S*

- Posyłasz jej pieniądze?

- Czasem tak. Już od początku lat sześćdziesiątych. - Na widok mojej miny oczy zwię-

ziły mu się jak szparki. - Nie widzę w tym nic złego. Caitlin należy do rodziny. Jest przy tym całkowicie nieodpowiedzialna i histeryczna. Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Kiedy przeniosła się do Dublina, poprosiła Tildę o pożyczkę, by, jak twierdziła, poszukać domu.

Tilda uległa i już nigdy nie zobaczyła tych pieniędzy. Mój ojciec widział, że kontakty z Caitlin bardzo denerwują Tildę i sam się zajął tą upiorną kobietą, żeby matka przestała się niepokoić. Tylko że on bardzo często wyjeżdża i wszystkie obowiązki spadły na mnie. Ja tylko wypłacam jej rentę, na

miłość boską.

Ale dla mnie ta cała sprawa nie miała sensu. Caitlin była wprawdzie wnuczką Edwarda de Paveleya, ale bardzo bym się zdziwiła, gdyby Tilda czuła się odpowiedzialna za tę właśnie więź rodzinną. A nawet jeśli Tilda zajmowała się małą po śmierci jej rodziców, to zobowiązania finansowe, jakie opisywał Patrick, wydawały mi się mocno przesadzone.

Musiałam odwrócić głowę, gdyż się bałam, że te wątpliwości mam wypisane na twarzy.

- Chyba porozmawiam z Tildą - powiedział Patrick. - Tylko że jestem akurat w połowie ważnego procesu i chcę powyjaśniać pewne sprawy z Jen, Bóg więc raczy wiedzieć, kiedy znajdę na to wszystko czas.

Przypomniałam sobie moje jedyne spotkanie z Jennifer Franklin; jej piękne ciemne włosy i alabastrową cerę. Podeszłam do Patricka i mocno go przytuliłam.

- Mogę przekazać Tildzie te nowiny, jeśli chcesz. Oczywiście powiem tylko o znalezieniu ciała.

- Nic więcej nie trzeba jej mówić. - Objął mnie mocno i musnął ustami czubek mojej głowy. - W końcu Caitlin mieszka o wiele mil stąd. Jak to wszystko wreszcie przemyśli, pewnie trochę się uspokoi.

Nie powiedziałam mu jeszcze, że Caitlin jest w Londynie. Otworzyłam usta, żeby przemówić i znów je zamknęłam. Niewykluczone, że Patrick miał rację, Caitlin rozmawiała ze mną pod wpływem alkoholu albo po prostu zwariowała... Mogłam się o tym przekonać tylko w jeden sposób - umówić się z nią na spotkanie.

Ale tymczasem Patrick zaczął pieścić moje pośladki, a ja zapomniałam o Caitlin, Tildzie i Daraghu.

*R S*

- Zostań na noc - szepnęłam.

- Przykro mi - odparł i znowu mnie pocałował. - Powinienem wracać do domu. Muszę pracować - dodał, odsuwając się ode mnie.

Wkrótce potem wyszedł. Otworzyłam szufladę biurka i zaczęłam przeszukiwać dzienniki. Imię Caitlin pojawiło się po raz pierwszy w lecie 1947 roku, a po raz ostatni w połowie 1949 roku. Po maju 1949 Tilda w ogóle przestała o niej pisać. Dziewczyna skończyła wtedy piętnaście i pół roku. „Ta święta wyrzuciła na ulicę samotną piętnastolatkę bez grosza przy duszy”. Przejrzałam notatki z 1947 roku. Po kwietniu imię Maksa występowało w zapiskach nader rzadko. Tilda sugerowała mi kiedyś, że po zakończeniu pracy w charakterze korespondenta wojennego Max zaczął jeszcze bardziej niż kiedyś unikać kontaktów z ludźmi.

Szczególnie trwałe ślady na jego psychice pozostawiło wyzwalenie Belsen, które oglądał na własne oczy u boku armii brytyjskiej.

Teraz już nie wiedziałam, czy Tilda powiedziała mi całą prawdę. A może cenzurowała swoje opowieści, tak jak to miało miejsce w przypadku epizodu z żołnierzem? W kwietniu 1947 roku Max opuścił Tildę, a Daragh zniknął bez śladu. Albo też został zamordowany. Za dużo zbiegów okoliczności - myślałam ponuro. Stanowczo za dużo.

Siedziałam na łóżku otulona w koc i przeglądałam dzienniki. Tym razem studiowałam uważnie zapiski pod każdą datą. Monotonna czynność i te maleńkie, podobne do siebie li-terki wprawiły mnie w stan odrętwienia. Całkowicie ubrana, zapadałam powoli w sen, gdy nagle ze ścieżki z boku domu dobiegł mnie odgłos kroków. Chrup. Chrup. Chrup. Dźwięk niezbyt głośny, ale wystarczający, by serce zaczęło mi walić w piersiach. Dziennik wysli-znął mi się z rąk. Nie pamiętałam, czy zamknęłam tylne wejście.

W najbardziej krytycznych sytuacjach nigdy nie ma pod ręką tępych przedmiotów. Z grubym tomiskiem o Moczarach w ręku podreptałam cicho do kuchni. Drzwi były zamknięte, światło zapalone. Na podwórku i ścieżce ani żywego ducha. Spróbowałam sobie wmówić, że to pewnie kot gonił za myszą, ale i tak spałam fatalnie tej nocy.

W poniedziałek powiedziałam Tildzie o niezidentyfikowanym ciele w kanale i telefonie od Caitlin.

Nie wspomniałam oczywiście ani słowem o oskarżeniach. Jedynie tyle, iż Caitlin sądzi, że odkryto zwłoki jej ojca. Tilda wysłuchiwała moich rewelacji z kamienną twarzą, po czym podeszła do okna. Deszcz posrebrzył płataninę róż i kapryfolium. Wilgoć potęgowała *R S* zawsze dolegliwości reumatyczne Tildy, która tego dnia również poruszała się sztywno, z trudnością.

- Nigdy nie wierzyłam w ucieczkę Daragha - powiedziała. - On nie zostawiłby córki.

Ledwo zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, gdy usłyszałam świst wypuszczanego powietrza.

- Powiedz mi, co zaszło, Tildo. Powiedz mi prawdę. Odwróciła się do mnie ze swoją królewską miną i uniesionymi brwiami.

- Czyż to nie jest twoje zadanie, Rebecca, by odróżnić prawdę od kłamstwa? - Usiadła. Miała przymknięte oczy, mówiła cicho.

- Ludzie musieli zaczynać od początku. Trzeba było znowu siać, by nie stracić zbiorów. Domy oczyszczono z błota, usuwano powoli szkody wyrządzone przez powódź. Ale istnieją rzeczy, których nie można naprawić...

\* \* \*

Księżyc w pełni odbijał się w wodzie wciąż stojącej gdzieś na polach. Gwiazdy świeciły na

atramentowym niebie, a ich zwierciadlane odbicie w tafli przesuwano się co chwila wraz kolejnymi podmuchami wiatru. Z rumowiska, gdzie leżał utopiony królik, żółkła wiosenna kapusta i szara szmaciana lalka, dochodził wstrętny zapach. Obchodząc pole, Daragh postawił kołnierz płaszcza. W takie noce nienawidził Moczarów. W takie noce wspominał zielone wzgórza i wodę morską obijającą się o brzeg i upajające - zimne, cierpkie i słone - powietrze. Wyjął piersiówkę z kieszeni, pogmerał odrętwiałymi palcami przy zakrętce i przełknął alkohol. W takie noce - gdy buty tonęły mu w błocie, a za nim i przed nim były tylko zniszczenia - pragnął jedynie biec, ukryć się i zacząć wszystko od nowa.

Nieopodal stała ogromna armia sprzętu służącego do robót ziemnych - monstrualne maszyny groźnie wyciągały do niego metalowe ramiona. Daragh wziął najpierw odgłos kroków za rytmiczne uderzenia własnego serca. Potem jednak odwrócił się i zobaczył swych prześladowców, wyglądających na tle bladego, migoczącego księżyca jak jakaś czarna kamea. Nie sądził, że przyjdą za nim aż tutaj. Należeli przecież do miasta - mali, ciemni, plu-gawi, zbierający środki na utrzymanie w ciemnych zaułkach lub w rynsztokach. Zaczął biec.

Najwyraźniej z niego drwiąc, ziemia unieruchomiła mu buty. Potknął się więc i pośliznął z *R S*

zupełnie nietypową dla siebie niezręcznością. Niecałe pięćset metrów przed nim majaczył

srebrny zarys wieży kościelnej oraz jasne okna pubu. Bezpieczeństwo. Żebra Daragha uciskały mu klatkę piersiową, a płuca z trudnością chwyciły rzadkie, wilgotne powietrze. Przez mokre koleiny posuwał się naprzód znacznie wolniej aniżeli by mógł, czuł się tak, jakby przeżywał jakiś koszmar senny. Szczęście przeleciało przez klepsydrę, przeklinał na głos tę bezlitosną ziemię.

Znów się pośliznął i upadł ciężko na kolana. Kroki prześladowców przypominały odgłos grzmotów. Czyjeś dłonie chwyciły go za pagony płaszcza i postawiły na nogi. Pierwszy cios trafił w żołądek, drugi w podbródek, a potem Daragh stracił rachubę.

O jedenastej Sarah i dzieci już spały. Tylko Tilda leżała skulona w podwójnym, zdecydowanie zbyt dużym i pustym łóżku. Czytała książkę, czekając, żeby zmorzył ją sen. Najpierw stukanie nie było zbyt głośne. Tilda sądziła początkowo, że to sowa uderzyła w rynnę albo myszy kręcą się przy listwie. A potem pomyślała o Maksie.

Zarzuciła szal na koszulę nocną, zbiegła na dół i otworzyła drzwi. Opierał się o ganek, zgięty wpół, czarne cienie padały mu na twarz. Usłyszała swój przerażony okrzyk.

- Przepraszam - powiedział, a potem wpadł jej w ramiona. Kiedy pomagała mu wejść do kuchni, czuła głównie złość.

Złość na Daragha za to, że nie jest Maksem, złość na siebie za to, że uwierzyła w po-wrót męża, złość na Maksa za to, że przez niego musi tak cierpieć.

W świetle kuchni przyjrzała się Daraghowi uważniej.

- Boże - szepnęła i natychmiast zdjęła płaszcz z wieszaka. - Zatelefonuję po lekarza...



po policję...

Powstrzymał ją gestem ręki.

- Nie trzeba.

- Daraghu, przecież ktoś cię pobił.

- Te dranie stłukły mnie prawie na miazgę, ale... zawarliśmy układ. - Zarechotał. - A o takim układzie bardzo niechętnie gadałbym z policją.

Popatrzyła na niego uważnie. Wiedziała, że wpadł w tarapaty. Jakaś jej cząstka chcia-

ła prosić Daragha, by odszedł, ta sama cząstka, która pragnęła oderwać się całkowicie od cierpień innych ludzi, tak by nie myśleć o własnych. Ale on drżał konwulsyjnie, naląła mu więc tylko trochę whisky.

*R S*

- W szafie zostały spodnie Maksa i jego koszula. Zaraz ci przyniosę.

- On wyjechał?

- Jest w Londynie. - Poszła na palcach na górę i z szafy wyjęła stare ubranie Maksa.

Kiedy wróciła do kuchni, Daragh nie miał już na sobie koszuli i stał przy zlewie, splukując błoto z torsu. Na jego opalonej skórze widniało mnóstwo czerwonych siniaków i brudnych smug. Nie chciała być potrzebna, a jednak Daragh jej potrzebował po raz pierwszy od tylu lat. Wzięła czystą flanelową szmatkę i zaczęła mu machinalnie myć plecy.

- Co się właściwie stało?

- Dopadli mnie wierzyciele. - Uśmiechnął się gorzko. - To coś nowego, prawda? Do tej pory cierpiałem raczej przez kobiety.

Nie uśmiechnęła się.

- Bardzo źle z tobą? - Wyjęła flanelkę i pomyślała chwilę. - Mogłabym ci pożyczyć ze dwadzieścia funtów.

- Miło, że zaproponowałaś, kochanie - odparł. - Ale to znacznie gorsza sprawa.

Tak naprawdę to nie chciała nic wiedzieć, borykała się z ogromną ilością własnych problemów i zupełnie nie pragnęła kłopotów Daragha, który zawiódł ją na całej linii przed wieloma laty i nic mu nie była winna. Jednak jakiś cichutki głos przypominał jej, że kiedy wróciła do Southam, Daragh zachowywał się w stosunku do niej jak naprawdę dobry przyjaciel. Zorganizował ekipę poszukiwaczy, gdy zniknął Josh, rąbał dla niej drewno i bardzo się starał, by podczas powodzi nie

groziło jej żadne niebezpieczeństwo. W zamian o nic nie prosił.

- O ile gorsza?

Zaniepokoił ją wyraz jego oczu.

- Kiedy żeniłem się z Jossy, sądziłem, że będę bogatym człowiekiem. Dom... pola...

Jednak wcale nie tak łatwo być bogatym. Od zakończenia wojny farma nie przynosiła żadnych dochodów. W dobrych latach co najwyżej wychodziłem na zero, w złych ponosiłem straty. A było wiele złych lat - mokre wiosny wymywające zasiewy, kiepskie plony. Próbo-wałem sprzedać jedno czy dwa pola, ale nikt nie chciał ich kupić, wziąłem więc kredyt hipo-teczny. Mamy takie wydatki - szkołę Kate, służących, robotników i konie.

Wziął z krzesła koszulę Maksa i zaczął ją zapinać.

- Zastawienie Dworu na jakiś czas postawiło mnie na nogi. Kiedy nie mogłem spłacić *R S*

raty, spieniężałem jakiś obraz albo mebel. Jossy nie miała nic przeciwko temu. Nie zrobiłem niczego, co wpływałoby na jakość naszego życia. Mówiłem jej, że pozbywam się auta, bo i tak racjonują benzynę, ale prawda była taka, że pewien gość zamierzał zaskarżyć mnie do sądu. - Nabrał powietrza. - Potem próbowałem zdobyć pieniądze w inny sposób. Zacząłem od koni. Z początku szczęście mi sprzyjało.

Tilda pomyślała, że po tym długim rozstaniu coś ich jednak łączy. Oboje patrzyli, jak ich marzenia rozsypują się w proch. Ona traciła powoli rodzinę - coś najważniejszego na świecie. Bogactwo i status, dla których porzucił ją Daragh, też okazały się ułudą.

- Musiałem zaciągać kolejne pożyczki. Oczywiście nie w bankach, tam zatrzaskiwano mi drzwi przed nosem. U różnych ludzi. To właśnie z nimi spotkałem się niedawno na Moczarach.

Znów drżał. Pogłaskała jego ramiona, próbując w nie wetrzeć trochę ciepła.

- Na razie spróbuj się uspokoić. Jossy wie?

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Stracę dom, Tildo - powiedział. W jego zielonych oczach czaiła się rozpacz. - Ona mnie uwielbia - mruknął. - Nie rozumiem dlaczego. W każdym razie na pewno mi się to nie należy. Jak mogę jej powiedzieć, że przez tyle lat się myliła? Sam Pan Bóg widzi, jakim kiepskim byłem mężem. Nigdy jej nie kochałem, nawet nie lubiłem, a ona sobie nie zasłuży-

ła na takie traktowanie. Na swój sposób przywiązałem się do niej - jakoś razem ciągniemy ten wózek, co nie ma nic wspólnego z prawdziwym małżeństwem, ale...

Głos mu się nagle załamał. Ujęła w dłonie ręce Daragha, próbując je ogrzać. Jego cia-

ło - teraz bardziej umięśnione niż przed laty - stało się dla niej obce. Kiedy jednak wyczuła dłoń mężczyzny na swoim policzku, przypomniła sobie natychmiast żar bijący zawsze z jego skóry.

- Tak czy inaczej, przeznaczyłem dla nich pieniądze z wczesnych zbiorów. A w jadalni wisiał taki bohomas wart podobno tysiąc funtów albo nawet więcej. Tylko że powódź

zniszczyła plony, a z obrazu zrobiła się papka i... och, Tildo, nie wiem, co robić.

Pozwoliła, by oparł jej głowę na ramieniu. Drżał na całym ciele, dlatego mocno go przytuliła.

- Miałem szczęście, ale ono się ode mnie odwróciło. Uciekło.

Pogłaskała Daragha po włosach i przyciągnęła do siebie. Szepcząc uspokajające sło-R S

wa, głaskała go po plecach, ale w oczach miała łzy. Gdy zaczęły jej spływać po policzkach, poczuła ich słony smak.

- Co się stało, Tildo? - spytał szeptem i zaczął scałowywać te łzy. - Kochanie, nie wolno ci płakać z mojego powodu, nie zasłużyłem sobie na to.... - Zrozumiała, że powinna się odwrócić, zrobić jakąś niewiele znaczącą uwagę, zagotować wodę w czajniku.

A jednak tego nie uczyniła. Odnosiła wrażenie, że kończą coś, co zaczęli wiele lat temu. Jego pocałunki zmieniły się, snuły się leniwie po ciele Tildy, wzbudzając w niej tęsknotę, jaką dawno uznała za martwą. Daragh naprawdę jej pożałował. Nie uważał, że jest stara, nieużyteczna i nieatrakcyjna. Przy nim czuła się młoda, energiczna, pełna optymizmu - taka, jaka była kiedyś; przy nim mogła odpędzić od siebie wojnę i samotność. Dotyk Daragha wyrwał ją z pewnego rodzaju śmierci, rozniecił w niej płomień, który stał się początkiem pożaru. Gdy jego ręka ześliznęła się pod cienką koszulę nocną i musnęła jej pierś, omal nie krzyknęła z rozkoszy. Już zapomniwała, że potrafi odczuwać tak niezwykłą, wyjątkową przyjemność. Usta Daragha przewędrowały z szyi na policzek, a gdy zetknęły się z jej ustami, Tilda już wiedziała, że jest zgubiona.

\* \* \*

Jossy, stojąca przy oknie na podeście, usłyszała najpierw chrzęst butów Daragha na żwirze, a potem gwizdaną przez niego melodię. Dochodziło wpół do pierwszej.

Gdy jej mąż zaczął gmerać kluczem w zamku, pobiegła do sypialni, po czym wśliznęła się pod kołdrę. On tymczasem ruszył po schodach na górę... Potem, gdy już zapadła cisza, Jossy podreptała korytarzem do łazienki. Tam dotknęła nadal wilgotnego pędzla do golenia i ręcznika, próbując ukoić swoje podejrzenia tą zastępczą bliskością. Uniosła pokrywę kosza na brudną bieliznę, wyjęła koszulę męża i zaczęła wdychać jego zapach. Nagle dostrzegła nieznaną metkę z pralni, a na niej nazwisko Franklin.

Upadła na kolana, jęcząc cicho.

Max zamierzał wyjaśnić Tildzie, że potrzebuje czasu na przemyślenia i odzyskanie równowagi psychicznej, jaką ostatnio całkowicie stracił. Powinien był wyjaśnić żonie, że to on się zmienił, ale

w jej rozżalonych oczach dostrzegł wyrzut. Dlatego stchórzył. Nie chciał

się już angażować emocjonalnie w tę rozmowę. Gdyby Tilda go dotknęła albo gdyby on pozwolił się dotknąć, pewnie rozpadłby się na tysiąc małych kawałków. Raz już stał na krawę-

dzi podobnej przepaści i nie chciał, by taka sytuacja się powtórzyła. No i w końcu powieR S

dział te wszystkie głupstwa, głupstwa, które Tilda na pewno fałszywie zinterpretowała. On sam rozumiał jednak doskonale, że niezręczność, jaką popełnił, odzwierciedla tylko stan je-go umysłu.

W londyńskim mieszkaniu czuł się lepiej. Miał fotel, stół, umywalkę i nawet radio, choć rzadko go słuchał. Nastąpiły wyjątkowe mrozy, ale z powodu kryzysu paliwowego ogrzewanie włączano tylko na noc. Jednak zarówno internat, jak i miesiące spędzone w alianckiej armii nauczyły go tolerować zimno. Tutaj nie podskakiwał nerwowo, bo nikt nie rzucał się na niego z okrzykiem: „tatuś”. Nikt nie oczekiwał od niego miłości ani bliskości -

czyli czegoś, czego nie potrafił już dać. Jadał w maleńkim pokoiku, mieszkanie sprzątała mu co tydzień wciąż zadumana, cicha kobieta oplakująca syna, którego straciła pod El Alamein.

Pracodawca namawiał go na orgietkę, ale Max zignorował tę sugestię i temat upadł. Franklin zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest zamknięty w skorupie jak wielu z tych, którzy przeżyli pierwszą wojnę światową. Widział tylko rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien oglądać, dlatego ogarnął go głęboki pesymizm i przestał dostrzegać sens w czymkol-wiek. Pamiętał, że w czasie wojny zabijano kobiety tak piękne jak Tilda i skazywano na tortury dzieci równie słodkie jak Melissa czy Josh. Twarze córki i syna nieustannie mu o tym przypominały.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego nieobecność rani Tildę, ale nie miał wyboru. W

codziennym kieracie odnalazł pocieszenie. Rzadko widywał gazety, a większość miesięczników zamknięto ze względu na racjonowanie opału. Czytywał jedynie błahe książki i słuchał wyłącznie lekkiej muzyki. Zabrał ze sobą do Londynu fotografie Tildy i dzieci, ale trzymał je w szufladzie. Od powrotów do domu na weekend wykręcał się zwykle blokadami dróg lub oblodzonymi torami. Wcale nie dlatego jednak, że nie kochał swojej rodziny. Po prostu nie potrafił już nikomu nic dać. Siedząc w pokoju, obserwował padające płatki i dziękował w duchu Bogu za tę białą kołderkę ciszy, jaka nastąpiła w mieście.

Ale śnieg stopniał i wreszcie przyszła wiosna, a Max coraz częściej myślał o rodzinie.

Wyjął zdjęcia i porozkładał je na komodzie. Poszedł na koncert, ale nawet się nie wzruszył.

Pewnego dnia po pracy umówił się z ojcem w Savoyu. Rozmawiali o rugby, o planach nacjonalizacji hutnictwa, a potem o nowej pracy Maksa.

- Nie wiedziałem, że lubisz tego rodzaju zajęcia - powiedział pan Franklin, mrugając oczami.

R S

- Bo nie lubię - odparł poważnie Max. - Ale nie chciałem już pisać.

- Co na to Tilda?

Max próbował nie patrzeć ojcu w oczy.

- Od stycznia żyjemy w separacji. Pracowałem w Londynie, potem zaczął padać śnieg i nie mogłem już wrócić do domu. - Wzruszył ramionami.

Pan Franklin zakasłał dyskretnie.

- Wiem, że w dzisiejszych czasach bardzo trudno znaleźć przyzwoite mieszkanie, ale jeśli się ma pieniądze... Przecież wiesz, że udało mi się trochę odłożyć.

Max automatycznie pokręcił głową. Ojciec zawsze zastępował miłość pieniędzmi. Nie znał takiej waluty jak uczucie. A Max nigdy nie przyjmował czeków.

Przyszedł kelner. Pan Franklin dolał wody do whisky i znów zakasłał.

- Zawiodłem oczekiwania Clary. Nie potrafiłem dać jej tego, czego potrzebowała.

Tylko że nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie zrobiło się za późno.

Ojciec nigdy nie mówił o małżeństwie, dlatego Maksa tak to zaskoczyło, że zamilkł.

Rozumiał jednak, ile kosztowało ojca wypowiedzenie tych paru krótkich zdań. Zmobilizował więc całą energię i odchrząknął.

- Tilda nie jest niczemu winna. Cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. Widziałem na wojnie różne okropne rzeczy, tato, i nie mogę o nich zapomnieć. W dalszym ciągu nie mogę. Zresztą ty też walczyłeś na wojnie i wiesz, co mam na myśli.

Tym razem cisza trwała dłużej.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Tildę, pomyślałem, że naprawdę piękna z niej dziewczyna. Prawdziwa perła. - Pan Franklin wziął płaszcz, kapelusz i położył rękę na ramieniu syna. - Nie wolno ci jej odrzucić. Ja zmarnowałem swoją szansę. Nie powtarzaj tego błędu.

Nigdy nie zapomniała, co było potem.

Odwrócił się od niej (leżeli na podłodze obok rozrzuconych ubrań, z trudem chwytając powietrze), po czym zerknął na zegarek.

- Matko boska, Jossy zawiadomi policję i zacznij mnie szukać! - zawołał, a potem skoczył na równe nogi.

Ubierał się, pogwizdując: „Jasnowłosa dziewczeczka z County Down”. Odwracając się do drzwi,

dostrzegł swoje zabłocone rzeczy i wsadził je pod pachę. Potem przyklęknął na *R S*

chwilę, pocałował Tildę i wybiegł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Poszła do sypialni, nalała zimnej wody do miski i dokładnie się umyła. Potem usiadła owinięta w ręcznik na skraju łóżka. W przyćmionym świetle lampy naftowej zamajaczyły jej pamiątki po mężczyźnie, którego kochała: stary szlafrok na wieszaku wbitym w drzwi, maszyna do pisania na komodzie, paczka papierosów. A przede wszystkim ich ślubna fotografia w srebrnych ramkach na stoliku nocnym.

- Och, Maksie - szepnęła Tilda. - Co ja najlepszego zrobiłam?

W końcu wysłała do niego list.

*Drogi Maksie, Sarah jest bardzo poważnie chora, chyba umiera. Odkąd wyjechałeś, nic się nie udaje. Proszę, wróć do domu, tak bardzo cię potrzebuję.*

Zalepiła kopertę, podeszła do okna i odsunęła kotarę o parę centymetrów. Męczyło ją poczucie winy oraz lęk przed przyszłością. Wiedziała, że nie zaśnie. Pragnęła cofnąć wskazówki zegara. W tej jednej jedynej chwili pojmowała sprawiedliwość niczym jej ciotka Sarah - jak prymitywną równowagę między złem i dobrem. Oko za oko. Zdradziła Maksa, a za to należało zapłacić.

Jossy pojechała do Cambridge. Na polach nadal utrzymywała się woda, ale główne drogi były przejezdne, a prace remontowe w toku. W Cambridge skierowała swoje pierwsze kroki do salonu piękności, gdzie kazała sobie obciąć włosy i ufarbować je tak, by pokryć siwiznę. Potem spędziła dalsze pół godziny z okropną dziewczyną w białym fartuchu, która umalowała jej twarz i wygłosiła kazanie na temat zaniedbanej cery. A gdy Jossy otworzyła oczy i popatrzyła w lustro, zobaczyła w nim zupełnie inną kobietę - niewielkie zmarszczki wokół nosa i ust pokrywał puder i podkład, a dzięki tuszowi oraz ołówkowi do kresek oczy -

zawsze najpiękniejszy szczegół w jej twarzy - nabrały głębi i wyrazistości.

Potem wybrała się na zakupy. Od wieków nie interesowała się garderobą. Ubrania nadal racjonowano, ale Jossy nadal miała sporo kuponów. Przy pomocy ekspedientki wybrała w końcu kremową bluzkę i czarną spódniczkę do kolan. Wołałaby wprowadzić coś do pół łydki - w tzw. nowym stylu, reklamowanym we wszystkich magazynach mody, ale ubrania krojono oszczędnie, gdyż brakowało materiałów.

- Bardzo elegancko pani wygląda - powiedziała ekspedientka, kiedy Jossy popatrzyła na swoje odbicie w lustrze wiszącym w przebieralni.

Elegancko - myślała Jossy ze złością, zdejmując swoje nowe ubrania. Nigdy pięknie.

*R S*

„Tilda jest dziesięć razy ładniejsza od ciebie”. Gdy odpinała guziki, drżały jej ręce.

We Dworze Jossy straciła jednak trochę pewności siebie spowodowanej zakupami.

Euforia minęła.

Początkowo, zaraz po powodzi, nie denerwowało jej zniszczenie domu, bo Daragh był

bezpieczny. Gdy usłyszała o pęknięciu grobli, pomyślała, że go straciła. Wbrew wszelkim przewidywaniom uchroniła męża przed zaborczymi zakusami innych kobiet, ale nie ocaliła go przed wodą. I dlatego później, kiedy tylko się dowiedziała, że Daraghowi nic nie grozi, wcale nie rozpacziała nad zniszczeniami, jakich powódź dokonała w domu. Przeciwnie, gdy woda trochę opadła, Jossy zaczęła pomagać Daraghowi i innym mężczyznom przy wycią-

ganiu mebli z dolnej części budynku, a potem przystąpiła energicznie do sprzątania czarnego mułu.

Teraz tapeta zwisała ze ścian w żalosnych strzępach, a gołe, szerniałe podłogi pogłę-

biały tylko poczucie straty. W chwili gdy próbowała gorączkowo zatrzymać swoją własność, wszystko wymykało się jej z rąk.

Kolację podała o ósmej. Na jej widok Daragh aż otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Wspaniale wyglądasz, Joss.

Istotnie, wspaniale. Wspaniałe są również statki i samochody. Jossy zdawała sobie sprawę ze swojej tęgiej sylwetki i szerokich bioder. Wiedziała, że brak jej delikatności czy elegancji Tildy. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Przygotowałam coś specjalnego na kolację.

Daragh potarł siniaka na brodzie - twierdził, że poprzedniego dnia zrzucił go koń.

- Zapomniałem może o twoich urodzinach? Albo o jakiejś innej uroczystości? Świętu-jemy?

- Otrzymałam dziś wspaniałe wiadomości, Daraghu. Powiem ci wszystko, jak zjemy.

Przyrządziła trzy dania - zupę, rybę i deser. Warzywa i owoce pochodziły z ogródka, rybę - tłustego pstrąga - złowił Daragh. Nagość pokoju łagodził ogień na kominku i świece.

Jossy przyniosła z kuchni radio i nastawiła je na trzeci program. Podczas posiłku grała cicha muzyka. Daragh tryskał humorem, podobnie jak wówczas, gdy rozpoczął romans z Elsą Gordon.

Po kawie i brandy Canavan stanął przy kominku, a Jossy położyła mu głowę na ramieniu.

*R S*

- Byłam rano u doktora Williamsa. Okazało się, że już nie mogę mieć dzieci - szepnę-

ła. - To po prostu taka zmiana w życiu. Doktor twierdzi, że niektóre kobiety przechodzą przez to wcześniej.

Przytulił ją z roztertargnieniem.

- Bardzo mi przykro. Moja biedna Joss.

- Ty nic nie rozumiesz. Będziemy znowu mężem i żoną. Wolno ci ze mną spać. - W

jej oczach pojawiły się łzy. Stała na palcach i poszukała jego ust. Dotknęła delikatnie ustami rozciętej wargi i siniaka na szczęce. Przyciągnęła męża do siebie, rozkoszując się jego zapachem. I choć nadal odczuwała lęk, wiedziała, że podjęła właściwą decyzję.

Uwiodła go. Przeżyła drugą noc poślubną. Rozebrała go, pieściła, podniecała. Gdy wreszcie targnęły nim skurcze, zrozumiała, że wygrała. Daragh wybierał zawsze najprostsze rozwiązania.

Następnego dnia poszła na pocztę do Southampton po znaczki. W drodze powrotnej zobaczyła, że z autobusu wysiada znajomy mężczyzna.

By zwrócić na siebie uwagę Maksa, musiała poklepać go po ramieniu.

- Cieszę się, że widzę pana z powrotem w Southam. Może w przyszłości uda się panu utrzymać żonę z dala od mojego męża. Tak by było lepiej dla nas obojga, prawda? - spytała, po czym obróciła się na pięcie i odeszła.

Chciał pobiec za tą kobietą, mocno nią potrząsnąć i zmusić do wycofania tych wstrętnych pomówień.

A jeśli, jednak... - pomyślał nagle i popatrzył za odchodzącą Joscelin Canavan. Traktor wyładowany materiałem do naprawy rowu jechał prosto na niego, ale Max zauważył, co się dzieje, dopiero w chwili, gdy kierowca zaczął na niego wrzeszczeć.

Wziął walizkę i ruszył w stronę domu. Ogarnął go zadziwiający spokój. Przypomnił

sobie wizytę Tildy w Savoyu. Potem spacerowali razem nad Tamizą, a w jej oczach czaił się smutek.

- „Nie mówiłaś, że go nie kochasz”.

- „Ale kiedyś powiem. Musi tylko minąć trochę czasu”.

Tilda nigdy jednak nie potrafiła odnaleźć spokoju w domowym zaciszu. Zawsze pragnęła czegoś więcej, niż Max mógł jej dać. Ich własne dzieci, *Kindertransporte*, pracowite dni i noce, podczas których zajmowała się uchodźcami - wszystko to miało po prostu wy-R S

pełnić czas, zastąpić prawdziwą, utraconą niegdyś miłość?

Gdy dotarł do Długiego Domku, Tilda była w ogrodzie - zobaczył ją z gracją w ręku, pochyloną. Zawsze zazdrościł żonie tej charakterystycznej duchowej wolności. To, co stłu-miło w Maksie



drobnomieszczańskie dzieciństwo, praca i szkoła, nadal płonęło w niej. Ten ogień żarzył się zapewne jeszcze również w Daraghu Canavanie. W przypadku tego Irland-czyka niezależność zmieniła się jednak w beztroskę, natomiast temperament w deprawację -

myślał, zapatrzony w piękny, doskonały profil żony. Tilda pochylała się nad grządką, jej złote włosy wymykały się spod wstążki. Po chwili wyprostowała się i ruszyła w stronę do-mu.

Widocznie wydał jakiś dźwięk, bo wykrzyknęła jego imię... Szedł jednak dalej w stronę drogi do Ely. Usłyszał zbliżające się kroki, odgłos kaloszy plaskających o kałużę.

Gdy położyła mu rękę na ramieniu i próbowała go zatrzymać, chciał uderzyć ją po rękę.

- Max. - Z trudem chwytiała powietrze.

- Właśnie rozmawiałem z panią Canavan - syknął. - A właściwie to ona rozmawiała ze mną. - Zobaczył nagłą zmianę na twarzy Tildy, jej przerażenie i stracił wszelkie złudzenia.

- Miałem nadzieję, że ona kłamie - powiedział. Ręka Tildy ześliznęła mu się z ramienia. - Albo się myli. Lecz to chyba mało prawdopodobne. W końcu ty go przez te wszystkie lata kochałaś.

- Maksie, proszę... - Stali przed pocztą, koronkowa firanka w oknie drgnęła, a jakaś kobieta zatrzymała się tuż obok, udając, że szuka czegoś w torebce. - Musimy porozmawiać.

- Patrzyła na niego błagalnie.

- O czym? Pani Canavan sugerowała wyraźnie, że romansujesz z jej mężem. Najpierw ta cała rozmowa wydała mi się okropnie tandetna, ale potem... Potem pomyślałem, że w końcu ona może mieć rację. - Zerknął na Tildę, chciał nią potrząsać aż do chwili, w której wyznałaby mu prawdę. - Więc jak, Tildo? Ona kłamie czy nie?

- Nie kocham Daragha, Maksie - szepnęła. - Kiedyś darzyłam go uczuciem, ale potem nauczyłam się kochać ciebie i tak już zostanie do końca moich dni.

On jednak jej nie wierzył. Utracił wiarę w cuda.

- Ale z nim spałaś - powiedział. Kiedy przymknęła powieki, niezdolna, by spojrzeć mu w oczy, odwrócił się na pięcie. - Proszę nas zostawić, do cholery! - wrzasnął do ciekaw-skiej kobiety, a potem podniósł torbę i zaczął iść z powrotem w kierunku Ely. Ogarnęło go *R S*

zmęczenie, nawet gniew zmalował wobec świadomości, że nie wystarczył Tildzie. Łudził się tylko niepotrzebnie, iż jest mężczyzną, jakiego ona mogłaby pokochać.

Znów usłyszał za sobą kroki i jęk rozpacz.

- Tylko raz!

Łzy spływały jej po twarzy. Gniew Maksa powrócił z całą siłą.

- Obiecywałaś - powiedział cicho. - Obiecywałaś.

Jossy sądziła, że będzie świętować zwycięstwo, ale zamiast tego poczuła zmęczenie.

Zaraz po kolacji poszła do sypialni, by się zdrzemnąć. Caitlin zostawiła w kuchni przy kanapkach.

Kiedy jednak po obudzeniu dojrzała intensywną czerń nieba, przez chwilę w ogóle nie rozumiała, co się dzieje. Nadal miała na sobie ubranie. Zerknęła na zegarek. Zbliżało się wpół do trzeciej nad ranem. Spała ponad osiem godzin. Trzęsąc się z zimna, narzuciła szlafrok na spódnicę i sweter, po czym poczłapała do pokoju Daragha. Zamierzała wśliznąć się do łóżka, położyć obok męża i chłonąć ciepło jego ciała. Pchnęła drzwi.

Daragha w pokoju nie zastała. Stała przez chwilę nieruchomo, nie wierząc w gładkość kapy. Włączyła światło i rozejrzała się, a potem zaczęła przeszukiwać dom, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Na kuchennym stole leżały rzeczy przygotowane na piknik; na suszarce stała pusta szklanka po whisky. Nie zauważyła nigdzie tweedowej marynarki Daragha ani jego kaloszy - mąż najwyraźniej poszedł polami do Southam.

Usiłowała sobie wmówić, że Daragh wybrał się do Pheasant, a stamtąd na walki kogutów albo na karty. Mimo wszystko nie mogła zasnąć tej nocy - leżała z otwartymi oczyma, patrząc, jak niebo powoli się rozjaśnia. Czekala na odgłos znajomych kroków. O świcie wstała i przygotowała śniadanie dla Caitlin, która - ubrana w strój do konnej jazdy - zeszła właśnie na dół. Córka była w wyjątkowo fatalnym nastroju, a gdy Jossy zaczęła jej tłumaczyć, że taty jeszcze nie ma w domu, posypała po prostu cukrem owsiankę i wzruszyła ramionami.

- Zaraz przyjdzie, bo obiecał - powiedziała.

Po zjedzeniu dwóch łyżek zupy mlecznej wybiegła do stajni, żeby przygotować konie.

Jossy opłukała tymczasem łyżki, a następnie wymyła dokładnie pozostałe naczynia. Dzień zaczął się pięknie, ale wkrótce potem niebo zasnuły chmury i grube strumienie deszczu uderzyły o żwir, tworząc żółte kałuże. Caitlin wróciła wreszcie do domu, ale została przy oknie, *R S*

usiłując coś wypatrzeć poprzez ścianę wody. Jossy uświadomiła sobie nagle głębię jej cierpienia. Objęła niezdarnie córkę, ta jednak nie zareagowała na pieśczęotę. Zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała obecności matki... Obie czekały z bolesną, pełną strachu miłością na tego samego mężczyznę, lecz bliźniacze cierpienie wcale im - wbrew pozorom - nie pomagało.

Daragh nie pojawił się w domu ani tego dnia, ani następnego. W poniedziałek rano, po odwiezieniu Caitlin do szkoły, Jossy udała się do Southam. Zaczęła bowiem podejrzewać, że jej rozmowa z panem Franklinem mogła wywołać skutek przeciwny do zamierzonego. I tak Max opuścił żonę, a Daragh - który zawsze kochał Tildę - skorzystał tylko ze sposobności.

Niezrażona ciekawskimi spojrzeniami, jakie wywoływało jej dochodzenie, Jossy ustaliła, że Max Franklin naprawdę wyjechał. Pracująca na poczcie pani Butler widziała, jak Tilda biegła z płaczem za mężem. Patrząc znacząco na Jossy swymi wielkimi, jasnymi oczami, dodała złośliwie, że pani

Franklin to nic dobrego.

Jossy przejechała później kontrolnie odnogą drogi prowadzącą do Długiego Domku.

Zauważyła dzieci kręcące się po podwórku i małego uchodźcę pedałującego na rowerze w kierunku wioski, ale Daragha nigdzie nie było. Gdy Tilda wyszła z domu z torbą na zakupy, Jossy dokładnie się jej przyjrzała. Tilda miała bardzo bladą twarz, całą w plamach, włosy opadające byle jak na ramiona. Już nie wyglądała pięknie, tylko równie zwyczajnie jak jej siostra.

Po pięciu dniach nieobecności Daragha Jossy zaczęła podejrzewać, że on może w ogóle nie wrócić. Ta myśl przyszła jej do głowy, gdy pochyliła się nad kuchenką i sprawdzała nożem miękkość ziemniaków. Ostrze wbiło się w kartofel, a Jossy wyprostowała plecy i odgarnęła grzywkę z oczu, próbując odegnać od siebie złe myśli. Daraghowi już zdarza-

ło się wyjeżdżać, ale nigdy na tak długo i nigdy bez słowa.

Następnego ranka Jossy poszła polami do Southam. Wyrwę w ścianie rowu naprawiono i tylko kilka błotnistych kałuż wypełnionych zardzewiałymi puszkami oraz brudnymi kawałkami szmat lizało dolne partie pola. Od czasu do czasu Jossy zerknęła w dół, szukając wzrokiem bodaj maleńkiego śladu po Daraghu - paczki papierosów czy guzika od marynarki. Wpatrywała się również w horyzont, tak jakby oczekiwała, że on się tam zjawi, ni stąd, ni zowąd, zupełnie nagle, sześć dni po swoim zniknięciu, z rękami w kieszeniach, pogwiz-R S

dując wesoło.

Następnego dnia odwiedziła komisariat w Ely. Po ich znudzonych minach poznała, że policjanci najwyraźniej biorą Daragha za kolejnego zbłąkanego małżonka. Walnęła więc pięścią w stół.

- Chyba wiecie, że jestem córką Edwarda de Paveleya, byłego sędziego?

Zapisali parę szczegółów, ale nadal patrzyli na nią z lekką ironią. Jossy odeszła z niemiłym uczuciem, że od zakończenia wojny wiele się zmieniło.

W domu na stoliku zobaczyła listy do Daragha. Siedząc na sofie, przecinała każdą kopertę nożem do papieru i patrzyła na arkusiki. Nie dowiedziała się wprawdzie, gdzie zniknął

Daragh, ale odkryła inne rzeczy. Okazało się, że nie zapłacili rachunków za szkołę Caitlin i byli winni równie wielkie sumy różnym dostawcom. Obciążono hipotekę Dworu długiem, którego nie spłacano od sześciu miesięcy. Siedziała przez chwilę nieruchomo, a wokół, niczym porozrzucane liście, leżały najróżniejsze papiery oraz dokumenty. Ku swemu wielkiemu zdumieniu Jossy zdała sobie nagle sprawę z tego, że można jednak stracić rzeczy, jakie się dotąd uznawało za wieczne i nienaruszalne. Ot, choćby pozycję społeczną i mają-

tek.

Następnego dnia udała się do banku, gdzie dyrektor stwierdził sucho, że Dwór pójdzie zapewne pod młotek.

- Do tego nigdy nie dojdzie, panie Mortimer - warknęła i wyszła z biura. Ale nogi się jej trzęsły. Tej nocy, stojąc przy oknie i wypatrując Daragha, sądziła, że wszystko, co stare i znajome, rozpada się w proch. Gdyby nocne niebo pojaśniało, a torfowisko rozstało się nagle, odsłaniając czeluść z kośćmi dinozaurów, Jossy też wcale by się nie zdziwiła.

Miesiąc później zatrudniła prywatnego detektywa. Przedtem wybrała się kilkakrotnie do Londynu, odwiedzając ulubione miejsca męża - Savoy, Cafe Royal i jego klub. Caitlin zostawiała w domu, w razie gdyby w tym czasie wrócił Daragh. Pojechała do Newmarket i Ascot - tam krążyła wśród tłumów, obserwując wytrwale wszystkie twarze. Pojechała również do miejscowości wczasowych - Cromer, Great Yarmouth i Southwold, w których spędziła lato, gdy Caitlin była jeszcze dzieckiem. Ilekroć napotkała wzrokiem wysokiego bruneta, idącego po ulicy różnym, sprężystym krokiem, serce podskakiwało jej w piersi jak oszalałe.

Pan Oddie, prywatny detektyw, okazał się lekko przygarbionym, siwiejącym mężczyzną, którego ubranie pachniało tytoniem. Zasiadłszy pewnego ranka na sofie obitej żółtym jedwabiem, zarzucił Jossy całą masę impertynenckich pytań. Ale ze względu na Daragha Jossy musiała to wszystko znieść. Nie miała innego wyjścia, gdyż nosiła jego dziecko. W

stosunku do dziecka odczuwała jednak wyłącznie obojętność. Całą swoją energię skupiła na odnalezieniu męża. Uważała, że to tylko kwestia szczęścia i czasu. Żadnej innej możliwości nie chciała w ogóle brać pod uwagę.

Pan Oddie krzątał się po Southam, palił skręty, zadawał pytania. Lokalna plotka głosiła, że Daragh wrócił do Irlandii albo też wyemigrował do Ameryki, tak jak wielu jego przodków. Ta sama plotka sugerowała również, jakoby nie wyjechał sam, tylko z kobietą.

Pan Oddie zbadał dokładnie taką możliwość, ale przed swym zniknięciem Daragh był zakochany w Tildzie Franklin. Tilda jednak nadal mieszkała w Southam. Jossy nie wspomniała panu Oddie o przypuszczalnych związkach między Tildą a swoją rodziną.

Choć na listach pasażerów statków i samolotów nie figurowało nazwisko Canavana, detektyw sporządził raport, z którego wynikało, że Daragh opuścił kraj z powodu długów.

Jossy podziękowała panu Oddie i zapłaciła mu honorarium wyłącznie dzięki sprzedaży naszyjnika matki.

Pewnego dnia we Dworze pojawił się Kit.

- Jeszcze nie zasiano? Mam zorganizować ludzi?

Jossy potrząsnęła głową.

- Daragh sam się wszystkim zajmie, jak tylko wróci do domu.

Kit zaczął przestępować z nogi na nogę. Próbował coś powiedzieć, ale Jossy szybko go uciszyła. Dopóki nikt nie wyraził na głos jej najgorszych obaw, mogła o nich zapomnieć i żyć dalej, znosząc tylko dolegliwości fizyczne, które nie dawały jej spokoju ani na chwilę.

Czasem jednak przychodziły jej do głowy straszne myśli. Co będzie, jeśli Daragh już się nie pojawi? Co się stanie, jeśli Daragh - jedyna radość jej życia - odszedł na zawsze?

Utrata męża przepoiła ją takim bólem, że czasem pragnęła umrzeć. Nocami płakała i szarpała prześcieradła. Chciało się jej wyć.

Sarah umarła w czerwcu. Pewnego popołudnia Tilda znalazła ją w sady - ciotka siedziała z przymkniętymi oczami na starym leżaku, książka opadła jej na kolana. Tilda najpierw pomyślała, że Sarah śpi, ale potem - dotknąwszy zimnej jak lód ręki - już wiedziała, że tak nie jest. Niebo było granatowoniebieskie i pachniało różami i goździkami.

*R S*

Tilda pomogła pielęgniarce przygotować ciało do trumny, a potem, po pogrzebie, uporządkowała pokój ciotki. Pakując staroświeckie gorsety i pachnące lawendą pończochy do kartonów, poczuła się tak, jakby na zawsze żegnała się z przeszłością. Obudziła się wczesnym rankiem i przypomniała sobie o dziurze w podłodze, w której Sarah trzymała swoje oszczędności. Podreptała więc na dół i znalazła starą pończochę wypełnioną moneta-mi - tuzinem suwerenów pokrytych cienką warstwą śniegi. W koszuli nocnej usiadła przy stole - przed nią leżała kupka monet, w ręku trzymała filiżankę stygnącej herbaty. Dniało.

Czekała ją przyszłość równie mroczna i bezkształtna jak pola otaczające Southam. Sarah umarła, Max odszedł, nie mogła mieć trzeciego dziecka, mimo iż tak bardzo tego pragnęła. Dzieci z *Kindertransporte* żyły własnym życiem. Josh i Melissa robili się coraz starsi.

Pomyślała o Maksie i o Sarah, przycisnęła dłonie do czoła, a przez palce pociekły łzy. Brakowało jej rozpedu i energii.

Gdy Tilda zapukała do domu Kita de Paveleya, jeszcze przez drzwi słyszała jego sapanie. Chciała właśnie przeprosić za nieoczekiwane najście, gdy gospodarz zaprosił ją do środka.

Na widok wnętrza doznała szoku. Podłogi i ściany były czarne od brudu, a w szparach między listwami boazerii kwitła pleśń. Charakterystyczna woń wilgoci i zniszczenia po prostu ją przytłoczyła.

- Gospodyni już tu nie bywa - wyjaśnił Kit. - A woda opadła dopiero po dwóch tygodniach; przez dłuższy czas chodziłem po domu w kaloszach. - Próbował robić dobrą minę do złej gry i obrócić wszystko w żart, ale wyglądał fatalnie. Otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

- Tutaj usiłowałem coś zdziałać - powiedział. - Może być? Popatrzył na nią z tak oczywistym, nieoczekiwanym niepokojem, że musiała się uśmiechnąć.

- Jest wspaniale. Naprawdę wspaniale.

Pokój wyglądał lepiej od pozostałych. Nagie deski, kilka mebli, stare kretonowe zasłony w oknach.

- Zacząłem kopać - odezwał się nagle. - Tam, gdzie znalazła pani tę monetę.

Przypomniała sobie, że dała Kitowi talizman. Na szczęście. No i szczęście ją opuściło.

Podobnie jak Daragha.

- To było bardzo obiecujące, szukałem w kilku innych miejscach w pobliżu brzegu, *R S*

ale bez rezultatu. Potem odkryłem płytki mozaikowe i skorupy. I piękny kawałek szkła. Mu-si pani zrozumieć, nieczęsto udaje się znaleźć szkło z rzymskich czasów. Oni je powtórnie przystosowywali do użytku.

Tilda zaczęła się zastanawiać, czy Kit w ogóle pamięta o zakupach, gotowaniu i pra-niu. Postanowiła zaprosić go na herbatę.

- Nie mogłem jednak kopać w śniegu, a potem ta powódź... Wszystko zniszczone...

zmięcione... - Kit zamrugał i odwrócił głowę.

- Ale znowu pan spróbuje, prawda?

- Nie wiem. Nie wiem. - Z rękami w kieszeniach wyjrzał przez okno na kanał.

Tilda rozwinęła chusteczkę, w której schowała pamiątki po Sarah.

- Proszę na nie zerknąć. Chcę je sprzedać.

Monety wylądowały w wyciągniętej dłoni Kita, który pochylił głowę i uważnie obejrzał suwereny Sarah. Tilda zobaczyła przez okno kanał i pagórek porośnięty rzadką trawą -

jedyny dowód wiosennej klęski.

Ból w plecach towarzyszył jej z przerwami przez całą noc. W końcu zasnęła, sądząc, że gdy się obudzi, wszystko przejdzie. Ale bóle nie minęły, choć ustąpiły na tyle, że Jossy zawiozła córkę do szkoły. Już na miejscu skuliła się za kierownicą i pomyślała, że powinna się wybrać do doktora Williamsa. Bała się jednak całego tego zamieszania i skomplikowa-nych ustaleń, jakie musiałaby poczynić, gdyby doktor miał ją przyjąć do szpitala. A przecież po powrocie do domu mogła poczuć się znacznie lepiej.

Pojechała do Dworu, usiadła przy kuchennym stole i sączyła herbatę. Ból stał się prawie nieodczuwalny. Pogoda była piękna, świeciło słońce. Wymarzony dzień na powrót Daragha. Zawsze kojarzyła męża z latem - oczyma wyobraźni widziała go zawsze nad brzegiem kanału, z rękami w kieszeniach, z krótkimi pukłami włosów rozwiewanymi przez wiatr. Jossy wstała i zbliżyła się do drzwi. Czowała się znakomicie. Słońce przygrzewało zdecydowanie zbyt mocno, by włożyć sweter, wzięła więc tylko słomiany kapelusz i wyszła.

Spacerowała po ogrodzie, wspominając dzień, kiedy pierwszy raz zaprosiła tu Daragha. Wiedziała, że go kocha i zawsze będzie kochała. Żywy, bystry, przystojny, stał się dla niej uosobieniem wszystkiego, kim ona nie mogła być. Pomyślała, że zawsze próbowała na-dążyć za mężem, a on - świetlisty i nietykalny - wyrywał się z jej uścisku. Ale i tak była mu wdzięczna za to, że pozwolił jej doświadczyć miłości.

*R S*

Minęła poskręcane maliny oraz częściowo spleśniały agrest, a następnie popatrzyła na pole usiane czerwonymi makami oraz kąkolami. Potem ruszyła w stronę kanału i zaczęła się wspinać na wzgórze, częściowo jeszcze porośnięte trawą. Ślizgając się po gliniastym zbo-czu, dotarła wreszcie na szczyt i upadła na kolana nieopodal spokojnej, czarnej wody. Oddychała z wyraźnym trudem. Przymknąwszy oczy, odniosła wrażenie, że Daragh jest gdzieś blisko niej. Niemal słyszała odgłos jego kroków i targany wiatrem szept. Czekala, by mąż położył jej rękę na ramieniu, usiadł obok i popatrzył w dal. Siedziała tak dłuższą chwilę, całkiem uspokojona, aż nagle poczuła wilgoć między nogami. Bała się na to patrzeć, ale gdy wstała, dostrzegła natychmiast krwawe plamy na sukience z bawełny. Ogarnął ją przejmują-

cy lęk. Częściowo zbiegając, częściowo ześlizgując się ze zbocza, ostatnie parę metrów przebyła niemal na czworakach. Ostry ból rozrywał jej plecy. Chciała się położyć i zapła-kać, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Musiała być silna. Musiała być silna przez całe małżeństwo: w czasie gdy wydawała Caitlin na świat, przez te wszystkie puste lata, gdy nie sypiała z Daraghem, a on ją zdradzał. Z trudem powlokła się do domu.

Gdy wreszcie dotarła do łazienki, zrozumiała, że powinna natychmiast uzyskać pomoc. Poza nią w domu nie było nikogo. Działo się jednak coś straszego i Jossy nie wiedziała zupełnie, co robić. Siedząc w kucki na podłodze, próbowała odzyskać jasność myślenia. Należało natychmiast wyruszyć do Ely, ale cierpiała tak bardzo, że z trudnością mogła się poruszać.

Musiała jednak przeżyć, bo gdyby umarła, to już nigdy nie zobaczyłaby Daragha.

Powłócząc nogami, dotarła do bentleya. Każdy ruch - przekręcenie gałki rozrusznika, nawet otwarcie drzwi po stronie kierowcy wydawał się jej torturą. Zdołała jednak uruchomić silnik - zęby miała zaciśnięte, oddychała z trudem. Auto potoczyło się po podjeździe, a ból nasilał się coraz bardziej, aż w końcu zaczęła jęczeć. Gdy popatrzyła w dół, odkryła, że ręcznik, którym okryła siedzenie, przybrał szkarłatną barwę.

Ely było za daleko, zamiast tego postanowiła jechać do wioski. Tam z pewnością uzyskałaby jakąś pomoc - choćby od jednej z tych doświadczonych kobiet, które urodziły dwanaścioro dzieci. Wyprowadziła bentleya na drogę. Daragh zamierzał wyasfaltować podjazd, ale nigdy mu się to nie udało. Auto podskakiwało na wysuszonych przez słońce koleinach.

Choć ból narastał, Jossy przypomniała sobie, że do wioski jest tylko kilka mil. Ręce ześli-znęły się jej z kierownicy, z trudem chwytając powietrze, oparła czoło o chłodną skórę sie

dzenia. Bentley przetoczył się na ukos przez drogę i zatrzymał. Gdy skurcz minął, Jossy uczyniła



wysiłek, by wyprowadzić auto z przydrożnego rowu. Silnik pracował, ale koła krę-

ciły się bezwolnie, wzniesając kurz. Po chwili Jossy zaprzestała prób i uległa bólowi. Słoń-

ce padało jej na głowę, przymknęła oczy. Wiedziała, że umrze, ale wcale się nie bała, gdyż śmierć oznaczała wyzwolenie od cierpień. Nie mogła natomiast pogodzić się z tym, że już nigdy nie zobaczy Daragha. Słowo „nigdy” było naprawdę przerażające. Jossy leżała na przednich siedzeniach z kolanami podwiniętymi pod brodę i przymkniętymi oczami.

Mimo to w czarnym sercu bólu wszystko, nawet Daragh, stało się nieważne. Ilekroć skurcze słabły, Jossy odczuwała ulgę graniczącą z przyjemnością. Z każdą chwilą ubywało jej czasu, życie powoli w niej gasło, wraz ze swym nieukształtowanym maleństwem traciła resztki sił. Gdy bóle przybrały na sile, Jossy zemdląła. Później, w krótkotrwałym przypiływie świadomości, przypomniła sobie, że Daragh zawsze do niej wracał. Musiała tylko go poszukać we właściwym miejscu.

Była w sypialni we Dworze, a dziecko - chłopiec - spało spokojnie w kołysce. Pchnęła drzwi i popatrzyła w głąb długiego, ciemnego korytarza. Przy samym końcu stał mężczyzna.

Daragh - pomyślała Jossy, uśmiechnęła się i pobiegła w jego kierunku.

Tilda zerknęła smętnie na stos pustych łupin po grochu i fasoli. Nóż wpadł do brudnej wody, w której dojrzała swoje odbicie - blade, niespokojne, zmęczone. Gdy rozległo się gło-

śne pukanie do drzwi, wróciła do rzeczywistości i szybko wytarła ręce o fartuch.

W progu stał Kit de Paveley. Dyszał, przyciskał zaciśniętą dłoń do serca, z trudnością cedził słowa.

- Jossy... - wymamrotał. - W samochodzie. Ona nie żyje. Jossy nie żyje. - Kit mówił z wyraźnym trudem. - Ten drań ją zabił - dodał trochę głośniej.

Niemal wciągnęła go do środka.

- W samochodzie... sama - powtarzał w korytarzu.

To właśnie wydawało się Tildzie najstraszniejsze. Kiedy usłyszała dalszy ciąg tej historii, posłała po księdza i lekarza (dla Kita rzecz jasna; dla Jossy było już za późno), a potem pojechała do Ely przekazać tę wiadomość biednej Caitlin. Zabrała ją do de Paveleya i pomyślała, że to okropne tak samotnie umierać. A jak strasznie musiała się czuć Caitlin Canavan, która w przeciągu czterech miesięcy straciła oboje rodziców? Na wieść o śmierci matki Caitlin nie krzyczała ani nie płakała. Skrzyżowała tylko ręce na piersi i pogrzyżała się *R S*

w zadumie. Na tle białej twarzy ogromne, czarne jak węgiel oczy wydawały się jeszcze większe. Nie odzywała się ani słowem, dopóki Tilda nie zabrała jej do domu Kita.

- A co się stanie z koźmi? - jęknęła Caitlin, zatrzymując się przy zniszczonym, brudnym budynku.

Kit de Paveley odwiedził ją ponownie następnego ranka. Cerę miał przezroczywą, podkrążone oczy.

- Caitlin gdzie przepadła - jęknął. Długie, proste włosy opadły mu na twarz. - Nie dam rady. Nie mogę się nią zajmować. To beznadziejne. Nawet gotowanie... Ja się na tym wszystkim nie znam.

Tilda dotknęła jego ramienia.

- Teraz cicho. Musi być ktoś...

- Ale nie ma. Żadnych ciotek czy wujków. Tylko paru zwariowanych ciotecznych dziadków, którzy ledwo potrafią się sami sobą zająć. My nie jesteśmy... płodną... rodziną.

Tilda pojechała na rowerze do Dworu. Wielkie, metalowe bramy zazgrzytały wrogo, gdy je otwierała. Rozglądając się po domu, spróbowała wyobrazić sobie matkę, która pracowała tutaj przed trzydziestoma laty, ale zamknięte drzwi i zakurzone parapety nie wyjawi-

ły jej żadnego z sekretów przeszłości. Tilda była tutaj tylko intruzem; historia i pieniądze Dworu odcinały ją na zawsze od tego miejsca. Po ogrodowych ścieżkach szła na palcach, jakby się bała, że odgłos kroków może obudzić złe duchy.

„Boże, spraw, żeby nie straszyły mnie upiory i nie gryzły wygłodniałe diabły”.

Odnalazła Caitlin w stajniach, dokładnie tak, jak się spodziewała. Zobaczyła ją w przyćmionym świetle stajni, otuloną w sztruksową kurtkę Daragha, z twarzą przyciśniętą do lśniącej czarnej szyi ogiera. Przez jedną krótką chwilę Tilda brała małą za ojca, mężczyznę, który narobił takiego bałaganu w jej życiu. Gdy jednak wydała stłumiony okrzyk, Caitlin odwróciła głowę i twarz Canavana stała się znowu buzią dziecka.

## Rozdział 11

Swoją opowieścią o wydarzeniach z 1947 roku Tilda złagodziła nieco szok, jaki prze-

żyłam po telefonie od Caitlin Canavan. Przyznała się do popełnienia cudzołóstwa z Daraghem Canavanem, twierdząc jednocześnie, że od razu tego pożałowała. Opisując spotkanie *R S*

Daragha z wierzycielami, uprawdopodobniła teorię Patricka, według której zniknięcie Daragha łączyło się z jego fatalną sytuacją finansową.

Staralam się zrozumieć oskarżenia Caitlin. Albo coś źle usłyszałam, albo źle sobie wytłumaczyłam. Albo też Caitlin - tak jak sugerował Patrick - za dużo wtedy wypila.

Umówiłam się z nią na spotkanie w restauracji w Covent Garden. Zanim wyszłam z domu, zerknęłam na fotografię Caitlin i Daragha: mała dziewczynka w płaszczu z aksamitnym kołnierzem trzyma ojca za rękę. Między ojcem i córką istniało uderzające podobień-

stwo: oboje byli piękni, oboje z równą zachłannością rzucali się na życie, co było doskonale widoczne nawet na tej nieruchomej, czarno-białej fotografii.

Restauracja w Covent Garden przypominała kształtem ciemny tunel prowadzący w głąb budynku.

Gdy rozejrzałam się po sali, od razu rozpoznałam Caitlin Canavan - siedziała przy stoliku w niszy oddzielonej od pozostałych kratką z kutego żelaza. W jednej ręce trzymała papierosa, w drugiej kieliszek. Choć z pewnością przekroczyła sześćdziesiątkę, nadal miała w sobie coś z dziecka, czy głęboko osadzone, czujne, usta o wrażliwych, czerwonych wargach. Przemknęłam się obok kelnerki.

- Panna Canavan?

- Panna Bennett? - Podała mi rękę.

- Proszę mówić do mnie Rebecca. Mogę usiąść?

Zaśmiała się gardłowo.

- Chyba nie masz nic przeciwko spotkaniu w tej zagrodzie dla pariasów? - Wskazała znacząco dymiącego papierosa i zawołała kelnerkę. - Jeszcze jeden dzin, kochanie, a drugi dla mojej przyjaciółki. Prosimy też o kartę, jeśli łaska.

Obserwowałam ją ukradkiem, gdy studiowała menu. Ponownie doznałam tego dziwnego, radosnego wrażenia, że granice między przeszłością a teraźniejszością stają się niemal niezauważalne.

- Pasta... frittata - mruczała do siebie, gasząc papierosa w kieliszku. - W Dublinie można zjeść przynajmniej jakiś dobry stek.

Mówiła arystokratyczną angielszczyzną z naleciałościami południowoirlandzkimi.

- Nadal mieszka pani w Irlandii? - spytałam.

- Mam taki maleńki domek na południu. - Kelnerka wróciła do naszego stolika, aby przyjąć zamówienie. - Poproszę o krewetki, kochanie. I butelkę tego wybornego chablis.

*R S*

Zamówiłam omlet i ponownie przełknęłam łyk ginu, układając jednocześnie w głowie pierwsze pytanie. Ale Caitlin zdołała mnie ubiec.

- Opowiem ci o papie. - Nachyliła się do mnie przez stół. - Chcę, żebyś zrozumiała, jakim był wspaniałym człowiekiem. Trudno sobie wymarzyć lepszego ojca. Nauczył mnie jeździć konno, łowić ryby i strzelać. I tańczyć. Kiedy zaczynał tańczyć, wszystkie kobiety odwracały głowy w jego kierunku i żałowały, że to nie one są jego partnerkami. Pomagał

ludziom. Na początku wojny namówił nawet mamę na przyjęcie uchodźców do Dworu, chociaż większość rodzin robiła wszystko, żeby się od tego wykręcić. Potem się okazało, że nasi lokatorzy - takie okropne małe nicponie - nie mogą zostać, ale tata przynajmniej wykażał dobrą wolę. Kochali go wszyscy służący i pracownicy farmy. I tak świetnie radził sobie z końmi i psami. Lubił zwierzęta. Do tej pory pamiętam, jak płakał, kiedy musiał zastrzelić swojego starego psa myśliwskiego. - Urwała i zapaliła kolejnego papierosa.

- A pani matka? - spytałam.

- Mama go uwielbiała. Nigdy nawet nie popatrzyła na innego mężczyznę. Zakochała się w tacie od pierwszego wejrzenia. Bardzo romantyczne, prawda?

Jossy pozostawała dla mnie tajemniczą postacią - oczywista była jedynie jej miłość do przystojnego, wiarołomnego męża.

- Miałam naprawdę szczęśliwe dzieciństwo. - Wygięła wargi w uśmiechu. - Konie, przyjęcia, wycieczki do teatru. Tatusiowi nigdy nie brakowało dla mnie czasu. Jak nie mogłam zasnąć, opowiadał mi o Irlandii.

Kelnerka przyniosła wino. Gdy odeszła od stolika, Caitlin uniosła kieliszek.

- Za zemstę!

Z trudem powstrzymałam dreszcz. Twarz kobiety zmieniła się nagle, ulotne wrażenie młodości znikło, miejsce energii zajęła zimna gorycz.

- Napisała do mnie córka kucharki - mruknęła Caitlin. - Nadal mieszka w Southam.

Zawsze pamięta o moich urodzinach i kartce na Boże Narodzenie. Po przeczytaniu listu od niej wiedziałam, że muszę wrócić. Parę dni temu rozmawiałam z policją. Chcę, żeby ojca pochowano tak, jak należy. Przy mamie.

Przypomniałam sobie grób Jossy Canavan i stojący na nim pusty pojemnik na kwiaty.

- Dlaczego pani jest przekonana... - zaczęłam.

- Wiem, że policja znalazła ciało mojego ojca. - Osuszyła kieliszek i prychnęła. -

*R S*

Choć potraktowali mnie okropnie.

Coś mi przyszło do głowy. .

- Mogłaby pani zyskać pewność - powiedziałam. - DNA... Popatrzyła na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Ze szczątków należałoby pobrać DNA i porównać je z pani kodem genetycznym. Wystarczy próbka krwi. Nic wielkiego. W ten sposób zniknęłyby wszelkie wątpliwości.

- Co za wspaniały pomysł! - zawołała. - Po prostu wspaniały! Jutro pojedę do Cambridge i postaram się wyrzucić na nich presję.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Nie miałam ochoty na omlet. Caitlin obierała zręcznie krewetki,

rozzucając panczerzyki na obrusie.

- Powiedzieli mi, że chyba zakopano go żywcem. - Zaczęła płakać.

Pogrzebałam w kieszeni i znalazłam w miarę czystą chusteczkę. Przytknęła ją do oczu, a potem wytarła nos.

- Wtedy czekałam na niego wiele godzin - szepnęła. - Ale nie wrócił do domu. - W

głosie Caitlin wyraźnie pobrzmiwała tęsknota dziecka za ojcem.

Nalałam jej wina i uzupełniłam swój kieliszek.

- On romansował z tą kobietą - powiedziała, dopiwszy zachłannie chablis. - Nic z tego nie rozumiałam. W końcu miałam tylko trzynaście lat. A on poszedł do niej.

- Do Tildy? - Serce zabiło mi mocniej.

- Mhm. Do baronetowej Tildy Franklin. - W głosie Caitlin pobrzmiwała ironia. - Mojej ciotki, jeśli wierzysz w te bajeczki.

- A pani nie?

- Przecież jej ojcem mógł być każdy. Tej kobiecie, matce Tildy, brakowało piątej klepki. Każdy to potwierdzi.

- Kiedy poznała pani prawdę?

- O tym, że możemy być spokrewnione? Dowiedziałam się od Josha, wiele lat później. - Zrobiła lekceważący gest. - Absolutny nonsens.

Znów zajęła się krewetkami, atakując je ze zdwojoną energią.

- Wracając do tamtej nocy... Następnego dnia wybieraliśmy się do Devil's Dike, tylko tatuś i ja. Przez tę powódź długo nie jeździliśmy konno. Devil's Dike należało do moich ulubionych zakątków. Sama przygotowałam piknik. Tatuś widział, jak szykuję jedzenie, przyR S

smak dżentelmena, biszkopty, butelkę z herbatą... - Podniosła na mnie wzrok. - Chyba rozumiesz, że nie złamałby obietnicy. Nie stałby w kuchni, przyglądając się spokojnie, jak kroję chleb i myję jabłka, gdyby nie zamierzał ze mną jechać?

Przytaknęłam. Sama Tilda twierdziła, że Daragh nie zostawiłby córki. Zerknęłam na Caitlin. Panna Canavan miała lekko szkliste oczy - tak jakby nie patrzyła na zatłoczoną restaurację, ale gdzieś daleko w przeszłość.

- Pamiętam, że włożył wtedy najlepsze ubranie. Taką koszulę z egipskiej bawełny, tweedową

marynarkę, jedwabny fular. Prezentował się naprawdę znakomicie. Kiedy się do niego przytuliłam, wyczułam zapach wody kolońskiej. Tego dnia sporo pił i widocznie użył

wody kolońskiej, żeby zatuszować zapach whisky. Wszyscy tak robią, prawda, kochanie? -

Zaśmiała się. - Dokończyłam pakowanie późno, widziałam, jak ojciec wychodzi z domu i pobiegłam pocałować go na dobranoc. Zapytałam, dokąd idzie. Pamiętam, jak powiedział ze śmiechem, że musi schwytać w sidła pewnego małego ptaszka. Wtedy sądziłam, że wybiera się na polowanie, choć nie miał przy sobie strzelby. Wyszedł jednak przez kuchenny ogród i pola do Southam. Nie mógł iść brzegiem kanału, bo jeszcze wtedy nie ukończyli remontu. -

Caitlin położyła dłonie na stole, mówiła cichym głosem, w którym pobrzmiwało napięcie.

- Widziała pani, jak ojciec zbliża się do Southam?

- Było za ciemno, a w dodatku nawet na skróty to prawie mila. - Kiedy Caitlin podniosła na mnie wzrok, płonęły jej oczy. - Ale przecież tylko tam mógł się wybrać, prawda?

Gdyby zaplanował jakiś dalszy wypad, wziąłby auto. Ale do Southam poszedłby piechotą.

Nie zużywałby benzyny, jeszcze wtedy ją racjonowano.

Przypomniałam sobie wioskę Southam, jej odosobnienie i pomyślałam, że Caitlin zapewne się nie myli.

- A może wybrał się do pubu? - zasugerowałam. - Mówiła pani, że pił. Może chciał się jeszcze napić w towarzystwie?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Do pubu? W najlepszym ubraniu? Na pewno nie. Do Pheasant włożyłby z pewno-

ścią sztruksowe spodnie. Dlatego właśnie cieszył się taką popularnością wśród mężczyzn.

Udawał jednego z nich.

Daragh kameleon - pomyślałam. Daragh najwyraźniej potrafił na zawołanie stać się tym, kim musiał się stać, by zaspokoić oczekiwania osoby, na której mu w danym momen-

cie zależało. Bywał więc kumplem do kieliszka, czułym ojcem, uwodzicielskim kochankiem.

- Poza tym - dodała Caitlin - ja wiem, że on nie poszedł do Pheasant. Kiedy ojciec nie wracał, matka zaangażowała prywatnego detektywa. Po jej śmierci znalazłam raport ze śledztwa.

- I nadal go pani ma? - spytałam, czując nagłą suchość w ustach.

- Oczywiście. Chcesz ksero? Mnie nikt nie uwierzył, ale może tobie się uda? Będziesz mówiła prawdę w moim imieniu?

Przytaknęłam, nie mogąc dobyć głosu.

- Pamiętam, że gwizdał „Zatokę Galway”. A pogwizdywał tę melodię, ilekroć był

szczęśliwy. - Caitlin znów uciekła w przeszłość i stała się dzieckiem, patrzącym po raz ostatni na odchodzącego ojca.

- Spotykał się może z inną kobietą? - podpowiedziałam łagodnie.

- Niektórzy pewnie sądzili, że tatuś jest niemoralny, ale ja uważam, że taki przystojny, czarujący, uprzejmy mężczyzna powinien uszczęśliwiać wszystkich dookoła. A to mu się doskonale udawało. - Zapaliła kolejnego papierosa. - Matka mu nie wystarczała. Niektórzy mężczyźni są tacy. Rodzice nigdy nie mieli wspólnej sypialni. Mama nieomal umarła przy porodzie, a lekarz powiedział, że kolejne dziecko ją zabije. - Wypuściła kłęb niebieskiego dymu. - No i niestety się nie pomylił, a ja zostałam z Kitem, który okazał się beznadziejny. -

Twarz skurczyła się jej nagle, ale w oczach nie było łez. - Musiałam więc zamieszkać z nią.

Caitlin wytarła ręce w serwetkę i skinęła na kelnerkę.

- Skończyłyśmy, kochanie. Przynieś kartę deserów, dobrze? - Uśmiechnęła się promiennie, a dziewczyna posprzątała talerze. - Najnieszczęśliwsze lata mego życia - ciągnęła, wychylając się do mnie. - Straciłam ojca, matkę, dom. Ta kobieta, Tilda Franklin, zabrała mnie z mojej cudownej szkoły i posłała do państwowej. Nie pozwoliła mi nawet zatrzymać ukochanego kucyka. A mieszkaliśmy w takim okropnym domu, z tym dziwnym człowiekiem.

- Z pułkownikiem Renshaw? - Wiedziałam, że pod koniec 1947 roku Tilda przeniosła się do Oxfordshire, gdzie prowadziła dom emerytowanemu pułkownikowi.

Caitlin skinęła głową i popatrzyła na kartę deserów.

- Profitroliki... karmel... co za nuda. Ach, jeszcze tarta z melasą. No i krem z bitą *R S* śmietaną.

Wybrałam owoce.

- Mieszkała więc pani z Tildą - podpowiedziałam, kiedy kelnerka odeszła od stolika.

- Do czasu gdy skończyłam piętnaście i pół roku. Wtedy mnie wyrzuciła. - Caitlin do-lała sobie wina do kieliszka, butelka była prawie pusta. - Chyba wiesz, że jej własna córka nie chciała z nią zostać?

- Melissa?

- Uciekła do ojca. Ona też nie wytrzymała. A Josh wołał się przenieść do internatu. -

Caitlin zaśmiała się bardzo głośno. - Tak więc nawet jeśli ona była aniołem dla przybranych dzieci, to na pewno nie dla własnych.

Na stół wjechał pudding. Ja z kolei skubałam apetyczną piramidkę z ananasa i wiśni, ale nie mogłam jeść. Szukałam właściwych słów, by postawić konieczne pytania.

- Chcę, żebyś odkryła prawdę - syknęła nagle Caitlin. - Musisz powiedzieć światu, że to ona zabiła mojego ojca. Zabiła go, bo nie chciał ode mnie odejść. - Gdy się do mnie pochyliła, dostrzegłam na jej farbowanych włosach siwe odrosty i, teraz zamalowane kosztowną szminką, zmarszczki wokół ust. Pod drogimi kosmetykami i staroświeckim sposobem bycia kryła się stara nieszczęśliwa kobieta.

- Poszedł do niej tamtej nocy i już się nie pojawił. Czekałam, ale on nie wrócił, bo Tilda go zabiła, a potem ukryła ciało w kanale.

Kiedy rozstałam się z Caitlin i wyszłam z restauracji, nie pojechałam od razu do domu. Siedziałam przez chwilę na ławce, patrząc na występy ulicznych żonglerów, połykaczy ognia i handlarzy. Było bardzo ciepło. Zdjęłam żakiet i odgarnęłam mokre od potu włosy z obolałego czoła. Mimo gorąca, wspomnienie rozmowy z Caitlin przyprawiało mnie o dreszcze.

Nie mogłam potraktować jej opowieści jak alkoholycznego bełkotu, choć wypła cał-

kiem sporo. Jej wspomnienia zawierały zbyt wiele szczegółów, by nie odnieść się do nich z powagą. Pasowały zresztą doskonale do relacji Tildy. Powódź, romans, zniknięcie Daragha.

Może więc Tilda nie kłamała, tylko opuszczała rozmyślnie pewne fragmenty? „Zabiła go, a ciało ukryła w kanale”. Czy to możliwe? - myślałam. Z drugiej strony mogła przecież po-pełnić morderstwo i wyjść z całej sprawy obronną ręką. Leila Gilbert opowiadała mi przecież o ucieczce Tildy z Holandii. Czyżby więc baronetowa wymazała Daragha ze swojej *R S*

historii, tak jak usunęła z niej gładko niemieckiego żołnierza?

Gazeciarz podstawił mi „Big Issue” pod sam nos; poszukałam w kieszeni funta. Przez chwilę chciałam pójść do Tildy i przedstawić jej oskarżenia Caitlin, ale niemal natychmiast porzuciłam ten pomysł. Musiałam jednak z kimś porozmawiać. Wzięłam torebkę i ruszyłam w stronę mieszkania Patricka.

Londyn był gorący i tłoczny. O wpół do piątej dotarłam do Gray's Inn i stanęłam twarzą w twarz z wyniosłą sekretarką.

- Pan Franklin jest na spotkaniu - oznajmiła odstręczająco.

Lepiłam się od potu, w ustach czułam suchość. Wyjrzałam przez okno i po przeciwnej stronie ulicy dostrzegłam winiarnię. Nabazgrałam wiadomość i poprosiłam sekretarkę Patricka, by mu ją przekazała tak szybko, jak to będzie możliwe.



Parę minut po piątej Patrick precyzyjnie się przez napływający tłum urzędników z City.

- Rebecca. - Pocałował mnie w policzek. - Dobrze się czujesz? A Tilda... Czy...

- Nic mi nie dolega - ucięłam. - A Tilda chyba również jest w świetnej formie. Nie widziałam jej jednak od wtorku.

- W takim razie o co chodzi? Piszesz, że to pilna sprawa?

Miejsce troski zajęła irytacja i zaczęłam powoli żałować, że tu przyszłam. Ale na od-wrót zrobiło się za późno.

- Właśnie zjadłam lunch z Caitlin Canavan - powiedziałam. - Caitlin zatrzymała się w Savoyu.

Oczy zwęziły mu się nagle.

- Wiem.

- Znowu dzwoniła do Tildy?

- Napisała list. W dodatku na papeterii z rodzinnym monogramem. - Zerknął na zegarek. - Chyba się napiję. - Podszedł do baru, a po chwili wrócił z butelką sancerre i dwoma kieliszkami. Usiadł przy mnie i nalał wino. - Tilda pokazała mi ten list. Caitlin pisze bez ogródek, że była na policji. - Zrzucił marynarkę na oparcie krzesła i poluzował krawat. -

Już z nimi rozmawiałem. Podobno Caitlin przyszła na komisariat trochę podcięta, przekona-

łem ich więc bez trudu, że nie należy traktować poważnie takiej osoby. - Urwał na chwilę i wypił łyk wina. - Jadłaś z nią lunch? Dlaczego? Przecież ci już kiedyś tłumaczyłem, że to *R S*

czysta strata czasu.

Serce waliło mi jak młotem. Patrick - nie wiadomo dlaczego - uważał, że ma prawo mnie pouczać, jak mam wykonywać swoją pracę. Zmusiłam się do zachowania spokoju.

- Powinnam poznać tę historię z punktu widzenia wielu osób - powiedziałam cicho.

- Nie ufasz Tildzie?

- Tu nie chodzi o zaufanie. Tilda chce, abym sama odkryła prawdę.

- Jeszcze nie wyrobiłaś sobie poglądu na ten temat?

- Nie. Życie nie jest biało-czarne - dodałam, posiłkując się wytartym frazesem. - Dwoje ludzi może zupełnie inaczej wspominać to samo wydarzenie.

Winiarnia powoli się wypełniała. Mężczyźni w koszulach w paski i czerwonych szelkach zamawiali

drinki. W miarę narastania upału ką, w którym znajdował się nasz stół, stawał się powoli duszną, małą klatką. Patrick był najwyraźniej zmęczony i zniescierpliwiony. Na tle brzęku tłuczonego szkła i śmiechów dochodzących z baru panujące między nami milczenie dawało się coraz bardziej we znaki.

- Parę dni temu spotkałem twojego przyjaciela - powiedział nagle Patrick. - Toby'ego Carne'a.

- Toby nie jest moim przyjacielem.

- Nie?

- Był nim - wyjaśniłam z urazą w głosie. - Ale już nie jest.

- To znaczy, że przestał być twoim kochankiem?

- Od zeszłego roku prawie się z nim nie widuję - powiedziałam poirytowanym tonem, mając nadal w pamięci tę krótką, denerwującą wizytę sprzed paru miesięcy. Dzięki Tildzie nauczyłam się również, że choć miłość może przerodzić się w zazdrość czy nienawiść, to i tak zawsze pozostaje specyficznym rodzajem katalizatora.

Siedzieliśmy w ciszy, nie patrząc sobie w oczy. Pomyślałem więc o Jennifer - pięknej, eleganckiej Jennifer Franklin, wyższej ode mnie o piętnaście centymetrów i - do diabła -

przynajmniej siedem kilo lżejszej. Poczucie krzywdy potęgowało i tak już silną migrenę.

- Z pewnością musisz rozmawiać z wieloma osobami - powiedział sztywno Patrick. -

Ale Caitlin to, jak sądzę, przypadek szczególny. Zawsze sprawiała kłopoty. Dużo pije, a potem za dużo mówi. Przeważnie zresztą bredzi, ale błoto łatwo się czepia człowieka.

- Wolaleś, żeby Caitlin została w Dublinie i trzymała się od was z daleka - wypaliłam *R S* bez zastanowienia.

Podniósł gwałtownie głowę i popatrzył na mnie rozszerzonymi, niebieskimi oczami.

- Chryste! W twoich ustach to brzmi naprawdę złowieszczo.

Ponownie napełnił swój kieliszek, ja podziękowałam za alkohol, zrobiło mi się niedobrze.

- Nie mogę zignorować rozmowy z Caitlin - syknęłam. - Tak po prostu udać, że nic takiego się nie zdarzyło.

Zamrugnął i zaczął bębnić palcami po stole.

- Wierzysz jej?

- Nie. Nie wiem. Patricku...

- Ja nie zadaję głupich pytań, Rebecca. Gdybyś nie wierzyła Caitlin, po co miałabyś się z nią spotykać?

- Na miłość boską! - Mówiłam zdecydowanie zbyt głośno. Parę głów odwróciło się w moją stronę. - Nie czepiaj się słówek. Nie wzbudzaj we mnie poczucia winy.

Serce waliło mi w piersi. Jeszcze niedawno w oczach Patricka widniało pożądanie i miłość. Teraz dostrzegłam w nich coś zupełnie innego. Wyraz jego twarzy przyprawił mnie o dreszcze.

- Ta cholerna biografia była wielką pomyłką - wycedził.

- Czego się po mnie spodziewałeś? Jakiejś miłej i łagodnej opowiadki ukazującej wyłącznie jedną stronę Tildy? Przecież wiesz, że nikt nie jest doskonały.

- Już się prawie z tym wszystkim pogodziłem. A nawet zacząłem myśleć o twojej książce z sympatią. Ale ty zamierzasz napisać jakąś sensacyjną chałę - zakończył gorzko.

- Jak śmiesz? - Wstałam niezdarnie, tak że kieliszek przewrócił się i rozbił o podłogę.

Od strony baru dobiegły mnie wiwaty czerwonoszelkowców.

- W naszej rodzinnej szafie znalazłoby się całe mnóstwo szkieletów, ale ty ich nie szukasz. Porozmawiaj z Melissą o Caitlin. Niech ci powie, co ona zrobiła. - Rozgniewany głos Patricka dogonił mnie już na ulicy.

Była godzina szczytu. Mój bilet miesięczny na wszystkie linie metra nie chciał przejść przez barierkę. Patrzyłam na niego właśnie z głupią miną, gdy stojący za mną mężczyzna włożył swój własny bilet w otwór i lekko mnie popchnął. Z trudem wcisnęłam się do wago-niku. Zapach rozgrzanych, spoconych ciał przyprawił mnie o mdłości. Kiedy pociąg za-R S

trzymał się w tunelu i na chwilę zgasły światła, pomyślałam o Daraghu w kanale; o ciemności i duszącym ciężarze ziemi.

Dotarwszy wreszcie do mieszkania, odkryłam, że nie mam klucza i musiałam długo majstrować przy małym kuchennym okienku niedaleko wyżwirowanej ścieżki. Telefon zadzwonił akurat w chwili, gdy otworzyłam zasuwkę i ześlizgnęłam się zwinnie z parapetu na zlew. Odnotowując w pamięci, że trzeba naprawić okno, pobiegłam odebrać. Patrick chce na pewno załagodzić konflikt - myślałam.

Kiedy usłyszałam w słuchawce głos Charlesa, rozbeczałam się jak dziecko. Pewnie z powodu zmęczenia i upału. Charles zachował się cudownie.

- Zaraz wskakuję do taksówki, kochanie - obiecał.

Nie mogłam go odwieść od tego pomysłu, bo z trudem dobywałam z siebie głos.

W dziesięć minut później Lightman stanął w progu z bukietem kwiatów, butelką wina i kasetą z filmem „Casablanca”. Znalazł dzbanek na kwiaty, dwa kieliszki do wina, a następnie popatrzył mi w oczy.

- Chyba nie płaczesz z powodu tego cudownego Patricka Franklina, prawda? - spytał, a ja, choć myślałam, że już odzyskałam równowagę, znowu zaczęłam wyc.

Przytulił mnie i poklepał po plecach.

- Patrick... my się pokłóciliśmy... - jęczałam. - W winiarni...

- To okropne miejsce, kochanie...

- Ja tylko chciałam wykonać swoją pracę.

- No już dobrze, dobrze...

- Przecież to nie moja wina, że jego babka może być morderczynią...

- Oczywiście, że nie twoja, dziecińko.

- A on jest cholernym prawnikiem...

- Biedny stary Patrick musi dbać o reputację, prawda? Przestałam na chwilę wyc.

- Co przez to rozumiesz? Podał mi chusteczkę.

- Tak jak powiedziałaś, jest prawnikiem. A nawet bardzo znanym prawnikiem. Zapewne zamierza zostać sędzią albo kimś takim. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że jego babka ogłuszała swoich kochanków, po czym grzebała ich w kanale, zapewne nie wpłynęłoby to pozytywnie na jego karierę.

Wybałuszyłam na niego oczy. Zrobiło mi się zimno.

*R S*

- Sądysz... sądysz, że Patrick wie?

- Nie mam pojęcia, kochanie. Przecież go nie znam.

Pomyślałam o Patricku, który po otrzymaniu wiadomości o znalezieniu ciała Daragha był raczej zły, a nie zaszokowany. O Patricku, którego rodzina całe lata utrzymywała Caitlin Canavan. O Patricku, który przekonał swego starego przyjaciela z policji Cambridgeshire, że Caitlin jest po prostu szaloną pijaczką.

- Może drinka? - Charles wskazał butelkę z winem, ale ja potrząsnęłam przecząco głową.

- Wolę napić się herbaty. Starczy mi na dziś alkoholu. Nastawisz wodę?

Poszedł do kuchni. Siedziałam w fotelu, próbując zebrać myśli, ale strach i żal wprowadził mnie w stan całkowitego paraliżu psychicznego. Patrick istotnie bardzo dbał zarówno o swój własny wizerunek, jak i reputację rodziny - uwielbianej przez wszystkich babki, sławnego ojca. Na przyjęciu u Tildy poznałam muzyków, pisarzy, lekarzy, naukowców.

Rodzina Franklinów nie należała do przeciętnych. Nie składała się z urzędników, kierowców autobusów czy ekspedientek. Nawet Matty - mimo kolczyka w nosie - zamierzała studiować fizykę w Cambridge.

Jeśli Tilda przyczyniła się do śmierci kochanka, a ja bym zaczęła rozpowszechniać te informacje, na życiu Franklinów pojawiłaby się ciemna plama brudząca całe pokolenia, zarówno ich przeszłość, jak i kwitnącą teraźniejszość.

Charles postawił tacę na biurku, po czym nalał mi herbaty. Nie rozmawialiśmy o Patricku i Tildzie, zamiast tego - zwinięci na kanapie - oglądaliśmy „Casablancę”. Lightman otoczył mnie ramieniem, a potem zaproponował, że przenocuje w salonie. Podziękowałam.

Chciałam zostać sama. Musiałam pomyśleć. Musiałam zrozumieć, jak bardzo mnie oszukano. Skuliłam się na łóżku w pozycji embriona, ze złączonymi nadgarstkami i kostkami. Gdy spadały na mnie grudki ziemi, broniłam się bardzo słabo. Czulałam warstwę błota na stopach i piersiach; glina wdierała mi się do ust, jej mocny, trawiasty zapach drażnił mi nozdrza.

Lepkie bryłki uderzały mnie w twarz, wpadały do oczu... Próbowałam się poruszyć, ale ziemia przyciskała mnie do podłoża, odcinała światło, ogłuszała, a jej ciężar rósł wraz z każdą łopatą, utrudniając oddychanie. Upał, ciężar i ciemności stawały się coraz bardziej nieznośne, aż w końcu w ogóle nie mogłam się ruszyć...

Usiadłam na łóżku. Chyba krzyczałam. Ręka, którą szukałam po omacku włącznika, *R S* drżała mi tak bardzo, że straciłam lampę z komody. Żarówka roztrzaskała się o podłogę.

Jeszcze nie świtało, w pokoju panował atramentowy mrok. Serce waliło mi jak młotem.

Łup! Łup! Łup! Wystawiłam nogę z łóżka, by dobrnąć jakoś do kontaktu, zapalić żyrandol i umknąć przed tą deprymującą ciemnością, ale w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że dudnienie nie zgadza się z rytmem mojego serca. Łup. Łup. Łup. A potem chrzęst. Kroki na żwirze. Musiałam zacisnąć pięści i przyłożyć je sobie do ust, by nie zacząć krzyczeć. Wyciągnęłam przed siebie ręce i namacałam książkę o Moczarach. Postawiłam nogę na podłodze i odczułam ból w stopie - nastąpiłam na stłuczone szkło. Krew pulsowała mi w uszach, próbowałam za wszelką cenę odzyskać równowagę. Dostałam mdłości, na czoło wystąpił mi pot, wmawiałam sobie, że ponosi mnie wyobraźnia. Kroki stanowiły zapewne część snu - to morderca Daragha odchodził od niespokojnego grobu.

Otworzyłam ostrożnie drzwi od sypialni, ściskając w ręku książkę. W małym korytarzyku było ciemno - żarówka przepaliła się już parę tygodni temu, oprawka wisiała wysoko i nie mogłam jej dosięgnąć. Poszłam na palcach do kuchni. Gdy pchnęłam drzwi, znowu usłyszałam jakiś dźwięk, a

potem wycie i szcęk klapy od śmietnika. Kot. Włączyłam światło i usiadłam na podłodze - w połowie rozbawiona, w połowie wściekła. Książka wysliznę-

ła mi się z rąk i otworzyła. Stempelek wskazywał wyraźnie, że powinnam ją była oddać już dwa tygodnie temu. Z jakiegoś powodu bardzo się tym przejęłam; życie wyraźnie wymyka-

ło mi się spod kontroli. Siedziałam tak przez chwilę - rozgorączkowana i drżąca, ale w środku zimna jak lód. Mdłości nasilały się z każdą minutą, ścisnęło mnie w żołądku. Pobiegnęłam do łazienki i dostałam torsji.

Potem znów poszłam do łóżka, zabierając ze sobą szklankę wody i plaster na skaleczoną stopę. Klaustrofobiczny, przygniatający koszmar nie mijał. Jakie to idiotyczne - my-

ślałam - że obraz czegoś, co mogło się wydarzyć pięćdziesiąt lat temu, wywołał u mnie taką reakcję. W chwilę później uświadomiłam sobie z przerażeniem, że spóźniłam się nie tylko z oddaniem książki do biblioteki, a moje mdłości nie są najprawdopodobniej związane z koszmarnym snem. Pokuśtykałam do salonu, znalazłam kalendarzyk i przekartkowałam strony. Po dziesięciu minutach gorączkowego szukania doszłam do wniosku, że ostatnią miesięczkę miałam jeszcze przed wyjazdem do Cumbrii. Osiem tygodni temu.

Po poronieniu nie wróciłam do pigułki. Gdy rozstałam się z Tobym, myślałam ponuro, że został mi tylko celibat, a potem Patrick wziął na siebie tę stronę zagadnienia. Przyję-

*R S*

łam z ulgą jego propozycję - po pigułce bardzo często miewałam mdłości i wzdęcia. Ale ten pierwszy raz... Przypomniałam sobie, że słoma drapała mi plecy, deszcz dudnił o dach stodoły, a ciało Patricka tak cudownie pasowało do mojego ciała. Żadne z nas nie myślało o konsekwencjach. Nie było czasu. Znów przekartkowałam kalendarz, przekonana, że zaszła jakaś pomyłka. Naliczyłam jednak ponownie osiem tygodni. Usiadłam na łóżku z głową w ramionach. Przez okno sączył się świt - wskazując mi to, co już od dawna wiedziałam, a mianowicie, że mój dom z trzema małymi pokojami i wybetonowanym podwórkiem zupełnie nie nadaje się dla dzieci. Wyobraziłam sobie wózek, łóżeczko, kojec, pieluchy i te wszystkie inne niemowlęce akcesoria w połączeniu z panującym u mnie bałaganem. Odtworzyłam sobie w myślach niekończące się wysiłki, jakie wkładała w opiekę nad dzieckiem moja siostra. Przypomniałam sobie Jane - bladą, z włosami w strąkach, wyznającą mi skrycie, że oddałaby duszę za ośmiogodzinny sen. Wyobraziłam sobie, że jedną ręką zmieniam dziecku pieluszkę, a drugą piszę na maszynie. Wyobraziłam sobie, jak karmię niemowlę piersią, rozprawiając jednocześnie o pierwszej wojnie światowej, podczas gdy Jason Darke i jemu podobni obrzucają mnie drwiącym spojrzeniem.

I siedząc tak w zimnym świetle poranka, zadałam sobie pytanie, czy powinnam kontynuować pisanie biografii Tildy. Wizerunek baronetowej Franklin zdawał się dwoić - twarz prywatna nie pasowała do publicznej. Moja wiara w Tildę uległa erozji niczym kanał zniszczony przez powódź, kanał, w którym ukryto niegdyś ciało Daragha. Nie mogłam potraktować oskarżeń Caitlin Canavan wyłącznie jako bredzenia samotnej, porzuconej kobiety. Tilda przyznała się przecież do romansu z Daraghem i w tym świetle podejrzenie Caitlin, że w noc swego zniknięcia Canavan spotkał się z kochanką,

brzmiało całkiem prawdopodobnie.

„Muszę schwytać w sidła pewnego małego ptaszka”.

W uszach dźwięczał mi również głos Leili Gilbert.

Tilda go zastrzeliła, a ciało wepchnęła do rowu.

Ilekcję próbowałam sobie wyobrazić poldery północnej Holandii, widziałam długą, ponurą linię kanału w Southam. Plusk ciała i bąbelki na powierzchni wody, do której wpadło ciało żołnierza, ziemia grzebiąca wciąż żywego Daragha...

Czyżby Tilda mnie okłamała? Czyżby sobie życzyła, abym napisała jej biografię z powodów zgoła innych, znacznie mniej szacownych niż chęć ujawnienia prawdziwej historii swej matki? Była stara i słaba, wiedziała, że długo już nie żyje. A jeśli miałam jej po-R S

służyć jako narzędzie? Może Tilda od początku zamierzała mi pokazać jedynie tę lepszą twarz, tak bym pozostawiła potomnym bezdyskusyjny, nieskazitelny wizerunek? Może postanowiła dać swojej rodzinie - zawsze dla niej najważniejszej - ostatni podarunek w postaci nieskalanej reputacji?

Gdy wreszcie doprowadziłam swoje rozważania do jedyne logicznego wniosku, przypominałam sobie rozmowę, jaką prowadziłam z Patrickiem w ogrodach Czerwonego Domu. Spytałam go wtedy sarkastycznie, czy mam wystarczająco znane nazwisko, by do-stąpić zaszczytu pisania biografii jego babki? On wtedy odpowiedział, że jestem równie dobra jak każdy inny autor, a może nawet lepsza. Nagle pomyślałam z przerażeniem, że mój brak doświadczenia wcale Patrickowi nie przeszkadzał, odwrotnie, był mu na rękę. Franklin

- prawnik - domyślał się zapewne albo nawet wiedział, że Tilda chce coś przede mną ukryć.

A ja - niezbyt inteligentna amatorka - nie miałam szansy dostrzec sprzeczności w jej historii.

Wybudowany przeze mnie gmach zaczynał się chwiać, gdyż brakowało mu fundamentów. Nie wierzymy już wprawdzie w złą krew, ale znamy teorię genów. Małe odciski kciuka, komputerowe kropki na podwójnej helisie. Czyżby istniał gen zła, jaki Edward de Paveley przekazał tylko jednej z córek? Bo przecież biedna Jossy była głupia, ale nie podła.

A Tilda? Czy rzeczywiście odziedziczyła po ojcu bezwzględność i żądzę władzy? Czy zdecydowała się wymierzyć sprawiedliwość oszukańczemu kochankowi, który zrujnował jej małżeństwo, ale sam nie chciał zrezygnować ze swojej rodziny?

„Ufam w sprawiedliwość” - powiedziała mi kiedyś Tilda. Jaką jednak sprawiedliwość miała na myśli? Chyba tę, jaką uznawała Sarah Greenlees? Oko za oko, ząb za ząb...

Trudno cokolwiek pisać bez wiary we własne słowa, a ja ją powoli traciłam. Słabło bowiem moje zaufanie do Tildy. Nie mogłam zostać narzędziem w jej ręku; z drugiej strony bez pieniędzy za książkę nie miałabym za co żyć, nie wspominając już nawet o dziecku.

Wróciłam do łóżka, ale przypomniałam sobie, że pajęczyny ozdabiające swymi girlandami bukszpany w ogrodzie Tildy przyczepiały się również do mnie, a ja nie potrafiłam ich zdjąć.

I znowu zaczęłam płakać, wiedząc, że utraciłam Patricka w chwili, gdy pozwoliłam sobie na to, by go pokochać. Choć troszkę.

Obudziłam się o dziesiątej rano, wolna od wieczornych koszmarów. Wmawiałam sobie, że moje mdłości wynikają najprawdopodobniej ze strachu, nie z ciąży. Okresy miałam nieregularne od poronienia, ponadto nie uważałam tylko raz. Po powrocie z Cumbrii upra-R S

wialiśmy seks jak odpowiedzialni dorośli. Wytłumaczyłam sobie również, że nie wolno mi podejmować żadnych pochopnych decyzji w sprawie biografii. Postanowiłam trochę odpocząć od pisania - zbyt mocno zaangażowałam się w książkę i przestałam być obiektywna, a dystans zawsze bardzo mi się przydawał. Dlatego wysprzątałam mieszkanie, a od sąsiada pożyczyłam drabinę i wymieniałam żarówkę w korytarzu. Zamówiłam również naprawę za-suwki w oknie. Potem zrobiłam zakupy, a na samym końcu pojechałam do biblioteki, gdzie zapłaciłam karę i wypożyczyłam parę kolejnych książek na temat Moczarów.

Po powrocie do domu zobaczyłam mrugające oczko automatycznej sekretarki - czeka-

ły na mnie dwie wiadomości. Patrick - pomyślałam radośnie, ale gdy w pokoju rozległ się najpierw głos Toby'ego, a potem Charlesa, poczułam, jak ogarnia mnie smutek. Mogłam sama zadzwonić do Patricka, ale już mu nie wierzyłam. Oskarżył mnie przecież o bezduszność i chore ambicje, bardzo mnie to dotknęło. Cała wiadomość od Toby'ego uszła mojej uwagi i musiałam przewinąć taśmę. Okazało się, że Toby kupił bilety na balet. Pytał, czy zechcę mu towarzyszyć?

Zamierzałam właśnie odmówić, kiedy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Umówiłam się z nim przed operą. Akurat wystawiano „Giselle” i opowieść o zdradzie, szaleństwie i potępionej miłości wkradła się podstępnie w moje serce, burząc z takim trudem osiągniętą równowagę. Podczas antraktu zaczęłam wypytywać Toby'ego o Patricka. Rozdrapałam w ten sposób nadal świeżą ranę. Zupełnie mnie to nie obchodziło, że Patrick Franklin był zapewne ostatnią osobą, o jakiej miał ochotę rozmawiać Toby. Dlatego też chyba zasłużyłam sobie na to, czego się dowiedziałam. Jennifer i Ellie mieszkały w Cumbrii, a farma, którą Franklin chciał kupić, leżała zaledwie kilka mil stamtąd.

\* \* \*

Podczas kolejnej bezsennej nocy doszłam do wniosku, że Patrick nigdy mnie nie kochał. Byłam dla niego wyłącznie narzędziem. Pilnował mnie, rozpraszał, robił wszystko, co mógł, żebym zobaczyła w Tildzie wyłącznie zalety. Charles miał rację. Patrickowi z pewno-

ścią bardzo zależało na reputacji. Pragnął błyskotliwej kariery, takiej, jakiej zazdrościł

wszystkim Toby. Jeśli Tilda przyczyniła się w jakiś sposób do śmierci Canavana, a ja nagło-

śniłabym fakty, skandal z pewnością uderzyłby w jej wnuka. Patrick zawsze się sprzeciwiał



pisaniu biografii Tildy, ale nie mógł wyperswadować babce tego pomysłu. Wybrał więc in-ną drogę i postanowił wpłynąć na autora planowanej publikacji. Bogaty, przystojny Patrick R S

Franklin oczarował bez problemów niską, pulchną, waleczną Rebecce Bennett. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej upokorzona.

Następnego ranka zadzwonił telefon.

- Tilda jest w szpitalu. Sądziłam, że powinna pani o tym wiedzieć - odezwała się Joan.

- Angina? - spytałam.

- To znacznie poważniejsze. W nocy dostała ataku serca. Wczoraj przyszła do niej policja. No i telefonowała ta okropna kobieta - ciągnęła gniewnie gosposia. - Ja akurat poszłam do sklepu i niestety Tilda odebrała.

- Mówi pani o Caitlin?

- Tak - potwierdziła ponuro. - W każdym razie Tilda naprawdę niezbyt dobrze się czuje. Odwiedzać ją może tylko bliska rodzina, ale ja przyjdę do pracy w poniedziałek, tak jak zawsze.

Zadałam jeszcze parę pytań, wymamrotałam jakieś życzenia i odłożyłam słuchawkę.

Przez cały weekend zastanawiałam się nad tym, czy napisać do Nancy i zerwać kontrakt.

Gdybym jednak podjęła taką decyzję, nie miałabym pojęcia, jak spłacić zaliczkę. Poza tym wiedziałam, że powinnam kupić test ciążowy, ale nie mogłam się na to odważyć.

W końcu pojechałam do Oxfordshire, odkładając wszystkie decyzje na później. Sądzi-

łam, że spędzę spokojny dzień, porządkując stare listy, ale kiedy tylko zadzwoniłam do drzwi, Joan powitała mnie w progu i powiedziała, że Tilda prosi, abym ją odwiedziła w szpitalu.

Niechętnie udałam się do kliniki Radcliffe. Tilda leżała w małym pokoiku na uboczu.

- Prosiliśmy panią Franklin, żeby ograniczyła wizyty do najbliższej rodziny, ale ona chciała zobaczyć się z panią - mruknęła pielęgniarka z dezaprobatą i zaprowadziła mnie do separatki. Tilda, wsparta na poduszkach, wydawała się maleńka, krucha i bezbronna. Dotknęłam wargami jej pomarszczonego czoła: typowy pocałunek Judasza.

- Pięć minut i ani chwili dłużej - nakazała siostra.

Gdy zaczęłam wypytywać Tildę o samopoczucie, chwyciła mnie z rękę. Oddychała płytko i szybko.

- Musiałam się z tobą zobaczyć, Rebecco - szepnęła. - Podobno rozmawiałaś z Caitlin o Daraghu.

Odwróciłam wzrok od tych ogromnych oczu, w których czaił się ból. Życie Tildy wi-R S

siało na włosku, wystarczyło jedno niezręczne słowo lub pytanie, by ten cieniutki włoszek pękł.

- Chcę ci o nim opowiedzieć - szepnęła. - Daragh wszystko niszczył. Długo nie zdawałam sobie z tego sprawy i zapewne on nie robił tego celowo, lecz fakt pozostaje faktem.

Daragh zrujnował życie niemal wszystkim ludziom, z jakimi się zetknął. Jossy... Maksowi...

Caitlin... no i oczywiście mnie. - Przymknęła oczy, jakby nawet patrzenie sprawiało jej trudność. - Daragh zniszczył tę głupią dziewczuchę, która zaszła z nim w ciążę, jak również majątek córki. Caitlin straciła wszystko - dom, ziemię, wszystko... czego tylko się tknął, w końcu nawet pośrednio sprowadził nieszczęście na moje dzieci.

Otworzyła oczy i podniosła na mnie wzrok.

- Nie twierdzę, że jestem bez winy. - Jej głos stopniowo nabierał mocy. - I nie twierdzę, że go nie kochałam, bo to nieprawda. W końcu jednak zobaczyłam go takiego, jaki w istocie był. A Caitlin nigdy nie dokonała tej sztuki.

- Zabrałaś ją ze sobą do Oxfordshire, prawda?

- Tak, niech mi Pan Bóg pomoże... - szepnęła. - Musiałyśmy wyjechać z Southam.

Dom stał się nagle za ciasny, zaczęłam go nienawidzić. No i te plotki... W takiej małej wiosce trudno o tajemnice. Bardzo chciałam stamtąd uciec, ale nadal brakowało domów, a mnie pieniędzy. - Tilda uśmiechnęła się słabo. - Kit de Paveley wystarał mi się o pracę. Zaproponowałam, że zajmę się Caitlin i chciał mi się jakoś odwdziaczyć. Ta biedna dziewczyna nie miała nikogo na świecie, a Kit w oczywisty sposób nie mógł jej wychowywać.

Urwała, zdawała się zbierać siły.

- Kit znalazł mi posadę gospodyni domu u swego starego przyjaciela, pułkownika Renshawa, który mieszkał w Oxfordshire. Pomysł wydawał się idealny: duży dom i tylko ten starszy dżentelmen. Trochę oczywiście przy tej okazji nakłamałam. - Popatrzyła na mnie wyzywająco. - To były inne czasy. Zasady sztywne, mniej elastyczne. Powiedziałam puł-

kownikowi, że mąż zachorował podczas wojny i ze względu na zdrowie mieszka na południu Francji. Renshaw sądził, że straciłam rodziców we wczesnym dzieciństwie, ja nie wyprowadzałam go z błędu. Byłam zresztą gotowa na wszystko. Musiałam zacząć od nowa.

Musiałam zostawić za sobą przeszłość.

Na wyfroterowanej podłodze korytarza usłyszałam stukot ciężkich butów.

- Teraz trzeba odpocząć, baronetowo - powiedziała pielęgniarka.

W oczach Tildy błysnęło zniecierpliwienie.

- Powinnaś porozmawiać z Melissą, kochanie - szepnęła i odwróciła głowę.

Te same słowa padły niedawno z ust jej wnuka.

## Rozdział 12

Max rzucił pracę i popłynął statkiem do Francji. Duszny, upalny Paryż okazał się równie okropny jak duszny, upalny Londyn i nawet w najlepszych hotelach podawano jedynie namiastkę kawy, dlatego - niewiele myśląc - Franklin wsiadł w pociąg do Angers, w dolinie Loary. Przesiadywał w kafejkach, pił wino, zwiedzał. Francja okazała się równie tandetna jak Anglia - ze wszystkich drzwi i okien obłaziła farba - ale tego rodzaju mankamenty tonące w promieniach słońca mniej rzucały się w oczy. Z Angers Max pojechał do Chinon, gdzie chodził po ruinach zamku i patrzył z góry na most udekorowany świątecznymi flagami. A potem przysła kolej na Saumur i Tours. Na południu zwolnił trochę tempo, zupełnie jakby słońce i upał stłumiły tę żywiołową energię, jaka towarzyszyła zawsze wszelkim jego poczynaniom.

W każdym miejscu zostawał parę dni; nocował w tanich pensjonatach, stołował się w zatłoczonych małych kawiarenkach. Jedzenie było lepsze na prowincji; tam słoneczniki unosiły swoje żółte buźki ku słońcu, a wiejskie jarmarki pękały w szwach od kramików, gdzie handlowano dzikimi gęśmi i domowym dżemem. Na południu słońce prażyło znacznie mocniej, toteż Max - wzorem Francuzów i jaszczurek umykających do cienia - zaczął

odbywać sjestę po lunchu. Najpierw sypiał dziesięć minut, potem pół godziny, w końcu godzinę. Pewnego dnia drzemał aż do czwartej, po czym wstał i rozejrzał się dookoła. Zdumia-

ła go łatwość, z jaką udawało mu się zasnąć. Czuł się tak, jakby chciał sobie wynagrodzić te wszystkie lata, gdy zapadał wyłącznie w krótkie nerwowe drzemki w dżipach lub w okopach.

Potrafił wreszcie przeżyć spokojnie cały dzień bez chęci zwinięcia się w małą, drżącą kulkę. Wtedy nagle przypomniał sobie Belsen. Nadal myślał o tych wszystkich szarych ludziach cieniach, wciąż nad nimi płakał i oczywiście nie było w tym nic dziwnego. Ale te zjawy trochę się od niego oddaliły, dzięki czemu życie stało się znośniejsze. Tamten ból ze-lżał, inny przybrał na sile. Na pewien czas udało mu się zapomnieć o Tildzie, ale teraz oglą-

dał się za każdą blondynką, a każdy gardłowy, melodyjny śmiech wydawał mu się jej śmiechem. Najchętniej zabiłby Daragha Canavana, który udowodnił mu coś, czego Max zawsze najbardziej się obawiał - a mianowicie to, że Tilda nigdy go prawdziwie nie kochała. Myślał

o niej z goryczą, złością, poczuciem krzywdy. Poprosił bank o regularne przekazywanie pieniędzy na szkołę Josha, a także ubranie i jedzenie pozostałych dzieci. Wysyłał do nich często barwne liściki

opisujące miejsca, jakie zwiedzał, ludzi, z którymi rozmawiał. Z Tildą nie utrzymywał kontaktu. Często stawało mu przed oczami jej ciało splecione w uścisku z ciałem Daragha i gardził sobą za to, że kiedyś ją kochał.

Dotarłszy do małej miejscowości położonej o parę mil od Saintes, postanowił, że już nigdzie dalej nie pojedzie. W maleńkiej osadzie znajdował się kościół, *mairie*, sklep z mię-

sem, piekarnia, kiosk z papierosami i walący się warsztat samochodowy z napisem: *Fermé*.

Wioskę otaczały spalone słońcem pola i winnice. Max zaczął rozpytywać o pokój i wskaza-no mu maleńki hotelik na placyku. W nocy niebo wyglądało jak kwadrat niebieskiego ak-samitu usianego gwiazdami i stanowiło wspaniałe tło do koncertów świerszczy.

Kilka tygodni później kupił warsztat. W czasie wojny nauczył się bardzo wiele o samochodach. Do warsztatu przylegał dom z jasnego kamienia, gwarantujący chłód nawet w najbardziej słoneczne dni. Część dachu wleciała do środka, toteż Max naprawił połamane gonty i wymienił poszycie. W domu nie było elektryczności ani instalacji hydraulicznej, dlatego oświetlał wnętrze lampą naftową, wodę natomiast czerpał ze studni. Naprawił stary zardzewiały dystrybutor benzyny, a na jarmarku i wyprzedazach nabył mnóstwo narzędzi.

Kobieta w *boulangerie*, gdzie kupował rano bułki, zaczęła po Nowym Roku zwracać się do niego po imieniu. Jadał lunch w maleńkiej kafejce, na czerwone wino chadzał do baru na placyku.

Przestał palić playery, przerzucił się na gauloise'y. Był miły i przyjacielski, spędzał

całe dni w towarzystwie kobiet otulonych czarnymi szalami lub szedł do baru, gdzie gawę-

dził z robotnikami. Doświadczywszy niebezpieczeństw związanych ze zbytnim zaangażowaniem uczuciowym, z nikim nie nawiązał jednak bliższej znajomości. W piękne wieczory siadywał przed domem i patrzył na zachód słońca. Na stole stawiał butelkę wina, grywał

sam ze sobą w szachy. A kiedy pewnego wieczoru podszedł do niego ksiądz i ujawnił swe zamiłowanie do tej szlachetnej rozrywki, Max musiał go poprosić, by usiadł. Potem ksiądz wpadał do niego bardzo często. W szachy grał dobrze i na szczęście nie mówił zbyt wiele.

*R S*

Max wiedział, że był fatalnym ojcem dla Melissy i Josha, i zdawał sobie sprawę, że dzieci są na pewno bez niego szczęśliwsze. Gdy były jeszcze małe, pracował za granicą, a potem rozdzieliła ich wojna. Swoją troskę o nie sprowadził do surowości i dystansu, jakich doświadczył od własnego ojca. Podejrzewał, że dzieci w równej mierze się go boją, jak kochają i po jego odejściu odczują raczej ulgę, nie smutek.

Często doskwierała mu samotność, nierzadko bywał zły i poirytowany, ale ciężka praca fizyczna na szczęście wyczerpywała go na tyle, że nie mógł myśleć. Południowe słońce grzało mu kości, rozluźniało mięśnie i wygładzało zmarszczki smutku na czole.

Dom pułkownika Renshawa - tak zwana Poona - przylegał do wioski Woodcott St Martin w Oxfordshire. Pochodził z przełomu wieków. Był duży i brzydki. W fasadzie z czerwonej cegły i sztukaterii tkwiły ogromne okna wykuszowe, balkoniki oraz małe okienka mansardowe. Budynek składał się z trzech kondygnacji. Tilda wraz z rodziną zajmowała najwyższe piętro, a pułkownik i jego zbiory dwa dolne. Wielki ogród dostarczał jedzenia oraz podpałki do wielkiego pieca, który kasłał i sapał w kuchni. Pułkownik Renshaw, ranny podczas pierwszej wojny, poświęcił resztę życia na osiągnięcie niezależności.

- Trujące - mawiał, gdy podczas spaceru z Tildą po ogrodzie trącał kapustę laską. -

Spróbuj tylko kupić coś takiego w sklepie i dostaniesz truciznę. A jak zasadzisz własne warzywa, to przynajmniej będziesz wiedziała, co jesz.

Pułkownik hodował świnię oraz kozy, jak również kury i kaczki. Tilda podejrzewała, że gdyby nie dokuczliwy artretyzm, Renshaw prządłby nawet owczą wełnę na swetry. Tenże właśnie artretyzm i dolegliwości płucne spowodowane wdychaniem gazów bojowych w bi-twie pod Sommą zmusiły sześćdziesięciosiedmioletniego już dżentelmena do zatrudnienia gospodyni.

Tilda wspomniała nazwisko ich wspólnego znajomego Kita de Paveleya.

- Poznałem go, kiedy jeszcze studiował w Oxfordzie - powiedział pułkownik, odgarniając pokrzywy, gdy obchodzili ogród dookoła. - Obaj interesowaliśmy się archeologią.

Mądry facet. Raz czy dwa pojechaliśmy na wykopaliska.

Oficjalnie do zadań Tildy należało gotowanie, sprzątanie i pranie ubrań oraz bielizny pułkownika. W rzeczywistości, w dni, kiedy artretyzm dawał się pułkownikowi wyjątkowo mocno we znaki, zakres jej obowiązków obejmował również pisanie listów i strzelanie do gołębi, które były solą w oku Renshawa. Praca nie należała do lekkich, ale Tilda nie narze

kała, gdyż dzięki swoim zajęciom nie musiała myśleć. Wstawiała o szóstej, po czym wrzuca-

ła do pieca drewno i suszony torf, uznawany przez pułkownika za wspaniałe paliwo. Dzięki obowiązkowi skupiała się bardziej na pokonywaniu mrozu niż rozpamiętywaniu ostatnich, koszmarnych miesięcy małżeństwa. Walcząc w środku zimy o urozmaicenie posiłków zło-

zonych na ogół z porów, ziemniaków i kapusty, nie martwiła się przynajmniej o dzieci. A po wypastowaniu podłóg woskiem, który pułkownik wydobywał z własnego ula, była zbyt zmęczona, żeby myśleć o tym, co się stało z Daraghem.

Pokoje na górze okazały się wystarczające, by pomieścić ich wszystkie meble oraz te, które zapewnił im pułkownik. Mieli cztery sypialnie - Melissa i Caitlin spały w największej, Josh i Erich zajęli pokój z oknem mansardowym, podczas wakacji Rosi i Hanna okupowały klitkę na tyłach, a Tilda spała w małym pomieszczeniu z wykuszem. Nie zabrakło również łazienki - z wanną, umywalką i toaletą takich rozmiarów, jakby przeznaczono je dla wielko-ludów. Korzystali też z małej kuchenki i ogromnego salonu. W porównaniu z zatłoczonymi pokojami i niskimi sufitami w Długim Domku

Poona okazała się pałacem.

Woodcott St Martin było niegdyś niewiele większe od Southam, lecz spore osiedle gminne i świeżo pobudowany rząd bungalowów potroił jego rozmiary. Mur dzielący osiedle od bungalowów odzwierciedlał różnice społeczne między mieszkańcami osady. Ci z gminnego osiedla uczęszczali do klubu dla pracujących mężczyzn, ci z bungalowów i starych domów zebranych nieopodal błoni zapisywali się do klubu tenisowego lub kółka drama-tycznego. Co pół godziny odjeżdżał autobus do Oxfordu; Caitlin i Melissa podróżowały nim do szkoły. Josh miał pozostać w internacie aż do egzaminów wstępnych.

Max przysyłał co miesiąc czek, ale nie dołączał do niego listu ani żadnego innego wyrazu dobrej woli, a to z kolei zdzierało strupek, jaki dopiero co pokrył ranę po jego odejściu.

Nierzadko podczas szorowania podłóg lub prasowania długich kalesonów pułkownika Tildę ogarniał gniew. Gniew na Maksa za to, że opuścił dzieci. Za to, że okazał się taki kostyczny i zasadniczy. Za to, że kiedyś nadmiernie ją sobie wyidealizował.

Caitlin nienawidziła mieszkać u pułkownika. Jeszcze w Southam, zanim się przenie-

śli, codziennie chodziła do Dworu w nadziei, że zobaczy tam ojca. Tymczasem jednak na fronton domu zawędrowała tablica „Na sprzedaż”, a potem wprowadzili się tam jacyś okropni ludzie. W szklarni rosły teraz szkarłatne pelargonie, jakie mamusia z pewnością uznałaby za pospolite. Raz, gdy nikt nie patrzył, Caitlin rzuciła kamieniem w szybę. Brzęk *R S*

tluczonego szkła dał jej wiele zadowolenia.

Na początku Caitlin odpowiadała na pieszczoty Tildy chłodną rezerwą. Potem zaczęła być niegrzeczna, lecz łagodna stanowczość pani Franklin irytowała ją jeszcze bardziej niż jej czułości. Następnie przysłała kolej na niezwykle satysfakcjonujące akty zemsty - łyżka soli w gulaszu, dobrze wymierzone kopnięcie w sznur do bielizny, w którego efekcie prze-

ścieradła i poszewki wylądowały w błocie. Kiedy jednak pochwyciła kilka dziwnych spojrzeń Tildy, stała się ostrożniejsza.

Potem przenieśli się do Oxfordshire. Ta decyzja utrwaliła wszystkie okropne zmiany w życiu Caitlin. Niemniej dziewczynka wierzyła, że ojciec wróci i znowu zamieszkają we Dworze. Przeprowadzka naruszyła tę pewność. Caitlin musiała dzielić sypialnię z Melissą, choć we Dworze miała do własnej dyspozycji o wiele większy pokój, a nawet małą garderobę.

Spotkała ją zatem ogromna niesprawiedliwość i krzywda. Sama Melissa obdarzała Caitlin ogromnym podziwem, co choć trochę pocieszało dziewczynkę. Jednak ilekroć córka Tildy pokazywała jej listy od ojca, w Caitlin wzbierał gniew. Złośliwość losu sprawiła, że ta mała Melissa wiedziała, gdzie jest jej tatuś. Caitlin nie przypadło w udziale takie szczęście.

Pułkownika uznała za szaleńca i unikała go jak ognia. Jedzenie było okropne i monotonne, a ona nie dostawała żadnych nowych ubrań. Naukę rozpoczęła w styczniu - klasa liczyła trzydzieści dziewcząt,

niektóre z nich nosiły zniszczone buty, powypychane pończochy i mówiły z wiejskim akcentem. Co gorsza, nikt jej nie zauważał. A w Burwood wszyscy ją znali. Nazywała się Caitlin Canavan, *ta* Caitlin, co to mieszkała w dużym domu, brała lekcje baletu oraz dykcji i przyjeżdżała do szkoły autem z bardzo przystojnym tatą.

W nowej szkole niektórzy nauczyciele nie mogli nawet zapamiętać jej nazwiska i choć w Burwood odnosiła zawsze sukcesy w nauce, tu ledwo się jej udawało wznieść ponad średnią. Ilekroć opowiadała o kucykach czy przyjęciach, jakie urządzał dla niej tatuś, nikt nie chciał jej wierzyć.

- Twoja matka pracuje dla tego stukniętego starucha - mówili, a Caitlin czuła się wtedy podwójnie zawstydzona. Po pierwsze dlatego, że wszyscy brali Tildę za jej matkę. Po drugie Tilda naprawdę pełniła obowiązki zwykłej służącej, co było dla Caitlin wyjątkowo upokarzające.

Nikt jej nie uważał za osobę wyjątkową. Nikt nie dostrzegał tego, że Caitlin Canavan *R S* jest ładniejsza, mądrzejsza i znacznie bardziej interesująca niż inne dziewczęta w jej wieku.

Nikt jej nie podziwiał, lecz ledwo zerknęła do lusterka, już nabierała przekonania o swojej wyjątkowości. Tatuś też powtarzał zawsze, że ma niezwykłą córkę.

Kiedy znalazła raport prywatnego detektywa, mieszkali jeszcze u pułkownika. Dwór wystawiono na sprzedaż, a dokumenty jej matki wylądowały w kartonowych pudłach. Po przeprowadzce Tilda zaproponowała Caitlin pomoc przy sortowaniu rzeczy. Caitlin jednak odmówiła - rozpakowała je sama, gdyż stanowiły ostatni cenny łącznik z poprzednim życiem. Większość z tego, co znalazła, nic dla niej nie znaczyła. Bardzo nudny pamiętnik pisany za czasów dzieciństwa Jossy, listy, rachunki, kwity ze sklepów. Caitlin zatrzymała wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z ojcem. A potem odnalazła raport pana Od-diego i zaczęła szybko wertować zapiski, rozgorączkowana z podniecenia, pewna, że teraz już będzie wiedziała, dokąd poszedł ojciec. Zwinięta na łóżku, studiowała raport strona po stronie. W trakcie czytania miejsce podniecenia zajął szok, a potem mdłości. Wymiotowała w starej łazience, a gdy z niej wróciła, w pokoju czekała już na nią Melissa. Natychmiast spytała Caitlin o samopoczucie. Dziewczyna zorientowała się, że mała stoi zaledwie metr od tych okropnych papierów.

- Masz plamę na brodzie - powiedziała szybko, a Melissa pobiegła się przejrzeć.

Caitlin zebrała notatki i wyszła do ubikacji na podwórzu, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie nic nie zagrażało jej prywatności. W ciemnej małej komórce zasnutą pajęczyną przeczytała dalszy ciąg raportu. Nie wszystko dokładnie rozumiała (co to jest stosunek?, co to jest związek fizyczny?), ale pojęła bez trudu, że pan Oddie twierdzi, jakoby jej ojciec miał

wiele znajomych pań. Detektyw zrobił nawet listę przyjaciółek papy. Na czele widniało nazwisko niejakiej Elsy Gordon, a wyliczankę zamykała Tilda Franklin.

Erich pracował codziennie w ogrodzie pułkownika Renshawa. Ogród zajmował ponad akr ziemi, do tego dochodziły zwierzęta, dzikie ptactwo i zarośla. Choć Erich z początku bał

się pułkownika, który nazywał go Hunem, w miarę upływu czasu jakoś się do staruszka przyzwyczaił. Zrozumiał, że pułkownik nie może zapamiętać ich imion - na przykład zawsze zwracał się do Melissy per Lizzy, myląc ją ze swoją dawno zmarłą siostrą. Chłopiec doszedł więc wreszcie do wniosku, że przydomek Hun nie miał na celu go obrazić. Usiłował

niezdarnie tłumaczyć pułkownikowi, że jest Austriakiem żydowskiego pochodzenia, ale je-go słowa tonęły w przydługich opisach meczów piłki nożnej, jakie ludzie pułkownika rozR S

grywali z żołnierzami Kaisera między okopami na Boże Narodzenie w 1914 roku. Erich w końcu przyjął do wiadomości fakt, że dla Renshawa bardziej liczy się umiejętność kopania dołów i zbierania kurzych odchodów niż rasa czy religia.

Wieś go przerażała. Od czasu do czasu musiał jednak wybrać się do stolarza, na-ostrzyć sekator lub też sprzedać krewkiemu sklepikarzowi nadwyżkę jajek. Te wypadki kosztowały go wiele trudu. Nie mógł ani na chwilę przestać się jękać i choć mówił całkiem płynną angielszczyzną, zapominał najprostszyc wyrazów. Czuł na sobie podejrzliwe spojrzenia. Te oczy goniły go od zasłoniętych siatką okien aż do żywopłotów z ligustru. Wtedy pot zalewał mu czoło i Erich od razu szukał toalety.

Tilda namawiała go do uczestniczenia w mszach. Wybrał się więc raz do kościoła, a potem co niedziela odkrywał coś ważnego do zrobienia w ogrodzie. Nie mógł przebywać w zamkniętym pomieszczeniu w towarzystwie obcych. Ku jego ogromnej uldze, po paru tygodniach Tilda powiedziała mu, że wcale nie musi nigdzie chodzić, jeśli nie chce. Nalegała natomiast na to, by codziennie po podwieczorku dołączał do rodzinnych zabaw. Erich nie miał jednak nic przeciwko temu, bo Caitlin również w nich uczestniczyła, a sam widok dziewczyny dawał mu dziwne poczucie szczęścia.

Boże Narodzenie w Poonie tak różniło się od świąt obchodzonych gdzie indziej, że odwróciło uwagę Tildy od smutnych wspomnień. Rankiem dwudziestego piątego grudnia zepsuł się generator i choć Josh - ekspert od tego rodzaju napraw - gmerał przy nim przez parę godzin, nie pozostało im w końcu nic innego, jak oświetlić dom lampkami naftowymi oraz świeczkami. Pułkownik nalegał na wspólny świąteczny obiad i poczęstował wszystkich (łącznie z Joshem) lampką bardzo jasnej sherry. Ubrani w najlepsze stroje, zjedli indyka upieczonego przez Tildę. Potem Hanna i Rosi grały z pułkownikiem w chińczyka, Josh wrócił do generatora, a Melissa i Caitlin pomogły Tildzie pozmywać.

Dopiero znacznie później, kiedy dzieci leżały już w łóżkach, Tilda poczuła, jak bardzo jest samotna. Spędzała już kiedyś święta bez Maksa, ale wówczas trwała wojna i sytuacja była przymusowa. A zresztą zawsze wtedy miała coś na pociechę - list, kartkę, raz nawet piękny jedwabny szalik, który przybył do niej na Gwiazdkę aż z północnej Afryki. Na te święta Max wysłał podarunki dzieciom, ale ona nie dostała nic. Nawet listu czy kartki, jakiegokolwiek znaku świadczącego o tym, że choć odrobinę mu na niej zależy. Zwinięta na sofie, otulona kocami i szalami, zabezpieczona przed wiatrem przedzierającym się przez R S

szpary w oknie Tilda wyobraziła sobie, że już do końca życia będzie ją zżerać taka tęsknota i gniew.

Hanna postawiła tacę z herbatą przy palenisku. Rosi usiadła na dywaniku.



- Myślę, że Boże Narodzenie jest znacznie przyjemniejsze bez elektrycznego światła.

O wiele bardziej romantyczne - rzekła.

Hanna naląła herbatę.

- Było miło, chociaż pułkownik ograł nas w chińczyka. Nawet dwa razy.

- Bo oszukuje. - Rosi skubała swój długi szal.

- Ależ Rosi... - oburzyła się Tilda.

- Przecież mówię prawdę. Pułkownik oszukuje. Prawie tak samo jak Caitlin.

- Rosi...

- Przecież musiałaś to zauważyć. Ona zawsze cygani. W węże i drabiny też.

- Oczywiście, że zauważyłam, ale wolałam o tym nie mówić - przyznała Tilda.

- Bo ona straciła matkę i ojca. Ple, ple, ple.

- Rosi. - Tym razem to Hanna upomniała dziewczynę. Rosi podniosła wzrok.

- Ja, Hanna i Erich również straciliśmy rodziców, ale nie oszukujemy. Ani też nie czytamy cudzych listów i pamiętników, nie kradniemy szminek...

Rosi rozpoczęła niedawno burzliwą znajomość z Richardem Vaughanem, młodszym lekarzem ze szpitala Addenbrooke w Cambridge. Gdy odkryła, że Caitlin czyta listy Richarda, sprawiła jej niezłanie.

- Caitlin chyba sądzi, że ojciec nadal żyje. Nie chce nosić po nim żałoby, bo wierzy w jego powrót.

Hanna podniosła na nią wzrok.

- A ty nie?

- Absolutnie nie. - Tilda przypomniała sobie, jak Daragh rozkłada na hotelowym stole fotografie niemowlęcia, mówiąc: „Ona jest światłem mego życia”. - Przecież on ją wręcz uwielbiał; tylko śmierć mogła ich rozdzielić.

- W takim razie nie widzę nic dziwnego w tym, że Caitlin nie potrafi się pozbierać -

powiedziała rozsądnie Hanna.

Tilda próbowała się uśmiechnąć.

- No i oczywiście obecna sytuacja stanowi dla niej ogromną zmianę. Była jedynaczką, *R S*

a teraz stała się częścią większej rodziny; musiała opuścić dom, zmienić szkołę... A wiodła przecież życie osoby uprzywilejowanej. W dodatku ja próbowałam z nią rozmawiać o ojcu.

Te starania nie przyniosły jednak zadowalających efektów. Caitlin udawała całkowity brak zainteresowania, ale Tilda wyczuła, że za pozorną obojętnością dziewczyny kryje się wrogość, a także strach. W końcu zrezygnowała z unicestwienia nadziei Caitlin na to, że Daragh żyje; nie miała do tego prawa. Ogrom gniewu Caitlin niezwykle ją poruszył i Tilda zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna nie wie przypadkiem o ich romansie. Odrzuciła jednak tę myśl. Skąd mogłaby wiedzieć? Ani Jossy, ani Daragh nie zdradziliby przecież tak intymnych tajemnic własnemu dziecku. Niepokój jednak nie mijał i odradzał się całkowicie, ilekroć Tilda widziała swe odbicie w ciemnych, oskarżycielskich oczach dziewczyny.

Często zadawała sobie pytanie, czy postąpiła właściwie, przyjmując Caitlin Canavan do swego domu. Kierowała się jednak mieszaniną litości i poczucia winy, a także świadomością więzów krwi, o których Caitlin nie miała przecież pojęcia.

Najpierw dziewczyna machała po prostu do Maksa, pedałując co rano na rowerze obok warsztatu. Po kilku tygodniach zaczęła go pozdrawiać radosnym: *Bonjour!* Wyjeżdża-

ła z domu kwadrans po ósmej, wracała o siódmej wieczorem. I tak od poniedziałku do soboty. Była młoda, włosy przewiązywała wstążką, ubierała się - nawet na rower - elegancko, w jedwab albo czystą bawełnę. Wiatr podwiewał jej spódnice, odsłaniając opalone nogi. Wiosną, mijając warsztat Maksa, wołała: *Ça va, monsieur Franklin*, a on podnosił wzrok, zdumiony, że ta urocza istota pamięta jego nazwisko. W końcu zaczął na nią czekać. Pewnego wieczoru długo się nie pojawiała i Max - sprząając podwórze i naprawiając starego citroena

- patrzył co chwila na zegarek. Tuż przed ósmą usłyszał stukot jej sandałów i zobaczył kiesz-kę zamiast rowerowej opony.

- Złapałam gumę - powiedziała, odgarniając jasne włosy z oczu i krzywiąc usta. - Co za pech! Mógłby pan rzucić okiem?

Max przewrócił rower do góry nogami i zdjął oponę. W dętkę wbił się kolec róży. Zanim przystąpił do załatwienia rozdarcia, podał dziewczynie krzesło oraz szklankę wody. Upał

nadal trwał, roztopiał nawet miejscami asfalt.

- Powinna pani kupić nową oponę, ta się zupełnie zużyła - powiedział Max, kończąc pracę.

- Ile jestem panu winna, *monsieur*? R S

Max pokręcił głową.

- Za gumową łatkę i kawałek kredy? Nic. - Wytarł ręce o szmatę i podtrzymał rower.

Gdy odjeżdżała, odprowadził ją wzrokiem.

Choć następnego dnia była niedziela, Max zdecydował się rozebrać silnik citroena.

Rozkręcał właśnie gaźnik, kiedy usłyszał turkot roweru. Dziewczyna miała na sobie elegancką, czarną sukienkę. Domyślił się, że wraca z kościoła. Zdjęła koszyk z rowerem...

- Gdzie jest kuchnia? Przyjechałam coś panu ugotować. - Weszła do domu i zajrzała do kilku pokoi. - Ach, moja *grand-mere* ma taką kuchnię. W zupełności wystarczy.

Przyrządziła pieczoną baraninę z warzywami, a na deser szarlotkę. Max otworzył butelkę czerwonego wina. Powiedziała, że nazywa się Cecile Ferry i pracuje w sklepie z sukienkami w Saintes. Rodziców straciła, mieszkała z babką. Przed wojną myślała o zamąż-

pójściu, ale narzeczony zginął w 1940 roku. Nie zadawała Maksowi zbyt wielu pytań. Kiedy zjedli, pozmywała i odjechała na rowerze. Potem wrócili do machania rękami na powitanie oraz codziennych pozdrowień.

Max w Saintes kupił oponę i powiesił ją na dystrybutorze, tak by dziewczyna od razu ją zauważyła.

- Dla mnie? - zawołała Cecile, uśmiechnęła się i przyhamowała.

Max wymienił zniszczoną oponę na nową, a w niedzielę Cecile znów zjawiała się u niego z koszykiem. Bardzo zresztą na to liczył. Tym razem przygotowała mu *coq au vin* i wiśnie.

Po obiedzie siedzieli w zaniedbanym ogrodzie z rozrośniętą figą, nieopodal schodków prowadzących do piwniczki, gdzie Max przechowywał wino. Franklin rzucił na trawę stary koc. Cecile opowiedziała mu o małej winnicy, jaką odziedziczyła po ojcu. I o kobiecie -

właścicielce sklepu w Saintes oraz jej kuzynce, która planowała w lipcu ślub. A także o szczególnym upodobaniu, jakim darzył wino nauczyciel ze szkoły, o romansie właściciela kiosku z tytoniem z żoną paszтетnika i ciągnącej się od dawna wojnie między właścicielami dwóch sąsiadujących ze sobą winnic.

- Boże - westchnął Max, patrząc na nią ze zdziwieniem. - Nie miałem pojęcia, że tyle się dzieje.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

- A pan?

*R S*

- Ja? - Odwrócił wzrok. - Prowadzę ten rozpadający się warsztat i tyle.

- Jest pan Anglikiem? Przytaknął.

- Z krwi i kości.

- Jak na Anglika mówi pan świetnie po francusku.

- Mieszkałem w Paryżu przez jakiś czas. - Przypomniawszy sobie, jak siedział z Tildą wzdłuż brzegu Sekwany i oboje zastanawiali się, co będzie dla nich oznaczał wybuch wojny.
- Ale nie zawsze zajmował się pan naprawą samochodów i rowerów, prawda?
- Skąd pani wie? Wzruszyła ramionami.
- Jest pan dżentelmenem. Angielskim dżentelmenem. Co za druzgocąca opinia - pomyślał.
- Kiedyś pracowałem dla angielskiej gazety. Dlatego byłem w Paryżu. Jako korespondent zagraniczny.
- Ach tak... Ale...?
- Ale przestało mi się to podobać - powiedział cicho.
- Woli pan brudne silniki, dystrybutor...
- Zdecydowanie. Wstała.
- Teraz pozmywam.
- W żadnym wypadku. Sam to później zrobię. Popatrzyła na niego z góry.
- Pod warunkiem, że pozwoli mi pan znowu coś ugotować w przyszłą niedzielę.

Miała na głowie słomkowy kapelusz, w koszyku przywiozła jedzenie na piknik. Max naprawił dla siebie zniszczonego peugeota i pojechali aż do ujścia Żyrondy, tam gdzie na błotnistym brzegu walały się skorupki ostryg. Cecile wyłożyła na koc zimnego kurczaka, sałatkę, pieczywo oraz maliny, a Max schłodził w rzece butelkę wina. Podczas jedzenia Cecile podawała mu nazwy ptaków, które obsiadły srebrzyste brzegi Żyrondy.

Gdy w misie została już tylko jedna malina, Cecile włożyła ją Maksowi do ust. A potem go pocałowała. Jej usta smakowały owocami i winem, skóra pachniała migdałami, a ręce, spoczywające na ramionach Maksa, były chłodne i delikatne. Oderwał się od niej z trudem. Spojrzała na niego pytająco.

- Bądźmy po prostu przyjaciółmi - powiedział. - Dobrze?
- Max. - Uśmiechnęła się. - Jakie to angielskie.

*R S*

Tilda wiedziała, że musi dokonać bilansu, zaakceptować utratę Maksa i zacząć wszystko od nowa. Sądziła, iż wyprowadzając się z Southam, będzie mogła zapomnieć o dawnym życiu. Podobnie postąpiła w przeszłości, gdy dowiedziała się od Sarah, że Edward de Paveley jest jej ojcem. Tym razem jednak wspominała. Wspominała, jak kocha się z Daraghem. Wspominała wyraz twarzy Maksa

mówiącego: „Obiecałaś”. Wspominała Jossy w starym bentleyu i jej dziecko uwięzione w martwym ciele. Zajęcia domowe nie zacierały tych obrazów. Wspominała, myjąc podłogi, wspominała, pieląc ogród. Wmawiała sobie, że musi się czymś zająć, chodziła na spotkania Instytutu Kobiet, ale inne panie wypytywały ją o męża i obrzucały dziwnymi spojrzeniami. W obawie przed rozmowami dotyczącymi przeszłości odrzucała zaproszenia na herbatę, wykręcając się nadmiarem zajęć. Ponadto te wszystkie domowe sprawy, jak na przykład zawody w pieczeniu ciast bez użycia jaj, przestały ją bawić. Jej umysł uciekał podświadomie od poczucia winy, troski o dzieci i listy zakupów.

W Towarzystwie Naukowym odkryła ogłoszenie o wykładach w Oxfordzie i zapisała się na cykl dotyczący Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jedno ze spotkań poświęcono działalności UNICEF-u, a konkretnie specjalnemu funduszowi dla matek i dzieci ustano-wionemu pod koniec 1946 roku. Po wykładzie, podczas dyskusji, Tilda wspomniała o pracy w *Kindertransporte*, a potem zerknęła na zegarek i - widząc, że jest po dziewiątej - chwyciła torbę, po czym pobiegła do autobusu.

Nagle usłyszała za sobą kroki.

- Proszę zwolnić! - wołał jakiś mężczyzna. - Bardzo proszę!

Przystanęła i odwróciła głowę.

Z trudem chwytnąc oddech, mężczyzna wyciągnął rękę.

- Archie Raphael. Byłem na wykładzie. Siedziałem parę rzędów dalej.

Tilda potrząsnęła głową.

- Miło mi pana poznać, panie Raphael, ale muszę pędzić, bo spóźnię się na autobus.

- Mogę panią podwieźć. - Usiłował za nią nadążyć. - Chciałem tylko... to pani jest tą kobietą, która przepłynęła łódką Morze Północne, prawda?

Tilda stanęła jak wryta. Jakiś mężczyzna zderzył się z nią i przeprosił, uchylając kapelusza.

- Nie łódką, tylko żaglówką. I w większości była to zasługa Feliksa, nie moja.

R S

Nie słuchał. Podobnie jak inni.

- Pamiętam pani twarz z gazety. Nigdy nie zapomnę twarzy. A teraz mówiła pani o *Kindertransporte*. Znam ponadto Harolda Sykesa, właściwie to jego córkę, Lottie. Ona uważa się co najmniej za Ginger Rogers, choć niestety nie ma ku temu powodów.

Jasnowłosy Archie Raphael liczył sobie dwadzieścia pięć lat i był mniej więcej wzrostu Tildy.

- Naprawdę muszę iść. - Widząc, że nadjeżdża jej autobus, wybiegła na pobocze i zaczęła pokazywać kierowcy, żeby się zatrzymał. Wóz jednak przemknął szybko obok nich, zresztą i tak w

środku panował taki tłok, że nigdzie nie dałoby się wcisnąć szpilki.

- A niech to...

- Bardzo mi przykro. Tak długo panią zagadywałem. Ale pozwoli się pani odwieźć do domu, prawda? Będę bardzo na panią uważał. Nigdy nie przekraczam trzydziestu mil na godzinę i klnę się na honor...

Nie miała wyboru.

- Jest pan bardzo miły, panie Raphael. Sądzę jednak, że pożałuje pan swojej uprzejmości, kiedy pan się dowie, gdzie mieszkam.

Uśmiechnął się szeroko.

- W Edynburgu?

- W Woodcott St Martin.

- Niewielka różnica. Chodźmy. Zaparkowałem przy college'u. Zaraz będziemy na miejscu. Maud... nie, nie tak. Zmarszczył czoło. Nie, nie, proszę nie mówić, już prawie pa-miętam. Mary... Millicent.

- Mathilda - powiedziała, wybawiając go z kłopotu. - Mathilda Franklin. Ale wszyscy nazywają mnie Tilda.

W drodze do domu próbował z nią rozmawiać o latach czterdziestych. Tilda patrzyła na odpływający krajobraz. Reflektory auta złociły gęste liście drzew.

- Było, minęło. Postąpiłam zresztą bardzo nierozsądnie. Nie chcę o tym mówić, panie Raphael. Zresztą nigdy się nikomu z tego nie zwierzałam.

- Ale pan Sykes...

- Harold większość z tego zmyślił. Wie pan chyba, jacy są dziennikarze.

Kiedy dojechali do domu, Tilda zobaczyła Rosi siedzącą na krawężniku.

*R S*

- Rosi - powiedziała zdziwiona, otwierając drzwiczki od auta.

- Musiałam się z tobą zobaczyć, Tildo. Musiałam wrócić do domu. Nienawidzę Richarda. Nie chcę już z nim rozmawiać - zawyła, po czym wyrzuciła z siebie stek niemieckich przekleństw.

Archie Raphael popatrzył na nią z zainteresowaniem. Tilda wysiadła z samochodu.

- Rosi to jedno z dzieci z *Kindertransporte*, panie Raphael - powiedziała twardo. -

Prom do Harwich, pociąg na dworzec Liverpool. Nic szczególnie bohaterkiego. Dzięki za podwiezienie - zakończyła, zatrzasnąjąc drzwi.

Kolega z sąsiedniej szkoły zaprosił Caitlin na randkę. Stali właśnie na przystanku i czekali na autobus. Wzruszyła ramionami.

- Skoro chcesz...

Nigdy przedtem nie umawiała się z chłopcami. Z poczuciem triumfu odwróciła się do przybranej siostry.

- Powiedz Tildzie, że gram w tenisa albo coś innego w tym rodzaju.

Gdy odchodziła z przystanku, goniły ją głośne protesty Melissy. Przez chwilę ani ona, ani chłopak, który - jak się okazało - nazywał się Charlton - nie odzywali się do siebie ani słowem i satysfakcja powoli mijała. Przyjrzawszy się chłopcu bliżej, dostrzegła szarawy kołnierzyk jego koszuli i wytarty sweter. Wróciło dawne uczucie nudy i niezadowolenia.

- Wyglądasz zupełnie niesamowicie, Kate. Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś podobna do Vivien Leigh? - spytał, a ona od razu poczuła się lepiej. Gdy mijali kilka dziewcząt z jej klasy, Caitlin dostrzegła ich zazdrosne spojrzenia. W końcu Charlton chodził już do pią-

tej klasy, a ona dopiero do trzeciej.

- Jak ci na imię? - spytała nagle. - Nie mogę się do ciebie zwracać per Charlton. To strasznie głupio brzmi.

- Leonard - odparł. - Przyjaciele nazywają mnie Lenny. Zabrał ją do nowego baru mlecznego w centrum miasta.

Koktajl truskawkowy był różowy, pianisty i pyszny, a Caitlin piła go powoli, rozkoszując się faktem, że jest najmłodszą dziewczyną w tym lokalu, a towarzyszy jej najprzy- stojniejszy chłopiec.

- Nie mieszkasz w Oxfordzie, prawda? - spytał Lenny.

- Ojciec pracuje za granicą, ja zostałam u znajomych w Woodcott St Martin. Jak tatuś *R S* przyjedzie, wrócimy do mojego starego domu.

Kiedy, nieco później, Lenny zaproponował spacer po parku, Caitlin omal nie odmówi- ła. Nie była pewna, czy zniesie kolejne chwile ciszy.

- Chodź, Kate - namawiał. - Dopilnuję, żebyś zdążyła na autobus.

Poszli przez park, mijając matki pchające wózki z dziećmi i starych ludzi siedzących na ławkach w cieniu jaworów. Trawa przypominała rafię.

Schylił głowę i pocałował ją delikatnymi, wilgotnymi wargami, a ich nosy się zderzyły.

Nie było tak jak w filmie. Ale Caitlin czuła się dobrze ze świadomością, że ktoś jej pragnie. I dlatego nie protestowała. Poza tym, po co Charlton miałby się domyślić, że nigdy przedtem nie całowała się z chłopcem?

Erich odkrył Czerwony Dom, gdy szedł do mleczarni po zakupy dla Tildy. Stary ma-jątek leżał na odległym krańcu wioski, za sklepem, pocztą, błoniami, stawem z kaczkami i tymi wszystkimi eleganckimi posiadłościami, gdzie na podjeździe stały duże auta. Męż-

czyźni myjący i polerujący swoje wozy w każde niedzielne popołudnie zerkali podejrzliwie na chłopca w zniszczonym ubraniu i zabłoconych kaloszach, ale z okien Czerwonego Domu nikt na niego nie patrzył. Czerwony Dom był niezamieszkały. Erich upewnił się o tym wielokrotnie, zanim zebrał całą odwagę, by pchnąć skrzypiącą żelazną bramę i wejść do środka.

Znalazłszy się na ścieżce, doznał wrażenia, że ogromne ciemne drzewa chcą go zamknąć w swoich kleszczach, toteż szybko uciekł przerażony na drogę. Po kilku wizytach zrozumiał jednak, że drzewa nie są wcale wrogo do niego nastawione; przeciwnie, pilnują jego własności. Wścibskie spojrzenia nie mogły go tu osiągnąć. W Czerwonym Domu czuł

się wolny. Zerkając do wnętrza przez zakurzone szyby, widział wielkie puste pokoje zasłane dywanami suchych liści, jakie naleciały do środka przez szpary w oknach i drzwiach. Puste paczki po lucky strike'ach i rzucone na podłogę maski gazowe wyraźnie świadczyły o tym, że w czasie wojny mieszkali tu żołnierze.

Jednak nie dom zafascynował go najbardziej, tylko ogród. Ogród był bowiem wspaniały, magiczny, oszałamiający. W starej szopie Erich znalazł grabie i łopatę, toteż kopał i pielł, ilekroć przyszła mu na to ochota. Zamierzał ucywilizować ogród, odkryć jego pierwotny kształt, przywrócić do życia. Najpierw teren za tarasem wydawał mu się bezładną płataniną jeżyn i innych krzewów, ale potem, oderwawszy się od duszących pnączy i kęp *R S*

chwastów, chłopiec doszedł do wniosku, że cały ten wymyślny splot roślin i ścieżek starannie zaplanowano. Stare, popękane od mrozu, wybrukowane ścieżki porastał mech. Erich narysował mapę ogrodu, naniósł na nią fragmenty alejek i całymi godzinami głowił się nad tym, jak te dróżki się kiedyś łączyły. Przeczesał jeżyny, odkrył pozostałości po klombach: pożółkłe, zwiędłe kwiaty, pozbawione światła przez za bardzo wyrosnięte krzewy, a także staroświeckie tulipany i prymule. Wiosną małe czarne stawy zaroily się od kijanek i traszek.

Erich uwielbiał je obserwować.

A gdy znalazł pod wierzbą marmurowy posąg, zasypywany uschniętymi liśćmi, pomyślał

z początku, że to zwalona kłoda. Potem jednak, usunąwszy kopniakiem warstwę lepkich grzybów, dostrzegł małą, wdzięczną rączkę, której zakrzywione palce wyraźnie do niego kiwały. Erich ukląkł



na kupie liści i podniósł rzeźbę. Była ciężka i chłodna, najwyraźniej marmurowa. Gdy odgarnął ziemię oraz pajęczyny z wyrzeźbionej w kamieniu twarzy, spojrzała na niego dziewczyna: zimna, piękna i doskonała.

Późny sierpień odznaczał się niezwykłą duchotą i upałami, wakacje dobiegały końca.

Tilda przyrządzała pasztet, Rosi grała na pianinie, pułkownik Renshaw testował w ogrodzie świeżo wyczyszczonej strzelbę. Pod sufitem latały osy.

- Co za okropny hałas! - powiedziała Hanna, wchodząc do kuchni i zatraskując za sobą drzwi. - Trach, trach, trach w ogrodzie i łup, łup, łup w salonie. Myszowate włosy wymykały się jej spod chustki, na czoło wystąpiły zmarszczki irytacji.

- Przestań, Rosi - wrzasnęła. - To okropne!

Muzyka ucichła. Z ogrodu dotarł do nich jeszcze jeden huk. Erich - siedzący przy stole - aż skurczył się ze strachu. Tilda położyła przed nim cedzak z jagodami.

- Powyjmuj listki, dobrze? A ty mu pomożesz, Hanno.

- Mój esej... - zaczęła ostrożnie dziewczyna.

- Hanno - powtórzyła Tilda z łagodnym naciskiem i jej podopieczna usiadła posłusznie obok Ericha.

Caitlin i Melissa były w komórce obok; najprawdopodobniej sortowały pranie. Do Tildy, przesiewającej mąkę na marmurową płytkę, dotarł głos Caitlin.

- ...wakacje spędzałam w Deauville. Cudowne plaże, Liss. Bardzo by ci się podobało.

- Ja nigdzie nie wyjeżdżam - odparła Melissa ponuro.

- Tatuś często zabierał mnie do restauracji na lunch. Kelnerzy głaskali mnie po głowie *R S*

i dawali cukierki.

W ogrodzie rozległ się nagle głośny huk wystrzału. Jagody potoczyły się po stole, Hanna rzuciła się natychmiast, by je pozbiierać. Twarz Ericha przybrała zielonobiałą barwę.

Gdy Tilda położyła mu ręce na ramionach, chłopiec skulił się i zeszywniał.

Wyszła na zewnątrz. Słońce wyglądało jak jasny biały krążek ponad drzewami. Na rękach i spoconym czole miała ślady mąki. Usłyszała odgłos kolejnego strzału i zobaczyła, że Josh trzyma strzelbę, mierząc do blaszanej puszki, która służyła pułkownikowi za cel.

- Odłóż to, Josh. - Widok Josha z bronią w ręku wzbudził w niej gniew i strach.

- Mamo...

- Rób, co każę.

- W szkole uczyli nas strzelać.

- Bez dyskusji. I daj te resztki świniom. Pułkownikowi, lunch podam za pół godziny.

Wróciła do kuchni. Rosi skończyła właśnie nucić „Hymn Koronacyjny” i przeszła do „Księdza Zadoka”. Tilda zerknęła na stół.

- Gdzie Erich?

Hanna podniosła na nią wzrok.

- Poszedł na górę. Bardzo się zdenerwował.

Tilda była pewna, że chłopiec przykucnął w kącie pokoju, który dzielił z Joshem, głowę przycisnął do kolan i nucił tę samą melodyjkę, co wtedy, przed laty, w Ijmuiden.

Pasztet piekł się w piekarniku, Hanna - z książką w jednej ręce - jadła jagody, farby Melissy wały się po parapecie. A głos Caitlin przebijał się przez huk wystrzałów oraz muzykę.

- Nie rozumiem, dlaczego miałybyśmy to robić. Przecież to w końcu ona jest służącą, nie my.

Tilda zastygła z wałkiem w ręku. Popatrzyła na Hannę, ich oczy się spotkały.

- Dokończ ten placek.

Tilda poszła do komórki. Pranie leżało nadal w nieposortowanych stertach w koszu.

Melissa zerknęła na Tildę z poczuciem winy, w ciemnych oczach Caitlin czaiła się wyłącznie wrogość.

- Melisso, posprzątaj przybory malarskie.

- Josh również z nich korzystał.

*R S*

- Josh jest zajęty. Idź, Melisso.

Została więc tylko Caitlin, siedząca na starym wiklinowym fotelu ze zniszczoną plecionką i powykrzywianymi nogami. Celowo unikała wzroku Tildy.

- W naszej rodzinie obowiązuje podział obowiązków - powiedziała łagodnie Tilda.

- Różnimy się nieco pochodzeniem - odparowała dziewczyna. - Naprawdę powinnaś o tym pamiętać.

Mimo wszystko wstała i zaczęła bardzo dokładnie zwijać skarpetki.

Tilda mogła właściwie wyjawiać Caitlin, że Daragh również przyszedł na świat w biednej, wiejskiej rodzinie. Mogła jej przypomnieć, że dom, ziemia, konie i wszystkie inne znamiona uprzywilejowanego życia musiały w końcu pójść pod młotek, a i tak pokryły jego długi jedynie w połowie. Mogła posunąć się do tego, by wyjawiać dziewczynie, że są spokrewnione. Mimo wszystko wiedziała, że nic podobnego nie uczyni. Gdyby tak dumna, a przy tym udręczona istota jak Caitlin odkryła prawdę o wszystkich szaleństwach swego ukochanego ojca, dostałaby zapewne pomieszania zmysłów. Ponadto związek z Paveleyami nie stanowił dla Tildy powodu do dumy, lecz raczej wstydu. Istniała wszakże jeszcze jedna przyczyna, dla której nie chciała podejmować tego rodzaju rozmowy. Wyczuwała bowiem, że obie stąpają po cienkiej linii i obie bardzo się boją - choć jedynie częściowo zdają sobie sprawę z charakteru zagrożenia - tego, co czeka na nie w otchłani.

Gdy wróciła do kuchni, zastała Melissę skuloną przy parapecie.

- Mój obrazek. - Dziewczynka trzymała w rękach dwa porwane kawałki papieru.

Tilda przyklękała na podłodze. Wyjęła z dłoni córki połówkę obrazka i spróbowała je do siebie dopasować. Z rysunku patrzyła na nią cała rodzina. Max, Hanna, Rosi, Erich, Caitlin, Josh i Tilda we własnej osobie. Ona i Max znaleźli się na osobnych skrawkach papieru.

- Możemy to naprawić, kochanie.

- Jest kompletnie zniszczony. - Melissa zasłoniła twarz rękami i zapłakała.

Biegając na górę po klej i taśmę, Tilda powzięła cały szereg decyzji. Musiała namówić Ericha na wizytę u pewnego miłego lekarza z Oxfordu i dopilnować, by Hanna zabrała na camping wyłącznie najgłupsze romanse. Postanowiła również spędzić trochę czasu z Caitlin i pomówić z nią o Daraghu.

No i przede wszystkim napisać do Maksa. Przypomnieć mu, że ma córkę, która go *R S*

kocha, której nie wystarczają listy. Pukając do drzwi Ericha, Tilda myślała, że nawet jeśli ona sama zasłużyła na karę, to Melissa z pewnością nie.

Cecile wyjaśniła Maksowi, że przy *vendange* pomaga cała wioska. Tak więc gdy protesty nie odniosły skutku, Max przykrył dystrybutor, zamienił zatłuszczone drelichy na sztruksy oraz koszulę kupioną przez matkę jeszcze przed wojną i przystąpił do winobrania.

Dzięki pracy niemal zapomniał o korespondencji, jaką otrzymał tego ranka. Gniew przebiegał

z każdego zdania listu Tildy; Max czytał go zresztą z podobnym wzburzeniem. Podczas winobrania - ściśnięty między panienką z poczty i zwalistym facetem, który kupował u niego na stacji benzynę do ciągnika - uświadomił sobie jednak, że oprócz złości doznaje jeszcze poczucia winy. Założył bowiem - chyba nieco zbyt pochopnie - że dzieci ucieszy jego odej-

ście. Tilda jednak uświadomiła mu aż nadto wyraźnie, jak bardzo się pomylił... Od czasu do czasu, kiedy prostował plecy, widział Cecile w szortach i zrobionej na drutach bluzce, z włosami

przewiązanymi czerwoną wstążką. Pod koniec dnia bolały go plecy, na dłoniach miał pęcherze. Długie, fioletowe cienie pomalowały winorośle. Pierwsze krople deszczu spadły na ziemię, gdy chowali zbiory w stodole. Cecile wzięła Maksa pod rękę i zaprowadziła wszystkich do domu babci. W kuchni stały dwa długie stoły. Zapach gotowanej wołowiny uświadomił Maksowi, jak bardzo zgłodniał. Wino było młode, kwaskowate, ale pyszne - pił więc szklankę za szklanką, by zaspokoić pragnienie. Deszcz bębnił o dach, a gdy Max zerknął za siebie przez otwarte drzwi, zobaczył tylko parę unoszącą się nad wciąż gorącymi od słońca kamiennymi płytkami.

Gdy goście zaczęli się rozchodzić, dochodziła północ. Max podziękował babce i pocałował ją w rękę, a następnie poszukał wzrokiem Cecile. Dziewczyna stała w drzwiach, na szczupłych ramionach miała sweter.

- Odprowadzę cię do domu - powiedziała. - Przestało padać, a ja chcę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wędrowali w milczeniu przez spokojną wioskę. Znad ziemi unosił się zapach mokrej trawy. W krzakach śpiewały świerszcze, a z sąsiedniej stodoły wyleciała sowa, łopocząc upiornie białymi skrzydłami. Kiedy dotarli na miejsce, Cecile weszła za nim do środka, do-kładnie tak, jak się spodziewał. Chciał zapalić lampę, ale powstrzymała go pocałunkiem.

Czuł jej pełne, spiczaste piersi na swoim torsie, spijał z warg dziewczyny smak wina. Przytulił mocno Cecile i okrył pocałunkami jej twarz. Ciemność wzmagala pożądanie Maksa, w *R S* mroku koncentrował się wyłącznie na zmysłach.

- Nie sądzisz, że powinniśmy iść do łóżka? - spytała.

Wypuścił ją z objęć rozdarty między strachem i namiętnością.

- Co się stało?

Zapalił lampę naftową.

- Jestem żonaty.

- Domyśliłam się tego.

Przyjrzał się dziewczynie uważniej. Była mniejsza i bardziej pulchna od Tildy, miała okrągłą twarz.

- Chodzi mi o to, że nie wystąpiłem o rozwód ani nic z tych rzeczy.

- Ale mieszkasz tutaj ponad rok, czyli nie jesteś aż tak bardzo żonaty. - Podeszła bli-

żej. - Czy też chcesz mi powiedzieć, że choć żona już cię nie kocha, ty nadal darzysz ją uczuciem?

- Tak... nie, a niech to... Nasze małżeństwo już dawno się skończyło. Ale mam dzieci... więzy.

Próbuję ci po prostu uświadomić, że nie jestem wolny. - Popatrzył na nią ze zło-

ścią. - I w dodatku dzieli nas ogromna różnica wieku. Byłabyś znacznie szczęśliwsza z którymś z tych chłopców, którzy pomagali przy winobranii.

- Ale mnie nie zależy na żadnym z tych chłopców - powiedziała cicho, stając na wprost Maksa. - Pragnę ciebie.

W sypialni ogarnął go strach. Od dawna nie kochał się z kobietą. Wspominał noce z Tildą i te koszmarne chwile, gdy w trakcie pieszczot zamiast nagiego ciała Tildy stawały mu przed oczyma dotknięte nieszczęściem, ubrane w łachmany kobiety z Belsen. Bał się kom-promitacji. A tego by nie przeżył.

Ale Francja go odmieniła; Max zostawił tę nieufną, udręczoną część za sobą i poszedł

dalej. Seks z Cecile i rozładowanie, jakie przyniósł orgazm, pozwoliły mu zasnąć spokojnie po raz pierwszy od lat.

Następnego ranka znów się kochali, potem Cecile poszła do pracy, a Max napisał do Melissy list z zaproszeniem na ferie.

Dwa dni przed wyjazdem do Cambridge Hanna huśtała się na długiej, niskiej gałęzi buka i z miną cierpiętnicy wkuwała tajniki układu limfatycznego. Nagle zobaczyła, jak Erich przemyka się do bramy z dwoma doniczkami w dłoniach. Zeskoczyła z gałęzi i pobieR S

gła za nim.

- Co ty robisz, na miłość boską?

Podskoczył ze strachu, toteż położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- To tylko ja, głuptasie.

- Mam ci... chciałabyś poznać mój sekret, Hanno?

W pierwszej chwili zamierzała odmówić - czekało ją mnóstwo pracy w związku z egzaminami. Ale jeszcze jako dziecko w Holandii wyczuwała kruchość Ericha i bała się go zranić.

- Oczywiście, że tak.

- W takim razie chodź... - Wybiegł szybko na drogę, a Hanna podążyła w jego ślady.

Poprowadził ją przez wioskę, obok domów i sklepów, a zatrzymał się dopiero przed bramą posiadłości położonej nieco na uboczu.

- Tutaj - powiedział. Na bramie wisiała tabliczka „Czerwony Dom”.

- Erichu...

- Wszystko w porządku. Nikt tu nie mieszka. Chodź, Hanno. Jak już będziemy w środku, nikt nas nie zobaczy.

Na sukienkę Hanny polał się deszcz gałęzi drzew. Alejka rozrośniętych krzewów doprowadziła ją na ganek domu.

- Na pewno nikogo nie ma? - Hanna złapała się na tym, że szepcze.

- Tylko duchy - powiedział Erich.

Hanna pomyślała, że Czerwony Dom musi sobie liczyć co najmniej sto lat. Gdy Erich zabrał ją na taras, popatrzyła na ogród szeroko otwartymi oczyma.

- Och, Erichu - szepnęła.

Uśmiechnął się tylko. A czynił to tak rzadko, że Hannie napłynęły łzy do oczu. Dostrzegła, kim mógł być - wysokim, przystojnym brunetem. Większość ludzi widziała w nim jednak głównie przygarbione ramiona, rozbiegane oczy i brak zęba z przodu. Ta sama większość słyszała wyłącznie jego jąkanie i nerwowe brzmienie głosu. Mrugając, Hanna popatrzyła na ogród.

Ścieżki wyłożone starą cegłą tworzyły skomplikowany, poprzepłatany węzeł, nad którym wisało kapryfolium i pnące róże. Ich późne, zroszone deszczem kwiaty błyszcząły jak diamenty. W ogrodzie aż się roiło od małych sadzawek, krzewów i kratek. Po chwastach nie pozostał nawet ślad.

- Och, Erichu - powtórzyła. - To ty wszystko zrobiłeś, prawda?

Przytaknął.

- Tylko nic nikomu nie mów, Hanno. Nawet Tildzie. Nic jej nie pokażę, dopóki nie skończę. To będzie dla niej prawdziwa niespodzianka, nie sądzisz?

W drodze powrotnej pnącza klematisu smagały Hannę po twarzy, a liście dzikiego geranium moczyły stopy. Na środku trawnika wyłożonego ceglami stała marmurowa figurka dziewczyny trzymającej róg obfitości. Flora - przemknęło Hannie przez głowę. - Albo Amaltea.

- Caitlin - dopowiedział Erich, jakby czytał w jej myślach. Dotknął białej, zimnej ręki posążka, a wyraz jego twarzy przyprowadził Hannę o dreszcz.

Na jesieni Melissa zakochała się w Martinie Devereux, nowym uczniu z szóstej klasy sąsiedniej szkoły dla chłopców. Wszystkie dziewczęta robiły zresztą do niego słodkie oczy, a Susan Morgan stała się obiektem powszechnej zawiści, jako że posiadała puszkę po cu-kierkach od kaszlu, gdzie trzymała plaster używany niegdyś przez Martina. Melissa po raz pierwszy dostrzegła go z boiska do

gry w hokeja. Księżca z bajki wskazała jej koleżanka, której miała podać krążek. Potem Melissa wypisała imię chłopca na piórniku najpiękniejszym charakterem pisma, na jaki ją było stać - z wieloma zakrętami przy M, t i n. Dzień należał do udanych, jeśli udało się jej go spotkać, jeśli nie, natychmiast popadała w melan-choię.

## Rozdział 13

Tego rodzaju problemy z perspektywy czasu wydają się oczywiście banalne, ale nadal pamiętam, jak się wtedy czułam. Dostrzegłam, że przy Caitlin jestem nikim, zobaczyłam siebie tak, jak widzieli mnie inni ludzie, a to zawsze niepokojące doświadczenie.

Siedziałyśmy w salonie Melissy Parker w nowoczesnym domu w Surrey. Na kominku i stolikach porozstawiano zdjęcia trzech córek Melissy oraz jej wszystkich wnuków. Pan Parker kosił trawnik w równe pasy, z kuchni dochodziła głośna muzyka - Matty właśnie przygotowywała sobie przekąskę.

Melissa zaproponowała mi ciastko do herbaty. Już sam widok lśniącej polewy i wiśni *R S*

w cukrze przyprawił mnie o mdłości. Odmówiłam.

- Została pani we Francji, z ojcem? - spytałam.

- Teraz, kiedy dochowałam się własnych dzieci, rozumiem, jak to zabolalo moją matkę. Ale wtedy, choć bardzo za nią tęskniłam, nie umiałam znaleźć innego wyjścia.

- Powiedziałaś Tildzie albo Maksowi, co się stało? Potrząsnęła głową.

- Znacznie później. Nie mogłam o tym myśleć. Dziwne, jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie upokorzenia, jakie człowiek musi znosić w życiu - rodzenie dzieci, stratę pracy, zamianę jednego auta na dystrybutor - nic nie jest jednak tak straszne jak niepełne trzynaście lat. - Zerknęła na zegarek. - Obawiam się, że na mnie już czas. Mam spotkanie.

Życie Melissy składało się ze spotkań, zebrań, podwożenia Matty na zajęcia i odwiedzania rodziny. Niebawem wybierała się do najstarszej córki, Annabel, która właśnie urodziła dziecko. Wstałam i podziękowałam jej za to, że poświęciła mi czas, po czym umówi-

łam się na kolejną wizytę za dwa tygodnie.

Pojechałam do domu pociągiem - w fieście trzeba było wymienić sprzęgło, więc trafi-

ła do warsztatu. Zanim poszłam na dworzec, zmusiłam się do tego, co odkładałam przez ca-

ły tydzień i w aptece w Weybridge kupiłam test ciążowy. W drodze powrotnej do Londynu zrozumiałam, dlaczego Melissa zdecydowała się zamieszkać z Makssem. Nic nie rani bardziej niż pierwsza, nieszczęśliwa miłość. A Melissa, podobnie jak Tilda, posiadała ogromną zdolność kochania. I z tego właśnie powodu na pewno boleśnie przeżyła pierwszy zawód miłosny.

Wchodząc do mieszkania, zabrałam korespondencję spod słomianki. Rachunki, wy-ciąg z banku,

kartka od Lucy z wysp Bahama. Do tego ogromna szara koperta: nie poznałam zamasztych czarnych liter, jakie skreśliły mój adres. Otworzyłam kopertę i wyjęłam ze środka kilka odbitek ksero oraz kartkę papieru. Liścik podpisała Caitlin Canavan. Tak jak się umówiliśmy, przesała mi odbitkę raportu prywatnego detektywa zaangażowanego przez Joscelin Canavan do poszukiwań zaginionego męża. Raport pochodził z 30 maja 1947 roku.

Kiedy zaczęłam go czytać, zapomniałam o wszystkim - o Patricku i duchu, jaki mnie nawiedzał, a nawet o teście ciężowym.

Detektyw nazywał się Norman J. Oddie - taki właśnie podpis widniał pod tekstem raportu. Podobnie jak ja, detektyw podejrzewał Maksa. Pan Oddie okazał się niezwykle su-miennym człowiekiem i sprawdził dokładnie jego alibi na tę feralną noc. Po gorzkim rozR S

staniu z Tildą Max wrócił do Ely, a potem złapał pociąg na dworzec Liverpool. Jedna z nauczycielek ze starej szkoły Josha, niejaka panna Parsons, jechała właśnie do siostry do Londynu i widziała Maksa w pociągu. Powiedziała potem panu Oddie, że Franklin był grzecz-ny, ale mało rozmowny. Większość podróży spędził paląc i patrząc w książkę bez przewra-cania stronic. Gdy pociąg dojechał do Londynu, Max zdjął walizkę panny Parsons z półki i otworzył przed nią drzwi, po czym zniknął w tłumie. Gospodyni domu potwierdziła, że Max wrócił do domu o siódmej. Zjadł kolację (pan Oddie dołączył nawet menu) i poszedł do pokoju. Wstał następnego dnia rano na śniadanie.

Pan Oddie wysnuł wniosek identyczny z moim: Max nie mógł zabić Daragha Canavana. Sposób, w jaki zginął Daragh, wykluczał Franklina. Łatwo było sobie wyobrazić, że Max traci równowagę i zabija Daragha zbyt mocnym ciosem. Franklin nie mógłby jednak związać Daraghowi rąk i nóg, po czym pogrzebać go żywcem w kanale. Po tym, co widział

w Niemczech, stał się niezdolny do takiego rozmyślnego, mściwego okrucieństwa.

Czytałam dalej. Pan Oddie zrobił listę długów Daragha: tych zwyczajnych, zaciągnię-

tych w banku, i tych wstydlivych, jakich narobił u podejrzanych typów z barów i pubów, a także bukmacherów. Pomyślałam o gangsterskich porachunkach, ciałach grzebanych w ce-mentowych wiaduktach nad autostradami lub wrzucanych w okowach do mrocznych głębin zbiorników wodnych. Tego rodzaju metody nie różniły się szczególnie od chowania zwłok w wałach kanału. Znów wstąpiła we mnie nadzieja, ale przewróciłam stronę i odkryłam, że pan Oddie wytropił niejakiego Thomasa Kenny w jednym z pubów w Hackney. Kenny był

jednym z dwóch mężczyzn, jacy pobili Daragha w tę fatalną noc po powodzi.

- Dlaczego miałbym go zabijać? - spytał Kenny. - Straciłbym przecież do reszty szansę na odzyskanie gotówki.

Prywatny detektyw potwierdził, że Daragha Canavana nie widziano w Southam dziesiątego lipca wieczorem. Canavan nie przyszedł do pubu, nie spotkał się również z żadnym z robotników. Ponieważ jednak nie znaleziono ciała, Oddie wysnuł wniosek, że osaczony przez wierzycieli Daragh



uciekł z kraju.

Ja jednak uważałam, że Canavan nigdy nie opuścił Southam. No bo gdzieżby mógł się udać w najlepszym ubraniu, lekko podпиты i - dla niepoznaki - obłany wodą kolońską, jeśli nie do swojej kochanki Tildy?

Raport potwierdzał wszystko, co ustaliłam podczas rozmowy z Caitlin. Odłożyłam to *R S*

na razie ad acta i weszłam do łazienki. Cienka niebieska kreska w probówce poinformowała mnie, że oczekuję dziecka Patricka Franklina. Nogi zaczęły mi drżeć tak bardzo, że musia-

łam usiąść na sedesie z głową wtuloną w ramiona. Zalała mnie fala najróżniejszych uczuć, nie byłam w stanie myśleć. Wymuszony spokój legł w gruzach. Jednak mimo iż sytuacja, do jakiej tak niefrasobliwie doprowadziłam, wprawiała mnie w stan absolutnego przerażenia, to

- ku swemu wielkiemu zdziwieniu - potrafiłam w niej również odnaleźć powody do radości.

Moje ciało stworzyło sobie właśnie drugą szansę. Podciągnęłam kolana pod brodę i splotłam ugięte nogi.

Nie jestem pewna, jak długo tam siedziałam. Gdy jednak wyprostowałam zesztywnia-

łe członki, wiedziałam z całą pewnością, że muszę jakoś poprawić stosunki z Patrickiem. W

końcu on był ojcem dziecka. Niezależnie od tego, co zrobiła Tilda, niezależnie od tego, co on ukrywał, przeszłość nie miała prawa skrzywdzić naszego potomka. Zdjęłam ubranie po-dróżne, a potem - przeklinając warsztat za to, że nie naprawił mojego auta - złapałam autobus do Richmond.

Gdy wysiadłam, szare dachy sklepów i domów lśniły na różowo i złoto w promieniach zachodzącego słońca. Co chwila grube czarne chmury pochłaniały jasne promienie i rzucały ciemne plamy na chodnik. Idąc, planowałam, co powiem Patrickowi. Zamierzałam poinformować go o ciąży i wyjaśnić, że grzebanie w nieszczęśliwej przeszłości Tildy wcale nie było moją intencją. Chciałam mu przypomnieć, że moja pierwsza książka miała typowo naukowy, nie sensacyjny charakter i tę zamierzałam napisać w podobny sposób. A na końcu jeszcze dodać, że to sama Tilda nakłaniała mnie do odkrycia prawdy. Właśnie. Prawdy. Nic więcej.

Skręciłam za róg w stronę apartamentów, gdzie mieszkał Patrick. Pod jego domem stał czerwony, sportowy samochód. Drzwi otworzyły się nagle i Franklin pospieszył w kierunku wysokiej ciemnowłosej kobiety wysiadającej z auta. Gdy zobaczyłam, jak ją przytula, obróciłam się na pięcie i uciekłam.

Oczywiście nie zdążyłam na autobus. Zaczęłam iść w stronę domu, zamierzając zła-pać następny przystanek dalej. Nie mogłam tak po prostu czekać, wiedząc, że nieopodal Patrick Franklin całuje swoją piękną żonę. Niemalże czułam w ustach smak zazdrości; gorzki i kwaśny, wywołujący łzy, a nie gniew. Wbiłam paznokcie w dłonie i częściowo biegłam, częściowo szłam przez labirynt ulic między Richmond i Twickenham.

Pociemniało wcześniej, niż sądziłam. Pierwsze krople deszczu spadły na suchą ulicę, rosząc ją ciemnymi kulkami wielkości pensówek. Światło latarni padało na mokry asfalt.

Miałam na sobie tylko krótką sukienkę i lniany zakiet; obie części garderoby były całkowicie nasiąknięte wodą. Mokre włosy kleiły mi się do głowy. Rozejrzałam się dokładnie, ale nigdzie nie dostrzegłam autobusu ani taksówki. Chcąc skrócić sobie drogę, skręciłam w wą-

ską uliczkę. Maszerowałam tak szybko, że zaczęłam dyszeć, ale przynajmniej zapomniałam o gniewie. A potem usłyszałam kroki.

Rzuciłam się do ucieczki. W alejce nie było żywego ducha. W uszach pobrzmiwał

mi szum deszczu i odgłosy ruchu ulicznego. Zrozumiałam, jak idiotycznie postępuję, chodząc samotnie po ciemnych miejskich uliczkach. Przypomniałam sobie o dziecku w swoim łonie - jeszcze maleńkim, zwiniętym w kłębuszek znaku zapytania, któremu należała się lepsza opieka. Ścigające mnie kroki stawały się coraz głośniejsze, szybsze, toteż biegłam jak szalona, ściskając torbę z portfelem i kartami kredytowymi. Co chwila obcasy wpadały mi w dziury w mokrym asfalcie. Zerknęłam przez ramię i przed oczami mignęła mi czyjaś upiornie blada twarz. Mięśnie miałam jak z ołowiu, oddech uwiązał mi w krtani. Odniosłam wrażenie, że wałą się na mnie wysokie budynki - nieznane i groźne. Wszystkie okna były ciemne, a drzwi zamknięte. Skręciłam za róg i przeszłam na drugą stronę ulicy, szukając wzrokiem znaków, jakie mogłyby mi wskazać drogę. Niczego takiego nie dostrzegłam. Zgubiłam się w Londynie, który znałam jak własną kieszeń. W kątach czaiły się czarne cienie, a deszcz rzucał dziwny blask na drogę i domy, spadał w głąb rynsztoków, mieszając się ze starymi niedopałkami papierosów i opakowaniami po gumie do żucia. Skręciłam w następną uliczkę. Już nie słyszałam odgłosu aut, otaczała mnie cisza wypełniona jedynie deszczem i szaleńczym biciem mojego serca. Choć odwróciłam głowę, pewna, że zobaczę twarz w ciemnościach, nic tam nie było. Miałam gęsią skórkę: ta okropna cisza, obcość pustych ulic wydała mi się nienaturalna. Czekałam, niezdolna, by się poruszyć - odnosiłam wrażenie, że za chwilę ruszy w moim kierunku cień Daragha, a jego nierzeczywiste kroki nie pozostawią żadnego śladu na ziemi.

Strach pognął mnie aleją i popchnął w wąskie przejście między dwoma budynkami, które - jak się okazało - prowadziło do głównej drogi. Rozejrzałam się i najpierw miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, a potem poczułam łzy w oczach. Okolica, która wydawała mi się obca - okazała się znajoma, przedtem oglądałam ją tylko pod jakimś nieznanym dotąd R S

kątem. Znajdowałam się w Isleworth - tą drogą chodziłam codziennie do pracy, kiedy jeszcze robiłam programy z Charlesem. W oddali dostrzegłam budynki, gdzie mieściły się biura Lightmana. Zaczęłam biec w tamtym kierunku, potykając się na zatłoczonej jezdni, nie zwracając uwagi na klaksony i pokrzykiwania kierowców. A potem, modląc się o to, by Charles pracował do późna, naciśnęłam dzwonek do Lighthouse Productions.

- Lightman - odpowiedział dziwnie bezosobowy głos Charlesa.

- To ja, Rebecca - wysapałam z trudem. - Mogę wejść?

Odezwał się brzęczyk i otworzyłam drzwi. Spojrzałam za siebie, lecz nikogo nie zobaczyłam. Każdy schodek stanowił ogromny wysiłek dla moich obolałych nóg.

Nie zaglądałam do Charlesa do pracy, odkąd skończyliśmy „Siostry Księżyca”. Ale to, co zobaczyłam, gdy pchnęłam drzwi, wprowadziło mnie w przerażenie. Mój przyjaciel nigdy wprawdzie nie należał do osób dobrze zorganizowanych, ale panujący w pokoju bałagan przekroczył moje najśmielsze oczekiwania. Na podłodze wałały się stosy katalogów, papierów, kaset wideo. Z kosza wysypywały się śmieci, a biurko uginało się od listów i faksów.

Na parapetach stały plastikowe filiżanki i papierki po kanapkach.

- Może drinka? - zaproponował Charles, machając do mnie butelką whisky. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, a włosy, które aż się prosiły o fryzjera, spadały mu na oczy.

Potrząsnęłam głową. Nadal bolały mnie płuca.

- Trochę tu nieporządnie. Zrób sobie miejsce, Rebecca. - Popatrzył na mnie spod oka.

- Nic ci nie dolega?

- Absolutnie nic - odparłam nieprzekonująco, zwalając papiery z krzesła i siadając. -

Pada - mruknęłam. Czuję się trochę głupio. - A ja nie wzięłam parasolki.

- Jesteś chyba trochę *distracte*.

- Odniosłam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. - Nie wspomniałam o duchach, mógłby pomyśleć, że oszalałam. - To takie idiotyczne. Ponosi mnie wyobraźnia. Słyszę jakieś hała-sy... - Roześmiałam się głośno i zmieniłam temat. - A ty, Charlesie? Chyba dużo ostatnio pracujesz?

- Wszystko układa się nieźle. Wpadłem na całą masę nowych pomysłów. Nie spałem kilka nocy, próbowałem poukładać sobie wszystko w głowie. To dziwne, że przez tyle miesięcy cierpisz z powodu braku inwencji, a potem masz jej aż za dużo. - Charles mówił bar-R S

dzo szybko i chodził niespokojnie od biurka do krzesła, od krzesła do okna. Przypominał

jakąś mechaniczną zabawkę spacerującą bezmyślnie tam i z powrotem. Gdy zaczął mi opowiadać o planowanych programach, zaczęłam podejrzewać, że za dużo wypił albo zażył am-fetaminę. Nie dałam jednak niczego po sobie poznać, a przed oczami mignęli mi Patrick i Jennifer, spleceni w uścisku. Zapragnęłam nagle wykrzyzczyć z siebie cały smutek. Patrick i Jennifer nadal się kochali, to było dla mnie oczywiste. Ja nic dla niego nie znaczyłam, gorzej - stanowiłam zagrożenie. Miałam urodzić jego dziecko.

- Co ty, na miłość boską, robisz w tych stronach? Głos Charlesa wdarł się w moje my-

śli, zaskoczył.

- Wstąpiłam do Patricka, ale nie zastałam go w domu - skłamałam.

Odwrócony do mnie plecami, podnosił z podłogi stos papierów.

- Zamierzałem do ciebie zadzwonić, podyskutować o swoim nowym pomysle. Ale jeżeli nadal zadajesz się z Patrickiem...

- Nie - odparłam ponuro. - Wydawało mi się przez chwilę, że będzie inaczej, ale...

Popatrzył na mnie z dziwnym błyskiem w zielonych oczach.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- W takim razie... Ostatnio, jak się widzieliśmy, twierdziłaś, że Tilda Franklin może mieć coś wspólnego ze śmiercią kochanka.

Przytaknęłam niespokojnie.

- Rzeczywiście, Charlesie.

- Słuchaj. Serial, o którym ci właśnie mówiłem...

Spojrzałam na niego tępo. Nie słuchałam.

- „Mroczne tajemnice” - przypomniał niecierpliwie. - Zamierzałem pokazać, że Christopher Marlowe nie był wcale takim elżbietańskim Jamesem Bondem, za jakiego go uwa-

żamy, a Florence Nightingale założyła za skórę wielu porządnym ludziom. Innymi słowy, program odbiłby znane postacie z historii.

- Kościotrup w szafie. - Pomyślałam o Daraghu.

- Właśnie. - Charles uśmiechnął się szeroko, po czym zaczął nieporządnie wpychać papiery do i tak już przepełnionych szuflad. - Chciałbym bardzo zrobić jeden program o kimś współczesnym.

*R S*

Nie mogłam na niego patrzeć. Papiery spadały na podłogę niczym płatki śniegu. Wyjęłam je Charlesowi z ręki.

- Pozwól, że ci pomogę. - Nagle zrozumiałam, co on mi właściwie sugeruje. - Chyba nie zamierzasz narażać Tildy, prawda?

- Audycja mogłaby się zbiec z wydaniem twojej książki. Cóż to byłoby dla ciebie za reklama! Wyobraź sobie te nakłady! Niesamowite. Oczywiście pod warunkiem, że nie zmieniłaś zdania i nadal

uważasz, że Tilda Franklin nie jest wcale takim aniołkiem, jak się wszystkim wydaje.

Potrząsnęłam stanowczo głową.

- Nie, Charlesie. Stanowczo odmawiam.

Zbierając pogniecione notatki, zrozumiałam, że to pomysły na programy. Na niektó-

rych widniały tylko pojedyncze słowa; „Szaleństwo”, „Zazdrość”. Na innych były długie zdania bez znaków przestankowych i wielkich liter. Moja troska o Charlesa rosła z minuty na minutę.

- Mówiłam ci, żebyś dał sobie spokój.

- Dobrze się nam razem pracuje, prawda, Becco? - Popatrzył na mnie z ukosa. - A może boisz się konsekwencji?

Uśmiechał się dziwnie. Zatrzasnęłam z hukiem szufladę.

- O co ci chodzi, na miłość boską?

- No cóż... - Nalał sobie whisky. - Patrick Franklin może wiele stracić. Jak daleko by się posunął, by ratować reputację?

- Chodzi ci o ewentualny proces o zniesławienie?

- Zniesławić można tylko żywych.

Podniosłam na niego wzrok. Tilda miała osiemdziesiąt jeden lat, a teraz, po ataku serca, nadal leżała w szpitalu. Charlesowi zapewne chodziło o to, że bohaterka programu może umrzeć przed jego emisją.

- Byłem ciekaw, czy... - jednym machnięciem ręki zrzucił papiery ze stołu - czy nie czujesz się fizycznie zagrożona. To znaczy chodzi mi o... kroki... hałasy w nocy...

- Ty myślisz, że Patrick... Nie żartuj - powiedziałam, ale insynuacje zrobiły swoje.

Kiedy wreszcie dotarłam do domu, zastałam na automatycznej sekretarce wiadomość.

Nagrany na taśmę głos Patricka wypełnił cały pokój. Wyłączyłam taśmę i skasowałam za-R S

pis. Złość i adrenalina znów pulsowały mi w żyłach - widziałam wszystko z gorzką jasno-

ścią. Mogłam przerwać pisanie, jakimś cudem spłacić zaliczkę i poszukać sobie innej pracy.

Skutki recesji nadal się jednak utrzymywały - groziło mi wielomiesięczne bezrobocie, a ani mojej siostry, ani ojca nie było stać na pożyczki. Kto zresztą zatrudniłby ciężarną bezrobotną autorkę biografii? Jeślibym natomiast zrezygnowała z honorarium, musiałabym również zrezygnować z

dziecka. A wszystko się we mnie burzyło przeciwko takiej decyzji.

Mogłam również przyjąć propozycję Charlesa i pracować dla niego. Zarobiłabym więcej pieniędzy, a książka o Tildzie zyskałaby znacznie większe szanse na sukces. Zatrzymałabym dziecko, przeniósłabym się do większego mieszkania, znalazła pracę, rozpoczęła uczciwe życie. Ale postępując w ten sposób, zdradziłabym zarówno Tildę, jak i Patricka.

Oni jednak - niezależnie od tego, co zrobili, w jak wielkim tkwili kłamstwie - byli przecież spokrewnieni z moim dzieckiem. A historia Tildy nauczyła mnie, że tego rodzaju więzy po-kutują. Zatem dziecko - jeszcze przed urodzeniem - uczestniczyłoby poniekąd w spisku.

Gdybym przyjęła propozycję Lightmana, wszystkie najboleśniej oskarżenia Patricka tylko by się potwierdziły.

Choć moje uczucia do Patricka stały się bliższe nienawiści niż miłości, zrozumiałam, co powinnam zrobić. Daragha Canavana zamordowano w piękny wiosenny dzień - związa-no mu ręce i nogi, po czym zagrzebano żywcem w niedokończonym kanale. Zbrodni nie wykryto przez czterdzieści osiem lat. Czułam, że muszę znaleźć sprawcę, odplątać motki historii i odkryć prawdę, bo mój los - podobnie jak los dziecka - zaplątał się dziwnie w tajemnice przeszłości.

Kilka tygodni temu przystąpiłam do sporządzania listy potencjalnych zabójców Daragha. Wykreśliłam już z niej imię Maksa, a teraz poważnie wątpiłam, czy wierzycielom Canavana rzeczywiście by się opłacało go mordować. Zerknęłam na kolejne nazwisko na li-

ście. Jossy miała wszelkie powody ku temu, by zabić męża. Gdy o niej myślałam, mignęła mi iskierka nadziei. Pan Oddie oczywiście nie czuł się upoważniony do tego, by sprawdzać również jej alibi. Tilda oceniła Daragha jako niszczyciela; czyżby Jossy również się na nim poznała? Czyżby dostrzegła beznadziejność swojej miłości i unicestwiła jej obiekt?

Choć bardzo mi na tym zależało, nie potrafiłam uwierzyć w jej winę. Cztery miesiące po zaginięciu Daragha Jossy zmarła wskutek poronienia. Nie mogłaby chyba zabić ojca swego drugiego dziecka. Zarówno Tilda, jak i Caitlin opisywały mi prowadzone przez nią *R S*

poszukiwania. Nic, co wiedziałam na temat tej kobiety, nie wskazywało na to, by była zdolna do takiej mistyfikacji. Poza tym kochała Daragha: nawet pomnik, jaki mu postawiła, świadczył o miłości. Zdecydowanie należało ją wykluczyć.

Kolejne nazwisko na mojej liście należało do Tildy. Tildzie Franklin nie brakło ani motywów, ani okazji, by zamordować Daragha. A także powodów, by go nienawidzić. Daragh zniszczył jej małżeństwo i dwukrotnie ją zdradził. Mnie również dwukrotnie oszukano, dlatego rozumiałam gorycz i żal, jaki ona musiała odczuwać. Czy dysponowałaby zatem odpowiednią siłą fizyczną, by tego dokonać? Większość swego życia ciężko pracowała na polu, potem, w czasie wojny, uprawiając warzywa i owoce niezbędne do wyżywienia rodziny, a jeszcze później w gospodarstwie Renshawa. Tilda nie kupowała kurczaków u Salisbury'ego, własnoręcznie dusiła i oprawiała drób. Strzelała do gołębi w ogrodzie pułkownika, podrzynała gardła świniom hodowanym na bekon. Nawet teraz jej proste plecy świadczyły o dawnej krzepie. W porównaniu z Tildą czułam się słaba, rozpieszczona,

zbyt zależna od po-dejrzanej maszynierii dwudziestego wieku.

Przy Tildzie Daragh nie trzymałby się przecież na baczości. Gdyby wystrojony w najlepsze ubranie zamierzał do niej pójść, próbowałby ją również uwieść. Byłby zresztą dość pewny siebie - skoro udało mu się raz, dlaczego nie ponownie? Nawet jeśli wszystko wokół niego zaczęło się walić, Daragh mógł przynajmniej uwierzyć w swoje męstwo seksu-alne. Wyobraziłam go sobie, jak leży na trawie z zamkniętymi oczyma i czeka na pocałunki.

Wyobraziłam sobie, że Tilda mu się przygląda, wiedząc, jak wielką krzywdę jej wyrządził, i rozumiejąc jednocześnie, że on sam zupełnie sobie nie zdaje z niczego sprawy. Wyobrazi-

łam sobie, jak bardzo musiała go nienawidzić. Jak uderzyła go kamieniem lub łopatą porzuconą przez robotników, którzy przebudowywali kanał. Jeśli rąbnęła go wystarczająco mocno, mogła potem go związać jak kurę przeznaczoną na rosół i zagrzebać pod gliną. Wyobraziłam sobie, jak ciągnie ciało w stronę wykopów, podobnie jak ciągnęła ciało niemieckiego żołnierza po trawiastym polderze.

Najchętniej zamieniłabym oczywiście parę słów z osobą, która była całkowicie nie-osięgalna. Dałabym wiele za to, żeby wypytać o wszystko Daragha Canavana, tego niszczyciela marzeń, niszczyciela nadziei. Znowu zerknęłam na fotografię i wypowiedziałam jego imię. Ale on roześmiał się tylko - tajemniczo i niedbale - intrygujący nawet po śmierci.

*Pragnę porozmawiać z duchem dawnego kochanka, Który umarł, zanim narodził się R S*

*bóg miłości...*

## **Rozdział 14**

Co to jest „stosunek”? - spytała. Musiała to wiedzieć.

Popatrzył na nią zaszokowany. Martin Devereux, który pragnął czerpać z życia pełnymi garściami, był naprawdę mocno zdziwiony.

- Cholera, Caitlin - mruknął. - Co za pytanie!

- Nie wiesz?

- Oczywiście, że wiem.

- W takim razie powiedz.

Przymrużył oczy. Widziała tylko błysk niebieskiej tęczy.

- Wolałbym ci pokazać.

- Dobrze. - Wzruszyła ramionami i rozejrzała się. - Gdzie?

- Nie tutaj - odparł, czerwieniejąc. Siedzieli w pubie. - Nie mam forsy na pokój. Musi nam wystarczyć auto.

Jechał przed siebie, dopóki nie dotarli na skraj lasu, a potem zaparkował między drzewami. Na drodze, jak kawałki spalonego papieru, leżały zeschnięte, rdzawe liście, targane przez wiatr. Padało: ciemne, napęczniałe krople ześlizgiwały się po nagich gałęziach drzew i *R S*

uderzały o przednią szybę auta. Martin zaciągnął ręczny hamulec.

- Chodźmy lepiej na tył.

Na tylnym siedzeniu samochodu Martina Caitlin odpięła bluzkę, a Martin wziął jej sutkę do ust, ucałował piersi i zaczął je ugniatać. Caitlin poczuła się tym lekko znudzona -

na poprzednich randkach chłopcy robili to samo. Ale potem Martin wsunął jej rękę pod spódnicę i zaczął gmerać przy majteczkach dziewczyny. Odsunęła go gwałtownie. Oddychał

głośno i szybko, jego oczy miały skupiony, zdecydowanie niepokojący wyraz.

- Myślałem, że chcesz, żebym ci pokazał - wysapał, a ona musiała zapomnieć o zażenowaniu i strachu. Kazała mu kontynuować. Wtłoczona na tylne siedzenie auta czuła się głupio i bezbrinnie bez majtek. Kiedy Martin ściągnął spodnie i kalesony, zobaczyła tę okropną rzecz i krzyknęła, ale on jej nie słyszał.

Cieszyła się, że to nie trwa długo. Wepchnął jej to między nogi, zanim zrozumiała, co robi. Bolało, zaczęła więc na niego krzyczeć, a potem Martin zadrżał, jęknął, osunął się na jej piersi i leżał przez chwilę zupełnie nieruchomo. Przez jeden krótki moment sądziła, że umarł. Wyobraziła sobie, że zostanie tam na zawsze, z Martinem w środku - oboje zagrzebani pod opadającymi liśćmi. Deszcz wciąż uderzał o szyby.

- Boże, było wspaniale - mruknął w końcu Martin.

Caitlin wstała, zepchnęła go z siebie i wciągnęła majtki. Między nogami poczuła nieprzyjemną wilgoć, która ją przeraziła. To właśnie zrobili Tilda i mój ojciec - pomyślała, a potem natychmiast odepchnęła tę myśl i przeczołgała się na przednie siedzenie. Postanowi-

ła, że już nie wyjdzie z Martinem. W polowaniu najbardziej podobał jej się pościg, nie zabijanie.

Tilda często myślała, że czuje się tak, jakby stała na molo, a ktoś usunął słupy. Machała nieporadnie rękami we wzburzonej wodzie, nie mogąc znaleźć punktu oparcia. Zasłu-

żyła na to, by stracić Maksa, ale zupełnie nie rozumiała, dlaczego Melissa chce od niej odejść.

Nadal opiekowała się dziećmi i pułkownikiem, rzadko jednak znajdowała czas na wykłady w Oxfordzie. Nie zwracała uwagi na przyjacielskie gesty, nie przyjmowała zaproszeń od najstarszych znajomych: Anny, profesora Hastingsa i Emily van de Criendt. Ojciec się do niej nie przyznawał, Max odszedł, lecz najboleśniej przeżyła utratę córki. Pozostałym podopiecznym usiłowała nie



okazywać rozpacz, wiedząc, że nie powinna ich obarczać swoim *R S*

cierpieniem.

Hanna i Rosi przygotowywały właśnie kartki świąteczne, a Josh i Erich zbierali ga-

łązki w zagajniku, żeby mieć czym napalić w piecu. Tilda zerknęła na zegarek. Caitlin była u przyjaciółki. Obiecała, że wróci o szóstej, a dochodziła siódma. Niepokój narastał. O wpół

do ósmej Tilda włożyła płaszcz i ruszyła na przystanek. Zimny deszcz smagał jej twarz.

Wyłaniając się z ciemności, autobus zwolnił, rozpryskując oponami kałuże. Gdy się zatrzymał, wysiadły z niego trzy kobiety i chłopiec.

Tilda weszła do budki telefonicznej na rogu i poprosiła panienkę z centrali, żeby ją połączyła z panią James, matką przyjaciółki Caitlin.

- Mówi Franklin - powiedziała Tilda. - Jestem opiekunką Caitlin. Ona nie wróciła jeszcze do domu. Może została u państwa na herbacie?

Zapadła cisza.

- Caitlin tutaj nie ma - odezwała się w końcu pani James. - A Sylvia wyjechała na bi-wak.

Tilda wymamrotała coś o pomyłce i odłożyła słuchawkę. Latarnie oświetliły drogę żółtawym światłem, drzewa i niebo przybrały intensywnie czarną barwę. Caitlin twierdziła, że ostatnie trzy weekendy spędziła u Sylvii.

- Może powinnam zadzwonić na policję - wymamrotała już w domu, intuicyjnie prze-czuwając katastrofę.

- Na pewno poszła do kina i zapomniała ci powiedzieć. Przecież wiesz, jaka ona jest.

- Ale przecież dochodzi... - zaczęła Tilda i dostrzegła jakiś ruch w krzakach rosnących po obu stronach ścieżki. Sapiąc gniewnie, podbiegła do tylnego wejścia.

- Kate. Gdzie byłaś?

- Autobus się spóźnił.

- Nie przyjechałaś autobusem, dość długo tkwiłam na przystanku. Do Jamesów też nie poszłaś. Telefonowałam tam.

- Aha - mruknęła Caitlin i wzruszyła ramionami.

Tilda zauważyła, że dziewczyna zrobiła makijaż i włożyła nylony. Pończochy były podarte, bluzka krzywo pozapinana.

- Spotkałaś się z chłopcem?

Caitlin potrząsnęła głową. W jej oczach czaił się dziwny, martwy wyraz, znacznie *R S*

bardziej niepokojący niż dziury w pończochach i rozmazana szminka. Piętnaście lat - pomy-

ślała Tilda. Ona sama dopiero co skończyła siedemnaście, kiedy poznała Daragha. Przypomniała sobie niezwykle intensywną słodycz i ból pierwszej miłości, jej nieuchronność.

- Za wcześnie jeszcze na randki - powiedziała, siląc się na łagodny ton. - Wiem, że jesteś dojrzała jak na swój wiek, ale masz zaledwie piętnaście lat.

Caitlin stała na dywanie, z płaszczu skapywała jej woda. Dziecko Daragha - pomyśla-

ła Tilda. Widziała go teraz, w tej urażonej minie dziewczyny.

- Jeśli kogoś lubisz, dlaczego nie przyprowadzisz go do domu na herbatę? Tak aby-

śmy wszyscy mogli go poznać.

- Co? - powiedziała w końcu Caitlin. - Tutaj? Żeby Erich zaproponował mu miszkę ka-ka-kapusty? - przedrzeźniała. - Żeby odkrył, że moja opiekunka jest służącą? Miejsce pustki w jej oczach zajął gniew i pogarda. - Zresztą ja się nie spotykam z żadnym chłopcem. Już nie.

Obróciwszy się na pięcie, wyszła z pokoju. Tilda popatrzyła na siebie. Sukienkę okrywał brudny fartuch, ręce miała szorstkie i czerwone, paznokcie czarne od brudu. Serce biło jej tak mocno, że aż dostała mdłości. Usiadła na ostatnim schodku, kryjąc twarz w dłoniach.

- Spaliłeś mięso - powiedziała Melissa.

Chciał powiedzieć, że to stek i że przez tę wojnę i racjonowanie żywności córka już pewnie nie pamięta, jak wygląda dobrze przyrządzona wołowina... Zamiast tego zabrał talerz Melissy i zastąpił go swoim.

- W takim razie zjedz moją porcję. Popatrzyła na mięso i westchnęła jak męczennica.

- Przecież wiesz, że nie lubię cebuli, tato.

Niestety nie wiedział. Zapomniał albo po prostu nigdy nie zauważył, że jego córka nie lubi cebuli, kapusty ani kozuchów. Zapomniał, że nie czyści butów, jeśli się jej o tym nie przypomni, a w łazience spędza całe godziny. Odkąd z nim zamieszkała, nie mógł się rano ogolić i wychodził do klientów z całonocnym zarostem. Zapomniał, że Melissa będzie jeź-

dzić samotnie na rowerze, ale za to wieczorem nie pozwoli zgasić lampy. Jej niekonsekwencja wprawiała go w zakłopotanie.

Dopił wino.

- Rozmawiałem dziś z nauczycielką. Mówi, że możesz zacząć po świętach.

*R S*

Melissa przyjrzała mu się uważnie.

- Na razie tylko rano - dodał zachęcająco. - Dopóki się nie przyzwyczaisz.

- Tatusiu... - Oczy córki wyraźnie zwilgotniały.

- Musisz iść do szkoły, kochanie. Takie jest prawo. Na razie będą patrzeć przez palce na twój francuski.

Po nosie Melissy potoczyły się łzy. Dziewczyna rzuciła z brzękiem na talerz nóż i widelec, odepchnęła krzesło od stołu i wybiegła z kuchni. Max usłyszał trzask drzwi od sypialni, a potem głośny szloch. Westchnął i odsunął od siebie talerz. Apetyt całkowicie mu minął.

Zgarnął resztki jedzenia, stanął w kuchennych drzwiach i zapalił papierosa. Przypomniawszy sobie, jak zadzwonił o umówionej wcześniej godzinie do budki telefonicznej w Oxfordshire. Głos Tildy - przeniesiony przez setki mil - wcale nie wzbudził w nim takiego gniewu, jakiego się spodziewał. Gdzieś ponad trzaskami i szumem dosłyszał jej urazę i przerażenie, a potem, gdy odłożył już słuchawkę, spróbował ponownie przekonać Melissę, by wróciła do Anglii.

- Nie chcesz mnie, tatusiu? - spytała, wyginając usta w podkówkę.

Przytulił ją mocno.

- Oczywiście, że chcę, kochanie. Przecież wiesz.

Za oknem mróz kreślił esy-floresy na żdźbłach trawy. Max pomyślał, że Melissa wśli-znęła się ponownie w jego świat i zmusiła, by przeanalizował otaczającą go rzeczywistość.

Nic się jej nie podobało. Dom (blaszana wanna, tato!), jego praca (wyglądałeś lepiej w garniturze!) i oczywiście jedzenie (znowu chleb z serem!). Popatrzył na życie oczami córki i stwierdził, że jest spartańskie, raczej ponure, a nawet (i ta myśl go przerażała) zagrożone żalosną zmurszałością stanu kawalerskiego.

Nie przedstawił jeszcze córki Cecile. Przez pierwszy tydzień wakacji Melissy Francuzka taktownie trzymała się z daleka, a gdy dziewczynka podjęła nagle decyzję o pozostaniu u ojca, Max napisał do niej krótki liścik, w którym wyjaśniał sytuację. Czuł, że świadomie unika tematu. Ograniczał swoje życie towarzyskie z powodu dwunastoletniej dziewczynki, co wydawało mu się absurdalne. Zdecydował, że zaprosi Cecile na kolację.

Rozdeptał niedopałek obcasem i wrócił do domu. Nadal słyszał szloch. Przez jedną krótką chwilę wspominał z rozrzewnieniem dawne, bezproblemowe dni, gdy Melissa była *R S*

jeszcze mała, a następnie - modląc się o nadludzki takt i cierpliwość - zapukał do jej drzwi.

Bardzo się starał przygotować smaczny posiłek. Na targowisku kupił kaczkę od starej, chudej kobiety i dokładnie zanotował przepis, jaki mu podała. W *pâtisserie* kupił *tarte aux prunes* i odkrył, że we Francji nie sprzedają kremu budyniowego w proszku. Napełnił koszyk polanami i rozpałił ogień w salonie, po czym w sklepie w Saintes nabył serwis oraz świece na stół.

Cecile, elegancka w czarnej sukni, przyszła punktualnie o ósmej. Max rozejrzał się za Melissą.

- Nadal jest w łazience. Uczesanie włosów zajmuje jej już co najmniej godzinę.

Cecile uśmiechnęła się tylko.

- Może kieliszek wina?

- Z przyjemnością, *chéri*.

Dopijała wino, kiedy w pokoju zjawiała się córka Maksa. Miała na sobie najstarsze ubranie: sweter, który wymagał cerowania i spódniczkę odsłaniającą kościste kolana. Max wolał tego nie komentować.

- Melisso, poznaj Cecile, mówiłem ci już kiedyś, że się przyjaźnimy. Cecile, przedstawiam ci moją córkę, Melissę.

Melissa wbiła wzrok w podłogę i wymamrotała słowa powitania. Max poczuł przypływ irytacji, ale zdecydował się podać kaczkę.

Jeszcze zanim zjedli pierwsze danie, wiedział, że ten wieczór to jedno wielkie nieporozumienie. Zarówno Cecile, jak i on próbowali skłonić Melissę do rozmowy, ale dziewczyna odpowiadała im wyłącznie monosylabami. Wygięła usta w podkówkę, a zbyt długa grzywka opadła jej na oczy. Nie krytykowała kuchni ojca wyłącznie dlatego, że ani na chwilę nie zmieniła ponurego wyrazu twarzy i nie wyraziła najmniejszej ochoty na rozpoczęcie konwersacji.

Po kolacji poszła spać, a Max nalał sobie i Cecile po kieliszku koniaku.

- Przepraszam.

- Za co, *chéri*?

- Za córkę. Zachowała się naprawdę okropnie.

- Melissa ma dopiero trzynaście lat, Maksie.

Usiadł obok Cecile i objął ją.

*R S*

- Czy to usprawiedliwienie?

- Ona traktuje mnie jak wroga. I rywalkę.

- Tłumaczyłem jej, że jesteś moją przyjaciółką. I nikim więcej.

Cecile odwróciła głowę i wzięła szklankę do ręki.

- Tak czy inaczej, Maksie, Melissa kocha ciebie i matkę, rzecz jasna. Każdą kobietę będzie traktować jak intruza.

- Nic mi się nie udaje - wyznał z żalem. - Melissa wszystkiego się czepia. Pewnie zaraz powie, że jedzie do domu.

- Tego właśnie byś sobie życzył? Milczał chwilę.

- Oczywiście, że nie. Doprowadza mnie do szaleństwa, ale... - Aż dotąd nie zdawał

sobie sprawy z tego, że córka darzy go tak głębokim uczuciem. Poczul się wzruszony i za-szczycony tym, że to właśnie jego wybrała.

Cecile dotknęła jego ręki.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- O czym?

- Maksie... - Gdy tak na niego patrzyła, odnosił wrażenie, że to ona jest o piętnaście lat starsza, a nie odwrotnie. - Melissa bardzo cię kocha, bo w przeciwnym razie wcale by tu nie przyjechała. Poza tym kocha swoją matkę i dlatego zachowuje się w taki, a nie inny sposób. Najprostszym rozwiązaniem tego problemu byłby twój powrót do żony.

Max potrząsnął głową.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Tilda mnie zdradziła. - Z trudem zmusił się do wypowiedzenia tych okropnych słów.

- Podczas wojny?

- Później. Chociaż kochała się w tym facecie od dawna. Cecile milczała chwilę.

- I nadal z nim sypia? - spytała.

- Nie. - Max wstał i dorzucił kolejne polano do ognia. - Oni tylko raz... A potem ten mężczyzna odszedł. Zostawił żonę, dziecko i zniknął...

Jakie to dla niego typowe - myślał Max - że opuścił ciężarną, umierającą żonę, i jakie to typowe dla

Tildy, że przyjęła jego córkę do siebie. A potem nagle wyjechała z Southam i została służącą kompletnie obcego człowieka. Informacje o zajęciu Tildy i tym dziwnym *R S*

gospodarstwie, jakie opisała mu Melissa, napawały Maksa niepokojem. Tilda pracowała chyba ponad siły. Wmawiał sobie, że jego eks-żona - jak zwykle - robi, co chce, ale i tak poczuł dziwny przypływ winy.

- Raz? - powtórzyła Cecile.

- Raz, dwa czy pięćdziesiąt... co za różnica? Zdrada pozostaje zdradą.

W jej spojrzeniu kryło się nie tylko współczucie. Decydując się na wyjawienie kochance bolesnego sekretu, miał nadzieję, że zrozumie.

- Wierność w małżeństwie to podstawa - stwierdził takim tonem, jakby chciał się przed nią usprawiedliwić. - Moja matka uwodziła kolegów ojca. Widziałem, jak on cierpiał.

- A więc odszedłeś od żony - powiedziała wolno Cecile - bo odkryłeś, że jest podobna do twojej matki.

Zaczerwienił się. To przecież było absurdalne.

- Oczywiście, że nie. Tilda w najmniejszym stopniu nie przypomina mojej matki. Po prostu... niech to cholera... miałem prawo oczekiwać wierności, prawda?

- Z pewnością - odparła łagodnie.

Wziął butelkę i ponownie napełnił kieliszki. Najchętniej piłby na umór, aż do chwili, gdy przestałyby go prześladować niewygodne myśli. Do czasu, gdy potrafiłby spojrzeć za siebie i podważyć słuszność swego postępowania, które do tej pory wydawało mu się oczywiste.

Cecile pochyliła się i pocałowała go czule.

- Chyba nie zostanę na noc. Musielibyśmy zachowywać się bardzo cicho i czułabym się jak niegrzeczna dorosła.

Patrzył, jak Cecile zjeżdża na rowerze w dół wzgórza, a potem wrócił do domu. Niechętnie, z nadzieją, że córka śpi, wszedł na górę i zapukał.

Szept.

- Tatusi?

Pchnął drzwi. W świetle nocnej lampki dojrzał, że Melissa płacze. Jęknął w duchu, ale zmusił się do surowości.

- Cecile to moja przyjaciółka, kochanie. Poza tym była naszym gościem. Musisz napisać do niej liścik

z przeprosinami.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu nie protestowała. Patrzyła tylko na niego ogromnymi R S ciemnymi oczyma, siedząc z kolanami podciągniętymi pod brodę, okutana w pościel.

- Chcesz, żebym wróciła do domu, tatusiu?

- Oczywiście, że nie. Co ci przyszło do głowy?

- Jak jeszcze mieszkaliśmy razem... u cioci Sarah... nie lubiłeś z nami przebywać.

Max usiadł na brzegu łóżka. Serce waliło mu jak młotem. Chciał powiedzieć, że to nieprawda, ale zamiast tego objął córkę ramieniem i usiadł w półmroku, wbijając wzrok w przeciwległą ścianę. A więc Melissa sądziła, że ojciec unikał domu, bo jej nie kochał. To odkrycie wzbudziło w nim przerażenie. Córka miała jednak prawo tak myśleć. Większość dzieciństwa Melissy spędził z dala od niej, jakby świadomie dokonał takiego wyboru.

Wyobraził sobie, że próbuje jej coś tłumaczyć. Najpierw musiałem wyjechać do pracy, potem dlatego, że była wojna, a jeszcze później po prostu trochę się zdenerwowałem.

Sięgnąwszy myślą wstecz, zdał sobie bowiem sprawę z tego, że rozpacz i wyczerpanie odebrały mu rozum. Teraz jednak zrobiło się za późno na wyjaśnienia. Dzieci rozumiały czyny, nie słowa. Część irytujących zachowań Melissy wynikała z tego, że dziewczyna chciała go sprowokować, przekonać się, jak bardzo ją kocha.

Zapadł mrok. I choć Melissa zasnęła, Max nadal siedział na łóżku. Przyszło mu do głowy, że Tilda też mogła interpretować jego izolowanie się od rodziny jako brak miłości.

On sam popchnął żonę w ramiona Daragha. Bardzo pragnął odrzucić od siebie tę myśl, ale nie dał rady.

Tilda zrobiła Caitlin szczegółowy wykład na temat ptaszków i pszczołek, po którym dziewczyna martwiła się ustawicznie przez trzy tygodnie, czy będzie miała dziecko, czy nie.

Spędzała przy tym masę czasu w kościele i wypowiadała się pobieżnie ojcu Byrne. W końcu, gdy okazało się, że nie jest w ciąży, doznała ogromnej ulgi.

Znów zaczęła intensywnie szukać Daragha. Godzinami oglądała mapę Irlandii i pró-

bowiała sobie przypomnieć nazwę rodzinnej wioski ojca. Czasem w snach przychodził do niej i wypowiadał tę nazwę, ale gdy dziewczyna budziła się z płaczem, już niczego nie pamiętała. Ojciec mówił jej kiedyś, że jako mały chłopiec często zbierał ostrygi na piasku, mieszkał więc zapewne niedaleko od morza. Wspominał też o pagórkach i jeziorach. Z drugiej strony cała Irlandia leżała nad morzem, wśród pagórków i jezior. Pan Oddie, prywatny detektyw, pojechał do Irlandii, ale nie udało mu się znaleźć Canavanów. Caitlin postanowiła spisać się lepiej niż on.

Domyśliwszy się trafnie, że w większości irlandzkich wiosek mieszka ksiądz, Caitlin zaczęła pisać listy. Koperty adresowała do parafii, a od niektórych duchownych otrzymała odpowiedź. Sytuację utrudniał fakt, że Canavan okazało się bardzo popularnym nazwiskiem, a dziewczyna nie знаła żadnych szczegółów na temat swojej rodziny. Wiedziała tylko, że ochrzczono ją imieniem Caitlin na cześć ciotki, ukochanej siostry ojca.

Przez większość czasu odczuwała głównie nudę. Nudziła się w szkole, w hierarchii towarzyskiej spadała coraz niżej, aż w końcu osiągnęła dno. W Poonie też się nudziła. Cieszyła się natomiast z tego, że wreszcie ma dla siebie sypialnię, choć czasem - kiedy już zupełnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić - zdarzało się jej tęsknić za Melissą. Często chodziła do kina, a luksusowe, spokojne życie prezentowane w amerykańskich filmach budziło w niej zazdrość. Zaczęła opuszczać nabożeństwa, choć od dziecka regularnie chodziła do ko-

ścioła. Skoro Pan Bóg nie zwrócił jej ojca, którego pragnęła najbardziej na świecie, jaki był z Niego pożytek?

Sobotnie poranki spędzała w stajni, czyszcząc boksy w zamian za przejażdżkę. Zawdzięczała tę rozrywkę Tildzie, która po epizodzie z Martinem postanowiła zorganizować dziewczynie czas. Caitlin - mimo iż nie chciała się cieszyć z niczego, co otrzymała od Tildy

- nie potrafiła się oprzeć takiej pokusie. Gdy galopowała na koniu po łące, szybki strumień powietrza koił ból, poczucie straty i odganiał nudę.

Raz w oknie wiejskiego sklepu zobaczyła ogłoszenie: „Amatorskie Kółko Drama-tyczne z St Martin organizuje rewię. Spotkanie wstępne dla wszystkich zainteresowanych w świetlicy wiejskiej we wtorek, piętnastego lutego o siódmej trzydzieści”. Notatkę podpisał

niejaki Julian Pascoe.

W świetlicy było lodowato zimno, a wszystkie ubikacje przeciekały. Gdy nadeszła Caitlin, w dużym pomieszczeniu znajdowało się już dwanaście osób. Pani Cavell - pracownica poczty - wydawała polecenia dotyczące rozmieszczenia krzeseł; niski, pulchny mąż-

czynna w łysiną ustawiał drewniane taborety w nieregularnym kole. Nikt nie zwrócił uwagi na Caitlin.

- Gdzie jest Julian? - zapytał ktoś głośno.

- Ucieka przed Margaret - odparła kobieta w czerwonej spódnicy, ze źle dobraną szminką na ustach. Wywołała tym stwierdzeniem powszechny wybuch śmiechu. Zebrani zachowywali się tak, jakby przyjaźnili się od lat i Caitlin pomyślała, że popełniła błąd, przyR S

chodząc. W końcu gra toczyła się tylko o wiejskie przedstawienie, zapewne równie żałosne jak szkolne sztuczki. Przemknęła do drzwi akurat w chwili, gdy do środka wchodził wysoki, szczupły



mężczyzna z ciemnymi włosami.

- Julian, kochanie - pisnął jakiś kobiecy głos.

Nowo przybyły - mimo płaszcza, rękawiczek i szalika - wyglądał tak, jakby nadal było mu zimno.

- Chyba nie uciekasz, prawda? - spytał. Potrząsnęła głową.

- Julian Pascoe - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Caitlin Canavan.

Zmarszczył brwi.

- Irlandzkie imię. Złotowłosa dziewczeczka. „Złotowłosej dziewczynie, com ją spotkał na nizinie, nie dorówna urodą żadna panna z gór” - zacytował. - Pochodzisz z nizin, Caitlin?

Potrząsnęła głową.

- Z Cambridgeshire.

Ryknął śmiechem, jakby usłyszał coś zabawnego.

- Z Cambridgeshire! Dobry Boże! Takie cudowne imię, aliteracja, wspaniałe zestawienie sylab i dziewczyna pochodzi z Cambridgeshire! Zerknął na nią ciekawie. - Nie chcia-

łem cię obrazić, złotowłosa dziewczeczko - dodał łagodnie. - Uśmiechnij się, o tak, znacznie lepiej. A teraz bądź grzeczna i usiądź razem z innymi.

Zrobiła, co kazał. Kolana drżały jej lekko i nie wiedziała, czy ma być zła, czy zadowolona. Krzesła ustawiono w podkowie, Julian Pascoe usiadł pośrodku, a pani Cavell naląła mu filiżankę herbaty z termosu.

- To bardzo miłe z twojej strony, kochanie - rzekł z uśmiechem.

- Napalić w piecu, Ju? - spytała kobieta w czerwonej spódnicy.

Pokręcił głową.

- Nic z tego nie wyjdzie, a dym szkodzi mi na astmę. - Julian zerknął na bloczek. -

Zacznijmy od spisania nazwisk. Potem mi powiecie, kto chciałby grać, kto śpiewać czy zajmować się rekwizytami...

Przechodził od jednej osoby do drugiej.

- Scenografia i rekwizyty dla mnie. - Pani Cavell uśmiechnęła się. - Znasz mnie, lubię takie zajęcia.

*R S*

Łysy mężczyzna poprosił o taniec, co bardzo rozśmieszyło Caitlin. Chudy młody człowiek z wystającym jabłkiem Adama wybrał śpiew solowy. W repertuarze miał głównie ballady i jakieś komiczne kawałki.

- A złotowłosa dziewczeczka? - spytał Julian, stając przed Caitlin.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Potrafię śpiewać, tańczyć i grać.

- Co za nadmiar talentów - zażartował i zerknął na zegarek. - Przesłuchania w niedzielę po południu. Obawiam się, że tutaj. Teraz wam powiem, co do tej pory wymyśliłem.

Wszystko jest jeszcze w powijakach, ale... - Julian wzruszył szczupłymi ramionami.

Przez kilka kolejnych dni dziewczyna łapała się na tym, że myśli o Julianie Pascoe, choć był za stary - po trzydziestce - i żonaty. Patricia Cunningham opowiedziała Caitlin o pani Pascoe.

- Ma na imię Margaret, straszna jędza. Zamieniła życie tego biedaka w piekło.

Zmywały filiżanki w kuchni Memorial Hall.

- Dlaczego się z nią ożenił? - spytała Caitlin. - Może jest bardzo ładna?

- Z tą końską gębą? - prychnęła Patricia. - Ale za to tarza się w pieniądzech. *Nouveau riche*. Biedny Ju ma wspaniałe pochodzenie, ale rodzinie brakuje gotówki. Przed ślubem z Margaret, musiał uczyć w okropnej szkole elementarnej w Oxfordzie. Oczywiście nienawidził tego zajęcia i poważnie podupadł na zdrowiu. - Patricia potrząsnęła głową. - Prawdziwy artysta z tego naszego Ju.

Po przesłuchaniach Julian obsadził Caitlin w kilku skeczach. Miała również zaśpiewać solo „Tylko ptak w złotej klatce”. Niektóre panie z towarzystwa szydziły z tej niespodziewanej kariery według nich nie popartej talentem, ale Caitlin zupełnie się tym nie przejmowała. Po próbach wszyscy chodzili do pubu. Caitlin zorientowała się natychmiast, że reszta towarzystwa uważa ją za osobę pełnoletnią, toteż robiła uwagi na temat programu nauczania w szóstej klasie szkoły średniej i zawsze się malowała.

Pułkownik zachorował wiosną 1949 roku. Tilda nie odstępowała go ani na krok. Ponieważ gorączkował, przykładła mu kompresy do czoła, gdy on tymczasem wędrował my-

śłami po polach bitew we Flandrii.

Znów zepsuł się generator. Josh rozebrał go w weekend, wyczyścił, po czym bez problemu złożył z powrotem. Do kurnika dostał się lis i zostawił po sobie ślady w postaci piór *R S*

oraz poszarpanych korpusów. Erich wykopał dół w ogrodzie, a Tilda pomogła mu pogrzebać martwe ptaki.

W połowie semestru Tilda zabrała Caitlin do Cambridge. Caitlin spędziła popołudnie z Kitem de Paveleyem, a Tilda spotkała się z Rosi w ponurej piwnicznej kawiarni. Rosi mia-

ła na sobie czarną spódnicę i obcisły sweter. Palila. Ilekroć otwierały się drzwi, podskakiwała na krześle i witała znajomych.

- Charles! Maureen! Wybieracie się do nas na przyjęcie? Stello, nie widziałaś Finna?

Finn to Irlandczyk - wyjaśniła Tildzie ściszym głosem. - Czasem czytamy sobie nasze prace.

Rosi, która kończyła właśnie anglistykę, pisała romans. Tilda podejrzewała, że w tym dziele aż się roi od zemdlonych studentek, niebezpiecznych rozbójników i ryzykownych ucieczek.

- Co u Hanny?

- Straszna z niej nudziara. Inni studenci medycyny doskonale się bawią, ale Hanna nie odrywa nosa od książki. Boi się, że nie zda egzaminów. - Wyraz twarzy Rosi się zmienił. -

Teraz muszę cię poprosić o przysługę. Chciałabym, żebyś mi uszyła suknię ślubną.

Tilda wydała okrzyk radości i uściskała dziewczynę.

- Jeszcze nie mam obrączki. W następny weekend jedziemy do Londynu wybrać coś odpowiedniego.

- A rodzice Richarda? Wyrażą zgodę?

- Oni mnie uwielbiają. - Rosie promieniała. - Powiedz, jak to jest być mężatką.

Tilda odwróciła wzrok i pogrążyła się we wspomnieniach. Na początku wszystko układało się cudownie, a takie drobiazgi jak brak pieniędzy i marne mieszkanie zupełnie się nie liczyły. Wyżymała z pomocą Maksa pranie na podwórzu, a potem oboje padali ze śmiechem na łóżko. Teraz często sięgała pamięcią wstecz, próbując dociec, co się właściwie sta-

ło.

- Dla każdego małżeństwo wygląda zupełnie inaczej. Ja chyba nie stanowią wzoru do naśladowania.

- Ale nadal kochasz Maksa, prawda?

Tylko Rosi mogła zadać tego rodzaju pytanie bez żadnych zbędnych wstępów. Inni obchodzili temat na paluszkach. Tilda potarła czoło.

- Tak, kocham.

- Dlaczego mu tego nie powiesz? Potrząsnęła głową i wytarła nos.

- Nie ma sensu. On już nic do mnie nie czuje.

- Na pewno?

Pomyślała o ostatnim, okropnym spotkaniu z Makssem w Southam.

- Tak.

Obie zamilkły. Do kawiarni wpadła ze śmiechem spora grupka studentów.

- Uszyjesz? - spytała Rosi.

- Szaty weselne? - zażartowała Tilda. - Oczywiście. Jeśli naprawdę ci na tym zależy.

Nie wolałabyś kupić czegoś w jednym z tych eleganckich sklepów?

Rosi machnęła tylko ręką.

- Ty mi musisz uszyć suknię. Oczywiście, jeśli nie sprawi ci to kłopotu - dodała szybko, zerkając niespokojnie na Tildę. - Chyba jesteś bardzo zmęczona. I masz czerwony nos.

- Już od wieków nie mogę się pozbyć tego okropnego kataru. A pułkownik w dalszym ciągu nie czuje się dobrze.

- Powinnaś jechać na wakacje.

Tilda zaśmiała się po raz pierwszy od paru miesięcy.

- Wakacje? Rosi...

- Dlaczego nie? Od lat nigdzie nie byłaś.

Pomyślała o plaży w Trouville, dokąd uciekła w sierpniu 1939 roku. Budowała z Makssem zamki z piasku dla maleńkiego Josha.

- Pojedziesz do Francji - powiedziała Rosi, jakby decyzja już zapadła. - Odwiedzisz Melissę. A ja i Hanna zostaniemy w Poonie na święta i wszystkim się zajmujemy.

Erich pracował codziennie w ogrodzie warzywnym pułkownika, a potem od wpół do piątej wypatrywał autobusu Caitlin. Siedząc na jednej z długich, szarawych gałęzi starego jaworu, widział, jak Caitlin wysiada na przystanku i zaczyna się wspinać na wzgórze. Czasem dziewczyna wydawała mu się zmęczona, toteż miał ochotę zbiec i wziąć od niej torbę, ale oczywiście nigdy się na to nie zdobył. Rozmawiał z nią tylko od czasu do czasu, przy kolacji. Zupełnie nie przejmował się tym, że

Caitlin ledwo zauważała jego obecność. Nie spodziewał się po niej niczego innego. Pochodziła z innej sfery, była całkowicie odcięta od brzydoty świata, niczym anioł rzeźbiony w kamieniu.

*R S*

Wieczorami chodził do Czerwonego Dworu, gdzie pracował w ogrodzie. Łodygi wio-sennych kwiatów powiązał kawałkiem drutu i zrobił bukiet dla Caitlin. Drut wyglądał jednak okropnie, psuł efekt.

Jakiś czas temu Tilda umówiła Ericha z lekarzem w Oxfordzie i zaproponowała, że z nim pojedzie, ale osiemnastoletni wówczas chłopak nie przyjął propozycji. Złapał autobus, z trudem wyjąkał, dokąd zamierza się udać, upuścił trzypensówkę na podłogę, co wywołało sarkastyczne komentarze konduktora. W gabinecie starał się uśmiechać i przybrać pogodny wyraz twarzy, gdyż sądził, że to się spodoba lekarzowi. Nie powiedział mu jednak ani słowa o snach i tych fragmentach życia, jakie czasem mu uciekały. A gdy doktor zaczął go wypytywać o Wiedeń, odsłonił zęby w uśmiechu i wyjaśnił, że już nic nie pamięta. Potem wstał, trzasnął obcasami, uklonił się i wyszedł z gabinetu.

Na ulicy było zdecydowanie za dużo ludzi, dlatego wtulił głowę w ramiona i za wszelką cenę próbował ich wyminąć. W sklepie z galanterią obejrzał dokładnie kilka motków wstążek, by w końcu wybrać ten leżący najbliżej.

- Czterdzieści centymetrów, proszę.

Sklepiarz obciął żadaną długość, Erich zapłacił i wsunął kolorową tasiemkę do kieszeni. Potem - spocony jak mysz - pobiegł do autobusu. Czuł mrowienie w krzyżu, a kroki ścigających pobrzmiwały mu w uszach.

Po powrocie do domu zasłonił drut wstążką i poszedł do pokoju Caitlin. Wszędzie walały się pończochy, sukienki, a na podłodze widniały odciski upudrowanych talkiem stóp.

W powietrzu unosił się ciężki zapach perfum. Erich ucałował jeden ze śladów pozostawionych przez Caitlin, zostawił bukiet na parapecie, zatrzasnął za sobą drzwi i uciekł do ogrodu.

Cecile zabrała Melissę na zakupy do Saintes. Max sądził, że wyprawa potrwa co najwyżej dwie godziny, więc gdy nie było ich po czterech, zaczął chodzić niespokojnie po dziedzińcu, zerkając co chwila na zegarek.

Kiedy wreszcie nadjechały, wydał głośnie westchnienie ulgi. Ich kosze rowerowe uginały się od toreb. Melissa zeskoczyła z siodła, podbiegła do ojca i mocno go przytuliła.

- Miałam naprawdę cudowny dzień! Tatusiu! Patrz! - Wyjęła torby z kosza.

- Zrób to w domu, Melisso - poradziła Cecile. - Chyba nie chcesz pobrudzić ich sma-rem.

*R S*

Już w salonie Melissa wyjęła z toreb takie ilości ubrań, jakie według Maksa zapełni-

łyby bez trudu cały sklep.

- Powieś teraz wszystko w szafie, kochanie, bo się pogniecie.

Melissa uciekła skwapliwie na górę.

- To mój prezent dla Melissy - wyjaśniła Cecile, gdy dziewczyna już ich nie słyszała. -

Trochę spóźniony, ale prezent.

- Ależ ja nie mogę, Cecile...

- Melissa to moja przyjaciółka; chyba nie odmówisz mi tej drobnej radości.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że musi się poddać.

- Jesteś bardzo hojna, Cecile. Poza tym poświęciłaś jej tyle czasu...

- Spędziłyśmy cudowne popołudnie. A teraz, *chéri*, wiele bym dała za kieliszek wina.

Poszła za Makssem do kuchni i zatrzasnęła drzwi. Kuchnia mieściła się z boku domu; była oddzielona od reszty budynku. Max rozlał ciemnoczerwony płyn do kieliszków.

- Wiem, dlaczego Melissa nie chce wrócić do Anglii. Popatrzył na nią zdziwiony.

- Dlaczego?

- Obiecałam, że ci nie powiem, ale miałam rację. Wszystko przez chłopaka.

- Przez chłopaka? Ależ Melissa to tylko dziecko!

- Och Maksie - powiedziała, patrząc na niego w swój charakterystyczny sposób. - Jaki ty jesteś angielski.

\* \* \*

Księża, do których Caitlin zwróciła się z prośbą o pomoc, przysłali adresy Canavanów w Irlandii. Pisała listy do wszystkich w przekonaniu, iż jedna z wielu Caitlin Canavan musi się okazać ukochaną siostrą papy. Sądziła, że wkrótce ojciec wytłumaczy jej swoją długą nieobecność, po czym zabierze z tego okropnego domu, a ona znowu będzie szczęśliwa. W

tym czasie chodziła na próby z Julianem Pascoe.

- Tylko parę *chassés* i póz. Na nic więcej nie wystarczy miejsca.

Caitlin, w baletkach i tiulowej spódniczce, tańczyła wokół czterech krzeseł, które na razie zastępowały klatkę, jaką ona i Patricia wycinały z kartonu i malowały na złoty kolor.

Czuła się trochę głupio, Julian wystukiwał rytm i co chwila kichał, a ona była sama na scenie.

- Wystarczy - powiedział Julian, gdy skończyła. - Nie masz budowy baletnicy, kocha-R S  
nie, i poruszasz się trochę słoniowato.

Usiadł przy pianinie i znów zaczął akompaniować. Caitlin zagryzła wargi. Zawsze szczyliła się swoją figurą, lecz teraz popatrzyła na siebie oczami Juliana i ujrzała przysadzi-  
stą, niską (przestała rosnać, osiągnąwszy zaledwie metr sześćdziesiąt) i ogólnie śmiesz-  
ną dziewczynę.

Julian grał, a jej udało się wejść akurat w odpowiednim momencie. Wiedziała jednak, że śpiewa  
okropnie - głos jej drżał, kroki stawiała ciężkie i pomyliła słowa drugiej zwrotki.

Gdy Julian uderzył końcowy akord, znieruchomiała i przygotowała się psychicznie na nie-unikniony  
sarkazm.

Pascoe zdjął ręce z klawiatury, odrzucił głowę do tyłu i przymknął oczy.

- Boże! - mruknął. - Pieprzony ziąb, pieprzona wioska. Obrócił się na stołku.

- Mogłem studiować w szkole teatralnej. Rozumiesz, Caitlin Canavan? Zamiast tkwić w tej zapadłej  
dziurze, słuchając, jak pozbawione talentu dziewczynki mordują musicalowe piosenki.

Przestała go słuchać i poszła na scenę. Chciała włożyć sweter, ale rękawy były wy-  
wrócone na drugą stronę i nie udawało się jej ich odplątać.

- Dokąd idziesz?

- Do domu - wymamrotała.

- Płaczesz.

Chciała zrobić jakąś ironiczną uwagę, ale nie mogła dobyć głosu. Wyjął jej sweter z ręki, położył go  
na krześle i obrócił Caitlin twarzą do siebie.

Otarł łzy z twarzy dziewczyny i zlizął je z palców. Wydała zduszony okrzyk.

- Zachowałem się jak świnia, prawda? Nie powinnaś się mną przejmować. Mam okropny katar i nie  
układa mi się w domu.

- W porządku - wydusiła z siebie w końcu, nie przestając płakać.

Tym razem schylił się i scałował jej łzy. Przez chwilę stała nieruchomo z zamkniętymi oczyma, ale  
potem podniosła wzrok na Juliana i pozwoliła mu dotknąć wargami swoich ust.

Przeziębienie nie mijało. Tilda płukała gardło koprem, głos jednak nadal miała chra-  
pliwy. Z trudem namówiła pułkownika, by zaangażował nocną pielęgniarkę. Niestety, dziewczyna rzuciła posadę już

po kilku dniach. Nie chciała mieszkać w pokoju, w którym *R S*

pułkownik trzymał wypchane zwierzęta - swoje ostatnie hobby. Rosi przysłała belę materia-

łu na suknię ślubną, ale Tilda była tak zmęczona, że nawet nie zaczęła jej kroić. Nie napisała również do Maksa, choć kilkakrotnie próbowała. Za każdym razem atrament w kształcie kleksa spływał jej ze stalówki na pustą kartkę papieru.

Zima zmieniła się gwałtownie w lato. Jednego dnia padało i wiał porywisty wiatr, a już następnego wychodziło słońce, a niebo przybierało lazuru barwę. Ziemia w ogrodzie, który przez pewien czas przypominał trzęsawisko, zmieniła się w twardą skorupę. Tilda z trudem przebijała się przez wierzchnią warstwę w poszukiwaniu pozostałych ziemniaków, gdy jakiś głos zawołał jej imię.

- Tilda!

Odwróciła głowę i spostrzegła Archiego Raphaela. Archie pchnął furtkę i podszedł bliżej.

- Od tygodni nie pokazujesz się na wykładach. Upuściła łopatę.

- Mój pracodawca zachorował. Musiałam się nim opiekować.

- Pomyślałem, że ci to podrzucę. - Wyciągnął przed siebie bukiet żonkili i narcyzów. -

Chciałem też zapytać, czy nie załatwić ci żadnej sprawy w Oxfordzie.

Nie ucieszyła jej ta wizyta... Tak długo nie rozmawiała z nikim oprócz pułkownika i rodziny, że teraz z trudnością przyjęła od niego kwiaty, mamrocząc słowa podziękowania.

- Strasznie dziś zimno - powiedział z nadzieją Archie.

Zrozumiała aluzję i zaprosiła go do domu. W kuchni pułkownika chłopak powiódł wzrokiem po wysokim suficie, jęczącym piecu i zawilgoconych rurach.

- Dobry Boże! Jak w Gormenghast - jęknął.

Tilda upchnęła kwiaty w wiadrze i nalała wody do czajnika. Okazało się, że niewiele straciła, opuszczając dwa ostatnie wykłady. Jeden z nich Archie przespał, z drugiego zrezygnował. Do ich grupy zapisał się nowy student, który sądził, że istnienie ONZ-u mija się z celem, gdyż i tak Stany Zjednoczone albo Związek Radziecki użyją w ciągu najbliższych dwóch lat broni atomowej. Inna z kolei dziewczyna wyraziła przekonanie, iż wszystkie kolejne wojny będą się toczyć w kosmosie.

- Pomyślałem sobie, że to świetny pomysł - powiedział Archie. - Wyobraź sobie te wszystkie czołgi, łodzie podwodne i inne rzeczy na księżycu. - Zerknął na Tildę. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz marnie.



R S

- Chorowałam - odparła sztywno.
- Masz tu dużo pracy - zauważył, rozejrzawszy się po kuchni.
- Jakoś sobie daję radę.
- Przyjaźnię się z pewnym adwokatem z Oxfordu. On chyba szuka sekretarki.
- Podoba mi się tutaj, Archie. - Zaczęła sprzątać ze stołu. Zapadła cisza.
- To rodzaj pokuty? - spytał.

Tilda stała przy zlewie, odwrócona do niego plecami, zbyt poirytowana, by przemówić.

- Dzięki temu domowi zyskaliśmy wszyscy dach nad głową. A ja pracę, której się wcale nie wstydzę. Pozwól, że wrócę do swoich zajęć. - Zaczęła zmywać, szorując talerze tak mocno, że omal nie zdarła z nich deseni. Nagle jednak przerwała swoje zajęcie i popatrzyła ostro na Archiego.

- Jakim prawem przychodzisz tutaj, nieproszony, i krytykujesz mój sposób życia, co?

Żadne z nas nie chodziło do eleganckich szkół, nie posiadamy też kont w banku.

- Zrezygnowałem z edukacji w wieku piętnastu lat - powiedział Archie. - Rodzice prowadzili zakład krawiecki na East Endzie. Wojna trochę mi pomogła. Nie nadawałem się do czynnej służby i wylądowałem w oddziale, gdzie kręcono takie wzruszające filmiki podnoszące morale społeczeństwa. Wiesz, takie: „Dzięki warzywom bulwiastym łatwiej wy-gramy wojnę” albo „Zrób działo przeciwlotnicze ze swojej sosjerki”. - Archie zamrugał. -

Po wojnie pracowałem dla Centralnego Biura Informacji, ale potem nie byłem już w stanie tego znieść, bo odnosili się do mnie stanowczo zbyt protekcyjnie. W końcu zostałem wolnym strzelcem. A co do mego prawa, by tu przyjść... cóż... sądziłem, że uważasz mnie za przyjaciela.

- Z nikim się nie przyjaźnię. Nie mam na to czasu - powiedziała łamiącym się głosem.

Tym razem cisza trwała dłużej.

- Rzeczywiście. Zawsze mi się wydawało, że trzymasz wszystkich na dystans. Jesteś w tym bardzo dobra, prawda? Wiele tygodni zbierałem się na odwagę, żeby wreszcie do ciebie przemówić, a jednak... no cóż, i tak wiem o tobie niewiele więcej niż parę miesięcy temu. Rozumiem, że ci się nie podobam. Zresztą nie liczyłem na tego rodzaju znajomość. Ale przyjaźń byłaby miła.

Wziął kapelusz i rękawiczki.

- Nic nie rozumiesz, Archie - szepnęła drżącym głosem. - Wcale mnie nie znasz.

- Właśnie - potwierdził ze słabym uśmiechem. - Udało ci się o to zadbać, prawda?

Czułem się tak, jakbym usiłował nawiązać bliższy kontakt z górą lodową.

Wyszedł, a ona znów zajęła się zmywaniem. W drodze ze zlewu na suszarkę jeden z talerzy wysliznął się jej z ręki i rozbił na wyłożonej płytkami podłodze. Tilda popatrzyła przez chwilę na potłuczone kawałki i pobiegła na górę. W łazience opryskała twarz wodą, ale lustrzane odbicie mówiło wyraźnie, że Archie się nie mylił. Z czerwonymi, podkrążonymi oczyma i łuszczącą się skórą na nosie wyglądała staro, a co gorsza - pospolicie. Gorycz, samotność i rozczarowanie przybrały kształt głębokich bruzd między nosem a ustami.

Usiadła na kanapie w salonie, otulona płaszczem, i zaczęła się zastanawiać, czy Archie nie miał czasem racji co do innych rzeczy. Może ona była rzeczywiście zimna i niedostępna.

Może nauczyła się separować od ludzi. Może Melissa wyjechała właśnie dlatego, że jej matka stała się taka daleka i wyzuta z uczuć.

Otarła oczy i znalazła pióro, atrament oraz papier do pisania.

*Mój drogi Maksie...* - zaczęła.

## **Rozdział 15**

Obudził mnie uparty dzwonek przy wejściu. Wytoczyłam się z łóżka, wciągnęłam szlafrok i uchyliłam drzwi.

- Boże, Charlesie - jęknęłam. - Przecież jest niedziela.

- Przyszedł mi do głowy wspianiały pomysł - powiedział. - Ale najpierw to. - Przyniósł

rogaliki, niedzielne gazety i kilka kartonów soku pomarańczowego. Łypnął na mnie spod oka. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Czuję się znakomicie - odparłam słabym głosem, wpuszczając go do środka.

- W porządku. W takim razie zrobię kawę. Wymiotowałam w łazience, a on krzątał się po kuchni.

- Wszystko w porządku? - spytał niespokojnie, przyglądając mi się z uwagą. Zauważyłam, że rozlał kawę na blat i na podłogę.

- Tak. Już ci to mówiłam. Uważaj, oparzysz się.

Z dzbanka nadal się lało. Charles roześmiał się głośno i odstawił go na stół.

*R S*

- Powinniśmy wyjechać na jeden dzień. Popatrzyłam na niego tępo.

- Dokąd?

- Do Southam w Cambridgeshire. Możemy tam prowadzić badania wstępne do programu.

- Charlesie - zaczęłam. - Nie jestem pewna, czy...

- Po prostu trzeba sprawdzić, czy to się uda. - Nalał dwie filiżanki kawy. - Proszę cię, Rebecca.

Chciałam pokręcić odmownie głową i jakoś się z tego wykpić. Pragnęłam, by wreszcie nastął taki dzień, kiedy to nie musiałabym myśleć o Tildzie i jej rozbitej rodzinie. Southam zdecydowanie mi się nie podobało. Wiedziałam jednak, że powinnam rozważyć propozycję Charlesa i podjąć jakieś decyzje zarówno w sprawie dziecka, jak i książki. Wszystko się poza tym ze sobą wiązało. Sama zresztą byłam ciekawa, czy znajdę w Southam odpowiedzi przynajmniej na część pytań. Podczas pierwszej wizyty mogłam przecież coś przeoczyć.

- Dobrze - odparłam.

Objechaliśmy Londyn wyjątkowo tym razem spokojną M25 i wyprysnęliśmy na M11

prowadzącą na północ. Charles jechał szybko, nieuważnie. Czując, jak klekoczą mi kości, pomyślałam cynicznie, że ta jazda oszczędzi mi kłopotu z aborcją. Ostatnio nie padało i spod kół wiekowego midgeta wylatywały tumany pyłu.

- Zjemy w Ely? - wrzasnął Charles, gdy na horyzoncie zamajaczył wreszcie bulwiasty kształt katedry.

- W Southam - odkrzyknęłam. Przypomniałam sobie, że w pubie serwowano posiłki.

Chciałam zobaczyć Pheasant i wreszcie się przekonać, czy prywatny detektyw mógł się mylić i czy feralnej nocy Daragh przypadkiem nie wmieszał się w tłum pijących i grających w karty.

Gdy zjechaliśmy z pagórka Isle of Ely, Charles wreszcie trochę zwolnił i zaczął się rozglądać.

- Wspaniale - powiedział, przenosząc wzrok z zardzewiałych maszyn rolniczych na pochylone małe domki. - Co za atmosfera! Wyobraź to sobie w zimie! Którędy?

Skręciliśmy na drogę do Southam. Dostrzegłam charakterystyczne elementy krajobrazu, jakie zapamiętałam z opowieści Tildy: mostek, na którym po raz pierwszy całowała się z *R S*

Daraghem, rzekę, gdzie pływali skradzioną łódką. Wioska - cicha i nieruchoma w bezwietrznym

upale z powłoką czarnego pyłu na znakach drogowych i latarniach - w pierwszej chwili wydała się nam bezludna.

- Biedny podrzutek z tej Tildy - powiedział Charles nonszalancko. - Bękart - dodał i zerknął na mnie spod oka. - Przepraszam, takt nigdy nie należał do moich mocnych stron.

Wybałuszyłam na niego oczy.

- Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to w porządku. Nie moja sprawa, ale i tak ci współczuję.

- Charlesie... Przystanął za kościołem.

- Jesteś przecież w ciąży - stwierdził, zaciągając hamulec ręczny.

Popatrzyłam na niego ze złością.

- Skąd wiedziałeś?

- Poranne wymioty są dość charakterystyczne, nie sądzisz? A poza tym twój wygląd...

- Promienieję? - dokończyłam sarkastycznie.

- Nie, raczej puchniesz. Głównie na twarzy.

Wytarłam głośno nos, po czym skupiłam całą swoją energię na tym, by powstrzymać się od płaczu i nie spuchnąć jeszcze bardziej.

- Mam przynajmniej nadzieję, że to nie jest dziecko tego okropnego Toby'ego.

- Nie - wymamrotałam.

- W takim razie może przespałaś się z murarzem, którego poderwałaś w drodze z zakupów?

- Idiota.

- To Patrick zostanie szczęśliwym tatusiem? - bardziej stwierdził, niż zapytał, a ja tylko przytaknęłam.

Włożyłam ciemne okulary i poszliśmy do pubu. W pubie parę osób siedziało przy barze lub stolikach. Domyśliłam się, że dwie sale przekształcono w większe - aczkolwiek nie ogromne - pomieszczenie. Nie zauważyłam żadnych wnek ani nisz, ale wydawało mi się niemożliwe, by Daragha po prostu przeoczono w tłumie.

- Myślałaś już o tej pracy? - Charles kręcił się niespokojnie przy stoliku, bawiąc się szklanką po piwie, papierosami i kluczykami. Zauważyłam, że prawie nie je.

Wyjrzałam przez okno. Jakaś kobieta ciągnęła wózek po ulicy. Wózek był zniszczony, *R S*

stary, a ona miała na sobie tanie, niechlujne ubranie i schodzone buty. Pomyślałam o Deborah Greenlees, matce Tildy, która przyszła na świat właśnie w tej wiosce. Urodzenie dziecka spoza małżeńskiego łóża kosztowało Deborah utratę wolności, a potem życia - ceną, jaką płacą współczesne kobiety, jest jedynie ubóstwo.

- W końcu... z dzieckiem... Chyba że chcesz... - Nie dokończył.

Ja jednak i tak wiedziałam, o co mu chodzi. Mogłam albo przetrwać tę ciążę, albo ją usunąć; ten problem nawiedzał mnie w snach. Łatwiej by mi było zatrzymać dziecko - o tym właśnie marzyłam - gdybym zaczęła pracować dla Charlesa. I gdybym napisała tę znakomitą książkę, którą on by sprzedał. Położyłam mu rękę na dłoni, uspokajając jego bębniące palce.

- Nie wiem, to poważna decyzja. - Patrzyłam, jak zapala drugiego papierosa od peta i przypomniałam sobie jego biuro, sterty papierów, pogniecione kartki.

- Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku - odparł, wyciągając rękę tak gwałtownie, że potracił szklanekę. Wyjęłam serwetki z kieszeni i rzuciłam się, by wytrzeć rozlane piwo.

- Rozmawiałem już chyba ze wszystkimi. Mam masę pomysłów, a bank też wybuli forszę, jak tylko się zorientuje, ile na tym zarobi.

Zaczynał się wściekać, zwróciliśmy na siebie uwagę właściciela, dlatego powiedzia-

łam coś uspokajającego i wyciągnęłam Charlesa z pubu. Szliśmy ulicą i wzdłuż ścieżki biegnącej obok kościoła. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem, dopóki nie dotarliśmy do wielkiego pola dzielącego nas od Dworu.

W roślinności pokrywającej brzeg widniała czarna wyrwa - ślad po letnim remoncie.

Trawa pożółkła od słońca, w powietrzu latały puchate białe nasionka ostów w kształcie spadochronów. Nasyp odcinał nas od wsi i pól, zamykał w wielkiej miedzianej misie ziemi i nieba. Nad horyzontem zebrały się stalowoszare chmury. Na wysuszonej ziemi nasze kroki stały się niesłyszalne. Przypomniał mi się wieczór w Richmond, kiedy wybiegłam z domu Patricka, doznając podobnie niepokojącego uczucia, że jestem całkowicie odseparowana -

zarówno w przestrzeni, jak i czasie - od swojego dawnego otoczenia. Trawa zastygła w bezruchu, a w oddali pola i niebo zlały się w połyskującą całość.

Kiedy Charles zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, dostrzegłam z przerażeniem, że kości niemal przebijają mu skórę. Zawsze był bardzo szczupły, ale teraz wyglądał

*R S*

jak szkielet. Gdy wchodziliśmy na pagórek, podał mi rękę, lecz potem, gdy zatrzymaliśmy się na chwilę, by popatrzeć na kanał, też jej nie puścił. Poziom wody opadł, a z błota dola-tywał kwaśny

zapach. Na mulistej powierzchni tańczyły muchy.

- Tam jest Dwór - powiedziałam, zerkając na odległy budynek, który dziś wydawał się mniejszy. Odnosiłam wrażenie, że stracił swoją monumentalność.

- A to?

Popatrzyłam za jego wyciągniętą ręką w kierunku obskurnego, białego domku stojącego na dalekim końcu pola.

- To siedziba rządu. Mieszkał tu Kit de Paveley, kuzyn Jossy.

- Był farmerem?

- Nauczycielem i archeologiem amatorem. Bardzo się interesował historią tego obszaru.

- W takim razie może napisał książkę albo dwie. Przydałoby mi się to do programu.

- Tak - odparłam i zasłoniłam oczy ręką, bo przez chwilę mi się wydawało, że za czarnymi okiennicami dostrzegam jakiś ruch.

- Rebecca?

Zorientowałam się, że Charles mówi do mnie, ale musiałam go prosić o powtórzenie.

Zamrugałam i znów popatrzyłam na dom, ale niczego nie dostrzegłam. Tylko grę świateł albo raczej odbicie gałązki wierzby poruszającej się w gorącym, burzowym powietrzu.

- Powiedziałem, że możesz wyjść za mnie za męża, jeśli chcesz.

Odwróciłam się zaskoczona. Sądziłam, że on żartuje, i po prostu się roześmiałam.

- Och, Charlesie, nie wygłupiaj się.

- Wieczny družba - mruknął. Znów zauważyłam gniew w jego oczach. Trochę wytrącona z równowagi objęłam go i pocałowałam w policzek, po czym razem poszliśmy do samochodu.

W następnym tygodniu poszłam odwiedzić Tildę w szpitalu. Ostatnia choroba bardzo ją zmieniła. Kiepska kondycja wpisała się wyraźnie w kruchość jej ciała i sposób, w jaki wędrowała po przypadkowo wybranych wydarzeniach z przeszłości.

Nie mogłam jej ot tak po prostu zapytać, czy zabiła swego kochanka. To by było stanowczo zbyt obcesowe i okrutne.

Przypomniałam jej natomiast o liście, jaki wysłała do Maksa w 1949 roku. Prosiła go *R S*

wówczas o wyrażeniu zgody na wizytę u Melissy.

- Max zareagował natychmiast i wtedy wróciła mi nadzieja - zaczęła Tilda. - Pisał, że mogę odwiedzać Melissę tak często, jak zechcę. I choć z pewnością robił to dla niej, czu-

łam, że wcale mnie aż tak bardzo nie nienawidzi.

- I wyjechałaś z Anglii... - podpowiedziała.

- Zaraz potem, jak Josh rozpoczął ferie.

- Byliście we Francji wszyscy razem?

- Tylko we dwójkę. Erich nie chciał podróżować, a Caitlin oświadczyła, że musi zostać na próby. - Popatrzyła na mnie uważnie. - Chyba jesteś zmęczona, kochanie. Może przerwiemy?

Wiedziałam, że wyglądam okropnie. Nie spałam od dwóch tygodni i czułam się znacznie gorzej niż podczas pierwszej ciąży. Tak czy inaczej omal się nie uśmiechnęłam.

Tilda, ta krucha Tilda, troszczyła się o moje zdrowie.

- Powinnaś odpocząć. Jestem pewna, że Melissa zostawiłaby ci willę na tydzień. Wystarczy, że ją poprosisz.

- Pewnie tak zrobię - obiecałam, żeby ją uspokoić. - Opowiedz mi o Francji, Tildo.

- W drodze na miejsce znowu poczułam się szczęśliwa - odrzekła z lekkim uśmiechem. - Oczywiście na widok Melissy nie zdołałam powstrzymać łez.

- A Max? Jak on się zachowywał?

- Chłodno. Z rezerwą. Pojechaliśmy do domu na kolację. Prawie się do mnie nie odzywał. Byłam rozdarta między radością, jaką mi sprawił widok Melissy, i rozpaczą z powodu tego dystansu. Josh nocował w garażu, a ja w małym hoteliku w wiosce.

\* \* \*

Tilda pożegnała się z Melissą i zabrała torbę. Usiane gwiazdami niebo przybrało granatową barwę. Josh i Melissa stali przed garażem, Max trzymał latarkę, a Josh zaglądał pod maskę.

- Idę teraz do hotelu - powiedziała Tilda. - Do zobaczenia rano, synku.

- Zawiozę cię - zaproponował Max.

- Nie trzeba, to krótki spacer, a ja potrzebuję świeżego powietrza.

- W takim razie pójdę z tobą. - Max wytarł ubrudzone ręce w szmatkę i wziął walizkę Tildy, zanim

zdołała go powstrzymać.

*R S*

Dzientelmen, jak zwykle - pomyślała. Czasem się jej wydawało, że właśnie ta cecha Maksa stanowiła jedną z przyczyn jej kłopotów. Wywodzili się z różnych środowisk - ona, cyganka bez korzeni, żyła z dnia na dzień, a Max pochodził ze świata, w którym sposób mówienia i ubierania się znaczył więcej niż uczucia.

Ruszyli krętą, wąską alejką. Od pól dzielił ich żywopłot i dzikie kwiaty. Księżyc srebrzył się w winnicach, nadal panował upał.

- Przykro mi z powodu ciotki. Trochę za późno na kondolencje, ale przepraszam cię bardzo za nieobecność na pogrzebie. Zawsze uważałem, że Sarah to wspaniała kobieta.

Patrzył przed siebie, na jego twarzy położyły się cienie. Jego słowa wyrwały Tildę z letargu, w jaki popadła po zmęczeniu długą podróżą pociągiem. Wiedziała, że musi podjąć wysiłek, wyciągnąć coś z niemal całkowicie wyczerpanych rezerw.

- Sarah bardzo cię lubiła, Maksie. Tylko o tobie i Joshu wyrażała się pozytywnie.

Zaśmiał się, a twarz mu na chwilę pojaśniała. Przez te dwa lata spędzone we Francji zupełnie się nie postarzał. Srebrnych nitok we włosach mu nie przybyło, bruzdy na twarzy się nie pogłębiły.

- Niezwykła osoba - powiedział Max. - Pewnie za nią tęsknisz.

- Owszem. Nawet bardzo.

- Rosi przysłała mi zaproszenie na ślub. Chce, żebym poprowadził ją do ołtarza.

Popatrzyła na niego spod oka. Niemal dotarli do wioski. Tilda pomyślała, że niełatwo jest przeciąć węzły trzynastu lat małżeństwa. One pozostają, usiłują pochwycić swoje ofiary, podstawiają im nogi.

- Zgodzisz się, prawda?

- Oczywiście. - Panowały zbyt wielkie ciemności, by mogła odczytać wyraz jego twarzy. - A Hanna i Erich? - spytał. - Co u nich?

- Hanna jak zwykle bardzo dużo pracuje. Moim zdaniem stanowczo za dużo. Pewnie boi się zawieść rodziców. Oboje byli przecież lekarzami. Erich nie chciał oczywiście z nami podróżować. Nadal nie znosi tłumów. Nigdy nie opowiadał mi o tym, co wydarzyło się w Wiedniu. Ani razu. - W ponurym tonie Tildy pobrzmiwała wyraźnie świadomość klęski. -

Zdołałam go namówić na wizytę u psychiatry, ale to nic nie pomogło.

- A Caitlin? Jak ona się czuje? Sądziłem, że zabierzesz ją do Francji. - Max nigdy do-tąd nie wspominał ani słowem na temat Caitlin, córki kochanka Tildy i jej przyrodniej sio-R S



stry.

- Kate występuje w lokalnym przedstawieniu i nie lubi opuszczać prób. Zostawiłam ją pod opieką Hanny i Rosi.

Przeszli przez plac; nad głowami szumiały im listki drzewek cytrynowych. Tilda nie powiedziała Maksowi, że odetchnęła z ulgą, gdy Caitlin nie wyraziła ochoty na wyjazd do Melissy. Ulga była - rzecz jasna - podszyta poczuciem winy. Tilda nie mogła ani na chwilę wyzbyć się podejrzania, że nienawiść Caitlin wynika z przyczyn znacznie głębszych aniżeli tylko uraza, jaką na ogół żywią rozżalone dzieci w stosunku do przybranych rodziców.

Popadli w pewnego rodzaju schemat: Tilda i Melissa spędzały czas w hotelu, w warsztacie lub w Saintes, a Max i Josh jeździli na długie wycieczki rowerowe po okolicy.

Pewnego ranka zatrzymali się w kawiarni, gdzie Max kupił sobie piwo, a Josh lemoniadę. Siedząc w cieniu drzewa figowego Max pomyślał, że chłopiec zmienił się nie do poznania.

- Co w szkole? - zapytał.

- W porządku. - Josh otarł wąsy z lemoniady. - Gram w drużynie rugby.

- A krykiet?

- Kapitanem zostanie chyba Symonds Major, ale ja będę jego zastępcą.

- Bardzo się cieszę.

Tego rodzaju konwersacje prowadził również Max ze swoim ojcem, siedząc na stołku przy barze w hotelu Savoy. Pomyślał, że za kilka lat pogawędzi z Joshem o regatach w Twickenham i zaproponuje mu czek, gdyż będzie to jedyny znany mu sposób okazywania uczuć. Josh oczywiście odmówi. Jednocześnie Max zadał sobie pytanie, czy tego właśnie pragnie, i zrozumiał, że absolutnie nie.

- Mieszkasz w internacie w ciągu tygodnia. Takie rozwiązanie ci odpowiada?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Na śniadania podają nam straszne świństwa. Nazywamy je uszczelkami, bo wyglą-

dają jak te pakuły, które się wkłada do kurków. Luckhurst twierdzi, że robią je z krwi i tłuszczu. Fuj!

- Chodziło mi o to, że może byś wolał zostawać w szkole na sobotę i niedzielę. Tak jak inni.

Josh potrząsnął głową.

*R S*

- To niemożliwe, tato. Muszę wracać na weekendy i naprawiać generator, bo on stale się psuje. Nawalił trzy razy w ciągu jednej zimy. Wał rozrządu do niczego się nie nadaje.

Poza tym mama się gniewa, jak nie wracam do domu. Raz nie przyjechałem, bo w szkole był mecz i naprawdę się wściekła. Czulem to.

- A... ten pułkownik? Jest w porządku?

- Ma wspaniałą kolekcję szpad. Pozwala mi czasem trochę się nimi pobawić. Nauczył

mnie oprawiać króliki. Trochę obrzydliwe zajęcie, ale będzie przydatne podczas podróży dookoła świata. Właściwie nawet lubię, jak się psuje ten generator. Zapalamy wtedy lampki naftowe i dom wygląda jak nawiedzony przez duchy. Tylko Caitlin narzeka na ziąb. Ale dziewczyny zawsze narzekają, prawda? - spytał, przenosząc wzrok na Maksa.

Max kiwnął głową z roztargnieniem. Wyobrażał sobie Tildę harującą od świtu do no-cy w nieoświetlonej, zimnej kuchni byłego wojskowego, któremu najwyraźniej brakowało piątej klepki. Chciał zapytać Josha, czy pułkownik traktuje jego matkę jak służącą, ale wiedział, że nie wolno mu się do tego posunąć. Samo to podejrzenie wzbudziło w nim jednak gniew. Zupełnie zresztą się po sobie nie spodziewał tak gwałtownej reakcji.

- W niedzielę przed wyjazdem do szkoły zawsze sprawdzam, czy wystarczy im drewna. Erich czasem zapomina narąbać.

- Dobry z ciebie chłopiec, Joshu - powiedział Max i zburzył synowi włosy. Potem wyjął mapę i zaczęli wspólnie układać trasę powrotną.

Po powrocie do warsztatu Max zwolnił chłopaka obsługującego dystrybutor i wszedł do domu. Tilda i Melissa stały na środku kuchni, oglądając sprawunki. W jasnym świetle Max dostrzegł srebrne nitki w długich włosach Tildy, a także zmarszczki wokół jej oczu.

Była szczuplejsza niż kiedyś i najwyraźniej zmęczona.

- Pojedziemy wieczorem na obiad. Restauracja w wiosce jest naprawdę bardzo dobra.

- Wszyscy, tatusiu? - spytała Melissa.

- Wszyscy - powiedział Max, odkładając zakupy.

Przypomniawszy sobie, jak na Pargeter podnosił Tildę z podłogi po tym, jak zemdliała.

Wydawała mu się wówczas krucha i lekka jak piórko; zanim doszła do siebie, odgarnął jej włosy z twarzy.

Dolał wina do kieliszków i pomyślał, że teraz jego żona szoruje podłogi dla jakiegoś starego wariata. Chyba nie o to ci chodziło, Maksie Franklin, gdy przyrzekałeś ją kochać i *RS*

szanować aż do śmierci? Pograżasz się w pracy, znikasz w Londynie z powodu załamania nerwowego i naprawdę się spodziewasz, że Tilda będzie czekała na ciebie w domu? Ale ponieważ nie czeka i ląduje w ramionach tego uwodzicielskiego sukinkota, który polował na nią od lat, zachowujesz się tak, jakby popełniła największą z możliwych zbrodni, po czym zostawiasz ją całkowicie samej sobie?

Nie znaczyło to wcale, że przestał mieć do niej pretensje o Daragha. Nadal odczuwał

żal, był zresztą pewien, iż ten stan nigdy nie minie. Zaczął jedynie postrzegać tę sprawę jako łańcuch winy, rozstania, miłości i bólu, za który teraz czuł się odpowiedzialny na równi z Tildą.

- Tatusiu - powiedziała Melissa. - Tatusiu...

Podniósł na nią wzrok.

- Już trzy razy cię pytałam, czy możemy zjeść lody?

Max otrząsnął się z zamyślenia.

- Oczywiście, że wszyscy zjemy lody. Z polewą czekoladową i tymi kolorowymi cu-dami.

- To się nazywa posypka owocowa - wyjaśniła Melissa z wyższością.

Max zawitał do hotelu Tildy o dziewiątej rano i powiedział, że zabiera wszystkich na plażę w Royan. Wstał wcześniej i spakował koszyk z jedzeniem na piknik. Rolls wymagał

dotarcia; chciał zajechać na miejsce w królewskim stylu. Zaparkowali na dalekim końcu miasta. Josh włożył spodnie kąpielowe, a Melissa przebrała się z godnością za ogromnym ręcznikiem. Max zapalił papierosa.

- Nie popływasz, tato?

- Jeszcze nie. Za chwilę.

Tilda, Josh i Melissa pobiegli do morza. Fale odpłynęły daleko i cała trójka brodziła po piasku usianym muszelkami i kamykami - Josh prowadził, Melissa wlokła się za Tildą.

Kiedy dotarli do wody, Josh zanurzył się odważnie najpierw po kolana, potem dalej po pas i po ramiona. Melissa pływała pieskiem w chłodnym Atlantyku, od czasu do czasu popiskując z zimna.

Max zszedł na brzeg. Piasek był gładki, mokry, pofałdowany przez morze. Franklin nie zdążył się jeszcze przebrać, więc fale zalały mu buty. Papieros parzył go w palce, długie szare robaczki popiołu spadły na piasek. Josh i Melissa kąpali się pięćdziesiąt metrów dalej, *R S*

nurkując i przewracając się w wodzie jak foki. Ale Max nie spuszczał wzroku z Tildy, która przepływała parę metrów, po czym stawała na dnie, kierując wzrok na dzieci. Długie włosy mocno jej pociemniały i przylgnęły do głowy jak glony. Staroświecki, przedwojenny kostium opinał jej ciało jak druga skóra. I nagle, w jednej przerażającej chwili Max zdał sobie sprawę, że nadal ją kocha, zawsze kochał i będzie kochał. Nienawiść i gniew, jakie do niej czuł, stanowiły tylko aspekt miłości.

Usłyszał wołanie Melissy, ale odwrócił się gwałtownie i zaczął iść w stronę starego parasola, pod którym zostawili koszyki z jedzeniem. Poszukał w kieszeni papierosa, w koń-

cu jednak nie otworzył paczki. Stał odwrócony do nich plecami, chcąc odpędzić od siebie tę ogłuszającą świadomość i powrócić do niewymagającej egzystencji, jaką dla siebie stworzy-

ł. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Odciał się na chwilę od świata, lecz ten świat się o niego upomniał; najpierw w postaci kuracji szachowej, następnie dzięki dobroci Cecile, a wreszcie w osobie Melissy. To właśnie ona przypomniała mu o burzach rodzinnego życia. Melissa pokazała mu, że nadal ma do odegrania jakąś rolę.

Wszyscy wybiegli z morza na plażę - Melissa drżała z zimna i szybko otuliła się w ręcznik, Josh tarzał się w piasku i pokrywał jasnym, świecącym żwirem przypominającym odłamki granitu, Tilda wyzynała włosy. Max nalał herbatę z termosu, odwinął pergamin z kanapek i zamyślił się. Powiał wiatr i wyczarował na wodzie maleńkie, postrzępione fale.

Ubrali się, zjedli i wrócili do samochodu. Przejechali przez Royan, gdzie Max musiał

wpaść na chwilę do przyszłego klienta. Pod koniec wojny, przed wyzwoleniem, Royan zostało zbombardowane przez sprzymierzone siły. Nadal widoczne zniszczenia zaszokowały Maksa.

Niektóre z domów wyglądały jak jagody odarte z szypulek - nie miały dachów ani drzwi wejściowych, a nad rozpadlinami wisiały złowieszczo pojedyncze mury z fragmentami podłóg. Na

drogach było pełno dziur i lejów po bombach. W pustym sercu miasta powstało kilka nowych budynków. Max prowadził wolno i rozglądał się uważnie. Pomyślał, że wojna też pozostawiła na nich ślad. Zawinił nie tylko on i Tilda, ale również historia, która oddzieliła ich od siebie i ukazała taką dzikość oraz pogardę dla ludzkiego życia, że oboje zapewne przestali wierzyć w istnienie lepszego świata.

Ostatniego dnia ferii smażyli kolejno naleśniki w zatłoczonej kuchni Maksa.

- Teraz ja! - zawołała Melissa i podrzuciła wysoko naleśnik, aby go odwrócić. Nie trafiła jednak na patelnię i ciasto ześliznęło się na podłogę. Josh ryknął śmiechem.

*R S*

Tilda oparła się o komodę i wskazała Maksowi swój pusty kieliszek.

- Nie wolno mi tyle pić, bo jutro nie wstanę. - Powiodła wzrokiem po podłodze. -

Twoja biedna kuchnia, Max.

Następnego dnia ona i Josh mieli złapać o trzeciej pociąg w Saintes. Max wykupił im miejsca w wagonie sypialnym. Wiedząc, jak mało pieniędzy pozwolono jej wywieźć z kraju, uparł się, że zapłaci za wszystko. Przez cały czas traktował zresztą Tildę niezwykle uprzejmie. Stary, cyniczny Max zniknął bezpowrotnie. Czasem wydawało się jej nawet, że mąż już tak bardzo się na nią nie gniewa.

Przyszła kolej na próbę Josha. Naleśnik wystrzelił w powietrze, przewrócił się na drugą stronę i wylądował na patelni.

Tilda klasnęła w ręce.

- Powinieneś być szefem kuchni, Josh.

- Zamierzam zostać odkrywcą i podróżować dookoła świata.

- W ten sposób nie zarobisz na życie - powiedziała pogardliwie Melissa.

- Zarobię, prawda, tato? Przecież i ty dużo podróżowałeś. Ciocia Sarah też. A miała przecież mnóstwo pieniędzy. Schowała je pod podłogą w kuchni.

Max popatrzył na niego pytająco.

- Sarah zostawiła mi dwanaście suwerenów - wyjaśniła Tilda. - Widocznie otrzymała te pieniądze od jednego z pracodawców. Kit Paveley potem je sprzedał.

- Gdzie mieszkała twoja matka, mamó?

Tilda poczuła się nagle tak, jakby stała na brzegu grzęzawiska.

- Jest jeszcze jeden naleśnik? Umieram z głodu. Josh nałożył masło na patelnię.

- Ciocia Sarah i matka mamusi mieszkały w Southam, głuptasie. Były siostrami. Nie wiedziałeś?

- A twój ojciec? - Josh przewrócił naleśnika.

Oczywiście zobaczyła Edwarda de Paveleya w aucie - dużym, starym Bentleyu, w którym umarła Jossy. Na dźwięk donośnego klaksonu pierzchały kury i dzieci, a starsi wie-

śniacy zdejmowali czapki z głów. Choć działo się to wszystko mniej niż dwadzieścia lat temu, mogło się wydawać, że to znacznie bardziej odległa przeszłość i zupełnie inny świat.

- Patelnia, Joshu - przypomniał Max.

Tłuszcz z boku patelni zapalił się, na widok pomarańczowego płomienia liżącego że-

liwny bok naczynia Tilda wydała pełen przerażenia okrzyk, chwyciła dzbanek z wodą i wy-lała ją na patelnię, piec i Josha. Max rzucił się naprzód, nakrył piec wilgotną szmatą i ogień zgasł, skwiercząc głośno. Josh stał na środku kałuży w mokrym ubraniu.

- Mój naleśnik - szepnął, a Tilda zaczęła chichotać bezradnie.

Później, po kolacji, Max odprowadził ją do hotelu. Było ciemno, cisza dzwoniła im w uszach. Tilda przypomniała sobie spacer tą drogą pierwszego wieczoru we Francji i zrozumiała, że wiele się między nimi zmieniło. Lodowata uprzejmość stopniała. Max również śmiał się z Josha i przez chwilę znów stanowili rodzinę.

Potem długo spacerowali w milczeniu. Pomyślała, że żadne z nich nie chce łamać kruchego rozejmu.

- Będziesz im w końcu musiała powiedzieć o ojcu - odezwał się wreszcie Max. - W

ich wieku zadaje się dużo pytań.

- Nie mogę - odparła ze złością.

Gwiazdy oświetliły bladą, krętą drogę i wlot do doliny.

- Przecież kiedyś i tak dojdą prawdy. Podobnie jak ty. Przypomniała sobie dzień, kiedy dowiedziała się od ciotki

Sarah prawdy o swoim ojcu. A potem uciekła z Southam - do dziś pobrzmiwał jej w uszach szczeł nożyczek, którymi ścinała włosy w przedziale trzeciej klasy.

- Nie czuję się na siłach. Mam im wyznać, że mój ojciec zgwałcił matkę i wtrącił ją do zakładu dla psychicznie chorych. Jak im wytłumaczyć taką okropność? A w dodatku jeszcze Caitlin... - Głos jej drżał.

Dotarli do wioski. Otaczały ich drzewka cytrynowe szarzejące niczym duchy w ciemnościach. Tilda myślała o złości i nienawiści w oczach Caitlin. Była ciotką dziewczyny, a kochała się z jej ojcem. Znienawidziła zresztą samą siebie za obie te rzeczy.

Max ujął ją pod łokieć i pokierował do małej kafejki po drugiej stronie placu. Na stołach stały metalowe krzesła. Zdjął jedno z nich z blatu i postawił przed Tildą. Usiadła, a on spoczął obok.

- Proszę - powiedział, podając jej chusteczkę. Do tej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Wytarła nos i ten odgłos odbił się echem o ściany cichych, pustych budynków.

- Papierosa?

*R S*

Bardzo rzadko paliła, ale sięgnęła po gauloise'a.

- Nie umiem się pogodzić z tym, że przeszłość nadal mnie rani. Nie potrafię przed nią uciec. Wszystko, co robię i co robiłam, tkwi właśnie tam i nadal ma na mnie wpływ. To nie fair.

Przetarła oczy opuszkami palców.

- Kiedy ciotka wyjawiała mi prawdę o ojcu, przeklęła de Paveleyów. - Podniosła na niego wzrok. - Przeklęła ich. Ale zupełnie zapomniała, że ja przecież też należę do tej rodziny.

Zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Z łokciami na metalowym blacie wyraziła na głos cały strach, jaki prześladował ją od lat.

- Na mnie również ciąży ta klątwa, nie rozumiesz? Dlatego właśnie pamiętam o wszystkim, co się od tamtej pory wydarzyło.

- Tildo, chyba nie wierzysz w takie bzdury, prawda? Wiem, że Sarah budziła czasem strach, ale tego rodzaju przesady robią dzisiaj wrażenie tylko na ludziach mieszkających na zapadłej wsi.

- A Jossy? - szepnęła. - Pomyśl, co się stało Jossy. No i ziemia, dom... Caitlin nie ma nic, Maksie, nic. Nawet Daragh...

Urwała. Wypowiedziała imię Daragha po raz pierwszy, odkąd opuścił ją Max. Przymrużył oczy, ale odwrócił się do Tildy i wziął ją za rękę.

- Jesteś po prostu zmęczona. Nie myślałabyś w ten sposób, gdybyś nie była skrajnie wyczerpana. Zrobiło się późno, idź spać. - Rzucił niedopałek na bruk i rozgniół go obcasem. - Ten pułkownik chyba cię zmusza do zbyt ciężkiej pracy. Nie powinnaś się zajmować takimi rzeczami.

Już zamierzała się na niego rozgniewać, tak jak na Archiego, ale nagle dojrzała troskę w jego oczach. Maksowi nadal na mnie zależy - myślała. - Nadal mu zależy.

Przygryzła wargę.

- Widzę, że rozmowa o przeszłości stanowi dla ciebie ogromną trudność. Uważam jednak, że dzieci zasłużyły na jakieś wyjaśnienia. Takie sprawy wychodzą zwykle na światło dzienne w najmniej odpowiednich momentach. - Zerknął na nią spod oka. - Prawda, Til-R S

do? - Dotknął jej ręki. - Zimno ci... bardzo mi przykro. Te chłodne noce...

- Nic mi nie dolega. - Spróbowała się uśmiechnąć.

- Weź to. - Wstał, zdjął marynarkę i okrył nią Tildę.

Chciała wtulić twarz w klapy, ale nie śmiała.

- Problem polega na tym, że pamiętam, jak ja się czułam, gdy Sarah wszystko mi wyjaśniła - powiedziała wolno Tilda. - Zupełnie jakby ktoś obrzucił mnie błotem.

- Nie wybrała chyba najlepszego momentu na tę rozmowę - prychnął Max. - Nigdy nie potrafiła łagodzić ciosów. Sama była twarda jak stare buty i uważała, że inni ludzie są dokładnie tacy sami. - Zmarszczył brwi. - Może udałoby ci się wyjaśnić całą sprawę w kontekście tamtej epoki. Edward de Paveley był wprawdzie starym draniem, ale również wspaniałym żołnierzem.

- Walczył pod Ypres i pod Sommą - dodała Tilda. Dowiedziała się o tym od Kita, który przyszedł kiedyś do niej na herbatę. - Dostał nawet parę medali za odwagę.

- Właśnie. Stanowił po prostu mieszankę, jak większość ludzi. Tyle że popadał w większe skrajności. - Max zerknął na zegarek. - Zamkną nam hotel. - Wstał od stołu i pomógł się podnieść Tildzie. - Porozmawiam z Melissą, jeśli chcesz.

- Naprawdę? Mógłbyś?

Dotarli na miejsce. Max nacisnął dzwonek, a Tilda wręczyła mu marynarkę. Franklin pomyślał, że za chwilę poda jej rękę, powie grzeczne dobranoc, a następnego dnia Tilda wyjedzie do Anglii i zniknie mu z oczu na parę miesięcy. Drzwi otworzyły się.

- Dobranoc, Tildo - powiedział Max i pocałował ją w policzek.

Weszła do środka. Max był już odwrócony do niej plecami. Konsjerżka, mamrocząc coś pod nosem, poszła z powrotem do służbówki, a Tilda oparła się o ścianę i przymknęła oczy, niezdolna, by się poruszyć. Nadal czuła na twarzy dotyk ust Maksa i niespodziewany, obezwładniający przypływ pożądania.

- Muszę zostać i opiekować się tatusiem - szepnęła Melissa.



- Wiem, kochanie. - Tilda, Josh i Melissa siedzieli w ogrodzie za garażem, w cieniu morwy. Max pojechał oddać rollsa właścicielowi.

- On zupełnie o siebie nie dba. Na każdy posiłek zjada chleb z serem.

Tilda uśmiechnęła się do córki.

- Twój ojciec nigdy nie przywiązywał wagi do jedzenia. Kiedyś mi się wydawało, że *R S*

zjadłby nawet gwoździe i nakrętki, gdybym położyła je przed nim na talerzu. - Otumaniona ciepłem i optymizmem, jakiego nie odczuwała od lat, oparła się o drzewo.

- No i kołnierzyki od koszul ma teraz przetarte po obu stronach.

Koszule Maksa, kupione mu przez matkę przy Jermym Street... Tilda przeniecowała je własnoręcznie, by przetrwały wojnę.

- Wiem, że musisz zostać - powiedziała, ujmując córkę za rękę. - Ale niedługo przyje-dziesz do mnie na wakacje, prawda?

- W lecie. Na długie, długie tygodnie.

- Nauczę cię strzelać do gołębi z wiatrówki - obiecał Josh.

- Dziękuję - odparła Melissa wyniośle. - Lubię gołębie.

- O! Samochód! - Josh podniósł się z krzesła. - Pójdę i pomogę Gastonowi. - Wybiegł

na podwórze.

Melisa przytuliła się do Tildy.

- Będę mogła mieszkać u ciebie w pokoju, prawda, mamusiu? Tilda pogłaskała jasne, proste włosy córki.

- Nie chcesz dzielić pokoju z Caitlin?

Nie widziała twarzy dziewczynki, dostrzegła tylko gwałtowny ruch głowy.

- Kiedyś mi się wydawało, że Kate jest miła. Miała ładną buzię i sukienki. Potem przemyślałam to wszystko i zrozumiałam, że się myliłam - szepnęła dziewczynka z głową wtuloną w ramię matki.

- Może o tym porozmawiamy?

- Nie, nie. Nie teraz. Dopiero jak się zestarzeję i wyjdę za mąż, bo wtedy to wszystko nie będzie się liczyło.

Tilda zerknęła na zegarek. Max obiecał wrócić około południa, a dochodziło wpół do pierwszej. O

drugiej mieli jechać na stację. Pocałował mnie - pomyślała po raz tysięczny tego dnia. Właściwie tylko cmoknął w policzek, ale zawsze... Słońce przedarło się z trudem przez baldachim liści, cienkie promienie padły Tildzie na twarz. Przymknęła oczy.

Łączyły ich dzieci. Tego węzła nie potrafił przeciąć nawet Max. Max i Melissa wybierali się do Anglii na ślub Rosi, a potem Melissa miała spędzić resztę wakacji w Woodcott St Martin. Może Max mógłby również pobyć z nimi choć przez tydzień albo dwa? A jeśli by Max został znów jej przyjacielem, może z miłości powstałby inny bliski związek? Tak już *R S*

się przecież zdarzało.

Słońce sięgnęło zenitu. Tilda nadal siedziała oparta o morwę i drzemała, Melissa trzymała jej głowę na kolanach.

W kuchni zabrzęczały naczynia. Tilda otworzyła oczy i podniosła wzrok, pewna, że przyjechał Max.

- Max, kochanie, wróciłam - zawołał przez okno jakiś dziewczęcy głos. - Annette czuje się lepiej. W dodatku odwiedziła ją teściowa, a to prawdziwy potwór! Pomyślałam więc, że przyjdę i ugotuję ci obiad.

- Cecile - powiedziała Melissa, przecierając oczy.

\* \* \*

Wbrew umowie właściciela rolls-royce'a nie było w domu, kiedy Max przywiózł samochód. Musiał czekać - parkując na słońcu - ponad godzinę. Parę razy zamierzał zrezygnować, ale liczył na pieniądze i - patrząc wściekle na zegarek - nadal wypatrywał farmera.

Oparty o lśniącą karoserię auta, pokrytą teraz lekką warstewką kurzu, zdecydował, że wyzna Tildzie miłość. I nic więcej. Jej odpowiedź stanowiłaby o przyszłości. Przed rozstaniem powiedziała mu, że go kocha, ale wtedy nie uwierzył. Teraz jej słowa powróciły jak bumerang, zapalając w nim iskierkę nadziei. Przez ostatnie parę dni nie wiedział, co Tilda do niego czuje. Nerwowo zerknął na zegarek. Postanowił dać temu draniowi jeszcze dziesięć minut.

Dziesięć minut prawie minęło, gdy na drodze pojawiła się chmura dymu. Traktor zjeżdżał powoli w dół wzgórza. Właściciel rollsa zeskoczył z siodła i zaczął gładzić z lu-bością swój ukochany samochód. Potem uściśnął mocno rękę Maksa i zaproponował kieliszek wina. Liczenie zatłuszczonych banknotów dziesięciofrankowych trwało wieki. W koń-

cu Max wyjął rower z bagażnika rollsa i popedałował wściekle do domu.

Los mu jednak nie sprzyjał. Gaston zatrzymał Maksa w chwili, gdy ten pojawił się na dziedzińcu - dystrybutor znowu się zatkał, a poirytowany automobilista kłął na czym świat stoi... Gdy Max usunął awarię, Tilda siedziała już z dziećmi na ławce przed domem, gotowa do wyjazdu na stację. Walizki leżały spokojnie w bagażniku.

Max postukał zegarek.

- Mamy jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut.
- Wolę być wcześniej na dworcu. *R S*
- Ale przecież wykupiłem miejsca. Tilda wyraźnie unikała jego wzroku.
- Chciałabym kupić coś do czytania, a Josh na pewno poprosi o słodycze.
- Jadłaś? - spytał krótko, a ona potrząsnęła głową.
- Nie jestem głodna. Dzieci jadły.

Pomyślał, że Tilda zachowuje się tak, jakby z trudnością znosiła jego towarzystwo.

Umył się i przebrał, uruchomił silnik i pojechał do Saintes. Milczała i nawet na niego nie patrzyła - jechali niemal w całkowitej ciszy. Na dworcu Max jakoś się pozbierał i pożegnał

serdecznie z Joshem, a potem wręczył mu jeszcze kilka franków z zapłaty, jaką odebrał od farmera.

- Pomagałeś przy naprawie auta. To twoja należność - powiedział, a chłopiec aż pojaśniał z radości.

Patrzył na odjazd pociągu z ciężkim sercem. Dał Melissie chusteczkę, bo płakała, ale jemu też chciało się wyć. Biorąc córkę za rękę, zrozumiał, że czekał zbyt długo i stracił Tildę na zawsze.

Biegając dróżką prowadzącą do Memorial Hall, Caitlin dostrzegła Juliana stojącego przed wejściem. Koniuszek papierosa wyglądał jak mała pomarańczowa gwiazdka w ciemnościach.

- Możemy zrobić dziś próbę u mnie w domu? - spytał. - Czekam na ważny telefon.
- Ale... proszę pana - zająknęła się Caitlin.

- Margaret musiała pojechać do Eastbourne. Jej matka zachorowała. - Rzucił niedopa-

łek na ziemię. Caitlin szła za nim ścieżką. Serce waliło jej jak młotem. Próby nie odbywały się już od kilku dni z powodu grypy Juliana, a Caitlin przez cały ten czas analizowała swoje uczucia. Chwilami mogła dać głowę, że Julian się w niej zakochał. Całował ją przecież i powtarzał wielokrotnie, że jest bardzo ładna. Niestety, wszystkie kobiety biorące udział w przedstawieniu - z wyjątkiem pani Cavell - kochały się w Julianie, a całusy miały raczej przyjacielski charakter. Sprawiały Caitlin większą przyjemność niż pocałunki Martina, ale nie były aż tak namiętne.

Szli wzdłuż drogi prowadzącej do małego osiedla za pocztą. Małe, dość niepozorne domki powstały w okresie międzywojennym. Julian otworzył furtkę, a Caitlin poczuła, że ogarnia ją rozczarowanie. Ten przeciętny dom nie pasował do Juliana, umniejszał jego wartość.

- Okropne miejsce, prawda? - spytał Pascoe, odwracając się do Caitlin. - Dostaliśmy tę rudę w prezencie ślubnym od ojca Margaret, razem z zestawem noży do ryb i tak obrzydliwym kredensem, że trzymam go w garażu. Przechowuję w nim pastę do podłóg; do niczego innego się nie nadaje.

Caitlin zachichotała, Julian dopasował klucz do zamka i otworzył drzwi. W korytarzu zdjął płaszcz i wprowadził Caitlin do salonu z francuskim oknem wychodzącym na ogród.

W pokoju stały trzy miękkie sofy i pianino.

- Masz ochotę na drinka, kochanie?

- Poproszę o dżin z tonikiem.

Niepokój całkowicie ją opuścił. Czowała się, jakby grała w sztuce. Zrobiła staranny makijaż, włożyła najlepszą suknię, a pokój odgrywał rolę sceny. Zapamiętała nawet swoją kwestię: „Proszę o dżin z tonikiem”.

Ale on nie podszedł do pianina, tylko usiadł na sofie i wskazał Caitlin miejsce obok.

- Przykro mi z powodu ostatniej próby, kochanie. Fatalnie się czułem - powiedział. -

Same stresy... Będę bardzo zadowolony, jak już się wreszcie skończy ta przekłeta rewia.

Caitlin popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie mogła sobie wyobrazić, czym wypełni czas po przedstawieniu. Widziała przed sobą tylko pustkę.

- Czyżbyś nie lubił tego zajęcia?

- Tylko częściowo - odparł. - Mam ostatnio sporo kłopotów. Teść chce, żebym dla niego pracował.

- Na czym by polegało twoje zajęcie?

- On się zajmuje importem drewna. - Julian przewrócił oczami. - Wyobrażasz to sobie? Przecież ja ledwo odróżniam mahoń od orzecha.

Napełnił ponownie jej szklankę.

- W takim razie czego byś chciał, Julianie? - spytała.

- Napisać sztukę... wyreżyserować film. A przede wszystkim wyjechać. Duszę się tutaj.

- Jest nudno - zgodziła się.

- Nietrudno się domyślić, że tak to odbierasz. Pewnie tęsknisz za swoimi wzgórzami i jeziorami, Caitlin Canavan.

Nie zdradziła Julianowi, że zna Irlandię tylko z atlasów i pocztówek.

- Nienawidzę Southam - powiedziała.

Wyjrzał przez okno. Na czole pojawiła mu się zmarszczka niezadowolenia.

- Czuję się tutaj zupełnie nie na miejscu, jak w pułapce. Dokładnie rozumiała jego doznania. Od śmierci matki odnosiła wrażenie, że znalazła się nie tam, gdzie być powinna.

Nie usiadł, krążył tylko niespokojnie po pokoju.

- Chciałbym zostawić to wszystko, zacząć od nowa. Wrzucić tylko parę drobiazgów do plecaka i odejść.

- A twoja żona? - spytała szeptem.

- Ożeniłem się z nią rozsądkiem - odparł.

Caitlin wyobraziła sobie, że podróżuje z Julianem po świecie. Mieszkaliby w hotelach, pracowali w małych teatrzykach. Jeździliby razem konno, tańczyli. Julian całowałby czubek jej głowy.

„Wyglądasz jak mała księżniczka”...

Pascoe stał przy oknie z pochyloną głową. Przygarbił się, skurczył, jakby dźwigał ja-kiś ogromny ciężar. Zaczęło padać, wielkie niczym groch krople ześlizgiwały się po szybie.

Caitlin wstała z kanapy i z wahaniem dotknęła jego ramienia.

- Biedny Julian - powiedziała. - To musi być dla ciebie naprawdę okropne.

Popatrzył na nią z ponurym uśmiechem.

- Sądziłem, że zrozumiesz. Nikt poza tobą nie wie, o co mi chodzi.

Wyciągnął ręce i wziął Caitlin w ramiona. Dziewczyna położyła mu głowę na piersiach. Takiego poczucia bezpieczeństwa nie doznawała od lat. Wrażenie, że nie jest sobą, minęło bezpowrotnie. Przymknęła oczy, rozkoszując się ciepłem jego ciała. Chaos, sromota i konflikty ostatnich dwóch lat zniknęły jak senna mara, za którą Caitlin zatrzasnęła drzwi.

Przez dłuższy czas w ogóle się nie odzywała. Usta Juliana dotknęły czubka jej głowy, dłonie zacisnęły się na ramionach.

- Przyszłaś tutaj godzinę temu, kochanie. O której powinnaś być w domu?

- Moja opiekunka wyjechała. Nikt nie zauważył mojej nieobecności.

- Ach tak. - Zamilkł na chwilę. - Bardzo cię pragnę, wiesz?

Przypomniała sobie Martina, te okropne chwile na tylnym siedzeniu auta i pomyślała, że chyba drugi raz tego nie wytrzyma. Wolałaby niczego nie zmieniać, ale jednocześnie ro-R S

zumiała mężczyzn uznających jedynie zasady handlu wymiennego: zapewnienie o miłości za krótkie chwile upokorzenia. Podniosła wzrok na Juliana i uśmiechnęła się.

Zabrał ją do sypialni na piętrze. Tam zaczęła się rozbierać, tak jak wtedy, kiedy była z Martinem, ale Julian powstrzymał ją gestem ręki i sam porozpinał wszystkie guziczki oraz suwaczki, przypieczętowując każdy ruch pocałunkiem i czułym słowem. A potem, już w łóżku, pieścił i całował Caitlin tak, że gdy wreszcie jej dotknął, krzyknęła z rozkoszy i odda-

ła mu się bez wahania.

Kiedy znów przyszła do niego do domu, otworzył drzwi i bez słowa powiódł ją do sypialni. Tam kochał się z nią z takim znawstwem i pieczołowitością, że potem leżała długo z zamkniętymi oczyma, całkowicie wyczerpana, niezdolna, by się poruszyć.

- Margaret wraca pod koniec tygodnia - powiedział.

- Ale to chyba niczego nie zmieni...

- Oczywiście, że zmieni - odparł z irytacją i zaczął wkładać ubranie. - I to nawet bardzo.

- Przecież mówiłeś...

- Co takiego?

- Że zamierzasz od niej odejść.

Julian zaśmiał się krótko.

- Nie załatwia się w ten sposób tego rodzaju spraw, moja droga. Trzeba najpierw zrobić jakiś plan. - Zawiązał starannie krawat.

Później myślała o rozmowie z Julianem we własnej sypialni. Jej ojciec po prostu odszedł. Nie wierzyła, by cokolwiek planował.

Przyznawała się sama przed sobą, że nie jest do końca pewna Juliana. Byli kochan-kami, ona go uwielbiała i zamierzała wyjść za niego za mąż. Nie wiedziała jednak, co on właściwie czuje. Podczas prób traktował ją identycznie jak innych członków zespołu, tylko od czasu do czasu całował ją zdawkowo za kulisami, kiedy nikt nie patrzył. Rozumiała tę rezerwę, ale sarkastyczne uwagi sprawiały jej ból. I choć była świadoma swej urody, nie mogła się pogodzić ze sposobem, w jaki Julian skrytykował jej taniec.

- Poruszasz się troszkę jak słonik, kochanie - powiedział, a te słowa nadal pobrzmiwały w jej uszach. I choć Julian wyraził głośno swoją dezaprobatę dla Woodcott St Martin, Caitlin po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że nie jest to chyba równoznaczne z R S

propozycją wspólnego wyjazdu. Przy Julianie nie wątpiła w szczerść jego uczuć, pozosta-wiona samej sobie nie była pewna, co o tym wszystkim myśleć. Premierę zaplanowano na początek maja, czasem Caitlin sądziła, że Julian czeka właśnie na pierwsze przedstawienie, a potem ją porwie i wywiezie gdzieś daleko. W najtrudniejszych, najgorszych chwilach niepewności myślała jednak, że po rewii w jej życie wkradnie się znowu nuda i pustka.

Rosi pisała książkę i od czasu do czasu redagowała cudze teksty. Zbliżały się końco-we egzaminy i dziewczyna sądziła, że może sobie z nimi nie poradzić. Ta myśl nie wprawiała jej jednak w przygnębienie, gdyż w lipcu wychodziła za mąż, a ponadto praca nad powieścią przebiegała nadspodziewanie dobrze. Bohaterka Rosi uprowadzona przez szczególnie okrutnego łajdaka przywiązała prześcieradło do jednego ze słupów łóżka i spuściła się po murze, szczęśliwie uciekając tym samym z niewoli.

Gdy tworzenie zaczynało ją męczyć, Rosi gotowała coś naprędce i zabawiała pułkownika rozmową. W domu nie było zbyt wiele pracy. Caitlin chodziła bez przerwy na próby albo do koni, Erich pracował w ogrodzie, a Hanna uczyła się dosłownie od świtu do nocy.

Rosi uważała, że wszystko układa się wręcz znakomicie, dopóki nie podsłuchała pewnej rozmowy.

Następnego dnia spodziewali się przyjazdu Tildy z Joshem. Rosi poszła na pocztę ku-pić kopertę na list dla Richarda. Obok ulotek reklamujących darmowy tran oraz giełdę rzeczy używanych na stoliku przy oknie leżały książki. Rosi stanęła przy półeczce i zaczęła przeglądać nieznanne tytuły. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i weszła następna klientka.

- Jesteś może wolna wieczorem, Dorothy? - spytała donośnym głosem, wypełniają-

cym całe pomieszczenie. - Muszę dziś skończyć te dekoracje, bo Julian się wścieknie.

- Zdaję się, że miała ci pomóc panna Canavan.

Uwagę wypowiedziano raczej chytrym, nieco ironicznym tonem. Rosi wzięła do ręki kolejną książkę.

- Owszem, ale ona nigdy nie dotrzymuje słowa. Na tych młodych dziewczynach w ogóle nie można polegać.

- Julian urządza jej chyba sporo dodatkowych prób.

Zapadła cisza.

- Chyba nie sądzisz?...

*R S*

- Nic nie wiesz? Nigel widział, jak się obściskiwali. Całe miasteczko o tym mówi.

- Przecież ona jeszcze chodzi do szkoły! A biedna Margaret.

Dzwoneczek nad drzwiami zaanonsował przybycie kolejnego klienta.

- Ach, przebaczy i zapomni, jak zwykle...

Rosi włożyła „Marzenie miłosne” do góry nogami na półkę i wybiegła ze sklepu.

Sprzątając szafki, postanowiła zachować na razie całą sprawę w tajemnicy przed Hanną. Hanna zanadto się wszystkim przejmowała, a poza tym mogło się okazać, że to tylko plotka.

Martwiła się jednak coraz bardziej. Caitlin miała teraz próby prawie codziennie. Rosi zauważyła, że dziewczyna wychodzi z domu usmarowana makijażem, w najlepszych ciu-chach - futrach i jedwabiach, które zapewne należały kiedyś do jej matki. Córka Daragha okazała się nieuleczalną flirtiarą - nawet gdy Richard, narzeczony Rosi, przyjechał kiedyś do Poony, Caitlin robiła do niego słodkie oczy, a biedak zupełnie nie wiedział, co począć.

Rosi nie dbała o losy Caitlin, ale nie potrafiła przewidzieć, jak na to wszystko zareaguje Tilda. Rozważyła w duchu wszystkie ewentualności. Mogła oczywiście porozmawiać z Caitlin, ale była pewna, że ta ją okłamie. Mogła również starać się jakoś dojść prawdy.

Po kolacji Caitlin wyłoniła się z sypialni otulona chmurą tanich perfum.

- Znowu idziesz na próbę? - spytała Rosi słodkim głosem.

- Tak. I wrócę późno. Julian chciał przesłuchać całość.

Rosi odczekała chwilę, potem chwyciła żakiet i zbiegła na dół, po czym ruszyła za Caitlin wąską drogą biegnącą obok świetlicy. Czuła się jak szpieg, gotowa w każdej chwili skryć się za drzewem, w razie gdyby Caitlin odwróciła głowę, ale nic podobnego się nie sta-

ło. W końcu obie dotarły do dużego domu ogrodzonego żywopłotem. Schowana za ligu-strem Rosi dojrzała, jak Caitlin naciska dzwonek. Drzwi otworzyły się i Caitlin weszła do środka. Rosi przemknęła kawałeczek wyżwirowaną alejką, starając się nie robić hałasu. Po chwili stała już przed tylnymi drzwiami. Na dole było ciemno, paliła się tylko lampa w pokoju na górze.

- Głupie dziecko - mruknęła do siebie Rosi, biegnąc z powrotem do frontowego wej-

ścia. Przycisnęła dzwonek i nie cofnęła palca, dopóki nie usłyszała dudniących kroków i nie zobaczyła że w holu zapala się światło.

W progu stanął mężczyzna koło trzydziestki i popatrzył wściekle na Rosi.

*R S*

- Co do cholery?...

Domyśliła się od razu, że to Julian Pascoe.



- Przyszłam zabrać siostrę do domu - powiedziała i wyminęła go stanowczo, by wejść na schody.

## Rozdział 16

Pracowałam w bibliotece otoczona książkami opisującymi tło historyczne czasów, kiedy to w nieznanych okolicznościach zginął Daragh Canavan. Powódź, spotkanie Daragha z Tomem Kennym i jego przyjaciółmi, odkrycie, jakiego dokonała Jossy, jej desperacka próba ratowania małżeństwa, próba, która w końcu kosztowała ją życie. I wreszcie powrót Maksa do Southam i zniknięcie Daragha. Próbowałam sobie wyobrazić, co Canavan robił

przez cały dzień. Pił. Zaproponował Caitlin przejażdżkę następnego ranka. Przygotowali koszyk z jedzeniem, a potem, o zachodzie słońca, Caitlin widziała, jak jej ojciec zmierza w stronę pól. Był kwiecień, co zapewne oznaczało, że Daragh opuścił Dwór między szóstą a siódmą wieczorem. Jak się później okazało, już nikt po patrzącej za nim z ogrodu Caitlin nie widział Daragha żywego. Nikt, poza mordercą. I choć Daragh szedł drogą do Southam, żaden z wieśniaków go sobie nie przypomniał. Ciało Daragha znaleziono czterdzieści osiem lat później, na odludziu pomiędzy Dworem a wioską.

Ale gdy tak siedziałam wśród encyklopedii, nie mogłam wpaść na żaden pomysł. Nie potrafiłam dojść prawdy, choć prosiła mnie o to zarówno Tilda, jak i Caitlin. Zaczęłam powoli sądzić, że podjęłam się po prostu niewykonalnego zadania. Nadal nie wiedziałam, czy *R S*

Tilda jest takim aniołem, jak opisywały ją gazety, czy też hipokrytką o morderczych skłonnościach. Jeszcze raz stanął mi przed oczyma kryształowy żyrandol z werandy Czerwonego Domu. Kryształki poruszały się w przeciągu, a słońce w fasetach iskrzyło wszystkimi kolorami tęczy. Żadne z dwóch barw nie były takie same. I choć chciałam przyjąć wersję Tildy, skłaniałam się raczej ku interpretacji wydarzeń, jaką przedstawiła Caitlin. Z dzienników wynikało jasno, że Tilda naprawdę wypędziła osieroconą piętnastolatkę z domu. Caitlin prowadziła rozwiązły i nieuczciwy tryb życia, lecz w świetle upokorzeń, jakie musiała prze-

żyć, nie widziałam w tym nic dziwnego. W stosunku do Melissy postąpiła z pewnością okropnie, jednak wiele nastolatek robi świństwa koleżankom. Wychowanie Caitlin wydawało mi się niczym nieusprawiedliwionym okrucieństwem.

Przypominałam sobie, jak uciekłam z domu Patricka i podświadomie dotarłam do biur Charlesa. Czulałam się teraz podobnie jak wtedy; z nieznanego trasy trafiłam jakimś cudem w znajome miejsce.

Myślami powędrowałam jak zwykle do Patricka. Czyżby rozdzielił nas brak zaufania spowodowany równie bolesnymi doświadczeniami? A może Patrick nie potrafił pogodzić się z tym, że nie nągiam się do jego woli? Czy Franklin naprawdę mnie kochał, czy też zagrażał niemal fizycznie, jak sugerował Charles? Wszystko, co robiliśmy, wszystko, co on mi mówił, okazało się bardzo dwuznaczne. Kryształki żyrandola trącane podmuchami powietrza też przybierały różne barwy: bursztynową, turkusową i różową.

Dotarłam do domu, kiedy było już całkiem ciemno. Zaparkowałam trochę dalej niż zwykle, bo pod kamienicą nie znalazłam żadnego wolnego miejsca; sąsiad wydawał przyje-

cie. Gdy już zmierzałam do wejścia, poczułam wyraźnie, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłam głowę, ale nikogo nie zobaczyłam.

Weszłam do mieszkania i znów poczułam się bezpieczna. Zrobiło się za późno i za gorąco, by cokolwiek gotować. Pokroiłam chleb oraz ser, po czym otworzyłam torebkę z oliwkami. Zasiadłszy za biurkiem, przewinięłam taśmę magnetofonową. W pokoju rozległ

się głos Tildy opisującej wakacje we Francji w 1949 roku. Zaczęłam notować, ale powieki mi ciążyły; dostałam migreny. Wyłączyłam magnetofon, zrzuciłam buty i zwinęłam się na łóżku.

Śniłam, że czyszczę kominki w pewnym starym domu. Wymiatałam popiół czernieją-

cy na palenisku i choć bardzo się starałam, nie mogłam usunąć go do końca, gdyż cienkie *R S*

strużki sadzy przez cały czas zbierały się wokół pogrzebacza i na metalowej kracie. Pracowałam na kolanach, ogarnięta gorączkowym niepokojem. Miałam na sobie długą suknię z wysokim kołnierzem, biały fartuch i buciki zapinane na guziczki, a włosy upięte w kok. Panował mrok i cisza, ale po chwili dotarły do mnie klekoty i trzaski, takie, jakby ktoś usiłował włamać się do domu. Bardzo chciałam skończyć sprzątanie, ale sadza wciąż spadała przez komin do paleniska, brudząc lśniące płytki. Znów usłyszałam szcęk klamki i wiedziałam, że za chwilę, kiedy tylko się odwrócę, zobaczę twarz swego pracodawcy - Edwarda de Paveleya. Wiedziałam, że jeśli komin nie zalśni od czystości, poczuje jego opasłe ciało na swoim i stracę oddech. Pisnęły drzwi.

Obudziłam się, z trudem chwytając oddech, i w tej samej chwili doznałam ogromnej ulgi. Był rok 1995, a nie 1913. Otaczały mnie egipskie ciemności, a gdy zerknęłam na zegarek, zobaczyłam, że dochodzi jedenasta. I znowu usłyszałam szcęk: ten sam co we śnie.

Nie mogłam się ruszyć. Paraliżował mnie strach. Usiłowałam sobie wytłumaczyć, że ponosi mnie wyobraźnia, gdy rozległ się łomot. Ktoś zeskoczył z lady kuchennej na podłogę. I nie był to ani Edward de Paveley, ani Daragh Canavan, ani inny duch. Ktoś naprawdę wszedł do mieszkania.

Zdołałam przyklęknąć. Drżącymi palcami gmerałam przez chwilę przy stoliku nocnym, ale znalazłam tylko lampę i budzik. Przypomniałam sobie, że zwróciłam ciężkie tomi-sko o Mokradłach do biblioteki. Deski w kuchni znów zaskrzypiały.

„Zastanawiałem się nawet, czy ci przypadkiem coś nie grozi”.

Chciałam wykrzyknąć na cały głos imię Patricka, ale nie mogłam dobyć z siebie gło-su.

Drzwi otworzyły się i światło zalało pokój, rażąc mnie w oczy.

- Charles - powiedziałam.

W pierwszej chwili doznałam obezwładniającego poczucia ulgi. Mój stary przyjaciel Charles. Solidny, niegroźny Charles, który mnie nigdy nie zawiódł. Kiedy jednak przyjrza-

łam mu się uważniej, znowu ogarnął mnie strach. Było coś dziwnego w jego oczach i zniszczonym, niechlujnym ubraniu.

- Charles - powtórzyłam. - Co ty tu robisz, na miłość boską?

- Powinnaś naprawić okno, Rebecca.

- Cholera! - Wpadłam w złość. - Jest jedenasta i...

*R S*

- Powinnaś naprawić okno. Każdy mógł tutaj wejść. Chociaż pewnie właśnie o to ci chodzi.

Wszedł chwiejnym krokiem do pokoju i pomyślałam, że jest pijany. Zbliżywszy się do łóżka, przy którym stałam, wyciągnął rękę, po czym pchnął mnie na kapę.

- Zostań tutaj - warknął. - Zostań, rozumiesz?

- Możemy porozmawiać w kuchni - zaproponowałam szybko. - Zaparzę herbatę.

- Nie chcę rozmawiać - mruknął. - Nie po to przyszedłem.

Charles jest dosyć szczupły, ale ja mam metr sześćdziesiąt, a on prawie dwa metry.

Strach powrócił ze zdwojoną siłą.

- Czekałem całe lata - powiedział nagle. - I dłużej nie będę.

- Na co czekałeś? - szepnęłam.

- Na ciebie.

Nie był ani chory, ani pijany. Brakowało mi natomiast czegoś w jego oczach. Patrzył

na mnie zupełnie pustym wzrokiem.

- Czekałem na ciebie - powtórzył. Rękę nadal trzymał mi pod szyją, opuścił ją niżej i zaczął pieścić pierś. - Pieprzyłaś się z tym dupkiem Carne'em, a ja czekałem. Straciłaś dziecko, on cię zostawił, dalej czekałem.

- Dobry z ciebie przyjaciel... - Choć próbowałam zachować spokój, głos mi drżał. Słyszałam odgłosy przyjęcia: muzykę i śmiechy. Wiedziałam, że jeśli nawet będę krzyczeć, nikt mnie nie usłyszy.

- Potem sprawy przybrały nieco lepszy obrót - dodał, jakbym w ogóle się nie odzywa-

ła. - Wróciła mi nadzieja. No ale ty wskoczyłaś prosto do łóżka Patricka Franklina. Nie mogłem w to uwierzyć. Tyle lat... Jesteś taka niewierna, Rebecca, prawda? Ale i tak cię pilnowałem.

Cofnął rękę i popatrzył na mnie. Gdy zobaczyłam chytry wyraz w jego bladych, zielonych oczach, natychmiast zrozumiałam wszystko.

- Śledziłeś mnie. To byłeś ty.

- Oczywiście, że ja. Lubię cię obserwować, jak śpisz. Nie wiedziałaś? Czasem uchylasz trochę kotarę, a ja mogę na ciebie popatrzeć. Gdybym nakrył tutaj Patricka, już by nie żył - oświadczył beznamiętnym tonem.

Na chwilę przestałam w ogóle myśleć.

*R S*

- Źle się czujesz - wyjąkałam, z trudem dobywając z siebie głos. - Może zadzwonię do twojego lekarza. Albo do Lucy.

- Nie. - W jego twarzy dojrzałam wyraz pożądania i ogromnego bólu.

Natychmiast znenawidziłam samą siebie za zlekceważenie jego miłosnych deklaracji.

Nie sądziłam, że należy do osób, które można głęboko zranić.

- Pokłóciłaś się z Patrickiem - ciągnął. - Pozwoliłaś mi się przytulić, płakałaś na moim ramieniu. Pamiętasz? Byłem taki szczęśliwy.

Rzeczywiście, szlochałam do słuchawki, a potem przyszedł Charles obładowany winem i różami. Teraz schylił głowę i położył mi ją na piersiach. Pogłaskałam go po splątanych włosach, próbując uspokoić.

Kiedy się wyprostował, popatrzył na mnie dziwnie.

- Myślałem wtedy, że mnie kochasz. Czekałem, czekałem, ty potrzebowałaś kogoś bliskiego, ja byłem na miejscu. Chociaż wiedziałem o dziecku Patricka, zaproponowałem, iż się z tobą ożenię. Kupiłem nawet pierścionek... nie miałaś o tym pojęcia, prawda?

Potrząsnęłam głową, niezdolna się odezwać. Przypomniałam sobie Southam i szklisty, nierealny bezruch krajobrazu.

- A ty mnie wyśmiałaś - powiedział z zadumą w głosie. - Po prostu wyśmiałaś.

W jego spojrzeniu miejsce miłości zajął gniew. Podniosłam się z łóżka - powoli, ledwo dostrzegalnie, tak by w razie potrzeby dopaść szybko do drzwi.

- Wcale nie zamierzałam się śmiać - odparłam łagodnie. - Nie powinnam była tego robić. Popełniłam błąd.

Odwrócił się nagle i zaczął mną potrząsać.

- Dlaczego nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, Rebecca?

- Nie o to chodzi. - Kościste palce Charlesa wbiły mi się boleśnie w ramiona. - Wiesz przecież, jak bardzo cię lubię. Przyjaźnimy się od lat. - Słyszałam, że w moim głosie pobrzmiwa panika.

- Pragnąłem tylko tego, co mieli wszyscy inni. A potem, gdy pojechaliśmy do Fens, zrozumiałem, że nie zamierzasz mi tego dać. Każdemu, ale nie mnie. Postanowiłem więc, że sam to sobie wezmę. A co, nie wolno?

Usłyszałam cichy odgłos - coś takiego, jakby wiatr zamknął otwarte okno - ale to wystarczyło, by Charles odwrócił głowę. Dostrzegłam w tym swoją szansę, wymknęłam mu się *R S*

z uścisku i przebiegłam przez pokój. Gdy jednak pochwyciłam za klamkę, Charles rzucił się na mnie i uderzył głową o drzwi. Poczułam dziwną miękkość w kolanach i osunęłam się na podłogę. Na suficie pokoju pojawiły się gwiazdy. Usłyszałam czyjś głos.

- Patrick - powiedziałam słabo i natychmiast pomyślałam, że pomieszało mi się głowie. Patrick przybył mi na ratunek? Jakim cudem? Szponiaste ręce Charlesa zawisły nad moją szyją, przyciskał mnie do podłogi. Koszmary senne zmieniły się w jawę.

I nagle ucisk zelżał - odzyskałam swobodę ruchów... Otworzyłam oczy. Patrick cią-

gnął Charlesa po pokoju; ten jednak wymierzył mu silny cios w szczękę i Franklin upadł na biurko. Laptop, pudełko z dyskietkami oraz cały stos papierów runął na podłogę. Charles rzucił się na Patricka, który jednak jakimś cudem zdołał go odepchnąć. Wiedziałam, że powinnam coś zrobić - zadzwonić na policję lub choćby wzorem filmowych bohaterek walnąć Charlesa po głowie wazonem, ale po prostu nie mogłam się ruszyć. Zresztą walka wcale nie była filmowa - raczej chaotyczna i niefachowa, a ciosy często nie trafiały do celu. W końcu Charles - próbując się podnieść - uderzył głową o spód biurka i opadł zdziwiony na podłogę.

Kiedy jednak Patrick zamachnął się na niego raz jeszcze, nie wytrzymałam.

- Nie, proszę, Patricku, przestań. Dość!

Patrick popatrzył na Charlesa, który się nie ruszał, i usiadł na łóżku, z trudem chwytając oddech.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Przytaknęłam, choć wcale nie byłam tego pewna. Po chwili ciszy rozległ się głośny płacz. Charles podciągnął kolana pod brodę i łkał jak dziecko. Mój sponiewierany pokój wypełnił się jego rozpaczą.

Wysłałam Patricka do kuchni po lód, który chciałam mu przyłożyć na rozcięty łuk brwiowy, i wywabiłam Charlesa spod biurka. Potem siedziałam na łóżku, on położył mi głowę na kolanach i łkał, że nie zamierzał zrobić mi krzywdy. Całe ciało miałam obolałe, ale jeszcze bardziej doskwierało mi poczucie winy. Charles mnie kochał, a ja zlekceważy-

łam jego uczucie. Choć historia Tildy powinna mnie nauczyć, jak bardzo może ranić nieodwzajemniona miłość. Wierzyłam Charlesowi, który powtarzał raz po raz, że nie zamierzał mi zrobić nic złego... A kiedy Patrick podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić na policję, natychmiast go powstrzymałam.

- Rebecca, na miłość boską... Przecież ten wariat usiłował cię zgwałcić. Wszystko sły-R S  
szałam.

- On jest chory. - Zastanawiałam się gorączkowo, co robić. - Zadzwoń do jego siostry. Może matka umieści go w klinice...

Patrick próbował jeszcze dyskutować, ale ja się uparłam. Noc w policyjnej celi wykończyłaby Charlesa. Wytropiliśmy jego matkę, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zwykle zimna i opanowana pani Lightman przyjechała niemal natychmiast z lekarzem z Harley Street, który protestował bardzo głośno przeciwko pobudce o takiej porze.

Charles popadł tymczasem w całkowite odrętwienie i wyszedł z nimi bez żadnych sprzeciwów. Zostałam sama z Patrickiem. Minęła trzecia nad ranem.

- Dziękuję - odezwałam się drżącym głosem. - Jak się tego domyśliłeś?

- Niczego się nie domyśliłem. Chciałem ci po prostu coś powiedzieć. Usiłowałem na-wiązać z tobą kontakt już od paru tygodni - zostawiałem ci wiadomości na sekretarce, ale ty nie reagowałaś.

- Kasowałam taśmę bez przesłuchiwania - przyznałam ze wstydem.

- Ach tak. - Przyjrzał mi się uważnie. Urodę psuła mu rana nad okiem. - Może i lepiej się stało, bo dzięki temu przyszedłem. Pracowałem do późna i pomyślałem, że przejadę koło twego domu i sprawdzę, czy przypadkiem nie palą się światła. Zamierzałem właśnie zapukać, kiedy nagle usłyszałem krzyk. Pobiegnę więc na tyły zobaczyć, czy drzwi są otwarte.

Nie były, ale udało mi się wejść przez okno.

- Będziesz miał strasznego siniaka nad okiem. Co mi chciałeś powiedzieć?

- Przyszły wyniki testów DNA. To ciało Daragha Canavana. Nigdy w to nie wątpiłam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Podśledzałem, o czym mówił Charles. Podobno spodziewasz się dziecka. Czy to prawda? - spytał w końcu Patrick.

Przytaknęłam.

- Dobry Boże! - Wbił we mnie wzrok. - Ale przecież... Od kiedy?

Widziałam, jak walczy z arytmetyką.

- To się musiało stać w Cumbrii. Chyba jestem w trzecim miesiącu.

- Chyba? - Patrick prawnik złapał mnie za słówko. Zamrugałam oczami. Po raz pierwszy tego długiego wieczoru zebrało mi się na płacz.

- Nie sprawdzałam tego u lekarza. Zresztą po co? Nie podjęłam żadnej decyzji.

*R S*

- Ach tak. - Najwyraźniej próbował się ode mnie odciąć. W tych dwóch krótkich słówkach nie potrafiłam się doszukać żadnego znaczenia.

- Nie jest mi łatwo - powiedziałam ze złością. - Oczywiście bardzo pragnę tego dziecka, ale sam widzisz, jakie mam małe mieszkanie, poza tym niewiele zarabiam i nie wiem, czy byłabym w stanie zapewnić mu godziwe życie. Jeśli ta książka mi się nie uda, będę musiała uczyć albo pracować jako sekretarka, a dziecko zostanie bez opieki z kluczem na szyi i...

- Przestań. - Objął mnie ramieniem i przytulił, a ja zaczęłam wylewać łzy na gors jego kosztownej koszuli szytej na miarę.

Ponieważ nalegał, pojechaliśmy na dyżur do najbliższego szpitala.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? - spytał wśród rozbitych głów i połamanych rąk.

Przeanalizowałam wszystkie stracone okazje i nieporozumienia, jakie między nami zaszły w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Nigdy nie udało mi się znaleźć stosownej sposobności. Wydawało mi się, że mnie nienawidzisz, a kochasz Jennifer.

- Widziałem cię wtedy wieczorem. Pobiegłem za tobą, ale zniknęłaś mi z oczu w tym tłumie.

Poczułam się jak idiotka. Bardzo zmęczona idiotka. Mój prześladowca, ten duch, któ-

ry mnie ścigał w Richmond, nazywał się Patrick Franklin. Zrozumiałam, że wytłumaczyłam sobie również zupełnie opacznie przyjacielski uścisk, jakim każdy mężczyzna ma prawo obdarzyć matkę swego dziecka.

- Musimy utrzymywać jak najlepsze stosunki - wyjaśnił, jakby czytał w moich my-

ślach. - Wolałbym, aby Ellie nie dorastała przy rodzicach, którzy nieustannie na siebie warczą. Powinniśmy pozostać przyjaciółmi choćby dla jej dobra.

Do izby przyjęć weszło trzech młodzieńców, podtrzymujących rannego kolegę, który miał najwyraźniej złamany nos. Na podłodze pojawiły się plamy krwi.

Przymknęłam oczy i zaczerpnęłam głęboko powietrza.

- Jest coś, co zamierzałam ci powiedzieć już od dawna. Nie chcę skrzywdzić Tildy.

Lubię ją, nawet kocham. Nie zależy mi na karierze do tego stopnia, by jej zaszkodzić.

Odwrócił ode mnie wzrok.

*R S*

- Toby Carne sugerował mi zupełnie co innego.

- Toby? - Przypomniałam sobie, jak tuż przed kłótnią w winiarni Patrick napomknął

coś na temat spotkania z moim byłym przyjacielem. Prześladował mnie duch starego kochanka.

- Toby obraził się na mnie, bo nie padłam mu w ramiona, kiedy tylko się zorientował, że za mną tęskni. Wszystko między nami skończone. Całkowicie i ostatecznie. Zawiódł

mnie, kiedy potrzebowałam go najbardziej, a teraz nie chce pogodzić się z tym, że mi na nim nie zależy. Lubi wygrywać.

- Wiem. - Patrick uśmiechnął się lekko. - Ścierałem się z nim w sądzie.

- Kto wygrywał?

- Ja.

A potem zadałam mu pytanie, jakie prześladowało mnie już od jakiegoś czasu.

- Wiedziałaś, że Daragh nie żyje, prawda? Milczał.

- Prawda? - Nie ustępowałam. - Dlatego nie chciałaś, żeby powstała biografia Tildy.

Proszę cię, mów coś - dodałam, gdyż nadal nie odzywał się ani słowem.

Wyciągnął przed siebie nogi. Chłopiec ze złamanym nosem upadł na podłogę, a dwie pielęgniarki rzuciły się natychmiast, by go podnieść.

- Nie wiedziałem. Bo i skąd? Podejrzywałem jednak, że jeśli nie żyje, to zginął w podejrzanych okolicznościach. Nie był chyba typem samobójcy.

- Z tego, co pamiętam, sądziłaś, że uciekł.

- Tak. No cóż. - Wyraźnie się zawstydził. - Takiej ewentualności też nie mogłem wykluczyć.

- Ale nie bardzo w to wierzyłeś.



- Uznałem, że raczej ktoś dał mu po głowie i dobrze ukrył. Tilda też tak uważała.

Przypomniałam sobie Tildę stojącą przy oknie, wyglądającą na ogród. „Nie opuściłby córki”.

- Rzecz jasna, nigdy nie łączyłem babci z tą sprawą - dodał z urazą w głosie.

- Czy Caitlin rozmawiała z tobą kiedykolwiek na temat ojca?

- Trochę. Traktowała go jak bóstwo. Ale jeśli poczytasz między wierszami, to się przekonasz, że Daragh najpierw rozpuścił ją jak dziadowski bicz, a potem zostawił bez grosza. Nie z powodu Daragha sprzeciwiałem się tej książce.

*R S*

- W takim razie dlaczego?

- Chodziło mi o wątek Caitlin i Ericha. I jeszcze o wyjazd Melissy. Cała ta sprawa wydawała mi się taka pokręcona. No ale w końcu wszystkie rodziny mają problemy.

Pomyślałam o własnej rodzinie i postanowiłam zadzwonić do ojca.

- Bałem się, że Tildę dotknie to bardziej, niż się spodziewała. Pod pewnymi względami ona jest przecież taka niewinna. Tak szczerze to nic mnie to nie obchodzi, kto zabił tego łajdaka. Bo Daragh Canavan był naprawdę niewiele wart... A Tilda dość już wycierpiała.

- Wiem - szepnęłam łagodnie. - Wiem.

- Pojedź ze mną do Cumbrii - powiedział nagle, patrząc na mnie przenikliwie swymi jasnyniebieskimi oczami. - Kupiłem ten dom. Musiałem się zwijać jak w ukropie, ale dwa dni temu zamieniłem mieszkanie.

- Sądziłam, że zamierzałeś tam spędzać wyłącznie weekendy.

- Boże uchwaj. Już od lat chciałem uciec z Londynu. Tylko Jen nie chciała się zgodzić.

- Zamierzasz hodować owce? Uprawiać ziemię? - Nie mogłam go sobie wyobrazić w charakterze pasterza.

Wybuchnął śmiechem.

- Ależ skąd! Kupiłem prywatną praktykę w Penrith. Tam w Cumbrii też potrzebują prawników. Sprawy mają tylko bardziej rutynowy charakter.

Znowu poczułam ukłucie zazdrości.

- Zamieszkasz więc blisko Jennifer?

- Raczej blisko Ellie. Ona zaczyna szkołę we wrześniu. Co drugi weekend będzie spędzać ze mną.

Patrzył na mnie prosząco. Jakaś moja część pragnęła wyrazić zgodę, ale wiedziałam, że tego mi zrobić nie wolno. Jeszcze nie dojrzałam do tego typu zobowiązań. Pozostało wiele nierozwiązanych spraw i dużo wątpliwości. Odwróciłam się.

- Rebecca, rozumiem, że już raz zawałiłem sprawę, ale...

- Nie o to chodzi. Raczej o mnie.

- Ach tak - mruknął już po raz drugi tej nocy. Zabrzmiało to trochę jak cicha skarga pokonanego człowieka. - Miłość. Ta złudna mała rzecz, za którą wszyscy tak gonią.

*R S*

Pomyślałam o Tildzie. Bardzo długo dochodziłam do wniosku, że to Max był wielką miłością jej życia, a nie Daragh.

- Myślę, że cię kocham - powiedział szybko, jakby się bał, że po dłuższym zastanowieniu zrezygnuje i oszczędzi sobie bezbronności, jaką pociąga za sobą taka deklaracja. -

Zakochałem się w tobie, kiedy wpadłaś do szpitala z wiązką zwiędłych narcyzów, zarumieniona na twarzy, rozczochrana...

- Pomyliłam drogę - powiedziałam obronnym tonem. - Szpitale to takie labirynty.

- ...i dałaś Matty pieniądze na tę nieszczęsną colę. Coś w tobie było...

Bezsens miłości - pomyślałam. Pielęgniarka wywołała moje nazwisko. Popatrzyłam na Patricka.

- Jeszcze nie - szepnęłam, wstając. - Może kiedyś, ale nie teraz. Potrzebuję czasu. Muszę jeszcze coś zrobić i coś zrozumieć.

Równie dobrze mogłam powiedzieć, że powinnam najpierw poznać zakończenie tej historii. Całując go w czubek głowy, zrozumiałam, że niecierpliwie oczekuję spotkania z Melissą. Wszystkie kwestie były otwarte. Zostawiłam Tildę, powracającą do domu na wiosnę 1949 roku, przekonaną o tym, że Max jej nie kocha.

## **Rozdział 17**

Max zachowywał się w stosunku do niej niezwykle uprzejmie i miło, ale nie dlatego, że żywił do niej jeszcze jakieś uczucie. Max, kulturalny Max, traktował z kurtuazją matkę swoich dzieci, ale oddał swe serce tej jasnowłosej Francuzce, która wpadła ni z tego, ni z owego do jakże dobrze sobie

znanej kuchni i zaproponowała, że ugotuje mu ulubiony obiad.

Żonę pocałował z litości. Wielokrotnie zwracał uwagę, że widać po niej zmęczenie. Zmęczenie, nie wiek. Na to był zbyt dobrze wychowany. On sam mógł się jeszcze podobać.

Mężczyźni - myślała Tilda, oglądając swoją twarz w małym lusterku w toalecie na promie - starzeją się znacznie wolniej niż kobiety.

Później, patrząc na ciemne, wzburzone fale, połykała łyżę goryczy i upokorzenia. Prom przycumował do portu wczesnym wieczorem, toteż zdążyli na pociąg do Oxfordu. Na dworzec dotarli już po ciemku - o daszek na przystanku autobusowym uderzały krople rześiste-go deszczu. Gdy zaczęli wreszcie jechać krętą drogą, Tilda marzyła już tylko o tym, by *R S*

przywitać się wreszcie z dziećmi, zwinąć na łóżku i zasnąć.

Już w domu przytuliła Rosi i Hannę, po czym dała im prezenty oraz listy od Maksa i Melissy.

- Gdzie Caitlin? - spytała.

- W swoim pokoju - odparła Rosi.

Tilda zdjęła mokry płaszcz.

- Pójdę do niej.

- Najpierw chcę z tobą porozmawiać. - Rosi chwyciła Tildę za ramię.

Erich oglądał swój prezent - książkę o kwiatach, a Hanna pobiegła na górę przynieść bluzkę. Josh usiadł do kolacji.

Poszła za przybraną córką do kuchni. Rosi zamknęła za nimi drzwi. Tilda czuła, że serce bije jej stanowczo zbyt mocno.

- Rosi? Czy Caitlin dobrze się czuje? Może zachorowała?

- Nie, nie. Jest po prostu obrażona. Ale coś się wydarzyło. Musisz się o tym dowiedzieć. Usiądź.

Potem, gdy Rosi już się zbliżała do końca swojej opowieści, Tilda poczuła do niej wdzięczność za tę radę, bo ze zdenerwowania trzęsły jej się nogi.

- Może to nie zaszło tak daleko... może to tylko flirt - wyjąkała z wahaniem.

- Była w łóżku - powiedziała ponuro Rosi. - Poszłam na górę i dosłownie wyciągnęłam ją z pościeli. Zaczęła wycierać i podrapała mnie po twarzy.

Caitlin - ukochana córeczka Daragha - nie ukończyła jeszcze szesnastu lat, a już miała romans z

żonatym mężczyzną.

- On się nazywa...

- Julian Pascoe.

- Opisz mi go.

- Koło trzydziestki, przystojny w pewien irytujący sposób. Chyba mógł się jej podobać.

- Kocha ją?

Rosi potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Natomiast bardzo się bał, żeby sąsiedzi nie usłyszeli jej wrzasków. Caitlin narobiła sporo hałasu.

*R S*

- Dobry Boże! - jęknęła Tilda cicho i wstała. - Gdzie on mieszka?

Rosi zrobiła zmartwioną minę.

- Najpierw zjedz kolację. Jesteś chyba bardzo zmęczona. To na pewno może poczekać.

- Nie sądzę - odparła Tilda i włożyła płaszcz. Rosi wytłumaczyła jej dokładnie, jak dojść na miejsce. W drodze powoli wzbierała w niej furia. Około trzydziestki, żonaty, przystojny... „Chyba mógł się jej podobać”.

Szła ścieżką prowadzącą do domu Juliana, przedzierając się przez błoto i rozgarniając z wściekłością gałęzie krzaków. Wreszcie pchnęła stanowczo furtkę z kutego żelaza, pobiegła alejką do wejścia i zadzwoniła do drzwi.

W progu stanęła żona Juliana, starannie uczesana, elegancko ubrana.

- Słucham? - powiedziała z wyniosłą miną.

- Chciałabym rozmawiać z panem Pascoe.

- Julianie? Ktoś do ciebie - zawołała kobieta, ale nie zaprosiła Tildy do środka.

Tilda zrozumiała natychmiast, dlaczego Caitlin zwróciła uwagę właśnie na Juliana.

Wysoki, żyłasty, ciemnowłosy - trochę podobny do Daragha, przedwcześnie utraconego ojca, którego Caitlin tak bardzo kochała.

- Nazywam się Tilda Franklin. Przyszłam pomówić z panem o Caitlin.

Julian zerknął nerwowo przez ramię.

- Nie tutaj - wymamrotał. - Mam próbę, kochanie! - krzyknął do żony, zdjął marynarkę z wieszaka i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi.

- A więc pańska żona o niczym nie wie? Rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

- Nie. I wolałbym, żeby tak zostało. Przejdziemy się? Szli alejką w kierunku drogi.

- Caitlin jest pani córką? - spytał nagle Julian. Zrozumiała, że ten człowiek zupełnie nic nie wie o Caitlin,

- Ona straciła oboje rodziców - odparła lodowato. - Opiekuję się nią od śmierci matki.

- Ach tak. - Przystanęli. Julian wyjął z kieszeni papierosa. - Nie uwiodłem jej - powiedział, podnosząc wzrok na Tildę. - Sama chciała.

Poczuła taki przyпіływ gniewu, że z trudnością wydobyła z siebie głos.

- Wykorzystał ją pan, panie Pascoe. Miał pan nad nią przewagę i zabawił się pan kosztem głupiej, bezbronnej dziewczyny. *R S*

- Ona doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co robi. - Potarł zapałką o trasę.

- Pan liczy sobie... ile właściwie lat?

- Trzydzieści jeden. - Zamrugął oczami.

- A Caitlin piętnaście. Nie wspominała panu o tym, panie Pascoe?

Po raz pierwszy stracił równowagę.

- Piętnaście?

- Tak. W świetle prawa dopuścił się pan gwałtu.

- Boże... nie wiedziałem... mówiła, że skończyła osiemnaście... Na pewno tak twierdziła. - Roześmiał się słabo i odrzucił do tyłu kosmyk włosów. Tilda pomyślała, że Pascoe trenował ten gest przed lustrem. - Gdybym znał prawdę, na pewno bym jej nie tknął. Wolę starsze kobiety. - Popatrzył uwodzicielsko na Tildę. - Nie wyda mnie pani przed żoną, prawda? - spytał z chłopcym uśmiechem.

Przez chwilę milczała.

- Jeśli spróbuje pan zamienić bodaj słowo z Caitlin, poinformuję o całej sprawie pańską rodzinę, przyjaciół, kolegów, sąsiadów... No i oczywiście policję. Czy to jasne?

- Tak. - Nad górną wargą wystąpiły mu małe kropelki potu. Otarł je wierzchem dłoni.

- Tak.

W dalszym ciągu wzburzona, ruszyła do wyjścia.

- Ona nie była dziewicą - doleciało ją zza pleców.

Obróciła się na pięcie i rąbnęła mężczyznę w twarz.

W drodze do pułkownika czuła, że boli ją dłoń. W Poonie skierowała się prosto do pokoju Caitlin. Dziewczyna leżała zwinięta w kłębek na łóżku. Na widok Tildy wstała.

- Rosi powiedziała mi o Julianie Pascoe - zaczęła Tilda.

- Suka... zawsze wtykała nos w nie swoje... Nie miała prawa!...

- Głęboko się mylisz. Prosiłam ją o opiekę nad tobą...

- Sama potrafię się sobą zająć.

- Dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat, ja jestem za ciebie odpowiedzialna. A teraz masz dopiero piętnaście. Pan Pascoe doskonale o tym wie.

- Rozmawiałaś z Julianem? - Caitlin z trudem dobyła z siebie głos.

- Tak. - Tilda usiadła na skraju łóżka. Krótki przypływ energii wywołany wściekłością już się skończył; teraz bolały ją ze zmęczenia wszystkie mięśnie. - Kazałam mu zostawić cię *R S*

w spokoju.

Ładną twarz dziewczyny wykrzywiła złość.

- Jak śmiałaś?! Julian mnie kocha!

Nic podobnego - pomyślała Tilda, ale nie wypowiedziała tego na głos. Nie chciała być aż tak okrutna.

- Pan Pascoe jest żonaty - dodała łagodniej.

- Zamierza opuścić żonę.

Tilda popatrzyła na swoje ręce. Czuła, że musi bardzo ostrożnie dobierać słowa.

- Nie sędzę, Kate. A poza tym ty jeszcze nie możesz założyć rodziny. - Wciągnęła głęboko powietrze. Czuła się stara, zmęczona i beznadziejna. Wiedziała, że całkowicie zawiodła Caitlin.

- Widzę, że cierpisz. Może byś wolała na razie zmienić otoczenie, zamieszkać w internacie?

- W internacie? - Caitlin zaśmiała się. - To byłoby dla ciebie bardzo wygodne, prawda?

Podniosła na nią wzrok.

- O co ci chodzi? - wykrztusiła.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, a potem Caitlin tylko potrząsnęła głową.

- Nic - odparła ponuro. Zapadła cisza.

- Jeśli nie zmienisz sposobu postępowania, narobisz sobie kłopotów. Nie mogę cię trzymać pod kluczem. Zostaniesz panną z dzieckiem, zobaczysz. Tego właśnie chcesz?

Caitlin odwróciła wzrok.

- Sądzisz, że twoja mama i tata marzyli o takiej przyszłości dla swojej jedynej córki?

- Co ty możesz wiedzieć o marzeniach mojego ojca. Nie masz o niczym pojęcia. - Caitlin podeszła do toaletki i przeciągnęła grzebieniem po włosach. Drżały jej ręce. Włożyła płaszcz.

- Dokąd idziesz?

- Wychodzę na próbę. Wczoraj nie byłam przez głupią Rosi. Nie zamierzam opuszczać kolejnej.

- Pan Pascoe rozumie, że nie weźmiesz udziału w tym przedstawieniu.

- Nie mogę brać udziału w przedstawieniu? - Oczy Caitlin pociemniały ze złości. -

*R S*

Oczywiście, że wezmę w nim udział. Próbujesz zniszczyć wszystko, co należy wyłącznie do mnie. - Otworzyła na oścież drzwi. - Nienawidzę cię! Nienawidzę, Tildo Franklin. I na pewno ci się za to wszystko odpłacę!

Caitlin pchnęła drzwi i wbiegła do świetlicy podczas próby kostiumowej. Zwróciły się na nią oczy wszystkich krzykliwie umalowanych aktorów w tandetnych kostiumach.

- Przepraszam na chwilę - powiedział Julian, zeskakując ze sceny.

Parę osób wybuchnęło śmiechem.

Pascoe chwycił Caitlin za przegub i wyprowadził na zaplecze, do zatłoczonej małej kuchenki.

- Po co tu przyszedłaś, do cholery?

- Chciałam się z tobą zobaczyć. Podobno Tilda złożyła ci wizytę?

- Tak... Piękna pani Franklin. - Uśmiechnął się ponuro. - Rzeczywiście wparowała do mnie do domu.

Będę się musiał nieźle tłumaczyć przed Margaret.

- Ale ona mówi, że nie wolno mi się z tobą widywać.

- Nie wolno. To chyba jasne. A poza tym, kochanie, gdybym znał twój prawdziwy wiek, w ogóle bym na ciebie nie spojrzał. Wszystko ma swoje granice.

- W październiku skończę szesnaście lat. Zaczekasz na mnie, prawda?

Wyraz twarzy Juliana zmienił się nieco. Miejsce niesmaku zajęła pogarda pomieszana z rozbawieniem.

- Czekać? Na kogoś takiego jak ty? Nie bądź śmieszna!

- Przecież ja ciebie kocham! Zerknął na zegarek.

- Czujesz do mnie miętę. Małe dziewczynki często robią słodkie oczy do starszych mężczyzn. Wyrośniesz z tego, zobaczysz.

- Julianie! - Chwyliła go za rękaw. - Kocham cię! Naprawdę! I ty też mnie kochasz!

- Nie - odparł z powagą. - Nie, nigdy ci tego nie mówiłem. Może i ostatni drań ze mnie, ale nie potrafiłbym tak kłamać. Bawiłem się tobą. Caitlin. Traktowałem jak miłą odmianę. Jesteś w miarę atrakcyjna, no i chętna, a ja nudziłem się jak mops. I to wszystko.

Zdjęła mu rękę z ramienia.

- Ale sztuka... - wyszeptała.

- Dałem twoją piosenkę Veronice. - Uśmiechnął się. - Ta twoja opiekunka mnie uderzyła. Rąbnęła mnie w twarz. Muszę przyznać, że nawet mi się to podobało.

*R S*

Caitlin wróciła do Poony tylko dlatego, że nie miała dokąd iść. Z bodaj dziesięcioma szylingami w kieszeni wyjechałaby z wioski i zapomniała na zawsze o jej istnieniu. Już w sypialni otuliła się w szlafrok, zasłoniła ręką usta i wbiła wzrok w bukiet kwiatów stojący w wazoniku na oknie.

Następnego dnia Caitlin znalazła Ericha w ogrodzie. Chłopak podwiązywał właśnie gałęzie krzewów owocowych.

- Spadł mi łańcuch. Mógłbyś założyć? - spytała.

Zarumieniony wstał i poszedł za nią do komórki. W jego niezdarnych rękach, rzadkich włosach i połamanych zębach było niewątpliwie coś odrażającego. Caitlin pokazała mu jednak rower.

- Potrafisz go naprawić?



Gmierał bez słowa przy brudnym rowerze, odwrócony plecami do Kate.

- To od ciebie są te kwiaty, prawda? - spytała. Łańcuch wypadł mu z rąk.

- Przepraszam - wyjąkał.

- Nie masz za co przeproszać. Przecież są piękne.

Znowu na nią popatrzył. Dostrzegła niedowierzanie w jego oczach.

- Podobają ci się?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

Powątpiewanie zniknęło z twarzy Ericha. W jego miejsce pojawiła się radość. Caitlin nabrała pewności, że się jej uda. Potrafiła rozkochać w sobie Ericha Wirmera. Lepszej zemsty nikt by nie wymyślił. Musiała zdobyć miłość Ericha, bo przez Tildę straciła Juliana. Ta podła kobieta odebrała jej zarówno ojca, jak i kochanka, teraz więc przysła kolej na Caitlin.

Teraz ona zamierzała ukraść coś Tildzie.

Max odprowadził Melisę na przystanek i właśnie szedł do domu, kiedy nagle usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się na pięcie.

- Cecile!

- Max, *chéri*. - Pocałowała go na powitanie.

- Spodziewałem się ciebie dopiero w przyszłym tygodniu. Zmarszczyła brwi.

- Melissa ci nie mówiła, że przyjechałam wcześniej? - Przycisnęła palce do ust, a zmarszczka na czole stała się jeszcze głębsza.

Max nic z tego nie rozumiał.

*R S*

- Kiedy tu byłaś? Melissa widocznie zapomniała...

- Najwyraźniej. - Cecile chwyciła go za rękę. - Postawisz mi kawę?

Poszli do kawiarni na rogu. Max zamówił cappuccino.

- Wróciłam parę dni temu i od razu do ciebie zajrzałam. Chciałam ci ugotować obiad.

Nie wiedziałam, że zastanę tam twoją żonę.

Popatrzył na nią ostro.

- Tildę?

Przytaknęła.

- Przykro mi, ale po prostu weszłam do kuchni. Potem zobaczyłam Melissę i zawołałam coś do niej przez okno. Z początku w ogóle nie zauważyłam Mathildy. Obie siedziały w cieniu drzewa.

- Kiedy to się wydarzyło?

- W środę. Chyba koło południa. Może trochę później.

Max zaklął pod nosem. Środa była ostatnim dniem pobytu Tildy. A on akurat o dwunastej odwiózł rollsa temu ślamazarnemu farmerowi. Dotknęła jego ręki.

- Nie wiedziałam, że odwiedziła cię żona. Nie przyszłabym tak bez uprzedzenia.

- To nie twoja wina - odparł z roztargnieniem. - Zaplanowaliśmy wszystko w ostatniej chwili. Tilda poprosiła mnie listownie o zgodę na jej przyjazd na ferie. Ty wtedy już byłeś u kuzynki. - Jęknął w duchu, kiedy sobie wyobraził, jak cała ta sytuacja musiała wyglądać.

Cecile weszła do niego do domu jak do siebie i zaczęła gotować. Nic dziwnego, że Tilda zachowywała się później tak chłodno i trzymała go na dystans.

- Wszystko ci popsułam, prawda? - spytała Cecile. Wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien.

Zapadła cisza. Cecile mieszała w milczeniu kawę, nie spuszczając wzroku z Maksa.

- A ty nadal ją kochasz, prawda?

Popatrzył na plac i drzewa rzucające cień na bruk.

- Powiedz - poprosiła.

- Tak, choć potrzebowałem naprawdę dużo czasu, by dojść do tego wniosku - wyznał, nie patrząc jej w oczy.

- W takim razie wrócisz do Anglii.

- Nie wiem. - Ostatnie trzy dni spędził, oscylując między pewnością, iż utracił Tildę *R S* na zawsze, i nieprzepartą chęcią, by wskoczyć do następnego pociągu do Calais.

- Oczywiście, że tak. Musisz to zrobić.

- Może.

- A ja? - spytała.

Wziął ją za rękę.

- Tyle ci zawdzięczam, byłaś taką wspaniałą przyjaciółką.

- Ale mnie nie kochasz - szepnęła ochryple.

- Jesteś bardzo droga memu sercu.

- Kocham cię, Max.

Popatrzył na nią przerażonym wzrokiem.

- To cię dziwi?

- Cecile... - Nienawidził sam siebie. - Nigdy nie chciałem, żebyś...

- Rozumiem. Ale teraz musisz się zdecydować. Która z nas? Nie odpowiedział.

- Nie martw się. Wiem, że nie ma wyboru. Wrócisz do Tildy. Dostrzegł w jej oczach łzy.

- Cecile... - urwał. - Tak mi przykro. Zachowałem się jak idiota. Prawdziwa ego-istyczna świnią.

- Och, Maksie - westchnęła i znowu się roześmiała. - Jaki ty jesteś angielski.

Hanna była przekonana, że obleje egzaminy. Sporządziła plan powtórek i zaczęła du-

żo pracować, ale tego ranka zerknęła na notatki na temat wątroby, jakie czytała kilka tygodni wcześniej, i stwierdziła z przerażeniem, że nic nie pamięta. Wszystkie długie słowa mą-

ciły się jej w głowie. Bała się, że na egzaminie albo napisze bzdury, albo zapomni cały swój angielski i poda odpowiedzi po niemiecku.

Bez przerwy bolała ją głowa i miała kłopoty z zasypianiem. A kiedy już udało się jej zapaść w upiorną drzemkę, prześladowały ją koszmary. Śniła o Holandii i Niemczech, co przywoływało wspomnienia, jakie dawno chciała wymazać sobie z głowy. Słyszała głosy rodziców i sióstr, a gdy wreszcie się budziła z twarzą zalaną łzami, dręczyło ją poczucie wi-ny.

Pewnego dnia po kolacji odbyła rozmowę z Tildą.

- Chyba wrócę wcześniej do college'u. Muszę popracować w bibliotece.

Tilda parzyła herbatę.

- Jesteś zmęczona, prawda? - spytała, stawiając przed nią filiżankę.

- Mam tyle pracy - odparła wykrętnie Hanna. - A mój mózg przypomina durszlak.

Wszystko z niego wypada.

Tilda podała jej cukier.

- Może za dużo pracujesz - powiedziała łagodnie. Hanna nie odezwała się ani słowem, popatrzyła tylko na

Tildę spod oka i zamieszała herbatę.

- Ciotka Sarah powtarzała mi często, że codziennie powinnam coś robić ze swoją głową, nogami i duszą. To była dobra rada - mruknęła Tilda.

- Brak mi czasu na takie rzeczy.

- Chodziło mi tylko o to, że powinnaś pójść na spacer. Albo nakarmić kaczki. Albo posiedzieć pół godziny w kościele. Tam jest tak miło, chłodno, może głowa mniej by cię bolała. Wyszłabyś odrodzona i pracowałabyś lepiej.

Hanna zaczęła nabierać podejrzeń co do swego stanu zdrowia. Opiekun naukowy w Cambridge zawsze jej radził, by nie uczyła się dłużej niż dwie godziny bez przerwy.

- Tylko mała przechadzka - zachęcała Tilda. - Proszę cię, Hanno.

Hanna popatrzyła na nią niepewnie, ale włożyła zakiet. Powietrze po deszczu pachnia-

ło świeżo i słodko. Najbardziej ze wszystkich miesięcy lubiła kwiecień i maj, tego roku mia-

ła jednak kłopoty z odróżnieniem pór roku. Pospacerowała chwilę po ogrodzie, po czym wyszła na główny trakt. Wiaterek chłodził przyjemnie obolałe czoło. Próbowwała wyliczyć z pamięci kości stopy, ale złapała się na tym, że zamiast powtarzać, wpatruje się z podziwem w dzwoneczki w lesie i delikatne główki dmuchawców. Włożyła ręce do kieszeni i posuwała się naprzód spokojnym, równym krokiem. Postanowiła, że następnego dnia wróci do Cambridge. Rosi, która bardzo źle znosiła długie rozstanie z narzeczonym, już tam pojechała.

W końcu Hanna znalazła się na drodze prowadzącej do Czerwonego Domu. Podniosła wzrok i w oddali dojrzała dwie postaci. Ericha rozpoznała natychmiast, ale musiała spojrzeć dwa razy, by się upewnić, że dziewczyna idąca obok to Caitlin.

Patrzyła ze zmarszczonym czołem na Ericha otwierającego furtkę. Pamiętała ogród wokół Czerwonego Domu, jego dzikie piękno i kwiaty, jakie udało się wyczarować Erichowi.

Potem zerknęła na zegarek. W przypiływie nagłej paniki uświadomiła sobie, że space-ruje od czterdziestu minut. Zawróciła więc szybko do Poony i swoich książek.

Erich pokazał Caitlin bukszpany, polankę z czerwonym bukiem, a także sad i krzewy.

Ogród za domem zostawił na sam koniec. Prowadził Caitlin po krętych alejkach, pod pnącymi różami i tłumaczył jej, w jaki sposób odkrył ogród, jak odgrzebał ścieżki, wyczyścił

staw i oswobodził kwiaty z niewoli chwastów. Nigdy dotąd nie gawędził tak gładko z kobietą. Prawie w ogóle się nie jąkał. Ilekroć Caitlin się uśmiechała, czuł, że ogarnia go nieznane dotąd szczęście. Gdy znaleźli się wreszcie na małej polance, przenosił wzrok z dziewczyny na marmurowy posąg, tak do niej podobny, i ledwo oddychał z rozkoszy.

Z róż, dzwonek i długich pnączy powoju ułożył piękną wiązanekę. Caitlin wtuliła twarz w bukiet i popatrzyła na niego ciepło.

- Są boskie - powiedziała, a on odniósł wrażenie, że staje się częścią tego świata. Już nie był intruzem, odszczepieńcem tkwiącym w pułapce swej niezręczności, wspomnień i historii.

Tilda dostrzegła z przerażeniem, że wszystko wokół zamienia się w chaos. Hanna pracowała zbyt ciężko, Rosi wcale, a Josh wyjechał do szkoły i bardzo za nim tęskniła. Co noc płakała za Melissą. Okazała się fatalną matką dla córki Daragha i na zawsze straciła Maksa.

Jedynie Erich wydawał się szczęśliwy. Ta właśnie nieoczekiwana zmiana, jaka w nim za-szła, zakłócała najbardziej spokój Tildy. Chciała się cieszyć razem z nim, ale nie mogła. Ra-dość Ericha - podobnie jak cierpienie - nie znała granic. Przeszła wręcz w euforię, uwydatniając kruchość jego wątlego ciała i jeszcze bardziej słabego umysłu. Erich nie jadł, zrywał

się wcześniej i chodził późno spać. Pewnego wieczoru - sądząc, że chłopiec gorączkuje -

Tilda dotknęła jego czoła, ale było chłodne. Gdy zaczęła go wypytywać, odparł, że ma tajemnicę i tylko się roześmiał. Raz pod nieobecność Ericha przeszukała nawet jego pokój, ale nie znalazła resztek jedzenia, jakie tam gromadził, ilekroć czuł się głęboko nieszczęśliwy.

W walizce spoczywały tylko pamiątki; zepsuty zegarek ojca, fotografia matki. Z budki telefonicznej w wiosce Tilda zatelefonowała do psychiatry w Oxfordzie i umówiła Ericha na wizytę.

Wykonywała swe codzienne obowiązki tak bezmyślnie i machinalnie, że nawet puł-

kownik odkrył jej stan.

- Francja - prychnął z pogardą. - Piekielne miejsce. Jak wiesz, mieszkałem tam od *R S*

1914 do 1917 roku. Szkoda, że nie pojechałaś na ferie do Weymouth.

Tilda bez przerwy martwiła się o Caitlin. Gniew i uraza minęły, w ich miejsce pojawi-

ła się chłodna uprzejmość. A mimo wszystko Tilda nadal pamiętała spojrzenie dziewczyny i tę czystą nienawiść w jej oczach. Poczucie, że balansują na krawędzi czegoś bardzo niebezpiecznego, na krawędzi przerażającej prawdy, która nie była zbyt głęboko schowana. Tilda zaczęła zasięgać opinii znajomych na temat pensji z internatem. Nowa szkoła dałaby Caitlin nowe życie. Myślała gorączkowo, jakim cudem za to zapłaci, i w końcu doszła do wniosku, iż być może uzyska wsparcie od Kita.

Doznała ogromnej ulgi, gdy się okazało, że Caitlin nie jest w ciąży. Próbowała z nią rozmawiać, ostrzec ją ponownie przed niebezpieczeństwami czyhającymi na drodze, jaką wybrała.

- Julian nie chce się już ze mną spotykać - usłyszała tylko w odpowiedzi. - Masz, czego chciałaś.

Tilda czuła jednak, że nie skończy się na Julianie. Nie brakuje mężczyzn gotowych wykorzystać lekkomyślność bezbronnej dziewczyny.

W nocy nie mogła spać i myślała o Maksie. Napisała do niego oficjalny list z podzię-

kowaniem za udane ferie. Wiedziała, że musi go od siebie uwolnić, pozwolić mu rozpocząć nowe życie.

Siedzieli na tarasie wychodzącym na tajemniczy ogród.

- Te bukszpany przed domem przybiorą kształty figur szachowych - króla, królowej, skoczka.

Caitlin zerknęła na wysoki żywopłot, który Erich zaczął właśnie formować.

- Jest ich dość?

- Osiem. Posadzę jeszcze kilka na trawniku. Potrzebuję pionów.

Caitlin wyjęła z kieszeni tabliczkę czekolady i poczęstowała nią Ericha. Zapadł wieczór, zachodzące słońce pomalowało kręte ścieżki i kwitnące krzewy na złoty kolor.

- Ale upłynie chyba bardzo dużo czasu, zanim one urosną, prawda?

- Wiele lat. Ale to ba-ba-bardzo krótko w porównaniu z życiem tego ogrodu - wyja-

śnił. - Ktokolwiek dał mu początek, wiedział, że nie doczeka końca. Tak już bywa z ogro-dami.

A Caitlin lubiła znać początek i koniec wszystkich rzeczy. Siedzieli przez chwilę w *R S*

milczeniu; nagle dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że już zapomniała, po co szuka towarzystwa Ericha. Pokręciła się niespokojnie. Przecież chciała, żeby ten chłopiec kochał ją, a nie Tildę. Potrafiła wzbudzać uczucia w mężczyznach. Czasem odnosiła wrażenie, że tylko to się jej udaje.

- Co się stało z twoim zębem, Erichu? - Jednego zęba chłopcu brakowało, drugi był

uszkodzony.

- Żołnierz mnie uderzył.

- W Wiedniu?

Przytaknął.

- Wtedy, kiedy zabili mojego ojca.

Wybałuszyła na niego oczy.

- Ty to widziałeś?

- Tak. Przyszli wieczorem. Schowałem się przed nimi - dodał i zaczął nerwowo skubać skórki wokół paznokci.

Przez chwilę mu współczuła.

- Mój ojciec wyjechał do Irlandii - odezwała się nagle. - Zamierzam go znaleźć.

Powiedziała mu o listach do księży i trzech Caitlin Canavan. Erich słuchał w skupieniu, a nawet zadał kilka rozsądnych pytań. Caitlin uświadomiła sobie nagle, że chłopak wcale nie jest taki głupi, za jakiego go uważała.

- Otrzymałam dwie odpowiedzi, ale żadna z nich niczego nie wyjaśniła. Czekam na wiadomość od trzeciej Caitlin. To na pewno ta. Mieszka w County Wicklow, a pamiętam, jak mój tata wymieniał tę nazwę.

- Co zrobisz, jeśli odszukasz ojca?

Wyobraziła sobie wielki dom z kolumnami i szerokim trawnikiem przed domem. A potem siebie i ojca, galopujących przez wzgórza.

- Pojadę do niego, oczywiście.

Erich wstał i zaczął wyrywać chwasty z kamiennych urn na szczycie tarasu. Caitlin została na stopniach. Gdy tak patrzyła na ogród spowity wieczornym ciepłem i zapachem kwiatów, poczuła, jak ogarnia ją błogi spokój. Ustawiczne zdenerwowanie, żal i gorycz powoli ustępowały. Nie miała nic przeciwko przebywaniu w towarzystwie Ericha, bo on niczego od niej nie żądał. Do tej pory wydawało się jej zawsze, że mężczyznom trzeba bez *R S*

przerwy coś dawać - uśmiechy, pocałunki albo seks - a Erich niczego nie pragnął. Lubił ją chyba dla niej samej, niczego w zamian nie oczekując. Z rękami splecionymi wokół podwiniętych pod brodę kolan Caitlin patrzyła na pszczołę latającą wokół złotych trąbek kapryfolium.

- Zrobiłem ten ogród dla Tildy - powiedział nagle Erich. - To będzie dla niej prawdziwa

niespodzianka, prawda?

Caitlin podniosła się natychmiast i czubkiem buta kopnęła zwietrzały posąg.

Nawet jeśli Hanna przypominała sobie o posiłkach, to jadła zawsze z podręcznikiem przed nosem. Raz podczas kąpieli położyła sobie nawet „Anatomię” Graya na kurkach, ale nieszczęsna książka wleciała do wody i dziewczyna suszyła ją potem całymi dniami. Ogarniał ją gniew, ilekroć Rosi nastawiała adapter zbyt głośno, i odmówiła Richardowi, który chciał ją wyciągnąć na przejażdżkę łódką. Codziennie uczyła się do północy, ale wstawiała coraz wcześniej, a krótki sen zakłócały jej koszmary.

Pewnego wieczoru, kilka dni po powrocie do Cambridge, Hanna zapadła w upiorną drzemkę, lecz po niedługim czasie obudziła się roztrzęsiona i nieszczęśliwa. Poprawiła sobie poduszkę i wciągnęła skarpetki na zmarznięte stopy, po czym znowu przymknęła oczy.

Tym razem sen był niezwykle wyrazisty. Znow znalazła się w Wiedniu, spacerowała wraz z matką i siostrami po parku. Parku nie rozpoznała, kręte ścieżki i wysokie drzewa wydawały się jej groźne i nieznane. Odnosiła wrażenie, że usiłują ją zaatakować, wciągnąć w ciemne poszycie. W końcu doszła do polany, gdzie stała figurka z białego, wypolerowanego marmuru.

- Czyż nie jest piękna? - zwróciła się do matki, ale w tej samej chwili z pomnika zaczęły spadać kawałki kamienia. Piękna twarz kruszała w oczach. Tymczasem matka Hanny zniknęła, siostry również odeszły - dziewczyna słyszała z oddali ich ciche kroki. Park zmienił się w puszcę, gdzie rosły drzewa o zwisających, czarnych gałęziach i dziwne peł-

zające rośliny.

Hanna pomyślała z przestraszaniem, że została zupełnie sama, ale wtedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

- Hanno, kochanie, nie płacz...

Otworzyła oczy i usiadła, rozglądając się dzikim wzrokiem po pokoju. Twarz miała mokrą od łez. Nad jej łóżkiem pochylała się Rosi - w koszuli nocnej i wałkach na głowie.

*R S*

- Coś ci się śniło - powiedziała Rosi i mocno ją przytuliła.

- Zapal światło.

Rosi włączyła lampę.

- Tak lepiej, prawda? Czy to był zwykły sen?

Hanna potrząsnęła głową.



- Tym razem inny. - Usiadła na łóżku, opierając głowę na podciągniętych kolanach.

Nadal przejmował ją strach.

- Opowiedz mi o tym. Ach, jak tu zimno. Chwileczkę, wezmę tylko papierosa. - Rosi pogrzebała w szufladzie, a następnie przytuliła się do Hanny.

- To była rzeźba... - Hanna usiłowała sobie przypomnieć, gdzie widziała podobną rzeźbę. - Już wiem! Taka sama stała w ogrodzie Czerwonego Domu!

- Czerwonego Domu?

- To ten opustoszały budynek nad rzeką. Erich odkrył tam zapuszczony ogród i teraz go pielęgnuje. Mówił mi już bardzo dawno temu, że to jego sekret. Znalazł tam posąg. Figurę wyobrażającą postać nimfy. Delikatne, drobne rysy, kręcone włosy.

- I co dalej z tą figurą? - spytała Rosi, zapalając zapałkę.

- Erich uważa, że nimfa przypomina Caitlin. - Niepokój Hanny się wzmógł. - On się w niej kocha.

- Nie - odparła stanowczo Rosi. - Przecież to niemożliwe. Caitlin prawie z nim nie rozmawia.

- Ktoś taki jak Erich może darzyć uczuciem osobę, która go ignoruje. Przecież ten biedak nie oczekuje od nikogo wyrazów sympatii.

- Nawet jeśli kocha się w Caitlin, to ona i tak nigdy nie zwróci na niego uwagi. Jest za mało przystojny.

- Ale ja ich widziałam, Rosi - szepnęła Hanna drżącym głosem. - Widziałam, jak szli do ogrodu.

- Może się przyjaźnią... - zaczęła Rosi i nagle zamilkła.

Hanna popatrzyła na nią pytająco.

- O co chodzi, Rosi? Rozsypujesz wszędzie popiół. Podpalisz mi łóżko.

- Tilda mi mówiła, że się martwi o Ericha. - Rosi popatrzyła na Hannę spod oka. -

Może Caitlin droczy się z Erichem wyłącznie dlatego, że chce zrobić na złość Tildzie.

*R S*

- Dlaczego miałyby w ten sposób postępować? - spytała Hanna z przerażeniem.

- Bo Tilda ukróciła jej romans z tym okropnym Pascoe. Zresztą Caitlin nienawidziła jej już wcześniej.

Hanna przypomniała sobie dzień, kiedy przybrani rodzice przedstawili jej Ericha Wirmera. Erich

liczył sobie wtedy dziewięć lat. W walizce trzymał suchy chleb i spleśniały ser, a z ludźmi, którzy go przyjęli pod swój dach, nie rozmawiał od kilku tygodni. Chętniej sypiał pod łóżkiem niż w pościeli.

- Jeśli Caitlin droczy się z Erichem i pozwoli mu uwierzyć w swoją szczerą przyjaźń, a potem zrani jego uczucia, ten chłopiec tego nie wytrzyma.

Obie zamilkły.

- Może powinniśmy napisać do Tildy - powiedziała Rosi, gasząc papierosa w pustej filiżance.

Tilda złapała autobus o dziewiątej. Psychiatra, doktor Marriott - wysoki, przystojny mężczyzna - zaprosił ją do gabinetu.

- Wspominała pani przez telefon, że dzwoni do mnie w sprawie syna. - Doktor zerknął do notatek. - Chłopak ma na imię Erich, był chyba u mnie ze dwa miesiące temu.

- Prawdę mówiąc, liczyłam na regularne konsultacje, doktorze.

Wskazał jej krzesło i Tilda usiadła.

- Erich nie potwierdził, że coś mu dolega - rzekł doktor. - Nie mogę zmusić pacjenta do rozmowy, jeśli on sobie czegoś podobnego nie życzy.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. - Zamilkła. W głowie jej wirowało.

- Martwi się pani o niego?

- On się bardzo zmienił. - Tilda z trudem ubierała swój lęk w słowa. - Popadł w euforię... jest po prostu pijany ze szczęścia. Nie chce mi powiedzieć dlaczego. Mówi, że ma tajemnicę...

- Tajemnicę?

Tilda potrząsnęła głową.

- Nawet się nie domyślam, o co chodzi.

- Może o dziewczynę?

- Przecież pan z nim rozmawiał, doktorze. To raczej wykluczone, prawda? - spytała, ale sama taka myśl wzbudziła w niej niepokój. - Jeśli kogoś poznał, nie powinnam się wtrą-

*R S*

cać, to prawie dorosły mężczyzna, skończył dziewiętnaście lat. Tylko ja go traktuję jak ma-

łego chłopca. Przerażonego małego chłopca. - Podniosła na niego wzrok. - Pomyślałam, że skoro on nie chce przyjechać do pana, to może pan przyjedzie do niego, doktorze.

- Ma pani na myśli wizytę domową?

Przytaknęła, wbijając wzrok w jego twarz o pięknych, niemal rzeźbionych rysach.

Chciała skrzyżować palce i wymamrotać zaklęcie: „Boże, spraw, żeby nie straszyły mnie upiory i nie gryzły wygłodniałe diabły”.

- Rzadko jeżdżę do pacjentów do domu - odparł doktor. - Lepiej prowadzić takie konsultacje na neutralnym gruncie.

Przełknęła rozczarowanie, wstała i wyciągnęła rękę.

- Poza tym istnieje obawa, że w tym przypadku nie należy stosować psychoanalizy -

dodał doktor, odprowadzając ją do drzwi. - Chłopiec nie wytrzymałby chyba konfrontacji z ukrytymi wspomnieniami. Ta metoda mogłaby go zniszczyć, a nie wyleczyć.

List przyszedł po południu. Na widok irlandzkiego znaczka serce Caitlin zaczęło walić jak młotem. Pobiegnęła na przełaj przez ogród aż do miejsca, gdzie świnia i kury żywiły się orzeszkami bukowymi i żołądziami. Zasiadła na wystającym konarze i rozdarła kopertę. List podpisano: Caitlin Kinsella, née Canavan.

Przeczytała pierwsze zdanie.

*Moja droga Caitlin, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mnie ucieszył twój list - mam siostrzenicę w wieku najstarszej córki, co za radość!*

Zwrot „krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach” Caitlin wyczytała już wcześniej w tanich romansach, ale nie zaznała jak dotąd tego uczucia. Teraz jednak, kiedy zrozumiała, że poszukiwania wreszcie się skończyły, jej ciało nagle ożyło; w tej jednej cudownej chwili zrzuciła z siebie całą tę nudę i obcość lat, jakie minęły od czasu zniknięcia jej ojca. Poczula się tak, jakby dotknęła przewodu elektrycznego lub włącznika, który przeniósł ją tam, gdzie już raz była.

*Wieści o Daraghu sprawiły mi wielką przyjemność - pisała dalej ciotka. - To bardzo dobrze, że mu się powiodło. Duży dom, konie, farma - widać mój brat zaspokoił swoje ambicje.*

Caitlin przewróciła stronę.

*Nie rozumiem jednak - ciągnęła siostra Daragha - dlaczego sądzisz, że twój ojciec R S*

*wrócił do Irlandii. Po co miałby to robić, skoro stał się właścicielem tego pięknego domu i ziemi? Brendan odziedziczył farmę po babci, tata sprzedał sklep wiele lat po śmierci mamy.*

*Czego Daragh by tutaj szukał?*

Świnia powąchała jej but, Caitlin zmarszczyła brwi i odsunęła zwierzę nogą.

*Daragh nie wróciłby do Irlandii. Boję się, że nie mógłby wrócić. Bardzo tęsknię za bratem, ale muszę ci wyznać, że on nie byłby tu mile widziany. Pożyczył pieniądze od naszych sąsiadów i nie zwrócił długu. A od siedemnastu lat nie dał nawet znaku życia.*

Dalej następowało zaproszenie do odwiedzin i jakieś rodzinne ploteczki, ale Caitlin nie zwróciła na nie uwagi. Czytała w kółko jedno i to samo zdanie.

*A od siedemnastu lat nie dał nawet znaku życia.*

Umysł Caitlin szukał rozpaczliwie jakiegokolwiek wyjaśnienia, które przyniosłoby jej ulgę. List wypadł dziewczynie z ręki. Przez chwilę czuła tylko znajomą pustkę; straciła resztki złudzeń, nadzieje rozsypały się w proch.

Siedząc tam, po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że albo jej ojciec nie żyje, al-bo jednak ją opuścił. Jeśli umarł, nie wiedziała, jak sobie poradzić z taką stratą. Jeśli zaś odszedł, to dlatego, że na niego nie zasłużyła. Przejrzał ją na wylot i dostrzegł ukryte w niej zło. Przecież z żadnego innego powodu nie porzuciłby rodziny. Caitlin, która rzadko się nad sobą zastanawiała, doszła do wniosku, że jest rozpustna i fałszywa. Aby zdobyć dla siebie sypialnię, tak uprzykrzyła życie Melissie, że biedaczka wyjechała do ojca do Francji. Choć nie ukończyła jeszcze szesnastu lat, już spała z dwoma mężczyznami. Przypomniła sobie siebie na tylnym siedzeniu samochodu Martina Devereux, z majtkami wokół kolan i spódnicą zadartą do talii. Albo te wieczory, gdy leżała na łóżku Juliana Pascoe. To, co jej robił.

Mężczyźni robią takie rzeczy tylko złym dziewczynkom, dobre mówią: „nie”. Dobre czekają na ślub.

Ktoś wypowiedział jej imię, ale nie podniosła wzroku. Czyjaś delikatna ręka dotknęła jej ramienia.

- Caitlin, nie płacz.

Podskoczyła, jakby ktoś ją uderzył.

- Nie dotykaj mnie!

- Przepraszam. - Erich cofnął się o krok.

Wróciła pustka. Tym razem na zawsze. O tym była przekonana. Patrzyła na Ericha -

*R S*

miął pochylone ramiona, brakowało mu zęba. Przypomniła sobie, że nawet tego chłopca próbowała uwieść. Zrobiło się jej niedobrze.

Wyjął chusteczkę z kieszeni.

- Proszę... - szepnął, wyciągając ją do Caitlin. - We-weź!

- Zostaw mnie w spokoju.

Ale on nawet się nie ruszył. Tkwił w jednym miejscu, ocieężały i niezgrabny, w brudnych spodniach i ręcznie robionym swetrze, patrząc na nią smętnym, pełnym uwielbienia wzrokiem. Najchętniej by go odepchnęła, rzuciła się na niego z zaciśniętymi pięściami.

- Odejdź, Erichu. Nie chcę ciebie. Nikt ciebie nie chce. Nawet Tilda. Ona się tylko nad tobą lituje.

Gdy na twarzy chłopca pojawił się grymas, ogarnęła ją radość.

- Wracaj do swojego głupiego ogrodu - syknęła. - On i tak nie należy do ciebie. Ktoś kupi tę posiadłość, skopie ogród i już cię tam więcej nie wpuści.

- Nieprawda - szepnął Erich. Był blady jak ściana.

- Oczywiście, że prawda. To nie jest twój dom. I ogród również nie. Tilda nigdy go nie zobaczy, bo kupią go jacyś okropni ludzie i przerobią po swojemu. Zetną twoje kretyń-

skie bukszpany, wykopią te idiotyczne kwiaty, wybudują garaże i temu podobne rzeczy. Tak na ogół postępują ludzie. Nie wiedziałeś?

Miał tak dziwny wyraz twarzy, że zaczęła się śmiać.

- Czyżbyś nie rozumiał, jakie to wszystko głupie, Erichu? Tak sobie właśnie pomyśla-

łam, kiedy zobaczyłam ten ogród po raz pierwszy. Głupie! Głupie! Głupie! Tilda też tak pomyśli. Jak można dawać komuś coś, do czego się nie uzyskało prawa? Ona oczywiście powie: „Och, jak tu pięknie”, czy coś w tym rodzaju, bo udaje przed tobą tak jak przed wszystkimi innymi, dojdzie jednak do wniosku, że zidiociałeś do reszty.

Ześlizgując się z pnia, Caitlin wybuchnęła śmiechem. Podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła się kołysać tam i z powrotem, aż w końcu jej chichot przeszedł w płacz. Gdy wreszcie ustał zarówno śmiech, jak i łzy, podniosła wzrok, ale Ericha już przy niej nie było.

Po tym, jak przyśnił się jej posąg, nie mogła zmrużyć oka. Utwierdziła się w przekonaniu, że coś nie gra. W duchu przeklinała pułkownika za brak telefonu i zdawała sobie sprawę z tego, iż nie może wyrazić swych myśli w ułomnych zdaniach depeszy. List z kolei dotarłby do Woodcott St Martin dopiero po dwóch dniach, a tak długo czekać nie mogła.

*R S*

Niepokój ani na chwilę jej nie opuszczał. Wstała wcześniej, ale nie była w stanie jeść. Zamiast pracować, wyglądała przez okno, myśląc o tym, jak wyglądał Erich, gdy pokazywał

jej ten przekłety pomnik. Bardzo bolała ją głowa. Ilekroć usiłowała czytać, litery skakały jej przed oczami. Gniewnie wrzuciła książkę i szczoteczkę do zębów do torby, po czym pojechała rowerem na dworzec.

W pociągu, walcząc z migreną, zdała sobie sprawę z tego, że poświęcała zbyt dużo czasu na pracę, a

za mało Erichowi. Dlaczego nie porozmawiała z nim od razu po tym, jak zobaczyła go z Caitlin? Należało się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Ta dziewczyna mogła go przecież zranić; dbała wyłącznie o własne uczucia. Trzymając na kolanach nie-otwartą, nieprzeczytaną książkę, Hanna patrzyła, jak pola odziane we wczesnoletnią jasność przesuwają się za oknem w irytująco wolnym tempie.

Erich poszedł do Czerwonego Domu. Pchnął furtkę, wszedł do ogrodu i pomyślał, że Caitlin miała rację. Ogród nie należał do niego, ktoś na pewno chciał mu go zabrać. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają; już raz ktoś wszedł ze śmiechem do jego domu, porozbi-jał okna, serwisy i obrazy, a nikt nie mógł go powstrzymać.

Śmiech Caitlin nadal pobrzmiwał mu w uszach, mieszał się ze śmiechem tamtych żołnierzy. Od dnia, gdy wtargnęli w długich, ciężkich butach do domu, w którym Erich mieszkał razem z ojcem, chłopiec nie wątpił, że po świecie należy się spodziewać jedynie zdawkowego okrucieństwa. Nigdy nie był pewien, co myślą i czują ludzie. Gdyby nawet zaczął im wierzyć, mogli się w każdej chwili zmienić.

Przeszedł przez bukszpany. Ich wysokie, ciemne kontury przypominały mu budynki w Wiedniu. Po tym, jak żołnierze przyszedli do ich mieszkania, Erich żył samotnie na ulicach ponad trzy miesiące. Na widok brązowych uniformów uciekał jak szczur za węgły murów lub nawet do rynsztoków. A potem jakaś kobieta złapała go na grzebaniu w pojemnikach na śmieci i w kilka tygodni później znalazł się w pociągu z setką innych dzieci uciekających z Niemiec. Strach, jaki odczuwał podczas tej podróży, nadal mu towarzyszył. Kiedy gesta-powcy wsiedli do pociągu na granicy z Holandią, przykucnął nad walizką i pragnął stać się niewidzialny.

W Holandii poznał Hanne, a potem Tildę. Przypomniawszy sobie jazdę do Ijmuiden, gdzie spóźnili się na statek, a on zwinął się w kłębek i marzył, by umrzeć. Martwy człowiek ma to wszystko za sobą; nie musi się niczego bać, nie czuje się winny. Przypomniawszy sobie, jak sieR S

dział w samochodzie obok Tildy, a niemiecki maruder zastąpił im drogę. Przypomniawszy sobie, że gdy ciało żołnierza ześliznęło się do kanału, na powierzchni wody pojawiły się bańki.

Później była łódka - Felix poprawiający żagle, Tilda przy sterze. Samoloty pikujące na bezbronną łupinkę, błysk ognia na niebie. A po wielu, wielu godzinach pokład o zmierzchu, morze bez statków, niebo wolne od samolotów. Cisza. Czarnoszary spokój. Taki jak umieranie.

Erich przeszedł przez taras, stanął na stopniach i spojrzał z góry na tajemniczy ogród.

Wyobrażał sobie, jak się rzucą na ścieżki i powyrywają kwiaty z korzeniami, jak przewrócą posąg z cokółu i złamią go na pół. Czuł, że ma już za sobą wszystko, co dobre w życiu. Te chwile, gdy matka tuliła go w ramionach, a ojciec uczył jeździć konno. I Tildę. Przy niej też czuł się bezpiecznie.

A Caitlin? Pamiętał, jak siedział przy Caitlin na stopniach i pragnął dotknąć jej czarnych, bujnych włosów, pragnął przycisnąć usta do jej miękkiej skóry. Lecz wiedział, że nigdy czegoś takiego nie uczyni - naznaczony przeszłością, różnił się znacznie od innych.

Wszystko, co oglądał, odbiło się w jego oczach. Inni ludzie wcale sobie nie życzyli, żeby im

przypominać o takich rzeczach.

Zabrał szpadel i widły z miejsca, gdzie zostawił je poprzedniego wieczoru. Wiedział, że już ich nie użyje. Pożegnał się z Czerwonym Domem, po czym poszedł do ogrodu puł-

kownika. Otworzył drzwi od szopy i powiesił narzędzia na hakach. Lubił porządek. Rozejrzył się po komórce, zerknął na doniczki, kanister, słoik z gwoździami i zwoje sznura. Wziął

wszystko, czego potrzebował. Stojąc na środku szopy, przypomniał sobie tę noc, kiedy umarł jego ojciec.

Żołnierze ze *Sturmabteilung* wtargnęli do ich domu podczas wieczornego posiłku; jedli właśnie rybę, ziemniaki i fasolę. Radio nadawało arie operetkowe. Ojciec Ericha kochał

operetki i zabrał syna na „Wesołą Wdówkę”, gdy ten ukończył zaledwie sześć lat.

Siedzieli więc przy stole, zmierzchało, pokojówka zaczęła krzyczeć. Erich był w pierwszej chwili raczej zdziwiony niż przerażony. Odłożył nóż i widelec, popatrzył na tatę.

Radio nadawało wesołe piosenki. Otworzyły się drzwi, do pokoju wpadli żołnierze. Ciskali kryształami o ścianę i przewrócili stolik do góry nogami. Z oddali, z innych pokoi, Erich słyszał pogrążanie tłuczonego szkła pomieszane z tupotem i głośnym śmiechem. Jeden z żołnierzy zdjął talerze z kredensu, po czym rozbił je na podłodze przed kominkiem.

R S

- Dlaczego to robisz? - spytał Erich, nim ojciec zdołał go powstrzymać.

Mocne uderzenie w twarz rzuciło nim o stolik. I właśnie wtedy smak krwi, krzyk ojca i ból wywołały w nim strach.

Po tym wszystkim porządek rzeczy uległ gwałtownej zmianie. Widział, jak żołnierze kopią ojca. Kiedy nie patrzyli, udało mu się wymknąć. Bardzo chciał pobiec do taty, ale się bał. Napłuł na rękę i dostrzegł małe, zakrwawione kawałeczki zębów. Odgłos metalowych okuć butów wbijanych w miękkie ciało. „Bрудny Żyd, brudny Żyd”. Czuł, że powinien pomóc ojcu, ale strach go obezwładniał. Wśliznął się do kryjówki pod schodami. Stamtąd słyszał krzyki ojca, potem jego prośby. Wyrzwał przez szparę w wypaczonych drzwiczkach. W

jasnej smudze przechodzącej przez dwa zaciemnione brzegi dojrzał żołnierza za sznurem od bielizny w rękę.

- Posłużymy się tym, będzie łatwiej.

Zmoczył się jak dziecko. Pamiętał ten straszny wstyd; wstyd, bo nic nie zrobił, zachował całkowitą bierność.

Powiesili ojca na podeście nad holem. Sznur przyczepili do balustrady, pętlę założyli mu na szyję.

Gdyby Erich był w stanie choć na chwilę podnieść wzrok, widziałby, jak jego ojciec kopie w powietrzu, po czym nagle nieruchomieje. Z kryjówki słyszał jednak tylko charkot i śmiech żołnierza. A także radio nadające wesołą melodyjkę. Echo butów w holu.

Po dłuższej chwili otworzył drzwiczki i wyszedł. Wtedy spojrzał w górę i zobaczył ojca.

Potem wdrapał się na schody, usiadł obok balustrady, tak blisko huśtającego się ciała, jak tylko mógł. Nie miał siły wciągnąć zwłok na podest. Baterie radia wreszcie się wyczerpały, ale Erich został na swoim posterunku; jedną rękę wysunął przez balustradę, dotknął głowy ojca i zaczął podśpiewywać.

Kiedy Erich - zwykle bardzo punktualny - nie pojawił się na lunchu, Tilda zapytała Caitlin, czy czasem go nie widziała. Caitlin potrząsnęła tylko milcząco głową. Oczywiście miała czerwone.

Gdy Tilda przyniosła pułkownikowi obiad, też zagadnęła go o Ericha.

- Ten Hun? Godzinę temu wychodził. Nicpoń. Chciał, żeby ktoś mu pomógł złapać kozę. To zwierzę wlaźło na klomb.

Tilda schwytała kozę, pozmywała, lecz Erich nadal nie wracał. Pomyślała więc, że chłopiec być może próbuje sprzedać nadwyżkę jajek. Raz czy dwa razy znalazła go pod *R S*

sklepem z koszykiem w ręku, niezdolnego, by zebrać się na odwagę i wejść do środka.

Ale Ericha nie było w sklepie i udało jej się ustalić, że przez cały dzień tam się nie pojawił. Tilda zajrzała jeszcze na pocztę i wyszła na drogę. Przy błoniach zatrzymał się wła-

śnie autobus z Oxfordu. Popatrzyła bezmyślnie w tamtym kierunku. Niemal natychmiast odrzuciła myśl, że Erich pojechał do miasta. Z autobusu wysiedli pasażerowie: staruszek z laską, dwie kobiety z dziećmi po bokach i dziewczyna podobna do Hanny. Tilda przyjrzała się jej uważnie i ruszyła biegiem w kierunku przystanku.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? - krzyknęła. - Chyba nie zachorowałaś? Jesteś taka blada...

- Nic mi nie dolega. Wcale, wcale nic. - W chwilach zdenerwowania angielski ją zawodził. - Po prostu się martwiłam.

- O pracę?

- O Ericha - szepnęła.

- O Ericha? Hanno, czy ty przypadkiem nie wiesz, gdzie on się podział?

- A tutaj go nie ma?

- Rano jedliśmy razem śniadanie, ale nie wrócił na obiad do domu. Przecież to do niego zupełnie niepodobne. Szukam go już od jakiegoś czasu.



Po twarzy Hanny przebiegł skurcz.

- Wy tłumacz, dlaczego przyjechałaś - poprosiła łagodnie Tilda.

Siedząc na ławce obok stawu, Hanna przełknęła łzy i powiedziała Tildzie o swoim śnie. Zwierzyła się jej również ze swoich obaw o to, iż Erich zakochał się w Caitlin. Wspomniała też o podejrzeniu Rosi, że Caitlin może posłużyć się Erichem, by zemścić się właśnie na niej, na Tildzie.

- Chyba się domyślam, dokąd on poszedł - powiedziała, chwytając ją za ramię.

Hanna biegła przodem, warkocz podskakiwał jej na plecach w rytm kroków. Pędziła przez wieś, w kierunku rzeki, a potem otworzyła szeroko bramę i ruszyła ścieżką w stronę Czerwonego Domu. Tilda ledwo za nią nadążała. Ogród był dziki, ogromny, piękny, dom stary i zniszczony.

- To Erich stworzył ten ogród - powiedziała Hanna, odwracając się do Tildy. - Dla ciebie, Tildo.

Tilda usiłowała sobie wmówić, że chłopiec jest na pewno w swoim sanktuarium. IleR S

kroć dawała nura pod gałęzie, wydawało się jej, że Erich siedzi na trawniku albo leży na brzuchu przy stawie i ogląda kijanki. Poprzez strach zaczęło się powoli przebijać uczucie podziwu dla jego dzieła. Ogromny ogród, poskromiony przez słabego chłopca. Dokonał te-go biedny, chory Erich, któremu starała się stworzyć bodaj złudne poczucie bezpieczeństwa.

Ale w ogrodzie nie znalazły żywej duszy. Tilda przeszła z powrotem przez szpaler bukszpanów; Hanna dreptała za nią, płacząc głośno. A przecież podczas podróży przez Morze Północne nie uroniła ani jednej łzy.

- Nic mu nie będzie, prawda, Tildo? - jęknęła. - To wszystko moja wina, tylko moja.

Zamykając za sobą bramę Czerwonego Domu, Tilda przypomniała sobie euforię Ericha. A także Caitlin, krzyczącą: „Nienawidzę cię, nienawidzę, zemszczę się na tobie”. W

Poonie zaczęła metodycznie przeczesywać ogród - działkę warzywną, sad, chlewik, potem komórkę i domek letni pokryty od wewnątrz pajęczyną, a także toaletę i zagajnik oddziela-jący ogród od pól.

Liście buku wyglądały na tle nieba jak żółtozielone prześcieradło. Podniósłszy wzrok, zobaczyła jakiś czarny worek rzucony przez wiatr na gałęzie. A może to był płaszcz, który zostawił tam Josh, kiedy wspinał się na drzewo? Potem jednak dostrzegła sznur.

## Rozdział 18

Melissa płakała. Sama z trudnością powstrzymywałam łzy.

- Byłam we Francji, kiedy on umarł - szepnęła. - Przyszedł telegram, a następnego dnia wyjechałam do Anglii. - Łzy wyłobily jej rowki w makijażu, ale ich nie wytarła. - Na początku nie miałam pojęcia, jaką rolę odegrała w tym wszystkim Caitlin. Rosi powiedziała mi o wszystkim po pogrzebie. Caitlin już wtedy nie mieszkała z Tildą, Hanna ciężko zachorowała, a matka... nigdy przedtem nie

widziałam jej w takim stanie. Wydawała się pokona-na.

Podniosła wzrok.

- Mam zdjęcie Ericha. Chce je pani zobaczyć?

Kiedy poszła po fotografię, wyrzłałam przez okno do ogródka za domem. Minął dopiero tydzień od epizodu z Charlesem. Zostałam na noc w szpitalu, ale moje ciało przywarło bardzo mocno do nieplanowanego, nieoczekiwanego dziecka. Charles przebywał w prywat-R S

nej klinice, powracał do siebie po szoku. Od jego siostry, Lucy, dowiedziałam się, że zbankrutował. Po tamtej nocy nadal odczuwałam głębokie poczucie wstydu, a zarazem ulgę, że Charles nie może przyjmować gości. Aksamitny trawnik w ogrodzie Melissy otaczały wysokie drzewa, ale ja się bałam na nie popatrzeć. Może gdzieś wysoko wśród gałęzi majaczył

jakiś ciemny kształt?

- Proszę. - Melissa wróciła do pokoju i wręczyła mi zdjęcie. - Oto Erich.

Z fotografii patrzyły na mnie załęcznione oczy szczupłego bruneta. Erich przypominał

mi uciekinierów z domu poprawczego, jakich czasem widywałam na zdjęciach drukowa-nych w gazetach. Spytałam Melissę, czy mogę pożyczyć fotografię. Wyraziła zgodę i usłyszałam trzask zamykanych drzwi.

- Mamo! - zawołał dziewczęcy głos.

- Matty! - krzyknęła Melissa, wstała gwałtownie z sofy i niemal wybiegła z pokoju.

Zbierając swoje rzeczy, nie potrafiłam się powstrzymać od podsłuchiwania rozmowy.

- Spodziewałam się ciebie wczoraj.

- Spóźniłam się na prom.

- Tak się opaliłaś i... schudłaś. Na pewno fatalnie się odżywasz.

- Mamo, nie rób zamieszania.

- Nie chcę, żebyś złapała anoreksję.

- Nie można złapać anoreksji. To nie jest zaraźliwe. I czuję się znakomicie, poza tym umieram z głodu.

Matty miała na sobie już dobrze mi znane martensy i kilka warstw czarnych koszulek.

Włosy w dreadach przypominały gąszcz wężowatych roślin. Do pierścionka w nosie dołączy-

ła srebrna pętelka przechodzącą przez brew.

Podziękowałam Melissie i pojechałam ostrożnie do domu. Wydarzenia ubiegłego tygodnia i historia Melissy uświadomiła mi kruchość życia. W domu, po kolacji, przepisałam na maszynie notatki. Zrozumiałam, dlaczego Tilda nie chce ze mną rozmawiać o powojennych latach. Opuścił ją mąż i córka, a dziecko, które ocaliła z koszmaru okupowanej Holandii, odebrało sobie życie. Córka jej kochanka - i własna siostrzenica zarazem - okazała się, jeśli nawet nie bezpośrednio odpowiedzialna za śmierć Ericha, to w bardzo nieprzyjemny sposób w nią zamieszana.

Gdy wyłączyłam laptopa, zerknęłam na zegarek i zobaczyłam, że zbliża się północ.

*R S*

Popatrzyłam na fotografie Daragha, Caitlin, tego biedaka Ericha i samej Tildy, siedzącej w ogrodzie Czerwonego Domu, otoczonej dziećmi.

Kilka dni później otrzymałam list z biblioteki: nadeszły wreszcie książki, które zamówiłam. Musiałam więc je odebrać, a gdy wróciłam do domu, zastałam wiadomość na automatycznej sekretarce. Włączyłam odtwarzanie. Przez chwilę panowała cisza, potem usłyszałam bełkot i okrzyk:

- Jak ja nie cierpię tych przeklętych urządzeń!

Caitlin Canavan. Zamieniłam się w słuch.

- Postawię ci drinka, Rebecca. Mogłybyśmy sobie pogawędzić. Odezwij się szybko.

Wyprowadziłam się z Savoyu. Obsługa już nie ta sama, co kiedyś. Ach... i mój adres. - Po-dała nazwę hotelu w południowej części Londynu.

Dochodziła trzecia. Połączyłam się z informacją i otrzymałam numer telefonu do hotelu Caitlin, ale kiedy zadzwoniłam, nikt nie podniósł słuchawki. Szybko umyłam twarz, uczesałam włosy i wyszłam.

Dojazd na drugi koniec miasta zajął mi ponad pół godziny, przez kolejne pół szuka-

łam hotelu wśród gmachów stojących przy wąskiej uliczce. Blenheim - bo taką nosiła nazwę nowa siedziba Caitlin - zupełnie na nią nie zasłużył. Z drzwi i okien obłaziła farba, a gdy przycisnęłam dzwonek i ktoś wreszcie wpuścił mnie do środka, poczułam zapach stęchlizny.

Zamierzałam zapytać o numer pokoju Caitlin, ale wtedy ją zobaczyłam. Siedziała przy stoliku w małym barku. Znudzony, młody mężczyzna przecierał właśnie brudną szmatą for-nirowany blat. Głos Caitlin przebijał się wyraźnie ponad cichy szum radia.

- Musisz przyjechać do Dublina. Będiesz zachwycony. Mogę cię przedstawić wielu miłym ludziom.

Weszłam do środka.

- Caitlin?

Podniosła na mnie wzrok.

- Kochanie! Jak to miło cię widzieć! - Przesłała mi całusa. - Usiądziesz, prawda? -

Skinęła na barmana. - Barry?

Była najwyraźniej bardzo pijana. Pomyślałam, że skoro mieszka w takiej dziurze, to widocznie nie ma pieniędzy.

- Ja stawiam, Caitlin.

*R S*

Podniosła na mnie wzrok.

- Wspaniale! Poproszę dżin z tonikiem.

Zamówiłam dżin oraz sok pomarańczowy, po czym usiadłam naprzeciwko Caitlin. Jej ręce drżały lekko, gdy brała do ręki szklaneczkę. Mimo grubych warstw makijażu, nie zdo-

łała zatuszować czerwonych oczu.

- Pomyślałam, że może chcesz przyjść na pogrzeb mojego ojca.

Zerknęłam na nią z niedowierzaniem.

- Wydano ciało?

Przytaknęła i wyjęła chusteczkę, by otrzeć oczy.

- Msza żałobna odbędzie się w Cambridge, ale ojciec zostanie pochowany obok matki w Southam. Nalegałam na to. - Podała mi dzień i godzinę pogrzebu.

- Caitlin, tak mi przykro.

- Mnie nie. - Głośno wytarła nos. - Bardzo się cieszę, bo wreszcie go znalazłam.

Zapadła cisza. Sądziłam, że za chwilę wypełnią ją oskarżenia pod adresem Tildy.

- Nigdy nie straciłam nadziei - oświadczyła nagle. - Przez cały ten czas. Wypatrywa-

łam jego twarzy na wszystkich ulicach, we wszystkich hotelach... Pojechałam nawet do Ameryki - wiedziałas o tym, kochanie? A on ani na chwilę nie opuścił Southam. Więc teraz już nie muszę go szukać.

Pomyślałam, że Caitlin próbowała odnaleźć ojca również w inny sposób - w wirze kolejnych romansów i w kilku nieudanych małżeństwach, o których wspominał mi Patrick, a także poprzez naśladowanie jego sposobu życia: lekkomyślności, picia oraz szastania pieniędzmi.

- Spotkałam się z Melissą. Powiedziała mi o Erichu.

Oczekiwałam pogardliwych zaprzeczeń i nowej wersji wydarzeń, która z pewnością by mnie zmusiła do grzebania w szczątkach kolejnej śmierci i poszukiwania prawdy. Ale Caitlin wyjęła tylko papierosy oraz zapalniczkę.

- I co mówiła Melissa?

- Że Erich się powiesił.

- I oczywiście to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć? - spytała z lekką drwiną w głosie. - On miał przecież zaburzenia psychiczne. Całkiem mu się w głowie pomieszało.

- Podobno nie mógł zapomnieć tego, co go spotkało w Austrii.

*R S*

Caitlin zapaliła papierosa.

- Był inny. Dziwny. Nieatrakcyjny. Dosłownie śmierdział strachem i klęską. Staralam się go unikać. Budził we mnie lęk.

- Erich zaprowadził cię do tego ogrodu, prawda?

Zawahala się.

- Tak. Ogród naprawdę robił wrażenie. Ty też go widziałaś?

Przytaknęłam.

- Podobno po śmierci Ericha wyjechałaś z Poony. Dokąd?

- Do Londynu. Tilda chciała mnie odesłać do szkoły z internatem, a ja uciekłam. Do-szło do strasznej awantury. Najpierw znalazłam pracę w barze, potem w filmie.

- Dostałaś rolę? Zamrugala oczami.

- Może niedokładnie taką, o jaką mi chodziło. Ale przynajmniej zapłaciłam czynsz, a niedługo później spotkałam wspaniałego mężczyznę, który był dla mnie bardzo miły, dopó-

ki nie popadł w tarapaty z policją. Wkrótce potem wyjechałam do Irlandii.

- Szukać ojca?

- Doszłam do wniosku, że jeśli nawet tata nie mógł się pokazać w domu, to przecież miał przyjaciół. Zawsze otaczała go cała chmara znajomych. Wszyscy za nim przepadali.

Nie wszyscy - pomyślałam. Ktoś nienawidził Daragha Canavana tak bardzo, że zwią-

zawszy mu ręce i nogi, замуrował żywcem w ścianie kanału.

- Nie znalazłam taty i wróciłam do Anglii. Pracowałam w małym klubie, nawet cał-

kiem eleganckim. Wtedy spotkałam Grahama. Pobraliśmy się dwa tygodnie później. Bardzo romantyczna historia. Niestety wzięliśmy tylko ślub cywilny; Graham był po rozwodzie. Na początku wszystko układało się cudownie. Wynajęliśmy śliczny, mały domek, a Graham traktował mnie jak księżniczkę. - Westchnęła. - Ale strasznie nudził. Niestety, taka jest prawda. Szczególnie w sprawach finansowych.

Rozumiałam, że takiej kobiecie jak Caitlin szybko przestała odpowiadać rola żony.

- Mieliście dzieci?

Potrząsnęła głową. Patrzyła do pustej szklanki.

- Nie mogłam, kochanie. Podczas pierwszego pobytu w Londynie popadłam w tarapaty. No i musiałam z nich wyjść, ale sfuszerowałam.

Wstrząsnęły mną dreszcze. Jakiś drut, szydełko albo pijany lekarz, od lat skreślony z *R S* rejestru.

- Przyjedziesz, prawda? - spytała nagle, patrząc na mnie prosząco.

- Na pogrzeb? Oczywiście. Wsunęłam notes do torby.

- Nie zamierzałam go skrzywdzić - szepnęła Caitlin, kiedy zaczęłam się zbierać do odejścia. - W końcu nawet go polubiłam. - Trochę bełkotała, dlatego dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, o czym mówi. - Nie sądziłam, że zrobi coś takiego. - W jej głosie pobrzmiwał ból i żal ostatnich lat. - Naprawdę nie zamierzałam go skrzywdzić.

Minęły dwa miesiące od mojej wizyty w Czerwonym Domu. Kiedy tam byłam po raz ostatni, ogród przechodził właśnie z lipcowej bujności w zakurzoną bladeść sierpnia. Trawniki powoli żółkły, a chmury przesłaniały co chwila słoneczną tarczę, chociaż nie padało.

Tamtego ranka zajrzałam do Tildy, chcąc sprawdzić, czy czuje się wystarczająco dobrze, żeby ze mną rozmawiać. Znalazłam ją na werandzie; mimo upału nogi miała otulone kocem. Na stoliku leżał otwarty album.

- Dzieci z Czerwonego Dworu - szepnęła Tilda. - Na tym zdjęciu jest Joan, to ta ciemnowłosa dziewczynka w bawełnianej sukience. - Była jedną z pierwszych. A to Luke i Tom, bliźniaki. Jeszcze Brian, Annie i... - Przewracała karty, opowiadając o swoich kolejnych wychowankach.

Nie wytrzymałam.

- Nie bałaś się o nie? Nie chciałaś się potem zająć czymś innym?

- Po śmierci Ericha? Oczywiście. We mnie też coś wtedy umarło. To frazes, ale naprawdę tak się czułam. Marzyłam wyłącznie o tym, by się gdzieś schować. Nie miałam siły, by stanąć oko w oko ze światem.

- W końcu jednak się na to zdobyłaś.

- Dzięki Maksowi. - Zamknęła album. - Ale to i tak zawsze mnie prześladowało.

Nie... nie powód, dla którego Erich popełnił samobójstwo. On po prostu nie mógł już znieść życia. Zastanawiał mnie raczej mój udział w tej historii. Udział de Paveleyów.

- De Paveleyów? - Nie rozumiałam. - Przecież wszyscy nie żyją. - W rozdziałach biografii, jakie już napisałam, de Paveleyowie stanowili symbol upadku arystokracji.

- Nie całkiem. Została jeszcze Caitlin. We mnie, a zatem również w moich dzieciach i wnukach też płynie ich krew. No i chyba zapomniałaś o Kicie.

Tego samotnego, nieatrakcyjnego, starego kawalera nietrudno było pominąć.

*R S*

- Nadal przysyła mi kwiaty na urodziny - powiedziała Tilda, a ja popatrzyłam na nią ze zdziwieniem.

- On żyje?

- Oczywiście. Jest ode mnie chyba o rok młodszy. Nigdy nie wyjechał z Southam.

Przypomniałam sobie dzień, w którym to stałam z Charlesem nad kanałem i patrzyłam na majaczący w oddali biały, zaniedbany dom. Właśnie wtedy, za zakurzoną szybą, dostrzegłam jakiś ruch.

- Nie spotykam się z nim lat - dodała Tilda. - Ciekawa jestem, czy Caitlin utrzymuje z nim kontakt. Pewnie nie. Nigdy nie byli blisko. - Urwała. - Chodzi mi o to, że de Paveleyowie prześladowali mnie i moją rodzinę. Nawet los biednego Ericha wiązał się jakoś z ich losem. Caitlin wiedziała o mnie i Daragh. Dlatego tak bardzo mnie nienawidziła.

Przypomniałam sobie sprawozdanie prywatnego detektywa, leżące teraz u mnie w szufladzie.

- Gdyby Sarah nie chciała ukarać de Paveleyów za to, co zrobili jej siostrze, Daragh nie poślubiłby Jossy. A Caitlin nie mściłaby się na mnie.

Wstałam i podeszłam do okna. Po niebie płynęły chmury, ale nie padało. Bukszpany rzucały czarne cienie na wyblakły trawnik.

- Figury szachowe - szepnęłam. - Dopiero teraz to do mnie dotarło. Królowa, król oraz skoczek, częściowo ukryty za drzewem.

- Oczywiście. Nie wiedziałaś?

- Nie przyjrzałam się im dokładnie. A ze ścieżki trudno odróżnić kształty. - Zaczęłam się powoli domyślać, dlaczego Tilda udzieliła zgody na spisanie historii jej życia. Powodem tej decyzji nie było jednak pragnienie ujawnienia światu zapomnianej historii Deborah. Nie chciała również pozostawić potomnym wygładzonej biografii.

- Często grywałam w szachy z Erichem. Max mnie nauczył. Zza chmury wyjrzało słońce.

- To zagadka, prawda, Tildo?

Popatrzyła na mnie szarymi, spokojnymi oczyma.

- Potrafisz dochodzić do sedna sprawy, czyż nie, Rebecca? Zdałam sobie z tego sprawę po obejrzeniu „Sióstr Księżycy”.

Wytropienie dziecka Ivy Lunn odebranego matce przy urodzeniu w 1920 roku zajęło *R S*

mi cztery miesiące. Jej córka próbowała odnaleźć swą naturalną matkę kilka lat przede mną, ale poniosła klęskę. Przybrani rodzice zmienili jej nazwisko, a potem dwukrotnie wychodzi-

ła za męża. Odszukanie tej kobiety nie było łatwe, ale sprawiło mi przyjemność. Nie odczuwałam jednak przy tym żadnych emocji. Analizowałam cudze szczęście i radości, choć nie przeżywałam ich sama. Bardzo lubiłam rozwiązywać zagadki.

- Wybrałaś mnie - powiedziałam wolno - bo myślałaś, że odkryję, co się stało z Daraghem.

- Gdyby on nie umarł, Erich żyłby zapewne do dziś! - wybuchnęła, ale szybko się uspokoiła. - Przed śmiercią chcę wiedzieć, co w istocie się wydarzyło. Albo nie będę mogła odpoczywać w spokoju. Oczywiście nie sądziłam, że znajdą jego ciało - dodała cicho. -

Przeżyłam ogromny szok, ale tak już widocznie miało być, prawda, Rebecca?

- A twoja rodzina... - Przypomniałam sobie wrogość Patricka. - Co oni sądzili na ten temat?

- Melissa i dziewczynki rozumieją. Max też by zrozumiał. Josh interesuje się wyłącznie swoimi sprawami. Patrick chciał mi wyperswadować ten pomysł. Chyba się bał o moje zdrowie. Usiłowałam mu wytłumaczyć, jakie to dla mnie ważne, ale się uparł. On mi czasem przypomina Maksa - dodała z uśmiechem. - Lubisz go, prawda?

Popatrzyła na mnie tak, że aż się zarumieniłam.

- Związał się z tą okropną Jennifer i jedynym pozytywnym rezultatem ich małżeństwa jest Ellie. Jennifer ma kosztowne upodobania, a Patrick pracował całymi dniami, by im sprostać. Rzadko przebywali razem, dlatego ich związek zaczął się rozpadać. Ale Patrick jest głęboko przywiązany do Ellie.

Przypomniałam sobie, jak Patrick biegnie po ścieżce z ciemnowłosą córeczką w ramionach.



- Już od jakiegoś czasu się łudzę, że Patrick pozna wreszcie kogoś miłego - powiedziała Tilda znacząco. - Jakaś rozsądną, inteligentną dziewczynę. - Znów popatrzyła na mnie spod oka. - Co za szkoda, że biedak siedzi zupełnie sam w tym domku w Cumbrii. Pokazywał mi zdjęcie swojej posiadłości. Okropnie ponure miejsce, prawda? Mówił mi, że cię tam zabrał.

Znowu podeszłam do okna i wybełkotałam jakąś niezobowiązującą odpowiedź. Stare kwestie nadal mnie prześladowały, ale patrzyłam na nie pod zupełnie innym kątem.

*R S*

Nawet jeśli Tilda zabiła Daragha, nawet jeśli zamierzała mnie po prostu skierować na fałszywy trop i tak nie można było przekreślić dobra, jakiego zaznali od niej inni ludzie.

Troski, okazywanej malcom z *Kindertransporte*, uchodźcom, wszystkim dzieciom, jakie mieszkały kiedykolwiek w Czerwonym Domu. Pracy w UNICEF-ie, w Czerwonym Krzyżu, klinik psychiatrycznych, jakie powołała do życia, by pomóc skrzywdzonym przez życie ma-

łym pacjentom. Czy zatem powinnam ją zdradzić, jeśli w przyływie udręki i furii zabiła Daragha Canavana?

Uważałam, że nie. Podobnie jak w sprawie książki i w sprawie dziecka dochodziłam powoli do pewnych wniosków. Ale jeszcze nie podjęłam ostatecznych decyzji. Jeszcze nie.

- Wczoraj dzwonił Patrick. Podobno wydano ciało.

- Dowiedziałam się tego od Caitlin.

Powieki jej drgnęły.

- Rozmawiałaś z nią?

- Wczoraj.

- I jak ona się czuje?

- Jest chyba bardzo samotna. I nieszczęśliwa.

- Biedna Caitlin.

- Prosiła, żebym przyszła na pogrzeb. Obiecałam, że będę.

- To dobrze. Posłałabym kwiaty, ale pewnie wcale by się nie ucieszyła.

Długo milczała, więc sądziłam, że usnęła, lecz nagle podniosła wzrok.

- Zostaniesz na kolacji, prawda? Joan przygotowuje ci łóżko.

Choć Tilda wydawała się równie samotna jak Caitlin, niestety musiałam odmówić.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

- W przyszłym tygodniu, dobrze? Zadzwoń.

Tilda zamknęła album. Serce bolało ją od wspomnień. Towarzystwo biografki oderwałoby ją na chwilę od przeszłości. Chciała wyjaśnić stare zagadki; rozwiązać je mógł jednak tylko ktoś z zewnątrz. Zupełnie nie przypuszczała, że to wszystko spowoduje tyle cierpień. Cierpień, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Ostatnio odnosiła wrażenie, że ma coraz mniej czasu.

Nigdy nie zapomniała tych potwornych dni po samobójstwie Ericha. Najpierw dochodzenie, potem awantura z Caitlin i słowa: „Byłaś kochanką mojego ojca!” I ta koszmarne *R S*

świadomość, że ona również przyczyniła się do śmierci Ericha.

Wrócił Max. Uśmiechnęła się przelotnie. Max i Melissa znów byli w domu, a Max wziął na siebie wszystkie obowiązki, jakich ona już nie mogła się podjąć. Tilda nie miała siły nawet obrać kartofli, wyczerpywało ją mycie podłóg. Max poinformował promotora Hanny o chorobie dziewczyny, to on najął nową gosposię do Poony, on wyperswadował policji pościg za Caitlin.

Zajął się również organizacją pogrzebu. Tilda siedziała z przodu i patrzyła na jaskrawe światło załamane w witrażu rozetowego okna, niezdolna, by się modlić lub śpiewać hymny. Momentami nawet niezdolna, by wstać. Gdyby nie Max, w ogóle by tego nie zniosła. Już po ceremonii potoczyła wzrokiem po znajomych twarzach. Z Holandii przyjechali van de Criendtowie, a wraz z nimi starsze małżeństwo, które opiekowało się Erichem tuż przed inwazją. Zjawiała się też Anna, profesor Hastings i Michael. Poza nimi jeszcze Harold Sykes, jego żona i córki. Przybył także Archie Raphael i sąsiedzi z Southam. Nie liczyła na obecność aż tylu ludzi.

Powoli zmierzchało. Kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że jeden z bukszpanów rzuca fioletowy cień na żwir.

Minął właśnie tydzień od pogrzebu - długie, ciemne dni zlewały się w całość. Tilda zebrała się na odwagę, by przejrzeć rzeczy Ericha i znalazła w szufladzie plany ogrodu. Te-go wieczoru zabrała Maksa do Czerwonego Domu i pokazała mu, czego dokonał Erich i co mógł jeszcze zrobić, gdyby miał więcej czasu. Właśnie wtedy, siedząc na stopniach tarasu i patrząc na kręte ścieżki oraz wędnące róże, po raz pierwszy wyczuła spokojną obecność Ericha. Trzasnęła gałązka bzu. Zaszleściły kroki. Erich - wreszcie wolny od strachu - na-wiedział ogród.

Pisanie polega na tworzeniu schematów, ale w prawdziwym życiu żadne schematy nie istnieją. Ludzie nie są monolitami, każdy reaguje inaczej na podobne wydarzenia.

Wielu znało Tildę o wiele lepiej ode mnie, choć nikt jej w pełni nie rozumiał. Koszmarne przeszłość, która kazała jej pomagać niechcianym dzieciom, również odizolowała ją od świata. Ludzie nie lubią przeżywać cudzych tragedii i dlatego unikają tych, którzy cierpią. Nie wiedzą, jak reagować na żalobę, co mówić, co robić. Dlatego uciekają.

Tego wieczoru skupiłam się na późniejszym etapie życia swojej bohaterki - na latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy to prywatne życie Tildy układa

ło się niezłe i liczyło się dla niej mniej niż praca. Popatrzyłam na zdjęcia: Tilda otrzymuje ogromny bukiet kwiatów podczas ceremonii otwarcia kliniki imienia Ericha Wirmera; Tilda otrzymuje tytuł szlachecki. Uporządkowałam wywiady i listy od podopiecznych. Przejrza-

łam też spisy nazwisk, wykreślając z nich te osoby, z którymi rozmawiałam. Nie mogłam spać. Leżałam w łóżku, wspomnienia wirowały mi w głowie jak film w przyspieszonym tempie - bukszpany w ogrodzie, wyraz twarzy Tildy prezentującej album. Patrick w szpitalu.

„Jedź ze mną do Cumbrii”. Zastanawiałam się, czy wolno mi to zrobić. Już sam pomysł wydawał mi się przerażający. Mieszkałam w Londynie od siedmiu lat, a teraz miałabym się z niego wyrwać i rozpocząć na nowo w tym ponurym, pięknym miejscu? Przeprowadzka do Cumbrii oznaczałaby takie ogromne zaufanie i zobowiązania, że gdy tylko to sobie wyobraziłam, ścisnęło mi się serce.

Te rozważania mnie wyczerpały, ale nadal nie kładłam się spać. Wybrałam największą, najstarszą i najnudniejszą książkę z biblioteki, po czym zaczęłam czytać. Tomisko wydano w 1926 roku, pierwszy rozdział dotyczył historii Moczarów - gwarantowany sposób na bezsenność. Zwinięta w kłębek czytałam o Rzymianach, kolonizacji wschodniej Anglii i próbach osuszania wrogich terenów, a potem o odejściu Rzymian i zastąpieniu ich przez gorzej zorganizowany lud.

Gdy rozpoczęłam część dotyczącą średniowiecza, już ciążyły mi powieki. Chciałam odłożyć książkę, ale w ostatniej chwili zobaczyłam, że do końca zostało tylko parę stron.

Postanowiłam więc kontynuować. Akapit na temat kar stosowanych w wiekach średnich wobec właścicieli ziemskich zaniedbujących obowiązki fortyfikacyjne czytałam dwukrotnie.

Serce waliło mi jak młotem, zapomniałam o śnie.

Usiadłam na łóżku. Już teraz wiedziałam, kto zabił Daragha Canavana.

Budziła się codziennie o czwartej, zanim jeszcze ptaki rozpoczęły swój koncert. Max był przy niej, ale nie mogła go dotknąć.

Tilda często zasypiała jeszcze raz, ale dzisiaj sen nie nadchodził. Wydarzenia sprzed czterdziestu lat wydawały się jej - wyraźniejsze niż mglista szarość letniego poranka. Wstała z łóżka i wyszła z pokoju - poruszała się cicho i ostrożnie, by nie obudzić Joan.

Wspomnienia mieszkały w każdym pokoju, ale najbardziej lubiła werandę. Tam czuła najwyraźniej jego obecność.

Stała przy ogromnym wykuszowym oknie. Wokół szeptały głosy.

*R S*

- To chyba do tych drzwi. - Wskazał jej obskurne wejście do domu.

Popatrzyła na klucz.

- Dostałem go od agenta nieruchomości. Zamierzam nabyć Czerwony Dom. Formalności potrważą z sześć tygodni, ale sprzedawca dał mi klucz, żebyśmy mogli się rozejrzeć.

- Kupujesz dom? - szepnęła.

- Dla ciebie. Wiem, że go kochasz. A jeśli tak zdecydujesz, to dla nas.

Nie ruszyła się z miejsca. Nie włożyła klucza do zamka.

- Co będzie z Cecile? - spytała.

- Cecile? Cecile była moją przyjaciółką, dobrą przyjaciółką.

Kłamał.

- Kochanką - sprostowała.

Skinął głową bez słowa.

- Powinieneś do niej wrócić. Nie musisz tu zostawać z litości! - krzyknęła gniewnie.

Wyjął jej z ręki klucz i dopasował go do zamka. Drzwi zaskrzypiały, w holu zaszeleściły liście.

- Chodź - powiedział, wyciągając do niej rękę.

Zawahała się tylko chwilę i weszła za Maksem do środka.

Pokoje wyglądały dokładnie tak, jak się spodziewała; były zaniedbane, ale piękne, z kominkami z piaskowca i zniszczonymi płytkami na podłodze.

- Cecile sprzedaje mój warsztat - odezwał się Max. - Poszedłem rano do ojca. Pożyczył mi wystarczająco dużo pieniędzy, żebym mógł zadatkować Czerwony Dom. Cena nie jest wygórowana. Od lat nikt tutaj nie mieszka, a poza tym ostatnio tak ogromne posiadłości wychodzą z mody. Trzeba w niego włożyć mnóstwo pracy, ale na pewno tu zamieszkamy.

A jak już dom będzie gotów, wypełnimy go dziećmi.

- Maksie - szepnęła.

Stali w pokoju wychodzącym na ogród. Szerokie, wykuszowe okno zasłaniały pnącza.

- Naszymi własnymi dziećmi albo twoimi zbłąkanymi owieczkami. Wszystko jedno.

Na pewno jakieś znajdziesz. Wiem, że tak będzie. Masz prawdziwy talent do dzieci.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nieprawda. Zawiodłam Ericha, Caitlin, nawet Hanne...

- Hanna wyzdrowieje - odparł. - Silna z niej dziewczyna. A co do Ericha i Caitlin, to *R S*

zrobiłaś, co w ludzkiej mocy. Nikt nie uczyniłby więcej.

- Do dziś pamiętam wszystko, co mi powiedziałeś wtedy w Londynie. Obchodziłeś urodziny. Zaczął padać śnieg. Pamiętasz? Mówiłeś, że oszukuję sama siebie. Że próbuję za-kleić plastrem zbyt głęboką ranę. Miałeś rację. Teraz już to wiem. Staralam się pomóc Erichowi, ale to zadanie mnie przerosło.

- Traktowałem cię zbyt protekcyjnie. W swojej arogancji głęboko wierzyłem w to, że tylko ja potrafię pojąć smutek.

- Boję się - szepnęła. Objął żonę ramieniem.

- Miłość polega na podejmowaniu ryzyka. Dlatego bywa niebezpieczna.

A potem ją pocałował. Kiedy podniosła na niego wzrok, dostrzegła, że zachodzące słońce pomalowało ogród na różowo i złoto. Pomyślała, że wrócili do domu.

Stopniowo zaczęli się do niej zgłaszać. Zranieni, posiniaczeni, opuszczeni. Dzieci, których nikt nie chciał.

Joan była jedną z pierwszych. Przybyła do Czerwonego Domu w lipcu 1949 roku, na kilka dni przed ślubem Rosi i Richarda. Znalazł ją dwunastoletni Archie - ofiara sześciu do-mów dziecka - gdy kradł jedzenie ze straganu. Tilda chciała odmówić, wyjaśnić, że jest za wcześnie, ale coś w wyglądzie tego dziecka ją przed tym powstrzymało.

- Spróbuję - obiecała w końcu, a wierzcipięta Joan znalazła swoje miejsce przy jej boku w kościele, gdzie Rosi i Richard składali przysięgę małżeńską.

Luke'a i Toma znaleziono zamkniętych w pokoju wraz z niedorozwiniętą psychicznie, umierającą matką. Nie mówili w żadnym języku, oprócz tego, który sami sobie stworzyli, a Tilda usłyszała o nich po raz pierwszy, gdy obaj już zostali skazani na pobyt w zakładzie psychiatrycznym. Ogromne ogrody i wielkie pokoje Czerwonego Domu początkowo ich przerażały. Pierwsze dwa tygodnie spędzili zwinięci w kłębek w szafie, jaki zbudowali sobie w kącie sypialni.

Potem przyszli inni podopieczni. Kilkunastoletnie dziewczyny, stanowczo zbyt młode na posiadanie dzieci, chłopcy z wyrokami za włamania i wandalizm. Pieniądze Maksa znów uprawiającego niezależne dziennikarstwo na początku nie starczały nawet na jedzenie.

Los odmówił jej jednak trzeciego dziecka, dziewczynki, choć tak bardzo o niej marzy-

ła. Tuż przed pięćdziesiątką, kiedy już straciła resztki nadziei, usiadła przy grobie Ericha i zapłakała

nad zmarłym tragicznie synem i nienarodzoną córką. Potem jakoś się pozbierała i *R S*

poszła z powrotem do Czerwonego Domu, do dzieci.

W dzień pogrzebu Daragha niebo się zachmurzyło, a lekki wiatr zaznaczył przejście z lata do jesieni. W krótkiej ceremonii żałobnej uczestniczyło zaledwie kilkunastu żałobników. Ja znałam tylko Caitlin i domyślałam się, że siedząca obok niej starsza kobieta jest córką kucharki. Za cisami stali dwaj mężczyźni - pewnie policjanci. Nie ulegało jednak dla mnie żadnej wątpliwości, że on się nie zjawi.

Gdy na trumnę posypały się grudki ziemi, przemknęłam się dyskretnie na drogę wiodącą z kościoła do kanału. Nad głową miałam sklepienie tunelu utworzonego przez gałęzie o żółknących liściach. Po wyjściu na otwartą przestrzeń przypomniałam sobie, jak się czułam, kiedy spacerowałam tędy z Charlesem - odcięta od wioski, odseparowana od otoczenia przez miejsce i czas.

Pole już zaorano. Ze wschodu napływały ciemne, nabrzmiące chmury. Gdy zmierza-

łam w stronę domu rządcy, do butów przylegał mi czarny pył. Skobel był zepsuty, a wiatr telepał furtką tam i z powrotem. Ruszyłam prosto do wejścia. W miejscach, gdzie ze ścian odpadał tynk, na trawie leżały małe kupki cementu i kamienia. Szyby w oknach zmatowiały, a farba na framugach była tak zniszczona, że nie potrafiłam się nawet domyślić, jaki miała niegdyś kolor.

Załomotałam do drzwi. Rozległ się głuchy, stłumiony dźwięk. Stałam przez chwilę nieruchomo, wsłuchując się w wiatr targający liśćmi wierzb. Gdy znów zerknęłam na kanał, zobaczyłam, że ziemię, pod którą spoczął przed laty Daragh Canavan, porosła trawa. Zapukałam ponownie i zaczęłam wołać Kita po imieniu. Do moich uszu dobiegło szuranie i szcęk otwieranego łańcucha.

- Tak?

Zawsze mi się wydawało, że na twarzy mordercy maluje się zło, ewentualnie poczucie winy. Ja jednak zobaczyłam tylko bardzo starego i bardzo schorowanego człowieka. Nie mogłam znieść charkotu, jaki z siebie wydawał.

- Nazywam się Rebecca Bennett - powiedziałam stanowczo zbyt głośno, zakładając, że de Paveley nie dosłyszy. - Piszę biografię Tildy i chciałabym z panem porozmawiać, jeśli łaska.

- Tildy? - spytał i z zainteresowaniem popatrzył na mnie jasnymi oczami.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. *R S*

- Przyjechałam do Southam na pogrzeb Daragha Canavana i muszę z panem pomóc.

Kit de Paveley zmarł na chwilę.

- W takim razie proszę - rzekł w końcu, otwierając drzwi.

Weszłam za nim do środka. Panujący wewnątrz odór przyprowadził mnie o skurcze żo-

łądka. Pleśń, zgnilizna, wilgoć i nieprane ubrania. Podążałam za Kitem de Paveleyem wzdłuż szarobrazowego korytarza z obłazającą farbą i podartą tapetą. Przy obitej boazerią ściany stały wilgotne książki, a w rogu poniewierały się ubłocone kalosze i stare parasole.

Był to ten rodzaj domu, w którym zmarły rencista leży co najmniej miesiąc, zanim jakiś przypadkowy przechodzień wyczuje odór śmierci i wszyscy czujemy się tym zawstydzeni.

Zarówno dom Kita de Paveleya, jak i jego właściciel chylił się ku upadkowi.

Poprowadził mnie do pokoju na tyłach domu. Jeszcze więcej książek, sterty pożół-

łych gazet i czasopism, Zauważyłam również tacę, a na niej butelkę z mlekiem, pokrojony chleb i słoik marmolady. Widocznie de Paveley jadł właśnie podwieczorek.

- Proszę spocząć, panno Bennett.

Usiadłam bardzo niepewnie. Nie chciałam tu niczego dotykać, tak jakby choroba, starość i stare zbrodnie mogły się okazać zaraźliwe.

Kit de Paveley zajął miejsce naprzeciwko. Miał na sobie workowate tweedowe spodnie, koszulę bez krawata i sweter w bliżej nieokreślonym musztardowym kolorze. Wytarty kołnierzyk koszuli przybrał szary, nieświeży odcień. Podobnie zresztą wyglądała niemal przezroczysta twarz Kita. Byłam bardzo ciekawa, czy on się boi.

- A więc pogrzeb Daragha Canavana... Niewątpliwie budujące wydarzenie. Przyszło wielu żałobników?

Potrząsnęłam głową.

- Załedwie parę osób.

Zaśmiał się i zaczął kasłać. Straszliwy, rozdzierający odgłos wypełnił pokój. Zaszło mi w ustach.

- Oczekiwałam, że pan również się tam pojawi.

- Dlaczego miałbym to robić? - spytał z uśmiechem.

- Z poczucia winy. Przecież to pan zabił Daragha, prawda?

- Co za wyobraźnia! - mruknął. Nie wydawał się jednak urażony ani dotknięty.

*R S*

Rozejrzałam się po pokoju z mnóstwem książek.

- Pan jest historykiem, prawda?

- Jeśli sobie dobrze przypominam, wykonywanie tego zawodu nie zostało nigdy uznane za zbrodnię. Nawet w tych wyzutych z kultury czasach.

- Wypożyczyłam książkę z biblioteki. - Pogrzebałam w torbie i wyjęłam opasłe tomi-sko. - Zapewne zna pan tę pozycję. Mogę się nawet założyć, że tak. Pewnie gdzieś tutaj le-

ży. W końcu zawsze się pan interesował historią Moczarów. - Wyjąwszy marker, otworzy-

łam książkę na właściwej stronie. - W tej sekcji znajduje się opis kar, jakie stosowano w średniowieczu wobec tych właścicieli ziemskich, którzy zaniedbywali umocnienia przeciwpowodziowe. Otóż wiązano im ręce i stopy, po czym wrzucano do szczelin w brzegu. W ten sposób, już po śmierci, bronili mokradeł przed morzem. - Podniosłam wzrok. - Tak właśnie postąpił pan z Daraghem, prawda? Spętał go pan, po czym pogrzebał żywcem w kanale.

Znowu zaczął kasłać.

- Nie rozumiem, dlaczego pan go zabił - powiedziałam, kiedy minął mu atak. - Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo go pan nienawidził. Przecież niewiele was łączyło.

Zapadła długa cisza. Po brzegu słoika z marmoladą pełzała mucha.

- Młodzi są naprawdę tacy zarozumiali. Dlaczego niby miałbym po tylu latach opowiadać akurat pani tę historię?

- Nie mnie - odparłam. - Tildzie.

Wyraz lekceważenia ustąpił częściowo z jego twarzy.

- Tildzie?

- Tilda to stara i chora kobieta. Chce przed śmiercią poznać prawdę.

- Przynajmniej pozbyła się go na dobre! - syknął. - Na pewno by ją zniszczył.

„Nadal przysyła mi kwiaty na urodziny”. Zrozumiałam.

- Pan ją kochał?

- Oczywiście, że ją kochałem. Była piękna. I bardzo dobra dla mnie. Niby takie nic, bękart pokojówki, a jednak dama.

Kiedy się uśmiechnął, dostrzegłam, że między Tildą i Kitem istnieje wyraźne podobieństwo. Ta konstatacja zapałała mi dech w piersiach. Oboje mieli długie, proste nosy, wysokie czoła i jasnoszare oczy. Urodę Tildy ożywiała jednak energia i okazywane od czasu do czasu współczucie, podczas gdy ostrość rysów Kita tłumiła gorycz i apatia.



- O co chodzi? Dlaczego pani tak mi się przygląda?

Nie zamierzałam wcale na niego patrzeć. Odwróciłam głowę. Przez chwilę chciałam mu powiedzieć, że Tilda Franklin jest jego kuzynką, krewną. Ten impuls wygasł jednak tak szybko, jak się pojawił.

Kit podniósł się ciężko, odgonił muchę i zamknął słoik. A potem stanął tak blisko, że zasłonił mnie całkowicie jego cieniem. Po raz pierwszy odczułam strach.

- To dla Tildy? W takim razie wszystko pani opowiem. Zresztą ja i tak już się niczego nie boję.

Podczas krótkiej chwili ciszy, jaka potem nastąpiła, usłyszałam, że o parapet zaczynają uderzać pierwsze krople deszczu.

- Zabiłem go, bo się ze mnie naśmiewał.

Zwilżyłam językiem usta.

- Z powodu Tildy? - Pomyślałam nagle, że Kit przypomina mi Charlesa.

- Na początku nie. - Żyłastą, siną dłoń oparł o wystrzępioną poręcz kanapy.

- Cały dzień spędziłem na poszukiwaniu tego miejsca, w którym kopałem przed powodzią. Zapadł wieczór. Chciałem się spakować i iść do domu. Sprawa przedstawiała się oczywiście zupełnie beznadziejnie. Wszystko pokrywały warstwy mułu, artefakty zabrała woda. Daragh Canavan pojawił się akurat w chwili, kiedy zbierałem swoje rzeczy. Jak zwykle pijany. Odrażający. Ledwo trzymał się na nogach. - Kit de Paveley zniżył głos i pochylił

się do mnie konfidencjonalnie. Wzdrygnęłam się lekko.

- Mam pani zdradzić, co mi wtedy powiedział?

Przytaknęłam bezgłośnie. Pomyślałam, że on naprawdę oszalał. Samotność, rozczarowanie i gorycz pomieszały mu w głowie.

- Spytał, czy powódź zmyła moje monety.

- A pan go uderzył?

- Jeszcze nie wtedy. Był większy ode mnie. Silniejszy. Jak zwierzę. I parzył się jak zwierzę. Widziałem go raz, jak leżał w zbożu z taką jedną wiejską dziewczuchą. A mnie uwa-

żał za słabeusza. Robił mi złośliwe uwagi przy innych mężczyznach z obrony cywilnej. A na czas powodzi wysłał mnie do kościoła, do kobiet.

Niezdolna, by wytrzymać ten świdrujący wzrok, musiałam odwrócić oczy. W pokoju pociemniało, a

gęste krople deszczu uderzyły o szyby i ześliznęły się na ziemię po parapeR S

cie.

- Chciałaby pani wiedzieć, jak go zabiłem? Zamierza to pani opisać w książce?

Skinęłam głową. Kit odsunął się ode mnie i usiadł. Odetchnęłam cicho z ulgą.

- Zapytał, czy woda zmyła moje monety, ale ja nie zareagowałem. Pił z piersiówki.

Mnie też częstował, ale odmówiłem. Dodałem, że nie przepadam za alkoholem. A on mi na to, że bardzo lubi i lepiej się po nim spisuje. Dodał, że po dwóch drinkach może godzinami, dlatego dama, z którą zamierza się zobaczyć, będzie bardzo zadowolona.

Znowu zaczął kasłać. Odgłos, jaki z siebie wydawał, był tak przerażający, jakby Kitowi pękały płuca. Wyszłam z pokoju. Otworzyłam jedne drzwi, potem drugie, aż w końcu znalazłam kuchnię. Napełniłam filiżankę wodą i zaniiosłam ją do pokoju.

Wypieki wywołane kaszlem ustąpiły miejsca bladości. Pomyślałam, że on nie tylko oszalał, ale jest śmiertelnie chory. I choć należało wezwać lekarza, ciekawość zwyciężyła.

- Wiedział pan, że Daragh jest umówiony z Tildą? - ciągnęłam.

- Łaził za nią od lat. Nie chciał zostawić tej kobiety w spokoju. Spytałem go o to wprost. Odpowiedział. I właśnie wtedy się domyślił, że ja ją kocham. - Kit otarł chusteczką spocone czoło. - śmiał się. Ryczał ze śmiechu, więc uderzyłem go łopata. Kiedy padał na ziemię, miał bardzo zdziwioną minę. A potem znów go walnąłem. I jeszcze raz.

Zaczął się uśmiechać. Ten uśmiech był gorszy niż cokolwiek innego.

- To się okazało bardzo łatwe - ciągnął. - Daragh ledwo trzymał się na nogach i najwyraźniej nie sądził, że mogę mu zagrozić. Ale ja mam bardzo silne ręce. Po tylu latach kopania...

- Zadał mu pan parę ciosów łopata, aż w końcu go pan zabił?

Stłumił kaszel. Deszcz nadal uderzał o parapet. Przez nieszczelne framugi przeciekała woda.

- Nie wtedy. - Wypił łyk wody. - Najpierw nie bardzo wiedziałem, co robić. Chciałem sprowadzić pomoc, ale potem doszedłem do wniosku, że wszystkim będzie lepiej bez niego.

Tildzie, Jossy, mnie... innym. Daragh był utracjuszem i rozpustnikiem. Miałem przy sobie latarkę, a właśnie remontowali kanał... Jedno pasowało jak ulał do drugiego. Oczywiście, że czytałem tę książkę. Daragh Canavan nie dbał o ziemię tak, jak należało. Próbowałem mu wytłumaczyć, że Mokradła wymagają szczególnej troski. On jednak nie słuchał. Kiedy był

R S

jeszcze nieprzytomny, związałem mu ręce sznurowadłami. Dobrymi, skórzanymi sznurowadłami. Buty kupiłem za pieniądze z prac wykopaliskowych na Krecie w 1936 roku. Sznuro-wadeł w takim gatunku nie sposób rozerwać. A potem pociągnąłem go do wyrwy w brzegu.

Nie wiedziałem, czy żyje. Wbrew pozorom wcale nie tak łatwo to stwierdzić. Kiedy jednak zacząłem sypać na niego ziemię, poruszył się lekko. Drgnęła mu stopa. Nie przywiązywa-  
łem do tego wagi.

Zamilkł. Zrobiło mi się niedobrze. Przestałam się bać; Kit okazał się tylko szalonym, żalonym starcem. Zapraǳnęłam wyjść z tego brudnego, dusznego domu pogrążonego w zazdrości i nienawiści.

Lecz nie przestawał mówić. Być może to wyznanie sprawiło mu ulgę.

- Sądziłem, że go znajdą. Cały kolejny dzień czekałem tylko na pukanie do drzwi. I tak trwałem w swoim strachu. Śniłem, że jego kości przebijają się przez trawę albo że otwierają rów i wystaje z niego czaszka. Już nie mogłem kopać. - Wybuchnął śmiechem. -

Prawda, że nie mogłem? W nocy, kiedy byłem sam, a zawsze byłem sam, wyobrażałem sobie, że ktoś puka do drzwi, otwieram, a na progu stoi Daragh i otrzepuje się z ziemi.

Zbliżyłam się do okna, choć kurz oraz deszcz i tak uniemożliwiały dopływ światła do pokoju.

- Żałował pan kiedyś tej zbrodni?

- Oczywiście, że nie. Proszę pomyśleć o tych wszystkich krzywdach, jakie on wyrządził ludziom. Proszę pomyśleć o biednej Jossy.

- Jossy kochała Daragha. A Caitlin? Nie zdawał pan sobie sprawy z tego, jak bardzo ją zrani śmierć ojca?

Wymamrotał coś ledwo słyszalnym szeptem. Ciszę zakłócało tylko bzyczenie muchy oraz krople deszczu uderzające o parapet.

- I co teraz, panno Bennett? Pójdzie pani na policję? Oni tutaj byli. Okłamałem ich, udawałem, że o niczym nie mam pojęcia.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem.

- Nie powinna pani liczyć na dramatyczny proces i nazwisko we wszystkich gazetach.

Umieram. Tylko dlatego wyznałem prawdę. Mam raka. Płuca mi gniją od środka. Podobno zostało mi jeszcze parę miesięcy, ale nie bardzo w to wierzę. Nie zobaczę kolejnego NoweR S

go Roku. - Rozejrzał się po pokoju. - Przeżyłem swój czas. Dzisiejszy świat jest mi obcy.

Wstał.

- Ile osób przyszło na pogrzeb?

- Pięć.

- Ja też mogę liczyć na tylu żałobników? Jak pani sądzi? Jego słowa ściagały mnie po korytarzu.

- Proszę pozdrowić Tildę. Niech pani jej o mnie przypomni.

Ruszyłam przez pola nad kanał. Deszcz przemoczył mi cienką sukienkę i marynarkę, ale powitałam go z ulgą. Poczułam się oczyszczona. Weszłam na nabrzeże i stanęłam na mokrej trawie. Spadające krople tworzyły koła na ciemnej powierzchni. Podniosłam wzrok na Dwór - odległy kwadrat na tle nieba - i już wiedziałam, co robić. Zaczęłam powoli zbierać ostatnie dzikie kwiaty, jakie zakwitły na brzegu - fioletowe krwawniki, jastruny, pię-

ciorniki. Z wiązanką w dłoni udałam się na skraj wioski. Na dziedzińcu kościelnym przyklękałam przy grobie Jossy i ułożyłam bukiet w metalowym pojemniku. Choć nie jestem wierząca, zmówiłam modlitwę za Jossy, która spędziła dzieciństwo w strachu przed jednym mężczyzną, a przez całe dorosłe życie cierpiała z miłości do drugiego. Modliłam się, by teraz, gdy jej utracony ukochany spoczął obok, mogła wreszcie zasnąć w spokoju. Wstałam, obejmując opiekuńczo dłońmi płaski brzuch. Już wiedziałam, że zatrzymam dziecko; w tej historii było już zbyt wiele nieszczęść. Zerknąwszy po raz ostatni na siostrę i kochankę Tildy, poszłam do samochodu.

## Rozdział 19

Duchy - w większości dobrotliwe i wyrozumiałe - nie opuściły jej ani na chwilę. Pewnej nocy, po raz pierwszy od wielu lat przyśnił się jej Daragh. Jechali na oklep przez Moczary, obejmowała go w tali. Czowała wiatr we włosach i ciepło jego pleców na twarzy.

Usiadła zbyt gwałtownie na łóżku. Ostry ból przeszył jej piersi.

- Max - szepnęła słabo, a potem skuliła się na chwilę, czekając, by bestia zaprzestała swoich igraszek. Gdy poczuła się lepiej, wstała i poszła wolno do łazienki. Upokarzające dolegliwości podeszłego wieku - sztywne kończyny, słaby pęcherz, skleroza - dawały się Tildzie we znaki bardziej niż zwykle. W środku była nadal młodą dziewczyną, galopującą *R S*

przez pola z kochankiem, ale jej ciało stawało się coraz bardziej kruche. Myjąc ręce, nie mogła sobie przypomnieć, jak niegdyś wyglądała i dlaczego ją kochano. Twarz Daragha -

widziana we śnie - traciła powoli wyrazistość. Pomyślała, że tak naprawdę Canavan umarł

na długo przed tą fatalną nocą w 1947 roku, zniszczony przez własny słaby charakter.

„Masz, na co zasłużyłeś” - szepnął głos ciotki Sarah. Chciwość Daragha zrujnowała mu życie, zanim

jeszcze ruszył przez pola do Southam i spotkał na swej drodze Kita de Paveleya.

Kit również nie żył - umarł w październiku. Odszedł ostatni z rodu de Paveleyów.

„Przeklinam wszystkich de Paveleyów i ich potomstwo”. Znów głos ciotki Sarah. Sarah mogłaby triumfować, Tilda nie miała powodu do radości.

Umyła się, ubrała i poszła, jak zwykle, na werandę. Na stole leżała pierwsza wersja początkowych rozdziałów książki.

Uśmiechnęła się do siebie, czytając tytuł nagryzmołony ołówkiem u góry strony.

„Duchy przeszłości: Historia życia Tildy Franklin”. Kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że mróz posrebrzył trawniki i bukszpany. Jeszcze nie świtało. Tilda poczuła się nagle bardzo samotna. Luty to taki martwy, cichy miesiąc.

- Max - szepnęła ponownie, ale jego tam nie było. Ból zaczął znowu rozsadzać jej piersi. Przycisnęła rękę do żeber i oparła głowę o szybę. Strasznie długo już go nie widziała; prawie piętnaście lat. Takiej straty nie można przeboleć, można się do niej tylko przyzwycząić.

Często wyczuwała obecność męża, ale tego poranka to jej nie wystarczyło. Pomyślała, że najbardziej na świecie pragnęła zawsze być z rodziną. Nigdy jej nie zależało na bogactwie, sławie czy uznaniu. A mimo wszystko przez całe życie rozstawała się co chwila z ty-mi, których kochała - a każda kolejna rozłąka sprawiała jej więcej bólu niż poprzednie. Cała seria klęsk... Erich popełnił samobójstwo, Caitlin stoczyła się na dno. W wieku siedemnastu lat Josh zrezygnował z nauki i zaczął podróżować po świecie.

Ból wzmógł się; poszukała tabletek w kieszeni swetra. Nie wolno jej chorować.

Oczekiwała odwiedzin Melissy i Matty. Matty wspominała coś na temat gościa niespodzianki. Może zaprosiła któreś z dzieci z Czerwonego Domu? Uśmiechnęła się na samą *R S*

myśl o takim spotkaniu.

Jednak poczucie klęski nie chciało jej opuścić. Usiadła na sofie, przymknęła oczy i zdrzemnęła się na chwilę. Na Londyn spadały bomby, a ona chodziła po ulicach. Na drogach leżały gruzy, lecz brnęła dalej, rozdzierając sobie pończochy. Czuła swąd spalonej ce-gły, słyszała syk wody padającej na płonące drewno. Wreszcie znalazła się na placyku, gdzie z budynków podpadały frontowe ściany i z chodnika widać było pokoje, zupełnie jak w domkach dla lalek. Pustka wprawiała ją w przerażenie, ale szła nadal, potykając się o zniszczone kawałki mebli, omijając metalową wannę, która leżała niczym wielki żółw na środku chodnika. A na samym końcu drogi stał Max.

- Czekałem na ciebie - powiedział, biorąc ją w ramiona.

Gdy się obudziła, czuła się już lepiej. Wrażenie beznadziejności minęło. Stanowiła w końcu tylko drobną część historii.

Nie miała wcale większego wpływu na swoje życie niż na wydarzenia, jakie doprowadziły do jej przyjścia na świat. Nie była również odosobniona w swoich cierpieniach; podobnych doświadczyło wielu ludzi żyjących w pierwszej, niespokojnej połowie dwudziestego wieku. Niefortunny romans zakończony śmiercią Daragha nie należał wcale do największych tragedii jej życia. Za największą uznała wojnę. To wojna odebrała Rosi i Hannie ich rodziny, wojna pozbawiła Ericha wszelkiej nadziei na przyszłość. Wojna rozdzieliła ją z Makssem, a jemu pokazała takie okropności, że zaczął odczuwać strach przed miłością, gdyż z głębokim uczuciem łączyła się nieodwracalnie możliwość straty. Nigdy dotąd Tilda nie czuła się tak pogodzona ze sobą i własną przeszłością. Wreszcie sobie wybaczyła. Nagle z oddali dotarło do niej trzaśnięcie drzwi.





















Przez mgłę przedarło się słońce. Tilda podniosła się z krzesła, ale jeszcze nie widziała swoich gości zasłoniętych przez bukszpany. Usłyszała głos Melissy i śmiech Matty. Serce zabiło jej mocniej, przycisnęła twarz do szyby. Cała trójka wyłoniła się nagle zza wysokich drzew - najpierw Melissa i Matty. Potem Max. Nie, nie Max. Ten mężczyzna był wysoki, szczupły i szedł sprężystym krokiem, takim jak Max, ale miał jasne włosy. Patrick. A obok niego Ellie i Rebecca. Rebecca - obiektywna narratorka wydarzeń - stała się teraz częścią rodziny. Rebecca trzymała w ramionach najmłodszą prawnuczkę Tilda. Sarah - szepnęła Tilda, patrząc na dziecko i już nie czuła się samotna.

Zeszła powoli na dół, by ich powitać.

*R S*

---

# Document Outline

-  
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 